

Otchłań zła

Chattam Maxime

Książka I z Otchłań Zła



calibre 0.9.43

MaxiMe ChattaM

Otchłań zła

Rzeczywistość często przerasta fikcję.

W pełni zrozumiałem to banalne skądinąd stwierdzenie dopiero podczas dwuletniej pracy nad tą książką. Zajmowałem się w tym czasie medycyną sądową, technikami policyjnymi, psychiatrią kryminalną i ogólnie naukami kryminalistycznymi; głównie zaś badałem zjawisko seryjnych morderstw. Czytałem i słyszałem o wydarzeniach, których nawet najzręczniejszy pisarz nie ośmieliłby się wprowadzić do swoich powieści -

zakładając oczywiście, że możliwości warsztatowe pozwoliłyby mu to wszystko wygładzić i uczynić trochę mniej brutalnym i okrutnym.

Zetknąłem się z sytuacjami, które - gdybym przeczytał o nich w książce -

wydałyby mi się groteskowe i nieprawdopodobne w swoim okropieństwie, a tymczasem...

Przede wszystkim jednak, gdy minęły te dwa lata, odkryłem, że moi rodzice i wszyscy rodzice świata okłamują swoje dzieci, utrzymując, że potwory nie istnieją. Istnie -ją, jak najbardziej.

Aby niepotrzebnie nie gloryfikować grozy, pisząc tę powieść, starałem się być jak najbliżej rzeczywistości

Z pewnością to jest w niej najstraszniejsze.

Maxime Chattam Edgecombe, 2 kwietnia 2000 roku

Zły plon bezprawia

Nowym się tylko bezprawiem poprawia.

William Szekspir, Makbet

PROLOG

PRZEDMIĘSCIA MIAMI, 1980 ROK

Kate Phillips otworzyła drzwi samochodu i wypuściła Josha. Chłopczyk trzymał w dłoni plastikową lalkę komiksowego bohatera Captain Future, którą tulił do siebie, jakby chodziło o największy skarb. Uderzyło ich w twarze gorące powietrze unoszące się nad parkingiem. Zapowiadało się naprawdę upalne lato.

- Chodź, aniołku - powiedziała Kate, przytrzymując włosy okularami przeciwsłonecznymi.

Josh wyszedł z auta, wpatrując się w fasadę centrum handlowego. Bardzo lubił tutaj przyjeżdżać, a oglądanie tych wszystkich wspaniałości było dla niego ogromną przyjemnością, spełnieniem marzeń. Setki zabawek, ustawionych według rodzajów na ogromnej przestrzeni, i wszystkie prawdziwe - żaden tam obrazek w telewizji czy w katalogu. Rano, gdy tylko matka oznajmiła, że wybiera się do centrum handlowego, natychmiast zorientował się w sytuacji i zachowywał tak grzecznie, że zdołał ją przekonać, aby go zabrała. Teraz, kiedy widział przed sobą budynek sklepu, czuł, jak emocje rosną. Może uda się wyjechać stąd z nową zabawką?

Brakowało mu ciężarowej cysterny Majorette, o całym zestawie Captain Future nie wspominając! Dzień zapowiadał się więc dobrze, nawet bardzo dobrze. Nowa zabawka. Co za nęcący pomysł! Trzeba było tylko jeszcze sprawić, żeby Kate się zgodziła. Odwrócił się w stronę matki, chcąc ją o to zapytać, i zobaczył, że przelicza kupony zniżkowe, starannie powycinane z gazet i reklam.

- Kupisz mi nową zabawkę, mamusiu? - zapytał cienkim głosikiem niespełna czteroletniego chłopca.

- Nie zaczynaj, Josh! I pospiesz się, inaczej nigdy cię już ze sobą nie zabiorę.

Chłopiec zrobił z otwartej dłoni daszek nad oczami, jak Często czynił to jego ojciec, i przeszedł tak przez cały parking

- Co za upał! - westchnęła Kate, wachlując się nieporadnie ręką. Nie marudź, kochanie. Stopimy się, jeśli za długo będziemy przebywali na pełnym słońcu!

Josh, mimo że nie bardzo zrozumiał, co matka miała na myśli, przyspieszył

kroku i po chwili oboje weszli do wielkiego centrum handlowego z galerią sklepów. Wzdłuż głównej alei były rozstawione stoiska z gazetami; na pierwszych stronach dzienników widniała wiadomość o bojkocie moskiew-skich igrzysk olimpijskich przez Amerykę. Mówiono tylko o tym. Niektórym już się wydawało, że nadchodzi podobny kryzys jak ten w Zatoce Świń. Dla Kate to wszystko były polityczne machinacje. „Podejrzane machinacje” - jak mówił Stephen, jej mąż. Lepiej było trzymać się od tego wszystkiego z daleka, żyć spokojnie we własnych czterech ścianach, wykonywać swoją pracę na stacji benzynowej, zacisnąć zęby i poświęcić pięć lat na napisanie jednej sztuki teatralnej oraz co pewien czas zapalić sobie skręta. „Nie ma sensu bawić się w politykę”. Kate zgadzała się z tą opinią. Zgadzała się z wieloma rzeczami, które mówił Stephen - dlatego między innymi się w nim zakochała.

Rzuciła po raz ostatni okiem na gazety i pociągnęła za sobą Josha, przyspieszając kroku. Dziecko musiało podbiec, żeby utrzymać jej tempo.

Minęli mnóstwo półek z artykułami plażowymi, które zapowiadały zbliżające się już nieuchronnie lato, a wraz z nim rzesze turystów. Szeroki pasaż handlowy rozbrzmiewał dokuczliwym zgiełkiem tłumy klientów.

Kate pchała wózek, a Josh usiłował się do niego przyczepić, naśladowując widzianego w telewizji gangstera, który

w podobny sposób starał się wskoczyć na stopień starego auta. Kiedy mijali ciąg sklepów z zabawkami, chłopiec pociągnął matkę za spódnicę.

- Mama chciałbym pooglądać zabawki. Mamo, mogę? No, powiedz! Mogę?

Kate westchnęła. Nienawidziła robienia zakupów. Denerwowała ją konieczność przemieszczania się bez końca między długimi rzędami regałów tylko po to, żeby wziąć jedną rzecz spośród tysiąca innych, niemal identycznych... Właśnie sobie uświadomiła, że Stephen prosił, żeby nie zapomniała o lodzie, a perspektywa wspólnego pieczenia szaszłyków z przyjaciółmi, które czekało ją tego popołudnia, bardzo poprawiła jej humor. Przyjdą Salingerowie, Dayton i Molly, których nie widziała od prawie dwóch lat, a którzy wreszcie wrócili w dawne strony. Pełna nowych sił czując zapach hamburgerów smażących się na grillu i myśląc o spotkaniu z przyjaciółmi z lat szkolnych, poczuła się w doskonałym nastroju.

Josh znów pociągnął ją za spódnicę, najwyraźniej oczekując odpowiedzi. Już miała go obsztorcować, ale zrobił tę swoją minę błagającego malucha.

- Proszę cię, mamo! Obiecuję, że tylko sobie pooglądam; zaczekam tu na ciebie...

Z obu stron szerokiego korytarza przesuwały się powoli rzędy wózków, jak samochody na zatłoczonej w godzinach szczytu autostradzie.

Josh wpatrywał się błagalnie w matkę. „Nie cierpię, kiedy tak na mnie patrzy”, pomyślała Kate.

Nie mając zupełnie ochoty na robienie mu wyrzutów czy awantur, które skończyłyby się tylko tym, że Josh siedłby obok niej nadąsany, Kate wzruszyła ramionami. Pragnęła wrócić już do domu, usiąść w ogródku, pogadać z przyjaciółmi. „Będę mogła szybciej skończyć zakupy, jeśli go tutaj zostawię”, pomyślała.

- Dobrze, możesz tutaj na mnie poczekać, ale uprzedzam cię: masz nie robić głupstw i nigdzie nie odchodzić

od półek z zabawkami. I żeby było jasne: niczego nie kupujemy!

Josh przytaknął zadowolony, nie przejmując się wcale ostatnim ostrzeżeniem, Matka zawsze tak mówiła, co oczywiście nie wykluczało, że może uda mu się coś wyprosić, kiedy wróci z pełnym wózkiem i będzie chciała jak najprędzej znaleźć się w domu. Zrobił już kilka kroków w kierunku

plastikowych figurek, kiedy usłyszał, jak go woła:

- Hej, superchłopczyku! Nie chcesz dać mamie buzi?

Josh zawrócił i z figlarnym grymasem na twarzy szybko pocałował Kate w policzek, po czym odwrócił się i pobiegł do swoich plastikowych bohaterów.

Kate Phillips, młoda, zaledwie dwudziestotrzyletnia matka, patrzyła z uśmiechem na oddalającego się syna.

Nie zobaczyła go już nigdy więcej.

CZEŚĆ PIERWSZA

Stary niedźwiedź mocno śpi,

Stary niedźwiedź mocno śpi.

My się go boimy,

Na palcach chodzimy.

Jak się zbudzi, to nas zje!

dziecięca wyliczanka

PORTLAND W STANIE OREGON,

CZASY WSPÓŁCZESNE

Komputer cichutko szumiał, kiedy na ekranie monitora powoli wyskakiwały kolejne słowa.

<OBERON> Coś ponuro na czacie dziś wieczór. Czuję się samotny. A co u ciebie?

Juliette Lafayette zmarszczyła brwi, patrząc na okienko rozmów komunikatora. Obróciła głowę, żeby sprawdzić, na jakim etapie pracy znajdował się jej drugi komputer, który po przeciwnej stronie dużego, stale zavalonego masą książek biurka z blatami ustawionymi w kształcie litery

„L”, ściągał właśnie nowy program z internetu, a na jego ekranie z matematyczną dyscypliną defilowały dane. Po chwili wróciła do rozmowy z Oberonem.

<ISZTAR> Czuję się tak jak każdego wieczoru. Pusta.

Z zadowoleniem spojrzała na czarne litery swojego pseudonimu, który wyświetlał się automatycznie przy każdej jej odpowiedzi. Isztar - jakie piękne imię; imię bogini! W podobny sposób, nie wiedząc o rozmówcy nic poza tym, co oznajmiał jego identyfikator, setki tysięcy osób używały codziennie internetu, żeby ze sobą pogadać. Na czacie człowiek znaczył tyle, ile jego pseudonim.

Na ekranie znów pojawiła się linijka z tekstem odpowiedzi towarzysza samotności Juliette.

<OBERON> Rozumiem, co czujesz. U mnie to samo. Pustka, ciemność, noc zapada na cały świat.

<ISZTAR> Podoba mi się łatwość, z jaką ludzie wypowiadają się na czacie.

Mogę ci opowiedzieć całe moje życie i nic mnie to nie będzie kosztowało, ponieważ ciebie tu nie ma i nigdy się nie zobaczymy. A to oznacza, że nie będę narażona na ciężar twojego spojrzenia.

<OBERON> Jeśli w ten sposób będziemy spędzać razem nasze samotne wieczory, to w końcu będzie nam siebie brakować.

Juliette łagodnie pokręciła głową.

<ISZTAR> Jeszcze czego! A poza tym - nie jesteśmy zupełnie samotni. Ty jak mi to często mówisz, masz swoją noc, a ja, przypominam ci, mam swoje studia!

<OBERON> Prawda, zapomniałem. Byłaś dziś na zajęciach?

Juliette uśmiechnęła się i jednocześnie przez chwilę zawahała, zanim ponownie uderzyła w klawisze.

<ISZTAR> A to co znowu?! Może jesteś jednym z moich profesorów?

Siedzisz mnie?

Wzięła miseczkę z resztką stygnącego chińskiego makaronu i przyciemniła trochę zbyt intensywne światło w halogenowej lampie. Pokój pogrzył się w relaksującym półmroku. Na zewnątrz, w

ciemnościach nocy, zaszczekał pies sąsiadów.

<OBERON> Nie. Ale się tobą interesuję. Nie mówisz dużo osobie.

Chciałbym cię lepiej poznać.

Juliette kilkakrotnie przeczytała słowa anonimowego rozmówcy, zastanawiając się, jak na nie odpowiedzieć.

<ISZTAR> Już tak długo dzielimy się naszymi myślami, drogi Oberonie, że powinieneś znać mnie lepiej, nie sadzisz?

Podciągnęła niezdarnie nogi i zakłęła, kiedy nawinięta na widelec porcja makaronu spadła na podłogę.

<OBERON> Dokładnie dwa miesiące. Wymieniamy myśli na czacie od dwóch miesięcy, a wszystko, co wiem o tobie, można za-wrzeć w jednym zdaniu: że masz dwadzieścia trzy lata, że lubisz historię i mitologię, stąd pseudonim Isztar - imię bogini miłości i wojny - i że przepadasz za chińskim makaronem. Założę się zresztą, że teraz: też go jesz.

Juliette przestała żuć porcję makaronu. Skąd on mógł to wiedzieć? Czyżby ją w tym momencie obserwował? Walno przełknęła to, co miała w ustach, i postawiła miseczkę na biurku. Serce prawie od razu wróciło do normalnego rytmu. "Jesteś kompletną idiotką? - pomyślała - Skąd on może wiedzieć, co robisz? Wie, co jesz, bo właściwie bez przerwy jadasz to samo! Wciąż mu o tym piszesz i wreszcie to zapamiętał!"

<OBERON> A więc?

Palce Juliette zrećcznie przebiegły po klawiaturze, tak jak to bywa u osób, które całe dni pracują przy komputerze.

<ISZTAR> Zgadłeś! Widzisz, znasz już moje nawyki kulinarne! To bardzo duża. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

<OBERON> Chciałbym wiedzieć, kim jesteś naprawdę, Isztar. Kto kryje się za tym imieniem.

<ISZTAR> Studentka czwartego roku psychologii. Odpowiada ci to?

Odpowiedź tajemniczego Oberona nadeszła natychmiast <OBERON> To dobry początek. Może zagramy w małą grę?

Im więcej opowiesz mi o sobie, tym więcej dowiesz się o mnie. Co ty na to? Przełammy wreszcie lody!

Juliette odstawiła pustą miseczkę. „Szkoda, Oberonie, ale cała ta historia zmierza w kierunku, który zupełnie mi nie odpowiada” - pomyślała.

Szybko zredagowała odpowiedź.

<ISZTAR> Obawiam się, że to niemożliwe, jest już późna mu-szę kończyć.

Dobranoc i może do zobaczenia... na czacie.

Podniosła się, przeciągnęła i już miała wyłączyć kompu-ter, kiedy na ekranie pojawiły się słowa:

<OBERON> Nie nie rozłączaj się! Nie rób tego!

"Przykro mi królu elfów, ale jestem zmęczona" Nacis-nęła przycisk, komputer zaszumił ostatnim podmuchem wentylatora i zamilkł. Drugi komputer tymczasem pobrał już z sieci cały program, którego Juliette potrzebowała, żeby usprawnić jego działanie; również go więc wyłączyła.

Prze-chodząc koło szafy stanęła i popatrzyła na swoje odbicie w dużym lustrze. Zamyśliła się. Wysoka i szczupła sylwet-ka... "Może za szczupła -

pomyślała. - Powinnam się wreszcie porządnie zająć uprawianiem sportu".

Dotknęła poślad-ków, wciąż jeszcze jędrnych mimo setek godzin spędzonych

na krześle przed komputerem lub nad książkami. Przeniosła wzrok na twarz. Duże wargi, nos, określany przez jej matkę jako zadarty, i długie włosy które od dwóch lat farbowała na heban, aby podkreślić błękit oczu. Uważała zresztą, że taki kolor bardziej do niej pasuje. Ciemne włosy idealnie współ-grały z jej niezależnym charakterem. Niezależnym,choć cza-sami trochę zbyt posępnym. Widząc wysoką, zgrabną dziewczynę o hebanowych włosach, większość chłopców nie mogła oderwać wzroku -

patrzyli na nią oczarowani, dopóki nie na-potkali jej spojrzenia. Ile razy czuła, jakie wrażenie na męż-czyznach robią jej błękitne oczy! Najbardziej pewni siebie osobnicy tracili często cały rezon. Nieraz było to aż śmiesz-ne, tak wydawali się zmieszani. W rzeczywistości jednak Ju-liette miała już tego trochę dość. Niewielu mężczyzn ośmie-lało się do niej podejść, wyobrażając sobie, że tak wspaniała dziewczyna na pewno ma już kogoś i jest szczęśliwie zako-chana. Nieliczni, którzy ją zaczepiali, robili to przez próżność i z reguły nie mieli nic do zaoferowania. Juliette była

nieśmiała, dlatego wieczory spędzała sama ze swoimi kom-puterami, a nie na romantycznych randkach, które tak sobie cenią dziewczyny w jej wieku.

Miało to jednak także dobre strony, a przede wszystkim oznaczało sporą swobodę i brak ryzyka. Pseudonimy ludzi, których spotykało się na czacie, często mówiły same za siebie. Można było pogadać, nie narażając się na nic, bo gdy tylko ton rozmowy stawał się nieprzyjemny, wystarczyło się rozłączyć, żeby być niemal pewnym, że z tą osobą nie będzie się już miało więcej do czynienia. Między nią a Oberonem, którego spotkała na jakimś forum dyskusyjnym, nawiązała się swego rodzaju przyjaźń. Zdarzało im się kontaktować wie-czorami, ot tak, na pogaduszki za pośrednictwem komunikatora. Właściwie nic o sobie nie wiedzieli. Internet zapewniał

możliwość bezpiecznego kontaktu. Ale, rzecz jasna, brakowało w tej znajomości odrobiny ludzkiego

ciepła.

Na zewnątrz pies sąsiadów rozszczękał się na dobre.

- Zniknij się, Roosevelt! - krzyknęła Juliette przez otwarte okno sypialni.

„Co to za pomysł, żeby nazwać psa Roosevelt! Ja przy-najmniej nie miałabym problemu z wymyśleniem imienia dla psa, oczywiście jeśli kiedyś zdecydowałabym się przygarnąć jakiegoś czworonoga. Skończę jak stara czarownica, sama w swojej norze!” - pomyślała.

Ta wizja wywołała uśmiech na jej twarzy i Juliette zdecydowała się pójść spać.

Światło w sypialni zgasło pół godziny po północy.

Kilka dni później profesor Thompson prowadził wykład w amfiteatralnej sali, w której okna z głuchym łoskotem uderzały strugi ulewnego deszczu.

Monotonny głos wykładowcy pogrążył większość słuchaczy w swoistym letargu. Juliette Lafayette również słuchała nieuważnie, obserwując rozciągający się za oknem szary pejzaż zalanego deszczem miasta.

Myślami była w Kalifornii, tam, dokąd przed dwoma miesiącami przeprowadzili się jej rodzice. Ted Lafayette awansował i został przeniesiony do San Diego, a jego żona Alice pojechała razem z nim w stronę ciepła i słońca. Nie wiązało się to z żadnymi wyrzeczeniami, bo i tak planowała zmianę pracy; pragnąc, aby jej pogrążona w rutynie kariera nabrała utraconych barw. Juliette wyrosła w Portland - tu mieszkali wszyscy jej przyjaciele, tu był cały jej świat; nie знаła innego - zdecydowała więc, że nie wyjedzie z rodzicami. W pewnym sensie została strażniczką starego domu.

Mieszkanie samej w wielkiej willi nie zawsze było łatwe, ale Juliette do tego stopnia lubiła samotność i niezależność, że często poświęcała dla nich swoje nieliczne związki. Najtrudniejsza była zresztą nie samotność - chociaż zdarzały się noce, kiedy potrafiła przestraszyć się byle czego - ale narzucenie sobie dyscypliny. Wstawać o stałej porze, dbać o dom, a przede wszystkim porządnie się odżywiać. Nie umiała gotować tylko dla siebie; jadła mało i przeważnie to, co akurat miała pod ręką, byle było łatwe do przygotowania.

Mieszkanie samej w wielkiej willi nie zawsze było łatwe, ale Juliette do tego stopnia lubiła samotność i niezależność, że często poświęcała dla nich swoje nieliczne związki. Najtrudniejsza była zresztą nie samotność - chociaż zdarzały się noce, kiedy potrafiła przestraszyć się byle czego - ale narzucenie sobie dyscypliny. Wstawać o stałej porze, dbać o dom, a przede wszystkim porządnie się odżywiać. Nie umiała gotować tylko dla siebie; jadła mało i przeważnie to, co akurat miała pod ręką, byle było łatwe do przygotowania.

- Można tu mówić o trzech fazach syndromu sztokholmskiego...

Głos profesora Thompsona zabrzmiał nagle jak głos ducha.

„Powinnam się skupić, jeśli nie chcę odpaść już na samym początku” -

pomyślała Juliette. mrugając oczami, żeby otrząsnąć się z nachodzących ją myśli. Z korytarza dobiegały wybuchy śmiechu i profesor Thompson przerwał na chwilę, rzucając w kierunku drzwi rozdrażnione spojrzenie

- Pierwsza faza rozpoczyna się w momencie, gdy zakładnik, zaraz po dostaniu się w ręce napastnika, pada ofiarą stresu, w większości wypadków ostrego. Druga faza to uwięzienie i szantaż ze strony napastnika - jest to faza od człowiecząca: zakładnik staje się towarem przetargowym. Przeważnie wtedy następuje zwykle identyfikacja zakładnika z napastnikiem. Zakładnik przewycięża powoli strach

przed śmiercią i zaczyna patrzeć na bandytę coraz przychylniej. Wreszcie faza końcowa, w której pojawia się stres post-traumatyczny albo depresja.

Juliette zaciękała dziwaczność tej postawy Jak to możliwe, żeby osoby schwytane i przetrzymywane w niewoli wbrew własnej woli mogły przychylnie spoglądać na swojego prześladowcę? Kiedy profesor Thompson zaczął mówić

o kobiecie, która zakochała się w swoim porywaczu i w końcu go poślubiła, Juliette nie mogła powstrzymać uśmiechu. „Myślałby kto, że jesteśmy w kinie na hollywoodzkiej komedii. Brakuje tylko Kevina Costnera w roli napastnika i film gotowy! Rzeczywistość często przerasta fikcję” - pomyślała.

Ostatnie dziesięć minut wykładu minęło nadzwyczaj szybko. Po wykładzie Juliette udała się na studencki parking

i wsiadła do maleńkiego volkswagena garbusa. Deszcz przestał padać kilka minut temu. Ruszyła w stronę wschodnich dzielnic miasta, stając po drodze w Seven-Eleven, żeby kupić karton piwa. Jak w każdą środę, także dziś miała odwiedzić swoją najlepszą przyjaciółkę. Juliette i Camelia były zupełnie do siebie niepodobne, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Juliette miała dwadzieścia trzy lata, Camelia - trzydzieści dwa. Juliette lubiła spędzać wieczory w domu; Camelia o tej porze regularnie wychodziła, a poza tym przez pięć lat była mężatką. Wystarczyło jednak, żeby zaczęły rozmawiać - od razu świetnie się rozumiały. Dogadywały się na każdy temat i ich wieczorne spotkania przeciągały się często do późnej nocy.

Garbus zatrzymał się przed odrapanym budynkiem.

Drzwi otworzyła Camelia. Była wysoka i miała długie, jasne włosy, w których naturalne były tylko fale. Na widok przyjaciółki uśmiechnęła się serdecznie.

- Witaj, moja piękności!

- Cześć, zbliża się październik, zimno! - rzuciła jednym tchem Juliette, szybko wchodząc do wnętrza.

- Zaraz rozpalę w kominku. Siadaj, siadaj.

Juliette zmarszczyła brwi, patrząc na opaloną Camelię.

- Myślałam, że przestałaś chodzić do solarium. Sama mówiłaś, że twoja skóra źle to znosi - powiedziała.

- Powiedzmy, że to ostatni raz po lecie. Przygotowałam sałatkę z gęsich żołądków. Uwaga: wielka kuchnia francuska! To na cześć twojego pochodzenia!

- Hm, hm... Już tylko ojciec tak myśli. Chyba się trochę snobuje na swojego francuskiego dziadka. Uważa to za przywilej, coś w rodzaju błękitnej krwi -

odpowiedziała Juliette, stawiając butelki z piwem na stole w kuchni. Gdzieś w domu był włączony telewizor, z którego dobiegały dźwięki wieczornych wiadomości.

- A jak tam rodzice? - zapytała Camelia.

- Dzwonili wczoraj wieczorem. Mamie bardzo się tam podoba, choć trochę trudno przyzwyczać się jej do gorąca. Ojciec dużo pracuje, wraca późno i często ma zajęte weekcudy. Najdziwniejsi są

Kalifornijczycy; mają zupełnie inną mentalność; tak przynajmniej utrzymuje moja matka.

- Nigdy nie byłeś w Kalifornii? - zdziwiła się Camelia, ustawiając talerze na tacy

- Nie; wiesz, że ja i podróże... Nie można powiedzieć, żebym często wyjeżdżała poza Oregon.

Camelia oparła rękę na biodrach i wygięła się zalotnie.

- Kup mi nowy kostium kąpielowy, a zabiorę cię na weekend do Los Angeles, na plażę pełne umięśnionych mężczyzn.

- Pełne umięśnionych mężczyzn, pod koniec września?

- Hej, moja mała! To jest właśnie mentalność kalifornijska, bo prawdziwy Kalifornijczyk nie zwraca uwagi na taki drobiazg, jak pory roku. Poza tym w ogóle cały czas jest „ponad”, jeśli wiesz, co mam na myśli...

Juliette zignorowała tę frywolną uwagę.

- Wiesz, że nic przepadam za plażą... - rzuciła lakonicznie.

Camelia popatrzyła Juliette w oczy.

- Moja droga, kiedyś będziesz musiała wreszcie polubić to, co lubi większość śmiertelników, bo jeśli nie, to zakończysz życie samotna i zapomniana przez wszystkich!

- Nie zamierzam się do niczego przymuszać. Uważam, że to kompletna głupota spędzać cały dzień prawie nago, dusząc się z upału, znosić nachalne spojrzenia facetów cierpiących na brak seksu, i jeszcze ze skórą, która piecze od słonej wody. Może nie idę z duchem czasu, trudno. Przepraszam cię, ale nic na to nie poradzę.

Camelia spojrzała na nią życzliwie i pokręciła głową.

- Rzeczywiście, trudno cię przekonać. Chodź, pomóż mi zanieść to wszystko do pokoju.

Rozstawiły talerze na pięknym stole z blatem z dymnego szkła. Dom Camelii był nie tylko duży, ale również bardzo ładnie umeblowany. Alimenty, które wypłacał jej były mąż, stanowiły dodatek finansowy pozwalający na luksusowe kaprysy.

Zjadły kolację z apetytem i szczerze podlały ją winem, świadomie rezygnując tym razem z piwa. Około dwudziestej drugiej obie były już mocno podchmielone. Usiadły przed telewizorem. Juliette cały czas się śmiała, gdy Camelia złośliwie komentowała głupstwa wygadywane przez bohaterów jakiegoś serialu.

Śmiały się tak i chichotały przez resztę wieczoru, przeskakując z kanału na kanał i nalewając sobie co jakiś czas po kieliszku wina. Camelia, która lubiła powtarzać, że jest produktem złego funkcjonowania społeczeństwa, ponieważ została poczęta przez rodziców podczas wielkiej awarii w

roku, kiedy w całym Nowym Jorku wysiadło światło, wciąż krytykowała współczesną telewizję i jej oglupiający wpływ na ludzi, co wywoływało kolejne wybuchy śmiechu Juliette.

- Od godziny nic nie robisz, tylko wybrzydzasz na telewizję; a jednak ją oglądasz! - zauważyła Juliette.

- Bo trudno mi uwierzyć w to co widzę, i wciąż mam nadzieję, że wreszcie znajdę jakiś inteligentny program! - odparła Camelia i obie znów się roześmiały

Dochodziła północ kiedy Juliette zdecydowała, że czas wracać. Camelia próbowała ją zatrzymać - nie ma sensu prowadzić, jest późno, lepiej, żeby Juliette przespała się w pokoju gościnnym. Juliette nie chciała. Obiecała, że będzie jechać powoli i ostrożnie, mimo że dystans, który miała do pokonania, był śmiesznie krótki - mieszkała niecały kilometr dalej, na stoku wzgórza.

Camelia wyszła na ganek, pomachała przyjaciółce ręką na pożegnanie i wróciła do domu, żeby się położyć. Juliette zeszła po schodkach na ulicę, licząc, że chłodne nocne powietrze pozwoli jej uporządkować myśli. Była lekko wstawiona, ale opary alkoholu ulotniły się na tyle, że czuła się na si-

łach poprowadzić samochód. Świadoma, że idzie za wolno, zrobiła głęboki wdech i wydech, aby nabrać energii. Opar-

ła się dłońmi o poręcz schodków i z zainteresowaniem popatrzyła na domy i ogrody poniżej. Gdzieś w oddali rzeka Willamette przecinała centrum miasta ciemną wstążką. Bardzo przyjemnie było stać tak wysoko nad miastem i podziwiać oświetlone domy oraz wciąż, mimo późnej pory, ruchliwe ulice. Ale z tej odległości wszystko wydawało się Juliette nierzeczywiste, jakby martwe. Portland było po prostu masą anonimowych świateł.

„Co się z tobą dzieje! - przeleciało jej przez głowę. - Już po północy, a ty, zamiast cieszyć się tym ślicznym widokiem, ulegasz takim myślom -

doprawdy, płakać się chce!"

Rezygnując z dalszego podziwiania świetlnego spektaklu, który znała na pamięć, Juliette przeszła na drugą stronę ulicy, minęła zaparkowaną furgonetkę i podeszła do garbusa, szukając kluczyków w kieszeni dzinsów.

Przeszukiwała właśnie obie kieszenie, kiedy zauważyła, że nie ma powietrza w tylnej oponie. Koło osiadło miękko na asfalcie, wyglądając jak zdeptana guma do żucia.

- O cholera! No nie! Tylko nie dziś wieczór!

Oparła się o samochód, zastanawiając się, co robić.

- Coś się stało, proszę pani?

Juliette drgnęła i zaskoczona odwróciła się w stronę z której dobiegł głos.

Znalazła się twarzą w twarz z dwudziestokilkuletnim mężczyzną, który, jakby zdziwiony, cofnął się błyskawicznie, przeprasząc.

- Przykro mi - wymamrotał. - Nie chciałem pani przestraszyć...

Wydawał się tak samo zażenowany jak ona, Juliette machnęła więc ręką na znak, że nic się nie stało.

- To moja wina; łatwo mnie przestraszyć - rzuciła, przykładając dłoń do serca.

- Widzę. Wygląda na to że ma pani problem - odpowiedział mężczyzna, spoglądając na dziurawą oponę.

- Tak, ale to nic, mieszkam niedaleko - odpowiedziała Juliette.

- Może panią podwieźć? Mam tu samochód - wskazał dużą furgonetkę stojącą kilka metrów dalej.

Spojrzenie mężczyzny uciekało na boki. Nie patrzył Juliette w oczy, tylko nerwowo rozglądał się wokoło. Wyglądał banalnie - ciemne, niezbyt długie włosy, dość solidnie zbudowany, było jednak w jego sylwetce coś, co do niego nie pasowało. Juliette poczuła się nieswojo.

- Och nie, dziękuję. To miłe z pana strony, ale naprawdę mieszkam kilka kroków stąd.

- Zapewniam panią, że to mi nie sprawi kłopotu - uśmiechnął się mężczyzna.

„To jakiś podrywacz - pomyślała Juliette. - Niespecjalnie przystojny, ale wie, jak być miłym”.

Przez moment przeleciało jej przez głowę, że może to spotkanie mogłoby być początkiem pięknej historii - takiej, do jakiej wracają myślami niektóre starsze pary. Ale teraz czuła się raczej zażenowana obecnością tego człowieka. Jego uśmiech nie był szczery: skrywał coś dziwnego, niemożliwe-go do określenia.

„To oczy Jego oczy nie mówią tego samego co usta” -pomyślała.

Rzeczywiście, oczy mężczyzny błyszczały jakimś zimnym światłem. Twarz chciała być przyjazna; robił wszystko, co mógł, żeby sprawiać takie wrażenie, ale wzrok miał martwy, jak oczy zdechłej ryby.

- A więc? - naciskał.

- Wolę się przejść, to mi dobrze zrobi; ale bardzo dziękuję - odrzekła Juliette, rzucając mężczyźnie krótki uśmiech. - Dobranoc panu!

Przeszła kilka kroków, kiedy usłyszała za plecami odgłos, jakby ktoś potrząsał shakerem do mieszania drinków.

Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, na jej twarz opadła mgła z waty

W gardle poczuła płomienie.

Starła się uwolnić, ale uścisk był zbyt silny.

Jej umysł zalał strumień niezrozumiałych obrazów.

W płucach okrutnie paliło.

Po kilku sekundach zapadła w noc.

W korytarzu panował półmrok. Gdzieś z piwnicy dobiegał odgłos kapiącej wody. Ale zdecydowanie najgorsze były ciemności - nie było widać dalej niż na dwa metry. I nagle to coś wyskoczyło jak diabeł z pudełka. Wielkie, obrzydliwe i niewiarygodnie szybkie monstrum obcięło głowę mężczyźnie, który patrzył na to jak sparaliżowany, zanim w ogóle zdążył wyciągnąć broń.

- Cholera! - wykrzyknął Joshua Brolin i zerwał się z fotela, żeby wyłączyć konsolę. Znajdował się na piątym piętrze Komendy Głównej Policji w Portland, w swoim biurze, bardzo jasnym dzięki ogromnym oknom oraz, co naprawdę rzadkie w budynkach policyjnych, niezwykle przestronnym.

Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich mężczyzna w mundurze. Dobrze zbudowany, o siwiejących włosach

i oczach z ciemnymi obwódkami, Larry Salhindro był w wi-sielczym humorze.

- Już dwa lata jesteś inspektorem, a na drzwiach nadal nie ma wizytówki -

powiedział, wchodząc tak swobodnie, jakby to było jego własne biuro.

Na widok przenośnego telewizora i konsoli do gier wideo dorzucił:

- Wciąż nie możesz skończyć z tą dziecinadą, Josh?

- Wierz mi, staram się, ale to gorsze od papierosów? Tylko dzięki temu mogę nie myśleć o pracy. To mój osobisty od-stresowywacz.

- Ładny mi odstresowywacz. Spójrz, to jest raport lekarza sądowego dotyczący naszej ślicznej panienki, którą wyłowiono przedwczoraj rano -

rzekł Salhindro, kładąc teczkę

z dokumentami na zabałaganionym stole. — Badania mikroskopowe wykonano wczoraj, ale nie mieli czasu wszystkie-go opisać; pozostałe wyniki przyślą w ciągu dnia.

Usiadł, rozluźniając szeroki pasek uciskający jego wydatny brzuch. Larry Salhindro miał pięćdziesiątkę na karku, ale był za ciężki jak na swój wiek.

Pracował w policji portlandzkiej od dwudziestu siedmiu lat co oznaczało długie lata patroli i opychania się słodyczami, żeby wytrzymać związany z tym wysiłek fizyczny.

Brohn podniósł ze stołu teczkę z dokumentami i nasunął na nos wyjęte z futerału okulary. Mimo opadających na czoło kosmyków ciemnych włosów, wielkich orzechowych oczu, ust, które naturalnie układały się do uśmiechu, i szerokiego, kwadratowego podbródka - gdy założył szkła, zaczął wyglądać nad wyraz poważnie. Nie skończył jeszcze trzydziestu jeden lat i był

najmłodszym inspektorem wydziału docho-dzeniowo-śledczego. Często zarzucano mu, że wygląda bardziej jak gwiazda amerykańskiego futbolu -

quarterback, kapitan drużyny; stąd zresztą wzięło się jego przezwisko: QB -

niż inspektor pracujący w terenie. Próbowano dać mu tym do zrozumienia, że nie powinien się zbyt głęboko zastanawiać, w jaki sposób wylądował na swoim stanowisku.

Joshua Brolin przebył bowiem inną drogę zawodową niż większość stróżów prawa - to znaczy przeszedł z FBI do policji, a nie odwrotnie. Po zdobyciu dyplomu z psychologii czuł, że ma prawdziwy talent do rozwiązywania problemów dewiacyjnych, wymarzył więc sobie pracę w FBI, w Wydziale Nauk Behawioralnych (WNB), gdzie mógłby się całkowicie poświęcić różnym sprawom dochodzeniowym. Najpierw jednak musiał przejść serię testów, żeby dostać się do akademii FBI w Quantico. Później nastąpił nudny etap szkoleniowy. Konkursowe egzaminy wstępne zdał bardzo dobrze, plasując się między najlepszymi, dzięki czemu poznał członków WNB i nawiązał z nimi bliższą znajomość. Oprócz tego wielki entuzjazm, z jakim zgłębiał różne działy kryminologii, i bardzo dobre oceny pozwoliły mu szybko otrzymać wyjątkowy przywilej uczestniczenia w szkoleniach tego wydziału. Tam również się wyróżnił, tym razem umiejętnością wyko-rzystania w terenie zdobytych informacji i zdolnością określenia dokładnego profilu psychologicznego przestępcy.

Jednak w tym momencie sprawy zaczęły przybierać niedobry obrót. Brolin dobrze wiedział, że samo szkolenie nie wystarczy, aby zostać ekspertem profilującym w WNB. Żeby w ogóle móc zabiegać o to stanowisko, trzeba było przepraco-wać najpierw kilka lat w innym wydziale. Tylko doświadczenie w pracy w terenie mogło dać policjantowi umiejętności, jakich wymagano od dobrego eksperta profilującego. Tymczasem Brolin naiwnie sądził, że piątki uzyskane na większości egzaminów i dobre kontakty, które nawiązał z wieloma wysokimi rangą pracownikami WNB, pozwolą mu się tam zaczepić przynajmniej jako stażysta. Nic takiego nie nastąpiło. Miał

zostać przyjęty do FBI dopiero po dwóch latach wdrażania do pracy i praktyki kryminalnej.

Z pozoru zimne i nieprzejednane, WNB było w gruncie rzeczy wielką rodziną, której członkowie zawsze mogli liczyć na życzliwą radę i pomoc pozostałych pracowników. Wynikało to głównie z tego, że wszyscy zajmowali się sprawami o niewyobrażalnym stopniu okrucieństwa i codziennie byli narażeni na oglądanie straszliwych okaleczeń czy rezultatów odrażających zachowań seksualnych. Wspomagali się, ponieważ nie mieli wyboru. Wielu oficerów po kilku latach pracy w WNB prosiło o przeniesienie do innego wydziału -tutaj nikt długo nie zagrzewał miejsca, jeśli chciał zachować równowagę psychiczną umożliwiającą normalne życie. W społeczeństwie Codziennosc oficera tej służby polegała na analizie najgorszych zbrodni popełnionych w Ameryce, korzystaniu przy tym z fotografii, a nawet filmów i raportów lekarza sądowego czy policji. W rzeczywistości było to więc stałe nurzanie się w najczarniejszych głębinach ludzkiej duszy.

Co ciekawe, nie przeszkadzało to wcale Brolinowi podczas wielu godzin szkolenia w tym wydziale. Udawało mu się bez problemu wejść w koszmarnie realia zbrodni, nasiąknąć jej atmosferą, odtworzyć osobowość mordercy, a później wrócić z tego ponurego świata i stać się znowu Joshuą Brolinem.

Któregoś wieczoru, po długim dniu wypełnionym zajęciami, Robert Douglas, dyrektor WNB, oznajmił, że właśnie z powodu tej umiejętności oddzielenia pracy od życia prywatnego widzi w Brolinie urodzonego eksperta profilującego. Osobie, która stara się określić charakter mordercy, największą trudność sprawia dostrojenie własnej psychiki do umysłu przestępcy. Ekspert musi dogłębnie zrozumieć zachowanie zbrodniarza; musi poczuć to samo, co tamten, gdyż tylko w taki sposób zdoła go osaczyć, będzie w stanie przewidzieć, co przestępca zamierza uczynić. Praca eksperta profilującego to zobowiązanie długofalowe - człowiek, który oddaje się temu zajęciu, żyje swoim śledztwem i wciąż myśli o ofiarach zbrodni. Dzień i noc koncentruje się na wszystkim, co uczyniono ofierze, tak długo, aż poczuje, że „ma”, że „złapał” portret psychologiczny zabójcy. I później „staje się” zabójcą.

A przynajmniej rozumie jego czyny, a zwłaszcza motywy, jakie kierują tym człowiekiem; jego wizje i pragnienia pchające go w określonym momencie do złego. Dopiero wtedy można przygotować portret psychologiczny mordercy, wiadomo już bowiem, kim on jest - ekspert profilujący zrozumiał

jego potrzeby i może przewidzieć, jak bardzo zbrodniarz będzie jeszcze niebezpieczny.

Według Douglasa, siła charakteru Brolina pozwalała mu robić to wszystko i wychodzić bez uszczerbku na psychice, co jest najważniejszą cechą dobrego eksperta profilującego go. W rzeczywistości Brolin był zdolny do empatii, a nie do zwykłego zrozumienia. Na tym polegała jego siła. Nie starał się dociec, czemu taki był. Po prostu taką miał naturę. Nie zależało mu również na tym, żeby tę swoją zdolność poznać i przeanalizować. Nie to go interesowało -

interesował go zbrodniarz. Chciał zatrzymać złoczyńcę, zanim ten popełni kolejną zbrodnię. Zresztą w Quantico, na korytarzach jednostek mieszczących się obok Wydziału Nauk Behawioralnych, często przebąkiwano, że gdyby dzieciństwo wszystkich pracujących dla FBI ekspertów profilujących potoczyło się trochę inaczej, zdjęcia ich twarzy byłyby teraz przypięte pinezkami do ścian obok portretów najgroźniejszych seryjnych morderców w kraju.

Zrozumieć poszlaki, odnaleźć dowody, ustalić portret psychologiczny i swoim działaniem wydatnie pomóc w osaczeniu zabójcy - takie były podstawowe motywy, które skłoniły Brolina do podjęcia pracy w FBI. Miał

skończone dwadzieścia osiem lat, gdy otrzymał identyfikator i gdy Robert Douglas wezwał go do swojego gabinetu.

- Wiem, że teraz, kiedy jesteś już pełnoprawnym pracownikiem naszej firmy, chciałbyś pracować w mojej jednostce - rzekł. - Będziesz musiał

jednak poczekać. Jak już ci mówiłem, z pewnością będziesz doskonałym ekspertem profilującym, ale...

- Ale? - powtórzył Brolin, czując w ustach gorzki smak zawiedzionych nadziei.

- Ale nie zamierzam robić wyjątków. Intuicja musi być wspomagana doświadczeniem z prawdziwego życia, z prawdziwych spraw kryminalnych, dlatego - szanując i doceniając twoją doskonałą

znajomość teorii - chcę, żebyś wzbogacił ją wiedzą praktyczną. To kwestia czterech, pięciu lat; najwyżej sześciu. Niewiele od ciebie wymagam; pragnę tylko, abyś w tym czasie nabył doświadczenia zwykłego policjanta. Wierz mi, niektórych rzeczy możesz nauczyć się tylko tam, w dżungli miejskiej. Później przyjdiesz do nas; miejsce czeka.

Na widok nadąsanej miny Brolina dodał:

- A co ty sobie wyobrażałeś?! Być może jesteś przeznaczony do tej pracy, ale nie wezmę agenta, który może nawalić przy pierwszej prawdziwej robocie, bo brakuje mu doświadczenia i wymaganej dojrzałości! Czy przyjrzałeś się ludziom, którzy u nas pracują? Każdy z nich jest po trzydziestce. Załatwię ci odpowiednie stanowisko w policji, a za kilka lat będziesz członkiem naszej ekipy.

Brolin wiedział, że Douglas stara się być miły, ale prawda była bardzo prosta: WNB zawdzięczało swoją doskonałą reputację sukcesom w pracy dochodzeniowej, a żeby tej reputacji nie stracić z powodu głupstwa, angażowało tylko tych oficerów policji, którzy wielokrotnie się sprawdzili.

WNB nie miało zamiaru ryzykować.

Kilka dni później Brolinowi przydzielono stanowisko w oddziale FBI w Bostonie. Wielu kolegów z jego rocznika w akademii zazdrościło mu tego przydziału, ale dla Brolina oznaczało to jeszcze sześć lat z dala od tego, co było jego pasją już od ośmiu. Nie mógł się z tym pogodzić.

Podczas szkolenia zaprzyjaźnił się z ekspertem profilującym, który wykładał

psychiatrię kryminalną, Johnem Risselem. Rissel miał do Brolina stosunek bardzo przyjacielski i zawsze był gotów przyjść mu z pomocą. To właściwie on przyczynił się do tego, że Josh zdecydował się odejść z FBI. Rissel również uważał, że Brolin ma prawdziwy talent do odkrywania charakterów zbrodniarzy i że powinien być cierpliwy. Jednak gdy zobaczył, jak uparty jest młody agent, skapitulował i doradził mu, żeby podał się do dymisji i zaciągnął się do pracy w policji, gdzie ludzie tacy jak on są bardzo potrzebni.

Prawdopodobnie wysłaliby go od razu w teren, żeby pokazał, co potrafi; a jeśli jeszcze znalazłby oddział w niezbyt dużym mieście, od razu zostałby włączony do ekipy zajmującej się sprawami kryminalnymi i wcześniej zająłby się profilowaniem, niż gdyby pozostał w FBI. Rissel szybko się zorientował, jakim człowiekiem jest Brolin, i że w pracy potrzebuje stabilizacji, która pozwoliłaby mu wykorzystać tę uporczywą manię ciągłego rozpracowywania otaczającego go środowiska. Zamiast trwać na stanowisku agenta specjalnego FBI, którego co pewien czas wysyłają w różne miejsca, Josh powinien osiedlić się w jakimś dużym mieście. Jeśli nie czuje się na siłach wytrwać kilka lat tutaj, lepiej, żeby poszedł pracować tam, gdzie bardziej się przyda i gdzie będzie mógł się rozwinąć twierdził Rissel.

Tak więc z dyplomem z psychologii i stażem kryminalistycznym w FBI Brolin wrócił do Portland, swojego rodzinnego miasta, gdzie po zaledwie sześciu miesiącach pracy otrzymał stanowisko inspektora. Przez jedenaście kolejnych miesięcy podrzucano mu sprawy beznadziejne i kontrower-

syjne, ponieważ jednak umiał niezwykle precyzyjnie określić naturę zbrodniarza, zwierzchnicy

szybko go docenili i zaczęli mu powierzać także bardziej interesujące śledztwa.

Od tej pory Josh bardzo uważał, żeby nie wspominać o swojej przeszłości w FBI, która co prawda wiele mu dała zawodowo, ale którą uważał za największą osobistą klęskę w życiu.

W takim mieście jak Portland sam fakt, że się było „federalnym”, wystarczał, aby narazić na szwank swoją reputację. Dla większości policjantów stanowiło to po prostu dowód niezwyklej zarozumiałości.

Koledzy z pracy widzieli w Brolinie młodego, drapieżnego karierowicza, co było bardzo dalekie od prawdy, ale żeby to sobie uświadomić, należało się do niego zbliżyć, czego - poza Salhindrem - niewielu tak naprawdę spróbowało.

- Laboratorium jeszcze jej nie zidentyfikowało, co? - za-pytał Brolin, nie podnosząc głowy znad biurka.

- Skąd! Biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdowała, nic będzie to takie proste. Jest cała zniekształcona przez te gazy, a skórę ma koloru...

Mimo że był blisko o dwadzieścia lat młodszy, Brolin uci-szył kolegę gestem ręki.

- Larry, byłem przy tym, jak ją znaleźli. Jaka jest więc przyczyna śmierci?

- Uduszenie.

- Chcesz powiedzieć: utopienie - poprawił go Brolin.

- Nie, chcę powiedzieć, że zmarła, bo nie była w stanie nabrać do płuc wystarczającej ilości powietrza. Udusiły ją pijawki.

Teraz Brolin podniósł głowę i popatrzył na Salhindra znad opuszczonych okularów.

- Co?

- Wiem, że to dziwne, ale tak jest napisane. Salhindro wziął teczkę z dokumentami i zaczął przewracać kartki i fotografie, aż natrafił na to, czego szukał.

- Przeczytam ci: ...niewyjaśniona obecność sześciu pijawek w przewodzie oddechowym pociągnęła za sobą przeciążenie prawej komory i następnie zatrzymanie akcji serca. Sześć obcych ciał znaleziono w różnych miejscach: w przełyku, na ścianach gardła, na chrząstce nagłośni. Znalezione obiekty przekazano hodowcy pijawek w celu uzyskania bardziej precyzyjnych wyjaśnień. Rany - które w wyniku badań anatomopatologicznych określono jako zadane tntem - ust, zębów i języka świadczą, że ciała obce wprowadzono do przełyku ofiary przed jej śmiercią. Prawdopodobnie pijawki zeszyły do krtani w poszukiwaniu krwi. Mimo że stan rozkładu ciała uniemożliwia odczytanie wszystkich śladów, łatwo można zauważyć krwiaki, sińce i inne znaki na skórze i błonie śluzowej, które świadczą jasno o tym, że ofiara się broniła. Siady zewnętrzne i wewnętrzne na szczęce i różne inne rany w ustach pozwalają przypuszczać, że zbrodniarz siłą zmusił

ofiara do ich otwarcia, żeby włożyć do nich pijawki. Dalsze badania anatomopatologiczne wyjaśnią przyczyny obecności wody w płucach oraz pozwolą dokładniej określić, czy ofiara została również utopiona, czy też jest to woda, która dostała się do płuc wyłącznie post mortem, kiedy ofiara leżała w rzece. Te cholerne pijawki opłyły się krwią, napęczniały i w końcu nie pozwoliły jej oddychać, stąd uduszenie. Masz - wszystko jest tutaj, w tym sprawozdaniu.

Teczka z dokumentami z głośnym plaśnięciem spadła na biurko.

- Zgoda, mamy do czynienia z szaleńcem, któremu sprawia przyjemność faszerowanie ludzi pijawkami. Ale ja chcę wiedzieć, czy zrobił to na pewno ten facet, którego szukamy! - rzucił Brolin, poirytowany - Co z tym śladem na czole? Mamy coś nowego?

Salhindro usiadł naprzeciwko młodego inspektora i złożył ręce jak do modlitwy, obserwując niebo za oknem.

- Właśnie, właśnie - odrzekł. - Posłuchaj, to cię zainteresuje.

Dwa dni wcześniej Brolin został wezwany nad brzeg rzeki Tualatin, z której wyłowiono zwłoki młodej kobiety. Obecny na miejscu lekarz sądowy od razu zauważył dziwne znamię na czole. Gazy tworzące się w procesie rozkładu ciała i długotrwały pobyt w wodzie nie pozwalały precyzyjnie ocenić sytuacji, ale inspektor obecny przy wydobyciu zwłok natychmiast wezwał Joshuę Brolina.

W ciągu dwóch ostatnich miesięcy odnaleziono w podobnych okolicznościach jeszcze dwa inne ciała okrutnie okaleczonych kobiet.

Pierwsza ofiara miała dwadzieścia dwa lata, była kelnerką i wracała do domu po pracy, kiedy ją porwano. Znaleźli ją przypadkowo rybacy w jednym z okolicznych stawów. Zwłoki kobiety unosiły się na plecach na powierzchni wody. Obcięto jej ręce na wysokości przedramienia.

Żywej.

To znaczy, ofiara była jeszcze żywa, kiedy jej to zrobiono. Z niewiadomej przyczyny kobiecie przypalono również czoło, w wyniku czego widniał na nim duży znak w formie gwiazdy. Rana, choć niegłęboka, poczyniła duże spustoszenia, a czoło wyglądało jak krater wulkanu. Zły stan zwłok nie pozwolił jednak określić z dostateczną pewnością, jak rana ta powstała.

„Prawdopodobnie kwas” - to było wszystko, co napisał w raporcie lekarz sądowy. Zwłoki zbyt długo leżały w wodzie, żeby można było powiedzieć coś więcej.

Drugą ofiarą była dwudziestotrzyletnia studentka sztuk plastycznych.

Porwano ją z parkingu klubu nocnego, a znaleziono nad Tualatin.

Zamordowana kobieta również nie miała rąk i podobnie jak poprzedniej ofierze wypalono jej na czole znak gwiazdy. Tym razem rana była głębsza, objęła znaczną część twarzy. W obu wypadkach ciała były dotkliwie okaleczone. Nie można było wykluczyć molestowania seksualnego, choć długotrwałe przebywanie zwłok w wodzie uniemożliwiło jednoznaczną diagnozę. Śmierć

spowodowały wielokrotne urazy i wynikłe z nich krwotoki.

Było oczywiste, że seria morderstw na tym się nie skończy. Determinacja, z jaką działał morderca, i okrucieństwo, którego wymagało obcinanie rąk i następnie pozbawienie życia obu kobiet, pozwalały przypuszczać, że ma się do czynienia z niebezpiecznym psychopata, czyhającym już na kolejną ofiarę.

Brolin pracował nad podobnymi sprawami w FBI, umiał również przygotować portret psychologiczny, opierając się na elementach śledztwa, a poza tym nikt w policji w Port

land nie znał się lepiej od niego na seryjnych mordercach. Detektyw Ashley, obecny przy wyłowieniu dwa dni wcześniej zwłok młodej kobiety z raną na czole, mimo że ofiara nie miała obciętych rąk, natychmiast wezwał Brolina, które mu oficjalnie powierzono śledztwa

Przy seryjnych mordercach zawsze znajdzie się ktoś, kto wymyśli dla nich chwytliwe medialnie przezwiska. Tym razem dowcipnisiem był jeden z kolegów Brolina. Biorąc pod uwagę okaleczenia i rodzaj tortur, w których lubował się morderca, osobnika nazwano „Katem z Portland”. Informacja przedostała się jakoś na zewnątrz i wkrótce zaczęła tak o nim pisać cała prasa.

Teraz Brolin czekał na potwierdzenie tego, co sam przeczuwał już od dawna, a mianowicie, że rana na czole kobiety została wypalona kwasem.

- To taka sama rana jak w wypadku dwóch poprzednich ofiar - powiedział

Salhindro. - Sekcja zwłok wykazała, że

morderca równie zaciekle oblewał górną część twarzy substancją żrącą. I tak samo, długotrwałe przebywanie ciała w wodzie uniemożliwia dokładne określenie, co to za produkt, ale najprawdopodobniej jakiś kwas. Tak więc znowu natrafiamy na rodzaj rytuału.

W przeciwieństwie do swojego kolegi po fachu i przyjaciela, Josha Brolina, Larry Salhindro nigdy nie przechodził szkolenia dla ekspertów profilujących w Quantico. Jednak lata spędzone na współpracy z psychologami policyjnymi, przesłuchaniach zbrodniarzy i czytaniu raportów nauczyły go dość, żeby mógł mieć własne zdanie na temat prowadzonych spraw o morderstwo.

Brolin kiwnął potakująco głową.

- Tak, tak; to zrobił nasz człowiek - powiedział powoli i bardzo cicho. -

Sposób działania jest tutaj trochę inny, ale to on; to jego podpis. Potrzeba zadawania cierpienia, jego eskalacji... Coraz mocniej krzywdzić. I wypalać kwasem czoła ofiar - dorzucił jeszcze ciszej.

Westchnął, jakby przygnieciony ogromnym ciężarem, i zdjął okulary. Z

pewnością wszystkie te linie gdzieś się krzyżowały. Dlaczego morderca uciął

ręce dwóm pierwszym ofiarom, a trzeciej nie? A ten kwas na czole?

Brolin potarł skronie, koncentrując się na osobie mordercy. Postarał się wejść w jego psychikę, a kiedy mu się to udało, zaczął

sprawnie analizować poznane fakty. „Nic w działaniu mordercy nie jest dziełem przypadku -myślał. - Najtrudniej będzie jednak stwierdzić, jaką rolę w jego rojeniach odgrywa obcinanie rąk. Może jest fetyszy-stą i to stanowi rodzaj trofeum. Ale dlaczego właśnie ręce? I jak dobiera ofiary -

przypadkowo, czy też kieruje się precyzyjnymi kryteriami?"

Wszystkie ofiary były młodymi kobietami z grupy tak zwanego niskiego ryzyka. Były sprawne i wysportowane, a więc umiały się bronić; nie bywały też w miejscach podejrzanych ani nie kontaktowały się z podejrzаныmi osobami.

Morderca, porywając je, wykazał duże zuchwalstwo. Stawiał poprzeczkę wysoko. Może był to rodzaj wyzwania? Podczas każdego ataku mogli nagle pojawić się świadkowie; ofiara mogła zacząć się bronić i zaalarmować przypadkowych przechodniów. Nic takiego się jednak nie stało - wszystko odbyło się prędko i bez zwracania uwagi.

Mieli do czynienia z osobnikiem przebiegłym, z zabójcą dobrze zorganizowanym i z sadystą.

Brolin łatwo mógł go sobie wyobrazić, jak rozmawia z ofiarami, terroryzuje je i wreszcie - bez pośpiechu - gwałci. „Może jest nawet przystojnym mężczyzną, z charyzmą; takim jak Ted Bundy... - puścił wodze fantazji. - Ale kiedy bierze w nim górę morderczy popęd, staje się spragnionym dominacji monstrem, zdolnym do wszelkich okropności, byle zapanować nad drugą osobą. Cały proces zaczyna się dość łagodnie - ot, pojawia się dręcząca ochota na seks. I później na ulicy albo w telewizji mężczyzna spostrzega jakąś młodą kobietę. Kobieta ta wzbudza w nim agresję i wprowadza go w stan podniecenia, zachęcając do rozpoczęcia polowania.

Być może morderca nie od razu znajduje potencjalną ofiarę; osobę, która go odurzy; poszukiwania mogą więc trwać kilka dni. Czasami pożądanie wyparuje i mężczyzna wraca do spokojniejszego życia, ale zdarza się również, że napędzana widokiem tych wszystkich niedostępnych kobiet chęć nie znika, ale jeszcze wzrasta. W mordercy rodzi się frustracją i rośnie nienawiść. Zapłacą mu za to! On im pokaże! Kim on jest dla kobiet spotykanych na ulicy, oglądanych w pismach i w telewizji? Nikim! Nie może z nimi zrobić tego wszystkiego, co by chciał. Im dłużej trwa w oczekiwaniu, tym bardziej ich nienawidzi. I nagle nadarza się okazja. Kobieta, którą od pewnego czasu obserwował, znajduje się w korzystnym dla niego miejscu.

Może zresztą pilnował tego miejsca, a nie kobiety? Dość, że podniecony do granic możliwości, czuje, że oto szczęście się do niego uśmiechnęło, wystarczy ją schwycić... i będzie jego. Porywa więc tę kobietę i zabiera gdzieś daleko, żeby mieć spokój. Zapewne ma bezpieczne schronienie, w którym dokonuje tych wszystkich okropności. Na początku bawi się sterroryzowaną ofiarą, powstrzymuje dręczącą go nienawiść. Straszy ją w różny sposób i upija się paniką, którą wzbudza, kiedy ją gwałci. Może się nawet wówczas śmieje; może ją bije. Narastająca w nim przez długi czas nienawiść wybucha i osobnik wchodzi w fazę ekstremalnej przemocy. Pada cios za ciosem - to są te wszystkie znaki, które widać na ciele. Kobieta umiera.

Morderca popada w tak upragnioną ekstazę".

- Dobra, wracam do siebie, zanim dorwie mnie Chamber lin - rzekł

Salhindro, wstając.

Wyrwany gwałtownie z rozmyślań Brolin kiwnął głową w roztargnieniu.

- Będę cię informował na bieżąco. Salhindro poprawił szeroki pasek i wyszedł.

Brolin został sam. Przez chwilę obserwował widoczne z okna budynki centrum, po czym otworzył raport z sekcji.

Juliette z trudem przełknęła ślinę. Bolało ją gardło i głowa. Ocknęła się kilka minut wcześniej, powoli odzyskując przytomność. Ogarnęła ją panika.

Najpierw zaczęła dygotać ze strachu, a z oczu popłynęły jej łzy, ale po pewnym czasie, stopniowo uświadamiając sobie, gdzie i w jakim stanie się znajduje, usłyszała wewnętrzny głos, który nakazał jej spokój. Nie mogła nic zrobić. Solidne, wpijające się w skórę więzy krępowały jej dłonie z tyłu na plecach i kostki nóg. Przynajmniej napastnik nie zamierzał jej zabić, bo już by to uczynił. Na co miałby jednak czekać? Ale wewnętrzny głos mówił jej także, żeby nie miała specjalnych złudzeń i lepiej szybko zaczęła myśleć o czymś innym. Niestety, łatwiej było

to powiedzieć niż zrobić. Rozciągnięta na zimnej i wilgotnej podłodze, unieruchomiona grubym sznurem, w niemal zupełnych ciemnościach, czuła, że zaraz zwariuje.

Obróciła głowę, żeby ponownie popatrzeć na to, co ją otaczało i sprawdzić, czy czegoś nie przegapiła. Bursztynowe światło rzucało na ściany groźne cienie. Pomieszczenie było małe, nie miało więcej niż trzy metry na cztery. Podłogę stanowiło klepisko, miejscami nierówne, jakby wydrapane ja-kimś nieprzystosowanym do takich robót narzędziem.

„Wygląda to tak, jakby ktoś starał się nogami wykopać tu dziurę! -

pomyślała Juliette. - Boże, spraw, żeby to nie było to!"

Jednak obraz tej drugiej uwięzionej kobiety nie zniknął. Juliette wyobraziła sobie, jak drżący ze strachu kształt szarpiąc się gorączkowo, próbuje wydrapać nogami dziurę pod drewnianą ścianą... Gwałtownie potrząsnęła głową, żeby pozbyć się tej wizji, i natychmiast świat wokół niej zaczął wirować w powracających oparach chloroformu. Jeden, drugi głęboki oddech; musi odzyskać spokój i... Boże, spraw, żeby mniej bolało.

„Zajmij się raczej badaniem swojej sytuacji. Zrób coś, obejrzyj wszystko, co możesz dostrzec" - powtarzał wewnętrzny głos.

Ściany pomieszczenia były czarne i zbudowane z okrągłaków, które ułożono jeden na drugim jak w górskiej chacie czy chłopskiej chałupie. Nie było żadnego mebla, a jedyne źródło słabego światła stanowiła mała świeczka ustawiona w kącie.

Juliette zadrzała. Wokół panował chłód. Nie miała pojęcia, która jest godzina; straciła poczucie czasu. Czy w ogóle była jeszcze noc? Pewnie tak, przez szpary w drewnianej ścianie nie przechodził nawet jeden promyk światła. Nagle Juliette przyszło do głowy coś bardziej niepokojącego.

Przeturlała się, żeby dokładniej przyjrzeć się ścianom i sprawdzić, czy, nie daj Bóg, ma rację. Miała! Zdławił ją strach.

W pomieszczeniu nie było drzwi. Ani drzwi, ani żadnego innego otworu; nigdzie. Było to miejsce hermetycznie zamknięte, jak jakaś wielka trumna.

„Nie krzyczeć; przede wszystkim nie krzyczeć” - powiedziała do siebie, ale jej z trudem zachowywane opanowanie balansowało na granicy hysterii. Jeśli napastnik nie zadał sobie nawet trudu, żeby ją zakneblować, to znaczy, że nie bał się jej krzyków. Na pewno znajdowała się gdzieś na pustkowiu, bo gdyby było inaczej, to nie tylko związałby jej ręce, ale postarałby się także zatkać usta. Zaczęła szybciej oddychać. Nie wolno ulec panice! Kilka godzin wcześniej siedziała spokojnie u Camellii, wesoło popijając wino, a oto teraz, zamknięta gdzieś na pustkowiu, znalazła się na łasce jakiegoś obcego faceta.

Zaczęła w niej wzbierać rozpacz.

Nikt nie ma pojęcia, gdzie ona jest; nawet ona sama. Jak się tu znalazła?

Dlaczego się nie broniła? Jedyne, co pamię-

tała, to że beztrudno szła, a sekundę później coś ją zaczęło dusić i obudziła się uwięziona. Nagle całe jej życie zmieniło się w koszmar. Bez żadnego powodu ktoś wyrwał ją z jej rzeczywistości i wrzucił do tej trumny. Teraz do strachu dołączyła pretensja - bo przecież każdemu może się to zdarzyć, każdy jest zagrożony. Wychodzi się spokojnie z pracy i wystarczy zupełnie nieświadomie natknąć się na jakiegoś wariata, żeby nagle znaleźć się w piekle.

Juliette poczuła, jak grymas żalu rysuje się na jej twarzy, a oczy napęcznieją się łzami. Zaczęła szlochać.

Po chwili zawyla w nagłym napadzie wściekłości i, szarpnąwszy związanym ciałem, usiadła. Gdy uczucie złości i żalu trochę osłabło, rozejrzała się uważnie wokół siebie. Trzy metry dalej, po swojej prawej stronie, w miejscu, gdzie ściana stykała się z podłogą, zobaczyła otwór w ziemi. Powstrzymała szloch i zaczęła czołgać się ku zagłębieniu. Światło świeczki właściwie tam nie dochodziło; musiała się położyć i schylić głowę, żeby przyjrzeć się dziurze. Była niewie-

le większa od piłki do koszykówki i zachodziła pod ścianę jak otwór wentylacyjny albo wąskie przejście. Drgnęła, gdy zauważyła na klepisku długie, równoległe linie. Starła się nie myśleć o kobiecie w panice drapiącej ziemię i o jej po-odrywanych paznokciach.

Może gdyby udało się jej wcisnąć w ten otwór głowę, zobaczyłaby, co znajduje się na zewnątrz? Przynajmniej wiedziałaby, gdzie jest, co ją otacza.

Co prawda z rękami skrępowanymi na plecach i z nogami związanymi w kostkach wydawało się to ryzykowne, bo gdyby się poślizgnęła lub gdyby się okazało, że nie ma się o co oprzeć, żeby się wycofać, jej głowa utknęłaby w tej dziurze aż po ramiona. No, ale warto spróbować.

Juliette ruchem gąsienicy zaczęła wczołgiwać się w ciemność pod ścianą. Po chwili przekreśliła się na plecy i spróbowała podnieść głowę z drugiej strony otworu. Głowa uderzyła o kamień.

Z drugiej strony nie było nic. Zadrżała, odkrywwszy prawdę - jej loch nie miał

drzwi ani okien, a za ścianami były tony kamieni! Zamknięto ją pod ziemią, w miejscu bez wyjścia, w świecie zmarłych. Znow ogarnęła ją panika.

A potem na górze coś skrzypnęło, jakby uchylono jakąś klapę.

„Ależ tak! Sufit!” - wykrzyknęła w myśli Juliette. Sufit ginał w mroku i właściwie nie było go w ogóle widać. Sprawiała jej ulgę myśl, że pomieszczenie ma jakieś wyjście, że w końcu nie jest zupełnie odizolowana, że istnieje jakiś kontakt ze światem zewnętrznym, a więc możliwość ucieczki. Lecz uczucie ulgi trwało krótko. Zaszleścił materiał. Wyglądało to tak, jakby za jej plecami ktoś ruszył nogą czy ręką, i Juliette znów ogarnęła histeria. Była zablokowana; jej głowa tkwiła w wąskim wykopie; nie była w stanie nic zobaczyć z tego, co działo się poniżej jej ramion, a napastnik był

tuż-tuż - prawdopodobnie patrzył z satysfakcją na to, jak ona się szarpie.

Niczym dźwięk pogrzebowych dzwonów spłynął na nią z sufitu fałszywie słodki i pełen niewyobrażalnego okru - cieństwa głos:

- Czas na nas. Kochanie.

Juliette zaczęła się w panice wyginać, żeby wyszarpnąć głowę z dziury.

Strach przeszywał jej ciało, a po policzkach płynęły łzy. Przerażenie, niczym gwałtowny poryw niszczącego huraganu, kazało jej zamknąć oczy.

Chcąc rzucić palenie, Joshua Brolin zaczął pić herbatę.

Powody tej decyzji były bardziej złożone, ale Josh tak przedstawiał sprawę, gdy koledzy z pracy denerwowali się, że połyka wielkie ilości pachnącej ciepłej wody. Dwa miesiące wcześniej, latem, wyrzucił ostatnią paczkę winstonów, przysięgając sobie, że nigdy już nie weźmie papierosa do ust.

Pierwsze dni były bardzo bolesne, dosłownie, i Brolin zaczął się nawet zastanawiać, czy papieros nie jest w końcu mniejszym złem niż to okropne uczucie drapania w krtani spowodowane brakiem nikotyny. Następnie dość szybko odkrył, że długoletniemu palaczowi najbardziej brakuje nie nikotyny, ale tych wszystkich codziennych gestów, które musi odtąd wykonywać bez papierosa trzymanego między palcami. Trzeba było się od nowa uczyć operować wolną dłonią. Dłonią o wielu niespodziewanie nabytych możliwościach, która ważyła tonę. Już samo wspomnienie picia kawy i jednoczesnego palenia papierosa, wspomnienie smaku połykanego dymu na przemian z goryczą kofeiny, było źródłem ciężkiego stresu. Dopiero w wieku trzydziestu lat Brolin odkrył, że nie znosi smaku kawy, jeśli nie utopi go w nikotynie. I żeby móc się obyć bez koniecznej dawki dymu, zastąpił

cappuccino herbatą - najlepiej pachnącą, z leśnych owoców, jeśli to możliwe, choć bardzo trudno było znaleźć je suszone.

Popił ciepły łyk i odstawił kubek na sztywną okładkę ra-portu z sekcji.

Popatrzył na jedno ze zdjęć zrobionych tuż po znalezieniu zwłok ofiary.

Trudno było sobie wyobrazić, że jest to ciało młodej kobiety, tak zdeformowały je gazy wytworzone podczas procesu gnilnego i inne czynniki związane z długotrwałym przebywaniem materii organicznej w wodzie.

Twarz ofiary była opuchnięta, brązowozielona, powieki wielkości orzechów pekan, a wargi obrzmiałe, jakby zastygłe do ostatniego pocałunku. Do ciała dobrało się również mnóstwo różnych wodnych drapieżników, zostawiając na pofałdowanej skórze liczne czerwone bruzdy. W chwili, gdy robiono zdję-

cie, zwłoki znajdowały się ponad dwie godziny poza środowiskiem wodnym, ale przy oczach i ustach nie było widać śladu pleśni w postaci brązowego mchu. Pleśń ta stanowiła dość charakterystyczną oznakę, z którą Brolin już się spotkał przy okazji innych spraw, jakimi zajmował się na stażu w FBI. Będąc w istocie mieszkanką powietrza, wody i śluzu oskrzelowego, powstawała w momencie, gdy ofiara robiła wdech w wodzie. Pleśń wskazywała jasno, że zgon nastąpił j w wyniku utonięcia. Tymczasem tutaj jej nie było. Pijawki!

Tym razem kobieta nie zmarła na skutek odniesionych ran. Przynajmniej nie bezpośrednio. Zabójca zmienił metodę.

Najbardziej jednak intrygował Brolina ten chaotyczny rysunek, który kwas wypalił na czole ofiary. Kwas lub coś podobnie niszczącego, jak soda żrąca albo wapno.

„Dlaczego, do diabła, ten facet to robi? - zastanawiał się inspektor. - W

jakim celu wypala czoło ofiar? Czy jest to część jakiegoś rytuału? Ręce obcina prawdopodobnie po to, żeby mieć jakieś trofeum; żeby później, patrząc na nie, doprowadzać się do orgazmu. Pewnie ich dotyka albo się nimi głaszcze; używa ich jako substytutu, manipulując "partner-ką" i jednocześnie będąc przez nią pieszczonym. Dobrze, ale dlaczego nie uciał rąk ostatniej ofierze? Czym się ona różni od dwóch pozostałych?"

Ostatnia ofiara była widocznie dla niego czymś innym. Nie zamęczył jej na śmierć, ale doprowadził do uduszenia w bardzo powolny sposób, co zresztą nie było dużo lepsze.

Brolin zważył w dłoni kubek, sprawdzając, ile jeszcze zostało herbaty.

Kubek był pusty „Jak obecnie moja głowa" -pomyślał, szukając wzrokiem czajniczka.

Jeśli policzyliby się laborantów, lekarza sądowego, który robił sekcję, starając się wyciągnąć wnioski z najdrobniejszych szczegółów, i czterech inspektorów policji, których zadaniem było zebrać jak najwięcej informacji na temat ofiar, przy śledztwie pracowało około dziesięciu osób. I żadna z nich nie była w stanie skierować swoich podejrzeń na kogokolwiek. Brolin kazał sprawdzić okoliczne szpitale psychiatryczne, ale żaden z pacjentów, którzy przebywali tam przez ostatnie dwanaście miesięcy, nie miał profilu takiego

zabójcy, jakiego szukali. Zresztą sprawdzenie szpitali było w tym wypadku działaniem pozbawionym sensu, a powziętym bardziej po to, żeby uspokoić zwierzchników, niż by zatrzymać winnego.

Ponieważ z ciała pierwszej zamordowanej kobiety pobrano próbkę spermy, dysponowano teraz kodem genetycznym zabójcy. Jednak porównanie tego kodu z listą „odcisków genetycznych” dostępnych w policyjnej bazie danych nie dało żadnego rezultatu. Ten człowiek na niej nie figurował.

Brolin znalazł czajniczek na półce założonej dokumentami i wstał, żeby napełnić kubek. Zaczął pić małymi łyżkami

Podczas pracy w FBI nauczył się sporządzać profil psychologiczny zabójcy, szczegółowo analizując dane zbrodni. Podstawowa trudność pojawiała się wtedy, kiedy zwłoki przebywały długo w wodzie. Nie można było wyciągnąć żadnych wniosków z pozycji, w jakiej znajdowało się ciało, i niemożliwe było zbadanie miejsca, w którym przebywał morderca, a więc gdzie zdeptował

własne ślady, zanim pozbył się ciała. Zwłoki pływające w wodzie znajdowano wiele kilometrów od miejsca, gdzie zostały wrzucone. Woda zmywała właściwie wszystkie ślady spermy, krwi czy włosów zbrodniarza,.. Przynajmniej było wiadomo, że osobę działającą w taki sposób charakteryzuje pewien poziom przebiegłości. Zbrodniarz wiedział, że policja wykorzysta każdy szczegół, aby go zatrzymać. Był zorganizowany i rozważny.

Brolin podszedł do tablicy zapisanej swoimi notatkami na temat zabójcy.

Postanowił zrobić szybkie podsumowanie najważniejszych punktów tej sprawy - sprawy potrójnego morderstwa.

Zaczął na głos wymieniać wszystko, co do tej pory wy-dedukował:

- Morderca jest białym mężczyzną. Seryjny morderca zabija prawie zawsze osoby tej samej rasy, jaką sam reprezentuje. Gwałt i przemoc świadczą o tym, że jego obsesje seksualne są bardzo rozbudowane i że ma nad nimi stosunkowo dużą kontrolę. Podejmuje spore ryzyko, ale udaje mu się nie zwrócić na siebie uwagi. Poza tym na tyle panuje nad ofiarą i nad sobą samym, że jest zdolny do pełnego stosunku płciowego. Co gorsza, liczne siniaki i obrażenia na obu przedramionach, spowodowane tym, że ofiara się broniła, świadczą o jego niezwykłej zaciekłości. Bardzo możliwe, że podczas gwałtu uciekał się jeszcze do tortur - zgadzałyby się to z typem jego osobowości. Jeśli chodzi o wiek, to mężczyzna ten jest na tyle dojrzały, żeby móc, przynajmniej do pewnego momentu kontrolować swoje odruchy. Lecz szła, w jaki wpada, świadczy o tak silnej wściekłości i nienawiści, że trudno wyobrazić sobie, aby mógł panować nad tymi emocjami przez wiele lat.

Tymczasem w bazie danych nie ma śladu kogoś, kto zachowywałby się w podobny sposób...

Brolin, gdy tylko powierzono mu to śledztwo, natychmiast przekazał dane o dwóch poprzednich zbrodniach do programu VICAP* stworzonego przez FBI. Zadaniem tego programu było gromadzenie wszystkich informacji dotyczących bestialskich zbrodni popełnionych na terytorium USA i zapewnienie policji w całym kraju dostępu do bazy danych ułatwiających ewentualną identyfikację przestępcy. Jeśli na przykład w stanie Illinois grasował dwa lata wcześniej zabójca obcinający ofiarom ręce, to program VICAP natychmiast poinformowałby o tym Brolina, który mógłby prześledzić przemieszczanie się seryjnego mordercy między stanami.

Jednak w programie nie było żadnych danych, które dotyczyłyby ewentualnego „obcinacza rąk”.

Brolin podkreślił rozpiętość wieku mordercy na tablicy. Dwadzieścia trzy do dwudziestu ośmiu lat.

*VICAP (Violent Criminal Apprehension Program) - stworzony przez FBI program do pomocy w śledztwach, który jest związany z NCAVC Rational Center for the Analysis of Violent Crime - Narodowym Ośrodkiem Badań nad Zbrodnią).

- Blżej dwudziestu trzech do, jak sędzę, dwudziestu pięciu. Miał już czas na wielokrotne przeżycie swoich zbrodni w wyobraźni, ale nie mógłby się powstrzymać przez zbyt wiele lat. Jest dobrze zbudowany i silny, ponieważ poradził sobie z kobietami względnie wysportowanymi. Jego ofiary pochodzą z grupy o niskim wskaźniku ryzyka - ich osobowość, zawód i otoczenie nie należą do potencjalnie niebezpiecznych, jak byłoby to w wypadku prostytutki. Opierając się wciąż na tym, co wiemy, miejsca, w których zostały porwane, również należały do obszarów o niskim wskaźniku ryzyka. Na przykład jedną z kobiet zaatakowano w dość eleganckiej dzielnicy, w miejscu, gdzie panował duży ruch, a drugą na parkingu wytwornego i pełnego ludzi nocnego klubu. A mimo to nie ma żadnych świadków.

Morderca ryzykuje, bawi się. Musi być bardzo pewny siebie. Jest zorganizowany, bo każde porwanie zaplanował znacznie wcześniej. Działa pod wpływem wielkiego stresu, lecz jest tak zarozumiały, że uważa się za nietykalnego. Z czasem będzie ryzykował coraz bardziej i zacznie po-pełniać błędy. Ale po ilu ofiarach? To, że atakuje kobiety z grupy niskiego ryzyka w miejscach o niskim wskaźniku ryzyka, również świadczy o jego dojrzałości.

Nie działa pod wpływem impulsu: musi czerpać wielką satysfakcję z podniecenia sytuacją i umie zachować zimną krew. Najważniejsze dla niego to zaczepić ofiarę, może nawet poflirt-tować, uwodzić, cały czas mając na względzie to, co jej potem zrobi. Proces dominacji zaczyna się już w momencie zarzucania sieci.

Inspektor napisał na tablicy specjalnym flamastrem: „plus minus dwadzieścia pięć lat”.

Nad wszystkimi tymi elementami już pracowano i tak jak radził Brolin, poświęcono bardzo dużo czasu na przesłuchanie personelu klubu nocnego oraz jego stałych klientów. Niestety, działania te nie wniosły niczego nowego do sprawy.

W innym pomieszczeniu budynku komendy jakiś facet oburzał się, że go oskarżają, i krzyczał, że jest niewinny: Bro lin skończył pić herbatę i wrócił

do biurka.

„Jestem niemal pewien, że ta kanalia uwielbia uwodzić swoje przyszłe ofiary albo przynajmniej delikatnie z nimi po-flirtować! Do tego dochodzi to, że nie zabija w określonym cyklu - pierwsze dwie zbrodnie dzieli pięć tygodni, a teraz zabił zaledwie po dwóch. Przyspieszył działanie: dwie

ostatnie zbrodnie dzieli krótszy okres..."

Zwróciwszy na ten szczegół uwagę, Brolin poczuł się dziwnie. Wiedział, że to właściwie nic nie znaczy - seryjni mordercy mogli często zabijać w dość krótkich odstępach czasu, a następnie wejść w fazę zwaną „odpoczynkiem”.

Ale byli i tacy, którzy zabijali coraz częściej, działając pod wpływem niezaspokojonej żądzy, której kres mogły położyć wyłącznie areszt lub śmierć. Brolin potrzebował przede wszystkim więcej czasu, żeby móc uporządkować wszystkie informacje i przeanalizować każdą hipotezę.

Potrzebował cza-

su, żeby wykorzystać szczegół i złapać tego

obłąkańca zanim stanie się nieodwracalne.

Następna rzecz: morderca zawsze pozbywał się ciała, wrzucając je do wody...

"Ten łajdak wie, że jesteśmy na jego tropie; wie to bardzo dobrze i nie chce wpaść. Chce kontynuować, jeszcze i jeszcze. To pewne, że znów zaatakuje: to jest silniejsze od niego."

Inspektor potrząsnął głową w bezsilnej złości. Patrzył właśnie na zdjęcia ostatniej ofiary, kiedy zadzwonił telefon.

- Inspektor Brolin - powiedział do słuchawki.

- Joshua, tu Carl. Mam coś nowego, chodzi o badania anatomopatologiczne.

Carl DiMestro pracował w laboratorium kryminalistycznym, współdziałając z ekipą lekarzy sądowych, i tymczasowo kierował w ich ogromnym budynku sekcją biologiczną.

- Czy zidentyfikowano ofiarę? - zapytał niecierpliwie Brolin.

- Nie, pracujemy nad tym: badamy uzębienie. Ale mam coś dla ciebie.

Znalazłem w jej ciele rodzaj okrzemek...

- Rodzaj czego?

- Okrzemek. Mikroskopijnych krzemionkowych alg, które występują we wszystkich wodach, bieżących i stojących, słodkich i słonych. Sam fakt, że ofiara miała wodę w płucach, niewiele nam mówi. Ale pod mikroskopem zauważyliśmy te algi w tkance płucnej, wątrobie i sercu. A to oznacza, że ko-j bieta musiała przed śmiercią odetchnąć pod wodą. Do diagnozy o uduszeniu trzeba dołączyć utopienie. To prawda, że ofiara umarła uduszona przez pijawki, ale morderca przyspieszył proces, zanurzając jej głowę w wodzie. Jedna rzecz jest pewna: to nie była woda z kranu, ale z naturalnego zbiornika, z florą i fauną.

Brolin po wstępnych uwagach DiMestro spodziewał się jakichś rewelacji, jakiegoś dowodu, czegoś, co naprowadziłoby go na jakiś trop. Tymczasem słowa Carla potwierdzały tylko

tortury ante mortem, barbarzyński akt charakterystyczny dla „Kata z Portland”. Trochę zawiedziony, nie odezwał się.

- Ale to nie wszystko - ciągnął doktor DiMestro. - Te algi mogą nam dostarczyć innych, bardzo interesujących informacji.

Brolin nadal milczał, Carl DiMestro był zafascynowany mikroskopem i możliwościami, jakie dawał on badaczom. Cieszył go najmniejszy wypatrzony szczegół, bez względu na to, czy dzięki niemu śledztwo posuwało się naprzód, czy

też nie.

- Musisz wiedzieć, że te okrzemki mają szczególną budowę, różną w zależności od tego, z jakiego miejsca pochodzą.

- Zaczekaj - przerwał mu Brolin. - Czy to oznacza, że możesz mi powiedzieć, czy woda, w której znaleziono ciało to ta sama woda, którą ona wprowadziła sobie do płuc od- dychając?

- Właśnie. Wystarczy przebadać okrzemki. W naszym przypadku okrzemki znalezione w tkankach ofiary różnią się od okrzemek występujących w wodzie, z której ją wyłowiono. Mogę cię zapewnić, że ofiara nie została utopiona w pobliżu miejsca, gdzie ją znaleziono. Więcej, jestem w siedemdziesięciu procentach pewien, że woda w jej płucach nie pochodzi z Tualatin, bo okrzemki znalezione w tkankach ofiary mają odmienną budowę od okrzemek z tej rzeki.

Carl DiMestro mówił spokojnie i wyraźnie, ale w jego głosie można było wyczuć zmęczenie.

- Posłuchaj, gdyby zbadać wodę w większości strumieni i jezior wokół

Tualatin, czy byłbyś w stanie określić dokładnie miejsce, w którym ją utopiono? - zapytał Brolin.

DiMestro potwierdził bez wahania.

- Właściwie już to zrobiłem. Razem z Peterem, moim asystentem, pojechaliśmy na południe Portland, żeby pobrać jak najwięcej próbek wody ze wszystkich jezior, stawów i rzek znajdujących się w promieniu trzydziestu kilo-metrów od Tualatin - oznajmił uroczyście. - Porównywanie okrzemek wreszcie się opłacała. Znalazłem wodę, która była w jej płucach. To jest woda z małego stawu na południowy wschód od Stafford.

Brolina zatkała. Początkowe rozczarowanie zmieniło się teraz w osłupienie.

Zdumiewające, jaką mrówczą pracę wykonało w tak krótkim czasie tych dwóch pracowników laboratorium!

- Ale... Czy to jest pewne? - wymamrotał.

- Pewne w dziewięćdziesięciu pięciu procentach.

- To wspaniale, Carl! Doskonała robota, naprawdę. Postaraj się teraz trochę odpocząć, zasłużyłeś.

- Tak naprawdę to nie spałem całą noc. Pobieraliśmy te próbki wczoraj do wieczora, a później zabraliśmy się od razu do badania. Skończyliśmy dziś po południu. Mieliśmy dużo szczęścia, że w ogóle trafiliśmy na ten staw. Jest zagubiony

w lasach, na mapie regionu to mała kropka. Przygotowuję ci całą dokumentację z moimi wnioskami.

- Idź, pośpij kilka godzin. To może poczekać do jutra. Powiedz mi tylko, jak się nazywa ten staw, bo chciałbym na niego rzucić okiem.

Brolin jeszcze raz pogratulował Carlowi i odłożył słuchawkę. Zaczął szybko myśleć, wykorzystując do analizy wszystkich informacji o sprawie całą swoją wiedzę kryminalistyczną. Ciało zostało przeniesione z jednego miejsca w drugie i woda z rzeki splukała zwłoki, dlatego wokół warg nie znaleziono żadnej pleśni.

Nie przenosi się zwłok z jednego miejsca w drugie ot, tak sobie. Zabójca nie robiłby tego bez ważnego powodu. Jeśli utopił młodą kobietę w stawie na odludziu, dlaczego ryzykował transport ciała, żeby wrzucić je do innego zbiornika wodnego wiele kilometrów dalej, narażając się jeszcze bardziej na to, że ktoś go wreszcie zauważy? Dlaczego nie zostawił zwłok tam, gdzie utopił ofiarę; w środku lasu, gdzie prawdopodobnie nikt by ich nie znalazł, a przynajmniej nie od razu?

Dlatego, że istnieje jakiś związek między tym stawem a mordercą! Ponieważ można go z tym stawem w jakiś sposób skojarzyć.

Był to trop nie do zlekceważenia.

Joshua Brolin wstał, wziął marynarkę i wykręcił cztery cyfry do recepcji wydziału dochodzeniowo-śledczego. Usłyszał kobiecy głos.

- Cathy, mówi inspektor Brolin. Czy mogłabyś uprzedzić szeryfa hrabstwa Clackamas, że się do nich wybieram i poprosić, żeby wysłał samochód z kimś z miejscowej komendy? Niech czekają przy wjeździe do Stafford.

Dzięki, Cathy.

Wpadł na jakiś trop, który prowadził go w teren. Przydarzyło mu się to, czego zapewne nigdy by nie doświadczył, gdyby został w FBI. Może któregoś dnia się okaże, że jego niepowodzenie z tą instytucją było najlepszą rzeczą, jaka mu się przytrafiła?

Tak więc wreszcie śledztwo ruszyło z miejsca. Brolin wychodził z biura w nastroju radosnego podniecenia, wiedział bowiem, że znalazł coś konkretnego, że wreszcie coś się wydarzy. W ogóle nie podejrzewał tego, co miało nastąpić. I na jak straszną rzecz natrafił.

Przerażona Juliette poruszyła się gwałtownie i zaczęła szarpać wyprężonym ciałem, żeby jak najszybciej wypełznąć z dziury, w której była zablokowana.

Ktoś chodził za jej plecami.

W kilka sekund wyciągnęła głowę z ciemnego otworu i wróciła do pozycji leżącej. Szybko się odwróciła i ujrzała nad sobą wielką postać, która ją obserwowała. W panującym mroku nie widziała dokładnie twarzy, ale czuła wlepiony w siebie wzrok.

- Zazwyczaj nie wybieram ich w taki sposób - powoli, zdecydowanym głosem powiedziała postać.

Juliette zamarła, ogarnięta strachem. Już nawet nie myślała o ucieczce.

- Ale ostatnia przyjaciółka, którą tu miałem, nie była czysta.

Postać zaakcentowała słowo „przyjaciółka”, jakby było ono określeniem najwyższej wagi.

- Och, dobrze wiem, że to moja wina. Nie powinienem podrywać kobiet byle gdzie. Zaczepiając kogoś na parkingu klubu nocnego, trudno oczekiwać, że trafi się na osobę przyzwoitą. Z góry wiadomo, na co się człowiek naraża.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy zauważyła mężczyznę. Juliette ośmieliła się spojrzeć na długi kształt, który znajdował się za nim. Drabina. Drabina spadająca z otworu umieszczonego dobre dwa metry nad nimi.

- Wiedziałem od razu, że z tobą będzie inaczej. Znamy się; wiem, że jesteś przyzwoitą dziewczyną.

Juliette czuła ucisk w gardle, ale spróbowała się odezwać. Musiała zyskać na czasie - mężczyzna był najwyraźniej prawdziwym wariatem, wiedziała więc, że nie należy pozwalać mu na zbyt długi monolog. Z trudnością, zachrypniętym głosem, zapytała:

- Cze... Cze... czego pan chce?

Sylwetka drgnęła, jakby mężczyznę zaskoczyło to, że ma do czynienia z kimś, kto umie mówić.

- Przecież wiesz - odpowiedział po kilku sekundach. - Rozmawialiśmy o tym na czacie. Chcę cię poznać.

Juliette zadrżała. Wpadła w popłoch. Jej myśli rozbiegły się we wszystkie strony, obrazy mieszały się w wyobraźni. I przypomniała sobie.

Oberon.

- Nie zawsze byłeś dla mnie miły - zabrzmiał pełen nagany głos. - Teraz będziesz mogła to naprawić.

Mężczyzna bezszelestnie zbliżył się do niej. Juliette skurczyła się, przywierając do ściany.

- Nie, nie. nie! - osobnik pokręcił ceremonialnie głową. - Musisz być bardzo grzeczna, żebyś była dla ciebie miła. W przeciwnym razie będę musiał cię ukarać.

To był ten sam głos, który zaproponował jej podwiezienie, kiedy wychodziła od Camellii. Lecz wówczas brzmiał uwodzicielsko, a teraz słyhać w nim było groźbę, szaleń-stwa. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że chodzi o tego samego człowieka. Identyczna atletyczna budowa, identycz-ny głos.

Mężczyzna schylił się i chwycił ją za ramiona. Juliette poczuła w nozdrzach silny zapach wody po goleniu.

- Nie szarp się. Nic ci nie zrobię.

W jednej chwili podniósł ją i pociągnął w kierunku drabiny. Juliette chciała walczyć, ale coś w głosie napastnika odwiodło ją od tego zamiaru. Jakaś nieokreślona pewność, że jeśli nie posłucha, z pewnością narazi się na cierpienia. To nie były żarty. Znajdujący się obok niej mężczyzna nie przypominał w ogóle porywacza, którego celem jest zdobycie pieniędzy. Chodziło mu o coś innego, coś okropniej sze-go. Przez skórę było czuć tajoną chęć zadawania bólu. Juliette starała się zwalczyć ponure myśli. Musi natychmiast coś powiedzieć albo zrobić; musi za wszelką cenę zyskać na czasie.

Mężczyzna postawił ją pod drabiną.

- Nie ruszaj się.

Wspiął się na górę i chwycił metalowy hak zwisający z bloczka. Hak błysnął

w świetle świecy.

- Co pan zamierza mi zrobić? - zapytała cichym, drżącym głosem Juliette, bezskutecznie usiłując ukryć strach.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu, zajęty na szczycie drabiny majstrowaniem przy linie. Po chwili zszedł, aby przyczepić hak do sznura, którym wcześniej związał Juliette. Cała konstrukcja była naoliwiona i doskonale wyregulowana. Dziewczyna czuła się tak, jakby została wprowadzona w tryby jakiejś maszyny. Jakby wszystko to, co się działo, było powtórzeniem sceny która już została odegrana setki razy. Świadczyła o tym swoboda, z jaką poruszał się jej prześlą-dowca, przemyślnie urządzenie piwnicy, a nawet winda w postaci haka na bloczku.

„Zupełnie tak, jakby ten człowiek robił to już wiele razy” - pomyślała Juliette, ogarnięta coraz większą paniką. Serce waliło jej jak oszalałe. Czuła na szyi ciepły oddech mężczyzna kiedy za jej plecami kończył montować hak.

- Pokażę ci, jak bardzo cię kocham... - usłyszała.

Nieprawdopodobny koszmar zmienił się w rzeczywistość. Juliette wiedziała już, że nie opuści tego

miejsca żywa.

To była rzeźnia.

Szeryf hrabstwa Clackamas przyjechał osobiście. Towarzyszył mu jeden z jego zastępców. Joshua Brolin wyjaśnił, czego szuka poza swoim okręgiem, i wszyscy pojechali jego samochodem na południowy wschód, do lasu Stafford. Gdy dotarli na miejsce, zjechali z drogi na wijący się trakt po któ-

rym stary mustang Brolina ledwo się toczył, żeby w końcu znaleźć się nad małym stawem ukrytym między drzewami. Obrosnięty trawą i rzadkimi kępami trzciny staw był dość płytki i miał kilkadziesiąt metrów długości. Brolin uderzył spokój i odludny charakter okolicy. Doskonałe miejsce, żeby bezkarnie popełnić zbrodnię.

„Dlaczego więc przeniósł ciało do Tualatin?!“

To wszystko nie miało sensu. Z zachowania mordercy wynikało niezbitie, że całkowicie panował nad sytuacją i że musiał być inteligentny. Dlaczego więc narażał się na to, że ktoś go zobaczy z ciałem, które mógł spokojnie tu zostawić?

- Czy często ktoś tutaj przyjeżdża? - zapytał Brolin szeryfa, który lustrował

wzrokiem obrosnięty brzeg

- Skąd; może czasem jakiś niedoświadczony wędkarz-amator, ale to nie jest staw rybny. Poza tym nic nie przychodzi mi do głowy. Niewykluczone, że przyjeżdża tutaj okoliczna młodzież, żeby sobie wieczorem poswawolić, ale naprawdę nikt więcej. Mieszkańcy wolą park Waszyngtona.

Brolin kiwnął głową. Tak, to było doskonałe miejsce na porzucenie ciała.

Przenoszenie zwłok nie pasowało mu do profilu mordercy „Musi być jakieś wyjaśnienie - pomyślał. - Jakiś element, który pozwoli zrozumieć, dlaczego morderca podjął to ryzyko“.

- Mówił mi pan, że ma to związek z popełnionymi ostatnio morderstwami -

odezwał się szeryf. - Z „Katem z Port-land“. Niech mi pan powie, naprawdę pan myśli, że on tu był?

- Próbuję to właśnie ustalić - odpowiedział Brolin. Nicusatysfakcjonowany tym wyjaśnieniem szeryf odszedł, wpatrując się cały czas w staw, jakby oczekiwał, za chwilę wpłynie tu jakiś statek. Jego zastępca stał nieopodal. Od momentu, kiedy tu przyszli, nie odezwał się ani słowem.

Brolin odszedł, żeby przyjrzeć się polance. Od czasu do czasu rzucał okiem w głąb lasu. W końcu zauważył zarośniętą ścieżkę. Szeryf był sto metrów od niego, z drugiej strony, kiedy Brolin zawołał:

- Tu jest jakaś droga! Czy pan ją zna?

Szeryf dał znak, że nie słyszy, i powoli ruszył w kierunku Brolina. Ponieważ był mężczyzną stosunkowo młodym i raczej sprawnym, Brolin przypuszczał, że tylko udawał, że nie dosłyszał, ale postanowił nie zwracać na to uwagi.

Kiedy szeryf znalazł się przy nim, powtórzył pytanie.

- Och, to zwykła ścieżka, zapewne dla myśliwych - rzekł szeryf.

- A można tutaj polować?

- Powiedzmy, że polowanie jest tolerowane. W każdym razie nie mamy tu łowczego, jeśli rozumie pan, co chcę powiedzieć. A ja mam co innego do roboty niż pilnowanie takich lasów jak ten!

- Nikt nie mieszka w okolicy? - dociekał Brolin. - Nie, to jest raczej zupełnie zadupie. Jeśli chce pan znać moje zdanie, to uważam, że nikt nie miałby ochoty tu się osiedlić. Okolica jest właściwie dzika - rzekł szeryf, poprawiając kapelusz.

Brolin przyjrzał się skrajowi lasu, rzucając wzrokiem w głąb ścieżki. Las był

gęsty, rosło w nim mnóstwo różnych gatunków drzew. Gałęzie, gęste poszycie z paproci, zwały kolczastych krzewów jeżyn i niezliczone, rozkładające się powoli stare pnie zlewały się niemal w jednolitą masę.

Znad koron drzew dobiegł ich przenikliwy pisk drapież-

ego ptaka. Obaj mężczyźni równocześnie podnieśli głowy Na widok przelatującego sokoła szeryf pogłaskał się po brodzie. -Ale, ale!

Przypominam sobie teraz: przecież jest jeden fecet, który mieszka w lesie niedaleko stąd.

Brolin spojrzał na szeryfa.

- Dobrze by było, gdybym mógł się z nim spotkać. Zadałbym mu kilka pytań

- powiedział. - Jak on się nazywa?

- Leland. Leland Beaumont Nie pomyślałem o nim, bo to chłopak cichy, skryty. Ale widząc tego sokoła, przypomniałem sobie o Lelandzie. On uwielbia sokoły. Właściwie kocha wszystkie drapieżne ptaki; mam wrażenie, że je tresuje. Ma takie gwizdki... Rodzaj wabików, żeby je przywoływać.

- To jest taki specjalny dźwięk - wtrącił zastępca szeryfa, który nieoczekiwanie znalazł się tuż przy nich. - Do tresury ptaków drapieżnych używa się gwizdka wydającego specjalny dźwięk.

- Wygląda na to, że jest pan biegły w tej dziedzinie. Zna pan Lelanda Beaumonta? - zapytał Brolin.

- Niespecjalnie Widziałem go wiele razy tu, na polach, z jego ptakami.

Muszę go stamtąd wyganiać, kiedy farmerzy się skarżą.

- A ten Leland... Co on w ogóle robi? - zainteresował się Brolin.

- Och, ma mnóstwo drobnych zajęć. Ale jego pasja to tresura tych drapieźników i rzeźbienie.

- Rzeźbienie? A co rzeźbi? Zastępca szeryfa wzruszył ramionami.

- A tam, nie wiem. Wydaje mi się, że to jest coś raczej niesmacznego.

Pasjonuje się rękami czy coś w tym guście.

Brolin zamarł. Obaj mężczyźni spojrzeli na niego zaskoczeni.

- Co, źle się pan czuje, inspektorze? - zaniepokoił się szeryf.

- Zaprowadźcie mnie do tego Lelanda Beaumonta i wezwijcie jeszcze jeden samochód. Wydaje mi się, że coś wreszcie złapaliśmy.

Gdzieś ponad drzewami ponownie pojawił się sokół, wydał długi, przejmujący dźwięk i natychmiast zniknął.

Bloczek zapiszczał ostatni raz i umięśnione ramię schwyciło Juliette za pasek od dzinsów. Dziewczyna cała się trzęsła. Mężczyzna, który zamierzał

odczepić hak, zamarł. Wyczuwał przez koszulę drżenie ciała. Powoli zbliżył

dłoń i dotknął delikatnie Juliette w okolicach krzyża. Szarpnęła się. Nie umiała powstrzymać jęku zaskoczenia. Wciąż drżała. Powolnym gestem mężczyzna przesunął dłoń wzdłuż kręgosłupa i zatrzymał się na wysokości łopatek. Dziewczyna z trudnością przełknęła ślinę. „Isztar, to było jej imię.

Powiedziała mu. Wszystkie rozmowy na czacie były tylko wstępem do tej chwili, do ich spotkania. Wreszcie poznają się naprawdę. Jedno z drugim.

Jedno w drugim..." To dowcipne stwierdzenie wywołało u niego silny przypływ adrenaliny. Mężczyzna poczuł, jak sztywnieje mu członek.

Dziewczyna drżała mniej, ale wciąż jeszcze zauważalnie.

- Boisz się? - zapytał spokojnie.

Przez kilka sekund milczała.

-Tak... Przecież nic panu nie zrobiłam... - wyszeptała. Mężczyzna uśmiechnął się.

- Wprost przeciwnie.

Mówił cicho, spokojnie. Ale to nie zmyliło Juliette. Był zdolny do najgorszego. To nie był naturalny głos: on się bawił.

- Wprost przeciwnie - powtórzył. - Uwodziłaś mnie. Wszystkie te słowa, te zdania na moim ekranie. Uprosiłaś mnie, żebym cię porwał. Jestem twoim księciem.

Tym razem nie można było mieć żadnych wątpliwości. „To kompletny wariat! - pomyślała Juliette. - Chory facet”.

Mężczyzna zdjął dłoń z jej pleców i Juliette opadła na ziemię.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, było długie, ciemne, ze stołami zarzuconymi narzędziami. Kilka metrów dalej stała furgonetka. Źródłem światła były dwie lampy, jakie montuje się w garażach, przyczepione do metalowej belki,

a oświetlały one dziwne przedmioty, którymi było wypełnione to swoiste atelier. Ręce. Było ich tutaj około trzydziestu; wyglądały jak odlewy, choć niektóre były zbyt niedoskonałe jak na odlewy. Wszystkie te ręce, jakby wyrzeźbione w glinie, były zastygłe w krańcowo różnych pozycjach.

- Jak widzisz, przygotowałem dla nas prawdziwą ucztę. Jest nawet wino.

Juliette odwróciła głowę, żeby wyraźnie zobaczyć napastnika.

Tak, to był on: mężczyzna, który zaproponował jej pomoc. Tyle że teraz nie miał już w sobie nic pociągającego. Był nieuczesany, kosmyki włosów sterczały mu na głowie. Był też nieogolony i ubrany w zwykły kombinezon mechanika, z długim suwakiem z przodu.

Widząc, że Juliette go obserwuje, odezwał się cichym, łagodnym głosem:

- Tak, wiem, nie prezentuję się najlepiej, ale dziś wieczór wszystko się zmieni. A jeśli chodzi o ten kombinezon, to przykro mi, ale to jest najpraktyczniejsze do... do... No wiesz, do czego...

Uśmiechnął się szeroko i Juliette poczuła, że krew ścina jej się w żyłach.

Poczuła się jeszcze gorzej, gdy zauważyła, że mężczyzna głaszcze się przez kombinezon w okolicy krocza. Spojrzenie miał zimne i okrutne. W tym momencie Juliette zdała sobie sprawę z tego, że on po prostu z nią gra.

Cieszy go to wzrastające powoli napięcie, to zwracanie się do niej pieszczotliwym szeptem. Bawi się z nią jak kot z myszą.

- To niesamowite, ilu rzeczy można dziś dokonać za pomocą internetu.

Wystarczy kilka podręczników i wszystko się znajdzie, nawet imię prawdziwej bogini - mężczyzna uśmiechnął się, pokazując rząd niezwykle równych, niemal kwadratowych zębów.

Pochylił głowę i wbił spojrzenie w oczy młodej kobiety

- Ale przede wszystkim, zostaw mi coś na pamiątkę - powiedział, pociągając ją na środek pokoju.

Schwycił łańcuch, który przechodził przez klamry za-mocowane do podłogi, i zaczął owijać nim nogi dziewczyny, kiedy rozwiązał ją na chwilę, Juliette spróbowała mu się wyrwać i uciec. Ból, który przeszył jej ramię, spowodował, że się zachwiała. Mimo to udało jej się uwolnić udo z łańcucha I szybkim ruchem bioder postarała się wyprostować. Silny cios pięścią w nerki sprawił, że wydała okrzyk bólu i upadła na zimny beton. Kilka sekund później leżała na brzuchu, ponownie przypięta, tym razem do podłogi.

Ramiona i nogi miała rozpostarte.

- Teraz już bardzo uważam, z kim się spotykam - odezwał się mężczyzna, jakby byli dwojgiem dyskutujących przyjaciół. - Wyobraź sobie, że ta ostatnia była zwykłą dziwką, kurwą-amatorką.

Przerwał, jakby się wahał, czy zwierzać się dalej, czy nie.

- Powiedziała mi, że może... że może mi go obciągnąć...

prawic za darmo. Czy uważasz, że to normalne?

Rozciągnięta na zimnej podłodze Juliette starała się nie spuszczać z oczu swojego prześladowcy, lecz on znikł z jej pola widzenia. Wciąż był w pomieszczeniu: czuła gdzieś niedaleko jego regularny oddech i słyszała odgłos jakby drapania metalowym przedmiotem.

Musiał coś robić w drugim końcu długiego atelier. Po kilku sekundach pojawił się po prawej stronie Juliette, zapierając ręce.

- Oczywiście nie chciałem. To znaczy, nie chciałem tej... kurwy.

Przystanął na chwilę, żeby przyjrzeć się z przyjemnością licznym glinianym rękom, które stały na stole do pracy. - Nie chciałem jej nawet do mojej kolekcji. Och, byłbym zapomniiał!

Nachylił się nad regałem i włączył magnetofon kasetowy, który musiał stać tam od dawna. Z kasety popłynęły dźwięki barokowej muzyki. Mężczyzna odwrócił się i znikł w cieniu. Kiedy wrócił i znów stanął nad Juliette, trzymał w dłoniach dwa rozgrzane żelazka.

- To do kauteryzacji. Bez tego zemdlejesz i nigdy więcej się nie obudzisz. A jak ci już mówiłem, mamy przecież zjeść razem kolację.

Juliette zobaczyła, jak mężczyzna stawia żelazka tuż przy jej dłoniach, po czym chwyta jakiś metalowy przedmiot który z błyskiem opada na stół do pracy.

Było to długie, błyszczące ostrze, podobne do miecza, jakim niegdyś ścinano głowy

- A później zostaniesz ze mną długo, bardzo długo...

Ford mustang i dwa policyjne samochody blokowały drogę w środku lasu.

- Mogę się mylić - uprzedził Brolin. - Ale to może być facet, którego szukamy, więc uwaga! Zostańcie z tyłu, nie

pokazujcie się; najpierw będę chciał po prostu z nim po-gadać. Jeśli się okaże, że to on, w godzinę będę miał nakaz aresztowania. Ale jeśli to rzeczywiście on, możliwe, że się czegoś domyśli. W razie komplikacji, gdybym znalazł się w niebezpieczeństwie, krzyknę „policja!” i wtedy wkraczacie do akcji.

- Czy jest pan pewien, że chce pan iść tam sam? - zapytał szeryf, który nienawidził takich sytuacji.

- Absolutnie. Jeśli to on, nie należy go płoszyć. Na widok munduru może się zdenerwować. Nie chcę ryzykować. Zadam mu kilka niewinnych pytań, głównie o staw, czy czegoś nie słyszał, i już. Muszę go po prostu zobaczyć, muszę go wyczuć.

Szeryf zgodził się, choć niechętnie.

- Na miejsca - rzucił inspektor. - Pamiętajcie: wchodzicie do akcji tylko na mój sygnał.

Czterech mężczyzn w mundurach rozbiegło się po lesie, żeby otoczyć dom.

Brolin odczekał kilkadziesiąt sekund, po czym ruszył. Po chwili dotarł do celu. Dom był niewielką, jednokondygnacyjną budowlą, której liczne okna były poza-lniane grubymi, szarymi od brudu kotarami o nieokreślonym kolorze. Do budynku przylegało atelier, znikające w ścianie utworzonej z kolczastych pędów jeżyn i gęstwiny paproci. Wąskie i prawdopodobnie głębokie, nie miało okien, tylko podwójne, lekko uchylone drzwi, przez które dochodziły do szu Brolina przenikliwe dźwięki muzyki. Z prawej strony budynku stała wielka, zbudowana domowym sposobem woliera, w której siedziała para brązowych sokołów, wpatrujących się uważnie w przechodzącego obok inspektora. Dokoła nie było widać śladów samochodu.

Brolin zawahał się, a następnie ruszył w kierunku uchylonych drzwi.

Juliette czuła, jak jej serce łomocze, ale nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Mężczyzna zbliżył się do niej z szerokim, jakby naklejonym na twarz uśmiechem.

- Nie bój się. Na początku bardzo boli, ale będę umiał ci ulżyć...

Przez materiał dzinsów poczuła, jak wielka dłoń gładzi jej pośladki. Suwak od kombinezonu mężczyzny zjechał do połowy, ukazując mocno zbudowaną klatkę piersiową.

Mężczyzna wsunął deskę pod nadgarstki Juliette, którą w targnęły nieopanowane dreszcze. - Gotowe. To po to, żeby nie zniszczyć ostrza o podłogę, rozumiesz?

Juliette wirowało w głowie; czuła, że zaraz oszaleje ze strachu.

- Jakże idealne! - rzucił mężczyzna z dziecinnym podziwem.

I uniósł w górę długie ostrze. Dzikie, błyszczące oczy, pełne straszliwej wściekłości i szaleńczej furii, prawie wyszły mu z orbit.

Juliette wrzasnęła ze wszystkich sił. Ostrze przeszło powietrze.

Cios spadł w jednej sekundzie.

Śmiertelny.

Leżała na podłodze tego ponurego atelier, a ciepła ciecz spływała jej po ramieniu. Nawet nie poczuła bólu.

Kiedy było już po wszystkim, Juliette nie mogła sobie przypomnieć wybuchu; słyszała tylko echo silnego grzmotu.

Gdy zdobyła się na otwarcie oczu, zobaczyła, jak mężczyzna, który ją więził, pada na ziemię obok ostrza. Brakowało

mu części czaszki. To jego krew ciekła jej po ręce. Poruszyła ramieniem.

Nietknięte. Teraz nic już nie rozumiała. Usłyszała odgłos szybkich kroków, później okrzyk zdumienia, po którym zaraz nastąpiły inne okrzyki i dochodzące gdzieś z daleka dźwięki ogólnego zamieszania.

Jedyną rzecz, którą sobie przypominała, to ten niski, uspokajający głos, który podziałał na nią jak balsam. - Już jest pani bezpieczna, jestem z policji.

Reszta zniknęła we łzach, po czym Juliette zemdlała.

CZEŚĆ DRUGA

Nie umarło co zasnęło przed wiekami,

Nawet śmierć może umrzeć z eonami.

H. P Lovecraft

ROK PÓŹNIEJ

Słońce powoli chowało się za wysokimi wzgórzami West Hills, rzucając na budynki raz cienie, raz perłowe odbłaski. Strzępiaste błyski walczyły w ciszy o chwilę życia, podczas gdy leżące trochę dalej, lśniące rdzawo domy zatapiały się w ochrze, znikając w cieniu nocy. Był to codzienny balet słońca, spektakl którym Joshua Brolin lubił cieszyć oczy, patrząc przez wielką szybę okna swojego biura. „Mała śmierć dnia” - tak nazywał ten moment. Za każdym razem dopadało go wówczas na kilka chwil uczucie smutku, ale wraz z zapadnięciem nocy nastrój szybko mu się poprawiał.

Zbliżał się koniec września, ponieważ jednak wciąż było ciepło, ludzie spędzali wieczory na zewnątrz. Ulice dzielnicy z pubami zwłaszcza tymi, w których serwowano miejscowe piwo, stały się zatłoczone, i to nie tylko przez studentów czy zwykłych przechodniów tęskniących za odrobiną rozrywki, ale również przez turystów, którzy przyjechali do Portland specjalnie, aby poznać przytulne piwiarnie

„Beer-vany”*. Jednak Brolin nie był w nastroju na wizytę w pubie. W miarę jak mijało lato, jego samopoczucie się pogarszało - wesoły humor coraz częściej ustępował zasępieniu, zwłaszcza rano, po przebudzeniu, i wieczorem, tuż po zapadnięciu zmroku. Były to najtrudniejsze chwile samotności.

Starał się odkryć powody tej zmiany. Z natury nie był pesymistą, wręcz przeciwnie; ale nie znalazł odpowiedzi. Cza-_____

* „Beervana” - (od słów beer - ang. 'piwo' i „nirwana” - stan szczęśliwości niebytu) potoczna nazwa Portland, amerykańskiej stolicy produkcji piwa (dziesięć procent krajowej produkcji powstaje w browarach Portland).

sem myślał, że może to efekt rozdźwięku między jego pracą a najzwyklejszym, codziennym życiem. Jak trudno bowiem żyć ze świadomością, że ten sam cudowny dzień, w którym na lazurowym niebie błyszczy słońce, może być wspaniałym momentem dla jednych, a najkoszmarniejszą chwilą egzystencji dla drugich. W sierpniu wezwano go do jednej z północnych dzielnic, do budynku w pobliżu autostrady numer 5.

Przypominał sobie, jak bardzo uderzył go ten kontrast właśnie tamtego dnia.

Rano jechał mustangiem do komendy, słuchał radia, nucił do wtóru piosenkę U2, świeciło wspaniałe słońce. Zapowiadał się przepiękny dzień.

Zaledwie dwie godziny później, będąc już na północy miasta, przekraczał, pogwizdując, próg budynku, żeby ujrzeć prawdziwą masakrę. Dziewczyna miała najwyżej dwadzieścia lat. Afroamerykanka; długie, splecione w warkoczyki włosy. Przedtem musiała być piękna. Gdy ją zobaczył, była już tylko kawałkiem zakrwawionego mięsa - zmasakrowano ją i rozcięto jej brzuch w biały dzień. Nienawiść zmuszająca kogoś do wystawienia na pokaz wnętrzności tej młodej kobiety musiała być odurzająco silna. A wszystko przez zazdrość chłopaka, z którym się spotykała.

Zbrodnie małżeńskie, krwawe morderstwa, agresje seksualne - trzy letnie miesiące na pewno nie były okresem odpoczynku.

Brolin lubił swoją pracę, ale ciążyło mu czasem że nie potrafi pozbyć się towarzyszącego jej napięcia. Sport dawał ulgę ciału, ale jak odciążyć umysł?

Romans bez przyszłości z dziewczyną odpowiedzialną za kontakty z mediami w tatuażu, który wypełnił mu cztery miesiące poprzedniej zimy, był

jego ostatnim doświadczeniem miłosnym.

W wieku trzydziestu dwóch lat, mimo fizjonomii młodego amanta, Joshua Brolin grzązał w bezdennej studni celibatu. Długie okresy samotności przerywały krótkie flirty. Nigdy nie było to jednak nic poważnego. Brolin wyrósł w Logan, małej miejscinie trzydzieści kilometrów od Portland. Dzieciństwo wspominał nawet przyjemnie. Wszyscy mieszkańcy się znali, okolica była pełna zieleni, pól, lasów i wzgórz, a niecałe pół godziny drogi samochodem znajdowało się wielkie miasto. Prawie dwadzieścia lat spędził w tamtych stronach, mając przed oczami kojący widok góry Hood, zanim pojechał do uniwersyteckiego kampusu w Portland. Studia pozwoliły mu się usamodzielnąć (odkrył wtedy, jak to jest kiedy trzeba się samemu zatroszczyć o pranie i prasowanie), a także poznać smak przygód i zawodów miłosnych. Od bezbarwnych flirtów do dwuletniego związku z kobietą, która go zostawiła, jadąc na dalsze studia do Waszyngtonu (ogólnie rzecz biorąc, nie oryginalnego). Później, kiedy zaangażował się we współpracę z FBI, nie miał wiele czasu na poważny związek, każda próba kończyła się więc niepowodzeniem. Z czasem pogodził się z myślą, że może po prostu nie jest stworzony do życia we dwoje.

Gdzieś w oddali promień słońca padł na oszkloną fasadę jednego z budynków, który rozbłysł niczym znicz olimpijski.

„A może pójść do baru albo do restauracji?” - pomyślał Brolin z nutą sarkazmu. Przypomniały mu się słowa matki: „Nikt nie zjawi się samoistnie na progu twojego domu. Musisz trochę pomóc losowi; nie jesteśmy w telewizji, nie wszystko kończy się szczęśliwie!”.

„I nie zawsze źli przegrywają!”

To ostatnie zdanie zjawilo się niespodzianie, wystrzeliło gdzieś z głębi świadomości. Od niedawna pracował nad sprawą kolejnego morderstwa -

spalone zwłoki znaleziono w magazynie w południowej dzielnicy. Było kilka interesujących tropów, ale głównie uczucie, że sprawa ta zabierze dużo czasu.

Spojrzał na zegar nad drzwiami. Dwie po ósmej. Trzeba wracać do domu, odprężyć się i postarać się w ogóle o tym nie myśleć, przynajmniej do jutra.

W tym momencie przypomniła mu się niedokończona wczoraj partia gry Resident

Evil 3, czekająca na konsoli, i uśmiechnął się. Salhindro rze-czywiście miał

rację - chyba nigdy nie uda mu się uwolnić od tego urzędu. Z miejsca znikła i tak niesprecyzowana ochota na kieliszek, a może ewentualnie na jakieś spotkanie.

Brolin wziął marynarkę i wyszedł ze swojego gabinetu nie zadając sobie nawet trudu, żeby uporządkować biurko.

Mieszkał przy Adler Street z drugiej strony rzeki Willa-mette, i droga do domu nie zabrała mu więcej niż dwadzieścia minut. Dwa skromnie i prosto umeblowane pokoje, resztki wczorajszego posiłku pozostawione na stole w kuchni litografia z filmu Otello w reżyserii Orsona Wellesa zawieszona nad kanapą i pokrywająca wszystko warstwa kurzu - jego mieszkanie było typowo kawalerskim lokum.

Brolin włączył laptop i sprawdził pocztę. Nic. Żadnych nowin, ani z pracy, ani od rodziny. Jego matka zdecydowanie przedkładała telefon nad komputer, nie interesowały ją żadne „nowe technologie”, a co do gier wideo, to kategorycznie był wyemulowanym. Minęło już sześć miesięcy, od kiedy zawał-serca zabrał przedwcześnie jego ojca, i matka, Ruth Brolin, musiała sama dawać sobie radę w małym domu w Logan. Dzięki ubezpieczeniu, które wykupił jej mąż kilka lat przed śmiercią, dysponowała sporą rentą i obecnie spędzała długie godziny na nauce malowania, starając się wiernie oddać na płótnie lesisty górski pejzaż widoczny z okna na werandzie.

Joshua nalał sobie szklankę mleka z syropem truskawkowym i usiadł na kanapie. Wielu jego przyjaciół śmieszyło to szczególne zamiłowanie, zwłaszcza w akademii w Quantica gdzie było zdecydowanie w złym guście, żeby członek FBI upodobał sobie podobny napój, ale era Johna Edgara Hoovera dawno minęła i agenci znów mogli dysponować całkowitą swobodą. Niewątpliwie za panowania Wielkiego Szefa. w czasach, gdy cicho mówiono o „mormońskiej mafii FBI”. nie zaakceptowano by podobnej słabości.

„Wagner, Rkkie Lee Jones, Chris Isaak albo partyjka na konsoli!” - pomyślał

Joshua, przenosząc spojrzenie z wieży hi-fi na telewizor i z powrotem.

Jego dwie największe przyjemności Pierwsza pozwalała mu odpoczywać, nie przeszkadzając w rozmyśleniach, druga zaś była tym, co mógł znaleźć najlepszego, aby zapomnieć o stresie męczącym go w ciągu dnia. Gry komputerowe wciągały bez reszty we własny świat, nie pozwalały myśleć o niczym innym; skutecznie odganiały straszne obrazy, które dzień w dzień atakowały wzrok Josha. Był uzależniony od gier do tego stopnia, że kupił

dwie konsole i zainstalował jedną w domu, a drugą w biurze, żeby móc w każdej chwili uciec od rzeczywistości, gdy ta za bardzo mu ciążyła i gdy czuł, że musi choć na chwilę się od niej oderwać.

Po dłuższym zastanowieniu wybrał partię gry Resident Evil 3 przerwana wczoraj w rozstrzygającym momencie. Pół godziny później szarpał

dźwignią jak galernik przykuwającym go łańcuchem. W napięciu pokonywał poszczególne poziomy, powoli zbliżając się do końca. Utonął w świecie wirtualnym. Ledwie usłyszał dzwonek telefonu brutalnie przywołujący go do rzeczywistości.

Zirytowany podniósł słuchawkę, z postanowieniem jak najszybszego zakończenia rozmowy.

- Josh Brolin, słucham.

W słuchawce zabrzmiał kobiecy głos, cichy i niepewny;

- Dobry wieczór, mówi Juliette. Juliette Lafayette. Może mnie jeszcze pamięć...

Zaskoczenie pozbawiło go całego wojowniczego nastroju i Joshua odłożył

dżojstik na dywan, sadowiąc się wygodniej na kanapie.

- Juliette! - przerwał jej, nie wiedząc specjalnie, co powiedzieć. - Co za niespodzianka! Co u ciebie słychać?

Juliette poczuła się zaskoczona tak serdecznym przyjęciem.

-Hm... Cóż, wszystko dobrze.

Brolin zorientował się od razu, że dziewczyna nie mówi prawdy - ton jej głosu zadawał kłam wypowiedzanym słowom: był drżący i o wiele za niski. Gdy Brolin odbierał telefon, spodziewał się, że dzwoni kumpel albo matka.

Juliette była całkowitą niespodzianką.

- Dawno już się nie widzieliśmy - powiedziała Juliette.

- To prawda... Posłuchaj, jest mi naprawdę przykro, że ostatnio nie dzwoniłem. Nie mam żadnego usprawiedliwienia. Mea culpa.

- Nie, nie; to nie o to chodzi. To znaczy, nie masz za co przepraszać, przecież ja też mogłam zadzwonić. Jest remis.

W słuchawce zapadła cisza.

- Wiem, że to brzmi głupio, ale miałam ochotę cię usłyszeć - rzekła po dłuższej chwili Juliette tonem pełnym wahania, mimo że miała czas przygotować się do tego oświadczenia przez długie minuty ciszy Brolin, jeszcze bardziej zdziwiony, nadal milczał.

- Czy ci przypadkiem nie przeszkadzam? - zapytała Juliette.

- Nie, skąd; absolutnie nie.

Brolin podniósł pilota i wyłączył telewizor, który go rozpraszał. Głos Juliette przywoływał w pamięci bolesne emocje.

- Muszę przyznać, że nie spodziewałem się twojego telefonu - powiedział, wyciągając nogi na

kanapie.

- No tak. Właściwie... Właściwie chciałam usłyszeć twój głos. Od zeszłego roku nie mieliśmy tak naprawdę okazji do rozmowy.. To znaczy, do normalnej rozmowy nie na temat tego całego wypadku. Rozumiesz?

Juliette wyrażała się niezręcznie; nie mogła znaleźć słów żeby wyjaśnić nękające ją uczucie, coś między nostalgią a strachem, które zresztą ona sama ok do końca rozumiała

- Właściwie jeszcze ci nawet nie podziękowałam - podjęła. - W każdym razie nie tak na trzeźwo, z dystansem do tego wszystkiego, co się wydarzyło.

Kiedy zaczęłam cuć się

lepiej, straciliśmy się z oczu... Och, nie bierz tego za wymówkę, naprawdę.

Chcę tylko powiedzieć, że kiedy mnie poznałeś, byłam jeszcze w depresji po tamtym wypadku, a teraz, kiedy czuję się lepiej, chciałam ci po prostu podziękować. Szczerze podziękować... Albo: świadomie, jak wolisz.

Brolin klepnął się otwartą dłonią w czoła Spojrzał na kalendarz wiszący na drzwiach kuchennych, wiedząc z góry co zobaczy, Był wtorek, 29 września.

Cały tydzień ścisnęło go w dołku na myśl o tej dacie, a kiedy nadeszła, odegnał myśli o niej tak daleko, że w końcu zapomniał. Dokładnie co do dnia rok wcześniej Juliette została porwana. Ach, jak mógł o tym zapomnieć?! Dziwna lekcja ze strony umysłu: ten dzień był przecież zwrotnym dniem w jego życiu, datą, którą można zapomnieć tylko wtedy, gdy podświadomość tak nakaze. Cały tydzień obiecywał sobie zatelefonować do Juliette w tę rocznicę, a nawet może zaprosić ją na lunch, i siłą rzeczy przez usuwanie tej ponurej daty z pamięci, skończyło się na tym, że rozmyła się w masie codziennych problemów

Już ponad pół roku nie miał kontaktu z Juliette, ale wiedział, że powinien był do niej zadzwonić. Przynajmniej po żeby ją podnieść na duchu.

- Nie dziękuj mi; to raczej ja powinienem cię przeprosić za to, że nie zadzwoniłem. Jak się czujesz?

Odpowiedziała mu cisza.

- Widzę, że nie jesteś w najlepszej formie - podjął. -Może mógłbym ci jakoś pomóc?

- Chciałam tylko usłyszeć twój głos. Dziś mija dokładnie rok... Myślę o tym jak o czymś, co wydarzyło się bardzo dawno, ale wewnątrz mam takie uczucie, jakby to było wczoraj.

Brolin oparł głowę na oparciu kanapy i zamknął oczy.

Całe to gadanie o świadomym wyrażaniu wdzięczności wyglądało trochę na przygotowane wcześniej, pretekst, żeby zadzwonić. Ale kiedy Juliette mówiła, że chciała usłyszeć jego głos, Brolin

czuł, że jest szczerą: taką, jaką ją pamiętał. Ona nigdy nie ukrywała swoich wątpliwości ani lęków.

- Jeśli mogę coś ci poradzić, powinnaś gdzieś wyjść, spotkać się z przyjaciółmi - stwierdził. - Znałem kiedyś kobietę, która została napadnięta, i która co roku szła do restauracji w rocznicę wypadku. Wolała spędzić wesoły wieczór wśród znajomych niż siedzieć w domu, odganiając ponure myśli.

Juliette mruknęła coś pod nosem, niby przytakująco.

- Jesteś z rodziną? - spytał Brolin.

- Nie, rodzice dzwonili przez cały dzień; są ciągle w Kalifornii. Mama chciała przyjechać do mnie na kilka dni, ale udało mi się ją przekonać, że to nie ma sensu, że czuję się zupełnie dobrze

- A czy to prawda? Juliette zawahała się.

- Prawie.

- Jak się nazywa twoja przyjaciółka? Ta, która mieszka niedaleko ciebie?

- Camelia.

- Powinnaś pójść do niej na noc. Nic powinnaś być sama.

- Tak, może masz rację.

Juliette nie za bardzo wiedziała, jak mu wyjaśnić to, co czuje. Jak mu powiedzieć, że nie chce dziś być ani ze swoją rodziną, ani z przyjaciółmi, ale z tą osobą, która uratowała jej życie. Było jej wstyd, że nie utrzymywała z nim kontak-tu, zwłaszcza teraz, gdy słyszała jego głos. Był to głos, który działał na nią uspokajająco; głos tego, który widział, co ona przeżyła, i który ją z tego wyciągnął. To wszystko na szło ją dość nagle, pod koniec dnia. Dziwne uczucie słabości, podczas gdy przewracała kartki swojego podręcznika psychoanalizy DSM-IV tak jakby jakiś ciężar ucisnął jej nagle piersi. Przez cały tydzień wmawiała sobie, że ta rocznica minie niezauważona jak każdy inny dzień. Powtarzała sobie, że denerwowanie się tym jest bez sensu. A jednak nie czuła się dobrze. Nie bała się, że coś jej grozi; raczej mę-czyło ją to, że nie może z nikim o tym porozmawiać. Ani mama, ani Camelia nie rozumiałyby, o co jej chodzi; ich reakcje nie miałyby sensu, ponieważ one tak naprawdę nie mogły wiedzieć, o czym ona mówi. I jeszcze ta miła twarz Joshuy Brolina - bez przerwy widziała ją w wyobraźni. Juliette musiała wreszcie pokonać nieśmiałość i podnieść słuchawkę telefonu, w którego pamięci numer Brolina znajdował

się od prawie roku.

- Ale, ale! Skąd masz mój numer? - usłyszała w tym momencie w słuchawce zdziwiony głos. - On jest przecież zastrzeżony.

Nagła zmiana intonacji w jego głosie i to, że razem pomyśleli o tym samym, rozbawiły Juliette.

- To... To ty sam dałeś mi go w zeszłym roku, na wypa-dek... - oznajmiła trochę ironicznie, zaskakując samą siebie.

Brolin przeklął siebie w duchu, że o tym zapomniał, zastanawiając się, o czym mógł wówczas myśleć, kiedy mówił jej „na wypadek”. Juliette była ładną dziewczyną. „Nawet bardzo ładną”, poprawił się w myślach. Ale on zdecydowa-nie oddzielał pracę od życia prywatnego; od tej zasady nigdy nie robił wyjątków. To była jedna z podstawowych reguł, ja-kie wyniósł z pracy w FBI. Niezależnie od tego, jak Juliette była urocza, on zawsze starał

się postrzegać ją inaczej niż normalny mężczyzna, którego pociągałyby jej uroda i wdzięk. - Ach tak, przypominam sobie - skłamał. - Jeszcze raz ci powiem, posłuchaj mojej rady: w takich chwilach, jak ta dzisiaj, nie siedź

sama, wyjdź między ludzi, rozerwij się. Wątpię, czy ma sens myślenie całą noc o tej historii. Znowu wpadniesz w depresję. Nie staram się umniejszać wagi tego wy-darzenia, chcę tylko, żebyś przestała o nim... myśleć.

Przez kilka miesięcy po uratowaniu Juliette, Brolin interesował się jej terapią. Brała udział w zajęciach organizowanych przez policyjnych specjalistów z zakresu wiktymologii. Poinstruowano ją tam, że należy zaakceptować to, co się stało, trochę tak, jak akceptuje się zgon bliskiej osoby; że trzeba przejść swoistą żalobę, żeby w przyszłości ten koszmar nie wracał i nie dręczył. Dowiedziono jej, że lepiej jest po-rządnie się wypłakać niż starać się o wypadku zapomnieć, usuwając go w kąt świadomości, skąd przez cały czas pod-fruwałby jej organizm. Josh wiedział, że Juliette raczej dała sobie z tym wszystkim radę, że wykazała silną wolę osoby odważnej, ale nawrót cierpienia przy tego rodzaju szoku jest zjawiskiem częstym, głównie zaś wtedy, kiedy przychodzą rocznice tych strasznych dramatów. Juliette westchnęła.

- Jestem głupia. Nie powinnam była do ciebie dzwonić; tak mi przykro.

- Nie mów tak. Twój telefon sprawił mi przyjemność -powiedział cicho. - Tak naprawdę chciałem sam zadzwonić, ale... Byłem trochę zajęty w pracy. Dla mnie również było bardzo ważne to, co zdarzyło się tamtego dnia.

Wyczuwał, że Juliette jest spięta, zagubiona w swoich myślach.

- Chcesz, żebyśmy o tym porozmawiali? - zaryzykował. Uchwyciła piłkę w locie.

- Nie śmiałam cię o to prosić. Bałam się, że pomyślisz, że cię podrywam. Nie sprawi ci kłopotu, jeśli wpadniesz do mnie na chwilę?

Brolin otworzył szeroko oczy. Jej propozycja wykraczała nieco poza granice, które sam sobie wyznaczył. Miał na myśli rozmowę przez telefon, a nie wycieczkę przez całe miasto. Ale cisza w słuchawce nie zachęcała do odmowy; zresztą mógł to dla niej zrobić. Tak naprawdę, mimo całej niezręczności tej sytuacji, Juliette miała w sobie coś, co mu się podobało; co powodowało, że był nią zainteresowany inaczej niż tylko służbowo. Było to coś w jej osobowości, w sposobie bycia.

„Zajrzę tam na godzinę - pomyślał. - Zrobię to dla niej, żeby jej pomóc, a później wrócę do domu”.

- Dobrze, przyjadę. Wyjmij kieliszki i ogrzej kanapę; będę za czterdzieści minut, muszę tylko znaleźć mój teleporter..

Odgadł, że Juliette się uśmiechnęła. No, przynajmniej ją rozweselił.

Biały mustang wjechał do Shenandoah Terrace, luksu-sowej dzielnicy Portland, powoli mijając duże domy zbudowane na wzgórzach ponad miastem. Ulice Shenandoah zamykały stojące naprzeciw siebie dwa duże budynki. Za nimi rósł las. Tu droga się kończyła. Kilka sekund później Brolin stał na ganku mniejszej willi.

„Bardzo przyjemne miejsce - pomyślał, rozglądając się wokoło. - Niewielu sąsiadów, przestrzeń i las, można biegać właściwie pod domem; czego można więcej chcieć?”

Drzwi się otworzyły, Stojąca w nich Juliette uśmiechała się na przywitanie naj-naturalniej na świecie.

- Dzięki, że przyjechałeś - odsunęła się na bok, żeby go przepuścić.

Brolin również się uśmiechnął, trochę zmieszany. Nie bardzo wiedział, jak się zachować. Wiele miesięcy minęło od momentu, kiedy widział ją ostatni raz, i zapomniał już, ile Juliette miała w sobie uroku. Wszedł do przedpokoju z rękami w kieszeniach.

Juliette wskazała mu ręką otwarte drzwi salonu.

- Usiądź, ja tymczasem pójdę po kawę - rzuciła, znikając za drzwiami pomieszczenia, które musiało być kuchnią,

Brolin znalazł się w sercu domu. Był to imponujący salon, zastawiony różnymi siedziskami, fotelami i niskimi stopkami. Znajdował się tam również kominek, tak wielki, że można było do niego wejść nie schylając się.

Powyżej widać było rampę antresoli, dominującej nad pomieszczeniem i nad wielkim francuskim oknem. Joshua poczuł się rozbawiony swoją obecnością w takim miejscu. On, w tenisówkach, starych dżinsach i w znoszonej skórzanej marynarce, zupełnie nie pasował do tych eleganckich wnętrz.

- Mam nadzieję, że kawę lubisz mocną? - zawołała Juliette z kuchni.

Joshua nawet nie próbował wyjaśniać, że nie pije kawy, odkąd przestał palić

- tego wieczoru zrobi wyjątek. Odwrócił się i ujrzał wspaniałego Bósendorfera. Wokół czarnego, błyszczącego fortepianu stało mnóstwo roślin. Brolin podszedł i podniósł klapę, przebiegając delikatnie palcami po klawiszach.

- Grasz? - zapytała Juliette zza jego pleców.

Brolin zamarł z przepaszającym uśmiechem na ustach.

- Nie. Mieliśmy w domu fortepian, ale ojciec nie chciał, żebym go dotykał.

- To idiotyczne. Po co wobec tego w ogóle mieć fortepian?

- Myślę, że zatrzymał go na pamiątkę po swoich rodzicach, ale być może po prostu nie chciał, żeby ktoś inny na nim grał. Nie wiem. A ty?

Juliette zmarszczyła brwi.

- Gram od ósmego roku życia. Myślę, że przy tym nakładzie pracy powinnam być wirtuozem, ale, niestety, ku rozpaczy moich rodziców nie jestem zbyt zdolnym muzykiem.

W policzkach Juliette pojawiły się sympatyczne dołeczki. Brolin patrzył, zaciekawiony jej wesołym nastrojem. Rzeczywiście, zupełnie zapomniał, jak była piękna, z tymi włosami w kolorze hebanu spadającymi kaskadą na ramiona i szafirowymi oczyma. Jej oczy były w istocie tak intensywnie błę-

kitne, że wpatrywanie się w nie mogło pozbawić człowieka rozumu. W końcu uświadomił sobie, że dotąd nie udało mu się określić swojego stosunku do Juliette. Uratował jej życie, spędzili razem trochę czasu tuż po tamtym dramatycznym wydarzeniu, ale ich wzajemne relacje były wówczas zupełnie inne - ona nie była całkiem sobą, on zaś zawsze występował jako policjant, a nie jako przyjaciel. Gdyby się nad tym zastanowić, to fakt, że znalazł się tutaj rok później, był dziwny, jeśli nie zaskakujący. Łączyły ich bardzo trudne przeżycia, zaufanie powstałe na ich tle, ale właściwie zupełnie się nie znali. Kiedy Juliette zaczęła się czuć lepiej, Brolin stopniowo się od niej odsunął. W pracy pojawiły się zresztą nowe problemy, a i on sam nie bardzo chciał utrzymywać zbyt bliski kontakt z tą śliczną, młodą kobietą.

Przez chwilę miał ogromną chęć, żeby dotknąć tych delikatnych, zaciętych warg, a jego spojrzenie powędrowało po obcisłym swetrze, pod którym widać było zarys piersi. Czując że sytuacja zaczyna wymykać mu się spod kontroli, wskazał na trzy kanapy zestawione na kształt litery „U” i zapytał. -

Która z nich jest przeznaczona dla oficerów policji? - Tak, która ci się najbardziej podoba.

Brolin wygodnie usiadł. - Cieszę się, że nie tracisz poczucia humoru - powiedział. - To najważniejsze. - Staram się, jak mogę. Nie była w stanie powiedzieć, że tak dobrze poczuła się dopiero godzinę wcześniej, gdy on zdecydował się przyjechać. Emanowała z niego niezwykle odprężająca siła i spokój. Juliette przyniosła dwie filiżanki bardzo mocnej kawy.

- Powiedz mi, co porabiasz, czym się zajmujesz? - zapytał Brolin.

- Poszłam w twoje ślady - odrzekła natychmiast. - Studiowałeś psychologię, prawda?

- Jeszcze raz zdumiała go jej pamięć. Kiedy zamknięto sprawę Lelanda Beaumonta - „Kata z Portland”, Brolin chciał pomóc jej wyrwać się z koszmaru, który przeżyła. W pewnym sensie pragnął również pomóc sobie, bo i na jego psychice cała ta sprawa pozostawiła niezatarte piętno. Po raz pierwszy w życiu zabił człowieka. Nigdy się do tego Juliette nie przyznał, choć myślał, że właściwie niewiele jej o sobie opowiedział, a oto prawie rok później okazuje się, że ona nie zapomniała nawet tych drobiazków, które musiały ująć jego uwagi. Przez chwilę przeszło mu przez myśl, że być może pamiętała to wszystko, bo on ją w jakiś sposób pociągał, ale zachowanie zupełnie temu przeczyła.

Była miła, ale się nie spoufalala, zachowywała dystans.

- Ależ masz pamięć! - zauważył. - Jestem pod wrażeniem.

- Żeby więc odpowiedzieć na twoje pytanie, dodam, że jestem na ostatnim roku psychologii. Jeszcze trochę pracy

i będę miała dyplom.

- Co chcesz robić później? Masz jakiś pomysł?

- Niezupełnie. Powiedzmy, że to, co zdarzyło mi się rok temu, otworzyło przede mną nowe perspektywy. Podoba mi się tropienie takich potworów.

Może się dostanę do FBI? Na-prawdę idę po twoich śladach!

- Uważaj, żeby nic skończyć w portlandzkiej policji! -odpowiedział żartem Joshua, popijając łyk kawy. Napar był jeszcze gorący; Brolina natychmiast zapiekło podniebienie

i wrócił posmak nikotyny. Fizycznie uświadomił sobie istnienie własnych płuc i zapragnął papierosa. W ogromnym salonie: zapadła cisza. Gdzieś w oddali zegar z wahadłem niezmordowanie odmierzał czas. Skupiając się na Juliette, Joshua

starał się odpędzić łaknienie nikotyny, które wróciło niespodzianie po tak długim czasie.

- Musiało być ci ostatnio ciężko, co? - zapytał.

- Już jest w porządku. Od wielu miesięcy wychodzę wieczorami sama, czasem wracam nawet pieszo od Camelii. Powiedzmy, że uniknęłam agorafobii. Ale przedtem też nie byłam specjalnie towarzyska, i to się nie zmieniło! - wyznała ze szczerym uśmiechem.

- A internet? Wciąż spędzasz czas, buszując w sieci?

- Już dużo mniej! - oznajmiła, unosząc brwi do góry -Zdecydowanie mniej.

Popatrzyła na swoją kawę.

- Sprawilo mi wielką przyjemność, że przyszedłeś, Bro-lin - usłyszała własny głos.

- Josh. Myślę, że tak będzie prościej. Skinęła głową.

- Wiem, to może wydać się głupie, ale potrzebowałam spotkania z tobą -

powiedziała. - Zobaczyć ciebie, żeby przy-

pomnieć sobie, że to wszystko rzeczywiście się zdarzyło, to takie mentalne ćwiczenie, które sobie narzuciłam.

Informacja, że stanowił część mentalnego ćwiczenia Juliette, nie była przyjemna dla Brolina. Trudno mu było ukryć rozczarowanie. Nie chodziło o to, że wyobrażał sobie nie wiadomo co, ale miał przynajmniej nadzieję, że jest bliskim znajomym, jeśli nie przyjacielem.

- Źle się wyraziłam - poprawiła się Juliette. - Chcę pomieć, że zapragnęłam twojej obecności, ponieważ ty wiesz, jak się to wszystko naprawdę odbyło.

Chciałam cię zobaczyć, ponieważ jesteś jedyną osobą oprócz mnie, która to przeżyła i z którą nie czuję się zmuszona rozmawiać o tym, co dokładnie wydarzyło się w tym dniu. Ty to wiesz i możesz mnie zrozumieć. Jeśli potrzebuję zrozumienia, nie muszę wszystkiego opisywać. Rozumiesz?

Rozczarowanie ustąpiło miejsca rozczuleniu. Brolin kiwnął głową.

- Wiesz, co byłoby naprawdę wspaniałe? - rzekł. - Rozpalić w kominku. Już całe lata nie widziałem ognia palącego się w kominku. Potem będziemy mogli sobie pogadać tak jak wtedy, kiedy byłem małym chłopcem.

Dwie osoby leżały wygodnie na dwóch oddzielnych kanapach, okryte kocami. Ogień rzucał bursztynowe błyski na ciemne ściany, a trzask płonącego drewna przerywał ciszę, która panowała w całym domu. Raz na jakiś czas Brolin lub Juliette mówili coś, co wymagało odpowiedzi drugiej osoby. Zapadła noc. Po dwóch i pół godzinie rozmowy z Juliette Brolin zrezygnował z powrotu do domu, do własnego łóżka. Najwyraźniej Juliette go potrzebowała; potrzebowała wyrozumiałego słuchacza, tak jak on potrzebował cieplej obecno-

ści kogoś bliskiego, nawet jeśli to ciepło było tylko ciepłem przyjaźni. Tak było zresztą zdecydowanie lepiej. Powoli zmęczenie skróciło ich zdania do pojedynczych słów i noc zesłała na nich głęboki, spokojny sen.

Larry Salhindro pchnął drzwi do gabinetu kapitana Chamberlina. Niósł kartonowe pudełko pełne pączków kupionych kilka minut wcześniej w drodze na komendę.

- Dzień dobry, Larry - odezwał się kapitan, dla którego poranne wstawanie nigdy nie było problemem.

- Dzień dobry, kapitanie. Pączka? - Salhindro podsunął kapitanowi otwarte pudełko.

- Te świństwa wpędzą cię do grobu pięć lat za wcześnie, Larry. Lepiej byś zrobił, gdybyś uważał na swoją tuszę. Jak tam sprawa handlu kradzionymi samochodami?

- Posuwa się. Kiewtz i Balenger się tym zajmują.

- A zwłoki w magazynie?

Salhindro przełknął ślinę.

- Brolin nad tym pracuje; pomagam mu trochę. Jeszcze nie zidentyfikowaliśmy ciała; staramy się czegoś dowiedzieć na podstawie zdjęć rentgenowskich, które są u lekarza sądowego.

Chamberlin pokiwał głową.

- Larry, nie zapominaj, że twoim głównym obowiązkiem jest koordynacja działań naszych oficerów z ludźmi z brygady kryminalnej, a nie pomaganie Brolinowi. Nie przyzwyczajaj się za bardzo do tego. Nawet jeśli twoja pomoc przynosi wy-niki, pamiętaj, że to nie jest twoje podstawowe zadanie.

Salhindro burknął coś pod nosem, niby przytakując. Już od dwóch lat był

łącznikiem między mundurowymi a brygadą kryminalną, zaś od półtora roku zdarzało mu się współpracować z Brolinem. Na początku współpraca ta polegała na zdobywaniu drobnych informacji, ale później zmieniła się w prawdziwą wzajemną pomoc. W wieku pięćdziesięciu lat Salhindro był porucznikiem, lecz zaawansowane lumbago i ogólnie słaby stan zdrowia spowodowały, że nie wysyłano go już na patrole - ani piesze, ani samochodowe. Przesunięto go na stanowisko oficera łącznikowego, co, jak twierdził, odsuwało go od prawdziwych akcji, gdy więc tylko nadarzyła się okazja, pomagał kolegom z wydziału dochodzeniowo--śledczego.

- Czy on jest już w biurze? - zainteresował się kapitan, wygładzając cieniutkie czarne wąsiki. - Nie sądzę.

- Jeśli go zobaczysz, powiedz, że czekam na niego. Musimy zrobić podsumowanie. I proszę, uprzedź Kiewtza i Balengera, że o jedenastej jest odprawa. Salhindro kiwnął głową i podniósł się z krzesła. Miał już wyjść, kiedy kapitan wyciągnął rękę w jego kierunku. - Ach, daj mi to świństwo, jedno mi nie zaszkodzi.

Kiedy pojawił się Brolin, zegar ścienny wiszący w sali wydziału dochodzeniowo-śledczego wskazywał godzinę dziewiątą pięćdziesiąt. Nieogolony, w ubraniu z poprzedniego dnia, młody inspektor prześlizgnął się do swojego biura jak mógł najdyskretniej.

- No, no! - usłyszał głos, który od razu rozpoznał. - Wygląda na to, że nie nocowaliśmy w domu!

Brolin westchnął i odwrócił się w kierunku brzuchatego oficera o siwych włosach.

- Nie próbuj mnie okłamywać! - ciągnął Salhindro. - Spędziłeś noc z kobietą.

- To nie jest to, co myślisz.

- Tak... Ktoś, kto się broni, zanim jeszcze zostanie oskarżony... Nie udawaj niewiniątka - Salhindro oblizywał palce z resztek lukru. Brolin z rezygnacją machnął ręką.

- Nie wiem, po co się w ogóle z tobą kłócę - powiedział. - To tylko bliska przyjaciółka.

Spojrzenie jakim obdarzył go Salhindro, kazało mu skapitulować. Wszedł do swojego biura.

- Kapitan chce cię zobaczyć, Don Juanie! - usłyszał za plecami przymilny głos porucznika.

Ranek minął bardzo prędko: najpierw raport dla Cham-berlina, później telefony do lekarza sądowego i do labora-torium, i zanim Brolin się spostrzegł, już była pora lunchu. Oczywiście Salhindro doskonale wywiązał

się z obowiązków oficera łącznikowego i wielu inspektorów z przyjemnością zaczęło rzucać za Brolinem niedwuznaczne żarty; zdrabniając jego imię na wszystkie możliwe sposoby

Jedząc sandwicza z salami Brolin zaczął myśleć o minionej nocy: Już bardzo dawno nie rozmawiał z nikim tak szczerze. Pomijając kilka wieczorów spędzonych z Salhin-drem, nieczęsto miał okazję rozmawiać z kimś długo i bardzo otwarcie, a to właśnie zdarzyło mu się tej nocy z Juliette. Począwszy od anegdot z życia osobistego aż do opinii bardziej ogólnych - była to prawdziwa, szczerza wymiana myśli.

To odkrywanie siebie nawzajem trwało kilka godzin. Mim że łączyła ich makabryczna sprawa „Kata z Portland”, Joshua był zdziwiony, jak łatwo przyszły im zwierzenia. Zupełnie jakby byli dwojgiem starych przyjaciół, którzy się długo nie widzieli. Rano, kiedy wychodził, zostawiając karteczkę z podziękowaniem za miły wieczór, Juliette jeszcze spała, otulona kocami.

Teraz zaś czuł się niezręcznie. Dręczyła go ochota, aby do niej zatelefonować i zaproponować jeszcze jedno takie spotkanie, ale bał się, co ona może sobie pomyśleć. Nie chciał wyjść w jej oczach na kogoś samotnego, kto za wszelką cenę pragnie wykorzystać pierwszą napotkaną przyjaźń.

Co najmniej dziesięć minut zastanawiał się, co robić, zanim zdecydował, że zadzwoni do niej pod koniec dnia.

W końcu miał do tego prawo i trudno, jeśli w jej oczach wyjdzie na idiotę.

Rower Rustyego McGeary ego wpadł w poślizg na bitej drodze i chłopiec musiał mocno się wysilić, żeby pokonać stok. Park Waszyngtona był

idealnym miejscem na jazdę rowerem terenowym. Wiele stojących obok siebie wzgórz było porośniętych gęstymi lasami, widocznymi z daleka nad zachodnimi dzielnicami miasta. Lasy te, poprzecinane mnóstwem wąskich i krętych ścieżek, ciągnęły się wielokilometrowym pasem wokół miasta.

Dwunastoletni Rusty często jeździł tutaj rowerem w cieniu drzew. Znał

większość szlaków, zapadlisk i skrótów, które pozwalały mu dotrzeć do danego punktu w najkrótszym możliwym czasie.

Teraz walczył o życie.

Zdyszany, uważnie popatrzył do tyłu, aby się upewnić, że nikt go nie śledzi, następnie zjechał w dół zbocza, gdzie maksymalnie przyspieszył, zagłębiając się jak rakietą między gałęzie. Zdolność koncentrowania się na znalezieniu najkrótszej drogi była obecnie jego jedyną szansą na przeżycie. Jeśli pomyli ścieżkę, nastąpi najgorsze. Jeśli poślizgnie się na zwiędłych liściach, koniec z Rustym McGearym. Nie miał prawa popełnić ani jednego błędu.

Ta myśl rozbudziła w nim jeszcze bardziej szaloną determinację. Stał na pedałach i wyteżył wszystkie siły.

Jechał bardzo prędko. Mijane drzewa i krzewy śmigały obok, przypominając niewyraźne wzory na długim, brązo-wo-zielonym dywanie.

Na wejściu w niewielki zakręt zobaczył nagle przed sobą łączkę z drewnianymi konstrukcjami ścieżki zdrowia prze-znaczonej dla biegaczy. Docisnął pedały, wzbijając chmurę kurzu w suchym, wieczornym powietrzu. Spróbował wstrzymać oddech, żeby lepiej słyszeć.

Nic. Najbardziej męczący, najtrudniejszy do pokonania był lęk przed przeciwnikami. Gdzie byli? Gdzieś blisko? Zbliżali się czy oddalali? Musiał

stać być w ruchu, aby nie dać się złapać, ponieważ gdyby coś takiego się wydarzyło, musiałby się pożegnać ze zwycięstwem.

Nagle w polu widzenia rowerzysty zamajaczyła czyjaś sylwetka: ktoś schodził ze wzgórza z północnej strony. „Będzie na łączce za niecałą minutę”. Rusty nawet nie zastanawiał się nad sytuacją; po prostu rzucił

rower w najbliższe krzaki i uciekł biegiem do lasu. Obszedł dokoła wielki kłęb kolczastych jeżyn i schował się za pniem, żeby odzyskać oddech.

Gdzieś w dali głos tego drugiego rozdarł leśną ciszę: - Rusty! Nie wolno zjeżdżać ze ścieżek! Oszukujesz! Nic go to nie obchodziło. Przestrzegając reguł, znów przegra. Było ich trzech, a on tylko jeden. Nie zamierzał się poddać.

- Rusty! Wiem, że tu jesteś! - rozbrzmiał głos drugiego chłopca. - Mam twój rower!

Zapadła cisza. Serce Rusty ego waliło jak oszalałe. Prze-czuwając jakiś podstęp, chłopiec schylił się i wyszedł z kryjówki, żeby dostrzec, co robi jego przeciwnik. Zobaczył, że Kevin Baines wszedł do lasu, żeby go szukać. Rusty ruszył szybkim marszem - nie wolno mu było się nie ruszać, pod groźbą, że zostanie uznany za martwego. Przebił się przez paprocie, ale szybko zrozumiał, że nie może przemieszczać się po lesie - tym bardziej o tej porze roku - nie robiąc straszego hałasu. Zastanawiał się właśnie, jak ma rozwiązać ten problem, kiedy zauważył ścianę jakiegoś starego budynku.

„Idealna kryjówka” - pomyślał. Przy odrobinie szczęścia Kevin przejdzie obok i może nawet nie zauważy tej ruiny.

Podszedł bliżej, starając się nie nadepnąć na suchą ga-łąź lub na wyschnięte liście. Dom przypominał jedną z tych starych budowli, w których zamieszkiwali na czas pracy dziewiętnastowieczni drwale. Rusty obszedł

kamienną ścianę bez okien, mając nadzieję, że znajdzie jakieś drzwi albo inne wejście. Ze środka dochodziło głucho brzęczenie. Najwyraźniej budynek został przekształcony w stację filtrów lub coś takiego; w środku musiała działać jakaś pompa. Tym lepiej, doskonałe miejsce na kryjówkę. W

końcu Rusty znalazł w drugiej ścianie otwór, wystarczająco duży, żeby móc ię wślizgnąć do wnętrza.

Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął zapalniczkę firmy Zip-po, którą dostał od brata. Zapalił ją. Brzęczenie się wzmogło.

Kevin Aires przemykał między pniami i zaroślami, mak-symalnie wyęzając słuch, żeby nie przeoczyć żadnego dźwię-ku. Dałby sobie rękę uciąć, że Rusty jest gdzieś blisko. Ru-sty nie może wygrać - co to, to nie. Kevin go pokona i to on zostanie „tropicielem-weteranem”. On, nikt inny.

Gdzieś w oddali po lewej stronie zatrzeszczała złamana gałąź i Kevin natychmiast kucnął.

Straszliwy krzyk rozdarł powietrze.

To był Rusty McGearry.

Krzyk przeszywał powietrze przez dłuższą chwilę.

Doktor Sydney Folstom była kobietą mniej więcej czterdziestoletnią.

Wysoka, o surowym spojrzeniu, oneśmielała większość mężczyzn, począwszy od policjantów, z którymi pracowała. Była szefem Instytutu Medycyny Sądowej w Portland. Koledzy bardzo ją cenili, mimo że miała opinię osoby przesadnie drobiazgowej. Lubiła, kiedy praca była dobrze wykonana; nie znosiła robienia rzeczy po łebkach. Kiedy zobaczyła, że minęła właśnie siedemnasta piętnaście, a inspektora Brolina jeszcze nie ma, prychnęła zirytowana i obiecała sobie, że mu to wytknie. Jeśli czegoś naprawdę nie cierpiała, to spóźniania się.

Instytut Medycyny Sądowej w Portland znajdował się niedaleko centrum.

Był to długi budynek z czerwonej cegły,

z wysokimi, ciemnymi oknami, w których czasem pojawia się szybko znikające sylwetki. Przypominał jedną z tych typowych uczelni brytyjskich, wyjętych jakby prosto z angielskich filmów grozy. Wejście główne było zarezerwowane dla rodzin, które przychodziły zobaczyć ciała bliskich w jednej z - jak je tutaj nazywano - sal wystawowych. Personel miał zwyczaj przechodzić tylnym wejściem, przez wewnętrzny dziedziniec i podziemie, czyli korzystać z drogi, którą przywożono do tego przybytku zwłoki na sekcję. Tak też uczynił Brolin. Szedł długim korytarzem wyłożonym jaskrawozielonym linoleum, mijając kolejne prosektoria. Przed jednym z nich wyraźnie usłyszał odgłos piły, która, wibrując, wbijała się w kości czaszki Przyspieszył.

Podziemie, którym szedł, wydawało się bezludną planetą, terenem jakby zarezerwowanym dla zjaw i duchów. Co jakiś

czas do uszu Brolina dochodził szelest fartucha lekarskiego lub odgłos chrząknięcia, ale nie było widać nikogo - jakby wszyscy celowo chowali się za uchylonymi drzwiami. W powietrzu unosił się duszący zapach środków odkażających i Brolin nagle zdał sobie sprawę, że znajduje się pod ziemią.

Ponieważ nigdzie nie ma tutaj okien i nie można porządnie wywietrzyć, środek odkażający jest prawdopodobnie jedyną metodą, żeby poradzić sobie z cierpkim zapachem śmierci. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Minął rząd noszy na kółkach i wbiegł po schodach na parter.

Oprócz poczekalni dla rodzin i pomieszczeń, w których wystawiano zwłoki, na tej kondygnacji znajdowały się jeszcze laboratoria.

Brolin opuścił główny korytarz wejściem dla pracowników i poszedł w kierunku następnych schodów. Po obu stronach widział wielkie szklane okna, za którymi krzątały się w skupieniu grupy kobiet i mężczyzn w białych fartuchach. Skomplikowane urządzenia migotały kolorowymi diodami, podczas gdy grupa techników kryminalistycznych spraw-dzała lub wprowadzała do nich dane; gdzieś dalej stał manekin w pokrwawionej koszuli, który służył do obliczania trajektorii lotu pocisku. Idąc dalej, Brolin minął kilkoro szczelnie zamkniętych, nieprzezroczystych drzwi z napisem

„Nie wchodzić, jeśli pali się czerwone światło”. Niektóre z umieszczonych nad nimi czerwonych

lampek były zapalone. Tutaj przeprowadzano analizy spektrometryczne, fotograficzne i balistyczne; znajdowała się tu również aparatura specjalistyczna, jak laser nit-yag, skaner optyczny czy chromatograf gazowy połączony z komputerem i ze spektrometrem masowym. Cały ten arsenał był przeznaczony do badania każdego najmniejszego śladu. Bateria laborato-ryjnych komputerów mogła zmusić ziarno piasku do zdradzenia swojego pochodzenia, a nawet trasy wędrówek po całym kraju. Było to królestwo Carla DiMestro i Lynn Song, szefów laboratoriów znajdujących się na parterze. Brolin jednak szedł na spotkanie z doktor Folstom, której gabinet znajdował się na piętrze. Ponieważ był

spóźniony, nawet nie szukał Carla, żeby się z nim przywitać - zresztą Carl z pewnością był pochłonięty swoimi tajemniczymi zajęciami - i wszedł od razu na schody Pierwsze piętro wydawało się oazą spokoju, znajdowały się tu bowiem laboratoria toksykologiczne, oddział badań genetycznych i biura kierownictwa. Brolin szybko znalazł drzwi, których szukał; zapukał i wszedł.

Sydney Folstom wstała na powitanie. Nawet najmniejszy kosmyk jej fryzury był na swoim miejscu, a zielone oczy przeszły Brolina jak nóż. Surowa, skupiona twarz nie pozwalała na ocenę, czy właścicielka jest w złym humorze, czy po prostu tak wygląda. Była ładna, ale emanował z niej chłód i coś bliskiego okrucieństwu.

„Skrzywienie zawodowe - pomyślał Brolin i uśmiechnął się do niej. - Życie spędzone na cięciu istot ludzkich, jakby to były kawałki zwykłego mięsa, musi zostawić ślady. Te ślady to stygmaty śmierci. Metafora ta bardzo mu się spodobała. Musi ją zanotować, żeby nie zapomnieć.

- Miło mi pana widzieć, inspektorze Brolin, nawet jeśli stało się to później niż było zaplanowane - rzuciła na wstępie. - Czy to z mojego powodu, czy też w ogóle podoba się panu u nas, bo mam wrażenie, że ostatnio dość często tu pana widuję?

Wyrażała się z tą szczególną starannością osób, które odbyły długie studia.

Prawie dwadzieścia lat ciągłego zwracania uwagi na właściwe, naukowo uzasadnione połączenie słów i myśli, a także pewność siebie będącą rezultatem długich i intensywnych lat zgłębiania i uprawiania medycyny, znaczyły każde jej słowo i każdy gest.

- Jakoś bym się obył bez wizyt tutaj, ale - proszę nie odebrać tego źle - cały ten świat śmierci nie sprzyja mojemu dobremu samopoczuciu - odrzekł

Brolin.

Uśmiechnęła się zimno.

- Przecież pracuje pan w wydziale dochodzeniowo śledczym. Dla mnie to również jest świat śmierci.

- Ale wszystko dzieje się pośród żywych - odgryzł się Brolin tonem, który miał być miły.

Ledwie rozpoczęta rozmowa zaczynała przybierać formę wrogiej wymiany zdań, prawie otwartej walki. Brolin na-tychmiast pożałował, że dał się w to wciągnąć. Wiadomo, że najlepszą taktyką, jeśli

chce się posunąć sprawy do przodu, a ma się do czynienia z osobą upartą lub zdecydowaną dać przeciwnikowi popalić, jest siedzieć cicho.

Doktor Folstom wygładziła spódnicę i wyciągnęła w kierunku gościa torebkę z pastylkami miętowymi.

- Pan stara się zrozumieć życie zmarłego, aby móc ująć jego zabójcę; ja robię to samo, ale zamiast grzebać w jego życiu, grzebię w jego ciele.

Brolin kiwnął głową, ssąc cukierek.

- Jeśli spojrzeć na to pod tym kątem... - Uśmiechnął się szerzej. - Słyszałem, że ma pani coś nowego w sprawie mojej zwęglonej ofiary. Był już najwyższy czas, żeby zręcznie wyplatać się ze słownej potyczki.

Sydney Folstom nie była osobą łatwą w kontaktach, żeby więc zapobiec zaognieniu łączących ich poprawnych stosunków zawodowych, Brolin postanowił ją rozbroić. Szefowa Instytutu Medycyny Sądowej i młody inspektor nie znali się zbyt dobrze. Brolin pracował zwykle z prosek-torami niższymi rangą, ale ostatniej wiosny - kiedy wyniki sekcji nabrały podstawowego znaczenia dla wyniku pewnego śledztwa - postanowił lepiej poznać Sydney Folstom, żeby móc z nią wydajniej współpracować. W ciągu pięciu miesięcy odwiedził ją dziesięć razy, aby przedyskutować różne kwestie techniczne, i chociaż za każdym razem widzieli się najwyżej kilka minut, zaczynał powoli wyrabiać sobie o niej opinię. Surowa, szorstka w pierwszym kontakcie, ale nie złośliwa, może trochę zbyt cierpka... Cóż, stwierdził, to jej sposób, żeby wywalczyć sobie posłuch w męskim świecie policji.

Jakby czytając w jego myślach, Sydney Folstom nagle wyciągnęła rękę i poprawiła włosy swobodnym gestem, co kontrastowało z jej dotychczasową surowością.

- Tak jest, sekcja potwierdziła zabójstwo. Przede wszystkim jednak chciałam panu pokazać kilka zdjęć ciała; zobaczy pan, są bardzo wymowne.

Kiedy wstawiała, żeby wziąć z półki tekturową teczkę, Brolin zrozumiał, że to był jej sposób na zdobycie przewagi. On, który właśnie wyraził niesmak dla tego szczególnie ponurego świata, miał zostać z nim niespodzianie skonfrontowany - i to w kolorze, w powiększeniu, bo tym będzie obejrzenie zdjęć jednego z porozcinanych ciał. Doktor Folstom z pewnością poruszy najbardziej drastyczne kwestie, będzie dokładnie opisywać każdy rodzaj ran, gdyż po pierwsze, jest to sztuka, którą opanowała do perfekcji, a po drugie, będzie w ten sposób mogła wykazać swoją niewątpliwą wyższość w tej dziedzinie nad rozmówcą. Mimo że Brolin był przyzwyczajony do widoku najgorszych rzeczy, nienawidził oglądania pociętych zwłok. Wiedział, że nawet po trzydziestu latach pracy w tym zawodzie będzie wciąż się czuł przy nich nieswojo, tak samo jak jego koledzy Starzy wyjadacze policyjni, których nie rosza widok okaleczonego ciała, to postaci z filmów. Czas i doświadczenie pozwalają co najwyżej nabrać dystansu do sytuacji, lecz człowiek nigdy nie przyzwyczaja się do tego widoku. Nie dość, że ludzie różnią się między sobą, to jeszcze każda śmierć, uwieczniając istotę ludzką w groteskowej, narzuconej pozie, jest inna. Mówi się często, że starość to utrata godności, zaś śmierć to jej odzyskanie - być może, lecz pod warunkiem, że ktoś

przejdzie obok w momencie śmierci i ułoży ciało w pozycji godnej; śmierć bowiem ma to do siebie, że lubi uderzać w chwilach, kiedy się jej najmniej oczekuje.

- Proszę spojrzeć, zaraz pan zrozumie - głos doktor Folstom wyrwał go z zamyślenia.

W tej samej chwili poczuł w kieszeni skórzanej marynarki wibrowanie telefonu komórkowego.

- Bardzo panią doktor przepraszam! - wymamrotał, czując na sobie zniecierpliwione spojrzenie Sydney Folstom.

- Brolin, słucham.

- Joshua, tu Salhindro. Musisz natychmiast przyjechać. W lesie koło zoo znaleziono ciało.

Salhindro wydawał się spięty, jakby dowiedział się właśnie czegoś bardzo przykrego.

- Dlaczego ja? Jestem zajęty zupełnie inną sprawą, Larry.

- Jeśli ciebie o to proszę, to znaczy, że mam swoje powody.

- Posłuchaj, w tej chwili nie mogę, a poza tym ten rejon należy do dystryktu południowo-zachodniego. Czy to jest aż takie ważne?

- To właśnie ludzie stamtąd poprosili, żebyśmy cię uprzedzili. Jak zobaczyli ciało, od razu się zorientowali, że to sprawa-

- Dla mnie? - zdziwił się Brolin, którego powoli zaczynało ogarniać zniecierpliwienie. - A co to ma znowu znaczyć?

- Nie trać czasu na gadanie; czekam na ciebie u wylotu Kingston Drive, niedaleko zoo. Wierz mi, to bardzo ważne.

W głosie Salhindra pobrzmiwało dziwne zdenerwowanie, co było bardzo niepokojącym sygnałem. Brolin się poddał. Wyłączył telefon i popatrzył na doktor Folstom, która zdawała się rozdrażniona tą przerwą zupełnie nie w porę.

- Jest mi bardzo przykro, ale będziemy musieli odłożyć nasze spotkanie.

Mam pilną sprawę - nie bez pewnej ulgi usprawiedliwił się Brolin, wstając.

Sydney Folstom, nie spuszczać z niego wzroku, głęboko westchnęła. Brolin rozłożył przeproszająco ręce.

Tknęło go nieprzyjemne przeczucie kolejnej tragicznej konfrontacji.

Brolin zaparkował swojego mustanga na poboczu. Policyjny radiowóz, dawniej czarno-biała „sroka”, teraz świeżo przemalowany na biało i niebiesko, już czekał, a Salhindro siedział na masce, rozmawiając z innym mężczyzną w mundurze. Dwa samochody policyjne, w tym furgonetka techników kryminalistycznych, stały nieco dalej.

- O co chodzi? - zapytał Brolin, podchodząc do Salhindra. Ten zrobił grymas niesmaku.

- Młoda kobieta. Znalazł ją jakiś dzieciak, który bawił się tutaj z kolegami.

Dwóch policjantów z dystryktu Południowo-Zachodniego przyjechało sprawdzić, czy smarkacze nie dzwoniли dla żartu. Podobno kiedy wrócili, byli biali jak prześcieradła.

- Przyszłali przynajmniej lekarza? - dociekał Brolin.

- Tak; sprawdził, że ofiara nie żyje, ale niczego nie dotykał. Zapieczętowali miejsce i czekają na ciebie.

- Ale dlaczego na mnie? Czy kapitan o tym wie?

- Tak, kiedy zadzwonili do nas ci z dystryktu południo-wo-zachodniego, to właśnie on kazał wezwać ciebie.

Brolin nie mógł zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Był zajęty swoim śledztwem, a tu nagle wzywają go na miejsce innej zbrodni i na dodatek do zupełnie innego dystryktu.

- Może wreszcie mi wyjaśnisz, dlaczego tu jestem? - rzucił w kierunku Saihindra.

Salhindro wymownie zerknął na siedzącego obok policjanta, zanim powiedział:

- Musisz to zobaczyć na własne oczy, inaczej nigdy mi nie uwierzysz.

Kilkadziesiąt metrów w głąb lasu rozciągnięto między drzewami policyjną taśmę, która odgradzała dostęp do zrujnowanego budynku. Kilku policjantów spacerowało po okolicy, wpatrując się uważnie w poszycie i robiąc notatki. Dwóch ubranych w szare bluzy techników kryminalistycznych, z ciężkimi walizkami w rękach, przeglądało skrupulatnie ziemię dokoła domu. Jeden z nich posypywał żółtym proszkiem półmetrową przezroczystą folię, starając się pobrać próbkę z czegoś, co przypominało ślad odbity na kamieniu.

- Technicy czekają na twoje pozwolenie, żeby wejść do środka - uprzedził

Brolina Salhindro.

Brolin kiwnął głową, mimo że wciąż nie rozumiał, dlaczego go tu sprowadzono. Nie mogły być tego przyczyną ani jego stopień, ani reputacja.

W wyższych policyjnych kręgach nikt go specjalnie nie popierał, w każdym razie nie na tyle, żeby chciano mu powierzyć jakąś delikatną sprawę.

Prawda, był jednym z niewielu ekspertów profilujących z doświadczeniem pracy w terenie na etacie w portlandzkiej policji, a nie w FBI, ale to nie tłumaczyło powodu, z jakiego trzymano to wszystko w takiej tajemnicy. Zdecydowanie nie widział żadnego logicznego wytłumaczenia swojej tutaj obecności. A tymczasem wszyscy patrzyli na niego jak na kogoś, od kogo wszystko zależy

Zobaczył, że podchodzi do niego oficer w mundurze.

- Czekaliśmy na pana, inspektorze Brolin - usłyszał. - Porucznik Horner z dystryktu południowo-zachodniego. Mieliśmy już wyznaczyć kogoś od nas, kiedy sierżant Faulings opisał nam ofiarę.

Nagle Brolin pomyślał o Juliette. Serce zaczęło walić mu w piersi i oczyma wyobraźni ujrzał jej drobną twarz skąpaną we krwi. Nie, to niemożliwe; nikt nie wiedział, że oni się widują, w każdym razie na pewno nie wiedzieli o tym policjanci z tutejszego dystryktu,

- Dobrze, ale co to takiego? - zniecierpliwiał się. - Co takiego spowodowało, że pomyśleliście o mnie?

Oficer w mundurze wymienił spojrzenie z Salhindrem.

- Ofiara, panie inspektorze... Salhindro machnął ręką.

- Chodź, Josh, sam zobacz.

Pociągnął go w stronę walącego się domu. Kiedy stanęli przed wejściem, Salhindro zapalił latarkę.

Do uszu Brolina dobiegło dziwne brzęczenie. Obaj mężczyźni stanęli przed wielkim otworem w murze. Po kamieniu pięły się długie macki bluszczu, niemal zupełnie zasłaniając to jedyne wejście. Patrząc na otwór z miejsca, w którym stał, Brolin odniósł nieprzyjemne wrażenie, że znajduje się na progu gigantycznych ust, które cierpliwie czekają, aż między pędami bluszczu pojawi się kolejny kęs.

W nozdrza uderzył go cierpki odór - Brolin nie musiał zgadywać, jaki widok czeka ich we wnętrzu. Przypomniawszy sobie że kiedy pierwszy raz poczuł gazy wydobywające się z gnijącego ciała, przyrównał je do zapachu utrzymującego się w niewietrzonym pomieszczeniu, w którym leży chory cierpiący na ostrą biegunkę. Ale to porównanie nigdy go nie rozśmieszyło; wręcz przeciwnie.

Salhindro pochylił się i znikł w otworze, Brolin wszedł zaraz po nim.

Opuścili królestwo światła i znaleźli się w otchłani ciemności. Smród stał się silniejszy, jakby te morowe wyziewy zbierały się zbyt długo bez żadnego przewiewu. Obaj odkasznęli z obrzydzeniem.

Omiatali podłogę strumieniem światła, uważając, żeby się nie potknąć. W

czymś, co dawniej musiało być parkietem, pozostały nieliczne, powyginane i spróchniałe klepki, pomiędzy których wyrastało zielsko. Wszędzie roilo się od robactwa. „W powietrzu wisi śmierć!” -

pomyślał Brolin. Zarośnięty otwór, przez który weszli, nie przepuszczał wystarczającej ilości światła, żeby można było cokolwiek zobaczyć. Drzwi i okna pozatykano kamieniami, jakby ktoś chciał hermetycznie zamknąć dom, upodabniając go do grobowca.

Kilka metrów w głąb panowały już zupełne ciemności. Prowadził ich tylko snop światła latarki Salhindra. Powoli posuwali się naprzód. Chwilami snop światła przesuwał się po ścianach pokrytych cienką warstwą wilgoci oraz mchem i pęcherzykowatymi grzybkami. Na podłodze leżało mnóstwo kamieni, starych butelek po piwie oraz kawałków drewna wygryzionych przez termyty.

Brzęczenie się wzmogła Przypominało buczenie elektrycznego transformatora miejskiego.

Oczy Brolina powoli przyzwyczajały się do ciemności i wąski promień światła latarki, którym Salhindro oświetlał teren przed nimi, zaczął

wystarczać. Ale wokół nich królowała nicość; dom ginał w ciemnościach i jedynie pasmo światła robiło wyłom w tej nierealnej próżni Ostrożnie stawiali krok po kroku w tej niewyraźnej niepewności płaskiego wymiaru ograniczonego nocą, istniejącego tylko w mgli-stej smudze światła. Było to tak, jakby znajdowali się gdzieś na krańcu świata, zagubieni w ciemnej otchłani, z dala od

wszystkiego. Nie dochodził do nich żaden dźwięk poza tym ciągłym brzęczeniem, do którego, chcąc nie chcąc, stale się zbliżali. I ten obrzydliwy smród, który coraz bardziej ich osaczał, oblepiając całe ciało mdłymi mackami. Brolin słyszał oddech kolegi w tym ohydny zaduchu i starał się skoncentrować na tym, co widział przed sobą.

W tej samej chwili, kiedy stopa Brolina wpadła między zmurszałe klepki, rozgniatając coś lepkiego, a zardzewiały gwóźdź wbił mu się przez spodnie w skórę nogi nad kostką, z głębi domu doszedł do ich uszu głuchy trzask.

Brolin wyciągnął rękę, żeby nie stracić równowagi, i złapał za rurę od starego pieca. Natychmiast poczuł na dłoni jakieś robactwo.

- Wszystko dobrze? - zapytał Salhindro, kierując na niego światło latarki.

- Tak, ale ja nie cierpię tego świństwa! - Brolin z irytacją potrząsnął dłonią, żeby zrzucić nieproszonych gości

Delikatnie wysunął stopę z dziury w podłodze i poma-cał bolącą kostkę.

- Cholera, skaleczyłem się. Ciepła krew pociekła mu po palcach.

- Już prawie jesteśmy: ona jest za tą ścianą w głębi.

Słuchając Salhindra. Brolin uświadomił sobie, że rozmawiają szeptem, jakby to miejsce wzbudzało w nich strach albo szacunek.

„To jest naprawdę grobowiec” - pomyślał.

Znów zaczęli ostrożnie stawiać kroki Podłoga trzeszczała im pod stopami Dom opanowały kolonie pajaków. Brolin nie przypominał sobie, żeby gdziekolwiek widział ich aż tyle na tak małej przestrzeni. Ściany były gęsto pokryte warstwami lekkich jak mgła, drgających na wietrze pajęczyn, po których biegały maleńkie stwory na ośmiu nóżkach. Były ich tutaj setki. Od maleńkich do ogromnych, wielkich jak spodki. Biegały po swoich jedwabnych obrusach jak wygłodzone drapieżniki. Brolin czuł się coraz bardziej osaczony: zewsząd

Powały go lepkie ciemności miał wrażenie, że tysiące in sektów i pajaków ocierają się o niego, gotowe do ataku. Im dalej wchodził, tym bardziej podziwiał chłopca, który odkrył ciało. Trzeba było naprawdę dużej odwagi, żeby się tu zagłębić, nawet jeśli się założy, że dzieci często są znacznie mniej wrażliwe niż się powszechnie uważa. Tylko ciekawość w połączeniu z podniecającym uczuciem strachu mogła skłonić dziecko do wędrówki w ciemnościach.

Światło latarki wydobyło na chwilę z nicości pomarań-czową masę podobną do galarety Była to wydzielina jakiegoś rudego grzyba.

Patrząc na ten obmierzły świat stopniowo pojawiający się w zasięgu ich wzroku, obaj mężczyźni mieli wrażenie zagłębiania się w przypominającej mrowisko górze zgniłych śmieci, coraz silniej wydzielającej odór rozkładającego się ciała. Minęli zarobaczoną ścianę. Salhindro zatrzymał się i dotknął ramienia Brolina.

- Nie najprzyjemniejszy widok - uprzedził grobowym głosem.

Światło latarki przecięło zakurzone powietrze i zatrzymają się na podłodze tuż przed nimi. Na niej.

Porzuconej na zer dla stada brzęczących much.

Cieniutki promyczek słońca wślizgnął się przez szparę między dwoma kamieniami muru i oświetlił nagą łydkę, podkreślając biel zimnego ciała.

Kilka jasnych włosów sterczało ze skamieniałej nogi, utrwalonych na zawsze w swoim bezruchu.

Latarka oświetliła resztę ciała.

Kobieta była naga; wokół niej na ziemi widniała ciemna otoczka. Dziesiątki much kłębiło się przy każdym otworze ciała, naturalnym czy nie, żeby przysiąść na chwilę i złożyć jaja.

Brolin przesunął wzrokiem po nogach w kierunku miednicy i zrobiło mu się niedobrze. Z pochwy kobiety wystawał trzonek noża, wokół którego widać było zaschnięty wyciek. Nagle spod noża wychynęło coś tłustego i czarnego, gmera-jąc kończynami w celu wydostania się z miejsca uczy, której oddawało się w towarzystwie setek pobratymców.

- O Boże! - Brolin przyłożył dłoń do ust.

Światło latarki oświetliło całe ciało i Brolin zrozumiał powód swojej obecności.

Młoda kobieta leżąca bez życia w chmurze insektów pożerających jej wnętrzności nie miała obu

przedramion. Ręce zostały obcięte na wysokości stawów łokciowych.

Gorzej: czoło było jedną rozplataną raną, jakby zostało skąpane w kwasie Wizytówka „Kata z Portland”.

Wizytówka umarłego.

Juliette przekręciła klucz w zamku i weszła do domu. Wystukała szyfr alarmu, żeby go wyłączyć, i położyła na kanapie rzeczy, które miała w ręku.

Dzień na uczelni był długi i męczący, biegała z jednej sali wykładowej do drugiej; spędziła też pięć godzin w bibliotece, robiąc notatki do pracy semestralnej. Wszystko, czego obecnie pragnęła, to odpoczynku i kolacji przed telewizorem.

W korespondencji znalazła list od rodziców. Matka pisała, że zamierzają raczej kupić dom niż coś wynajmując, dając do zrozumienia, że w najbliższej przyszłości nie zjawią się w Portland. List pełen dobrego nastroju i słońca z San Diego, jak skwitowała go Juliette, wyobrażając sobie matkę tryskającą zdrowiem. Alice Lafayette starała się spędzać

w Portland jeden weekend miesięcznie, żeby zobaczyć córkę; czasem, kiedy spółka, dla której mąż pracował, łaskawie zgadzała się dać mu wolną sobotę, towarzyszył jej Ted. Ogólnie jednak Juliette nie czuła się samotna. Sprawiało jej nawet pewną przyjemność rozporządzanie swoim życiem według własnej woli - miała dwadzieścia cztery lata i samodzielność przychodziła jej bez trudu. Dwa razy w tygodniu rozmawiała z matką przez telefon, a niedaleko mieszkała jej najbliższa przyjaciółka Camelia.

Nie, Juliette wcale nie tęskniła za „normalną” rodziną. Po-rwanie, które zdarzyło się rok wcześniej, uczyniło ją bardziej nieufną, ale nie zmieniło jej sposobu życia. Główna część pracy nad sobą, której dokonała na seansach pomocy psychologicznej, polegała na zaakceptowaniu tego, co się stało.

Przede wszystkim nie należało zamykać się jak ostryga z cierpieniem w sercu; należało się otworzyć, zrozumieć, że chociaż zostało się w tak straszny sposób zaatakowanym, to nie przeszkodzi to w dalszym udanym i harmonijnym życiu. Tak też Juliette uczyniła. Długo płakała; wraz ze łzami pozbyła się strachu, a radość z prostej prawdy, że przecież żyje, pomogła jej odzyskać pewność siebie. Ten potwór nie żył i nie mógł się cieszyć ze zrujnowania jej życia. Przez pierwsze tygodnie po tej przerażającej historii wielokrotnie przeżywała scenę egzekucji; przeważnie nie mogła zasnąć, bardzo cierpiała i nie umiała nad sobą zapanować. W ośrodku pomocy psychologicznej położono duży nacisk na terapię antystresową.

Psychoterapeuci wyjaśnili jej, że to, co przeżywa, to są właśnie symptomy silnego stresu posttraumatycznego. Obie strony intensywnie pracowały nad tym, żeby ów stres znikł. Wyjaśniono jej wszystkie fazy tego procesu i obecnie Juliette wiedziała, że całkowicie odzyskała równowagę. Należało się liczyć z moż-

liwością nadejścia „stresu opóźnionego”, jak nazywali to zjawisko doświadczeni terapeuci w ośrodku, tak więc Juliette, biorąc to pod uwagę, starała się trzymać w ryzach i nie poddawać przygnębieniu. Z początku Brolin bardzo jej pomógł; przez pierwsze miesiące często wpadał z jakimś małym prezentem. To było przemiłe.

Później wciągnęło go jakieś śledztwo i spotykali się rzadziej. Miesiące mijały, widywali się coraz

mniej i w rezultacie zupełnie stracili się z oczu. Przypominało to sytuację, gdy planuje się skontaktować z dawnymi kolegami z klasy, ale wciąż się to odkłada, aż w końcu nadchodzi moment, że nie wiadomo, gdzie się oni podzieli.

Wspomagana przez Camelię i rodziców, którzy spędzili w Portland wiele tygodni po jej dramacie, Juliette powoli doszła do siebie i znów stała się tą samą co przedtem samotnicą. Musiała nawet naciskać na rodziców, żeby zgodzili się wrócić do San Diego, kiedy minęło półtora miesiąca terapii, w której jej pomagali, Juliette ceniła sobie spokój, lubiła mieć cały dom dla siebie i podobało jej się że od nikogo nie zależy i że nie musi się nikomu opowiadać.

Jednak wydarzenia sprzed roku zostawiły pewien ślad na jej psychice - od tamtego czasu Juliette szybciej podejmowała decyzje. Nigdy przedtem nie potrafiłaby tak po prostu zatelefonować do Josha Broлина i poprosić go, żeby do niej wpadł. Zrozumiała, że musi przemóc nieśmiałość, że życie jest tak nietrwałe i że trzeba się czasem przełamać, aby zrobić coś pożytecznego dla siebie. Tamtego wieczoru, kiedy naszło ją przygnębienie, obecność Broлина przyniosła jej prawdziwą ulgę. Zrozumiała, że nie chodziło tylko o to, że był

przy niej wtedy w trudnym momencie, ale również o to, że wraz z nim pojawiło się w domu coś nowego: męska obecność. Nigdy nie sądziła, że będzie na nią wrażliwa. Ze swoimi żartami i poważnym, niskim głosem, Brolin był kimś bliskim i miłym tak więc Juliette wspominała ten wieczór z prawdziwą nostalgią.

Nagle spostrzegła, że myśli o nim z przyjemnością, że pragnie nowego spotkania, kolejnego wspólnego wieczoru, który doda jej otuchy i po którym zaśnie spokojnym snem, tak jak ostatnim razem.

„Co za głupstwa chodzą mi po głowie! - pomyślała. - Jeśli opowiem to Camelii, znów zacznie gadać, że się zakochałam”.

Tak naprawdę Juliette nie wierzyła, że może się zakochać w Joshui Brolinie.

To nie była żadna miłość; wrócił po prostu rodzaj przywiązania. Nie widzieli się od kilku miesięcy i było rzeczą oczywistą, że spotkanie po tym, co razem przeżyli, stworzy więź. A jeszcze ta różnica wieku... Przeszkadzało jej trochę, że on był już po trzydziestce. Co prawda, według Camelii, „w starym kotle gotuje się najlepszy rosół”, ale... Juliette potrząsnęła głową, żeby odrzucić te myśli: nie chciała więcej zawracać sobie tym głowy.

Podniosła pilota i włączyła telewizor, żeby pomieszczenie wypełniło się czyjąś obecnością - obecnością bezosobową, która nie ingeruje zaborczo w ciszę. To właśnie lubiła Juliette.

Nawet nie spoglądając na ekran, żeby zobaczyć, o czym mówią w wiadomościach, Juliette poszła do kuchni przygotować sobie tacę z przekąską.

Początek wieczoru spędziła na kanapie, jedząc i bez zainteresowania oglądając dość nudny film na wideo. Zagłębiała się w myślach, aż podskoczyła, kiedy powietrze przeszył dźwięk dzwonka przy drzwiach.

Była prawie dziewiąta wieczorem.

Juliette zerwała się z kanapy i zakręciło jej się w głowie. Opierając się o ścianę w oczekiwaniu, aż zawrót głowy minie, podeszła powoli do drzwi. Na zewnątrz zobaczyła tylko nieprzebraną ciemność nocy. Światło na ganku było zgaszone - zapomniała wymienić żarówkę.

- Kto tam? - zapytała Juliette głosem, który zabrzmiał nie tak pewnie, jak by sobie tego życzyła.

- To ja, Camelia.

Uspokojona, Juliette odblokowała zamki i otworzyła drzwi. Camelia stała na progu, a na jej twarzy widniał wyraz napięcia. Juliette od razu zauważyła, że coś jest nie w porządku.

- Co? Co się dzieje? - spytała.

- Mogę wejść?

Juliette przeprosiła przyjaciółkę, odsunęła się i wpuściła ją do wnętrza.

- Widzę, że nie oglądasz wiadomości - stwierdziła Camelia. - Jak tylko to usłyszałam, od razu przyszłam. Nie chcę, żebyś w takiej sytuacji siedziała sama w domu.

- Ale o czym ty mówisz?! Co się stało?! - Juliette poczuła, jak nagle pojawia się strach i przenika ją do głębi.

- Chodź.

Camelia wyprzedziła Juliette w drodze do salonu i nastawiła kanał lokalnej telewizji. Na ekranie pojawił się dziennikarz współpracujący z programem informacyjnym. Stał na brzegu lasu i mimo telewizyjnych reflektorów, które rzucały snop światła na najbliższe drzewa, wyraźnie było widać panującą wokół noc

- ...ciało zostało znalezione późnym popołudniem przez kilkunastoletniego chłopca i w chwili, kiedy zwracam się do

państwa, policja jest jeszcze na miejscu zbrodni. Podobno ciało jest straszliwie okaleczone, a ze źródeł jeszcze niepotwierdzonych przez policję wynika, jakoby zbrodnia ta miała wiele wspólnego z morderstwami dokonanyimi w tych okolicach ponad rok temu przez człowieka nazywanego

„Katem z Portland”.

Juliette poczuła, że drży. Zaczęły trząść się jej ręce.

- ...rzeczywiście, wydaje się, że ofierze obcięto ręce na wysokości stawów łokciowych, choć informacja ta nie została jeszcze potwierdzona przez policję. Przypomnijmy, że Le-land Beaumont, „Kat z Portland”, zabił...

Camelia wyłączyła telewizor i podeszła do Juliette, przytulając ją delikatnie.

- Nie chciałam, żebyś usłyszała to, będąc sama. Wiem, że to już stara historia, ale jak cię znam...

Juliette głęboko westchnęła i powoli wypuściła powietrze z płuc.

- To jakiś wariat bez wyobraźni. Leland Beaumont zginął od strzału w głowę

- wyszeptała.

- No tak... Chciałam się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku. To rodzaj wiadomości, która...

- Wszystko w porządku - zapewniła ją Juliette. Camelia popatrzyła w błękitne oczy przyjaciółki, starając się odczytać z nich prawdę.

- Zrobię nam herbaty! - zaproponowała po chwili. Juliette uśmiechnęła się słabo i kiwnęła potakująco głową.

- Rozumiem, panie kapitanie. Dobrze.

Brolin rozłączył się i schował komórkę do kieszeni. Z tyłu miał Salhindra w jego ulubionej pozie - siedzącego na masce policyjnego radiowozu.

- I co mówi kapitan? - zapytał.

- Mówi, że mam zostawić śledztwo w sprawie zwęglonych zwłok i zabrać się za to. - Brolin zmarszczył brwi, mocno zirytowany.

- Rozumiem, że chce, żebym ja wrócił. Brolin pokręcił głową przecząco.

- Myślę, że zależy mu na jak najszybszym rozwiązaniu tej fatalnej historii. W

każdym razie, zanim dorwie się do tego prasa. Ale na twój temat nic nie mówił. Jedź, jeśli chcesz się tym zająć.

Salhindro się wyprostował.

- A po co mam tam jechać? Przywitać się z myszami na strychu i ze szczurami w piwnicy? Daj spokój, tu czeka nas kupa roboty.

Zmrok zapadł już przed dwiema godzinami. W oddali dwóch ludzi z noszami torowało sobie drogę między drzewami, mijając reflektory ustawione na trójnogach. Na techników kryminalistycznych, którzy kończyli porządkować notatki i szkice, czekała już furgonetka. Brolin przyglądał się tej surrealistycznej scenie: mocne reflektory pośrodku lasu, łąka skąpana w czerwonym pobłysku migających świateł wozów policyjnych, ostatnie błyski aparatu fotografa śledczego, szum i brzęczenie radia w radiowozie.

W ustach miał kwaśny smak kurzu - efekt kilku kwadransów spędzonych w tym zdewastowanym domostwie na oględzinach ciała. Pierwszą rzeczą, którą zrobił, było ustalenie w przybliżeniu czasu śmierci. Stężenie pośmiertne było całkowite, Brolin wiedział, że ten proces - rezultat kurcze-nia się mięśni po śmierci wskutek zmian biochemicznych -kończył się przeważnie dwanaście godzin od chwili zgonu, a następnie cofał się po dwóch dniach, co w tym wypadku oznaczało, że młoda kobieta musiała umrzeć co najmniej dwanaście, a najwyżej czterdzieści osiem godzin wcześniej. Trop był więc jeszcze świeży.

Po tych makabrycznych oględzinach Brolin wezwał dwóch techników kryminalistycznych, Scotta Scacciego i Craiga Nove. Najpierw przynieśli pod ruiny generator, aby zainstalować silne halogeny. Następnie przeszukali możliwie najdokładniej wnętrze zniszczonego domu. Przynieśli swój cały arsenał: lampę ksenonową do zbadania środowiska biologicznego, drukarkę elektrostatyczną, żeby znaleźć ślady bu

ów, ninhydrynę, azotan srebra, czerń amidową i fiolet kry staliczny do badania odcisków palców...

Ale miejsce zbrodni było bardzo naruszone - najpierw przez chłopca, który znalazł ciało, później przez dwóch policjantów i lekarza, którzy byli na miejscu jeszcze przed Salhindrem i Brolinem. Poza tym włóczędzy, których musiało być co najmniej kilku, na co wskazywała obecność rozmaitych śmieci pochodzących z różnych okresów.

Craig ze Scottem zebrali do plastikowych torebek mnóstwo próbek włosów, sierści i jeszcze niezidentyfikowanych substancji organicznych, a następnie sfotografowali całość pod różnymi kątami polaroidem CU-5, który przy każdym zdjęciu wyrzucał z siebie tysiące iskier. Wzięto również grudki ziemi dla entomologa, który miał potwierdzić czas śmierci, analizując insekty znalezione na zwłokach. Bralin nie wtrącał się w to specjalnie; oddał się swojemu zajęciu. Przy całym tym zamieszaniu i hałasie nie mógł wystarczająco dokładnie zapoznać się z miejscem zbrodni, żeby móc nasiąknąć jego atmosferą. Wiedział, że będzie musiał wrócić tu później, ale poprosił, aby zrobiono jak najwięcej fotografii budynku, a przede wszystkim

- zanim zaczęto dokonywać rutynowych oględzin - ciała. Przez większość czasu swojej pracy w FBI badał sceny zbrodni na podstawie raportów policji albo lekarza sądowego i zdjęć. Głównym powodem jego frustracji było to, że właściwie nigdy nie miał okazji być na miejscu zabójstwa. Wiedział, że podstawową sprawą w ustalaniu profilu psychologicznego mordercy jest uczestniczenie w każdej minucie śledztwa, a przede wszystkim obecność w miejscu egzekucji ofiary. Żeby zacząć myśleć tak jak zabójca, odczuwać tak jak on, żeby móc go zrozumieć, trzeba, cały czas o nim pamiętając, znaleźć się fizycznie tam, gdzie dokonał mordu.

Brolin patrzył, jak ludzie z laboratorium w ostrym świetle reflektorów transportują przez las nosze z ciałem w czarnym plastikowym worku.

Podszedł do niego Craig Nova, jeden z techników kryminalistycznych, niski czterdziestoletni

mężczyzna, któremu włosy obrastały błyszczącą czaszkę na podobieństwo wieńca laurowego. Mimo całej sytuacji starał się zachować dobry humor.

- Zrobiliśmy wszystko, co było można, ale na rezultaty trzeba będzie chyba poczekać, tyle tam było tego różnego gówna - powiedział, wycierając sobie czoło chusteczką. - Wszystko zbadamy, ale nie spodziewaj się cudów. Znale-

liśmy tyle śladów stóp, tyle włosów, że samo czytanie raportu zajmie ci kilka dni. Ta rudera była meliną włóczędzów.

Brolin westchnął. Początek śledztwa był zawsze skomplikowany: oznaczał

poruszanie się po omacku, bez żadnych konkretnych elementów, na których można by się oprzeć. Inspektor miał nadzieję, że pierwsze raporty naprowadzą ich na jakiś trop.

- Ale mogę ci już podać prawdopodobny czas śmierci - podjął Craig.

Wyciągnął z jednej z wielkich kieszeni kombinezonu notatnik i książeczkę pełną skomplikowanych schematów i diagramów.

- A więc... więc tak. Sprawdziliśmy przed pobraniem temperatury za pomocą termopary, że nie miała żadnych ran przy odbyciu. Nie jestem lekarzem sądowym, ale mogę ci przynajmniej powiedzieć, że nie było sodomii. Przed chwilą rozmawiałem ze stacją meteorologiczną w Portland. Podali mi średnie temperatury w tej okolicy - dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza przez ostatnie czterdzieści osiem godzin, bez specjalnych wahań.

Brolin znał na pamięć tę procedurę, polegającą na kojarzeniu różnych danych dotyczących amplitud temperatur i wagi ciała: zestawiało się je, biorąc pod uwagę liczne skomplikowane współczynniki korekcyjne, i w rezultacie można było otrzymać w przybliżeniu godzinę zgonu. W

przeciwieństwie do tego, co często widzi się w filmach, określenie momentu śmierci nie jest wcale łatwe, zawsze bowiem istnieje ryzyko popełnienia błędu.

- Wagę ofiary ocenia się na pięćdziesiąt pięć kilogramów, a temperatura zmierzona w odbyciu wynosiła dwadzieścia sześć stopni Celsjusza - ciągnął

Craig Nova. - Jeśli weźmie się pod uwagę, że kobieta była naga, a w pomieszczeniu panowała wilgoć...

Craig Nova otworzył notes i poszukał szablonu krzywej i tabeli poprawek.

Ołówkiem wykreślił trzy linie i pokiwał głową, patrząc na swój zegarek, który wskazywał kilka minut po dwudziestej drugiej.

- Wychodzi dwadzieścia godzin. Z marginesem błędu można założyć, że zgon nastąpił tej nocy między północą a czwartą rano. To by się zgadzało ze stanem stężenia pośmiertnego.

Dziewczyna musiała więc zniknąć ostatniej nocy. To pomogłoby w identyfikacji, chyba że była więziona przez kilka dni, ale nie była ani związana, ani nie miała śladów więzów j

na kostkach u nóg, więc raczej chyba nie. Craig pstryknął palcami.

- Byłbym zapomniiał.

Wyciągnął kilka zdjęć przedstawiających twarz ofiary

- To do wstępnej identyfikacji - rzekł. Brolin wziął fotografie i włożył je do kieszeni.

- W porządku, Craig; dzięki. Proszę, gdy tylko coś będziesz wiedział, jak najprędzej daj mi znać.

- Tym zajmie się już Carl DiMestro - technik machnął dłonią na pożegnanie, dorzucając lekko ironiczne „dobranoc”, po czym znikł w furgonetce, w której jeden z asystentów kończył układanie wielkich waliz z wyposażeniem specjalistycznym.

Brolin odwrócił się i zobaczył, że Salhindro rozmawia z oficerem o nazwisku Horner. Zapewne wyjaśniał mu, że z powodu zaistniałych okoliczności śledztwo przypadnie nie im, ale inspektorowi Brolinowi. Bogaty program.

Był tu zaledwie trzy godziny, a już miał złe przecucia. Dość długo oglądał zwłoki, uważnie wszystkiemu się przyjrzał i rzeczywiście musiał

przyznać że podobieństwo z ofiarami "Kata" było ewidentne. Ale Leland Beaumont od dwunastu miesięcy przebywał sześć stop pod ziemią w charakterze pokarmu dla robactwa. Czyżby miał następcę, który obecnie zmanifestował w ten sposób swój podziw? Ten, kto to uczynił, chciał

pokazać wszystkim, jak bardzo cenił "dzieło" Lelanda Beaumonta. W

żargonie policyjnym zjawisko takie określa się słowem „copycat”, papugowanie. Copycat to rodzaj seryjnego mordercy, który występuje bardzo rzadko, ale który przeważnie jest wyjątkowo niebezpieczny.

Motywacja jego postępowania rodzi się na tle fascynacji i zazdrości, które żywi wobec jakiegoś słynnego zabójcy a to pociąga za sobą potrzebę nie tylko zabijania w taki sam sposób, ale również prześcignięcia „mistrza” w liczbie ofiar. „Kat z Portland” zdążył przed śmiercią zabić trzy kobiety.

Brolin pokręcił głową. Było za wcześnie, żeby wyciągać jakiekolwiek wnioski. Powinien bardzo dokładnie przestudiować raport lekarza sądowego i fotografie z miejsca zbrodni.

Lekarz sądowy, który dokonał pierwszych obserwacji, jakby wyczuł, że bardzo liczone na jego opinię, podszedł bowiem do Brolina. Pracował, tak jak wszyscy lekarze sądowi z Portland, pod kierunkiem doktor Folstom.

Brolin nie mógł się powstrzymać i uśmiechnął się w duchu, przypominając sobie minę, którą zrobiła, kiedy oznajmił, że musi natychmiast ją opuścić.

- Craig zapewne już panu powiedział, inspektorze, że określiliśmy mniej więcej prawdopodobny czas śmierci. Rzecz jasna, sekcja przyniesie dużo więcej szczegółów.

Lekarz zawahał się, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje, po czym dodał:

- Widział pan, co jej wepchnięto w krocze?

Brolin przytaknął milcząco, skupiony.

- Co za dewiant mógł zrobić coś podobnego! - zdumiał się lekarz.

- Ktoś porządnie stuknięty! - rzucił Salhindro, podchodząc do obu mężczyzn. - Ktoś porządnie stuknięty!

Z oddali dobiegł odgłos zatraskiwanych drzwi samochodów, które powoli szycowały się do odjazdu.

- Dobrze. Sekcja będzie jutro, zapewne po południu. Czy będzie pan obecny?

- zapytał lekarz Brolina.

- Jakby nie było dosyć tego, co już widzieliśmy! - zarechotał Salhindro.

- Będę. Proszę powiedzieć lekarzowi, który będzie przeprowadzał sekcję, żeby na mnie poczekał. Wpadnę tam zaraz po południu - uprzedził Brolin martwym głosem.

Obecność podczas sekcji, dająca dużo więcej niż lektura samego raportu, była bardzo pomocna w zrozumieniu mechanizmów, które popychały zabójcę do działania. Naoczna re-konstrukcja działań mordercy pomagała wyszczególnić każdy jego gest przy zadawaniu ran, a więc również emocje, jakie nim w danym momencie targały Brolin nie był bynajmniej zachwycony tym obowiązkiem: asystował już przy niejednej sekcji i wiedział, że każda z nich zostawiała w wyobraźni nieprzyjemne obrazy i była źródłem niezdrowej słabości, która zasadzała się w mózgu i potrafiła dręczyć przez kilka kolejnych nocy. „Mam za swoje!” - pomyślał, przypominając sobie, jak zbył

doktor Folstom, kiedy tego samego dnia rano chciała mu pokazać zdjęcia przeprowadzonej przez siebie sekcji.

Salhindro spojrzał na niego z przerażeniem w oczach.

- Tak czy inaczej, jeśli szef się dowie, że tam z tobą poszedłem, wyśle mnie do segregowania poczty - rzucił. - Przykro mi, ale nie będę ci towarzyszył.

Lekarz sądowy wskazał na stojący nieopodal ambulans.

- Muszę zakonserwować pannę młodą. Zawiadomimy pa na o sekcji, inspektorze - powiedział, ruszając w kierunku karetki.

Salhindro nie spuszczał wzroku z Brolina. Zamyślony Joshua jakby tego nie widział.

- Nad czym tak się zastanawiasz? - zapytał Salhindro, poprawiając pasek na wydatnym brzuchu.

Zerwał się lekki wiatr. Las skrywał się powoli pod chłodnym płaszczem nocy. Migające światła ostatnich aut policyjnych znikwały w oddali, pogrążając obu mężczyzn w ciemnościach, ledwie oświetlonych małą żarówką na podsufitce mustanga. Kontrast między powoli powracającym spokojem i zamieszaniem panującym w lesie przez kilka ostatnich godzin był przejmujący. Zabrano wielkie reflektory, a wraz z nimi jasność, która bezwstydnie oświetlała miejsce zbrodni. Natura powoli upominała się o swoje prawa, z powrotem zarzucając na świat całun ciemności i tajemnicy. Brolin milczał dłuższą chwilę, zanim odpowiedział:

- Ten facet; ten morderca... Zastanawiam się, jaki będzie jego następny krok.

Skóra świeżo ogolonych policzków paliła go od wody kołońskiej. Brolin spał

tylko pięć godzin i kiedy, doprowadziwszy się do porządku, o wpół do ósmej wylądował na komendzie, był jeszcze niezupełnie dobudzony. Postarał się jak najszybciej znaleźć w windzie, nie chciał bowiem słuchać niosących się po całym parterze wrzasków osób aresztowanych w nocy. Na piątym piętrze, w wydziale dochodzeniowo-śledczym, było spokojniej, a przynajmniej takie odnosiło się wrażenie. Brolin nie wszedł jednak od razu do swojego gabinetu, ale udał się do działu identyfikacji. Był już tutaj kilka godzin wcześniej, przed powrotem do domu, żeby oddać zdjęcia ofiary w celu porównania ich z fotografiami osób zaginionych.

Dyżur miał Max Leirner; to on odebrał od niego zdjęcia w środku nocy. Na widok Brolina przez jego zmęczoną twarz przebiegł grymas rozczarowania.

- Przykro mi, ale nic nie znalazłem. Porównałem zdjęcia ze wszystkimi, które mamy, a nawet ze zdjęciami z wydziału dla nieletnich, i nic -

powiedział, zanim jeszcze Brolin zdążył otworzyć usta.

- Porównałeś to z listą ogólnokrajową?

- Tak, ale na razie bez rezultatu.

Brolin zagryzł wargi. Jeśli kobieta pochodziłaby z Kalifornii czy Idaho, z pewnością sprawę pod pretekstem przekroczenia granic federalnych przejęłoby FBI.

- Dzwonź do mnie, jeśli tylko coś będziesz miał, i przekaż sprawę następnej zmianie

Max Leirner kiwnął potakująco głową i Brolin poszedł do swojego gabinetu.

Był spięty; źle spał tej nocy i wiedział.

że dzień, który go czeka, będzie długi i przyniesie mnóstwo problemów. To dziś dowie się, jakie są pierwsze opinie lekarza sądowego, ludzi z działu identyfikacji i grupy, która poszukiwała potencjalnych świadków. Brolin doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Często właśnie w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin decydowało się, czy śledztwo pójdzie w konkretnym kierunku, czy też okaże się bagnem bez dna.

Wchodząc do swojego gabinetu, zobaczył niespodziankę: pudełko pączków. Od razu się domyślił, kto je tutaj przyniósł. Czy ten Salhindro nigdy nie śpi?

Musiał już zebrać meldunki od sierżantów z nocnych patroli. Na pudełku dostrzegł na~ bazgrane szybko zawiadomienie: „Odprawa o ósmej u kapitana”. Brolin rozpoznał pismo przyjaciela.

Kilka minut później popchnął drzwi, na których odbita na kserokopiarce wizytówka „Kpt.

Chamberlin" zapowiadała, do czyjego królestwa się wkracza. Kapitan, mężczyzna pięćdziesięcioletni, wysoki i chudy, był typem osoby znerwicowanej. Miał kościstą sylwetkę, spiętą twarz poraną zmarszczkami, a nad górną wargą zadbany czarny wąsik. Żelazną ręką trzymał

swoją ekipę; wymagał, ale potrafił docenić wysiłek ludzi, dlatego podwładni bardzo go cenili. Brolin, gdy tylko zjawił się w tym wydziale, wiedział, że będą się rozumieli - i rzeczywiście, mimo że nigdy nie narodziła się między nimi przyjaźń, dwa następne lata potwierdziły pierwsze wrażenie Brolina.

W pokoju zebrało się już kilka osób i mimo wczesnej godziny w powietrzu wisiał ciężki zapach tytoniu. Kapitan Chamberlin, który kierował wydziałem dochodzeniowo-śledczym, stał w towarzystwie swojego zastępcy, Lloyda Meatsa, Salhindra, czyli oficera łącznikowego, oraz dwóch mężczyzn w eleganckich garniturach, których Brolin nigdy dotąd nie widział. Inspektor skinął głową w kierunku całej grupy i zajął miejsce przy wielkim biurku.

- Inspektorze Brolin, oto nasz prokurator okręgowy Gleith i pan Bentley Cotland...

Kapitan zawahał się, jakby szukając odpowiednich słów i po chwili dodał:

- ... który będzie jego zastępcą. Brolin się zachnął. Obecność Gleitha można było jeszcze wyjaśnić, w końcu był to zwierzchnik prokuratury w Portland, ale jego zastępca nie miał tu nic do roboty, a już z pewnością nie powinien uczestniczyć w odprawie poświęconej rozpoczynającemu się właśnie śledztwu. To nie wróżyło nic dobrego, jakby na potwierdzenie tych złych przeczuć, kapitan Chamberlin zwrócił się do Brolina:

- Ci panowie są tutaj, aby przyrzeć się naszej pracy. Szczególnie zależy im na tym, by przyszedł zastępca prokuratora pan Cotland, mógł się zapoznać z naszymi metodami operacyjnymi, zanim obejmie swoje stanowisko. Brolin zaklął w duchu. Ci biurokraci będą jeszcze wsadzali nos w jego sprawy?

Jakby bez tego nie miał dość kłopotów.

Chamberlin zauważył zdenerwowanie Brolina, wzrokiem nakazał mu więc milczenie.

Zabrał głos prokurator Gleith. Ten dobrze się prezentujący czterdziestokilkulatek był przede wszystkim politykiem i choć starał się być miły jego głos, stanowczy, ale w najmniejszym stopniu nie agresywny, brzmiał fałszywie, zaś oczy, co Brolin od razu zauważył, błyskały tym cynicznym światłem, które charakteryzuje ambitnych mężczyzn żądnych władzy.

- Naszym celem nie jest przeszkadzanie panu w pracy, tylko troska o wyszkolenie mojego zastępcy. Chciałbym, aby w momencie objęcia swoich obowiązków był całkowicie świadom tego, jak działa nasza policja, nie tylko w teorii, ale i w praktyce. Dlatego, inspektorze, ten młody człowiek będzie panu towarzyszył przez cały czas trwania obecnego śledztwa, które, mam nadzieję, nie będzie ciągnęło się w nieskończoność, prawda?

Brolin poczuł, jak wzbiera w nim złość. Zdając sobie jednak sprawę z tego, przed kim stoi,

pohamował się.

- Panie prokuratorze, w tej chwili nie jestem w stanie nic powiedzieć na ten temat. Wie pan, że śledztwo nie rozwija się tak jak plan polityczny; nie można zaplanować go w najmniejszych szczegółach. Posuwamy się do przodu w miarę znajdowania nowych informacji.

Wyczuł, że rozdrażnił prokuratora, na którego twarzy pojawił się jednak

„politycznie poprawny” uśmiech.

- Muszę dodać - ciągnął Brolin - że to może okazać się niebezpieczne i że nie możemy w żaden sposób zagwarantować bezpieczeństwa osób z zewnątrz podczas...

Prokurator Gleith przerwał mu, podnosząc rękę.

- Bentley nie będzie jeździł z wami w teren; w każdym razie na pewno nie wtedy, kiedy będziecie łapać winnego. Ma po prostu przyglądać się pańskim działaniom z odległości. Proszę tylko, żeby zaakceptował pan jego obecność jako bezstronnego obserwatora czy stażysty, jak pan woli.

Każdy z obecnych w pokoju zrozumiał, że to nie była żadna prośba, lecz rozkaz. Brolin zauważył również, że prokurator odnosił się do Bentleya bardzo ciepło, mówił do niego po imieniu i tonem ojcowskim. Przez chwilę zastanawiał się nawet co tych dwóch mężczyzn których dzieliło dobre dwadzieścia lat, mogło łączyć.. Czy byli krewnymi czy może. Głos szefa wyrwał go z rozmyślań,

- Dobrze więc, teraz możemy wrócić do tego, co nas interesuje - odezwał się kapitan Chamberlin, który nie chciał, aby dyskusja zeszała na niebezpieczne tory - Oto fakty Wczoraj kilka minut po siedemnastej chłopiec odnalazł

okaleczone ciało jeszcze niezidentyfikowanej młodej kobiety Po pobieżnych oględzinach okazało się, że rany były takie same, jakie zadawał swoim ofiarom w zeszłym roku „Kat z Portland”, czyli Leland Beaumont. Ponieważ sprawę „Kata z Portland” rozpracował z sukcesem inspektor Brolin, koledzy z dystryktu południowo-zachodniego woleli nas o tym zawiadomić.

Chamberlin spojrzał na Brolina.

- Jeśli się nie mylę, stwierdził pan wstępnie, że chodzi o takie same okaleczenia.

Brolin przytaknął.

- Czekam jeszcze na wyniki sekcji, żeby ostatecznie to potwierdzić, ale wszystkie okaleczenia były takie, jakie od kryliśmy na ofiarach Lelanda Beaumonta. Chirurgiczne niemal cięcie na poziomie łokcia, a przede wszystkim rana wypalona kwasem na czole. Ta ostatnia sprawa nie daje mi spokoju.

Bentley Cotland, który do tej pory cały czas milczał, nagle otworzył usta.

- A to dlaczego?

Brolin natychmiast wbił w niego wzrok. Nie znał go, ale wiedział, że go nie polubi. Bentley Cotland, zarozumialec z równym przedziałkiem pośrodku fryzury, wbity w ten swój szyty na miarę garniturek z kamizelką... Wydawał

się bardzo młody z pewnością niedawno skończył uniwersytet. Brolin, mimo że niewiele od niego starszy, nigdy nie okazywał podobnej arogancji.

Zdecydowanie za młody jak na zastępcę prokuratora.

- Ponieważ nikt nie wie, że „Kat z Portland” oblewał kwasem czoła swoich ofiar - wtrącił Saihindro.
- Przez całe poprzednie śledztwo staraliśmy się to ukryć przed prasą, a później nie było powodu, żeby wracać do makabrycznych szczegółów.

Bentley Cotland nie okazał żadnego zdziwienia.

- Myślę, że to ułatwia wyciągnięcie wniosków. Jeśli nikt oprócz was i mordercy nie wie o tym kwasie, to jeśli znajdziecie tak samo okaleczone ciało, możecie być pewni, że to on zabił. To znaczy... Ale ja myślałem, że Leland Beaumont został zastrzelony.

Brolin westchnął w myślach. „A to dopiero as dedukcji! - przebiegło mu przez głowę. - Choć może raczej kretyn Wyuczyl się prawa na pamięć, ale z myśleniem to u niego kiepska...”

- Tak jest - potwierdził Salhindro. - Leland Beaumont nie żyje od roku.

- A zatem, kto inny może wiedzieć o kwasie? Jakiś policjant? - zapytał

Bentley Cotland, dumny, że bierze udział w śledztwie.

Brolin zaczynał rozumieć, dlaczego wsadzono im Ben-leya Cotlanda.

„Jeszcze jeden maminsynek wprowadzony po znajomości na teren zupełnie mu nieznan. Narobi nam u niezłego gnoju!” - pomyślał.

- Dobrze, panowie. W tej chwili nie ma sensu wyciągać pochopnych wniosków - rzucił Chamberlin, obejmując wszystkich wzrokiem. - Brolin, niech się pan zabiera do pracy, Meats będzie panu pomagał, a Salhindro ma być gotów, gdyby potrzebował pan patroli do przeczesania terenu. Panowie, chciałbym, żeby sprawa była rozwiązana jak najszybciej i bez wpadki. Z

czymś takim, bądźcie pewni, prasa będzie nam deptać po piętach. Proszę więc, żadnych głupstw.

Spojrzał na prokuratora.

- Panie prokuratorze, czy ma pan coś do dodania? Prokurator podniósł się z krzesła.

- Pozostaje mi po prostu wszystkim podziękować za współpracę i życzyć powodzenia.

Jego wzrok zatrzymał się dłużej na Brolinie, po czym prokurator pożegnał

się i wyszedł. Reszta również zaczęła zbierać się do wyjścia. Kapitan Chamberlin przywołał Brolina gestem dłoni.

- Tak, panie kapitanie?

- Proszę chwilę zostać; mam panu coś do powiedzenia. Brolin zaczekał, aż wszyscy wyszli, po czym zamknął

drzwi.

- Wiem, że nie chce pan mieć na głowie tego Bentleya... Brolin przytaknął t już chciał coś powiedzieć, ale Chamberlin podniósł głos o ton, zmuszając go tym samym do milczenia.

- ...ale nie ma pan wyboru, gdyż ja go nie mam. Bentley Cotland jest siostrzeńcem prokuratora Gleitha, dlatego, mimo młodego wieku, został

mianowany na to stanowisko.

No tak, stąd ta poufałość między prokuratorem a młodym zastępcą. Brolin pokiwał głową z niechęcią. Kapitan Chamberlin mówił dalej:

- Gleith rządzi tym miastem; mówi się, że ma w ręku burmistrza... za jakąś historię z łapówkami podczas kampanii wyborczej... A burmistrz to również nasz szef.

Chamberlin obszedł biurko, stanął obok Brolina i położył mu rękę na ramieniu.

- Jedno, o co pana proszę, to żeby zniósł go pan przez kilka dni. Po prostu niech go pan wszędzie ze sobą bierze, a po tygodniu nieprzespanych nocy spędzanych na sekcjach czy na wizjach lokalnych będzie błagał wuja, żeby odesłał go za biurka

Brolin przełknął ślinę. Milczał.

- Nie mamy wyboru. Liczę na pana, Brolin. Chamberlin poklepał go przyjacielsko po ramieniu. - I błagam, tylko spokojnie...

Profesor Thompson postukał w tablicę piórem.

- Syndrom sztokholmski to zachowanie, można by powiedzieć, paradoksalne

- wyjaśnił, wskazując schemat wykreślony kredą. - Jest to zaskakujący stan psychiczny, gdyż podlegająca jego wpływowi ofiara przechodzi na stronę napastnika. Nazwa tego zjawiska pochodzi od wydarzenia, które odnotowano w Szwecji w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Otóż podczas porwania zakładnicy okazali sympatię, a nawet pełne zaufanie do swoich porwaczy. Doszło do tego, że w momencie, kiedy siły porządkowe uwalniały porwanych, wzięli oni stronę przestępców, a następnie odmówili złożenia skargi i zeznawania przeciw nim. W koń-cu, rzecz wyjątkowa, jedna z ofiar kilka lat później poślubiła tego, który ją porwał.

Cała grupa studentów była pod wrażeniem tej niewiarygodnej historii, która, gdyby była filmem, zostałaby potraktowana jako nieprawdopodobna; wręcz śmieszna.

Juliette patrzyła na tablicę, ale nie słuchała. Uczestniczyła w tym wykładzie rok wcześniej, a profesor Thompson omawiał znany jej już temat niemal tymi samymi słowami. Myślami była daleko od sali wykładowej; rozsądek przestał hamować emocje. Znow ogarnęła ją trwoga, która pojawiła się wraz z wiadomością, że ktoś popełnił identyczną zbrodnię jak „Kat z Portland”.

Leland Beaumont.

Leland Beaumont nie żył. Juliette doskonale pamiętała osuwające się na ziemię ciało i rozplataną czaszkę trafioną kulą z pistoletu Brolina. Prasa jak zwykle przedstawiła zdarzenie w sposób bardziej sensacyjny niż prawdziwy. Z pewnością niedługo się okaże, że ta nowa zbrodnia wcale nie jest aż tak podobna do morderstw Lelanda. Uwaga wszystkich skupi się wówczas na zatrzymanym mordercy, jakimś biedaku, który nie ma absolutnie nic wspólnego z Lelandem Beau-montem. „Tak to się zawsze odbywa” -

pomyślała Juliette.

Camelia nocowała u niej, żeby Juliette poczuła się pewniej, bo tak naprawdę była poruszona, mimo że długo starała się udawać obojętność wobec tej nieprzyjemnej nowiny. Lecz co czuła naprawdę? Czy rzeczywiście to wszystko dla niej już dawno minęło; czy z czystym sumieniem mogła machnąć ręką na tamte wydarzenia, powiedzieć sobie: „Niewiele mnie to obchodzi. A właściwie, nie obchodzi mnie zupełnie”?

„Oczywiście, że tak nie jest. Na samą myśl o Lelandzie Beaumontzie krew ścina ci się w żyłach! Przyznaj się, jesteś przerażona!”

Juliette zauważyła, że znow trzęsie jej się ręka, tak samo jak wtedy, gdy w środku nocy obudziło ją jakieś skrzypnięcie, a Camelia spała. Tymczasem był to tylko podmuch zachodniego wiatru.

Profesor Thompson mówił coś, stojąc koło tablicy. Juliette jak zza zamkniętych drzwi usłyszała coś

na temat „bezpośredniej i pośredniej wiktylizacji”, nie starając się nawet przypomnieć sobie dokładnej definicji tego pojęcia.

„Nie powinnam była przychodzić na ten wykład! - pomyślała. - Co za niedołęga ze mnie! Chcę zdobyć dyplom z psychosocjologii, a nie jestem w stanie zdiagnozować samej siebie. Powinnam była dziś zostać w domu, tak jak radziła Camelia”.

Ale Juliette знаła na pamięć pierwszą, fundamentalną zasadę psychoanalizy: nie można badać ani swoich bliskich, ani siebie samego, ponieważ w takich sytuacjach znika obiektywny stosunek do pacjenta.

„Wracam do domu. Zrobię sobie filiżankę dobrej, gorącej herbaty, poczytam książki na ćwiczenia, żeby nadrobić za ległości, a wieczorem tabletkę na sen i do łóżka! Jutro rano wszystko będzie lepiej!”

Coś nie brzmiało zbyt szczerze w tej jej autoperswazji, ale wiedziała jednak w tym momencie, co.

Wszyscy zaczęli się podnosić z ławek. Okazało się, że Juliette nawet nie usłyszała, że wykład się skończył. Podszedł do niej chłopak, Thomas Bloch, Brock czy jakoś tak. Uśmiechał się szeroko. - Obserwowałem cię. Wygląda na to, że niespecjalnie pasjonujesz się wykładami Thompsona! - oznajmił.

Juliette schowała niezapisany notes do torby i uśmiechnęła się słabo.

- Wydaje mi się, że nic nie zanotowałaś - zauważył. - Jeśli chcesz, pójdziemy do kafeterii i przejrysz sobie moje notatki.

Mimo wyglądu surfera, z tymi długimi i spłowiałymi od słońca włosami, wydawał się szczerzy i sympatyczny. Cerę miał matową i złotawobrazową, jak wszyscy młodzieńcy, któ-

rzy całe lato spędzają na kalifornijskich plażach. Spojrzenie miał radosne, uśmiech naturalny. Emanowała z niego prawdziwa łagodność. W innych okolicznościach Juliette być może zaakceptowałaby jego propozycję.

- Nie, dziękuję ci; miły jesteś, ale nie - powiedziała, zarzucając torbę na ramię. - Chodziłam już na te wykłady w zeszłym roku; teraz bywam na nich tylko tak, dla przypomnienia...

Skierowała się ku drzwiom, przez które przepychał się tłum roześmianych studentów.

- W porządku, rozumiem. Przygotowuję pracę na temat paradoksu syndromu sztokholmskiego; jeśli chcesz, mogę ci wyjaśnić niuanse...

Juliette zatrzymała się i popatrzyła na niego.

- Słuchaj... Thomasie. Doceniam twoje starania, ale to nieodpowiedni moment, gdybyś więc mógł mnie zostawić w spokoju...

Dzięki.

Odwracała się właśnie, żeby odejść, kiedy rzucił w jej kierunku uwagę, której się nie spodziewała:

- To z powodu tej wczorajszej zbrodni, prawda? Wiem, co ci się przydarzyło w zeszłym roku, opowiedzieli mi i...

Juliette przez chwilę zamurowało, ale szybko zebrała się w sobie.

- Nie, nic nie wiesz. Zostaw mnie w spokoju! - odpowiedziała rozzłoszczona.

Odwróciła się i niemal biegiem przemierzyła słabo oświetlony korytarz.

Czuła, jak do oczu napływają jej łzy, i wbiła sobie paznokcie w dłonie. Czy nie mogli się od niej odczepić? Nagabywania ze strony mediów, jakich padła ofiarą zaraz po wypadku, spowodowały, że teraz na uczelni prawie wszyscy znali jej twarz. Na szczęście, zainteresowanie sprawą wygasło równie szybko, jak się narodziło. Ale żeby znieść konsekwencje tego przez całe życie

- nie, na to nie miała siły. Wszystko, czego chciała, to żeby zostawiono ją w spokoju. Żeby o niej zapomniano.

Kiedy znalazła się na świeżym powietrzu, wzięła głęboki wdech, żeby się uspokoić. Niebo było szare, pokryte ciężkimi chmurami; nadchodził październik, jak co roku zwiastując burze i deszcze. Juliette zaczynała żałować, że tak ostro obeszła się z tym biedakiem. Z pewnością nie chciał jej zranić; to ona źle zareagowała. Może rzeczywiście chciał jej tylko pomóc.

„Bez przerwy się czepiasz” - zarzuciła sobie w myślach.

W budce telefonicznej obok młoda studentka roześmiała się serdecznie.

Juliette aż podskoczyła.

„Cholera, naprawdę muszę wracać do domu i jakoś się odprężyć!” -

pomyślała.

Ale perspektywa siedzenia samej w wielkim domu jakoś jej nie pociągała: wiedziała, że gdy tylko zacznie zapadać zmrok, będzie podskakiwać ze strachu, słysząc najmniejszy niespodziany hałas. Z pewnością nie będzie mogła spać.

Po raz pierwszy od dawna zaczęła żałować, że nie ma z nią rodziców.

Wprowadzali do tego domu tyle życia! Ale matka z pewnością zasypywałaby ją wciąż pytaniami, chciałby się upewnić, że córka dobrze się czuje, rozpieszczałaby ją, a Juliette tego nie chciała.

Wyobraźnia podsunęła jej obraz Josha Broлина. Przypomniało się jej, jak dobrze się z nim czuła, jaki był wesoły i dowcipny, jak udało mu się ją rozbawić. Nie musieli wcale wracać do tego. co ona

przeżyła; on to wszystko dobrze wiedział i to podobało jej się w nim najbardziej. No tak, Joshua Brolin.

Bez dłuższego zastanowienia Juliette szybkim krokiem przeszła przez trawnik kampusu w kierunku pierwszej wolnej budki telefonicznej.

Zadzwoiła do informacji, zdobyła numer Komendy Głównej Policji w Portland, połączyła się z biurem kryminalnym i poprosiła o bezpośrednie połączenie z wydziałem dochodzeniowo-śledczym.

- Wydział dochodzeniowo-śledczy, słucham! - powiedział zimny kobiecy głos.

- Czy mogę rozmawiać z inspektorem Brolinem? - zapytała.

- Kto mówi?

- Juliette Lafayette.

- Chwileczkę.

Juliette oparła się o szybę budki. Po chwili w słuchawce znów zabrzmiał głos recepcjonistki:

- Inspektor Brolin jest chwilowo nieobecny. Czy mogę coś przekazać?

- Hm... Nie, to nic ważnego. Dziękuję bardzo. Juliette rozłączyła się i wykręciła numer domowy. Automatyczna sekretarka. Oparła się chęci wysłuchania nagrania do końca i skapitulowała. Zawiedziona, opuściła głowę. Stała tak przez moment

Nie powinnam mu się narzucać. Muszę wziąć się w garść. Nie mogę się załamywać. To wszystko już minęło, od dawna nie istnieje; nie mogę wpadać w panikę z powodu pierwszego lepszego morderstwa. Muszę być silna. Już dość się napłakałam; teraz trzeba wziąć się w garść i przejść do następnego etapu, do nowego życia".

Zrobiła głęboki wdech i wydech.

„To jest jak zadanie do wykonania; jak test, który trzeba zdać, żeby definitywnie uwolnić się od problemu - powtórzyła w myśli. - Jeśli uda mi się samodzielnie dać sobie z tym radę, będę mogła na zawsze wykreślić tę historię z mojego życia i nigdy już o niej nie myśleć".

Poprawiła torbę na ramieniu i poszła do samochodu.

Biały volkswagen garbus wyjechał na Shenandoah Terrace. W środku rozbrzmiewała głośna muzyka. Juliette podśpiewywała do wtóru Beatlesom, kiedy zauważyła, że przed jej domem stoi furgonetka. Zwolniła.

Sterczące z dachu wozu anteny przypominały zarośla metalowej trzciny. Na bokach furgonetki znajdował się napis „KFL Portland” - symbol lokalnej stacji telewizyjnej.

A więc przyjechali do niej dziennikarze. Z pewnością siedzieli w furgonetce, spokojnie czekając, aż przyjedzie, żeby zarzucić ją mnóstwem pytań. Na pewno chcieli się dowiedzieć, co ona na to, że jakiś facet wzoruje się na

„Kacie z Port-land”. Dobrze by było, żeby się popłakała czy zrobiła jakieś inne głupstwo, które uatrakcyjniłoby widzom wieczór.

Juliette przyjrzała się dokładnie furgonetce, której silnik wciąż pracował.

Przez okno kierowcy wydobywał się dym; po chwili czyjaś ręka wyrzuciła na środek jezdni niedopałek papierosa.

- Niedoczekanie wasze! - rzuciła przez zaciśnięte zęby Garbus wycofał się na Cumberland Road i pojechał w kierunku dystryktu północno-zachodniego.

Nie minęło kilka minut a auto stało już na szczycie wzgórza, skąd rozciągał

się widok na całe miasta. Około pięciuset metrów w prawo znajdowała się ta część lasu, w której ukrywała się wilk Juliette, ale było pewne, że biała furgonetka wciąż tam czeka.

Dziewczyna odwróciła głowę w przeciwną stronę i weszła po schodach prowadzących na ganek domu Camelii.

Jeśli dziennikarzom zależy, żeby z nią pogadać, będą musieli uzbroić się w cierpliwość i spędzić noc na świeżym powietrzu.

Brolin wszedł do swojego gabinetu i ujrzał Bentleya Cotlanda, który posłusznie czekał przed wielkim oknem. W świetle słonecznym materiał jego eleganckiego garnituru lekko połyskiwał i Brolin nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc, że zastępca prokuratora, na pozór stojący cierpliwie z założonymi rękami przy oknie, w istocie przeglądał się w szybie.

- A zatem, jak mam się do pana zwracać? Panie zastępcu Cotland?

- Ach, nie! Przecież nie między nami... Proszę mówić do mnie Bentley.

Zależy mi na tym, żeby mój pobyt tutaj absolutnie nie zwrócił niczyjej uwagi.

„«Przecież nie między nami»... Niedługo zaczniesz się do mnie zwracać używając tych wszystkich frazesów, w któ-

rych jest oblatany, żebym zrozumiał, że to on nosi garnitur, a ja jestem tylko frajerem w tenisówkach brodzącym w gównie!" - pomyślał Brolin, który nie mógł przyzwyczaić się do myśli, że będzie musiał znosić obecność Bentleya.

- Dobrze więc, Bentley. Ja nazywam się Joshua. „Bentley... Co to za imię, do cholery?" - Brolin spojrzał

uważniej na młodego człowieka. Najwyżej trzydziestka, wyniosły, czyściutki, prosto z dobrego uniwersytetu i co najmniej magisterium z prawa. Czarne włosy, ciężkie od brylan-tyny, były sztywne jak druty, a początki drugiego podbródka nadawały całej twarzy wyraz jeszcze bardziej groteskowy. „To prototyp człowieka zmodyfikowanego genetycznie" - pomyślał zirytowany Brolin.

- Od czego zaczynamy? - usłyszał.

Natychmiast poczuł wstyd. Być może Bentley był typowym nieznośnym maminsynkiem z koneksjami, ale swoim pytaniem trafił w sedno. On nie tracił czasu na krytykowanie w myślach innych. Przecież śledztwo czeka!

- Czekają nas pierwsze odprawy z ludźmi bezpośrednio zaangażowanymi w sprawę tej zbrodni.

Brolin podszedł do telefonu i poprosił, żeby wezwano do jego gabinetu Lloyda Meatsa. Zadzwoił również po Sal-hindra.

- Porucznik Salhindro wchodzi w skład grupy prowadzącej to śledztwo? -

zdziwił się Cotland.

Brolin zawahał się przez chwilę, zanim zdecydował się na szczere wyznanie.

- Larry Salhindro jest z pewnością znacznie bardziej bystry niż większość inspektorów pracujących

na tym piętrze i jego obecność może wnieść wiele dobrego do naszego śledztwa. A poza tym, co również jest nie do pogardzenia, najlepiej zna miasto.

Cotland kiwnął powoli głową na znak, że rozumie, ale Brolin nie dał się oszukać temu gestowi - przysły zastępca prokuratora potępiał fakt nierespektowania zasad.

Do pokoju wszedł Lloyd Meats, a później Salhindro, który jako jedyny z ich grona był w mundurze. Cała czwórka usiadła wokół dużego stołu konferencyjnego. Gabinet Brolina był przestronny; stały w nim półki pełne teczek z dokumentami, stolik, krzesła i kanapa przewidziana na długie godziny nocnej pracy. Ściany pokryto zmywalną tapetą, po której można było pisać flamastrem. Było to osobiste stanowisko dowodzenia młodego inspektora.

Czarnobrody Lloyd Meats usiadł przy stole obok Bentleya Cotlanda, Salhindro zasunął story, żeby pogрузić pokój w kojącym półcieniu.

- Podsumujmy, jakimi informacjami dysponujemy na razie w tej sprawie -

zapropnozwał Brolin, otwierając cieką teczkę z dokumentami.

Salhindro dyskretnie wciągnął brzuch i zaczął mówić, nie zaglądnąc do notatek ani dokumentów ze śledztwa.

- A więc, mamy ofiarę. Jest to jeszcze niezidentyfikowana kobieta w wieku około dwudziestu lat, zamordowana przez nieznanego sprawcę w nocy ze środy na czwartek. Należy zwrócić uwagę na to, że jej ciało zostało okaleczone w podobny sposób, w jaki postępował ze swoimi ofiarami Leland Beaumont, nazywany inaczej „Katem z Portland”. Jest to sposób, powiedziałbym, bardzo osobisty...

- Dopóki nie mamy protokołu z sekcji, zachowajmy spokój, zgoda? - wtrącił

Meats. - Nie wiemy, jaka była bezpośrednia przyczyna śmierci ani jak dokładnie wyglądają okaleczenia, które zadał morderca.

- Lloyd, widziałem ją. Mogę cię zapewnić, że miała ręce odcięte dokładnie na wysokości stawów łokciowych, a czoło wypalone kwasem - rzekł Brolin z ponurym wyrazem twarzy. - Tak się podpisywał Leland.

Meats pogłdnął czarną brodę.

- Wszyscy wiedzieli o tej historii z obcięzonymi rękami media przez długi czas o niczym innym nie mówiły. Ale czoło wypalone kwasem? Kto mógł o tym wiedzieć oprócz nas? - zapytał.

- Prawie nikt Ci, którzy uczestniczyli w zeszłorocznej śledztwie, czyli około dwudziestu osób, w tym ja i Brolin - rzekł Salhindro.

Brolin przytaknął.

- Możliwe, że były jakieś przecieki - rzekł. - Zawsze może się zdarzyć, że chłopak z kostnicy za dużo

gada albo że jakiś policjant chce dyskretnie zarobić parę groszy. Ale jeśli media nigdy o tym nie mówiły, to znaczy, że musimy to wykluczyć. Dziennikarze nie kryją się z tym, co wiedzą. Nie zrobiliby policji takiego prezentu.

- Na bezrybiu i rak ryba. To jest przecież pewien trop - stwierdził Meats, bazgrząc coś w swoim notatniku. - Trzeba ustalić nazwiska wszystkich, którzy mieli dostęp do tej informacji, i spróbować zbadać, skąd mógł wyjść przeciek - podał bez wielkiego przekonania.

To mrówcza praca, nie mówiąc o tym, że od całej sprawy minął już rok; niektórzy związani z nią policjanci na pewno zdążyli pogadać o tym choćby z rodziną - zaprotestował Brolin. - Nie. Uważam, że to bez sensu.

- Co zatem proponujesz? - zapytał Meats.

- Najpierw chcę zobaczyć protokół z sekcji - to pozwoli nam ocenić, jak dalece sposób działania mordercy jest podobny do zwyczajów „Kata z Portland”. Jeśli naprawdę są podobieństwa, to wyciągamy dokumentację sprawy Lelanda Beaumonta i sprawdzamy wszystko strona po stronie Larry

-

zwrócił się Brolin do Salhindra - wyślij patrole mundurowych do parku waszyngtona. Niech popytają przechodniów, zwłaszcza jeśli trafią na stałych bywalców. Ludzie, którzy regularnie tam biegają; matki, które przychodzą na spacer z dziećmi. Trzeba by się dowiedzieć, czy nikt nie spostrzegł czegoś podejrzanego w środę pod wieczór albo bardzo wcześnie rano w czwartek. Musi się znaleźć kilku maniaków joggingu, którzy biegają rano przed pracą. Zrób też tak, żeby niedaleko miejsca zbrodni często przejeżdżał

samochód patrolowy. To morderstwo jest zdecydowanie zbrodnią na tle seksualnym i niewykluczone, że przestępca wróci na miejsce zbrodni, żeby znów przeżyć podobne wrażenia. Gdy tylko zauważą kogoś podejrzanego, natychmiast mają go zatrzymać i dokładnie wypytać. Jeśli jego odpowiedzi nie rozwieją wątpliwości, należy go wylegitymować i zabrać na komendę.

Salhidro skinął głową potakująco.

- Poza tym należałoby pogadać z dzieciakiem, który znalazł ciało. Gdzie on jest?

Lloyd Meats zapalił papierosa. Smuga dymu podrażniła nozdrza Brolina, którym nie palił od półtora roku i zdecydowanie źle znosił zapach nikotyny.

- Wydaje mi się, że dziś nie poszedł do szkoły - Meats dmuchnął dymem przed siebie. - Musi być z naszym psychologiem. Podobno jest w niezłym szoku.

- My też bylibyśmy w szoku na jego miejscu - stwierdził Brolin. - Niech któryś z was postara się o jego zeznania; może chłopiec zauważył coś na miejscu zbrodni, co myślimy przeoczyli. Weźcie jakąś kobietę, chłopiec nie będzie przy niej taki wystraszony.

- Dobra byłaby Leslie Taudam z wydziału dla nieletnich - zaproponował

Meats.

- Dobrze - zgodził się Brolin. - A ja idę do Instytutu Medycyny Sądowej.

Widzimy się tu pod koniec dnia na podsumowanie.

Meats i Salhindro wstali z krzeseł. Bentley, który milczał od samego początku spotkania, popatrzył na nich niepewnie i zapytał:

- A ja? Co ja mam robić?

Brolin i Salhindro wymienili spojrzenia.

- Pan pójdzie ze mną - powiedział młody inspektor, -Przyda się panu doświadczenie asystowania przy sekcji zwłok

Twarz Bentleya Cotlanda poszarzała. Jego pewność siebie stopiła się jak lód w słońcu.

Dwaj mężczyźni szli po zielonym linoleum, którym wyłożono podziemny korytarz prowadzący do prosektoriów. Bentley czuł się niepewnie, echo kroków odbijało się w jego uszach w nieskończoność. Miał wrażenie, że znajduje się w wielkiej otchłani bez dna. Dziwnie wpływał na niego widok ścian z czerwonej cegły i długich rur systemu ogrzewania przyczepionych do sufitu, które wychodziły zza każdego przepierzenia. Również małe białe lampki sufitowe, które emitowały blade światło, jak na jego gust nie oświetlały wystarczająco silnie. Z pewnością miejsce było czyste, lecz człowiek jakby się dusił; wokół panowała atmosfera... śmierci. Tak, śmierci.

Brolin szedł kilka kroków przed nim, Bentley

więc lekko przyspieszył, nie chciał bowiem, aby zauważono, jak niepewnie się czuł.

Brolin zatrzymał się nagle i gwałtownie skręcił w lewo.

Na pamięć zna układ tego zawilego wnętrza - pomyślał Bentley. Przy wejściu inspektor zapytał po prostu o trans-port z zeszłej nocy. Najwyraźniej doskonale znał panujące tu zwyczaje, bo to pytanie wystarczyło, żeby strażnik wziął słuchawkę i gdzieś zadzwonił, a później poinformował, że trwa sekcja, którą przeprowadza osobiście doktor Folstom. Brolin przyjął tę wiadomość głębokim milczeniem. Bentley zorientował się, że inspektor jest zirytowany, ale nie śmiał o nic pytać. Chciał uniknąć konfliktów; czuł, że jego obecność w wydziale dochodzeniowo-śledczym nie została odebrana pozytywnie. Jedno, na czym mu teraz zależało, to po prostu dowiedzieć się jak najwięcej o sposobie funkcjonowania policji kryminalnej i w miarę możliwości nie ściągnąć na

siebie żadnych kłopotów. To miało być kluczem jego powodzenia na stanowisku zastępcy prokuratora. Jeśli dobrze wywiąże się ze swoich obowiązków na tym stanowisku, będzie miał wielkie szanse, żeby startować w następnych wyborach. Bentley lubił wyobrażać sobie swoją karierę jako błyskawiczną, najpierw w systemie sądowniczym, a następnie, dlaczego by nie, na stanowisku burmistrza, a nawet senatora.

W bardziej nowoczesnych prosektoriach drzwi otwierały się automatycznie z mechanicznym szelestem, kiedy naciskało się ogromny przycisk, co upodabniało korytarze do wnętrza statków kosmicznych ze Star Treka. Ale w Portland wszystko zatrzymało się jeszcze w czasach zwykłych drzwi wahadłowych, przypominających te, przez które wchodziło się na westernach do wnętrza saloonu.

Kiedy Brolin pchnął takie właśnie drzwi, prowadzące do obszernego pomieszczenia, Bentley był tak pochłonięty planowaniem swojej wielkiej kariery, że niemal oberwał skrzydłem prosto w twarz.

łem prosto w twarz.

Linoleum znikło; zastąpiły je kafelki. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było bardzo funkcjonalne - przy wejściu znajdowała się niewielka szatnia, nieco dalej dwa zlewy z nierdzewnej stali, do klarowania i dezynfekcji, wszystko jasno oświetlone, a na środku stół sekcyjny. Bentley stanął w miejscu, jakby zobaczył aztecki ołtarz ofiarny zlany krwią.

- Witajcie, panowie - zabrzmiał kobiecy głos. Sydney Folstom podeszła do nich, wyciągając rękę na przywitanie. Jej przenikliwy wzrok zatrzymał się przez chwilę na Bentleyu Cotlandzie, który po tym żywym, przeszywającym spojrzeniu od razu rozpoznał prawdziwego drapieżnika. Nauczył się wychwytywać takie sygnały podczas pobytu w Berkeley

- Pański zwierzchnik uprzedził mnie o obecności pana Cotlanda -

powiedziała doktor Folstom. - To dla mnie prawdziwa niespodzianka; rzadko spotyka nas zaszczyt uczestniczenia w kształceniu kogoś z biura prokuratora.

W tym momencie wróciła Bentleyowi cała pewność siebie zawodowego polityka. Ucisnęła energicznie wyciągniętą ku sobie dłoń, notując w myślach wyczuwalną ironię głosu lekarki.

- Dla nas, przedstawicieli prawa, jest absolutnie konieczne, abyśmy dokładnie zapoznali się ze wszystkim, co ma związek z pracą wymiaru sprawiedliwości - oznajmił, akcentując przesadnie każde słowo.

- Doskonale; w takim razie postaram się być bardzo precyzyjna podczas sekcji - odpowiedziała Sydney Folstom z co najmniej taką samą pewnością siebie.

To wystarczyło, żeby Bentley pobałdł jeszcze bardziej. Lekarka spojrzała na Brolina i dodała:

- Wreszcie mamy okazję pracować razem, prawda, inspek-torze?

Brolin usłyszał w jej głosie nutę sarkazmu. Teraz był już pewien, że zdenerwowało ją jego nagłe wyjście podczas ich ostatniego spotkania.

Postanowił milczeć.

Dobrze, a więc zaczynamy. Przygotujcie się, panowie. Tam - wskazała im szatnię - znajdziecie jednorazowe rękawiczki, gumowe bluzy... I proszę nie zapomnieć o ma-skach!

Mężczyźni przebrali się i podeszli do doktor Folstom, która przygotowywała instrumenty. Brolin większość z nich znał; długi lancet jednorazowego użytku, szcypce Kochera, zakrzywione nożyczki, nóż Farabeufa, nożyczki sercowo-naczyniowe i cały arsenał, na którego widok Kuba Rozpruwacz oszalałby z zazdrości.

Sydney Folstom otworzyła teczkę z dokumentami policyjnymi, w której znajdowały się wszystkie zdjęcia z miejsca zbrodni oraz kopia wstępnego protokołu, dość dokładnie przejrzana przez nią kilka minut wcześniej.

- Proszę mi wybaczyć, ale ja już zaczęłam - oznajmiła, włączając ścienny monitor do oglądania zdjęć rentgenowskich.

Przed oczami zebranych w pomieszczeniu osób pojawiła się seria zdjęć rentgenowskich. Sydney Folstom włączyła mały dyktafon, zawieszony pod sufitem na specjalnym przewodzie.

- Zdjęcia te pokazują, że w ciele nie było żadnej kuli. Obiektem przeprowadzanej dziś sekcji jest kobieta, lat około dwudziestu pięciu, typ kaukaski. Waga pięćdziesiąt dziewięć kilogramów, wzrost sto siedemdziesiąt sześć centymetrów.

Wyłączyła dyktafon i nacisnęła przycisk interkomu.

- José, proszę nam przywieźć ciało.

Dwie minuty później do pomieszczenia wszedł mężczyzna w białym fartuchu, pchając przed sobą zakryty wózek. Ostrożnie zsunął prześcieradło w nogi ciała, uważając, żeby go przypadkiem nie poruszyć.

Kobieta leżała niemal w tej samej pozycji, w której Bro-lin zapamiętał ją z zeszłego wieczoru: naga, ręce obcięte na wysokości łokci i te rozsunięte nogi, ukazujące czarną otchłań pochwy. Stopy miała owinięte plastikowymi torebkami; podobnie owinięto by dłonie, gdyby znajdowały się na swoim miejscu. Całe ciało było pokryte bruzdami czerwonych kraterów i innych otworów wyglądających jak złowrogie oczy.

Bentley odwrócił się od razu, podnosząc odruchowo dłoń do ust. Zapomniał, że twarz miał zasłoniętą maską chirurgiczną. „Ona jest taka... ludzka!” -

pomyślał i uświadomił sobie, że się kompromituje. Zaklął w myśli i postarał

się odzyskać pewność siebie.

Psiakość, a czego się spodziewał? „Oczywiście, że jest ludzka!” - jęknął w duchu. Ale nie myślał, że będzie taka prawdziwa, taka bliska. Nawet jej skóra nie była blada jak kreda, czego oczekiwał, tylko różowa. Na szczęście, przynajmniej miała zamknięte oczy

Sydney Folstom i jej asystent podnieśli ciało niczym zwykłą torbę podróżną i położyli je na zimnym stalowym blacie stołu.

- Wciąż nie mam tych stołów na kółkach. To trochę archaiczne, sami się panowie przekonacie, ale obok najnowocześniejszych urządzeń technicznych mamy jeszcze mnóstwo przestarzałego sprzętu, który dawno już powinno się wymienić. Niestety, nie udaje mi się uzyskać koniecznych środków na ich zakup. Może moglibyście panowie wspomnieć o mnie komu trzeba? - mówiąc to, spojrzała znad maski na Cotlanda.

Cotland patrzył na zwłoki i stał jak skamieniały „Przenieśli ją z wózka na stół

tak zwyczajnie! Ruchem tak rutynowym, jakby robili to codziennie. Bez żadnych ceregieli!” - Bentley nie mógł się otrząsnąć; miał wrażenie, że rzucono przed nim na stół kawał mięsa.

- Och! Zapomniałabym! - wykrzyknęła doktor Folstom. Wyjęła z kieszeni fartucha tubkę z maścią kamforową.

- Radzę posmarować sobie tą maścią okolice nosa. Kiedy otworzymy ciało, rozejdzie się mocny fetor

towarzyszący rozkładowi...

Bentley nie dał sobie tego powtarzać dwa razy. Zrzucił rękawice i nałożył

porządną warstwę maści nad górną wargę.

- Pani się nie smaruje? - zapytał zdziwiony.

Sydney Folstom popatrzyła na niego badawczo i zimno,

- Uważam, że jeśli patomorfolog nie może znieść tego zapachu, pracując w masce, to powinien zmienić specjalizację i zająć się żywymi - rzuciła sucho.

Bentley Cotland przytaknął, ale wcale tak nie myślał. Doktor Folstom wzięła do ręki małą strzykawkę z igłą domięśniową, nachyliła się nad spoczywającą obojętnie na metalowym stole zmarłą i otworzyła jej oko.

- Co pani teraz robi? - zapytał spokojnie Brolin, który nie widział jeszcze czegoś takiego.

- Wykonuję punkcję ciała szklistego. Już pół mililitra wystarczy, żeby dokładnie określić czas zgonu. To jest obecnie najpewniejsza i najdokładniejsza metoda. Ciałka czerwone, rozkładając się, uwalniają w tempie powolnym i stałym potas,

który zatrzymuje się w płynie śródgałkowym. Badając jego ilość, bez problemu można określić moment śmierci.

Mała, cienka igiełka sterczała wbita w posiniąle białko oka. Strzykawka wypełniła się powoli galaretowatym płynem. Po chwili lekarka zdjęła metalową igłę i włożyła strzykawkę do specjalnego pojemnika stojącego na brzegu zlewu.

Zwłoki nie poruszyły się ani nie drgnęły, co wciąż dziwiło Bentleya Cotlanda.

Spodziewał się, że wszyscy zrzucą rękawice i maski, denatka podniesie się, a zza mebli wyjdzie bijący brawo tłum ludzi, śmiejąc się z jego naiwności.

Tymczasem nic takiego się nie stało; śmierć rzeczywiście zamieszkiwała to wilgotne i aseptyczne podziemie. Namacalnie poczuł jej obecność.

- Żeby zyskać na czasie, zrobiłam już pierwsze zdjęcia i wymierzyłam ciało -

oznajmiła doktor Folstom.

Szybkim spojrzeniem sprawdziła, czy ma pod ręką wystarczającą liczbę pojemników na wszystkie próbki, i powtórnie włączyła dyktafon. Następnie podeszła do ciała i zaczęła dokładnie mu się przyglądać.

- Po pierwsze, należy skonstatować amputację obu rąk na wysokości głowy kości promieniowej i

wyrostka łokciowego, a co za tym idzie - przecięcie żył i arterii, które musiało spowodować znaczną utratę krwi.

Sydney Folstom odwróciła się w stronę Brolina i zapytała:

- Czy wokół ciała było dużo krwi, kiedy je pan znalazł?

- Dużo nie, ale sporo; była to krew zaschnięta, co zgadza się z pani przypuszczeniem. Wydaje się, że miejsce, gdzie ją znaleźliśmy to miejsce zbrodni.

Inspektor był Świadom wagi tego szczegółu. Najpierw ze względu na ślady; które mogło odkryć laboratorium, a później przy ustalaniu profilu. Kiedy tam wróci będzie wiedział, że wraca na miejsce, gdzie została dokonana zbrodnia; że widzi i czuje to, co widział i czuł zbrodniarz w momencie, gdy zabijał. Poza tym fakt, że zabójca wybrał to miejsce, a nie inne również będzie miał duże znaczenie.

Sydney Folstom kontynuowała sekcję. Dotknęła prawego uda, następnie delikatnie zgięła nogę ofiary.
- Stężenie pośmiertne - rigor mortis -

właściwie znikło. Miejsca, w których pojawiło się sinienie pośmiertne, odpowiadają pozycji w jakiej denatka została znaleziona, z czego wynika, że ciało nie było przenoszone. Scena zbrodni jest rzeczywiście miejscem, gdzie zbrodnia została dokonana. Bentley zmarszczył brwi.

- Sinienie pośmiertne? Scena zbrodni? Miejsce zbrodni? - zapytał. Prawo znał na pamięć, ale nie miał zielonego pojęcia o medycynie sądowej.

- Stężenie pośmiertne występuje wtedy, kiedy ciało przechodzi z odczynu kwaśnego, w którym znajduje się za życia, w odczyn zasadowy. Innymi słowy, mięśnie się wówczas napinają i włókna są trudne do poruszenia; trzeba je „łamać”, jeśli chce pan nadać im inną pozycję. Ten stan trwa mniej więcej od dwunastu do czterdziestu ośmiu godzin, zanim kolejne przemiany chemiczne nie doprowadzą organizmu do jego poprzedniego odczynu, kwasowego, a więc ciało na po-wrót nie stanie się giętkie

Uniosła trochę włókna, żeby zaprezentować plecy, i położyła dłoń w rękawiczce na czerwonych plamach na poziomie nerek.

- Livores mortis, sinienie pośmiertne albo plamy opadowe, to są te czerwone ślady, które widzi pan tutaj - wyjaśniła. - Występują w momencie ustania systemowego krążenia krwi. Gdy krew przestaje krążyć, siła ciężenia ściąga ją do tych części ciała, które znajdują się najniżej, na przykład ku plecom, jeśli osobnik leżał na plecach, albo do nóg, jeśli wi-siał. Te części ciała, które miały kontakt z ziemią - na przykład ramiona i pośladki, gdy denat leżał na plecach - nie mają tych plam; pozostają białe, ponieważ krew nie może tam dopłynąć, gdyż ziemia uciska ciało. Korzystne dla patologa jest to, że te sine plamy powstają już od piętnastu do dwudzie-stu minut po śmierci. Dlatego, jeśli ciało zostało przeniesio

ne w inne miejsce już po tym, jak one powstały, stwierdzimy, że białe ślady i czerwone plamy nie

odpowiadają nowym miejscem oparcia.

- A różnica między sceną a miejscem zbrodni jest ogromna - wtrącił Brolin. -

Pierwsze jest miejscem, w którym znaleziono ciało, podczas gdy drugie oznacza miejsce, gdzie zbrodnia została rzeczywiście popełniona. Bardzo często ciało znajduje się zupełnie w innym miejscu niż to, w którym ofiara została zabita.

- Rozumiem. Co za przemyślna sprawa, te plamy opadowe, jak pani je nazywa! - wykrzyknął zastępca prokuratora.

- Nakreśliłam panu tylko ogólne zasady, ale jest od nich mnóstwo wyjątków.

Nic nie jest proste w medycynie sądowej, proszę o tym nigdy nie zapomnieć.

Kontynuujmy.

Bentley Cotland cofnął się, widząc, jak doktor Folstom wzięła ze stołu lancet z długim ostrzem.

- Na ciele znajduje się kilka siniaków; ich jaskrawoczerwony kolor wskazuje na to, że zostały spowodowane na krótko przed śmiercią; prawdopodobnie kobieta była bita. Oprócz tego mamy tu wielką liczbę ran od broni białej o ostrym ostrzu, z pewnością od noża i...

Doktor Folstom pochyliła się nad ciałem, żeby dokładniej obejrzyć liczne otwarte rany na poziomie bioder.

- Wyglądają jak ślady ugryzień; są takie małe, z pewnością to dzieło jakichś gryzoni, a może lisów?

- Nie byłoby w tym nic dziwnego - wtrącił Brolin. - Zwłoki dziewczyny zostały znalezione w środku lasu. Musiała tam leżeć prawie dwadzieścia cztery godziny.

- Tak - odpowiedziała doktor Folstom. - Ale są również otwarte rany, wielkie jak pięść; tego na pewno nie zrobiło zwierzę, a brak śladów dużego krwawienia świadczy o tym, że powstały po śmierci. Jest bardzo możliwe, że morderca wyciął kawałki ciała swojej ofierze. Tu i tu, na poziomie pasa brzuszego i na bokach. Dwukrotnie, gdy była martwa.

Sydney Folstom popatrzyła na Brolina. - Panowie, jest mi przykro, ale to, co muszę teraz zrobić, może potrwać. Będę dokładnie mierzyć każdą ranę zadaną białą bronią, również jej głębokość, a następnie muszę wszystko wpisać do sprawozdania. Tutaj jest... co najmniej dwadzieścia otworów; będzie to trwało kilka minut

Doktor Folstom przez następny kwadrans dokładnie oglądała każdą ranę, mierząc ją specjalną linijką wykonaną z matowego tworzywa, żeby nie odbijał się w niej flesz podczas fotografowania. Wyniki poszczególnych pomiarów powtarzała głośno do dyktafonu. Bentley nie wszystko rozumiał; część tego słownictwa była mu zupełnie obca.

- Głęboka rana w okolicach podżebrza, przechodząca na wskroś okrężnicy poprzecznej, o wymiarach

trzy centymetry na pół centymetra... Wyraźny ślad rękojęści noża na skórze, wraz z głęboką, blisko czternastocentymetrową raną (zbadać dokładniej po otwarciu ciała). Brzegi gładkie i regularne; rany o kształcie jajowatym od ostrza dwustronnego..

Bentley przyswajał te informacje bez głębszej refleksji, nie niecierpliwił się jednak. Po chwili zauważył, że Brolin słuchał w skupieniu, najwyraźniej język ten nie był dla niego zupełnie hermetyczny; czasami powoli przytakiwał, jakby starał się zapamiętać najważniejsze dane.

Sydney Folstom podniosła głowę, żeby dokonać wstępnego podsumowania.

- Mamy więc dwadzieścia dwie rany od białej broni, wszystkie, jak sądzę, zadane tym samym nożem obosiecznym o ostrzu długości czternastu lub piętnastu centymetrów i szerokim na trzy centymetry. Niektóre z tych ran mogły być śmiertelne; potwierdzę to po otwarciu ciała. Dojdziemy do tego za chwilę. Na ciele znajdują się również liczne ślady po zębach zwierzęcych, które nie bardzo nas interesują. Te dwa otwory nad biodrami są bardziej kłopotliwe. Nie są symetryczne, cięcie nie jest głębokie; wygląda, jakby mor-lerca chciał zabrać dla siebie wycinek tej części ciała.

- Może miała jakiś tatuaż z każdej strony i on go niesta-rannie wyciął -

zaryzykował Bentley

- Sądzę raczej, że to były ugryzienia - oświadczył Brolin, bardzo skupiony. -

Myślę, że ją ugryzł dwa razy, głęboko, jak szaleniec, w amoku. To było silniejsze od niego. Później się jednak zorientował, że ułatwi nam to identyfikację mordercy I wyciął ślady, które jego zęby zostawiły w ciele. To typowe dla mordów na tle seksualnym, takich jak ten.

Doktor Folstom nacisnęła jakiś przycisk. Rozległ się cichy szum urządzeń wentylacyjnych.

- Rzeczywiście, to może się zgadzać - rzekła.

Gdy rozpoczęła oględziny twarzy, coś zwróciło jej uwagę. Schyliła się tak, że prawie dotykała nosem ust zmarłej. Palcami rozwarła szczękę, czemu towarzyszył odgłos jakby odsysania, następnie pęsetą wyjęła kawałek białej nitki z kącika ust.

- Co to? - zapytał Brolin.

- Nitka, może bawełniana.

Nitka zniknęła w plastikowym pojemniku z etykietką. Zostanie później poddana dokładnej analizie, która pozwoli wyjaśnić jej pochodzenie i przyczynę obecności w tym właśnie miejscu.

Doktor Folstom sięgnęła po lancet z długim ostrzem. Ustawiła go nad udem zmarłej. Następnie szybkim, zdecydowanym ruchem rozcięła skórę. Ciało rozwarło się jak miąższ dojrzałego owocu. Ukazały się czerwone mięśnie i bardzo cienka warstwa żółtego tłuszczu. Sydney Folstom dokonała tej samej operacji na drugim udzie, następnie na ramionach na wysokości bicepsów.

Delikatnie oddzieliła skórę na ostatnim rozcięciu, żeby dokładniej sprawdzić, co się działo pod nią.

- Proszę, czy panowie widzą ten ciemnoczerwony kolor? To jest siniak podskórny, który nie przebił się na zewnątrz.

Odwróciła się w stronę Bentleya Cotlanda i dodała:

- Ramię jest miejscem, które nazywa się „miejscem uchwytu”. Zbrodniarz z pewnością męczył swoją ofiarę, chwytając ją za ramię, żeby ją ciągnąć lub wlec. To obrażenie zostało spowodowane naciskiem jego palców. Dlatego właśnie, żeby zobaczyć takie niewidoczne z zewnątrz znaki, robimy nacięcia na skórze. Ślady agresywnego traktowania ofiar zachowują się znacznie lepiej pod skórą.

- A czego możemy się dzięki temu dowiedzieć? - zapytał Bentley.

- Gdyby ofiara nie żyła w momencie, gdy zadawano ciosy, ślady te by się nie zachowały - wyjaśnił Brolin. - Teraz wiemy że ją maltretował, bijąc, ciągnąc lub gwałtownie chwytając za ramię, gdy była żywa, z pewnością świadoma; inaczej prawdopodobnie nie łapałby jej w tym miejscu. Musiała walczyć, ale żeby się tego dowiedzieć, musielibyśmy przebadać jej rękę i paznokcie.

- Tutaj muszę stwierdzić - przerwała doktor Folstom, dokładnie przyglądając się uciętym łokciom - że morderca dobrze opanował podstawy anatomii. Obciął rękę bardzo zgrabnie, użył do tego celu odpowiedniego ostrza albo lance-tu, wyjątkowo precyzyjnie przeciął skórę, zanim zabrał się do łożyski promieniowej i łokciowej. Mniej starał się przy przecinaniu więzadeł bocznych i bicepsów ramieniowych.

- Co oznacza...? - zapytał Brolin, przewidując, jaka będzie odpowiedź.

- Że starał się nie uszkodzić skóry i kości, a reszta mniej go interesowała.

Brolin zamknął oczy.

Leland Beaumont zabił trzy młode kobiety zeszłego roku, wypalając im czoło kwasem i amputując ręce na wysokości stawów łokciowych. Za każdym razem lekarz przeprowadzający sekcję podkreślał, że amputacja była wykonana bardzo dobrze, że było to dzieło kogoś, kto znał podstawy anatomii i umiał posługiwać się lancetem i skalpelem. Lecz, co było dziwniejsze, Leland za każdym razem bardzo uważał, przecinając skórę i wyjmując kości, ale jakby naumyślnie źle rozcinał mięśnie i więzadła. Historia się powtarzała mimo nieobecności jej głównego bohatera.

Sydney Folstom zdjęła rękawiczki i wytarła sobie czoło. Guma sucho trzasnęła, gdy powtórnie je nakładała.

- Dobrze. Ślad od wypalenia kwasem na czole jest zbyt głęboki, żebyśmy mogli dowiedzieć się z niego czegokolwiek podczas analizy makroskopowej.

Zbadam go pod mikroskopem później i powiadomię panów. Przejdźmy do rany na genitaliach.

Pochyliła się, trochę bardziej rozchyliła nogi, które przy poruszeniu wydały okropny dźwięk jakby

bulgotu, i po pobraniu kilku próbek zaczęła wyciągać czarną rękojęść, która wystawała spomiędzy warg sromowych. Na metalowy blat wypłynął cienki strumyczek czarnej, wodnistej krwi. Doktor Folstom trzymała w dłoni obosieczny nóż, długi na około dwadzieścia centymetrów, lepki od różnych cieczy, zwłaszcza zaś od krwi.

W pokoju rozbrzmiał zduszony okrzyk, kiedy Bentley poczuł, że śniadanie podchodzi mu do gardła. Sydney Folstom westchnęła. Młody człowiek pobiegł w kierunku zlewu i wymiotował. Wybełkotał kilka słów przeprosin, płuczac usta, ale nie chciał wyjść, argumentując, że musi asystować do końca sekcji. Wiedział, że i tak żołądek ma już pusty.

- Myślę, że znaleźliśmy broń, którą morderca okaleczył resztę ciała -

oświadczyła doktor Folstom bez wielkiego zaskoczenia. - Mówił pan niedawno o mordzie na tle seksualnym, inspektorze?

- Tak. Czy ofiara została zgwałcona? Czy są ślady spermy?

„Byłoby dobrze, gdyby mi odpowiedziała twierdząco -pomyślał Brolin. -

Mógłbym ewentualnie zidentyfikować zabójcę dzięki DNA". Od razu jednak zdał sobie sprawę, jak okropne to było pragnienie. Chciał, żeby ofiara została zgwałcona, żeby ułatwić sobie schwywanie mordercy! „Boże, ależ ze mnie potwór!" - przebiegło mu przez głowę. Skrzywienie zawodowe tak zmieniło jego emocje, że zniekształciło po-dejście do sytuacji. Starając się nie myśleć o rzeczywistości, żeby uniknąć cierpienia, zapomniał o współczuciu.

- Nie sędzę - odpowiedziała doktor Folstom. - Ale więcej powiem panu za kilka minut.

Chwyciła lancet i rozcięła ciało od podbródka do wżgórka łonowego, starając się omijać rany Kiedy przecinała mostek

żebra za pomocą kostotomu przypominającego wielki se-ator, Bentley Cotland nie wytrzymał i się odwrócił. Trzask żeber ustępujących pod siłą metalu przywiódł mu na myśl zgniatanego kurczaka. Poblady patrzył na otwarte zwłoki, podczas gdy doktor Folstom skrupulatnie, nie spiesząc się, oglądała wszystkie rany od noża, zastanawiając się, czy mogły być śmiertelne.

Unoszący się znad ciała zapach przenikał przez maskę chirurgiczną i opary maści kamforowej, która szczypała Bentleya w wargi. Była to woń nieświeżego mięsa; rodzaj stę-

chłego cierpkiego odoru, który wszędzie się wciskał, wsiąka w ubranie. Lecz najgorsza ze wszystkiego była instynktowna reakcja na śmierć. Bentleyowi wydało się nagle, że całym ciałem, każdą jego komórką, czuje zapach śmierci drugiego człowieka. Drżał, wiedząc, że chodzi o przedstawiciela tego samego gatunku. Nigdy nie zapomni tego wrażenia. Wiedział, że charakterystyczny zapach śmierci zapisał się w nim, w jego genach, na zawsze, bo śmierć jest w każdym mężczyźnie, w każdej kobiecie i prędzej czy później budzi się na wezwanie z otchłani.

Sydney Folstom wręczyła obu mężczyznom plastikowe okulary i chwyciła przyrząd przypominający piłę. Drgające ostrze rozrzucało dokoła odłamki kości, kiedy odsłaniała mózg, czyniac jednocześnie

kilka tajemniczych komentarzy dotyczących masy próbek pobranych z opony twardej. Na koniec pobrała również próbki z ust i wróciła do przeglądania otchłani tułowia.

Kiedy wywróciła pochwę jak zwykłą rękawiczkę, Bentley omal nie zemdlął.

Oprzytomniał w momencie, kiedy kończyła specjalną chochlą wylewać krew wypełniającą tułów.

Bentley spojrział na nią i na Brolina. Z ich postawy nie przebijała najmniejsza emocja. A przecież, jeśli przyjrzeć się dokładniej, ofiara musiała być bardzo piękną młodą kobietą: wysoką, zgrabną, z ładną twarzą o delikatnych rysach. Nie mógł już dłużej pohamować zdziwienia i zapytał

pełen niesmaku:

- Czy to, na co teraz patrzycie, nie robi na was żadnego wrażenia?

Sydney Folstom obrzuciła go zimnym spojrzeniem.

- W tym zawodzie nie można przejmować się losem wszystkich ofiar, które się otwiera. Czuję do nich szacunek, ale moja profesja pozwala mi dopuszczać się wobec nich takich czynności, o których ich rodziny wolałyby nie wiedzieć. Panie Cotland, należy podejść do tej pracy od strony technicznej, nie myśleć o urodzie tej kobiety ani o tym, jakie musiała mieć powodzenie, lecz traktować to wszystko wyłącznie z punktu widzenia kryminologii.

Bentley wątpił, czy doktor Folstom jest w ogóle zdolna do jakichkolwiek emocji, nawet w życiu prywatnym, ale nie chciał się nad tym zastanawiać.

Nie podobał mu się również sposób, w jaki patrzyła mu w oczy: jakby chciała go przejrzeć na wylot. Brolin przynajmniej wydał mu się bardziej powściągliwy; prawdopodobnie mocniej też przeżywał to, co się działo, tylko z racji wykonywanego zawodu nie mógł okazać żadnej słabości. Po raz pierwszy od chwili, gdy poznał młodego inspektora, to znaczy od dzisiejszego ranka, Bentley zaczął odczuwać do niego rodzaj sympatii. W

końcu Brolin nie był niesympatyczny; po prostu jego zawód zmuszał go do tego, żeby zachowywać się z rezerwą.

- Dobrze więc, przechodzę do podsumowania i ustalenia chronologii wydarzeń. Oczywiście moje wnioski będą bardziej precyzyjne, gdy otrzymam wyniki badań histologicznych i immunologicznych, z tym, że badania te, ze względu na stosowanie odpowiednich technik opartych na fibronektynie i analizie cząstek krwi, są prącochłonne, a zwłaszcza czasochłonne. W tej chwili mogę powiedzieć, że ofiara była najpierw bita, a następnie otrzymała dwadzieścia dwa uderzenia nożem, głównie na poziomie tułowia, z których co najmniej cztery były śmiertelne. Co do reszty, nie chcę wyprzedzać rezultatów badań anatomopatologicznych. Myślę, że morderca bardzo się znięcał nad swoją ofiarą, o czym świadczą nie tylko ślady ewentualnych ugryzień, ale przede wszystkim okaleczenie genitaliów i porzucenie zwłok. Jeśli chodzi o wypalenia kwasem na czole, to wezmę próbki i zbadam to szczegółowo. Postaram się czegoś dowiedzieć, nie oczekujcie jednak panowie cudów; boję się, że trudno będzie nam wyciągnąć wnioski, które posunęłyby śledztwo naprzód.

Bentley Cotland popatrzył na ciało. Przypominało ono człowieka już tylko częściowo, reszta była zięjącym krate-rem wypełnionym czerwonym mięsem. Pusta czaszka, rozcięte kończyny i tułów przecięty od spojenia łonowego do podbródka - nie było w tym ani śladu życia. Dwa pasy skóry, na których w niewdzięcznym świetle lamp chirurgicznych słabo pobłyskiwała warstwa tłuszczu, wisiały bezwładnie z jedne; i z drugie; strony stołu, upodabniając ciało do długiej otwartej torby.

Doktor Folstom wyrzuciła gumowe rękawiczki do specjalnego kubła, a czynność ta wyrwała Bentleya z otępiełej zadumy.

- Postaram się jak najszybciej wysłać panu moją opinię faksem i mailem, inspektorze Brolin.

Brolin kiwnął głową i spojrzał ostatni raz na ciało. Było coś dziwnego w tym morderczym rytuale. To szaleństwo okaleczeń, ta pocięta pochwa, a tymczasem nigdzie śladu spermy, śliny, odcisków palców. Jeśli jego teoria do-tyczająca ugryzień, tych dwóch zięjących ran, okazałaby się

słuszna, morderca działający pod wpływem napadu szaleństwa byłby zdolny do szybkiego opamiętania się.

Z jednej strony więc morderca nienawidzi, okalecza i zadaje śmierć, a z drugiej jest na tyle inteligentny, że przechodząc do czynu, kontroluje każdy swój ruch.

- Dziękuję, pani doktor. Im szybciej to pani zrobi, tym będzie lepiej -

wymamrotał Brolin. - Coś mi się zdaje, że nie mamy zbyt wiele czasu.

Przeczuwał, że szykuje się następna zbrodnia.

Zbrodnia straszna, bezlitosna, niepozostawiająca ofierze najmniejszej szansy na ratunek.

Juliette przewracała się z boku na bok w łóżku stojącym w pokoju gościnnym. Uciekając dziennikarzom, postanowiła spędzić noc u Camelii.

Nie bardzo wiedziała, co zrobi później - było oczywiste, że nie uda jej się bez końca unikać kontaktu z prasą i będzie musiała wrócić do domu, ale teraz nie czuła się na siłach, żeby to uczynić. Nie tyle z powodu medialnego szaleństwa, jakie miała wywołać ta dziennikarska obława, ile raczej z powodu pytań, na które musiałyby odpowiadać. Bała się, że wróci gehenna, przez którą przeszła; że znowu opanuje ją dawny lęk, zmuszając do siedzenia w doimś i ucieczki od rzeczywistości. Przeżyła już swoje; długo walczyła, żeby odzyskać zdrowie psychiczne i zaufanie do ludzi, musiała więc uważać, żeby tego wszystkiego nie zniweczyć.

Camelia jak zwykle przyjęła ją z otwartymi ramionami, okazała troskę i wsparcie. I jak zwykle, spokojnie dodając jej otuchy tak zręcznie i z humorem pokierowała rozmową, że Juliette się odprężyła, a ponieważ następnego dnia nie miała zajęć, wypila też wszystkie podsuwane jej koktajle. Wieczór ostatecznie bardzo wesoły, szybko minął przyjaciółkom na żartach i chichotach podlanych daiquiri.

Mając trochę w czubie, Juliette myślała, że zaśnie od razu, gdy tytko położy się do łóżka, ale tak się nie stało. Mimo że czuła się psychicznie podłamana, wyczerpana ostatnimi zdaniem, nie udawało jej się zmusić umysłu do wędrówki po bajkowym świecie snów. Najpierw zaczęła myśleć o Thomasie, studencie, którego spławiła tego popołudnia. Nie miała do niego żadnych pretensji, wprost przeciwnie - czuła, że starał

się być dla niej miły, chciał jej po prostu pomóc. A ona była dla niego tak niemila. Powinna panować nad sobą; nie wolno jej ulegać emocjom, strachowi i paranoi. O co jej w końcu właściwie chodziło? Jakiś psychopata bawi się w zabijanie kobiet w sposób, w jaki czynił to Leland Beaumont.

Szaleniec, „copycat”, żeby użyć terminu fachowego. Ale to nie był Leland: Leland nie żył od ponad roku.

Juliette otworzyła oczy. W pokoju było ciemno, a w całym domu panowała idealna cisza. Camelia musiała zasnąć już dawno.

Usiadła na łóżku i włączyła lampkę nocną. Wiedząc, że w tej chwili na pewno nie zaśnie, wyjęła z torby powieść Davida Lodge'a, którą wcześniej do niej wrzuciła. Nie wiedziała, skąd to zainteresowanie twórczością pisarzy angielskich, ale to ich książki najczęściej czytała. David Lodge. Nick Hornby, Ken Follet... Powieści inteligentne i bezpretensjonalne, które mówiły o życiu, ale w sposób lekki i błyskotliwy, podobny w formie do najznakomitszych aforyzmów, a były przy tym skromne, niepozorne. Zagłębiła się w historii angielskiego profesora zagubionego w świecie rewolucji seksualnej końca lat sześćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych, ale dobry humor jakoś nie wracał.

Kilka stron później zdała sobie sprawę, że śledzi słowa niczym kolorowy szlaczek - wyłącznie

wzrokiem. Myślami była gdzie indziej.

Dręczyło ją to, co przydarzyło się poprzedniej nocy kobiecie, której zwłoki znaleziono w lesie. Przewracała się z boku na bok. Czuła się źle. Chciała się dowiedzieć, czy było prawdą to, co ogłosiły media, że kobieta została okaleczona tak jak ofiary „Kata z Portland”. To męczyło ją najbardziej, nie umiała skupić się na czymkolwiek.

Musi się dowiedzieć.

Czy naprawdę chodzi o psychopatycznego naśladowcę Lelanda Beaumonta, czy były to tylko spekulacje dziennikarzy?

Ale jedyną osobą, która mogła jej odpowiedzieć na to pytanie albo przynajmniej jej to wyjaśnić, był Joshua Brolin. Nie mogła mu się narzucać, w końcu miał prawo do prywatnego życia. Musiała to uszanować. Z drugiej strony wystarczyło, że raz zatelefonowała, a od razu przyjechał. Przegadali całą noc, nawet zasnęli razem w tym samym pokoju. To wydawało się wystarczającym argumentem, żeby zwrócić się do niego w imię zwykłej przyjaźni, nawet jeśli przyjaźń ta wisiała na cienkiej nitce. Gdy tylko zaczęła o tym myśleć, wiedziała już, że na pewno następnego dnia zadzwoni do Brolina.

Nie zajmie mu dużo czasu. Po prostu musi się dowiedzieć.

Leland Beaumont nie żył. Ale może żył jego duch?

Pracownicy Komendy Głównej Policji w Portland nie zna-li sobotnio-niedzielnego wypoczynku. Zbrodnie zdarzały się cały czas, nie było weekendowego zawieszenia broni. Ranek dobiegał właśnie końca; włączone po raz pierwszy od minio-nej zimy grzejniki pracowały pełną parą. Dzień był

chłodniej szy od poprzednich: mieszkańców Portland po przebudzeniu zaskoczył widok szarego nieba i porywy lodowatego wiatru uderzające w fasady domów.

Była sobota, 2 października. Wreszcie nadeszła jesień, definitywnie przeganiając ociągające się do tej pory babie lato. Dzieci cieszyły się nadzieją kilku pięknych burz, nad chodzących zwykle tuż przed Halloween, a producenci wina z Oregonu uważali za wielkie szczęście, że los podarował

im

z Oregonu uważali za wielkie szczęście, że los podarował im tak piękny koniec lata na winobranie.

Salhindro mamrotał coś niezadowolony; wyglądając przez okno. Był w złym humorze i nadchodząca zima niespecjalni-nie go cieszyła. Uważał, że w gabinecie jest za zimno, a kawa jest za gorąca. Dzień zapowiadał się beznadziejnie, był tego pewien. Prawdę mówiąc, taki był cały miniony tydzień, normalne więc, że weekend nie jest lepszy Do tego dochodzi- ła jeszcze poranna odprawa poświęcona morderstwu w le-sie; odprawa, na którą go wezwano. Wiedział, że było to po myśli Brolina, ale zdawał sobie również sprawę, że kapi-tan Chamberlin patrzy krzywym okiem na jego bezpośred-ni udział w śledztwie. Chamberlin powtarzał mu cały czas:

"Salhindro, twoim zadaniem jest ogólna koordynacja dzia-łań, a nie zabawa w śledczego!".

Salhindro wiedział, że wylądował za biurkiem ze względu na swoją tuszę i zły stan zdrowia. Dowództwo wolało, żeby pilnował patroli zza biurka niż z trudnością przemieszczał swoją rosnącą wciąż masę, uganiając się zadyszany po ulicach. Czy było to dla jego dobra, czy raczej dla dobra opinii, jaką obywatele powinni mieć o portlandzkiej policji? Fakt, że tego nie wiedział, bardzo go irytował. Nie musiał udawać, że jest dobrym śledczym -

Brolin lubił mieć go pod ręką; dlaczego więc rzucano mu kłody pod nogi, do diabła! Ze stopniem oficera, cieszący się szacunkiem kolegów, z niezłym dorobkiem. Salhindro nie cierpiał tego wygnania za biurko i nudzenia się przed ekranem komputera w oczekiwaniu na emerytury. Jeszcze bardziej irytowało go to, że "ostryga" także został zaproszony na odprawę.

Bentley Cotland, przyszły zastępca prokuratora Gleitha, był zwykłym kretynem, zarozumiałcem z dyplomami.

Co taki wiedział o życiu policjanta? Jedno, co umiał to siedzieć godzinami w fotelu za sześćset dolarów, zastanawiając się, jak by tu najsprytniej przeprowadzić na giełdzie akcję przejęcia kontroli nad wybraną firmą - czyli to, o czym Sal-hindro nie miał zielonego pojęcia. Ale on przynajmniej nie obnosił wszędzie swojej nadętej gęby.

Bentley Cotland w ciągu swojego trzydziestoletniego życia nauczył się teorii i nabrał pewności siebie, ale co do praktyki... Nie miał najmniejszego pojęcia o przepaści, jaka dzieliła go od świata realnego, zwłaszcza zaś od skomplikowanego świata zbrodni. Prawdę mówiąc, podobne wrażenie sprawiał także Brolin, kiedy wylądował u nich świeżo po stażu w FBI trzy lata wcześniej. Ale Josh natychmiast uczynił wszystko, żeby pozbyć się tej ciągnącej się za nim opinii genialnego teoretyka. Dowiódł, że w terenie sprawdza się co najmniej tak samo dobrze.

Salhindro przejechał dłonią po swoich sterczących, przerzedzonych włosach.

A poza tym, tak czy inaczej, Bentley Cotland jakoś mu nie leżał. Prawdziwa

„ostryga”, z tymi wielkimi wypukłymi

oczami, lekko odstającymi uszami, no i jeszcze te włosy co chwila wygładzane przed lustrem w toalecie...

Salhindro zorientował się nagle, że potępia Cotlanda, chociaż zupełnie go nie zna. Facet naraził mu się głównie wyglądem i sposobem bycia, a przecież Salhindro spędził w jego towarzystwie najwyżej godzinę. Co pomyślano by o nim, gdyby nagle znalazł się w jakimś odległym komisariacie, gdzie nikt go nie zna? O kimś takim, jak cm ~ za grubym, za zrzędlwym i zbyt zarozumiałym? Znienawidzono by go od razu, a przecież ogólnie nie był złym facetem.

A ten Cotland... Wszyscy się od razu wkurzyli, że prokurator Gleith narzucił

go ekipie, i w końcu osądziła go tro-

chę pod wpływem tej złości. Biedak, być może pragnął tylko wtopić się w ich grupę, czegoś się nauczyć, zmienić się, stracić ten swój tupet. Wszyscy z góry go skazali, a przecież trzeba było dać mu szansę. Salhindro pokiwał głową.

Po południu musi pogadać z Joshuą: trzeba okazać wyrozumiałość Bentleyowi Cotlandowi. Może coś pożytecznego z tego wyniknie.

Poklepał się z zadowoleniem po brzuchu.

Ale nie to było przecież najważniejsze. Podobno pojawiły się nowe informacje w sprawie ich śledztwa.

Wziął notes i wyszedł z gabinetu.

Od czasu, gdy zaczął pracować w policji portlandzkiej jako inspektor, Brolin wprowadził zwyczaj organizowania odpraw u siebie w biurze, W wydziale dochodzeniowo-śledczym takie odprawy odbywały się zwykle tylko u kapitana Chamberlina, który na początku tygodnia spotykał się z zastępcami, rozmawiał na temat postępów w prowadzonych śledztwach i rozdzielał zadania między swoich ludzi. Niebyło jednak przyjęte, żeby inspektor prosił współpracowników o spotkanie w ciągu tygodnia w celu podsumowania śledztwa, chyba że sytuacja była naprawdę wyjątkowa.

Brolin stopniowo wprowadził tę wyniesioną z FBI zasadę, co spowodowało, że niektórzy zaczęli uważać go za drapieżnego karierowicza. Tymczasem nie miało to nic wspólnego z wygórowanymi ambicjami - inspektor lubił

zwoływać „burzę mózgow”, podczas której każdy podrzucał swoją hipotezę czy pomysł na rozwiązanie problemu. W ten sposób Brolin dysponował

maksymalną ilością informacji. Na takie podsumowania trzeba było mieć jednak czas, którego ludziom z wydziału raczej brakowało. Osoby obecne tego ranka w gabinecie Brolina spędziły cały tydzień, pracując nad różnymi śledztwami, czasem do późnej nocy. Wszyscy marzyli o odpoczynku i spędzeniu kilku chwil z rodziną, niemniej stawili się na wezwanie Brolina.

Byli to: kapitan Chamberlin, jego asystent Lloyd Meats, kierownik laboratorium kryminalistycznego Carl DiMestro, przysły zastępca prokuratora Bentley Cotland i oczywiście Larry Salhindro.

Brolin podszedł i zamknął drzwi.

- Mamy coś nowego - zaczął. - Ale zanim powiem wam, co o tym myślę, chciałbym, żebyśmy podsumowali nasze dotychczasowe wysiłki i ewentualne rezultaty. Na jakim etapie jest sprawa tego chłopca, który znalazł zwłoki?

Odezwał się Meats, który ciągle gładził brodę, jakby pomagało mu to zebrać myśli.

- Chłopcem zajęła się Leslie Taudam z wydziału dla nieletnich. Dzieciak jest w stanie szoku i mimo wysiłków niczego się od niego nie dowiedziała. Czy ciało w dalszym ciągu jest niezidentyfikowane?

- Zaraz do tego dojdę - powiedział Brolin. - Carl? Masz coś dla nas?

Carl DiMestro wziął tak głęboki oddech, że z jego nosa wydobył się lekki świst. Miał na sobie nienagannie schludny garnitur, a na nosie dwuogniskowe okulary.

- Nie za bardzo. Rudera, w której znaleziono zwłoki, to prawdziwe śmietnisko: zbiera się tam młodzież, przychodzą narkomani i bezdomni. Zgromadziłem astronomiczną liczbę próbek, można by pewnie skazać na ich podstawie pół miasta... No, nic. Mówiąc jednak poważnie, mam mnóstwo różnych włókien, ale nie jest możliwe stwierdzenie, które pochodzą od zabójcy, a które zostały zostawione kilka dni wcześniej przez jakiegoś bezdomnego. Obawiam się, że jesteśmy w kropce. Spiszemy wszystkie zebrane przez nas substancje biologiczne i sklasyfikujemy je. To wszystko, co

mogę w tej chwili zrobić, Ale mam jedną rzecz, która powinna was zainteresować. Znaleźliśmy kropelki środka chemicznego i poddaliśmy je analizie. To jest merkaptan, czyli substancja chemiczna najczęściej używana dla ochrony domostw. Rodzaj odstrasza-cza

- przy każdym kontakcie przylepia się do intruza, który wtedy zaczyna potwornie śmierdzieć, co można wyczuć z odległości dziesięciu metrów.

Brolin zanotował to, nie bardzo wiedząc, co na ten temat myśleć. Skąd merkaptan w ruderze stojącej gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc?

Salhindro poruszył się na krześle.

- Zaczekajcie; mam coś, co może tu pasuje! - wykrzyknął podniecony -

Zgodnie z poleceniem, jakie otrzymałem na poprzedniej odprawie, wysłałem kilka patroli w rejon parku Waszyngtona, gdzie znaleziono ciała. Nie mamy żadnych świadków, a w nocy ze środy na czwartek nikt niczego nie widział.

Trzeba zresztą przyznać, że niewiele osób p.w.-by wa tam po zapadnięciu zmroku. Ale jeden z naszych ludzi zaczął wypytywać grupę bezdomnych, którzy się często wałęsają w okolicy. Powiedzieli że na początku tygodnia chcie-li tam przenocować, ale nśie mogli.

Policzek Brolina drgnął. Wreszcie coś interesującego!

- Powiedzieli, że przyszli pod ten zrujnowany budynek w poniedziałek wieezmem, mniej więcej koło dwudziestej trzeciej. Wejście było zatarasowane deską, co się nigdy do tej pory nie zdarzało. Odsunęli ją i wtedy uderzył ich okropny smród. Cytuję: "Obrzydliwy smród; coś takiego, jak te śmier-dzące kulki, którymi bawią się dzieci mieszanka zepsutego jajka i wymiocin". Koniec cytatu. Cała trójka odeszła i nie przespali się tam właśnie z powodu tego smrodu.

- Co to ma wspólnego z naszym śledztwem? - zaprotestował Bentley. - To na pewno zrobiły jakieś dzieciaki, dla zabawy.

- Dzieciaki robią czasem różne rzeczy dla żartu, ale używają do tego specjalnych zabawek, a nie merkaptanu. Co więcej, kiedy robią podobne głupstwa, starają się uczynić to w miejscu publicznym, w szkole czy w supermarkecie, tam, gdzie przechodzą ludzie, rzadko zaś w ruderze stojącej w głębi lasu, gdzie prawie nikt nic nie zauważy - wyjaśnił Lloyd Meats. -

Gdybym zadał sobie trud znalezienia merkaptanu. żeby opryskać nim zrujnowany budynek na odludziu, musiałbym mieć ważny powód. Osoba, która użyła tam tej substancji, mogłaby być zabójcą, którego szukamy

- Nie wydaje się panu, że pan przesadza? - rzekł Ben-tley, podnosząc brwi do góry, co upodobniło go do postaci z kreskówki. - Ktoś zostawia kilka kropel merkaptanu i tarasuje wejście do porzuconego domu, a pan robi z niego od razu niebezpiecznego psychopatę!

- Wprost przeciwnie. Widzę w tym wypadku tylko jeden powód użycia merkaptanu. Zabójca

wiedział, że od czasu do czasu przychodzili tam ludzie, spryskał więc wewnątrz tym środkiem i zatarasował wejście, żeby smród odstraszył włóczęgów lub innych nieproszonych gości. Chciał być pewien, że kiedy zjawi się tam z ofiarą, w środku nikogo nie będzie. A to znaczy, że przygotował się do działania w najdrobniejszych szczegółach wiele dni wcześniej; może nawet przyszedł tam kilka godzin przed morderstwem, żeby przewietrzyć, kto wie? Taka osoba to bez wątpienia niebezpieczny psychopata.

Bentley Cotland patrzył na Meatsa, jakby ten mówił po chińsku.

- Pan w to wszystko wierzy? - zapytał Brolina.

- Jest to jedna z możliwości. Powiedz mi, Carl, czy me kaptan można łatwo kupić?

- Niestety, tak. Jest sprzedawany w wielu miejscach, przede wszystkim we wszystkich sklepach z artykułami paramilitarnymi, co już nam daje listę długą jak „Titanic”, a jeśli nasz człowiek jest tak sprytny, jak nam się to wydaje, z pewnością zapłacił za wszystko gotówką. No i setki transakcji korespondencyjnych w całym kraju. Jeśli chcecie zrobić listę wszystkich klientów, życzę wam powodzenia!

Brolin pokręcił głową przecząco i wymamrotał, że to rzeczywiście bez sensu.

- A co do zabójcy, czy zajął się już pan jego profilem, Jo-shua? - kapitan zwrócił się bezpośrednio do Brolina.

- Jeszcze nie. Na razie zbieram jak najwięcej danych. Zabiorę się za to, gdy tylko uznam, że mam ich wystarczająco dużo, żeby zacząć pracować. Nie chcę się pogubić na samym początku śledztwa z powodu braku kilku elementów ważnych dla właściwej oceny sytuacji.

Meats, Salhindro i DiMestro pokiwali głowami z aprobatą.

- Ale obawiam się, że mam gorsze nowiny - ciągnął in-spektor. - Po pierwsze, nie zidentyfikowaliśmy jeszcze ofiary. Biorąc pod uwagę, że górna część jej twarzy jest w bardzo złym stanie, nie można opublikować fotografii w gazetach. Na liście zaginionych jej nie ma, przynajmniej na razie. Bę-

dziemy musieli poprosić wszystkich dentystów w okolicy o sprawdzenie swoich rejestrów, może będzie tam karta jej uzębienia, co zabierze dużo czasu, jeśli w ogóle da rezultat pozytywny. Po drugie, co stwarza dodatkowe problemy, sekcja wykazała wiele punktów wspólnych ze sposobem działania Lelanda Beaumonta.

- Do jakiego stopnia? - zapytał Meats.

- Szczerze mówiąc brakowało tylko podpisu „Kat z Bartland”, żeby obraz był kompletny.

Brolin umilkł na chwilę.

- Facet, który to zrobił, wiedział o paleniu kwasem czoła, co zawsze trzymaliśmy w tajemnicy.

Mówiliśmy już zresztą o tym wcześniej. Gorzej: ręce również uciął w ten sam sposób, starając się nie zniszczyć skóry i kości, nie troszczył się natomiast w ogóle o mięśnie i więzadła. Zabójca z lasu zna podstawy anatomii, tak jak Leland Beaumont, oraz ma ten sam modus operandi.

Widząc, że Bentley już otwiera usta, Salhindro szybko powiedział:

- Modus operandi to sposób, w jaki zabójca dokonuje zabójstwa, czyli zespół

czynności, których się dopuszcza, i środków, jakie stosuje, żeby pozbawić życia ofiarę. Nie należy tego mylić z podpisem, będącym materializacją jego tajemnych pragnień i przedstawiającym powód, dla którego zabójca zabija i który często się powtarza przy każdej następnej zbrodni. Tu zabójca nie potrafi oszukiwać. Podpis składa się z jednego lub kilku elementów ważnych dla ziszczenia się tych tajemnych żądz. Zbrodniarz może zmienić sposób działania, starać się ulepszyć rytuał, ale nic nie umie zmienić podpisu, gdyż podpis jest silniejszy od rozumu, jest źródłem jego motywacji nie kontroluje go.

Bentley skinął głową na znak, że zrozumiał.

- A tutaj mamy ten sam sposób działania - wyjaśnił Bralin. - Zabijanie przez obcięcie rąk i wypalenie kwasem czoła. Ale podpis wydaje mi się inny.

Wszyscy wlepili oczy w Brolina.

- Wyjaśnij to - poprosił Meats.

- Jeszcze za wcześnie na wnioski, ale wydaje mi się, że zabójca nie kontroluje w pełni sytuacji; wygląda na to, że ulega emocjom, co nigdy nie zdarzyłoby się Lelandowi Beaumontowi, który czerpał satysfakcję właśnie ze swojego wyjątkowego opanowania i faktu, że całkowicie panuje nad ofiarą. Ale nie chcę mówić na ten temat; jeszcze nie teraz. Najpierw muszę popracować nad profilem.

- Dobrze, w takim razie musimy zebrać wszystkie posiadane przez nas informacje na temat Lelanda Beaumonta. Jeśli zabójca z lasu tak bardzo chce go naśladować i tyle o nim wie, my również musimy pójść w tym kierunku - rzekł kapitan Chamberlin.

Brolin szybko podszedł do metalowej szafy i wyjął z niej grubą kartonową teczkę z wypisanym flamastrem tytułem: „Kat z Portland - Leland Beaumont”.

- Zróbmy ogólne podsumowanie. Co o nim wiemy? Pierwszy przemówił

Salhindro, nie zaglądając do żadnych notatek:

- Płeć męska, lat dwadzieścia trzy Jedyńy syn małżeństwa ekscentryków.

Ojciec jest rzemieślnikiem, wykonuje różnej przedmioty z aluminium; żyje głównie z handlu wymiennego, nie zarabia wiele. Po śmierci Lelanda wezwaliśmy go, żeby wypytać o syna - okazał się bardzo miły ale gadał zu-pełnie bez sensu. To biedny facet o niezbyt wysokim ilorazie

inteligencji. Z

koki matka, według słów jej męża, była osobą uwielbiana przez całą rodzinę, zwłaszcza przez Lelanda, który spędzał z nią bardzo dużo czasu. W

tysiąc dziewięćset

dziewięćdziesiątym czwartym roku zginęła podczas gwałtownej kłótni z sąsiadką, równie porywcza jak ona. Kobiety pobiły się i tamta ucięła jej rękę, a następnie wbiła siekierę w gardło. Jest to rodzaj „wypadku”, jakie zdarzają się czasem w tych zapadłych dziurach, gdzie ze względu na zawieranie małżeństw między bliskimi kuzynami większość członków społeczności jest niezbyt normalna.

- Sądzymy, że to ten wypadek stanowił czynnik determinujący mordercze zapędy Lelanda Beaumonta - włączył się Brolin. - Śmierć matki była dla niego źródłem wielkiej traumy i prawdopodobnie obcinał ręce ofiarom, żeby wysublimować akt zemsty. Robił innym kobietom to, co uczyniono jego matce. Był to fetyszym; fetyszym na tle zbrodniczym, ponieważ przechowywał te ręce jako trofea. Interesujące, że rodzina Beaumontów większą część życia spędziła na wędrownościach po całym kraju. Rzadko przebywali w jednym miejscu dłużej niż rok czy dwa, zanim wreszcie osiedlili się w okolicach Portland. Leland był w dzieciństwie samotnikiem, co utrudniało mu wyleczenie się z nieśmiałości mieszkał zawsze na odludziu i nie miał zbyt wielu okazji zaprzyjaźnienia się z innymi dziećmi. A gdy taka okazja w końcu się pojawiała, musiał wszystko zaczynać od nowa w innym miejscu, bo rodzina znów się przeprowadzała. Jego ojciec wędrował „za pracą”.

Człowiek ten wydał się nam zresztą osobą sympatyczną, mimo że jest lekko ograniczony intelektualnie. Powiedział, że ani on, ani jego żona nigdy nie bili i nie maltretowali Lelanda. Osobiście nie jestem tego pewien, ale nigdy nie dowiemy się już prawdy. Ojciec był często nieobecny, może to on go bił, a nawet gwałcił. Leland zwrócił się więc w stronę matki, która była cały czas w domu i która go kochała. Żyjąc w odosobnieniu, rozwinął w sobie miłość głównie do matki, ponieważ podczas dojrzewania nie miał w swoim otoczeniu żadnej innej kobiety

- Chce pan powiedzieć, że jako nastolatek Leland nie miał nawet małego romansu? - zdziwił się Bentley Cotland.

- Prawdopodobnie nie. Rodzina Beaumontów osiedlała się zawsze na odludziu, żeby mieć spokój, tak powiedział nam ojciec. To z pewnością nie pomogło Lelandowi rozwinąć się tak jak jego rówieśnicy, a jeszcze do tego był bardzo samotny i żył w szczególnej atmosferze rodzinnej. Może wyda się wam to zbyt dużym uproszczeniem, ale nie wahałbym się porównać Beaumontów do zacofanych rodzin żyjących na wsiach dalekiej amerykańskiej prowincji, gdzie niektórzy rządzą się regułami nieprzystającymi do naszych czasów.

Co więcej, Beaumontowie bez przerwy podróżowali; cały ich dobytek jechał

z nimi w ogromnej przyczepie mieszkalnej. W dziewięćdziesiątym czwartym, kiedy Abigail Beaumont zginęła z powodu ponurej kłótni o miedzę, Leland miał osiemnaście lat. To było na zachodnich krańcach Oregonu, w lasach Mont Hood. W momencie, gdy stracił osobę, która odgrywała główną rolę w jego życiu, stracił też wszystkie punkty oparcia. Znalazł jakieś zajęcie na złomowisku starych

samochodów znajdującym się nieopodal i opuścił

tymczasowy dom, który ojciec wybudował obok ich starej przyczepy-W

pracy nauczył się trochę żyć pośród ludzi i można by powiedzieć, że się przystosował. Miał twardy charakter, był dość przystojny, widział co nieco własnego kraju; musiał zdać sobie sprawę, że może manipulować ludźmi naiwnymi. Myślę, że manipulowania i dominowania nad innymi nauczył się stopniowo; musiało mu się to spodobać. Pewnie zaczął nawet uwodzić jakieś wiejskie dziewczyny, to dodało mu pewności siebie. Ponieważ Leland, inaczej niż jego ojciec, nie był ograniczony, przeciwnie, był człowiekiem dość inteligentnym, stopniowo zaczął czuć się nietykalny. Znikł gdzieś strachliwy, niezrównoważony emocjonalnie chłopiec z przeszłości, a w jego miejsce pojawił się pewny siebie uwodziciel Uderzyło mnie u Lelanda Beaumonta to, jak się ubierał i zachowywał mimo swojego młodego wieku.

Wyglądał na ponad dwadzieścia pięć lat, podczas gdy w istocie w momencie, śmierci... miał ich zaledwie dwadzieścia trzy.

Wahanie Brolina wynikało z tego, że nie lubił wracać do tamtego dnia. Ile razy o tym mówił, tyle razy widział siebie naciskającego cyngiel i głowę Lelanda rozpryskującą się jak przestrelony arbuz.

- Ale jeśli zyskał tyle pewności siebie, dlaczego zabrał się do zabijania kobiet? Przecież mógł je po prostu uwodzić? -

zapytał Carl DiMestro. Zawsze interesowała go ta strona śledztwa, która znajdowała się poza jego bezpośrednimi kompetencjami, a więc nie pod okularem mikroskopu.

- Ponieważ już od dawna znajdował się na drodze do zbrodni - odpowiedział

Brolin, podnosząc za mocno głos -Przez całe dzieciństwo i lata szkolne kształtowano jego osobowość, poniewierając ją. Kiedy przeżył szok z powodu śmierci matki, mogło już być za późno. Jacyś dziennikarze stwierdzili nawet w zeszłym roku, że Leland miał stosunki płciowe i matką, co być może nie jest całkowicie bezpodstawne! Kiedy się wyprowadził, nie było mu łatwo, ale dał sobie radę, i ten chłopiec, który wcześniej zawsze był

sam, odpychany przez innych, bo wszędzie obcy z powodu częstej zmiany miejsca pobytu, a być może trochę nadpobudliwy, wreszcie został

zaakceptowany. Miał zresztą wiele sercowych podbojów na swoim koncie!

Ale przede wszystkim odkrył moc dominowania i to mu się spodobało.

Dlaczego zaczął mordować, tego nie umiem powiedzieć; trzeba by móc o tym porozmawiać z nim samym. Ale pierwsza ofiara była niezwykle podobna do jego matki i myślę, że to w jakiś sposób wyjaśnia sprawę.

- A swoją ostatnią ofiarę poznał chyba na czacie? - zapytał Bentley.

- Juliette? - sprecyzował Brolin. - Proszę nie nazywać jej ofiarą: ona żyje i dobrze się miewa. Zaś co do innych... Leland wybierał ofiary według tego, co dyktowały mu jego rodzące się samoistnie podczas wędrówek pragnienia: jakaś twarz, czyjeś ciało, postawa... Co do Juliette, wydaje się, że prowadził z nią rozmowy przez internet, ale ona zaczęła go unikać, nie chciała go poznać w prawdziwym świecie i to spowodowało jego

wściekłość. Dalszy ciąg historii znacie. Rzeczywiście, Leland okazał się wyjątkowo zdolny. Nie wiem, jak do tego doszło, ale w rezultacie jak na samouka dysponował bardzo dużą wiedzą. W dzieciństwie nie umiałby z pewnością włączyć płyty CD; jako dorosły swobodnie surfował po sieci.

Znaleźliśmy u niego dużo książek, wiele dotyczyło internetu i informatyki.

To smutne stwierdzenie, ale myślę, że gdyby urodził się w innej rodzinie, byłby dziś kimś ustabilizowanym i porządnym.

Ile winy w tym, co się stało, należało przypisywać rodzinie Beaumontów, było kwestią drażliwą, na której temat nikt nie kwapił się dyskutować.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Silny powiew wiatru uderzył w wielkie okno. Zabrzmiało to trochę jak krzyk.

- A ta znajomość anatomii? - zapytał DiMestro. - Wcześniej powiedziałaś, że znał podstawy anatomii - skąd?

- To jest część tajemnicy, którą Leland zabrał ze sobą do grobu - odrzekł

Brolin trochę skrepowany - Nie wiemy. Książek na ten temat nie miał; ojciec też nie był nam tego w sta

nie wyjaśnić. Mówił że Leland musiał nauczyć się tego łowiąc ryby.

- Łowiąc ryby? — powtórzył Bentley.

- Tak. Ten ojciec to przecież człowiek niezbyt rozgarnięty - rzekł Salhindro z naciskiem.

- Leland niezwykle sprawnie posługiwał się skalpelem a tego nie mógł

nauczyć się z książek. Musiał na czymś treno-wać, ale na czym... Nie mam pojęcia. BPwnie na zwierzętach.

- Ale jednak jest różnica między anatomią zwierzęca a człowieka - rzekł

DiMestro.

Brolin wzruszył ramionami.

- Tak jak mówiłem: nie wiem, gdzie się tego nauczył.

- A co robił z tymi rękami, które obcinał? - zapytał Ben-ley Cotland.

- W końcu odkryliśmy, że służyły mu do robienia odlewów do rzeźb.

Próbował wielu metod konserwacji, wstrzykując różne substancje chemiczne albo przechowując ucięte ręce w gipsie, ale te jego doświadczenia nie przyniosły skutecznego rozwiązania.

Znów simy powiew wiatru uderzył w szybę dużego okna. - Ale zdumiałoby was jego mieszkanie. Było prawie puste; znajdowało się w nim tylko absolutne minimum niezbędne do życia. Nie miało żadnego charakteru, tyk że było funkcjonalne. To było aż nienormalne. Po zakończeniu śledztwa wiele osób myślało, że on musiał mieszkać gdzie indziej, że przechowywał

swoje sekrety w miejscu bardziej osobistym, że miał gdzieś, że tak powiem, kryjówkę. Jednak nikt nigdy nie znalazł niczego, co pozwoliłoby stwierdzić, że takie miejsce w ogóle istniała.

Lloyd Meats potarł czarną brodę i pierwszy przerwał ciszę.

- Dobrze więc od czego zaczynamy? Od otoczenia Lelanda?

- Morderca wie bardzo dużo o Lelandzie - zauważył Sal-bindrą - Robi rzeczy, o których oprócz Lelanda wiemy tylko my. Albo więc jest to ktoś, kto go dobrze znał, przyjaciel czy kolega z pracy, albo ktoś, kto ma dojsć do naszych dokumentów.

- Myślisz o jakimś policjancie? - nie wytrzymał kapitan Chamberlin.

- Dlaczego nie? Wariaci są wszędzie - pokiwał głową Salhindro.

Meats się oburzył.

- No nie! Jak można przypuścić, żeby jeden z nas...

- Wcale nie mówiłem, że...

- Panowie! - przerwał im kapitan Chamberlin, po czym zwrócił się do Brolina. - Joshua, to pana śledztwo. Co pan o tym myśli?

Brolin potarł dłonią podbródek, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Chciałbym, żeby patrole nadal kontrolowały okolice rudery, w której znaleziono ciało. Morderca mógłby tam wrócić, żeby jeszcze raz przeżyć tamte doznania. Następnie należy dokładnie przejrzeć wszystkie archiwa i spisać nazwiska osób, które miały dostęp do raportów z sekcji za zeszły rok. Niewielu mogło je przeczytać; to już zawęży pole podejrzeń. Ale nie sądzę, żebyśmy znaleźli coś w ten sposób. Ten, kto to zrobił, nie poznał Lelanda Beaumonta z tych raportów; jestem pewien, że musiał znać go osobiście. Zaczekam na końcowe wnioski doktor Folstom i zajmę się profilem psychologicznym mordercy. Później pójde pogadać z dawnymi kolegami z pracy Lelanda.

- Mogę dać dwóch inspektorów do archiwów - rzekł Meats.

- A ja dopilnuję, żeby jak najczęściej patrolowano miejsce zbrodni - rzekł

Salhindro.

Bentley Cotland patrzył na to przydzielanie ról członkom zespołu, nie za bardzo wiedząc, co powiedzieć, i kolejny raz czując się jak piąte koło u wozu.

Kapitan Chamberlin spojrział na niego uważnie.

- Od poniedziałku będzie pan asystował inspektorowi Bralinowi, ale tymczasem zrobi pan to, co wszyscy, czyli tro-che pan odetchnie.

Bentley pokiwał głową. Nie bardzo podobał mu się autorytatywny ton kapitana, ale perspektywa wolnego dnia spowodowała, że natychmiast znikła ochota na rozpoczynanie sporu. Od wieków nie udało mu się przeznaczyć całego dnia na słodkie leniuchowanie.

Wszyscy wstali tylko Brolin jeszcze siedział. Myślał o nowym zabójcy; który tyle wiedział o metodach stosowanych przez Lelanda. Nawet jeśli działał

trochę inaczej, to różnica była niewielka, i Brolinem wstrząsnął dreszcz, który nie miał nic wspólnego z panującym zimnem. Pomyślał bowiem, że gdyby Leland Beaumont nie został zabity, lecz wtrącony do więzienia, on natychmiast chwyciłby za telefon i kazał sprawdzić celę „Kata z Portland”.

Gwałtowny powiew wiatru po raz trzeci groźnie uderzył w szybę.

Zmęczona niespokojną nocą i niedostateczną ilością snu, Juliette spędziła sobotni ranek u Camelii, drzemiąc. Z kolei Camelię jak zwykle roznosiła energia, kręciła się więc wokół przyjaciółki, nie dając jej spokoju. Z wielkim skupieniem wybrała ze swojej garderoby to, co, jej zdaniem, najlepiej pasowałoby do Juliette i co podkreśliłoby jej zgrabne kształty. Camelia uważała zajęcie się Juliette za swój obowiązek. „Jak można być tak ładną i zgrabną i w ogóle nie przywiązywać do tego wagi!” - powtarzała. A tego dnia doszła do wniosku, że nadszedł czas, aby mogły spędzić wesoły babski wieczór poza domem. Juliette musi sobie uświadomić, że jest piękną kobietą, tak samo czarującą, jak urodziwą. Pozostawało najtrudniejsze: umotywować przyjaciółkę.

Camelia ruszyła do akcji. Biegała od jednej szafy do drugiej jak pracowita pszczoła, napełniła wody do wanny i wlała do niej pachnące olejki, rozłożyła też na komodzie przybory służące do upiększania: puder, cienie i tusz do oczu, lakier do paznokci i komplet szminek do ust, a na końcu wycisnęła sok ze świeżych owoców. Plan był prosty, ale skuteczny: cały ranek na przygotowywanie się, popołudnie na zakupy, a wieczór na wyjście.

Juliette zaprotestowała nieśmiało, ale nie miała odwagi zaczynać kłótni z Camelią: czuła się na to zbyt zmęczona. Spędziła więc godzinę w wannie, pluskając się w ciepłej wodzie, która chroniła ją przed chłodem panującym w łazience. Prawie zasnęła w oparach aromatycznych olejków i została wyciągnięta z póżnu przez Camelię, która spytała przez drzwi, czy przypadkiem Juliette nie ma zamiaru zamienić się w rybę. Spodnie wybrane przez Camelię nie podobały się jej. Były obcisłe w biodrach i miały szerokie nogawki, co Camelia uważała za fantastyczne, gdyż, według niej, „wspaniale podkreślały jej krągłe pośladki”.

Na szczęście góra, pulower, okazał się idealny choć miał zbyt głęboki dekolt.

W końcu Juliette udało się skrócić seans makijażu, ponieważ malowała się niewiele, podkreślała tylko lekko oczy, żeby uwydatnić ich błękit, i w ostateczności dyskretnie kładła trochę szminki. Camelia musiała nieźle się namęczyć, zanim znalazła krem, dzięki któremu cera Juliette nabrała promieniejącego odcienia lekkiej opalenizny.

Przez cały czas Juliette zbierała się, żeby zadzwonić do Josha Brolina, ale za każdym razem, gdy już miała to uczynić, pojawiała się Camelia z jakimś nowym pomysłem.

Znalazłszy się w mieście, wsiadły do tramwaju, który zawiózł je do bardzo modnego centrum handlowego na Pion-ner Place. Tutaj Camelia poświęciła się całkowicie oglądaniu najseksowniejszych ubrań i wszystkich mężczyzn, którzy przechodzili głównym pasażem. Wiele razy Juliette zwracała jej uwagę, że rozbiera ich wzrokiem, a przecież prawie wszyscy byli w towarzystwie kobiet, ale Camelia tylko wzruszała ramionami. „Trudno!” -

mówiła. Wreszcie, zmęczona oglądaniem Camelii mierzającej obcisłe bluzki i kreacje wieczorowe, Juliette poddała się i wyszła ze sklepu obarczona kilkoma paczkami.

Camelia ponownie musiała użyć całej swojej siły perswazji, żeby zaciągnąć ją później do parku

Waterfront. Dzień miał się ku końcowi, zmierzch odbijał

się w rzece Willamette językami płynnego ognia. W porcie eleganckie jachty kołysały się w takt fal, a domy, jedne po drugich rozbłyskując światłem, wyglądały niczym wielkie świece sterczące nad rzędami parkowych drzew Juliette z Camelia doszły do wejścia do „Sobotniego Targu”, słynnego na cały kraj. Poza setkami rozmaitych atrakcyjnych produktów miejsce to oferowało dziesiątki spektakli ulicznych, miłych restauracji i kipiących życiem barów. Przyjaciółkom spodobał się bar urządony w stylu angielskiego pubu, z boazeriami i kopiami gazowych lamp oświetlających boksy. W telewizji trwała transmisja meczu piłki nożnej, sportu w Ameryce jeszcze niezbyt znanego, który zainteresował jednak grupę mężczyzn przy barze, wrzeszczących przy każdym chybionym strzale, jakby myśleli, że oni zrobiliby to lepiej. Wieczór mijał pośród wrzasków kibiców i dźwięków muzyki irlandzkiej, która jako główna atrakcja podkreślała oryginalny styl pubu. Szybciej niż przypuszczała, stolik przed nimi zappełnił się pustymi szklankami i wkrótce Juliette poczuła, że jest porządnie zawiana. Camelia co chwilę wybuchała śmiechem, Juliette zawtórowała jej kilka razy. W innych okolicznościach Camelia starałaby się znaleźć męskie towarzystwo, poznać jakiegoś samotnego przystojniaka, może nawet spędzić z nim noc; taką już miała naturę. Ale tego wieczoru czuła, że jej przyjacielka bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje trochę rozrywki, a zbyt dobrze ją znała, żeby nic wiedzieć, że obcy mężczyźni raczej nie wchodzili w rachubę. Juliette była płochliwa, nie zniosłaby zwykłego podrywania w barze. Potrzebowała scenariusza bardziej romantycznego, czystszeo, nawet jeśli i on zmierzałby do podobnego finału. Taki był styl Juliette.

W końcu złapały taksówkę, obie w doskonałym nastroju. Tej nocy Juliette w ogóle się nie denerwowała; nie miała czasu: ledwo przyłożyła głowę do poduszki, natychmiast zasnęła, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że jest u Camelii.

Następnego dnia w południe w końcu zdecydowała się zatelefonować do Josha Brolina. Myślała o tym przez cały ranek, lecząc ból głowy, a kiedy doszła do wniosku, że wytrzyma bez dzwonienia do niego, złapała się na tym, że właśnie wykręca jego prywatny numer.

Brolin potraktował ją z sympatią i po przyjacielsku. Wymienili kilka banalnych zdań, nie chcąc powiedzieć nic bar-dziej konkretnego, a potem Juliette zaproponowała mu, żeby

spędzili razem popołudnie, co Brolin natychmiast podchwycił. Wydawało się nawet że perspektywa spotkania bardzo mu się spodobała, i Juliette spadł

kamień z serca. Bała się, że Brolin będzie miał dość jej towarzystwa i że ucieknie się do jakiegoś głupiego pretekstu, żeby tylko się z nią nie spotkać.

Tymczasem powiedział, że bardzo dobrze robi mu zmiana atmosfery, bo musi odetchnąć, i wyznaczyli sobie spotkanie wczesnym popołudniem w Ogrodzie Różanym.

Znajdujący się w parku Waszyngtona Ogród Różany cieszył się zasłużoną sławą z powodu wielkiej ilości wspaniałych róż, które w nim rosły. Ponad pięćset gatunków ozdabiało park od maja do września, rozświetlając połyskującymi refleksami spokojne aleje. Można było powiedzieć: pozosta-

łość raju w samym środku gęstego lasu.

Juliette i Joshua spacerowali między ukwieconymi krzewami, których jeszcze nie naruszył jesienny chłód pierwszych październikowych dni. Lato definitywnie minęło: niebo

się zaczyna, a gdzie kończy. Wiał chłodny wiatr, marszcząc w powiewach tysiące płatków jak jedwabne prześcieradła

- Nie ma zbyt wielu ludzi. To dziwne, przecież jest niedziela - rzekł Brolin, kuląc się w nieodłącznej skórzanej marynarce.

- Bo zaczął się październik i ludzie myślą, że wszystkie kwiaty dawno zwiędły.

Wiatr poruszył czarnymi kosmykami wysuwającymi się spod beretu Juliette.

W oddali chmura płatków oderwała się i pofrunęła spiralną falą w dal.

- Och, jakie to piękne! - wykrzyknęła Juliette. - Różana burza!

Brolin przytaknął, obserwując dziewczynę, której oczy błyszczały jak u dziecka.

- A jak tam twoje samopoczucie? - zapytał.

- Dobrze. Cały czas siedzę u Camelii, żeby uciec dziennikarzom, którzy stoją przed moim domem. Nie mogę się

skoncentrować na nauce i mam wrażenie, że obleję ostatni rok! Ale poza tym wszystko gra.

- Wreszcie im się znudzi Mam na myśli dziennikarzy. Zajmą się w końcu czymś innym. Za kilka dni zapomną o tobie.

- Mam nadzieję.

Juliette pamiętała, jak zawzięcie atakowali ją rok wcześniej, zarzucając niedyskretnymi pytaniami, mieszając się do szczegółów jej życia, żeby w rezultacie kilka tygodni później zupełnie o niej zapomnieć.

- Joshua... Chciałabym cię o coś spytać. Zatrzymali się pośrodku alejki obsypanej mnóstwem kolorowych płatków. - Chciałabym, żebyś mi powiedział, co sądzisz o męż-

czyźnie, który zabił tę kobietę... tamtego dnia. Czy on naprawdę naśladował Lelanda Beaumonta? Zapadła długa cisza. W końcu Brolin powiedział:

- Tak jakby. Zrobił to w ten sam sposób.

- A więc taki sam modus operandi? - dociekała Juliette, używając słownictwa poznanego na studiach.

Brolin kiwnął głową twierdząco. Ruszyli do przodu.

- Wczoraj po południu rozmawiałem o tym z szefem. Zaproponowałem, żeby wyznaczyli kogoś do opieki nad tobą.

Juliette otworzyła szeroko oczy.

- Do opieki nade mną? Dlaczego? Czy on może zrobić mi coś złego?

Brolin się zawahał.

- Raczej nie. To działanie zapobiegawcze, żebyś nie czuła się zagrożona.

Kapitan Chamberlin się z tym zgadza.

- Myślicie więc, że jeśli ten idiota uważa się za Lelanda Beaumonta, mógłby chcieć dokończyć dzieło „Kata z Port-land”? - Juliette aż zadrżała na tę myśl.

Brolin zwilżył językiem wargi. Brał tę ewentualność pod uwagę; właściwie nawet z tą myślą zaproponował ochronę dla Juliette,

- Nie, nie sądzę - skłamał. - On nie działa dokładnie w ten sam sposób, ale ostrożność nakazuje, żeby niepotrzebnie nie ryzykować.

Trudno było przewidzieć, jakimi torami biegły myśli tego typu zabójcy, ale wydawało się właściwie niemożliwe, żeby mógł przywłaszczyć sobie wszystkie mordercze kaprysy i pragnienia tego, którego naśladował. Juliette była ofiarą Lelanda Beaumonta. Niemniej trzeba było brać pod uwagę to, że facet może chcieć zakończyć sprawę zaczęłą przez swojego idola. Jako akt oddania, dowód szacunku.

Joshua milczał dłuższą chwilę, po czym dodał:

- Właściwie to od wczoraj po południu przed twoim domem stoi na straży samochód.

Juliette znieruchomiała.

- A więc sprawa jest poważna? To było raczej stwierdzenie faktu.

- Powiedzmy, że to dla większego bezpieczeństwa. Ale tak długo, jak długo nie jesteś sama nic ci nie grozi. Nie mogłabyś jakiś czas pomieszkać u Camelii? Juliette energicznie pokręciła głową.

- O nie, nie ma mowy! Nie zamierzam pozwolić, żeby jakiś wariat rujnował

moje życie prywatne. Już swoje zapłaciłam.

Brolin był wyraźnie zawiedziony

- To kwestia najwyżej kilku dni, powiedzmy: tygodnia czy dwóch - odrzekł, chcąc ją uspokoić.

- Myślisz, że za dwa tygodnie ten typ znajdzie się za kratkami? - zapytała Juliette raczej z ironią niż z

ciekawością.

- Nie wiem. Ale to dla twojego bezpieczeństwa.

- Dziękuję bardzo. Już Leland Beaumont nieźle mnie załatwił. Nie zamierzam teraz, kiedy jakoś się pozbierałam, pozwolić innemu cholernemu mordercy wciągnąć mnie z powrotem w kanał. Od dziś śpię u siebie w domu i na pewno się nie wyprowadzę! - Powiedziała to głośniej, niż zamierzała i od razu zrobiło jej się przykro, że zdenerwowała się na Brolina. W końcu on chciał jej po prostu pomóc.

- Tak mi przykro - rzekła po chwili.

- Rozumiem. Zgódź się przynajmniej, żeby nasi ludzie pilnowali twojego domu.

Kiwnęła powoli głową. Wiatr zaszumiał jakby ze skargą, smagając ich po twarzach. Chmura różanych płatków zawirowała koło nich i uleciała w górę.

- Co za pogoda! - wykrzyknęła Juliette, przytrzymując eret na głowie. - Po prostu październik w Portland. - Po prostu Portland! - poprawiła go, a on się uśmiechnął.

Pochylił się nad Juliette, żeby nie przekrzykiwać wiatru. - Może pójdziemy do kina? Podobno grają świetną komedię...

Nie bardzo miał ochotę wracać do siebie. Spędził w domu cały rano, studiując wszystkie dokumenty na temat Leland-a Beaumonta, i potrzebował trochę oddechu przed powrotem w ten krwawy świat.

Juliette uśmiechnęła się szeroko. - Właśnie tego potrzebuję!

Wzięła Brolina pod rękę i zawrócili. Silny podmuch szarpnął krzewami róż.

Nadchodziła burza.

Poniedziałek, 4 października, zapowiadał się bardzo źle.

Przez całą noc nad miastem szalała gwałtowna burza i Brolin źle spał. A przecież położył się do łóżka, co mu się rzadko zdarzało, w nastroju spokoju i błogości. Dzień z Ju-liette okazał się aż nadto udany. Najpierw bardzo przyjemny pobyt w kinie, a później dwie godziny w lodziarni „Ben & Jerry”, spędzone wesoło w nastroju rodzącego się porozumienia. Joshua bardzo lubił Juliette. Chyba nawet za bardzo, jak na jego gust. Coraz bardziej pociągała go jej delikatna uroda i ten wyjątkowy charakter. W ogóle nie przypominała większości dziewcząt w jej wieku, którym w głowie były głównie wieczory spędzane poza domem na różnych imprezach. Podobała mu się jej tajemniczość i ten niemodny romantyzm, który na próżno starała się ukrywać. Miała dwadzieścia cztery lata, a on niedługo miał skończyć trzydzieści dwa, ale znając ją, wiedział, że wiek nie stanowił tu problemu. Bardziej martwiło go raczej to, co przeżyli razem. On był tą osobą, która uratowała jej życie. To dla niej pierwszy raz w życiu zabił

drugiego człowieka. Bał się, że nie były to podstawy zdrowego związku. Być może pociągał ją z powodu tego zdarzenia, stał się dla niej niemal święty. Postawiła go na piedestale, a on na to nie zasługiwał właśnie dlatego, że zabił człowieka - nieważne, mordercę czy nie. Ale może się mylił, może Juliette żywiła do niego tylko przyjaźń? Była taka śliczna... Wciąż miał

ochotę wziąć ją w ramiona. Budząc się tego ranka, wiedział, że mu się śniła.

Czuł w duszy gorzki zawód - we śnie byli ze sobą bardzo blisko, ich ciała się stykały, jego serce biło szybciej z jej

powodu. Ale obudził się w samotności, pośród szumu deszczu uderzającego o szyby.

Dzień trwał dopiero od kilku godzin, kiedy zrozumiał, że tęskni za Juliette.

W drzwiach jego gabinetu pojawił się Lee Fletcher. Lee był również inspektorem wydziału dochodzeniowo-śledcze-go; miał około czterdziestki, wystający brzuch, początki łysiny i wielkie wąsy, które miały mu chyba rekompensować wszystkie zawodowe i osobiste rozczarowania.

- Hej, QB! Masz tu sprawozdanie z sekcji.

Wszedł do gabinetu i położył na wypełnionym dokumentami biurku wielostronicowy faks.

- Wygląda na to, że „Kat z Portland” wrócił! Ja na twoim miejscu wystrzegałbym się kogoś, komu przedziurawiłem łeb dziewięćmilimetrową kulą! - Mówiąc to, Fletcher wybuchnął śmiechem. Nic lubił Brolina; uważał, że jest za młody, Żeby pracować w policji kryminalnej, a zwłaszcza, żeby pracować sam, Uważał też, że były agent federalny nie miał prawa zabierać mu roboty, a już szczególnie agent o wyglądzie futbolowej supergwiazdy. To Fletcher wynalazł przydomek QB i był przekonany, że idealnie pasowało do Brolina, prezentującego się niczym młody sportowy gwiazdor. „Piękna gęba, piękna muskulatura, ale zero wycucia!” - rozlegał się często grzmiący głos Fletchera, kiedy mówił o Brolinie. Tak naprawdę Fletcher był przekonany, że gdyby nie młody inspektor, to

jemu, a nie temu gówniarzowi, przypadłaby sprawa „Kata z Portland”. To jego zdjęcie ozdobiłoby wieczorne wydania dzienników po śmierci Lelanda. I kto wie? Może dzie-

ki temu ułożyłoby mu się z Liz i uniknęliby rozvodu...? - Uwaga na duchy, QB! - Biorę to pod uwagę; dzięki, Fletcher. Fletcher, wychodząc, puścił do Brolina oko i wydał z siebie dźwięk „paf!”. Ponieważ wydawało mu się to zabawne,

równocześnie się roześmiał, po czym znikł za drzwiami. - Idiota... - mruknął

Brolin, podnosząc kartki z biurka.

Analizy anatomopatologiczne, oględziny przy ożyciu sinych mikroskopów i różne nowoczesne techniki pozwoliły wreszcie doktor Sydney Folstom wypowiedzieć się co do kolejności wydarzeń. W momencie, gdy na ciele powstaje rana, w jej miejscu natychmiast w określonym porządku skupiają się różne komórki, z których każda ma ściśle określoną funkcję.

Anatomopatolog, analizując dokładnie każdą ranę, odnotowuje obecność pewnych elementów i nieobecność innych, co pozwala mu stwierdzić, która rana powstała wcześniej, a która później, oraz ustalić przez porównanie chronologię zdarzeń.

Brolin szybko przewertował pierwsze strony wyjaśnień i konkluzji z tej części sekcji, przy której był obecny, i zatrzymał się dłużej przy wnioskach.

Cytologia wykonana post mortem, zwłaszcza analiza potasu obecnego w ciele szklistym, potwierdza czas śmierci, która nastąpiła w nocy ze środy 29

września na czwartek 30 września, między północą a czwartą rano.

Przeczytał pobieżnie kilka opisów. Znajdowały się tarcze nazwy i wyjaśnienia stosowanych technik, z tajemniczą terminologią, pełną określeń typu:

„fibronektyna”, „fosfataza kwaśna”, „fosfataza zasadowa” czy „dopełniacz C3a”. Cała ta precyzyjna terminologia medycyny sądowej była niezrozumiałą gwarą nawet dla niego, szkolonego w FBI.

W analizie krwi ofiary patolog zwrócił uwagę na obecność metanu oraz, co można na tej podstawie wydedukować, chloroformu. Sińce wewnętrzne odkryte na ramionach i włókna bawełny znalezione w ustach sugerowały, że zabójca zaatakował ofiarę od tyłu, zakrywając jej usta szmatką nasączoną chloroformem, żeby ją uspić.

Żaden objaw kliniczny nie sugerował, że kobieta odzyskała przytomność po tym ataku, było jednak pewne, że kiedy morderca przeniósł ją do tego zrujnowanego budynku, jeszcze żyła. Najpierw zadał jej ciosy nożem, uderzając z coraz większą siłą, jakby stopniowo tracił nad sobą kontrolę.

Wiel-

ki krwotok w pochwie był dowodem na to, że natychmiast, gdy tylko ofiara wyzionęła ducha, napastnik przeniósł swoją uwagę na organy płciowe.

Mimo że w uciętych rękach znajdowały się arterie i żyły, fakt że wypłynęło z nich niedużo krwi, poparty badaniami mikroskopowymi, wskazywał na to, że zabójca amputował obie ręce na samym końcu; dopiero wtedy powstały też dwie ziejące rany na wysokości bioder. Co do tych ostatnich, trudno było powiedzieć, czy powstały przed, czy po amputacji rąk.

Analiza mikroskopowa wypalonego kwasem czoła jak na razie nic nie wyjaśniła. Niewiele dało się z tej rany odczytać, było jednak mało prawdopodobne, choć nic tego nie potwierdzało, żeby została zadana za życia ofiary. Laboratorium badało teraz chromatografem gazowym rodzaj użytego kwasu.

Brolin położył raport z sekcji obok swoich wstępnych notatek, wzbogaconych licznymi rozrzuconymi po biurku zdjęciami. Dysponował już pierwszymi elementami koniecznymi do określenia profilu zabójcy.

Wiktymologia, dział kryminologii zajmujący się ofiarami przestępstwa, miała również dostarczyć ważnych danych, lecz jak do tej pory zamordowana kobieta byk tym, co w policyjnym żargonie określa się jako

„ofiata X”. Brolin musiał wyciągać pierwsze wnioski nie dysponując kompletnymi danymi.

Wiedział już wiele, udało mu się wyodrębnić kilka ważnych elementów w trakcie śledztwa, ale żeby zacząć pracować nad profilem psychologicznym mordercy, musiał wyrzucić z głowy wszystko, co widział. Musiał zacząć od zera. Nalał wody do czajniczka który trzymał w biurze i przygotował sobie herbatę. Ponura pogoda powodowała, że światło

na zewnątrz było odpychająco szarobure. W większości budynków naprzeciwko paliło się światło mimo że był właściwie ranek.

„Świat nie ma jakoś ochoty pożegnać się z nocą!” - pomyślał Brolin, wyglądając przez okno.

Z okna spojrzął na panoramę miasta, które wyglądało pod szarym niebem jakby posypane sadzą. Nad wszystkim zawisła aura mistycyzmu. Na kilka sekund Brolin wrócił myślami do wieczorów swojego dzieciństwa, kiedy dla zabawy zmyślał historie o czarownicach i czarnej magii.

- Jak w filmie fantasy... - wyszeptał.

Kiedy herbata była gotowa, usiadł przy biurku, zapalił lampkę stojącą z boku i postawił przed sobą filiżankę z gorącym napojem. Czekala go długa i niewdzięczna, wyczerpująca nerwowo praca.

Gdy do pokoju weszli Salhindro i Bentley Cotland, unosił się w nim łagodny zapach leśnych jagód. Salhindro przyprowadził przysłego zastępcę prokuratora, żeby pokazać mu biura i spędził cały dzień, wyjaśniając procedury i metody funkcjonowania Komendy Głównej Policji w Portland.

Miało to przede wszystkim na celu uwolnienie od niego Brolina, by ten mógł się skupić i popracować w samotności.

Obaj mężczyźni popatrzyli na oazę światła, jaką wydawało się biurko Brolina stojące pośrodku mrocznego pokoju.

- Ależ tu ponuro! - rzekł Salhindro, podchodząc bliżej. - Czy ten zapach to herbata?

Bez unoszenia głowy znad notatek Brolin wskazał piórem na czajniczek.

- Możesz sobie nalać.

Salhindro nie dał sobie tego powtórzyć dwa razy i zaproponował herbatę Bentleyowi spotykając się jednak z grzeczną odmową.

- Na jakim etapie jesteś? - zapytał Brolina.

- Porządkuję notatki.

Brolin wyprostował się i obaj policjanci patrzyli na siebie przez chwilę.

- Nakreśliłem pierwszy szkic profilu. - I co nam to daje?

- Postaram się to wam przedstawić jak najjaśniej.

Czoło Brolina przecinała długa zmarszczka, która pojawiała się tam wtedy, kiedy był bardzo skupiony, i Salhindro musiał się powstrzymać, żeby mu nie powiedzieć, że wygląda okropnie i potrzebuje odpoczynku.

W latach siedemdziesiątych FBI rozpoczęło masowe badania zachowań seryjnych morderców, ponieważ wzrosła liczba popełnianych przez nich przestępstw. Przez lata przeprowadzano wywiady z setkami uwięzionych zabójców, starając się zrozumieć motywy ich postępowania. Na różne sposoby badano i analizowano ich zachowanie. Tak narodziły się NCAVC i program ścigania przestępców VICAR obecnie główna broń w walce ze zbrodniami na tle seksualnym. Również w tym okresie zaczęto pracować nad techniką profilowania, która polega na takim analizowaniu wszystkich elementów zbrodni - miejsca, stanu zwłok, życiorysu ofiary - żeby uzyskać na tej podstawie jak najwięcej informacji o mordercy. Rozwijając się, metoda ta pozwoliła w ciągu ostatnich dwudziestu lat wytropić i aresztować wielu groźnych przestępców.

- Czy to normalne, że pan, jako prowadzący śledztwo, osobiście tworzy profil mordercy? - zapytał Bentley, podejmując kolejną próbę zrozumienia wszystkich procedur.

Brolin machnął ręką na znak protestu.

- Przede wszystkim muszę powiedzieć, że tworzenie profilu to tylko część śledztwa. W żadnym wypadku nie chodzi tu o wskazanie palcem tego, kto zabił, ale o skierowanie poszukiwań na właściwy tor. Z tego punktu widzenia jestem rzeczywiście najbardziej do tego predestynowany. Dodam przy okazji, że policja w Portland nie ma jeszcze komórki zatrudniającej ekspertów profilujących, a nie mam ochoty prosić o pomoc FBI. Czy nie ciekawi pana, dlaczego mnie, stosunkowo młodemu inspektorowi, powierza się sprawy tego rodzaju, mimo że powinny one przypaść pracownikom z większym doświadczeniem, na przykład Lee Fletcherowi? Po prostu dlatego, że one wymagają pewnej wiedzy psychologicznej, którą tutaj posiadam jedynie ja, ponieważ przeszedłem specjalne szkolenie kierunkowe w FBI.

Bentley podniósł brwi.

- Ukończył pan Quantico? - zapytał zdziwiony.

Brolin potarł dłonią podbródek, wzdychając. Zastępca prokuratora nie był

kimś, z kim chciałby poruszać ten temat Salhindro zauważył to i szybko zmienił temat.

- Dobra, ale co z tymi twoimi wnioskami?

Brolin pokręcił głową i wskazał obu mężczyznom krzesła Salhindro pogardził krzesłem i przysiadł na rogu biurka.

- A więc przestudiowałem dokładnie zdjęcia i raport z sekcji oraz przebadłem osobiście miejsce zbrodni. Podsumowałem wiadomości i wyciągnąłem dość interesujące wnioski. Odtwórzmy chronologię wydarzeń zgodnie z tym, co wiemy. Ofiarę - nawiasem mówiąc, bardzo ładną kobietę

- nazwijmy, w oczekiwaniu na identyfikację, „A”. Jest wysportowana, choć trochę chuda. Przypomina modelkę. Zawartość jej żołądka i jelit świadczy o tym, że ostami posiłek spożyła kilka godzin przed śmiercią, to znaczy w środę wieczór. Morderca zaatakował ją między zachodem słońca a północą -

północ jest domniemaną godziną jej zgonu. Nie będę się rozwodził nad sposobem, w jaki została napadnięta, dopóki nie będziemy wiedzieć o niej czegoś więcej. Powiedzmy sobie tyle, że została zaatakowana od tyłu i uśpiona tamponem nasyconym chloroformem, który przytknięto do jej ust i nosa. Próbowwała walczyć, stąd wewnętrzne wylewy pod-skinne pod pachami. To nieprawdopodobne żeby własnej woli udała się w środku nocy do parku Waszyngtona, a już na pewno nie uważam za możliwe, żeby weszła do tego zrujnowanego budynku, w którym została zamordowana.

Była za-dbana i nie miała żadnych niedoborów we krwi e© świadczy o tym, że nie była kimś z marginesu społecznego; raczej żyła na przyzwoitym poziomie. A więc to zabójca, nazwijmy go „X”, przetransportował ją tam. To, że w ranach nie było żadnych włókien tekstylnych, świadczy o tym, że była już naga, kiedy śmiertelnie raził ją nożem. A więc położył ją w głębi tych ruin gdzieś między

północą a czwartą rano. Przypominam wam, że przedtem musiał przez kilka dni całe wnętrze spryskiwać merkaptanem i zatarasował

wejście, żeby się

upewnić, że nikt inny tam nie wejdzie. Przewietrzył zapewne tuż przed powrotem z ofiarą; nie wydaje mi się, żeby mógł spędzić przy zwłokach dłuższy czas, jeśli wokół unosiłby się niezdolny smród. Żeby mógł

zrealizować chore fantazje, wszystko musiało być zapięte na ostami guzik.

Salhindro słuchał uważnie, co jakiś czas przytakując a Bentley mrużył oczy, w miarę jak opowieść stawała się coraz bardziej ponura.

- Zabójca stoi więc teraz przy tej kobiecie, która jest nieprzytomna. Są w środku lasu, jest czarna noc; prawdopodobnie jedyny dźwięk, jaki do nich dociera, to odgłosy drapieżnych ptaków, tych, które polują po zachodzie słońca. Morderca postarał się, żeby przenieść ofiarę aż tutaj, co świadczy o tym, że musiał dysponować jakimś pojazdem, ale również o tym, że musiał

nieść ciało ponad trzysta metrów przez gęsty las. Z pewnością ma jakiś konkretny cel, jeśli zadaje sobie aż tyle trudu.

- Może znał tylko to miejsce; wiedział, że tam nikt mu nie przeszkodzi -

zasugerował Bentley.

Brolin pokręcił głową przecząco

- Nie. Na pewno przewiózł ją samochodem aż do Kingston Drive, a to oznacza, że równie dobrze mógł pojechać trochę dalej na południe albo na wschód, w kierunku tych gęsto zalesionych, wyludnionych okolic, gdzie ciała nie odnaleziono by jeszcze długo; może nawet nigdy. Jeśli tak zależało mu na tym, żeby przywieźć ją tutaj, miał na pewno wyraźny cel. Chciał, żeby ją znaleźli.

Obaj słuchacze poczuli się nieswojo. Brolin ciągnął dalej.

- Wybrał miejsce leżące wystarczająco na uboczu, żeby móc spokojnie dokonać mordu, ponieważ jednak ten zrujnowany dom to melina, wiedział, że prędzej czy później zwłoki zostaną odkryte. Inne jeszcze elementy potwierdzają tę hipotezę, ale o tym powiem za chwilę, fest więc już w tym zrujnowanym budynku razem z ofiarą. Rozbiera ją, żeby sprawić sobie przyjemność i popatrzeć na jej ciało. W tym momencie ona po prostu śpi. Lecz chloroform powoli przestaje działać: kobieta zaczyna dochodzić do siebie, z pewnością boli ją w. Morderca rozebrał ją, ale nie śmie jej dotknąć, ponieważ ona jęczy i trochę się porusza, musi się zatem zadowolić realizowaniem swoich fantazji z daleka. Kobieta jest na jego łasce, może z nią zrobić, co zechce, ale nie będzie jej molestował, dopóki ona żyje. I tak zmieniła się w przedmiot, który go zadowala. Dla niego przestała być kobietą w momencie, gdy ją wypatrzył, gdy wiedział, że nieuchronnie będzie jego zdobyczą.

Brolin zamilkł na chwilę.

- Stoi i patrzy na jej nagie ciało. Ona do niego należy, jest jego własnością.

Jednak w tym momencie staje się coś, co wprowadza go we wściekłość.

Może ona otwiera oczy, może stara się podnieść albo coś powiedzieć, dość, że w jakiś sposób daje mu do zrozumienia, że żyje; robi coś, nad czym on nie ma kontroli, i wówczas on się na nią rzuca i zaczyna dźgać ją nożem, zadaje jej ponad dwadzieścia ciosów.

Zapewne robi to tak długo, aż ona zupełnie przestaje się ruszać. Tym razem już na pewno jest tym przedmiotem, którego tak pożądał, tym przedmiotem rozkoszy; zdepersonalizował ją, żeby zmienić ją w rzecz, w instrument, który ma dać mu rozkosz. Wbijając w nią nóż, przywłaszcza ją sobie. To jest jak trans: on nie może przerwać, raz po raz wbija w nią ostrze, jakby to był

jego penis, jej krew tryska niby nasienie; on zapamiętuje się w tym delirium i raz, drugi gryzie ją mocno w biodra. Nie gwałci jej, bo nie ma ran ani spermy w żadnym z jej otworów, ale osiąga orgazm, mając poczucie władzy nad nią. Kiedy dochodzi do siebie i widzi, co zrobił, wbija jej nóż w pochwę, żeby wyraźnie pokazać, do czego jest zdolny. Przekręca ostrze w środku, ponieważ nóż jest przedłużeniem jego penisa, i tym samym chce nam pokazać, że jest zdolny osiągnąć ją fizycznie. Podczas całego tego morderczego procesu, tej bestialskiej egzekucji, musiał mieć erekcję, a może nawet wytrysk, i jego pożądanie seksualne zostało zaspokojone. Miał na sobie spodnie, dlatego nigdzie nie znaleźliśmy śladu spermy, a przecież cały ten akt jest bardzo seksualny, myślę więc, że to się musiało tak odbyć. Później napięcie, które rosło w nim przez lata oczekiwania, opadło; powoli zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, co uczynił; potrzebuje trochę czasu, żeby się uspokoić. Kiedy już całkowicie nad sobą panuje, obcina jej rękę, żeby mieć trofeum, a także po to, by postąpić tak, jak ten, który jest dla niego wzorem: Leland Beaumont.

- Ale Leland Beau... - zaczął Bentley. Brolin przerwał mu gestem dłoni.

- Tutaj wchodzi w grę pewien inny element determinujący. Morderca pali czoło swojej ofiary kwasem tak, jak robił to Leland Beaumont. Kiedy w zeszłym roku pracowałem nad profilem Lelanda, myślałem, że polewał

kwasem czoła ofiar, ponieważ je znał, przynajmniej z widzenia; że to odbieranie ludzkiej twarzy było z jego strony próbą pozbycia się poczucia winy.

Ale potem się okazało, że Lelanda nic z jego

ofiarami nie łączyło wybierał je przypadkowo, tak mu się zachciała.

Zaczepiał na ulicy albo znajdował przez internet, jak w wypadku Juliette.

Dwie pierwsze były podobne do jego matki; wyciągnąłem z tego wniosek, że chciał przywłaścić sobie jej życie seksualne albo że starał się je przeżyć jeszcze raz, przy założeniu, że już mu się to zdarzała. Później mu-siał

stwierdziu że te kobiety nie są godne tego, ponieważ nie przynosiły mu ekstaza jakiej się spodziewał, i odczłowieczał je, pałac twarze kwasem.

- Ale Juliette nie była podobna do żadnej z pozostałych dziewcząt - zauważył

Salhindro. który nigdy dotąd nie patrzył na tę sprawę z tej perspektywy

- Zgodnie z tym, co mówiła Juliette, Leland Beaumon! i ona porozumiewali się przez internet już jakiś czas. Odrzuciła go, kiedy stał się zbyt nachalny i zaczął proponować spotkania. On, który zabił już trzy kobiety i czuł się wielki żeby nie powiedzieć - wspanialszy od wszystkich, nie zniósł

tej porażki; zdecydował się posiąść Juliette, uczynić ją swoją tak jak te poprzednie. Myślę, że to jest jedyne logiczne wyjaśnienie, i chyba nie jestem daleki od prawdy.

- A morderca z lasu? - zapytał Bentley.

- To jest trudniejsza sprawa. Po pierwsze, nie mam pewności, kiedy dokładnie oblał tę kobietę kwasem; wydaje się, że to nastąpiło rzeczywiście post mottem i było prawdopodobnie jednym z ostatnich działań wykonanych przez niego w stosunku do ofiary. Możliwe, że uczynił to jako ukłon w stronę Lelanda; rodzaj oddania, czci, gdyż, tak czy inaczej, musiał

go znać - nikt oprócz nas nie wiedział o tym kwasie. Kiedy ją znaleziono, ofiara była naga, nogi miała rozchylone, nie miała na sobie ubrania - to jest znak, że morderca starał się ją upokorzyć. Gdyby ją znał, pewnie ułożyłby ciało inaczej: starałby się przydać mu minimum godności albo zakryłby twarz jakąś częścią ubrania, żeby nie musieć jej widzieć. Tak więc całkowicie podpisuje się pod swoją zbrodnią

zostawiając ofiarę „A” specjalnie w upokarzającej pozycji sygnalizując nam wyraźnie, co jej zrobił nożem wsadzonym prosto w organy płciowe: wziął ją sobie, posiadał, i pokazuje nam, że doszło do seksualnej penetracji. Nawet jeśli dla nas jest to tylko jego nóż, czyli substytut, w tamtym momencie broń ta jest dla niego przedłużeniem własnego ciała, a zostawiając nam scenę zakomponowaną w ten sposób, nieświadomie zdradza się przed nami - otóż jest to osobnik seksualnie niekompetentny, niezdolny do penetracji swojej ofiary, co wskazuje nam na kawalera, mężczyznę żyjącego samotnie. Myślę, że jego wiek można ustalić w przedziale dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat.

Brolin przerwał i wypił łyk herbaty. Oczy mu błyszczały i Bentley zastanawiał się, czy to był wyraz bólu i współczucia dla ofiary, czy też ekscytacji relacjonowaniem tych wszystkich faktów. Od kilku minut zauważył delikatną zmianę w młodym inspektorze, który, gdy mówił o atmosferze miejsca zbrodni, przymykał oczy i prawie się uśmiechał, opisując masakrę i odczucia mordercy. Czyżby fizycznie utożsamiał się z tym szaleńcem?

- Ale najważniejsza jest typologiczna klasyfikacja mordercy Istnieją dwa typy takich ludzi pierwszy to zabójca zorganizowany nazywany inaczej psychopata, drugi to zabójca zdeorganizowany; czyli psychotyk. Otóż w danych, które udało nam się zebrać do tej pory, znajdują się cechy obu typów.

- Czy to morderstwo mogłoby być dziełem dwóch ludzi? - odważył się zapytać Salhindro.

- Nie, nie sądzę. Mamy raczej do czynienia z niedoświadczonym zabójcą, u którego te cechy po

trosze się mieszają Bardzo starannie wybrał miejsce morderstwa, wziął ze sobą duży nóż. To świadczy o premedytacji, co jest bardzo rzadkie, jeśli nie zupełnie wykluczone, u zabójców zdeorganizowanych, czyli psychotyków Zaopatrzył się również w chloroform. Wszystko to sugeruje, że do dzieła przystąpił bardzo skrupulatnie przygotowany. Ale to, że nie był zdolny do stosunku płciowego z ofiarą, świadczy z kolei o tym, że jest to osobnik niedojrzały seksualnie: to samo mówią okaleczenia narządów płciowych zamordowanej kobiety. Ponadto, gdy ją zabijał ogarnęła go histeria: wbijał

nóż w ciało raz po raz, nie mogąc się powstrzymać; myślę nawet że pogryzł

ją w tym szale. Już sam fakt napaści od tyłu z tamponem nasączonym chloroformem niesie w sobie silną konotację psychotyczną zabójca nie pozwala sobie na swobodną rozmowę z ofiarą, na flirt, na coś, co pozwoliłoby mu poczuć się silniejszym od niej, zanim przejdzie do czynu.

Może nie czuje się do tego zdolny. Ale z drugiej strony dowodzi niezwykle zimnej krwi -wycięcie po zabiciu ofiary obu śladów ugryzień na biodrach, oraz inteligencji - dokonanie mordu w miejscu, w którym liczne ślady po dzikich lokatorach uniemożliwią skuteczną analizę włosów, zarostu i tak dalej.

- Wygląda więc na to, że zabójca reprezentuje typ mieszany - podsumował

Salhindra.

- Tak mi się rzeczywiście wydaje. Bardzo precyzyjnie planuje i przygotowuje zbrodnię, ale w momencie przejścia do czynu panikuje; jednak po wszystkim znowu odzyskuje panowanie nad sobą. Brak albo niewiele przemocy ante mor-tem, błyskawiczny atak i następnie niezdolność do zgwałcenia ofiary określają go jako zdeorganizowanego psychotyka. Z

drugiej strony przygotowuje sobie ofiarę, może nawet dokładnie ją wybiera, a po akcie jest całkowicie opanowany.

- A co nam to wszystko daje z punktu widzenia śledztwa? - zapytał Bentley.

- To nam pomaga dostrzec wiele ważnych rzeczy, panie prokuratorze.

Bentley zrobił kwaśną minę, gdy usłyszał swój przyszły tytuł.

- Przede wszystkim możemy określić ogólny profil mordercy. Jest to biały mężczyzna w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat Ma budowę atletyczną, choć jest raczej typem astenika, na przykład może mieć jakąś dysharmonie między budową sylwetki a twarzą, zaś tors ma wąski i długi, choć dostatecznie mocno umięśniony

- Skąd może pan wiedzieć, jak wygląda morderca, na podstawie tego, co zrobił? - wykrzyknął Bentley, najwyraźniej niezbyt pozytywnie nastawiony do metod Brolina.

- Stąd, że opublikowano bardzo dużo prac badawczych, które dowiodły, że istnieje związek między fizycznym wyglądem danego osobnika i jego zaburzeniami psychicznymi; poza tym ze statystyk

prowadzonych przez FBI w ciągu ostatnich dwudziestu lat wynika, że w ten czy inny sposób można połączyć określony typ zabójcy psychotycznego z pewnymi cechami fizycznymi, często zależnymi od jego trybu życia.

- Tak czy inaczej, musiał być silny, żeby utrzymać ofiarę, kiedy przytykał jej do twarzy chloroform - wtrącił Sal-hindro.

Bentley kiwnął głową bez specjalnego przekonania.

- Jak więc mówiłem, wiek zabójcy mieści się w przedziale od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. U morderców z tej grupy jest to typowy okres, w którym przechodzą od teorii do praktyki, tym bardziej że ofiara miała około dwudziestu pięciu lat. Często seryjni mordercy wybierają ofiary z tego przedziału wiekowego i z tej grupy etnicznej, którą sami reprezentują, chyba że jakiś konkretny element wskazuje na coś zupełnie przeciwnego, ale w tym wypadku tak nie jest. Jest więc biały. Potrzebował sporo czasu, żeby odzyskać równowagę po tym, co zrobił. Jego okrucieństwo potwierdza, że wpadł w prawdziwy amok - myślę, że po głównym akcie musiał przez pewien czas odpoczywać, zanim przystąpił do okaleczania ofiary. Okaleczenia świadczą o tym, jaką przyjemność z nich czerpał; zabrał nawet ze sobą fragmenty ciała. Otóż wiadomo, że mordercy, którzy zachowują przy sobie fragmenty ciała ofiar, mieszkają sami, często w miejscach odosobnionych, głównie z powodu woni, jaką będą wydzielać trofea ludzkie. Mają tendencję do oddawania się nekrofilii - nie dziwiłoby mnie, gdyby ten masturbował się odciętymi rękami ofiary.

Z drugiej strony - wybrał na miejsce zbrodni las. W Portland są setki miejsc, w których mógłby to zrobić i następnie porzucić zwłoki, ale on wybrał las w granicach parku Waszyngtona. Myślę, że tu czuł się bezpieczny; chciał być w miejscu, które znał i gdzie czuł się pewnie, co pomogłoby mu przejść do czynu. Jest więc bardzo możliwe, że morderca mieszka w domu znajdującym się na odludziu, w lesie. Większość seryjnych morderców zabija kobiety z tej samej lub równorzędnej grupy społecznej co oni sami oraz wybiera miejsce które dobrze zna albo podobne do tego, które zna żeby dodać sobie odwagi, czuć się pewnie w momencie przejścia do czynu, przynajmniej za pierwszym razem. Salhindro przytaknął i znów nalał sobie trochę herbaty. -

Jeśli chodzi o podobieństwo grup społecznych mordercy i ofiary, to w naszym wypadku to się akurat nie zgadza

Fakt, że kobieta miała pomalowane paznokcie u stóp, że jej skóra była bardzo zadbana i że miała wygolone włosy pod pachami oraz wokół wżgórka łonowego, świadczy wyraźnie o wysokim standardzie życia, o wyrafinowaniu, którego nie miał morderca. Lecz pewnie przez to, że jest seksualnie niedojrzały, poczuł pociąg do osoby eleganckiej: spodobało mu się to, czego nie spotykał w swoim otoczeniu. Prawdopodobnie pochodzi ze środowiska wiejskiego, a w każdym razie z prostej rodziny. Może jest synem farmera lub robotnika. Myślę również, że nie jest zbyt dobrze zintegrowany społecznie. No i w końcu jest jasne, że to faza post mortem najbardziej mu się spodobała, to po śmierci ofiary najbardziej się wyżył, logiczny jest więc wniosek, że ofiara przed śmiercią nie bardzo go interesowała. Z pewnością z nią nie rozmawiał, od razu była dla niego tylko obiektem pożądania, od razu ją zdepersonifikował, co czyni z niego osobnika bardzo niebezpiecznego. On nie postrzega nic ludzkiego w swojej ofercie; ofiara jest dla niego tylko narzędziem do osiągnięcia przyjemności, a jeśli weźmie się pod uwagę amok, w jaki wpadł, gdy

wyżywał się na jej ciele, mogę was zapewnić, % to dopiero początek - że będzie to robił dopóty, dopóki p nie zatrzymamy.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Odgłos rozmów i dzwoniących telefonów za drzwiami biura zaczął dobiegać jak z oddali. Wiatr smagał wielką szybę okna.

- Podsumujmy to - odezwał się w końcu Salhindra - Szukamy młodego mężczyzny, białego, dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat, raczej samotnika, mieszkającego prawdopodobnie gdzieś na wsi, dziwnie czy nieproporcjonalnie zbudowanego, ale mimo wszystko silnego i mającego samochód.

Brolin kiwnął twierdząco głową.

- Dodałbym jeszcze, że najprawdopodobniej jest u nas notowany. Jest to typowy przykład młodego chuligana, o postawie zdecydowanie aspołecznej, który lubi drażnić się z władzą. Nie załamał się podczas mordowania, a nie sądzę, żeby był pijany czy pod wpływem narkotyków - za bardzo panuje nad sytuacją przed czynem i po nim. Ale z pewnością jest notowany w obyczajówce. Wyładował tyle złości, uderzając ją ponad dwadzieścia razy nożem, że musiał tę złość akumulować bardzo długo: jest niezrównoważony od dawna. Podobnej wściekłości nie da się bez końca powstrzymywać, stąd wnioski o jego relatywnie młodym wieku. Ale zabić kogoś jest rzeczą bardzo trudną, a on po akcie zachował zimną krew, co świadczy o tym, że ma pewne doświadczenie. Trzeba przejrzeć rejestry karne wszystkich młodych męż-

czyn z okolic, którzy zostali spisani za obrazę moralności publicznej, głównie za ekshibicjonizm. On nie jest wystarczająco dojrzały i nie ma wystarczającej pewności siebie, żeby przejść do gwałtu.

Salhindro popatrzył uważnie na młodego inspektora.

- Czy jeszcze czegoś nam nie powiedziałeś? - zapytał.

Brolin wydawał się zatroskany; nagle znikło gdzieś jego przymglone spojrzenie, które miał po całym dniu pracy nad profilem zabójcy.

- A więc myślę... - zawahał się. - Myślę, że mamy do-czynienia z bardzo groźnym psychopata. Posiada on wszy-kie cechy mordercy zorganizowanego, rzecz, po prostu w tym że chodziło o pierwszą zbrodnię: jeszcze nie opanował całko-wicie sytuacji. Nie mógł spełnić swojego urojenia i boję się że szybko zacznie wszystko od nowa, żeby jeszcze bardziej zbliżyć się do punktu spełnienia. Myślę, że będzie dążył do tego aby w miarę upływu czasu za każdym razem być, według swoich kryteriów, coraz lepszy.

Brolin zamilkł na chwilę, żeby się zastanowić.

- On chciał, żeby ciało zostało odnalezione - podjął po chwili. - Naumyślnie je tam zostawił, żebyśmy zobaczyli, co zrobił. Żeby wszyscy dowiedzieli się o tym, że on istnieje; żeby o nim mówiono i żeby go się bano. Jest to morderca narcystyczno-seksualny najgorszego rodzaju: dziecka które tak wiele wycierpiało, że kiedy przeistoczyło się w mężczyznę, to w takiego przepelnionego złością i nienawiścią do innych. I on na tym, co zrobił, nie poprzestanie: będzie szukał następnych

ofiar.

- Czy nie ma żadnej szansy na to, żeby przestał mordować sam z siebie? -

zapytał Bentley.

- To mało prawdopodobne. On zabija z zemsty za to, co przeżył. Ale przede wszystkim dlatego, że jego dążenie do wyzwolenia odbywa się głównie przez przemoc, przez całkowite zawładnięcie drugą osobą i przez zadanie śmierci.

To zaś, czego on pragnie, to jest osiągnięcie tego spełnienia, o którym marzy od bardzo dawna. Ale i ja, i panowie dobrze wiemy, że stuprocentowa realizacja szalonych fantazji jest niemożliwa. On albo tego nie wie, albo nie przyjmuje tego do wiadomości. I będzie próbował jeszcze niejedn raz. Będzie się w nim gromadziła wściekłość, tak samo jak i frustracja z powodu niemożności osiągnięcia celu; będzie coraz bardziej okrutny, coraz bardziej nieludzki.

W szyby okien zaczęły powoli uderzać krople deszczu.

-I ofiar może być coraz więcej - dodał Brolin grobowym głosem.

Bentley Cotland nie mógł powstrzymać dreszczu niesmaku na wspomnienie nagiego ciała zamordowanej kobiety leżącego na zimnym metalowym blacie stołu sekcyjnego.

Samochód mknął po czarnej wstędze szosy wijącej się między drzewami i brzegiem rzeki Columbi. Był to region głębokich wąwozów, urwistych skał i rozciągających się po horyzont borów iglastych, które porastały strome zbocza wzgórz. Brolin prowadził i myślał o tym filmie Daria Argenty Phenomena, który widział w dzieciństwie. Ciężka atmosfera panująca w dolinach i zagubionych wąwozach Szwajcarii kosztowała go wówczas kilka nieprzespanych nocy. Gdyby wiedział, że tak niedaleko od miejsca, gdzie mieszkał, królował równie przerażający pejzaż, nigdy by nie zmrużył oka!

Wyjechał z Portland, kierując się na wschód, i po mniej więcej godzinie jazdy opuścił autostradę międzystanową numer 84. Było to około dziesięć kilometrów wcześniej.

To właśnie najbardziej podobało mu się w Oregonie: mieszkając w Portland, pod każdym względem wielkim mieście, w którym można było znaleźć wszystko, co się chciało, miało się i morze, i góry w odległości niecałych stu kilometrów w każdą stronę. Wystarczyło usiąść za kierownicą i już po godzinie człowiek znajdował się w świecie z opowieści Lewisa i Clarka*.

Tutaj, jak przed potopem, królową była natura. Wszędzie było widać dumnie sterczące szczyty, wielkie przepaście, wodospady i niezgłębione lasy. Trudno w to uwierzyć, ale nadal istniały tu miejsca nietknięte ludzką stopą.

* *Meriweather Lewis i William Clark - słynni wojskowi i podróżnicy, którzy przejechali Stany Zjednoczone ze wschodu na zachód na początku XIX wieku.*

Brolin wiedział, że droga do mordercy prowadzi przez osobę Lelanda Beaumonta. Nie mogło być inaczej. W jakiś sposób rojenia mordercy pełne były czynów Lelanda. Musieli się znać, spotykać na tyle często, żeby Leland zwierzył mu się ze swojej metody, a być może nawet wyuczył pewnych praktyk. Było dziwne, że obaj mężczyźni poznali sztukę chirurgii i że dokładnie w taki sam sposób ucinali ofiarom ręce.

Silnik białego mustanga zawarczał, kiedy Brolin zredukował bieg, zatrzymując się na stacji benzynowej w miasteczku zwanej Odell. Zapytał o drogę, zatankował pełny bak benzyny i natychmiast odjechał. Wtorek budził

się powoli, ślamazarnie; nad dachami wciąż wisiała jeszcze szara mgła. Cały poprzedni dzień Brolin spędził pracując nad profilem mordercy, szukając tego jednego szczegółu, który by wszystko odmienił. Tymczasem laboratorium potwierdziło, że w ogromie szczątków różnych przedmiotów zebranych na miejscu zbrodni nie było żadnych interesujących śladów. Reszta wieczoru upłynęła Joshui na powtórnej lekturze dawnych notatek dotyczących Lelanda Beaumonta. Postanowił wrócić do miejsc, z których tamten pochodził; pojechać tam, gdzie mieszkał Beaumont, porozmawiać z

ludźmi, z którymi się spotykał, i być może nawet pogadać z ojcem, milczącym, zgryźliwym pustelnikiem, który wychował Lelanda.

Po pokonaniu dziesięciu kilometrów wjechał do hrabstwa Wasco. Był

zmęczony. Kręta droga, po obu stronach zarośnięta ścianą iglastych wież, obojętnie mijała anonimowe wioski. Brolin wypatrywał znaków, które wskazałyby wjazd na złomowisko starych aut, którego szukał, ale nie zauwa-

żył nic, dopóki prawie nie wjechał na drogowskaz. Coś, co było raczej ścieżką niż drogą, zostawiło za sobą asfalt cywilizacji i zagłębiło się w lesie. Mustang podskakiwał na dziurach, dopóki nie dojechał do miejsca o nazwie

„Złomowisko Wilbura”, jak napisano na wielkiej tablicy przed bramą. Za metalową siatką było widać góry blaszanych trupów, leżących jedno na drugim pustych metalowych pudeł bez życia. Wszystkie auta rdzewiały na leśnym powietrzu. Mustang przejechał

przez bramę i zaparkował obok domu z prefabrykatów, tuż przy wejściu.

Wycierając dłonie w szmatę, do Brolina zbliżył się mężczyzna w kombinezonie i w podkoszulku z wizerunkiem Patriots. Zimne październikowe powietrze zdawało się w ogóle nie robić na nim i na jego krzepkim torsie żadnego wrażenia.

- Dzień dobry. Co mogę dla pana zrobić? - zapytał z wyraźnym południowym akcentem

Brolin cofnął się, nieprzyjemnie zaskoczony. Mężczyzna musiał pochodzić z Teksasu, z Arkansas albo ogóle z tych rejonów, gdzie słowa wymykały się z ust, a wargi pozostawały nieruchome.

Joshua Brolin pokazał swoją odznakę.

- Policja z Portland. Potrzebuję pana pomocy. Wiedział, że z takimi ludźmi lepiej nawiązuje się kontakt

grzecznie prosząc niż wymagając. Mógł się założyć o swoją miesięczną pensję, że to indywiduum z pewnością nie darzyło sympatią policji, a tym bardziej policji z miasta.

Atleta w kombinezonie wydał usta i mlasnął językiem o podniebienie, rozglądając się dokoła. Brolin zauważył jakiś ruch z tyłu: ktoś szybko odchodził. Postanowił nie zwracać na to uwagi.

- Moje chłopaki są czyste, nie mają nic na sumieniu.

- Nie przychodzę po to. Chciałbym, żeby pan sięgnął pamięcią do swoich wspomnień: chodzi mi o pańskiego dawnego pracownika, Lelanda Beaumonta.

Mężczyzna w kombinezonie zamarł, wpatrując się w Brolina, jakby chciał

wysondować jego myśli. Brolina tknęło złe przecucie. Na tym złomowisku z pewnością rozgrywały

się różne ciemne sprawy, może nielegalny handel...

Facet, który stał przed nim, starał się wybadać i upewnić, że policjant przyjechał tylko w sprawie Lelanda Beaumonta. Brolin było tym przekonany.

Obiecał sobie wysłać notatkę na ten temat do szeryfa hrabstwa Wasco, jak tylko będzie miał wolną chwilę.

- A co pan chce wiedzieć o Lelandzie? Leland nie żyje.

Brolin kiwnął głową i uśmiechnął się sympatycznie, chciał rozładować napiętą atmosferę.

- Wiem. Zastanawiałem się, czy pan w ogóle go znał? Właściciel kombinezonu pokręcił przecząco głową i zrobił

grymas na znak, że jest mu z tego powodu bardzo przykro.

- A może jakiś pana pracownik go znał i mógłby mi coś o nim powiedzieć? -

zapytał młody inspektor.

Tym razem mężczyzna pokiwał głową bardzo powoli.

- Niech pan idzie pogadać z Parkerem-Jeffem, to ten facet w czerwonej czapeczce. On sporo pracował z Lelandem.

Mężczyzna wyciągnął umięśnione ramię w stronę alejki biegnącej między dwoma rzędami zgniecionej blachy. Brolin podziękował i ruszył we wskazanym kierunku. Zaczęło padać.

Wielki facet w kombinezonie krzyknął za nim:

- A dlaczego policja interesuje się kimś, kto umarł?!

- To rutynowe śledztwo.

Brolin nie potrafił wymyślić nic więcej. Szedł wzdłuż stosów różnych samochodów, ciężarówek, furgonetek i traktorów, minął dźwig, który wrzucał właśnie jakieś samochodowe zwłoki do ogromnego kompresora, i doszedł do długiej maszyny, która przygotowywała skompresowane szczątki do stopienia. Pracował przy niej facet w dżinsach, bluzie od dresu i czerwonej czapce. Był to wysoki blondyn ze zbyt długimi włosami, które sterczały spod czapki jak druty. Oprócz tego miał długie jasne wąsy, a ich końce opadały mu na brodę. Wyglądał jak postmodernistyczne wyobrażenie Thora, germańskiego boga burzy Deszcz się nasilił i krople, uderzając o daszek czapki, wydawały stłumiony dźwięk.

- Parker-Jeff? - zapytał inspektor.

Mężczyzna obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, żeby spojrzeć na inspektora.

- Taa... O co chodzi?

Brolin pokazał odznakę.

- Inspektor Brolin. Chciałbym zadać panu kilka pytań na temat Lelanda Beaumonta, podobno pan go znał? Przypomina pan go sobie?

Parker-Jeff splunął na ziemię.

- No pewnie! Trudno takiego faceta zapomnieć.

- A co on miał takiego szczególnego?

- Wszystko. Był dziwny. Skąd pan przyjechał?

- Z Portland - odpowiedział Brolin.

Miał dodać, że przyjechał tylko z powodu zwykłego rutynowego śledztwa.

Chciał, żeby ten Parker-Jeff nie czuł się skrępowany, ale on wydawał się raczej zadowolony, że wreszcie znalazł kogoś, z kim może sobie pogadać, i nie dał się dwa razy prosić.

- Tak w zaufaniu, powiem panu, że wcale mnie nie dziwi, że Leland źle skończył - rzekł. - To był wariat.

- Dlaczego pan tak myśli?

Parker- Jeff zdjął czapkę i otarł czoło dłonią. Korzystając z deszczu, przygładził włosy i zgarnął je do tyłu.

- Nie był normalny. Wciąż się zmieniał. Czasem był taki inny, że można było pomyśleć, że ma podwojenie jaźni... No, wie pan, o co mi chodzi.

- Rozdwojenie jaźni.

- Taa... No i lepiej było go nie zaczepiać, od razu atakował.

- Miał jakichś przyjaciół, kogoś, z kim spędzał wolny czas? - dociekał Brolin.

- Nie. Leland mieszkał sam. No, chyba miał jeszcze ojca, bo czasem go odwiedzał, ale nie miał żadnych przyjaciół.

Parker-Jeff zachichotał.

- Za bardzo wszyscy się go bali!

Brolin westchnął. Leland musiał mieć jakiegoś zaufanego kumpla, kogoś, z kim regularnie się widywał; to było jedyne wyjaśnienie. Trzeba było znaleźć ten kontakt.

- Jest pan pewien, że nikt się obok niego nie kręcił?

Parker-Jeff odchrząknął i ponownie splunął.

- Przecież mówię, że nie. To ja z nim spędzałem najwięcej czasu.

Pracowaliśmy razem, jeśli już musi pan wiedzieć. Ale mówię panu, Leland Beaumont był kompletnym świrem; właściwie się go bałem, tak ponuro gadał. A poza tym te czary...

Brolin zmarszczył brwi.

- Czary?

Parker-Jeff westchnął ciężko, jakby wiele go kosztowało mówienie o tym wszystkim, i ściszył głos. Wydawał się skrępowany.

- Taa... Czary to była jego specjalność. No, ponieważ pracowaliśmy razem, zaczął mi ufać i opowiadać różne dziwactwa. Czarna magia i te wszystkie głupstwa. Ale jak on o tym mówił, to, zapewniam pana, człowiek sikał w portki ze strachu, Leland był dziwakiem najgorszego rodzaju; potrafił

jednego dnia przyjść do pracy i przez cały dzień nie wymówić ani słowa, a następnego dnia stawał przed panem

wesołek i dobry kolega. Ale może pan być pewien, że kie-dy brał pana na bok i zaczynał te swoje gadki o starej księdze i swoich wielkich mocach, nie był wcale zabawny Tylko czekałem, żeby zaczął pluć ogniem!

Brolin pokiwał głową. Wiedział że u seryjnych morderców często występuje ten rodzaj dychotomii charakteru, zwłaszcza tuż przed przestąpieniem do działania, w dniach poprzedzających mord i zaraz potem.

- To było prawie jak fanatyzm - rzucił Parker-Jeff. -Trochę przedtem, zanim dowiedzieliśmy się, że to on zabijał te wszystkie dziewczyny i że sam zginął, powiedział mi coś, od czego dostałem gęsiej skórki, zapewniam pana! Kie-dy dowiedziałem się o wszystkim z telewizji przypomnia-ło mi się to i tak się przestraszyłem, że przez całą noc nie zmrużyłem oka!

Brolin się zniecierpliwił. Nienawidził, kiedy ludzie kazali mu czekać na pointę.

- Na krótko przedtem, zanim mu przedziurawiono głowę, powiedział, że nikogo się nie boi, ponieważ nie boi się śmierci. „Parkerku kochany -

powiedział. - Nawet gdybyś wbił mi w serce motykę i wyekspediował sześć stóp pod ziemię, przyjdę w nocy, wyrwę ci jaja i każę je zjeść. A wiesz, dlaczego? Ponieważ chroni mnie czarna

magia. Na to nie ma rady". Tak do mnie gadał. Ten Leland był kompletnie zwariowany, z tymi swoimi maleńkimi okrągłymi oczkami, którymi przewracał na wszystkie strony.

Już sama ta opowieść spowodowała, że na rękach Parke-ra-Jeffa pojawiła się gęsia skórka. Musiał się bardzo bać Le-landa.

Brolin uważnie przyjrzał się Parkerowi-Jeffowi. Mężczyzna wyglądał na około trzydzieści lat i był dość dobrze zbudowany. Mimo że inspektor poszukiwał kogoś młodszego, nie wykluczał możliwości, że się pomylił w swoim profilu psychologicznym. Tak się czasem zdarzało, zwłaszcza jeśli chodziło o jeden jedyny mord. Im częściej morderca działał, tym więcej było o nim wiadoma

Wydawało się, że Parker-Jeff wciąż był pod wrażeniem słów Lelanda.

- Niech mi pan powie - odezwał się Brolin. - Czy pan naprawdę myśli, że on wierzył w te wszystkie czary?

- Czy on w to wierzył? - zdumiał się Parker-Jeff. - On nie musiał wierzyć, on był ich pewien! Był szalony, po nocach podrywał gardła psom i kotom!

- Dlaczego w takim razie nigdy nie zawiadomił pan policji?

- A co miałbym im powiedzieć? Że mój kolega uprawia czarną magię? Zabija zwierzęta? Następnej nocy to ja miałbym poderżnięte gardło.

Brolin kiwnął głową na znak, że rozumie. Chciał, żeby Parker-Jeff powiedział coś jeszcze, chciał przyrzeć się jego reakcjom. Wydawał się szczery, ale sztuka zmieniania się jak kameleon, w pełni bezkonfliktowego dostosowywania się do

sytuacji, była podstawową cechą morderców. Natychmiast po powrocie do biura będzie musiał poprosić o dokładne spraw-dzenie tego Parkera-Jeffa.

Lepiej nie ryzykować.

- No dobrze, nie miał żadnych przyjaciół w pracy, ale może miał ich gdzie indziej? Czy nigdy panu nie mówił, co porabia wieczorami? - zapytał Brolin.

- Nie. Czasem miał takie napady szczerości, że mi się zwierzał, ale poza tym nie mówił wiele o sobie. Nie sądzę, żeby miał przyjaciół; to nie był typ, który wychodziłby dokądś wieczorem; wolał siedzieć u siebie w domu i zajmować się ptakami.

Brolin przypomniał sobie drapieżniki, które Leland trzymał w ptaszarni.

Czuł się zawiedziony. Przyjeżdżając tutaj, miał nadzieję, że wpadnie na jakiś trop, że usłyszy jakieś nazwisko, trafi na jakiegoś znajomego Lelanda, na coś, co mogło okazać się interesujące. Przeszłość Lelanda składała się głównie z samotności, tajemnicy i cierpienia. Nie było w niej żadnego świadka, jeśli pominąć ograniczonego w rozwoju ojca, który właściwie nie miał nic do powiedzenia, kiedy był prze-słuchiwany w zeszłym roku. On również okazał się ślepym tropem.

Zawód musiał być widoczny na jego twarzy, bo Parker -Jeff zaczął go przeproszać.

- Tak mi przykro, inspektorze, ale nie bardzo wiem, co więcej mógłbym panu powiedzieć. Leland był nienormalny; jeszcze wyraźniej widzę to teraz, kiedy wiem, co zrobił.

Brolin podziękował mu i zostawił wizytówkę na wypadek, gdyby Parker-Jeff przypomniał sobie coś jeszcze. Odchodził już, gdy ten położył mu dłoń na ramieniu.

- Dlaczego interesuje się pan Lelandem ponad rok po jego śmierci?

- Kompletuję dokumentację - skłamał Brolia Parker-Jeff wydawał się uspokojony Z powrotem nasunął

czapkę na teraz już mokre włosy.

- Tym lepiej - powiedział. - Ponieważ przez chwilę się bałem, że przypuszcza pan, że on wrócił.

- Leland? - zdziwił się Brolin.

- No, że ma pan jakieś dowody na to, że tak naprawdę to on nie umarł.

Ton głosu Parkera-Jeffa był głęboki, a jego oczy patrzyły w nieokreśloną, nierzeczywistą dal.

Gdzieś blisko zazgrzytała zgniatana blacha starego auta.

- Bo jeśli to byłaby prawda, wszyscy bylibyśmy skazani - dodał Parker- Jeff grobowym głosem. - Nie można walczyć z tym, co nie umiera.

Brolin spojrzał na niego i na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

Niepokój Parkera-Jeffa w jakiś sposób też mu się udzielił.

Inspektor Brolin szedł w górę zabłoconej alejki. Coraz większa ulewa zmieniała powoli teren złomowiska w bagno. Brolin był cały mokry -

strumyczek zimnej wody spływał mu po szyi, a włosy przylepiły się do czoła.

Zaklął w myśli. Co chwila mijał wraki rozmaitych wehikułów, które pojękiwały na skutek połączonego wysiłku wiatru i korozji. Zgrzyt blachy, brzęk tłuczonego szkła, gwizd gumy - całe złomowisko brzmiało jak pogrzebowy jęk. Brolin szedł naprzód aleją przecinającą to swoiste cmentarzysko i starał

się uporządkować myśli.

Po śmierci Lelanda Beaumonta, rzecz jasna, natychmiast wszczęto śledztwo, by upewnić się, że to on, a nie kto inny był sprawcą trzech morderstw przypisywanych „Katowi z Portland”. Śledztwo to zakończono błyskawicznie, ponieważ było mnóstwo dowodów, nie mówiąc już nawet o zeznaniach Juliette. Jeśli jednak chodzi o samą osobę Lelanda, to nie bardzo zaprzętało nią sobie głowę. Przesłuchano ojca, to prawda, ale niewiele się od niego dowiedziano, gdyż nie był zbyt inteligentny. Sporządzono dość pobieżny życiorys Lelanda, żeby zrozumieć podłoże jego zbrodni, a później policja i pozostałe służby zajęły się innymi sprawami. Zwykle jest to moment kiedy pałeczkę przejmują media. Zawsze znajdzie się jakiś dziennikarz, który zdecyduje się zrobić reportaż lub napisać książkę na ten jeszcze gorący temat. Ponieważ jednak na świecie zjawisko seryjnego mordercy zaczęło występować coraz częściej, zainteresowanie ogółu opadło. Dziennikarze byli zblazowani i nikt nie interesował się mordercą, który zabił „tylko” trzy kobiety, kiedy w innych miastach zdarzali się mordercy bardziej wydajni.

„Nic dziwnego, że informacje, które właśnie zdobyłem, dopiero teraz wyszły na światło dzienne - pomyślał Bro-lin. - Po co miano wypytywać kolegów z pracy Lelanda, jeśli dysponowano już wszystkimi niezbędnymi dowodami jego winy? Ojciec Lelanda, kiedy dowiedział się, co zrobił jego syn, nie wydawał się zbyt zaskoczony; poprosił tylko, żeby zostawiono ich razem na godzinę - najwyraźniej tyle czasu potrzebował na skarcenie swojego dziecka.

Trzeba było całego popołudnia, żeby wreszcie zrozumiał, że jego syn nie żyje. Ech, tego ojca lepiej zostawić w spokoju; nie wyciągnie się z niego nic konkretnego.

Brolin idąc, trzymał rękę w kieszeni i bawił się kluczami, kiedy poczuł

wibracje telefonu komórkowego.

- Brolin, słucham.

- Josh, przyjeżdżaj natychmiast.

Rozpoznał głos Larry'ego Salhindra. Salhindro był najwyraźniej podekscytowany

- Co się dzieje, Larry?

- Dostaliśmy list. List od mordercy.

W telefonie zapadła elektryzująca cisza.

- Jesteście pewni, że to od mordercy? - zapytał Brolin. Nad jego głową musiały się zebrać chmury, bo nagle zrobiło się bardzo ciemno.

- List właściwie przyszedł wczoraj. Na wierzchu były krople zaschniętej krwi i Meats dał go od razu do analizy, zanim jeszcze nam o nim powiedział. Nie chciał wprowadzić nas na fałszywy trop, na wypadek, gdyby chodziło o jakiś żart Teraz przyszły rezultaty z laboratorium: to jest krew tej kobiety z lasu.

Ekspertyza genetyczna pewna na sto procent, stary

- Dobra, czekajcie z tym listem; będę za godzinę. Brolin się rozłączył.

W tym samym momencie, kiedy zauważył cień nad swoją głową, usłyszał szcęk.

Pchany instynktem przeżycia, rozwiniętym jeszcze ze względu na profesję, podniósł głowę. Wszystkie mięśnie miał napięte do ostateczności.

Zobaczył nad sobą gigantyczną masę blachy

Z dźwigu, który stał dokładnie nad nim, spadały z prędkością galopującego konia dwie tony zgniecionej metalu.

Uderzenie było natychmiastowe.

Juliette znów naląła sobie herbaty. Kiedy intensywnie pracowała, wypijała jej całe litry: to było jak lekarstwo, które podtrzymywało jej umysł w stanie gotowości oraz dawało fizyczną wytrwałość, żeby mogła przebić się przez całą czekającą ją pracę. W pokoju unosił się słodki zapach suszonych owoców. Szum komputera powoli wywoływał u niej migrenę. Podniosła się z krzesła i postanowiła zrobić sobie przerwę.

Jak to przewidział Joshua Brolin, dziennikarze wreszcie się znudzili czekaniem i kiedy wróciła w niedzielę wieczorem, przed jej domem nie było nikogo. Nikogo, z wyjątkiem tego samochodu z dwoma mężczyznami wewnątrz, policjantami. Na szczęście nie byli w mundurach, nie zwracali więc

tak bardzo uwagi sąsiadów. Przy odrobinie szczęścia nikt nie zauważył zmiany w jej życiu w postaci dwuosobowej ochrony. W poniedziałek poszła na zajęcia na uniwersytet, gdzie mu się udało pobiec do tylnego wyjścia, żeby uniknąć spotkania z reporterem jakiegoś kanału informacyjnego lokalnej telewizji, który na nią czekał. Dziś korzystała z tego, że nie miała zajęć, nadrabiając zaległości nagromadzone przez ostatnie dni.

W południe przygotowała sobie lekki posiłek i zawahała się, czy może poczęstować tych dwóch policjantów w samochodzie. Widziała na filmach, że wszyscy tak robili; dlaczego więc ma się to inaczej odbywać w rzeczywistości? Rozstawiła na tacy różne wiktuały i dołożyła dwa zimne piwa - bezalkoholowe; dzięki temu nie usłyszy wymówki: „Nigdy podczas służby”. Dwaj policjanci, o których mowa, właśnie odpakowali w walizkach z celofanu skromne sandwicze, byli więc bardziej niż zachwyceni jej gestem i serdecznie jej podziękowali.

Skorzystała z tego wyjścia, żeby odebrać pocztę i pogłaskać Roosevelta, labradora sąsiadów.

Kiedy wróciła do salonu, napaliła w kominku, żeby ogrzać dom. Później zjadła, przeglądając naprędce programy w telewizji. Wszystkie okazały się zdecydowanie beznadziejne.

Szykowała się właśnie, żeby wrócić do pracy, kiedy jej wzrok padł na listy rzucone na stole w kuchni, które zapomniiała otworzyć.

Rachunki, reklamy: „Jest pani szczęśliwym zwycięzcą, wygrała pani milion dolarów” oraz dziwny list, jakby z urzędu. Otworzyła go i znalazła w środku kartkę wydruku z komputera, poplamioną mnóstwem kropelek czerwonego atramentu. Pierwszy czterowiersz został napisany prostą czcionką, a drugi, dłuższy fragment poetycki, kursywą.

Pierwszy zaśpiewać to muszę dla ciebie,

Gdyż przewodnika ci trzeba frasunku,

Żebyś mej drogi nie zmylił kierunku

I się nie zgubił, wędrując po niebie.

W głębi ciemnego znalazłem się lasu.

Jak ciężko słowem opisać ten srogi Bór,

owe stromych puszą pustynne dzicze,

Co mię dziś jeszcze nabawiają trwogi.

[...]

Już dzień uchodził, mrok szarej godziny

Już odwoływał padolne zwierzęta

Od pospolitych trudów - ja jedyny

Gotowałem się na bój, nie na święta.

„Tu oczyść serce podłością zatrute,

Tu zabij w sobie wszelki strach znikomy.

[...]

Na powieść o nich przyjdzie kolej,

Kiedy staniemy razem z nieszczęsnymi

Nad Acherontem, strumieniem niedoli”.

Juliette dwa razy przeczytała ten tekst, zanim opanowa-ło ją dziwne i nieprzyjemne przecucie.

Być może czerwone kropelki to wcale nie był atrament.

Wszystkie mięśnie miał napięte do ostateczności. Masa samochodowej blachy spadała prosto na niego.

Uderzenie było natychmiastowe.

Brolin, z twarzą w błocie, obrócił powoli głowę i zobaczył błotnik samochodu pięć centymetrów od swojej głowy. Ledwo miał czas rzucić się w prawo, kiedy mająca zadać śmierć masa rozbiła się o ziemię. Nie czekając, przetoczył się na bok - jak najdalej od tego miejsca! - i natychmiast podniósł

się na kolana, wyciągając z kabury pistolet Glock. W sprasowaną blachę zgniecionego samochodu uderzał deszcz.

Długie ramię dźwigu znieruchomiało.

Brolin czuł coraz większe napięcie; adrenalina rozcho-dziła się po całym organizmie. Podniósł się jednym skokiem i pobiegł, chowając się między wrakami samochodów, w stronę drugiego końca alejki.

Po chwili zauważył to, czego szukał: kompresor, a obok kompresora dźwig. Z

dźwigu zszedł jakiś człowiek. Był niski, z krótką bródką i wystrzyżonymi w szpic bokobrodami, zarastającymi policzki pełne blizn po zaropiałych krostach.

Byстрым wzrokiem osobnik ten natychmiast wypatrzył Brolina.

Szybki jak afrykański drapieźnik, mężczyzna rzucił się do przodu i pobiegł

jak szalony; w pewnym momencie skręcając gwałtownie w lewo, w kierunku wyjścia. Brolin ruszył za nim, cały czas zaciskając dłoń na broni i maksymalnie przyspieszając. Osobnik, którego gonił, był zwinny i szybki, uciekał prędzej od niego i było jasne, że Brolin go nie dogoni, Joshua krzyknął więc między dwoma wdechami:

- Policja! Stój!

Ale mężczyzna nie zareagował: cały czas biegł i prawie dotarł już do rzędu porzuconych samochodów, kiedy Brolin zdecydował się nacisnąć spust.

Wiedział, że dobrze strzela, zwłaszcza z Glocka, brak odrzutu tego pistoletu pozwalał bowiem nawet debiutantom trafiać do celu, ale należało wziąć poprawkę na stan wielkiego napięcia, w jakim znajdował się w tej chwili.

Dyszał, był podekscytowany, a cel biegł. Istniało ryzyko, że Brolin narobi więcej szkód niżby chciał - na przykład, celując w nogi, trafi tamtego w kręgosłup lub w głowę.

Nacisnął na spust i kula poleciała w kierunku chmur.

Mężczyzna nawet nie zareagował. Znikł za rzędem wraków.

Brolin zaklął i znów zaczął biec. Ściskając w dłoni pistolet, biegł, coraz bardziej wściekły. Plusk deszczu w kałużach i krople uderzające o blachę aut zagłuszały oddalające się kroki tamtego. Brolin przywarł do czekającej swojej godziny starej cysterny, po czym cicho przesunął się do narożnika, za którym przed chwilą znikła sylwetka uciekającego.

Nagle zza cysterny wychynęła żelazna sztaba. Ledwo miał czas się uchylić, żeby nie uderzyła go prosto w twarz. Chciał wyskoczyć do przodu i zagrozić przeciwnikowi bronią, ale tamten był szybszy. Glock nie znalazł się jeszcze na poziomie strzału, kiedy Brolin poczuł silne uderzenie nogą. Krzyknął z bólu i wypuścił rewolwer.

Żelazna sztaba znów przeszła powietrze.

Tym razem Brolinowi nie udało się jej uniknąć: nie uchylił się wystarczająco szybko. Poczł trzask w ramieniu i straszny ból. Przyuczony w burdach ulicznych przeciwnik natychmiast zastosował precyzyjne uderzenie łokciem prosto w szczękę Brolina, który znów krzyknął z bólu.

Żelazna sztaba znów uniosła się w powietrze. Tym razem celowała w głowę, żeby zabić.

Brolin chciał skoczyć do przodu, chwycić przeciwnika i powalić go, ale poczuł, że siły go opuszczają. Ból oszołomił

inspektora. Zauważył swój rewolwer metr dalej, w błocie. Od razu wiedział, że nie da rady po niego sięgnąć.

Powietrze przeszł gwizd metalu i rozległ się okropny odgłos żelastwa miażdżącego ciało i kości; miażdżącego życie.

Mężczyzna z kocią bródką i bokobrodami runął w wielką kałużę.

Parker- Jeff odrzucił motykę, którą trzymał w dłoni, i pomógł Brolinowi wstać.

- Wszystko dobrze, inspektorze? - zapytał zaniepokojony.

Brolin zamrugał oczami, przez chwilę zupełnie nie rozumiejąc, co się dzieje.

W każdym razie żył.

Jeszcze żył.

- Powinieneś wysłać temu Parkerowi skrzynkę szampana! - stwierdził

Salhindro.

Brolin tylko słabo się uśmiechnął i przyłożył torebkę z lo-dem do napuchniętego policzka. Lekarz schował okulary do futerału i odwracając się, spojrzał na Brolina.

- Proszę nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów -uprzedził. - Inaczej kość ramieniowa znów wyskoczy ze stawu. A ponieważ nie ma pan dziś czasu - podkreślił te słowa, żeby dać do zrozumienia, że go denerwują -

proszę przynajmniej jutro rano zrobić prześwietlenie. Nie jestem również zbyt dużym optymistą, jeśli chodzi o pański obojczyk. Pro-sze zażywać tylenol, żeby do jutra nie wytworzył się żaden stan zapalny. Żegnam panów.

Podniósł rękę na pożegnanie i wyszedł

Salhindro, Lloyd Meats, przyszły zastępca prokuratora Cotland i Brolin znajdowali się w biurze szeryfa hrabstwa Wasco. Brolin wykrzywił usta z bólu, wkładając nową koszulę, którą Salhindro kupił mu po drodze, kiedy tu jechał.

- Szeryf Hemsey stoi w tej chwili przy łóżku twojego napastnika, już zidentyfikowanego - oznajmił Meats, podnosząc ze stołu kartkę z wiadomością przysланą faksem. -Nazywa się Henry Palemós; to uciekinier z Północnej Dakoty. Od czterech miesięcy poszukiwany przez policję. Lepiej powiem ci to od razu; obawiam się, że to nie jest nasz morderca.

- Sprawdzamy go, ale profil się nie zgadza - dodał Sal-hindra -

Rozmawiałem przez telefon z szeryfem Simonsem. Palernos od dwóch lat odbywał wyrok więzienia za napad, wzięcie zakładnika i morderstwo. To nie jest niewinna owieczka, ale typem zupełnie nie odpowiada seryjnemu mordercy. Brolin przytaknął.

- Rzeczywiście - zgodził się. - Ale sprawdźcie, czy ma alibi na środę wieczór.

Nie lekceważmy żadnego śladu. W jakim on jest stanie?

- Uraz czaszki - odpowiedział Meats, gładząc się po krótkiej bródce. - Ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Jest nawet przytomny, ma tylko

„wielką migrenę”.

Bentley Cotland roześmiał się szyderczo.

- Myślę, że kiedy zobaczył moją odznakę, przestraszył się, że przyjechałem po niego - wyjaśnił

Brolin. - Uderzył, Zanim mogliśmy porozmawiać.

Naprawdę wyrafinowany osobnik, prawda...?

- Pociesz się, że gdyby nie to wasze spotkanie, wciąż byłby na wolności -

powiedział Salhindro. - A jeśli chodzi o tego Parkera-Jeffa, sprawdziliśmy: jest u nas notowany, ale to nic poważnego. Marihuana, no i kiedyś zatrzymano go z wiel-kim nożem podczas jakiejś bójki, ale daleko mu do psychopaty. Czy chcesz, żebyśmy poszli tym śladem?

- Trzymajmy jego papiery pod ręką, na wszelki wypadek, ale on też nie zgadza się z profilem. Sprawdźcie oczywiście, czy ma alibi na środę wieczór.

I przepytajcie szefa tego złomowiska; wygląda podejrzanie, myślę, że świadomie ukrywał Palernosa.

Lloyd Meats zgniótł niedopałek w puszcze od pepsi i zapalił kolejnego papierosa.

- Dobrze, a co z tym listem? Przynieśliście go? - zapytał Brolin.

Meats wstał i wyciągnął ze skórzanej torby plastikową torebkę, w której znajdowała się kartka. Brolin wyciągnął ją niecierpliwie. Była upstrzona czerwonymi plamkami. Krew ofiary. Zaczął czytać: Pierwszy zaśpiewać to muszę dla ciebie,

Gdyż przewodnika ci trzeba frasunku,

Żebyś mej drogi nie zmylił kierunku

I się nie zgubił, wędrując po niebie.

Wgłębi ciemnego znalazłem się lasu.

Jak ciężko słowem opisać ten srogi Bór,

owe stromych puszczy pustynne dzicze,

Co mię dziś jeszcze nabawiają trwogi.

Już dzień uchodził, mrok szarej godziny

Już odwoływał padolne zwierzęta

Od pospolitych trudów - ja jedyny

Gotowałem się na bój, nie na święta.

„Tu oczyść serce podłością zatrute,

Tu zabij w sobie wszelki strach znikomy.

[...] *Na powieść o nich przyjdzie kolej,*

Kiedy staniemy razem z nieszczęsnymi

Nad Acherontem, strumieniem niedoli".

Nie spuszczać oka z niepokojącego dokumentu, Brolin zapytał:

- Czy ludzie z laboratorium są pewni, że to krew ofiary z lasu?

- Całkowicie pewni - potwierdził Meats. - Potwierdziło to badanie genetyczne. To nie jest żaden żart. Morderca zdecydował się utrzymywać z nami wyjątkowego rodzaju kontakt.

- Czy coś z tego rozumiecie? - zapytał Cotland. Brolin w milczeniu przeczytał

list jeszcze raz.

- Przyznam, że trochę się pogubiłem.

Meats i Salhindro wymienili porozumiewawcze spojrzenie: mieli nadzieję, że Brolin potrafi wyczytać z tego tekstu wiadomość, której oni nie umieli rozszyfrować.

Brolin zaczął się tłumaczyć.

- Napisał do nas, żeby dać nam coś do zrozumienia; żeby wyjaśnić nam swój czyn. Zwykle mordercy tego typu wolą pisać do prasy, a tutaj on wysłał ten list do nas.

Znów Meats z Salhindrem spojrzeli na siebie porozumiewawczo, jakby Łączyła ich wiedza o jakiejś poufnej informacji

- Myślę, że napisał do nas, ponieważ my widzieliśmy to, co uczynił.

Nieprzypadkowo chce się więc z nami porozumieć. Jesteśmy świadkami jego czynu i nie zdziwiłbym się, gdyby starał się usprawiedliwić, zrzucić z siebie winę. Tyle że to, co napisał, nie jest zbyt jasne. Brolin znów spojrzął na list: W głębi ciemnego znalazłem się lasu. Jak ciężko słowem opisać ten srogi bór mowe stromych puszczy pustynne dzicze, co mię dziś jeszcze nabawiają trwogi.

- Mówi o swojej zbrodni, o tym mordzie, który popełnił i który wywołuje w nim rodzaj skruchy, nie uważasz? - zapytał Meats.

- Może.

- Jest różnica między obiema częściami tego listu - zauważył Salhindro - Nie ma się w ogóle wrażenia, że napisał to pośpiesznie; przeciwnie, musiał się dokładnie zastanowić nad każdym szczegółem. Z pewnością to ważne, że cześć napisana jest kursywą.

Brolin potrząsnął gwałtownie głową i zerwał się z krzesła, urażając chore ramię. Skrzywił się.

- Do cholery! To się zupełnie nie zgadza z naszymi dotychczasowymi wnioskami. Ten list jest zbyt dobrze skonstruowany, zbyt dokładny, zbyt dopracowany! Popatrzcie tylko na te wersy, na te słowa. Jak powiedziałaś, Lany, morderca bardzo się do tego przyłożył, to jest dla niego ważne i kursywa znajduje się tu z jakiegoś istotnego powodu...

- Może to cytat - odezwał się Meats. - Może to słowa z jakiejś książki. Trzeba przyznać, że to jest niezłe napisane; trudno uwierzyć, że jakiś psychopata w typie tego, którego szukamy, mógłby wymyślić coś takiego!

- O tym właśnie mówię! - rzekł Brolin. - Na podstawie tego, co wiemy o zbrodni w lesie, przyjmujemy, że morderca jest człowiekiem niezrównoważonym, niedojrzałym seksualnie. Tymczasem tego wszystkiego nie można zrobić w pięć minut, a scenografia wydarzenia również nie świadczy o tym, żeby to był ktoś prymitywny. Mord jest bez wątpienia na tle seksualnym, ale morderca nie panuje nad swoim popędem. Ofiara jest zdecydowanie zdepersonalizowana, morderca posłużył się nią jak jednorazową chusteczką do nosa. Można by poczytać to za szaleństwo, ale wtedy wizytówka byłaby inna i ślady przemocy seksualnej byłyby inne.

Morderca umiałby się pohamować.

- A jednak list wysłał on, bo to jest bez wątpienia krew ofiary - rzekł

Salhindro. - Z pewnością po prostu przepisał skądś ten tekst.

Brolin kiwnął głową, ale wyciągnął palec wskazujący, podkreślając głębszy wymiar tego, co zamierzał teraz powiedzieć.

- Zgoda, ale nawet jeśli to jest cytat, to on musi go zrozumieć, żeby go nam wysłać, a to się zupełnie nie zgadza z naszym profilem! Morderca jest jakimś zagubionym nieszczęśnikiem o profilu społecznym, może nawet paranoi-kiem! Więcej - analfabetą! Z pewnością ma jakieś znaczenie, że list jest skomponowany z dwóch części w taki, a nie inny sposób. Podobnie należy rozpatrywać zastosowanie kursywy, bo to oznacza pewną subtelność umysłową. I nie pasuje do naszego wyobrażenia o mordercy.

- To może pański profil jest błędny - odezwał się Cot-land nie bez satysfakcji.

- Nie; jestem pewien, że nie. Brolin zamilkł.

- Napisał do nas ktoś inny - oznajmił po dłuższej chwili. - Wspólnik, świadek. Wiadomo, co chce nam przekazać. Chce nas „poprowadzić”, ale do czego? Do kogo? Być może on nie jest wspólnikiem, ale wie, kto jest mordercą i chce się z nami pobawić, zanim odda go w nasze ręce.

- Jak w takim razie zdobył krew ofiary? - zapytał Meats.

- Nie wiem - przyznał Brolin. - Możliwe, że znajdował się gdzieś w pobliżu podczas mordu, a kiedy morderca już sobie poszedł, wszedł do budynku.

Może to jest partner w tej makabrycznej grze? Naprawdę nie mam pojęcia.

Ale jestem pewien, że nie on jest mordercą.

Meats i Salhindro znów spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

Ten ostami zawahał się, po czym położył rękę na ramieniu Brolina.

- W takim razie ten inny człowiek wie o istnieniu Juliette Lafayette.

Brolin podniósł gwałtownie głowę, żeby popatrzeć na swo-jego brzuchatego przyjaciela.

- Ona dostała taki sam list dziś rano - powiedział Salhindro ciszej, jakby przepraszająco.

Grupa mężczyzn przeniosła się do gabinetu Broлина w Komendzie Głównej Policji w Portland. Wkrótce przyszła Juliette. List, jaki otrzymała, był

identyczny z tym, który miał u siebie Broлин. Oba zostały wysłane z dworca centralnego w Portland, tyle że list do Juliette - dzień później.

- Bardzo dobrze pani zrobiła, kontaktując się z nami -rzekł Salhindro. - Pani pomoc jest dla nas bardzo cenna.

Juliette nie odpowiedziała. Była jeszcze w stanie szoku Ogłuszyła ją świadomość, że napisał do niej zabójca, który dokonał tego strasznego mordu tydzień wcześniej. Nie odczuwała ani strachu, ani niepokoju; nie rozumiała tylko, dlaczego tak się stało. Dlaczego napisał do niej? Dlaczego nie pozwala

jej zapomnieć o tej całej historii, której była ofiarą?

- Przykro mi, ale będzie pani musiała przestać chodzić na zajęcia na uczelni

- oznajmił Meats.

Juliette podniosła na niego swoje szafirowe oczy. Błyszczało w nich piękno ciętego kryształu, ale również jego kryształiczny chłód.

- Nie ma mowy - odrzekła.

- Proszę posłuchać, panno Lafayette. Grozi pani wielkie niebezpieczeństwo.

Nie wiemy, czy przypadkiem morderca nie wziął sobie pani za następny cel, rozumie pani?

Broлин zdenerwował się brakiem delikatności Meatsa, który był zawsze zbyt bezpośredni. Przyzwyczajony do prowadzenia przesłuchań, często zapominał, że nie zawsze miał do czynienia z kryminalistami. Wielu było zdania, że ta postawa przeszkodzi mu w ewentualnej nominacji na kapitana wydziału dochodzeniowo-śledczego.

Oczy młodej kobiety błyszczały jak dwie majestatyczne gwiazdy i Meats nie potrzebował dodatkowych wyjaśnień.

- Przydzielamy pani do ochrony dwóch policjantów w cywilu - oznajmił

Salhindro. - Również na terenie uniwersytetu.

Juliette westchnęła rozdrażniona.

- Jak długo to potrwa? A jeśli nie złapiecie tych typów, czy będę musiała całe życie ciągnąć za sobą

ochroniarzy?

- No nie, oczywiście... - rzekł zmieszany Meats. - Zamierzamy...

Juliette przerwała mu gestem ręki.

- Nieważne. Będę wychodziła tylko wtedy, kiedy to naprawdę konieczne.

Meats z ulgą skinął głową i Juliette wstała. Popatrzyła na Brolina, na którego policzku widniał wielki siniak. Chciała z nim porozmawiać na osobności. Dlaczego na osobności? Nie umiała powiedzieć, czy był to zwykły kaprys, czy też jakaś głębsza potrzeba. Mogłaby mu się zwierzyć, nie musia-

łyby się hamować. Mogłaby mu wszystko powiedzieć, zrzucić z siebie ten ciężar albo po prostu poszukać pocieszenia w jego ramionach. Ale młody inspektor popatrzył na nią i nic nie powiedział. Nie było wiadomo, co czuł.

Juliette otworzyła usta, ale słowa u więzły jej w gardle: żadne nie wydawało się odpowiednie do tego, co chciała wyrazić. Na pożegnanie niemal nie zapytała, czy bardzo go boli -uprzedzono ją, że Brolin otrzymał cios w twarz, i zapewniono, że rana nie jest groźna - ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Poddała się więc bez walki i opuściła pokój w milczeniu. Czuła się zbyt zmęczona; nie miała siły na długą rozmowę, pragnęła tylko, żeby wziął ją w ramiona i o nic nie pytając, nic nie mówiąc, mocno przytulił. Chciałaby spędzić w jego objęciach cały dzień i noc Ale wiedziała, że to jest niemożliwe. Opuściła komisariat i radiowóz odwiózł ją do domu. Musiała bardzo uważać, żeby sprawa nie nabrała rozgłosu. Przede wszystkim nie chciała denerwować rodziców.

Brolin znów przyłożył torebkę z lodem do policzka, cały czas wpatrując się w list.

W głębi ciemnego znalazłem się lasu. Jak ciężko słowem opisać ten srogi bór, owe stromych puszczy pustynne dzicze, co mię dziś jeszcze nabawiają trwogi. Już dzień uchodził, mrok szarej godziny już odwoływał padolne zwierzęta od pospolitych trudów - ja jedyny gotowałem się na bój, nie na święta.

Deszcz padał bez przerwy cały dzień, krople dawały na szybie okna koncert sybillińskiej perkusji.

„Las znaczy dla niego strach, jest więc możliwe, że asystował przy mordzie -

rozmyślał Brolin. - Mówi również o «mroku szarej godziny», jest to prawdopodobnie moment porwania, dlatego wie, kiedy morderca przyprowadził swoją ofiarę żywą do lasu".

Przypominając sobie ścieżkę, która ich obu z Salhindrem poprowadziła do porzuconego domu, Brolin powoli pokiwał

głową."To «bwe stromych puszczy pustynne dzicze», tak jak on sam mówi, dzicze, na których należy «zabić w sobie wszelki strach». Widział mord, asystował przy tym, co się stało. Zna miejsce zbrodni, ponieważ mówi o lesie, o pustynnych dziczach i o zapadającej nocy, a więc o całej scenerii

morderstwa. Ale, co bardziej przerażające, mówi nam jasno, że nie zrozumiemy tego, zanim nie dotrzemy do Acherontu".

- Czy ktoś wie, co to jest Acheront, ta żałobna rzeka? Bentley odpowiedział

jakby od niechcienia, odczuwając

jednak pewną satysfakcję, że może być wreszcie użyteczny.

- To taka podziemna rzeka, przez którą zmarli muszą się przedostać, zanim znajdą się w Hadesie. Przynajmniej według mitologii greckiej.

To nie wróżyło nic dobrego. Salhindro wypił łyk gorącej kawy.

- Dlaczego wysłał dwa listy: jeden tutaj, a drugi do Ju-liette? - zapytał.

Nie tracąc swojego olimpijskiego spokoju, Brolin zaskoczył zebranych, mówiąc stanowczo:

- Najważniejsza rzecz: nie mieszajmy wszystkiego. Z jednej strony mamy mordercę psychotyka lub, w najgorszym wypadku, mordercę zdeorganizowanego o typie mieszanym, a z drugiej - autora anonimowego listu, typowego, jeśli chcecie, „Życzliwego”. Otóż ten „Życzliwy” zdaje się wiedzieć bardzo dużo o całej sprawie. Morderca postępuje tak jak Le-land Beaumont. Juliette zdecydowanie nadaje się na jego ofiarę, gdyż w pewien sposób symbolizuje koniec Lelanda.

Morderca, którego poszukujemy, depersonifikuje swoje ofiary: zamiast kobiet widzi w nich przedmioty - źródła przyjemności czy, być może, przedmioty, dzięki którym osiąga jakiś inny stan; w każdym razie nie daje im żadnych szans. Dla niego ich życie nie ma żadnej wartości. Jeśli wpadnie w ręce takiego człowieka, nie liczcie na to, że on się nad wami zlituje: będziecie dla niego jedynie instrumentem, którego potrzebuje. Natomiast autor listu... Autor listu jest osobą, która chce się zabawić. Jest sadysta który szuka przyjemności, wiodąc nas za nos. Kiedy mówię "sadysta", mam na myśli osobę świadomą tego że inni istnieją i że można wyrządzić im krzywdę, odwrotnie niż w wypadku mordercy Morderca okalecza po śmierci i bawi się martwą ofiarą, gdyż wówczas ofiara staje się narzędziem całkowicie od niego zależnym, podczas gdy sadysta - ktoś taki jak nasz

„Życzliwy” - miałby raczej tendencję do okaleczenia ofiary przed zadaniem śmierci, żeby widzieć, jak ona cierpi. Widok jej cierpienia uświadomiłby mu jego całkowitą nad nią władzę; jej krzyki i błagania sprawiałyby mu przyjemność.

- Czy jesteś pewien, że morderca i autor listów to dwie różne osoby? -

zapytał z naciskiem Meats, który obawiał się, że tą zbyt intuicyjną metodą nie uzyskają żadnych wyników.

Brolin zdecydowanie kiwnął głową.

- Morderca to nieszczęśnik, który żywi się fantasmagorią o śmierci i nienawiści, pobudzany przez niezaspo-kojony popęd płciowy. To z pewnością człowiek o trudnym dzieciństwie, w każdym

razie dzieciństwie pełnym cierpienia; ktoś porzucony czy może nieakceptowany. Autor listu, ów "Życzliwy" jest osobą myślącą, inteligentną.

Myślę, że wysyłając do nas ten enigmatyczny list, chce wyzwolić się z jakiegoś wewnętrznego cierpienia. Może z tego, że widział ten mord, a może z tego, że zna jego sprawcę. Ale nie daje nam żadnej jasnej informacji; przeciwnie - wszystko, co mówi, jest bardzo mgliste. Możliwe też, że chce się tylko pobawić, że jest perfidnym sadystą, który nie ma w ogóle ochoty doprowadzić nas do mordercy, tylko chce się zabawić naszym kosztem, skonfrontować nas z jego własną przebiegłością, chytryością. Poziom literacki przesłanej nam wiadomości dowodzi jego inteligencji: to nie jest żaden prostak.

- Ale może on po prostu coś zacytował! - zaprotestował Bentley Cotland.

- Nawet w takim wypadku trzeba zauważyć, że wybrał ten cytat świadomie, co znaczy, że go rozumie - odpowiedział mu Brolin. - Wiadomość nieprzypadkowo jest podzielona na dwie części: prawdopodobnie jedna z nich jest rzeczywiście cytatem. Pewnie ta druga, dłuższa, bardziej poetycka i mająca głębszy sens. Znajdźmy źródło cytatu, a dowiemy się wtedy, co chciał

powiedzieć.

- Jak może pan być tego tak pewien? - nie dawał za wygraną zastępca prokuratora in spe.

- Przebadalem setki przypadków seryjnych morderców zabójców i terrorystów podkładających bomby. Dwie czy trzy mogę panu powiedzieć z całkowitą pewnością. Pierwsza: morderca z lasu, nawet jeśli popełnił w środę wieczór swój pierwszy mord, na pewno na tym nie poprzestanie, bę-

dzie kontynuował swój nieczyny proceder. Druga: autor tego listu nie jest mordercą, ale inną zupełnie osobą, która z pewnością sporo wie o naszym człowieku, ale nie ułatwi nam pracy i będzie się starała popisać przed nami swoją władzę zakresem wiedzy czy siłą. Dlaczego? Tego nie wiem, przynajmniej na razie. Nie wolno nam tej osoby lekceważyć - ten ktoś wysłał dwa listy, dzień po dniu, ponieważ bardzo rozsądnie przewidział, że będziemy potrzebować dwudziestu czterech godzin na zbadanie śladów krwi na papierze, co pozwoli nam potraktować go poważnie. Chciał, żebyśmy wszyscy: i my, i Juliette, zdali sobie sprawę z jego istnienia w tej samej chwili - prawdopodobnie po to, żeby zrobić na nas większe wrażenie. Trochę tak jak w kinie, kiedy wszystko rozwiązuje się w ostatnim, decydującym momencie.

- A dlaczego myśli pan, że to jest jakiś sadysta, skoro przecież chce nam pomóc, naprowadzić na trop mordercy?

Brolin odłożył torebkę z lodem na biurko.

- Ponieważ celowo wyraża się niejasno. Drwi z nas, bo chce nas sprawdzić; zobaczyć, kto okaże się sprytniejszy, on czy my. A przede wszystkim dlatego, że wysłał taki sam list do Juliette. Zastanówcie się, dlaczego do niej? To nie ma żadnego sensu. Chce ją przestraszyć, chce, żeby się przelękała, ponieważ wie, co przeżyła z Lelandem. Morderca "copy-catem" Lelanda i nasz

„Życzliwy” o tym wie. Przypuszczam, że morderca w pewien sposób szanuje Juliette, w przeciwieństwie do „Życzliwego”, który jej nie szanuje. Mam tylko nadzieję, że obaj mężczyźni nie znają się zbyt dobrze, bo jeśli się znają, to autor listu mógłby wpłynąć na mordercę, żeby ten zabrał się za Juliette i w ten sposób sprawdził swoją moc. Żeby spróbował pokonać mistrza...

Czwórka mężczyzn spojrzała po sobie.

- Sprowadzę jeszcze dodatkowych ludzi, żeby strzegli domu Juliette -

powiedział wreszcie Meats, gładząc brodę gestem, który zdradzał

zdeenerwowanie.

Brolin przytaknął.

- Tego po tobie oczekiwałem.

- Zaczekajcie - wtrącił Bentley. - Czy nie uważacie, że w tym wszystkim jest pewna logika? Chcę powiedzieć, że z jednej strony mamy mordercę, który kopiuje zachowania

Lelanda Beaumonta, a z drugiej tego „Życzliwego”, pragnącego wystraszyć osobę, którą można by uważać za symbol klęski Lelanda. Dwie osoby, których działanie jest kontynuacją zbrodniczych czynów Lelanda; obie sięgające poza jego śmierć.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał Meats. Podekscytowany swoim wywodem Bentley Cotland zagryzł wargi.

- Kto może tak naprawdę żywić prawdziwy kult Lelanda, a przynajmniej na tyle silne uwielbienie? Jego rodzina, do diaska! Powinniśmy zabrać się za jego rodzinę.

Salhindro potrząsnął głową.

- Nie, nie. Jego matka zmarła dawno temu, Leland był jedynakiem, a jego ojciec ma iloraz inteligencji mniej więcej taki jak zdechły gołąb. O jego rodzinie należy zapomnieć.

- Nie ma żadnych wujów albo innych krewnych? - zdziwił się Bentley.

- Żadnych. Beaumontowie żyli w izolacji, z dala od wszystkich, a zwłaszcza, od świata. Należy uznać za prawdziwe osiągnięcie to, że Leland jakoś dał

sobie radę, kiedy opuścił ojcowski dom. A jeszcze dziwniejsze jest to, że w ogóle nauczył się korzystać z komputera i z internetu tylko z podręczników.

Psychiatra powiedział zresztą, że gdyby Leland nie był tym potworem, którego poznaliśmy, mógłby stać się kimś bardzo błyskotliwym.

Zawiedziony Bentley zagryzł wargi. Brolin odłożył list na stół i wstał. -

Trzeba wysłać kopię tego listu do Smithsonian Institute i do Biblioteka Kongresu. Niech wyszukają, z czego może pochodzić ten fragment -

powiedział. - Salhindro, zadzwoń do laboratorium, niech pospieszą się z tą identyfikacją. Zrób, co możesz, żeby skrócili te swoje procedury. I trzeba się upew-nić, czy Henry Palernos ma alibi na noc ze środy na czwartek. Z

pewnością to nie jest morderca z lasu, ale lepiej nie ryzykować. Podobnie z Parkerem-Jeffem.

- Dobrze, zajmiemy się tym. Jeśli chodzi o listy, oba zostały wysłane z dworca centralnego w Portland. Tam jest taki ruch, że raczej niczego nie znajdziemy - rzekł Meats ponuro. - A ty co zamierzasz?

- Wrócę do tej rudery. Może znajdę jakiś przeoczony szczegół; cokolwiek, co skieruje nas na jakiś trop.

Kilka minut później poszły w ruch telefony, faksy i maile; wszystko zaczęło buczeć i brzęczeć. Informacje wychodziły w świat.

Elizabeth Stinger wciąż jeszcze miała przed oczami białe światło flesza aparatu fotograficznego. Sesja zdjęciowa się zakończyła, a ona jak zwykle potrzebowała około godziny, żeby ochłonąć. Niewolnica obiektywu, skupiona na danej chwili i na wymaganej pozie, Elizabeth z trudnością wracała do siebie, odnajdywała niewystudiowane ruchy i naturalną mimikę.

Zmyła makijaż przed lusterkiem, które wizażysta umieścił w specjalnym kuferku. Za jej plecami ludzie z ekipy zbierali profesjonalny sprzęt, gratulując sobie wzajemnie i żartując. Stres opadał i powoli można się było odprężyć.

Elizabeth zmobilizowała się i pospieszyła. Chciała jak najprędzej wyjść. Jeśli jej się uda, będzie mogła spędzić chwilę

z Sally, zanim dziewczynka pójdzie spać. Sally miała dopiero osiem lat, ale wyniki, jakie uzyskiwała w szkole, potwierdzały, że jest bardzo zdolna i pracowita. Stanowiła wszystko, co najdroższe dla Elizabeth, która oddałaby życie za swoją córkę. W najtrudniejszych chwilach egzystencji była gotowa nawet pójść na ulicę, aby tylko zapewnić dziecku przyzwoitą przyszłość.

Bardzo długo marzyła o tym, by zostać słynną aktorką; udało jej się nawet zagrać kilka drugoplanowych ról w tasiemcowych serialach, kręconych głównie dla ludzi cierpiących na bezsenność i depresję. Na tym marzenia się skończyły. Kiedy teraz myślała o Hollywood, były to już tylko gorzkie wspomnienia długiego oczekiwania na castingach do jakichś marnych ról.

Ale to właśnie wtedy, gdy była właściwie na samym dnie, spotkała ojca Sally

- młodego, modnego fotografa, który dostrzegł jej niezwykłą fotogeniczność. Kariera modelki również nie przyniosła jej wielkiej sławy, ale pozwalała żyć na nieco wyższym poziomie, a odkąd pojawiła się Sally, wystarczała na utrzymanie córki. Sukces jednak unikał Elizabeth jak zarazy, ojciec Sally opuścił ją więc, gdy tylko stał się jednym z najbardziej rozchwytywanych fotografów w środowisku show-biznesu. Padł na polu chwały, trzymając w jednym ręku fajkę z kokainą, a drugim podtrzymując jakąś cali girl, gdy miał zaledwie trzydzieści jeden lat. Dla Liz i Sally znów zaczął się ciężki okres, zanim znalazły się w Portland, gdzie Liz zaczęła wszystko od nowa. W wieku trzydziestu dwóch lat wróciła do zawodu modelki, tyle że szczególnego rodzaju - rozpoczęła mianowicie pracę dla firmy, która zajmowała się sprzedażą wysyłkową artykułów codziennego użytku, w tym również ubrań, zwłaszcza dla kobiet. Był to rodzaj korespondencyjnego „Klubu Tupperware”, o bardzo szerokim zasięgu.

Firma przygotowywała katalogi, a do zdjęć w nich zamieszczanych, chcąc ułatwić rzeczywistej klienteli identyfikację ze swoją marką, zatrudniała wyłącznie dojrzałe kobiety, niekoniecznie o idealnej, szczupłej sylwetce. I tak, po wielu latach wykonywania różnych zajęć, Elizabeth znów wróciła do zawodu fotomodelki. Mijały już cztery lata, odkąd pracowała w tej firmie; była na długoterminowej umowie, z przyzwoitą pensją, do której dochodziły często dodatki, co pozwalało jej odkładać pieniądze na przyszłe studia Sally.

Liz wyszła ze studia po szóstej wieczorem i pobiegła na parking. Wyjęła swój telefon komórkowy i wystukała numer Amy, opiekunki Sally. Telefon dość długo dzwonił; nikt nie odbierał. Może Amy poszła z Sally do parku, choć to nie leżało w jej zwyczaju. Liz się rozłączyła. Nie było sensu tracić cierpliwości, przecież i tak za pół godziny będzie w domu przy córce. Przy swojej ukochanej Sally.

Nachyliła się, wkładając klucz do zamka w drzwiach samochodu, kiedy nagle uczuła straszliwy, niewyobrażalny ból.

Usłyszała odgłos gruchotanej kości. Ktoś jednym ciosem zmiażdżył jej nos.

Krew, która zalała jej wargi, wydała jej się strasznie gorąca.

Dusiła się.

Nacisk jakiejś włóknistej materii, zatykającej nos i usta, był nie do zniesienia. Zapach zresztą po chwili unicestwił ból. Gdy zrozumiała, co się stało, było już za późno, żeby się bronić.

Za późno, żeby zawołać,

Sally przez resztę życia będzie sama.

Rozpaczliwy krzyk Elizabeth Stinger odbił się echem w jej wyobraźni i po kilku sekundach znikł wraz z nadzieją na przeżycie.

Nikt się o tym nigdy nie dowiedział.

Nie wykonał najmniejszego gestu, nie powiedział słowa, nawet okiem nie mrugnął. Juliette była wściekła. Wyszła z gabinetu Brolina, a on nie okazał

jej żadnego współczucia, żadnej sympatii.

Z wściekłością uderzała w klawisze. Była rozgniewana, nie mogła się w ogóle skoncentrować; nie było szans, żeby za swoją pracę mogła otrzymać coś więcej niż naciągnięte "C".

Przerwała w połowie pisanego zdania i chwyciła się za głowę.

Brolin miał ostatnio dużo kłopotów, bez reszty pochłaniało go to całe ponure śledztwo, ale czy to był wystarczający powód, żeby aż tak ją ignorować?

Może nie mógł się sku-

pić, bo dokuczała mu rana. Juliette od razu, gdy tylko weszła do gabinetu, zauważyła jego napuchnięty policzek. Salhin-dro zapewnił ją, że to nic poważnego, ot, kontuzja podczas treningu boksterskiego, ale Juliette nie bardzo mu wierzyła. Salhindro był uprzedzająco miły i z pewnością kłamał. Brolin musiał mieć jakieś poważne starcie. Ale czy to był

powód, żeby traktować ją jak powietrze? Tak chciała z nim porozmawiać, właściwie pragnęła tylko tego, no i gdyby to było konieczne, mogłaby jeszcze opatrzeć mu ranę... Niewiele wymagała, ot, trochę uwagi z jego strony.

Juliette uświadomiła sobie nagle, w jakim znalazła się stanie.

„Doprawdy, ale z ciebie idiotka!” - pomyślała, potrząsając głową. Co ona wyrabia? Zachowuje się jak swarliwa żona. Tymczasem Brolin był... kimś

„bliskim”. No, może niezupeł-

nie. Raczej przyjacielem. Mimo że nie znali się jeszcze zbyt dobrze, mieli do siebie pełne zaufanie. I ten wspólny „mocny” akcent z przeszłości. Juliette dowiedziała się później, już

Eśmierci Lelanda Beaumonta, że Brolin wówczas po raz pierwszy zabił

człowieka. Nigdy o tym wcześniej nie myślała, ale powzięcie decyzji o pozbawieniu życia istoty ludzkiej musiało być ciężkim doświadczeniem.

Brolin wcale jej wtedy nie znał, a jednak wystrzelił: zabił Lelanda, ratując jej życie. Często się potem nad tym zastanawiała, długo się wahała, czy z nim o tym nie porozmawiać, ale odradził jej to ten jego gruby przyjaciel, Larry Salhindra. Brolin nie lubił podobno wracać do tego; czuł się jedynym odpowiedzialnym. Nie cierpiał ani krytyki, ani współczucia. Juliette wiedziała, że ta wewnętrzna rana z czasem się zasklepi, tak jak wszystkie inne, ale przykro jej było, że Brolin wyłączył ją ze swojego

osobistego życia.

Mówiła i myślała o Brolinie tak, jakby to był jej jedyny mężczyzna...

Uczciwie mówiąc, tak właśnie było. Myśl, że pewnie jest w nim zakochana, wywołała w niej dreszcz.

Nie! Nie w takim mężczyźnie jak on! On pasuje bardziej do obrazu starszego brata, kogoś bliskiego, komu można się zwierzyć.

Zaczęła się jednak zastanawiać, jak mogłaby ściągnąć na siebie jego uwagę.

Przypomniała sobie list.

W głębi ciemnego znalazłem się lasu.

[...]

Nad Acherontem, strumieniem niedoli.

Tyle razy przeczytała już ten list, że znała na pamięć każde słowo. Coś ją w nim drażniło, męczyło. Była pewna, że skądś to zna, jeśli nie całość, to przynajmniej fragment; że wie, co to jest. Tymczasem, mimo że starała się przypomnieć sobie różne historie, bajki, opowieści, ostatnio poznane teksty podobne do tego, nic nie przychodziło jej do głowy. Jakaś hi storia, legenda, w której byłaby mowa o ponurym lesi, o rze

ce zmarłych... Żaden z mitów greckich, które sobie przypominała, nie traktował o obu rzeczach jednocześnie.

A jednak była pewna, że skądś te słowa zna: gdzieś musiała wyczytać albo usłyszeć podobną historię.

Spojrzała na zegarek. Była dopiero czwarta po południu, wzięła więc rzeczy i wyszła z domu. Uprzedziła mężczyzn siedzących w aucie przed domem, że idzie popracować do biblioteki uniwersyteckiej. Pojechali za nią. Było ustalone, że jest całkowicie wolna, może przemieszczać się, gdzie chce, ale zawsze dla bezpieczeństwa będzie za nią jechał cywilny samochód policyjny.

Czterdzieści minut później Juliette chodziła między półkami z książkami.

Bibliotekę niedawno odnowiono i obecnie w całym budynku było bardzo jasno. Ogromne tarasowe pomieszczenie przecinały długie rzędy niezbyt wysokich półek tworzących alejki. Juliette przemieszczała się po nich ze swobodą i szybkością, które świadczyły, że była przyzwyczajona do pracy tutaj. Jej dwaj „aniołowie stróże” zostali przy wejściu; poprosiła ich o to, gdyż nie chciała ściągać na siebie zbędnej uwagi, co z pewnością by się stało, gdyby bez przerwy chodziło za nią dwóch mężczyzn. Policjanci czekali na nią w kafeterii, żartując na temat minionych własnych lat studenckich i z nostalgią obserwując przechodzące młode studentki.

Zacząła od zapisania w notesie słów wiersza, który znała już na pamięć.

Następnie usiadła przy komputerze. Zacząła poszukiwania od tematu.

Szukała według słów: „przewodnik”, „las”, „Acheront” i „piekło”. Komputer zaszumiał i zaproponował listę piętnastu książek, którą Juliette sobie wydrukowała. Na pierwszy ogień poszło słowo „Acheront”, gdyż kojarzyło się jej z greką i mitologią, i rozpoczęła poszukiwania od Odysei i Iliady Homera.

Bez rezultatu. W tekście było zdanie, które przypominało język biblijny, choć nie mogła sobie przypomnieć, żeby przeczytała je w jakiegokolwiek księ-

dze Biblii ani w żadnych innych książkach religijnych pochodnych. Pokiwała głową przy tej ostatniej myśli. Ależ tak, było kilka dzieł

pozostających w związku z pismami religijnymi, które mogły odpowiadać tematyką. Popędziła między półki i wyjęła książki, o które jej chodziło.

Wypełniła fiszkę i wzięła książki do domu. Dzień powoli się kończył.

Cały wieczór i cały następny dzień, czwartek, spędziła na wertowaniu książek z biblioteki. Myślała, że znalazła to, o co jej chodziło, gdy wzięła do rąk tak drogi Miltonowi Raj utracony, ale żadna ze strof nie była tą, która znalazła się w liście. W niektórych miejscach znalazła co prawda „ciemny las”, ale metafory i analogie poetyckie nie przypominały w najmniejszym stopniu tekstu „Życziwego”. A przede wszystkim, nie było tam żadnych innych zdań z listu.

Zrobił się bardzo późny wieczór. Zmęczona Juliette zaczęła widzieć podwójnie wszystkie czytane wersy i musiała bardzo się skupić, żeby móc kontynuować, kiedy kilka słów na jednej ze stron błysnęło jej nagle przed oczami jak sztuczne ognie, wyciągając z odrętwienia.

Te same słowa co w liście litera po literze defilowały prze jej oczami. Nie było żadnych wątpliwości, to były identyczne zdania, które „Życziwy”

wypisał z różnych rozdziałów według własnego uznania. Z całego listu zwłaszcza dwa wersy przykuły jej uwagę. Z powodu tego, co dawały do zrozumienia:

Tu oczyść serce podłością zatrute,

Tu zabij w sobie wszelki strach znikomy

To miało z pewnością dać do zrozumienia coś konkretnego, wskazywało postawę, którą należało przyjąć wobec tego, czego „Życziwy” nie chciał

dokładnie wyjaśnić.

Juliette odkryła tajemnicę. Tajemnicę, z której pospiesznie przepisała najważniejsze:

Przeze mnie droga w miasto utrapienia,

Przeze mnie droga w wiekiiste męki,

Przeze mnie droga w naród zatracenia.

[...]

Starsze ode mnie twory nie istnieją,

Chyba wieczyste - a jam niepożyta!

Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...

Przeczytała pospiesznie jeszcze raz te wersy i nieprzyjemne uczucie jeszcze bardziej zaczęło jej ciążyć. Te słowa wypisane były na bramie Piekła.

Minęły dwa dni, nie pojawił się jednak żaden nowy trop. Żadnego świadka w okolicach miejsca zbrodni, żadnego nowego śladu, którym warto by pójść, oraz żadnej wskazówki dotyczącej listu - ani odcisku palca, ani charakterystycznego włókna. Nic. Meats przejrzał kartoteki wszystkich skazanych z okolicy, którzy odsiadali wyroki za przestępstwa obyczajowe i zostali zwolnieni w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy Wiehi z nich pasowało mniej więcej do profilu i ich dokumenty lądowały w szufladzie „do przesłuchania”. Salhindro częściowo zaniedbywał swoje obowiązki koordynatora, żeby móc uczestniczyć w badaniach laboratoryjnych Carla DiMestro i ekipy antropologów sądowych, administracyjnie głuch doktor Folstom. Mieli oni odtworzyć głowę, a zwłaszcza wypaloną częściowo kwasem twarz ofiary w takiej formie, jak wyglądały one przed agresją. Była to żmudna, powolna praca, wymagająca wyjątkowej precyzji. Maskę modelowano w elastomerze silikonowym. Żeby zakończyć dzieło, dołączył

do ekipy chirurg specjalista od dermoplastyki z uniwersytetu w Portland.

Mimo to sprawa i tak się ciągnęła. Sprawdzenie budowy szczęki również na razie nic nie dało, ale wystarczyłoby, żeby młoda kobieta leczyła się u stomatologa z jakiegoś oddalonego hrabstwa, a nigdy nie znajdują jej karty den-tystycznej. Tożsamość zamordowanej wciąż była tajemnicą.

Całą środę Brolin spędził na dokładnych oględzinach miejsca zbrodni i okolicznego lasu, w nadziei, że może rzuci mu się w oczy jakiś ważny szczegół, ale poszedł tam głównie po to, aby przesiąknąć atmosferą miejsca.

Wiedział że nie dysponowali wystarczającą liczbą śladów, żeby ująć mor-derce. Gorzej. Bezradny Brolin był pewien, że lada chwila w ręce szaleńca wpadnie następna ofiara. „Duch Lelanda” -ciągle przyrównywanie tego osobnika do Beaumonta skończyło się nadaniem mu takiego imienia - za chwilę znów uderzy, pchany makabrycznym pędem do zadawania śmierci i seksualnego gwałtu. Świadczył o tym jego czyn. Brolin przewidział to, gdy tylko ujrzał masakrę w lesie.

„Duch Lelanda” będzie więc zabijał, dopóki nie wpadnie w ręce policji.

Zaczął się wyścig z czasem, a każdy mijający dzień oznaczał być może agonię i śmierć jakiejś kobiety Brolin nie mógł znieść tej myśli, dręczącej go nieubłaganie. W pewien sposób obwinał się za to, że nie umie działać szybciej, że wciąż brak mu poszlak, dowodów. Musi sam zagrać mordercę, wejść w jego skórę, nauczyć się myśleć tak jak on; tylko to pozwoli mu przewidzieć każdy jego następny krok.

Brolin i Meats spędzili cały czwartek w towarzystwie szeryfa z Bismarck oraz z hrabstwa Wasco i jego ludzi na przesłuchiwanie Henry ego Palernosa.

Najpierw sprawdzili alibi Parkera-Jeffa i Salhindro ledwie dał sobie radę, żeby go uspokoić. Z trudem go przekonał, że to nic poważnego, zwykłe rutynowe śledztwo, bo Parker nie mógł zrozumieć, jak po tym, gdy uratował

inspektorowi Brolinowi życie, można go jeszcze w ogóle o coś podejrzewać.

Na szczęście wszystko było prostsze z Henrym Palerno-sem. Nie trzeba było się silić na żadne delikatności. Napastnik Brolina był lepiej strzeżony niż w Fort Knox! Po upływie pewnego czasu alibi Palernosa na noc morderstwa się sprawdziło; przesłuchano też różnych świadków. Palernos nie mógł tego zrobić. To, co się stało, było wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności -

uciekier zareagował tak gwałtownie na widok obcego policjanta wypyującego personel złomowiska, bo był pewien, że chodziło o niego i że został odnaleziony. Nie zdziwiło to specjalnie Meatsa ani Brolina, którzy po zapadnięciu zmroku, wciąż nic posunąwszy śledztwa do przodu, wrócili do Portland,

Tego wieczoru noc nie wydała im się podobnie kojąca jak zwykle. Krążek księżyca nie świecił już jak latarnia dla śpiących, ale błyszczał niczym sybillińska wyrocznia spomiędzy warstw pędzących po niebie chmur.

W piątek rano Brolin odebrał telefon od Juliette. Była niezwykle podniecona, chciała się z nim natychmiast widzieć. To było bardzo ważne.

Pół godziny później pukała do gabinetu młodego inspektora.

Dwie rzeczy zaskoczyły ją już w progu. Pierwsza to silny zapach owocowej herbaty unoszący się w powietrzu, a druga - uśmiech, z jakim Brolin ją przywitał. Do tej pory wydawało się jej, że jest jedyną osobą w Portland, która pije owocową herbatę, a oto odkryła tę samą słabość u Brolina, czyli ich kolejny wspólny punkt. Jego nieprzyjemne zachowanie z wtorku gdzieś znikło: stojący przed nią mężczyzna rysy miał napięte, ale wesoło się uśmiechał.

- Czemu zawdzięczam tak wczesną wizytę? - zapytał wstając.

- Mam ci coś... coś do pokazania - wyjąkała. - Przez telefon mówiłaś, że to coś bardzo ważnego - zauważył Brolin. - Czy chcesz może kawy?

Juliette wskazała palcem na czajniczek.

- Wolę herbatę. Najbardziej lubię poziomkową - rzekła.

- A ja myślałem, że jestem jedynym w całym Portland kikutem „Whittard of Chelsea”! - zdziwił się Brolin. - A więc to dzięki nam ten sklep nie robi plajty.

- Może kiedyś spotkaliśmy się tam nieświadomie, zanim się poznaliśmy -

rzuciła.

Brolin nic nie odpowiedział; zadowolony się nalewaniem wrzątku do dwóch kubków z rysunkiem Trail Blazers*.

*Słynna drużyna koszykówki z Portland.

- Jak tam twój policzek? - zapytała Juliette, spostrzegając, że siniak zmienił

kolor z czerwonego na sinozielony.

- Trochę boli, jak robię miny do przechodniów, ale poza tym wszystko gra. A ramię prawie już nie doskwiera. Siadaj i opowiedz mi wszystko.

Usiedli przy biurku Brolina i Juliette otworzyła notatki w sztywnej okładce, które trzymała pod pachą razem z grubą książką.

- Znalazłam źródło cytatu w liście. Wiem, z jakiej pochodzi książki -

powiedziała zaraz na wstępie

Brolin odebrał nowinę jak uderzenie maczugą. Prośba o pomoc złożona do Biblioteki Kongresu musiała wylądować na półce i czekać na swoją kolej; nie myślał, że dostanie odpowiedź przed upływem kilku dni. Był pesymistą do tego stopnia, że właściwie już przewidział weekend w miejskiej bibliotece.

Ale rzeczą jeszcze bardziej zbijającą z tropu było to, że właśnie Juliette przyniosła mu odpowiedź.

- Jesteś pewna? - zapytał, wiedząc, że pyta niepotrzebnie.

Nie znał może Juliette dobrze, ale znał na tyle, żeby wiedzieć, że nie jest to kobieta, która robi rzeczy połowicznie.

- Nie mogę się mylić. Spójrz.

Rozłożyła na podkładce do pisania kopię listu „Życzliwego” i otwartą książkę, której tytułu Brolin nie mógł przeczytać. Zakreślony był tam fragment:

Tu oczyść serce podłością zatrute,

Tu zabij w sobie wszelki strach znikomy.

Były to słowa listu.

- To pochodzi z Boskiej Komедii Dantego. Dokładniej z pierwszej części, zatytułowanej Piekło - wyjaśniła.

- Piekło? - powtórzył Brolin. Na jego twarzy malował się niepokój.

- Tak. Boska Komedia to poemat z czternastego wieku, podzielony na trzy części: Piekło, Czyściec i...

- Raj - wpadł jej w słowo Brolin, kiwając głową. - Wiem, chociaż nigdy nie czytałem. U mojego dziadka w salonie wisiała reprodukcja Botticellego przedstawiająca scenę z Czyścica. Miałem z tego powodu koszmarne sny przez całe dzieciństwo

- Przeczytałam to tej nocy Każda część jest podzielona na trzydzieści trzy pieśni. I wydaje mi się, że rozumiałam przesłanie mordercy

- "Życzliwego" - poprawił ją Brolin. - Obecnie jesteśmy niemal pewni, że morderca i autor listu to dwie różne osoby Morderca jest typem pośrednim między psychotykiem a psychopata, z kolei „Życzliwemu” można by przykleić etykietkę socjopaty - wyjaśnił młody inspektor, nie przejmując się specjalnie tym, że odsłania przed „cywilem” poufne elementy śledztwa.

Juliette bardzo się ucieszyła tym dowodem zaufania i przytaknęła głową, żeby pokazać, że rozumiała.

- To jest jeszcze bardziej logiczne - powiedziała jakby do siebie. - W takim razie „Życzliwy” zna zamiary mordercy muszą być ze sobą dość blisko. Jeśli weźmie się pod uwagę inteligencję „Życzliwego”, można nawet założyć, że to on jest „głową” duetu, a ten drugi tylko wykonuje czarną robotę.

- Rzeczywiście, istnieje taka możliwość - wyznał Bro-lin, zaskoczony bystrością Juliette i jednocześnie zadowolony.

- Pierwsza część listu jest jego dziełem - wyjaśniła Juliette. - Tak myślę, bo nie jest to wyjątek z Boskiej Komedii i zapisał ten fragment inną czcionką.

Przeczytała czterowiersz:

Pierwszy zaśpiewać to muszę dla ciebie,

Gdyż przewodnika ci trzeba frasunku,

Żebyś mej drogi nie zmylił kierunku

I się nie zgubił, wędrując po niebie...

Zadzwonił telefon i Brolin szybkim ruchem przełączył go na automatyczną sekretarkę.

- Autor listu przedstawia się nam jako przewodnik - podjęła dziewczyna. -

Nie myślę, żeby chciał nas oszukać. Zależy mu, żebyśmy postępowali według jego wskazówek; chce, żebyśmy wiedzieli, co przygotowuje. Dokładnie podkreśla: „Żebyś mej drogi nie zmylił kierunku”. Myślę, że chodzi o drogę, która prowadzi do zrozumienia go. On szuka uznania: przygotowuje wielkie przedstawienie i chce, żebyśmy byli jego świadkami.

Brolin zgodził się z tym. Juliette coraz bardziej go zaskakiwała.

- Boska Komedia opowiada, jak Dante w towarzystwie poety Wergiliusza wędruje przez Piekło i pokonuje wysokości Czyścica, żeby na koniec spotkać Beatrycze, swoją ukochaną, która prowadzi go do Raju - ciągnęła dziewczyna. - Długa wędrówka przez zaświaty, żeby osiągnąć błogi, nieskończony spokój.

jeśli dobrze zrozumiałam informacje podawane w wiadomościach, to ofiara została zamordowana w zeszłym tygodniu, w środę wieczorem, w lesie; być może w momencie, gdy zapadał zmrok. To się zgadza z wybranymi przez niego wersetami z Boskiej Komedii: Wgłębi ciemnego znalazłem się lasu. Jak ciężko słowem opisać ten srogi bór, owe stromych puszczy pustynne dzicze, co mię dziś jeszcze nabawiają trwogi... Już dzień uchodził, mrok szarej godziny już odwoływał padolne zwierzęta od pospolitych trudów - ja jedyny gotowałem się na bój, nie na święta... To są wersy z pieśni pierwszej i drugiej Piekła. A następne wersy są z trzeciej pieśni o bramach Piekła. Myślę, że on chce nam powiedzieć, że zamierza wejść do piekła i że chce, żebyśmy tam z nim poszli. Piekło Dantego składa się z dziewięciu kręgów; każdy jest etapem prowadzącym do potępienia i do Disa, Anioła Zła, inaczej mówiąc - Szatana.

- A według ciebie, on chce poprowadzić nas aż do tego Disa, przez wszystkie kręgi?

Juliette była podekscytowana; nie wiedziała, jakimi słowami ma przekazać wszystkie swoje myśli, które goniły jedna drugą, szalejąc jak elektrony w akceleratorze cząsteczek.

- Do Disa albo do czegoś innego; nie wiem. Ale on mówi, że na powieść o nich przyjdzie kolej, kiedy znajdziemy się nad Acherontem. A Acheront to jest rzeka, którą płyną dusze zmarłych ku czeluściom Piekła. Przyszła mi tej nocy do głowy szczególnie nieprzyjemna myśl. Gdyby on chciał się dostać do serca piekła symbolicznie, to jak by się do tego zabrał?

Brolin wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może oddałby się jakimś satanistycznym praktykom? -

zaryzykował Brolin zaskoczony.

- Albo też wystarczyłoby mu popłynąć Acherontem ku centrum Piekła, do miasta Disa. Myślę, że on zabija, żeby móc pójść za duszą swojej ofiary aż do Acherontu.

- Uważasz więc, że tak od ofiary do ofiary będzie przeprowiał się przez rzekę zmarłych, przez wszystkie dziewięć kręgów, żeby dotrzeć do Disa?! - wykrzyknął Brolin.

- A pierwsza ofiara jest w lesie, bo tam zaczyna się wędrówka Dantego.

Teraz musi znaleźć ofiarę dla pierwszego kręgu, później dla drugiego, i tak dalej, aż do miasta Disa. Wiem, że to trochę naciągane, ale jednak się zgadza!

- Zgadza się, nawet bardzo - zgodził się Brolin. - Morderca zabija, żeby pokonać kolejne stopnie. Dusza jego ofiary przeprowia się przez Acheront, żeby dotrzeć do centrum Piekła. Może on myśli, że będzie mógł jej towarzyszyć, a może zamierza tylko uiścić cenę za prawo przejścia, tak jak się płaci

za to, żeby móc dostać się w zaświaty.

Telefon ponownie zadzwonił i Brolin znów przełączył go na automatyczną sekretarkę.

- Ale ja chciałabym wiedzieć, dlaczego on chce trafić do Disa, do Anioła Zła?

- powiedziała Juliette. - Co to za urojenie go męczy, jeśli osiąga orgazm na myśl o dotarciu do wcielenia Zła?

- Może on sam czuje, że jest złem wcielonym - zaryzykował Brolin. - Tak czy inaczej, moje gratulacje: odwaliłaś kawał dobrej roboty. Studentka psychologii, co?

Juliette poczuła, że się czerwieni.

- Przygotowuję specjalizację z psychiatrii kryminalnej - wyjaśniła. - W końcu musi mi się do czegoś przydać to, co robię.

Brolin wiedział, że kilka dni wcześniej nie zachował się w stosunku do niej zbyt miło i poczuł wyrzuty sumienia. Często w ciągu kilku minut mógł

zapomnieć o codzienności, zatapiając się w ponurych odmętach swojej profesji. To było silniejsze od niego i powodowało, że wszystko inne znikало z jego pola widzenia. Juliette musiała porządnie się natrudzić, zanim znalazła ten tekst i go przeanalizowała. Poza tym zrobiła to z pobudek altruistycznych: wiedziała, że bezpośrednio nie przyniesie jej to żadnej korzyści. Brolin wstał i wziął ją za rękę.

- Tak mi głupio za moje zachowanie w zeszły wtorek! Wiem, że w tej przykrych sytuacji spodziewałaś się pomocy; zupełnie nie sprawdziłem się w tym tygodniu. Obiecuję, że się poprawię; zrobię wszystko, co możliwe...

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie jakby od wybuchu bomby. Do pokoju wpadł Larry Salhindro.

- Co się dzieje?! Próbowałem się do ciebie dodzwonić... Przerwał na widok Juliette i Brolina, który trzymał ją

za rękę.

- Przykro mi, że wam przeszkadzam, ale jest rozkaz natychmiastowej zbiórki w gabinecie kapitana...

Salhindro zawahał się, czy mówić dalej w obecności Juliette, ale zdecydował, że tak zrobi: w końcu była w to wszystko bezpośrednio zamieszana, miała prawo wiedzieć

- "Życzliwy" przysłał nowy list.

Umysłem i ciałem Brolina szarpały przeciwstawne emocje. Euforia unosiła go do góry, a niepokój ścigał w dół. Rozumiejąc, że nie będzie mogła brać udziału w spotkaniu, Juliette wręczyła Brolinowi wszystkie swoje notatki, żeby przedstawił je grupie prowadzącej śledztwo i poprosiła go aby, jeśli tylko będzie mógł poinformował ją o wszystkim. Wychodząc zawahała się chwilę; w końcu złożyła pocałunek na policzku Brolina, znikając po chwili koło wind. Był to tylko czuły gest, który robi przyjaciółka wobec kogoś kogo ceni i szanuje, ale Brolinowi zrobiło się gorąca. Stan ten po chwili ustąpił

zimnym potem i trwodze, wywołanymi nowym listem "Życzliwego".

- „Życzliwy”, jak zdecydowaliśmy się go nazywać, przysłał nam następny list

- powiedział kapitan Chamberlin zaraz na wstępie.

Oprócz jego zastępcy, oficera Lloyd Meatsa, stali obok niego jeszcze Bentley Cotland i Salhindro. Brolin podziękował za zaproponowaną mu kawę.

- Ten list przyszedł dziś rano - ciągnął kapitan. - Jest napisany na komputerze, tak jak pierwszy, czcionką Times New Roman, na najzwyklejszym papierze. Żadnego obcego włókna, tylko czerwone zaschnięte plamy. I tak jak poprzedni, był zaadresowany do szefa wydziału dochodzeniowo-śledczego, dlatego to ja otworzyłem go dziś rano. Jak tylko rzuciłem na niego okiem, natychmiast wezwałem Craiga Nove, który był w sąsiednim gabinecie, żeby mu się przyjrzał. Przepisałem tekst, a list wysłałem do laboratorium, żeby zbadali te czerwone plamy i poddali oryginał działaniu

- „Życzliwy”, jak zdecydowaliśmy się go nazywać, przysłał nam następny list

- powiedział kapitan Chamberlin zaraz na wstępie.

Oprócz jego zastępcy, oficera Lloyd Meatsa, stali obok niego jeszcze Bentley Cotland i Salhindro. Brolin podziękował za zaproponowaną mu kawę.

- Ten list przyszedł dziś rano - ciągnął kapitan. - Jest napisany na komputerze, tak jak pierwszy, czcionką Times New Roman, na najzwyklejszym papierze. Żadnego obcego włókna, tylko czerwone zaschnięte plamy. I tak jak poprzedni, był zaadresowany do szefa wydziału dochodzeniowo-śledczego, dlatego to ja otworzyłem go dziś rano. Jak tylko rzuciłem na niego okiem, natychmiast wezwałem Craiga Nove, który był w sąsiednim gabinecie, żeby mu się przyjrzał. Przepisałem tekst, a list wysłałem do laboratorium, żeby zbadali te czerwone plamy i poddali oryginał działaniu

oparów jodu. Craig właśnie dzwonił. Potwierdza, że te plamy to na pewno zaschnięta krew. Pierwsze badanie wykazało, że chodzi o krew grupy A minus. Ofiara z lasu miała grupę B minus.

Nieprzyjemny lęk wkradł się w serca pięciu mężczyzn: różnica grupy krwi pociągała za sobą konieczność konfrontacji z raczej ponurą oczywistością.

- Jeśli zaś chodzi o odciski palców - podjął kapitan - na pierwszym liście ich nie było, nie ma więc większych szans, żeby były na drugim.

- A jak brzmi tekst tego listu? - zapytał Brolin. Wiedział, że list ten mógł w pełni potwierdzić hipotezę

Juliette, ale również mógł ją podważyć. Aż brakło mu tchu na myśl, że ona może mieć rację.

- Oto, co mówi list. Cytuję:

Przeze mnie biegną ku prawdzie drogi,

W moich słowach gdzieś są ukryte drzwi

Które prowadzą ślepych ku wierze

I w których prawda o zmarłej tkwi.

„Zejdziemy teraz - rzekł Wieszcz cały błądy

-W otchłanne ślepych światów zakomory;

Ja pójdę pierwszy, a ty w moje ślady”.

[...]

Ruszył; tu pierwsze przekroczyłem za nim Koło, z tych, które biegną nad czeluście Głos,

co mi słuchu doszedł, nie był łkaniem.

Lecz szeptem westchnień.

Kapitan Chamberlin wstrzymał oddech, jakby w miarę czytania emanowało z tych słów stęchłe powietrze. Wszyscy wlepili w niego wzrok, czując się dziwnie. Wszyscy, za wyjątkiem Brolina, który nerwowo przerzucał kartki książki trzymanej na kolanach.

- To jeszcze bardziej mętne niż pierwszy list - wykrzyknął Salhindro. -

Czegóż on od nas chce? Dlaczego się z nami tak drażni?

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę Brolina.

- On chce, żebyśmy towarzyszyli mu w jego pielgrzymce. Uważa, że będzie niczym bez świadków, ciągnie więc nas za sobą; chce, żebyśmy sekundowali mu w poszukiwaniach. Juliette Lafayette znalazła klucz do tych listów. To Dante, Boska Komedia.

Meats, Salhindro i Chamberlin, a nawet Bentley Cotland otworzyli szeroko oczy

Brolin postukał palcem wskazującym w stronicę ze swojej książki.

- Otchłanne ślepych światów zakomory... - przeczytał. - To pieśń czwarta z Piekła, pierwszy krąg.

- Proszę nam to wyjaśnić - rozkazał Chamberlin.

- „Życzliwy” sam nie jest być może mordercą, ale to on mordercę prowadzi.

To on jest mózgiem całej sprawy; to on dysponuje wolą tego drugiego, każe mu zabijać. Przysłała nam za każdym razem inny fragment Piekła Dantego.

Juliette myśli, że to dlatego, że obaj mężczyźni starają się popłynąć rzeką zmarłych, żeby dotrzeć do otchłani zła.

- Co?! - wykrzyknął Salhindro.

- Oni zabijają, żeby móc pójść za duszami swoich ofiar, przepłynąć wraz z nimi Acheront, rzekę zmarłych. Tę, która prowadzi do Disa, Anioła Zła.

- A co to znów za idiotyzmy? - zdziwił się Chamberlin.

- Myślę, że Juliette trafiła w dziesiątkę. Morderca i „Życzliwy” będą zabijać przy każdym przejściu do następnego kręgu Piekła, a jest tych kręgów dziewięć. To jest cena, którą płacą, żeby móc towarzyszyć duszom swoich ofiar w podróży i z każdą duszą zbliżać się bardziej do swego celu.

- To absurdalne! - zdenerwował się Cotland. - Od kiedy to policyjny ekspert profilujący słucha bajdurzeń jakichś niedowartościowanych studentek?

- Nie zna pan Juliette, proszę się więc zamknąć! - rzucił Brolin krótko.

Bentley Cotland popatrzył na niego ze złością, szukając w pośpiechu jakiejś dosadnej repliki, ale nic mu nie przyszło

do głowy.

- Joshua, to pan jest naszym ekspertem psychiatrii kryminalnej - stwierdził

kapitan Chamberlin. - Co pan o tym myśli?

Brolin pokazał notatki Juliette, które trzymał w dłoni.

- Odpowiedź jest w tym tekście. Juliette to wyczuła. To być może studentka, ale z bardzo dużym bagażem przeżyć. Znalazła się w towarzystwie szaleńca i, czy chcemy tego, czy nie, ona rozumie, co człowiek tego rodzaju może czuć.

Pokiwał głową.

- I ma całkowitą rację - ciągnął. - Możemy się spodziewać, że morderca i

„Życzliwy” popełni nową zbrodnię przy każdym kolejnym kręgu. Rytuał

zabijania jest dla nich symbolem przejścia; każde złożenie ofiary otwiera przed nimi kolejne drzwi. W ten sposób mogą przepłynąć Acheront.

- Ale o co im chodzi? - zapytał Meats, który do tej chwili milczał. - Co można osiągnąć, mordując w ten sposób kobiety? Na końcu nie ma żadnych realnych drzwi, żadnego

Anioła Zła!

- Żadnych realnych drzwi! - powtórzył za nim Brolin, akcentując słowo

„realnych”. - Ale w tej fantasmagorii, którą utworzyli na własny użytek, te drzwi są. To jest rytuał; może są satanistami i wyobrażają sobie, że płyną Acheron-tern z jedną duszą, później z drugą, z trzecią, zabijając kolejne kobiety Ryzyko jest takie, że się w to porządnie wciągną, a nie mając żadnego realnego, jak pan to nazywa, celu, popadną w obłąd.

- To znaczy? - spytał Cotland.

- Nie wiem jeszcze; wszystko jest możliwe. Mogą przestać zabijać, ale mogą również wpaść w mordercze szaleństwo, zabijać wszystko, co się rusza.

- Czy coś podobnego już się zdarzyło? - nie dawał za wygraną Cotland, nie chcąc uwierzyć, że takie rzeczy mogą się dziać gdziekolwiek indziej niż w filmach.

Brolin westchnął, po czym rzekł grobowym głosem:

- Szaleniec, który z karabinu kładzie trupem szesnaście osób, strzelając z wysokiego budynku. Osobnik cierpiący na depresję, który wchodzi do restauracji i zabija z karabinu maszynowego wszystkich zdumionych klientów, masakrując całe rodziny. Nieszczęśnik, który podkłada bombę w kinie w sobotnie popołudnie. Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy, a ich bohaterami są przeważnie ludzie zupełnie zwykli. Proszę sobie teraz wyobrazić, że to są dwaj ludzie, dwaj sfrustrowani do granic psychopaci. Co tacy mogą zrobić?

- To nie są ludzie, którzy żyją i myślą tak jak pan czy ja - wtrącił kapitan Chamberlin. - Ich sumienie działa zupełnie inaczej; mają zupełnie inne wartości moralne.

Brolin potwierdził.

- Ten rodzaj mordercy nie jest zdolny do najmniejszej litości, kiedy będzie powoli wbijał nóż w gardło swojej ofiary, ale może się popłakać, gdy ktoś skrzywdzi jego kota. Oni postrzegają świat inaczej, co innego wzbudza w nich emocje. Cotland podniósł ręce na znak kapitulacji.

- Zgoda, zgoda... Zrozumiałem. A więc: co robimy?

- W tym liście on na pewno również nas o czymś uprzedza - zauważył Brolin.

Odwrócił się do kapitana Chamberlina i poprosił go:

- Czy mógłby pan kapitan jeszcze raz odczytać nam ten list?

- Oczywiście. „Przeze mnie biegną ku prawdzie drogi, w moich słowach gdzieś są ukryte drzwi, które prowadzą ślepych ku wierze i w których prawda o zmarłych tkwi”. A później kursywą: Zejdziemy teraz - rzekł

Wieszcz cały blady -w otchłanne ślepych...

- Niech pan zaczeka! Proszę jeszcze raz przeczytać początek! - przerwał

Salhindro.

Chamberlin wsunął na czubek nosa półksiężyc okularów do czytania, żeby chronić swoje zmęczone oczy

- „Przeze mnie biegną ku prawdzie drogi, w moich słowach gdzieś są ukryte drzwi, które prowadzą ślepych ku wierze i w których prawda o zmarłych tkwi”.

W tym momencie Salhindro rzucił się do telefonu i szybko nacisnął przycisk jednego z numerów zarejestrowanych w pamięci.

- Craig? Ach, Carl. Jest tam gdzieś w pobliżu Craig? -zapytał. - Tak, wiem, że ślęczy nad tym listem; powiedz mu, że szukamy czegoś napisanego atramentem sympatycznym. Niech szuka wiadomości niewidocznej gołym okiem. Czegoś, co jest ukryte pod tekstem.

Brolin natychmiast zrozumiał. Uderzył się w czoło. Ależ był naiwny! „Przeze mnie biegną ku prawdzie drogi, w moich słowach gdzieś są ukryte drzwi”.

Przecież to jasne! „Życzliwy” musiał ukryć część swojej wiadomości, pisząc atramentem sympatycznym.

- Ależ to nie ma żadnego sensu! - warknął Meats, któ-

Ty nic nie zrozumiał z psychiki „Życzliwego”. - Myślałem, że on chce, żebyśmy byli świadkami tego, co robi! Dlaczego w takim razie ukrywa połowę wiadomości?

- Bo on nie chce obok siebie głupków. Chce, żebyśmy byli godni jego czynów. Sprawdza nas; chce wiedzieć, czy nadajemy się do tego - odrzekł

Brolin. - Jeśli go nie rozumiemy, jeśli się pomylimy, zapomni o nas i koniec z liścikami. Pozostanie nam czekać na to, aż przypadkowo odnajdziemy jakieś ciało pół roku później.

Wszyscy zebrani zajęli się podsumowywaniem dotychczasowych postępów w śledztwie. Zabrało to

długie minuty.

Na parterze laboratorium kryminalistycznego portlandzkiej policji ekspert Craig Nova odłożył słuchawkę telefonu.

Pod kloszem z pleksiglasu czekała na niego prostokątna kartka papieru.

Uwielbiał podobne wyzwania. Przedmioty były znacznie bardziej interesujące od ludzi: można było analizować je na wiele sposobów, badać raz po raz, aż w końcu rozwiązywało się wszystkie zagadki, odkrywało wszystkie tajemnice. Zawsze była jakaś metoda, jakiś naukowy sposób, żeby osiągnąć cel. Żaden przedmiot, jeśli się tak zdecydowało, nie był

nieodgadniony. W najgorszym wypadku wymagało to wielu kompetentnych specjalistów i wiele nieprzespanych nocy, może wynalezienia jakiejś nowej procedury badawczej, ale pojedynk zawsze kończył się zwycięstwem i przedmiot powierzał nam swoją tajemnicę; to, co chował w sobie najgłębiej.

Z ludźmi sprawa miała się zupełnie inaczej.

Zanim zadzwonił Larry Salhindro, Craig przygotował się do zastosowania techniki oparów jodu, które przylgnęłyby do ewentualnych śladów na metalu lub niemetalu. Każdy ślad palca czy dłoni pojawiłby się wtedy na metalowej tabliczce. Ale teraz, kiedy wiedział już, czego szukał, ta metoda wyda-

ła mu się zbyt ryzykowna. Ma odkryć atrament sympatyczny. Nie na próżno przez ponad dwanaście lat poświęcił swój talent kryminalistyce - wiedział, do jakiego stopnia autorzy anonimów potrafili być odkrywcy. Dopóki nie było wiadomo, jakiego rodzaju atrament został użyty, lepiej było nie ryzykować. Opary jodu mogły zetrzeć lub wypalić pewne typy „atramentów”

- były metodą analizy aktywnej, to znaczy takiej, która fizycznie oddziałuje na dokument, w przeciwieństwie do metod pasywnych, które polegały na nieniszczącym badaniu dokumentu.

- Laser argonowy - wyszeptał Craig. Laser na argon powiększyłby każdy ślad zostawiony na kartce, nie modyfikując jej w żaden sposób. List pozostałby niezmienny.

Craig poprawił kombinezon - specjalnie tak pomyślany, żeby nic zostawić nigdzie śladu włókna - i zanim dotknął listu, włożył rękawiczki, po czym wszedł do przylegającego do laboratorium pomieszczenia bez okien.

Królowała tu

niewzruszenie, połyskując w słabym świetle pośród delikatnego szumu wentylatorów, złożona aparatura. Craig położył dokument na szybce antyrefleksowej, a sam stanął za pulpitem sterującym. Wyregulował długość fali światła na pięćset nanometrów i nacisnął przycisk. Wiązka światła spójnego przecięła powietrze pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do płaszczyzny z listem, na którym natychmiast ukazały się bardzo wyraźnie wszystkie ukryte ślady.

Buczenie wzmogło się i po chwili na ekranie znajdującym się przy pulpicie zaczęły pojawiać się dane. Wszystkie linie krzywe i inne niewidoczne gołym okiem ślady w zie-lononiebieskim promieniu stały się widoczne. W zimnym świetle lasera zabłysł niewidoczny atrament. Pod tekstem listu pojawiło się coś w rodzaju pisma.

Ekran zaświecił jakimiś bazgrołami: litery tworzące słowa wyglądały jak wykreślone przez dziecko, które właśnie uczy się pisać.

W końcu zabrzmiał dzwonek telefonu. Chamberlin odebrał, włączając głośnik.

- Miałeś rację, Larry! - rozległ się w interkombie nosowy głos Craiga Novy. -

Zbadałem list laserem argonowym pod światłem o długości fali wynoszącej pięćset nanometrów, czyli w wiązce niebieskozielonej, i przez odbłysek pojawił się inny tekst.

- Jaka jest jego treść?

- To nie jest zbyt jasne. Ukryte litery tworzą napis „Gibbs i Dziesiąta”. Ten wasz facet to wariat: napisał to ryboflawiną łaju skór nego, wydzieliną skórną! Musiał użyć starej obsadki ze stalówką albo kawałka plastiku i nakłuć czyjąś skórę, a później napisać tym swój tekst. Użył ludzkich wydzielin jako atramentu!

- To wszystko? - zdziwił się Meats.

- Tak. „Gibbs i Dziesiąta”.

- Czy na podstawie tej rybof... tego tam interesu można ustalić odcisk genetyczny? - zapytał Salhindro.

- Dlaczego nie? Metodą reakcji łańcuchowej polimerazy można pomnożyć ilość DNA i następnie...

- Nie wydaje mi się, że w liście znajdziemy DNA „Życzliwego”. To będzie raczej DNA jego nowej ofiary - wtrącił Brolin.

- Dlaczego pan tak myśli? - zapytał Bentley wyraźnie przestraszony.

- „Przeze mnie biegnie ku prawdzie droga, w moich słowach gdzieś są ukryte drzwi które prowadzą ślepych ku wierze i w których prawda o zmarłych tkwi”. Jeśli nie jesteśmy ślepi to znaleźliśmy ukryte w słowach drzwi i zmarła znaj-duje się na rogu ulicy Dziesiątej i Gibbs.

Brolin podszedł do wiszącej na ścianie mapy Portland i poprowadził palcem wskazuiacym wzdłuż ulicy Dziesiątej. Zjechał aż na południe miasta, za stary szpital, i zatrzymał palec tam, gdzie na mapie widniał charakterystyczny znak.

- W budynku Zakładu Wodociągów i Kanalizacji - po-wiedział. - Przy wejściu do kanałów.

Samochód policyjny zapiszczał oponami, przejeżdżając obok szpitala Shriners. Brolin czuł, jak bije mu serce. Byli bardzo blisko. Jechali Gibbs aż do skrzyżowania z Dziesiątą, gdzie Salhindro zwolnił. Między niską zabudową stojącą wśród ogrodów ziały pustką połacie niezagospodarowanego terenu.

Z prawej strony zobaczyli aleję wyłożoną przedpotopowym asfaltem, która, przecinając chodnik, biegła ku niewielkiej działce zarośniętej krzewami. Stał

tu budynek bez okien, z wejściem od strony ulicy. Działka była otoczona płotem, już od dawna bez bramy. Tabliczka informacyjna ostrzegała, że chodzi o miejsce niebezpieczne, na które wstęp był zabroniony.

Salhindro szykował się właśnie, żeby wjechać w tę aleję, kiedy Brolin położył mu dłoń na ramieniu.

- Zaparkuj tutaj. Jeśli w tym budynku jest to, o czym myślę, i jeśli dobrze oceniam mordercę, nie wydaje mi się, żeby ryzykował transport ciała po odkrytym terenie. Nie w rejonie, gdzie stoi tyle domów jednorodzinnych.

Musiał zaparkować przed samym budynkiem.

Bentley, który przyglądał się wyboistej alejce, zwrócił się do inspektora.

- Przecież to nie jest bita droga, to asfalt. Na co pan liczy, że co pan znajdzie?

- Nigdy nie wiadomo. Jakiś niedopalek, odcisk czegoś, ślad krwi. Można znaleźć cokolwiek.

Nic więcej nie mówiąc, Brolin wysiadł z samochodu. Z tyłu za nimi parkował

Lloyd Meats. Zastępca kapitana skrzywił usta na widok budynku Zakładu Wodociągów i Kanalizacji.

- Co za ponure miejsce - powiedział przez zęby. Salhindro wyjął radiotelefon z samochodu.

- Centrala? Tutaj oddział cztery-zero jeden, kod dziesięć--dwadzieścia trzy.

Procedura dziesięć-osiemdziesiąt pięć.

W portlandzkiej policji kod 10-23 oznacza, że oddział jest na miejscu, a 10-85, że przygotowuje się do sprawdzenia rejonu działań operacyjnych.

Kod 10-85 jest przeważnie używany w sytuacji, kiedy policja spodziewa się zagrożenia, na przykład zakłada, że napastnik, morderca lub inny przestępca może się jeszcze znajdować w okolicy. Jest to rodzaj alarmu i gdy centrala nie otrzyma żadnych innych wiadomości w ciągu pięciu minut wówczas wysyła posiłki, uruchamiając najpoważniejszy kod: 10-0, czyli

„człowiek w niebezpieczeństwie". Kod 10-0 mobilizuje wszystkie dostępne siły policyjne do udzielenia pomocy policjantom, których życie jest zagrożone. Kod 10-0 w jedną sekundę zmienia policję w oddane sobie bez reszty bractwo.

- Zrozumiałem, 4-01. Bądźcie ostrożni.

Trzeci samochód, na który czekali, wkrótce nadjechał. Z furgonetki wysiedli Craig Nova i jego asystenci, Scott Scacci i Paul Launders. Wszyscy nieśli aluminiowe walizki.

- Craig, chciałbym, żeby pan sprawdził mikroślady na drodze prowadzącej do tego budynku; przynajmniej ostami odcinek pod drzwiami. Nie jest wykluczone, że morderca zaparkował tam na chwilę - wyjaśnił Brolin.

Craig Nova skinął głową i odwrócił się do swojego asystenta, który wykonał

ten sam gest i wyciągnął z furgonetki dwie inne wielkie walizy. Na ich metalowych obudowach zatańczyły błyski południowego słońca. Craig podał

Bralinowi biały kombinezon ze specjalnego, niepozostawiającego najmniejszego włókna materiału, żeby nie zniszczyć śladów pozostawionych na miejscu zbrodni.

- Larry'emu także proszę dać kombinezon: wejdzie z nami - poprosił Brolin.

- A ja? - zdziwił się Bentley. - Ja również muszę tam wejść, to może być dla mnie bardzo pouczające.

Brolin zacisnął zęby „Bardzo pouczające! - powtórzył wściekły w myślach. -

Wszystko wskazuje na to, że znajdziemy zwłoki zamordowanej kobiety, a on myśli tylko o tym, czy coś jest dla niego pouczające czy nie".

Maminsynek podrzucony na stanowisko prokuratora przez firmę

„Znajomości i s-ka", nie mając najmniejszych kwalifikacji, pojawił się nagle przed oczami Brolina jako skretyniały karierowicz o drapieżnym uśmiechu.

Inspektor był głęboko przekonany, że kariera Bentleya nie dorówna nigdy ambicjom tego człowieka i że to przeistoczy go w kogoś bardzo niebezpiecznego. Bentley stanie się sfrustrowanym rekinem polityki, a więc kimś z gruntu złym. Ale za głupim, żeby nawet z takimi koneksjami dać się na dłużej zaakceptować w wysokich sferach władzy.

Orientując się, co wyprowadziło Brolina z równowagi, Salhindro, wsuwając na buty plastikowe ochraniacze, rzucił:

- Im mniej nas będzie, tym mniej nabrudzimy.

- Ale...

Spojrzenie zastępcy prokuratora napotkało spojrzenie Brolina. Bentley zamilkł.

- Niech pan raczej pomoże inspektorowi Meatsowi zakładać taśmę bezpieczeństwa przy wejściu do tej alei - powiedział Brolin.

Bentley Cotland westchnął ciężko i kiwnął głową.

Brolin, Craig Nova, Scott Scacci i Salhindro stanęli w progu budynku.

Przedtem ostrożnie obeszlą drogę prowadzącą do wejścia, nie deptając po niej. Oglądali każdy centymetr terenu w poszukiwaniu śladów, aż dotarli do metalowych drzwi. Za nimi Paul Launders wolno posuwał się do przodu, szczegółowo analizując podłogę. Wziął kilka próbek z drogi i z dziur, które na wylot przebiły warstwę asfaltu. Z tyłu Lloyd Meats z Bentleyem rozciągali żółtą taśmę, żeby zamknąć cały teren. Meats był ich łącznikiem z centralą.

Craig postawił na ziemi ciężką walizę i wyjął lampę ksenonową. Urządzenie przypominało trochę przenośny odkurzacz, miało nawet długą elastyczną rurę.

- Od tej chwili nie zdejmujecie rękawiczek i nie dotykacie niczego, zanim nie przejadę lampą ksenonową - uprzedził, wyciągając z walizy trzy pary ochronnych okularów, które rozdał kolegom.

Brolin i Salhindro doskonale znali obowiązującą procedurę. Lampa ksenonową jest podstawowym narzędziem pracy ludzi z laboratorium kryminalistycznego, ale jej światło jest tak mocne, że może uszkodzić siatkówkę, jeśli ta nie jest chroniona przez specjalne szkło.

Craig włączył lampę. Natychmiast zaczął szumieć system wentylacyjny.

Lampa ksenonową dysponuje światłem monochromatycznym i zmienną długością fal o zakresie od ultrafioletu do ultraczerwieni, co powoduje, że proteiny zawarte we krwi, sperma, a nawet ślady linii papilarnych, czyli odcisków palców, zaczynają fosforyzować. Oświetlając tym mocnym światłem podłogę czy inne podejrzane miejsce, od razu można dostrzec to, co jeszcze kilka sekund wcześniej było niezauważalne gołym okiem.

Podłogę przed wejściem stanowił żwir, w którym nie można było znaleźć najmniejszego śladu buta. Craig oświetlił lampą ksenonową drzwi wejściowe, a później klamkę. Bez rezultatu.

- Jeśli ktoś tu ostatnio był, to miał na dłoniach rękawiczki - westchnął Craig, prostując się.

- Ile czasu pozostają odciski palców na czymś stałym, zanim znikną? -

zapytał Brolin.

- Teoretycznie wiele tygodni, nawet miesięcy, jeśli nie dłużej. Pod warunkiem, że miejsce nie podlega żadnym procesom niszczącym, nie jest oświetlane ani ogrzewane, bo to powoduje zanikanie protein znajdujących się w odcisku. Myślę, że na drzwiach, biorąc pod uwagę warunki zewnętrzne, raczej nie da się znaleźć odcisku starszego niż kilka dni.

Scott, który przyjrzał się przed chwilą zamkowi, energicznie potrząsnął

głową.

- Ten zamek został wyłamany. Dość zręcznie, bo trudno to od razu zauważyć, ale są nacięcia na mechanizmie -oświadczył.

- Dobra, wchodzimy Nie wiadomo, co tam znajdziemy, ale jeśli następną ofiarę, to wolę nie tracić czasu - rzucił Brolin, zbliżając się do drzwi.

- Czy myślisz, że ona może być jeszcze żywa? - zapytał Craig. Po raz pierwszy znikła gdzieś jego charakterystyczna jowialność.

- Nie wiem. Meats wezwał karetkę, która powinna zaraz przyjechać. Nigdy nie wiadomo. Brolin nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Na wszelki wypadek inspektor wyciągnął pistolet z kabury i wszedł pierwszy.

„Trudno - powiedział w duchu, myśląc o śladach. Postawił stopę w czarnej czeluści i znikł w pomieszczeniu.

W ciągu kilku sekund opadła go chmura wilgoci, a z ciemności dobiegło do jego uszu nieprzyjemne, ponure buczenie.

Juliette jechała tramwajem.

Naprzeciw niej siedziało dwóch nastolatków, którzy rozmawiali cicho i spoglądali na nią, specjalnie się z tym nie kryjąc. Od razu zwrócili na nią uwagę; spodobała im się i mieli nadzieję, że będą mogli zatopić w szafirowych odmętach jej oczu jeśli nie dusze, to przynajmniej libido. Ten bardziej pewny siebie ośmielił się nawet wypróbować na niej swój zniewalający uśmiech - numer jeden na jego osobistej skali uwodzenia - i puścił do niej oko.

Juliette nie zwracała na nich uwagi, wpatrzona w ulice przesuwające się jak w kalejdoskopie za szybą tramwaju. A przecież te widoki w ogóle ją nie interesowały: myślała o porannej rozmowie z Brolinem i o treści anonimowego listu.

„Jest ich dwóch - powtarzała w duchu. - Życzliwy i morderca. To brzmi jak jakaś stara francuska bajka...” - pomyślała, zaskoczona.

Tramwaj MAX Light Rail jechał właśnie ulicą Pierwszą, mijając puby wypełnione studentami dyskutującymi nad gorącą kawą, restauracje z przyćmionymi światłami, sklepy, na których ogłoszenia z napisem

„Wyprzedaż” przypominały afisze kinowe, ale Juliette nic z tego nie widziała. Myślała tylko o morderstwie.

Zgodnie z tym, co mówił Brolin, morderca działał w ten sam sposób co Leland Beaumont, ale mniej skrupulatnie. Jakby nie był w stanie zrobić tego tak samo jak Leland. A przecież dowiedział, że zna jego modus operandi. Może nie był na tyle silny, żeby móc pod każdym względem naśladować swojego idola? Tak czy inaczej, i morderca, i „Życzliwy” musieli znać Lelanda Beaumonta. Jednak z tego, co wiedziała, Leland był samotnikiem, miał

niewielu przyjaciół. Brolin zresztą poszedł już raz tym tropem - rozmawiał z kolegami Lelanda z pracy - ale niewiele osiągnął. Leland uchodził za dziwaka, który „wciąż robił niezrozumiałe aluzje do czarnej magii” - powtarzał Joshua. Co pozostawało? Rodzina.

A przecież on był sam. Był jedynakiem. Poza matką, która zmarła pięć lat wcześniej, i ojcem, lekko opóźnionym w rozwoju, nie miał żadnej rodziny.

Kogo można by podejrzewać o znajomość z Lelandem Beaumontem?

I w jaki sposób tych dwóch szaleńców, morderca i „Życzliwy”, w ogóle dogadało się w swoich ponurych zamiarach? Czyja rozmowa o śmierci może się skończyć wspólną decyzją zabicia?

W większości wypadków człowiek noszący w sobie mordercze zamiary niechętnie zwierza się drugiej osobie. A jednak ci dwaj musieli o tym rozmawiać. Jak inaczej dowiedzie-liby się, że morderstwo jest ich wspólną pasją?

Juliette rozpaczliwie szukała odpowiedzi, a przychodziły jej do głowy tylko pytania.

Jak dwóch ludzi może stać się współnikami w morderstwie bez żadnego powodu?

Siedzący naprzeciw niej podrywacze co raz wybuchali śmiechem i wymachiwali rękami, żeby tylko zwrócić na siebie jej uwagę.

Dwóch mężczyzn. Dwa zboczone umysły, odnajdujące w sobie wspólną pasję: zabić. Jeśli się nie znają, jak dochodzi do tego, że zaczynają ze sobą rozmawiać i zwierzać się z tych chorych projektów. Jak mogą być pewni że jeden nie pobiegnie na policję donieść na drugiego? Chyba że od początku wiedzą, że obaj są mordercami!

A gdzie można znaleźć seryjnych morderców dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Juliette gwałtownie odwróciła głowę w stronę dwóch siedzących naprzeciwko nastolatków Śmiechy natychmiast umilkły.

Błękitny błysk jej oczu wbił się prosto w źrenice uwodziciela. Jego marzenie w końcu się ziściło, ale uwodziciel nawet nie mrugnął, tylko, zakłopotany i zmieszany, spuścił wzrok.

Gdzie można spotkać seryjnych morderców dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Odpowiedź była tak oczywista, że wywołała na jej ustach pogardliwy uśmiešek.

W więzieniu!

Wysiadła na następnym przystanku i podbiegła prosto do samochodu, który jechał za tramwajem od momentu, kiedy do niego wsiadła. Dwóch oficerów policji, których obowiązkiem było nie spuszczać jej z oka, spojrzęło po sobie przez chwilę, zastanawiając się, co ich teraz czeka.

Brolin stał pewnie na nogach i trzymał pistolet w wyciągniętych rękach, przesuając go z lewa w prawo i z prawa w lewo, tak, żeby mieć pod kontrolą całe otoczenie. Dusząca wilgoć ślizgała się po jego ubraniu jak niewidzialna ręka, przenikała przez kombinezon i wełnę swetra, wchodziła w materiał dżinsów. Gdzieś w ciemnościach pracowała maszyna pomp, rozbrzmiewając jak warczenie jakiegoś Cerbera.

- Larry, zaświeć! - wyszeptał Brolin.

Salhindro natychmiast zapalił latarkę i podszedł do inspektora.

- Można się tu udusić! - jęknął.

- Kanały, Larry...

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, zajmowało całą powierzchnię budynku. Nie było tu ani jednego okna, panowała więc całkowita ciemność.

Pracujące pompy wydzielały oprócz odoru z kanałów także ciężką, ciepłą parę. Po ścianach spływały kropelki wody.

Craig Nova stał w wejściu, ogarniając szybkim spojrzeniem przestrzeń przed sobą. Potrząsnął głową.

- Co do odcisków, to będzie dopiero zabawa - powiedział głośniejszym niż zamierzał.

Brolin uciszył go gestem dłoni.

- Zostań tam, a my z Larrym najpierw sprawdzimy, co się dzieje. Nie wchodź, dopóki nie dostaniesz potwierdzenia, że budynek jest bezpieczny -

wyszeptał. - Daj mi latarkę.

Craig Nova podał mu latarkę i cofnął się o krok. Brolin poszedł w prawo, Larry Salhindro w lewo. Ruszali się szybko i precyzyjnie, przesuając wyłącznie pod osłoną

maszyn. W lewej dłoni latarka, ramię wysunięte do przodu w charakterze ochronnej tarczy, w prawej dłoni, oparta o lewy nadgarstek, broń. Tak, jak uczyli w akademii.

Krok za krokiem mijali kolejne pompy, zawory, splątane lepkie rury i tablice ostrzegawcze.

Zbliżali się do środka pomieszczenia. Powietrze stało się cięższe, każdy kolejny wdech wymagał więcej wysiłku. Poczuli zapach amoniaku i Brolina natychmiast przeszedł dreszcz. Wiedział, że w pewnym stadium rozkładu ciało wydziela taką woń.

Ale zapach amoniaku w kanałach jest uzasadniony, ponieważ substancji tej używa się do odkażania

pomieszczeń.

Oddech Brolina stał się cięższy, głośniejszy.

„Jeśli morderca jeszcze tutaj jest - pomyślał - muszę chronić lewe ramię przed uderzeniem albo skończy się na tym, że będę miał je zwichnięte”.

Z powodu obrażeń, jakie odniósł na złomowisku, główka kości ramiennej była poluzowana i przy najmniejszym uderzeniu mogła wyskoczyć ze stawu.

Brolin dobrze wiedział,

że z takimi obrażeniami ma się spowolnione reakcje, co może grozić nawet śmiertelnym postrzeleniem przez sprytnego przestępcę.

Specjalne kombinezony, które włożyli, żeby zachować w stanie czystym scenę zbrodni, nie ułatwiały dyskretnego przemieszczania się. Marsz utrudniały zwłaszcza plastikowe ochraniacze na buty.

Obaj podskoczyli, gdy tuż przed nimi coś gwałtownie wyrzuciło z siebie parę.

Brolin w tym momencie pogratulował sobie, że jest w towarzystwie doświadczonego weterana. Inni bardziej nerwowi, nacisnęliby spust znacznie wcześniej.

Zatopieni w ciemnościach pełnych świszczącej pary, widzieli jedynie to, co oświetliło światło ich latarek. Szli na-przód w skupieniu, jak dwaj górnicy zagubieni w stalowym lesie, pośród wywołującej mdłości wilgoci.

Pojawiła się na zakręcie, za pulpitem sterowania zaworami.

Naga, leżała i patrzyła na Brolina błagalnym wzrokiem. Jej twarz była sparaliżowana strachem.

Zamiast czoła miała ciemną, niezaschniętą ranę.

Z miejsca, w którym stał, Brolin widział jedynie górną część jej ciała. Leżała na plecach, ręce miała związane nad głową i wyciągnięte, jakby na coś wskazywała. Nie miała obciętych przedramion!

Biorąc pod uwagę zwyczaj mordercy, to już było jakby małe nad nim zwycięstwo.

Brolin strzelił palcami, żeby zwrócić uwagę Salhindra, który stał z drugiej strony, i pokazał mu niewielką platformę znajdującą się przed nim.

Salhindro, ostrzeżony, zaczął obchodzić przeszkodę od tyłu.

Brolin skupił całą uwagę na kobiecie leżącej pięć metrów dalej.

Zrobił krok.

Krople krwi ciekły z obciętych koniuszków piersi. Jej spojrzenie nie opuszczało Brolina. Jeszcze jeden krok.

Na jej ledwo widocznym brzuchu błyszczały setki maleńkich kropelek wilgoci.

Jeszcze pół metra i Brolin był przy niej. Salhindro, dokładnie przypatrując się każdemu cieniowi, zbliżał się z naprzeciwka.

Skórzany rzemień wbijał się w skórę kobiety na poziomie miednicy jak pasek. Brolin nie widział wyraźnie, ale wydało mu się, że rzemień był

przywiązany do kraty w podłodze.

Kilka metrów dalej włączyła się jakaś pompa; hałas tłoków zagłuszył

pozostałe dźwięki w pomieszczeniu. Brolin ścisnął kolbę pistoletu, żeby dodać sobie odwagi.

Spojrzał w oczy kobiecie, która patrzyła na niego jak skazaniec na nadchodzącą śmierć.

Brolin starał się nie zwracać uwagi na miazgę w miejscu czoła.

Ostatni krok w jej kierunku.

Wreszcie zobaczył. Zrozumiał.

Groza zawarta w jej spojrzeniu przeszła mu mózg.

Patrzyła na niego.

Ręce miała związane.

Miednicę unieruchomioną.

I dwie ziejące jamy zamiast nóg.

Lekarz sądowy wezwany na miejsce morderstwa stwierdził, że coraz mniej lubi swoją pracę. Z każdym mijającym rokiem był narażony na coraz większe okropieństwa i coraz większe kaprysy policji. Zażądano od niego, żeby włożył kombinezon i na razie nie ruszał ofiary. Zadowolili się więc stwierdzeniem tego, co było oczywiste: kobieta była nieżywa.

Prawdopodobnie od czterdziestu lub pięćdziesięciu godzin, gdyż stężenie pośmiertne w dużej mierze znikło, ale rozkład nie był jeszcze widoczny na zewnątrz, poza małą zieloną plamą po lewej stronie pępka.

Brolin schylił się i zamknął jej oczy.

Przez pierwsze sekundy wydawało mu się, że ona żyje. Że jest sztywna ze strachu, ale żywa.

Miał wrażenie, że cały czas wodziła za nim wzrokiem... Żałobna Gioconda, patrząca na was niezależnie od tego, gdzie stoicie.

Salhindro wrócił do samochodu, żeby zawiadomić o wszystkim Lloyda Meatsa. Craig Nova i jego asystent Scott Scacci oglądali dokładnie całe pomieszczenie. Scott Scacci krok za krokiem omiatał wszystko światłem lampy ksenonowej.

Craig Nova podszedł do Brolina, który kucnął przy zwłokach.

- Pozwolisz, że zdejmę jej odciski? - zapytał.

- Tak, tylko proszę, nie zmieniaj pozycji ciała.

- Dlaczego tak ci zależy, żeby jej nie ruszać? - zapytał ekspert kryminalistyczny, wyciągając z walizki komplet tamponów nasączonych atramentem i kartki na odciski. - Już zrobiliśmy wszystkie konieczne zdjęcia.

- Staram się zrozumieć to, co ona stara się nam powiedzieć.

Craig podniósł głowę i spojrzał na Brolina.

- Cóż takiego stara ci się ona powiedzieć? - zapytał, pokazując palcem na zwłoki.

Brolin pokręcił głową i wstał. Powoli obszedł ciało, co chwilę przystając i badając wszystko, co go otaczało.

- Mamy do czynienia z mordami na tle seksualnym - zaczął. - Upraszczając, można powiedzieć, że popędy mordercy, będące pokarmem dla różnych perwersyjnych fantazji, zmuszają go do zabijania. W takim typie mordu morderca chce często coś wyrazić, świadomie lub nie. A ta wiadomość jest ukryta w ofierze.

- Chcesz powiedzieć, że morderca zostawił nam jakiś ślad, wskazówkę?

- Niezupełnie. Jeśli morderca pozostawia ślad nieświadomie, wskazówka jest głęboko ukryta. On zabija, żeby ziszczyć swoje chore marzenia, musi się więc bardzo starać, żeby mord je ucieleśnił. Makabryczny spektakl, który po sobie zostawia, jest realizacją jego poszukiwań; przedstawieniem tego, co go pcha do mordu. Pozostaje nam dokładnie się temu przyjrzeć, żeby odkryć jego myśli, wtedy zrozumiemy; do czego dążył, co chciał powiedzieć, czego poszukuje. Na przykład ta jak ułożył ciało, jest sprawą pierwszorzędą. W

jego rojeniach na temat śmierci ciała ofiary jest - uogólniając -

katalizatorem popędu, dlatego wszystko, co morderca z nim robi, i sposób, w jaki to robi, jest bardzo ważne. Tak samo jak pozycja, w jakiej je zostawia.

Tutaj właśnie to mnie interesuje. Spójrz, nawet gdy już wyszedł ze stanu morderczego amoku, nie starał się przywrócić ofierze jej godności, wprost przeciwnie - zostawił ją nagą, wystawił na widok publiczny. Nie odczuwa żadnych wyrzutów sumienia, ale kieruje się bardzo silną nienawiścią do kobiet albo przynajmniej do tego, co ta kobieta w jego oczach re-prezentowała.

- Dlaczego chciałbyś, żeby odczuwał wyrzuty sumienia? Przecież zabija już drugi raz. Moim zdaniem to nie jest ktoś, kto mógłby mieć jakiegokolwiek wyrzuty sumienia!

- Mylisz się. Wyobraź sobie, że jesteś bardzo, bardzo podniecony na widok pewnej kobiety i ona jeszcze cię prowokuje. Ta wzajemna gra wciąga was oboje, a ponieważ od dawna z nikim nie spałeś, myślisz tylko o jednym: żeby pójść z nią do łóżka. Nieważne, że daleko jej do ideału. Nieważne, że to twoja koleżanka z pracy, a ty sobie obiecałeś, że nie będziesz mieszał spraw zawodowych ze sprawami łóżkowymi. Jesteś tak podniecony, że z zamkniętymi oczami idziesz na każdą jej propozycję, bo ona nie przestaje cię wodzić za nos. Jesteś

pijany pożądaniem. Przeważnie w takich sytuacjach, kiedy już po wszystkim, zdobyłeś tę kobietę i zaspokoiliś żądzę, mówisz sobie: „Cholera, nie powinienem był; zrobiliśmy głupstwo, jak mogłem dopuścić do czegoś takiego?” Znajdowałeś się pod wpływem pożądania. Przedtem jedyne, o czym myślałeś, było, żeby ją przelecieć. Dociera do ciebie, że nie powinieneś, dopiero wtedy, kiedy jest po wszystkim. Wów-czas uświadamiasz sobie w pełni, co zrobiłeś. Craig uśmiechnął się, kiwając głową.

- Można to tak przedstawić - zgodził się.

- Z mordercą jest tak samo. Różnica tkwi w tym, że podniecenie tworzy on sam, w wyobraźni. Bez przerwy myśląc o tym samym, odtwarza sobie w głowie raz po raz koszmarny film, coraz bardziej zwiększając napięcie pożądania. Myśli o jednym i tym samym przez całe tygodnie, miesiące, lata.

Im dłużej o tym myśli, tym jego fantasmagorie stają się bardziej złożone, a każdy szczegół jest bardziej dopracowany Pamiętaj: cały czas jest niezwykle podniecony Przychodzi moment, kiedy nie może się już powstrzymać i wybucha niczym zepsuty szybkar, to znaczy przechodzi do czynu.

Ponieważ jednak tak długo marzył w samotności, to jest to pożądanie, które on realizuje sam, którego sensu nikt poza nim nie może pojąć. On zresztą nie widzi w swojej ofercie

istoty ludzkiej: ofiara jest jedynie narzędziem do ucieleśnienia rojeń. A więc morderca atakuje. Jest tak podniecony, że nie może nad sobą zapanować; długie czekanie doprowadza go do prawdziwego szału. Ale kiedy akt zostanie już dokonany, popęd zaspokojony, jak u ciebie po stosunku, osobnik schodzi na ziemię, rojenia przestają go oslepić. Widzi wyraźnie, co uczynił; rozumie całą wagę tego wydarzenia. W tym momencie mogą się pojawić wyrzuty sumienia, tak jak u ciebie pojawia się żal, że zrobiłeś głupstwo. Rzeczywistość nie jest bowiem tak doskonała jak w jego rojeniach, dlatego morderca czuje się sfrustrowany. Dlatego będzie próbował jeszcze raz, i jeszcze, za każdym razem starając przybliżyć się do tej onirycznej perfekcji, której nigdy nie osiągnie i która zmusi go do zabijania wciąż nowych osób. To dotyczy zwłaszcza tego mordercy - Brolin wskazał na ofiarę

- ponieważ gdy już skończył, nie zarzucił na nią nawet kawałka ubrania.

Żeby przynajmniej zakrył jej twarz albo tę nagość... Nie; zostawił ją tak, wystawił na widok publiczny, żeby ją jeszcze bardziej upodlić. Popatrz! Czy nic cię w niej nie szokuje?

Craig podniósł brwi. Od lat rozpracowywał miejsca zbrodni, był więc przyzwyczajony do widoku zwłok, choć właściwie nie lubił przy nich pracować; chętnie zostawiał to zadanie lekarzom sądowym.

Pochylił głowę, żeby dokładniej przyjrzeć się zabitej kobiecie.

Musiała dobiegać czterdziestki; była dość szczupła, ale nie chuda; czas zrobił

z nią to, co robi ze wszystkimi, ale umiała z tym walczyć, z pewnością uprawiała sport lub stosowała odpowiednie diety. Przerazenie wykrzywiało jej twarz w brzydkim, błagalnym grymasie... Mimo to można było założyć, że za życia była dość ładna.

- Nie wiem... - wyznał Craig. - Chodzi ci o to, że była ładna?

- Tak. Tak jak poprzednia. Ale starsza: dałbym jej piętnaście lat więcej.

Spójrz, jak ona leży. Rozciągnięta, ręce zwią-

zane nad głową, jakby wskazywała na tamtą klapę. Pokazuje nam wejście do kanałów.

- Tak, to prawda. Ono jest dalej w linii prostej.

Brolin wziął głęboki oddech, wciągając w płuca ciepłe powietrze.

- Ale to jeszcze nie wszystko - rzekł. - Przyjrzyj się tym okaleczeniom; popatrz, w jakim stanie ma gardło. Tym razem morderca chciał mieć osobisty kontakt z ofiarą. Nie za pośrednictwem noża czy podobnego narzędzia. Nie, chciał dotykać ją rękami. Jestem pewien, że był wściekły, że musi działać w rękawiczkach; być może zdjął je, a później wytarł ewentualne ślady.

- Tak czy inaczej, odciski palców można pobrać ze skóry ofiary najwyżej do sześćdziesięciu minut po kontakcie; no, może osiemdziesięciu, jeśli dopisze szczęście - sprecyzował Craig.

- Tym razem nie wpada w nieproporcjonalnie wielką wściekłość, jak przy pierwszej ofierze, kiedy tyle razy przedziurawił ją nożem. Tym razem panuje nad sobą. Jeszcze nie

całkowicie, na przykład nie mógł się powstrzymać i obciął jej koniuszki piersi; może też pogryzł jej uda. Ale spójrz - ona jest tym razem bardzo czysta. Jedyne trochę krwi na piersiach, no i oczywiście na biodrach.

Brolin popatrzył na ogromne, krwawiące rany po obciętych nogach.

- Tym razem zabrał nogi, nie ręce. Zmienia trofeum. Entuzjastyczny okrzyk Scotta Scacciego wyrwał Brolina z zamyślenia.

- Mam odcisk!

Craig z Brolinem podeszli do niego, zakładając ochronne okulary. Scott Scacci mierzył słupem światła z lampy kseno-nowej w kierunku jakiejś ścianki.

Na tablicy oznajmiającej „Zawór pomocniczy 4”, wydrukowanej czerwonymi, wyblakłymi literami, błyszczał bardzo niewyraźny odcisk kilku palców.

- Niezbyt dobrze to widać. Czy coś się z tego da odczytać? - zapytał z niepokojem Brolin.

Craig Nova uśmiechał się szeroko. Był w swoim żywiole. Zawahał się, patrząc na fiolki znajdujące się w walizce.

- Najważniejsza rzecz to wybrać odpowiedni wywoływacz. Na powierzchni twardej, nie absorbującej, takiej jak ta, można użyć proszku węglowego -

jeśli jest jasna, albo aluminiowego - jeśli jest ciemna. Ale dla odcisku widocznego słabo, na kolorowej powierzchni, jeszcze lepszy jest proszek fluorescencyjny !

Chwycił fiolkę z diazofluorencem i starannie obsypał pudrem odcisk za pomocą magnetycznego aplikatora. Następnie nastawił lampę ksenonową na światło ultrafioletowe i przystawił lampę do odcisku.

Rezultat był zaskakujący. Najmniejsze linie krzywe błyszczały w monochromatycznym świetle fluorescencyjnym, doskonale widoczną zielenią.

Odcisk świecił.

- Cholera! - wyrwało się Craigowi Novie.

- Co? Przecież to wspaniałe! - rzucił Brolin. - Nie o to chodzi. Widzisz ten mały trójkącik pośrodku odcisku palca? Wszystkie rowki tworzą wokół jakby fale. W żargonie to się nazywa wzór łukowy

namiotowy. Tylko jedna osoba na czterdzieści posiada ten rodzaj linii i takie odciski spotykane są nieco rzadziej.

- No to co z tego?

- Wziąłem odciski palców tej kobiety i zauważyłem, że ona ma właśnie ten wzór - łukowy namiotowy. Jedna osoba na czterdzieści to nie jest znów tak mało, ale mogę się założyć, że ten odcisk tutaj to odcisk ofiary, a nie mordercy.

Brolin westchnął. Craig zrobił dwa zdjęcia: jedno czarno--białe z bardzo mocnym oświetleniem, ponieważ fotografie kolorowe zmniejszają kontrast konieczny do porównywania odcisków, a drugie aparatem na światło podczerwone, z filmem o czułości 3200 ASA.

- Hej, podajcie mi tutaj lampę ksenonową! - zawołał Scott Scacci. - Wydaje mi się, że coś mam.

Obaj mężczyźni podeszli do Scotta. Lampa ksenonową oświetliła natychmiast ślady butów pozostawione na podłodze.

- Wspaniale! - skomentował Craig. - Scott, podaj mi aparat z elektrycznością statyczną.

Chwilę później Craig kładł na podłodze wielki kwadratowy arkusz przypominający aluminium. Brolin znał tę procedurę z Quantico, ale nie mógł sobie przypomnieć nazwy materiału.

- Kładę na odcisku arkusz octanu celulozy i niedługo będziemy mieli dokładny rysunek podeszwy tego buta ~ wyjaśnił Craig.

Przesunął po arkuszu wałkiem, ładując go elektrycznością statyczną za pomocą małego cylindra przypominającego zapalniczkę do gazu.

- No i proszę! - wykrzyknął, delikatnie wsuwając arkusz do koperty za pomocą szczypiec. - W odcisku jest ziemia, to powinno nas zainteresować.

- Nie ma tutaj już żadnych innych śladów poza naszymi - rzekł Scott po dokładniejszym sprawdzeniu.

Brolin odsunął się dwa metry do tyłu. Pas podłóża, który prowadził do ofiary, był wyłożony stalową kratownicą. Na niej nie mógł zostać żaden odcisk. Morderca w pewnym momencie postawił stopę na kamiennej podstawie, robiąc krok w bok.

Zostawił ślad.

Brolin wyobraził sobie tę scenę.

Widział kobietę, która ze związanymi rękami ciężkim krokiem posuwa się do przodu. Ciemna sylwetka atletycznie zbudowanego mężczyzny prowadzi ją, przytrzymując z tyłu, przez wilgotną ciemność. Ona niewiele widzi: tyle, ile oświetli latarka niewidocznej osoby idącej za nią. Kobieta idzie z trudnością, jest sparaliżowana strachem. W pewnym momencie potyka się i podciera o pulpit - stąd odcisk. Mężczyzna wykonuje gwałtowny ruch, stawiając nogę na kamieniu, żeby ją podtrzymać

albo szarpnąć do tyłu.

Tak to chyba musiało wyglądać.

Potem...

Potem kazał jej położyć się na ziemi, przywiązał ją do kraty, żeby nie mogła się wyszarpnąć.

Następnie powoli, chcąc wykorzystać każdą sekundę, zaczął ją dusić. Może przerwał na chwilę, zanim straciła całkowicie przytomność. Wtedy obciął jej koniuszki piersi i napawał się jej bólem. Nie była zakneblowana, widocznie nie przeszkadzał mu jej krzyk. Hałas pomp i to, że budynek stał na odludziu, zapewniły mu konieczny spokój.

Tak więc kobieta nie ma knebla w ustach.

Idzie przed nim.

Nie niósł jej, nie zatkał jej ust, bo droga, jaką musieli pokonać, jest krótka. Z

pewnością zaparkował tuż przed drzwiami wejściowymi i natychmiast ją tu wprowadził.

Brolin odwracał się właśnie ku Craigowi Novie, żeby go poprosić o dokładne sprawdzenie podłogi przed drzwiami, kiedy te się otworzyły i do środka wpadł drugi asystent Craiga, Paul Launders, który badał asfaltową alejkę.

- Mam dwa wspaniałe ślady opon, szefie! Craig Nova spojrzał na Brolina.

- To oznacza, że niedługo będziesz wiedział, jakim samochodem przyjechał

tu morderca.

Po pobraniu śladów opon Craig i jego ekipa wrócili do furgonetki, zdążywszy przedtem pobrać próbki ziemi w promieniu stu metrów.

Lloyd Meats podszedł do Brolina. Popatrzyli z daleka, jak zwłoki ofiary zostają wyniesione na noszach. Ciało leżało w czarnym plastikowym worku.

- Juliette dzwoniła na twoją komórkę. Pytała, czy Leland Beaumont siedział

w więzieniu.

- Po co jej była ta informacja? - zdziwił się Brolin.

- Nie wiem; powiedziała, że po prostu jest ciekawa.

- A dla ciebie to normalne, że ją nagle interesuje coś takiego?

Meats wzruszył ramionami.

- Dlaczego? Po tym wszystkim, co jej zrobił, ma prawo zastanawiać się, kto to był.

- Rok później?

- Posłuchaj; nie mam pojęcia. Poprosiłem Harpera i Mc-Kenziego, którzy jej pilnują, żeby przywieźli ją na posterunek i żeby na nas zaczekała.

Przynajmniej tam jest bezpieczna, a przecież na tym ci zależy, prawda?

Brolin mruknął pod nosem coś, co miało być potwierdzeniem tych słów.

Takie nagłe zainteresowanie Juliette tą sprawą wydało mu się podejrzane.

- Wracamy. Kapitan robi odprawę. Zresztą i tak musimy poczekać na wyniki badań tych wszystkich śladów - rzekł Meats i wszedł do samochodu.

Brolin rzucił ostatnie spojrzenie na zarośnięte chwastami otoczenie i na asfaltową drogę prowadzącą do budynku Zakładu Wodociągów i Kanalizacji.

Znów zobaczył to nagie ciało.

Ramiona wyciągnięte w kierunku stalowej klapy zamykającej wejście do kanałów. Do Piekła.

Wiadomość była oczywista. Morderca wszedł do pierwszego kręgu Piekła. I zapraszał Brolina, żeby podążył za nim w otchłań ciemności.

Brolin pchnął drzwi swojego gabinetu.

Za kilka minut miała się odbyć odprawa u kapitana Chamberlina, ale przedtem chciał porozmawiać z Juliette.

Widząc go, dziewczyna podniosła głowę znad książki.

- Harper i McKenzie zaproponowali mi, żebym tu posiedziała, zanim wrócisz - powiedziała przepraszająco. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Brolin pokręcił przecząco głową. Popatrzył na nią przez chwilę. Przeszła przez piekło, wyszła z niego bez skazy, mimo że otarła się o śmierć, co więcej

- wykazała się odwagą. „To wspaniała dziewczyna - pomyślał. - Pełna życia.

Ma tyle silnej woli...”

I zapewne z tego powodu nie może przestać myśleć o sprawie „Ducha Lelanda”. Tylko dlaczego rok po tym, gdy Leland ją porwał, zainteresowało ją to, czy przebywał wcześniej w więzieniu? Zbieżność obu wydarzeń była oczywista.

- Coś nie gra, Joshua? - zapytała, przechylając głowę. Pasma włosów w kolorze hebanu spadło jej na czoło

i oczy.

Jej pełne usta zadrżały, kiedy przełknęła ślinę. Dwoje oczu o kryształowym błękitcie patrzyło na Brolina, który nie mógł oderwać wzroku od młodej kobiety. Emanowało z niej niezwykle piękno. Nie tylko miała szczęście spełniać wszystkie kryteria stawiane urodziwym kobietom, ale jeszcze była obdarzona mieszaniną naiwności i dojrzałości, która dodawała jej pociągającej aury.

- Nie, nie, wszystko w porządku - powiedział w końcu. - Powiedz mi, dlaczego wciąż cię interesuje Leland Beaumont?

Juliette odłożyła książkę i odpowiedziała spokojnie, niemal tak, jakby dawała wykład:

- Ten, który zabija te kobiety, znał Lelanda, to pewne. A ponieważ Leland nie miał przyjaciół ani rodziny, z wyjątkiem ograniczonego umysłowo ojca, doszłam do wniosku, że musiał kogoś poznać w więzieniu. To jest idealne miejsce, żeby dwóch kryminalistów się ze sobą zgadało. Obaj wiedzą, że ten drugi nie jest niewiniątkiem; wystarczy niewiele czasu, żeby się zbliżyć i podzielić różnymi sekretami.

Brolin wyciągnął krzesło i usiadł naprzeciw Juliette.

- Doskonale rozumowanie. Jesteś naprawdę bardzo uzdolniona.

Sprawdzaliśmy ten trop. Bez rezultatów.

Juliette zmarszczyła brwi.

- Przebadaliśmy dokładnie jego kartotekę dopiero po jego śmierci - podjął

Brolin. - Wydało nam się dziwne, że nie był u nas notowany. Kiedy ma się do czynienia z tak aspołeczną jednostką jak on, można oczekiwać, że osoba ta z pewnością była w więzieniu za jakieś przestępstwo obyczajowe, a nawet gwałt. Tymczasem nic takiego nie znaleźliśmy, choć odkryliśmy że Leland był skazany za próbę gwałtu. Miał wówczas czternaście lat. Ze względu na agresywne zachowanie umieszczono go w ośrodku psychiatrycznym w Salem i poddano szczegółowym badaniom psychologicznym. Wyszedł

stamtąd szesnaście miesięcy później, a kiedy uzyskał pełnoletność, decyzją psychologów, którzy odbyli z nim serię rozmów, sprawa została wykreślona z jego kartoteki. Chodziło o to, aby mógł rozpocząć normalne życie i znaleźć pracę. To, że miał czystą kartotekę i że policja o nim zapomniała, ułatwiło mu zdobycie broni palnej.

- I żaden z psychiatrów nie zauważył sadystycznych skłonności Lelanda?

Osiemnastolatek wywiódł w pole specjalistów?

- To nie zdarzyło się pierwszy raz. Pozwól, że ci coś opowiem. Rzecz dzieje się w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim w Kalifornii. Niejaki Edmund Kemper jedzie do Fresno, gdzie dwóch psychiatrów ma poddać go testowi osobowości, ponieważ chcą mu pomóc w oczyszczeniu jego kartoteki. Kemper zabił swoich dziadków, kiedy miał czternaście lat, i uważa, że w wieku lat dwudziestu czterech ma prawo do normalnego życia. A przynajmniej tak mówi swoim psychiatrom, ponieważ, wyobraź sobie, w drodze do Fresno Kemper pozbywa się szczątków ciała nastolatki, którą zabił poprzedniego dnia. W bagażniku samochodu przechowuje głowę młodej ofiary, którą, jak później przyzna, długo ogląda przed wejściem do gabinetu psychiatrów. Lekarze nic nie zauważają i jego karta w rejestrze policyjnym znów jest czysta. Kemper zabije jeszcze osiem osób w ciągu dwóch lat, zanim odda się w ręce policji.

Niektórzy z umiejętności manipulowania ludźmi potrafią uczynić prawdziwą sztukę, a seryjni mordercy, niestety, często należą do tej grupy.

Juliette zamyśliła się. Brolin mówił dalej: - Leland Beaumont nigdy nie przebywał w zamknięciu

zbyt długo, a nie wydaje mi się, żeby należał do ludzi, którzy od razu się zwierniają. Wysłaliśmy dwóch inspektorów do Salem, żeby wypytali o dawnych kolegów Lelanda z ośrodka i sprawdzili ich alibi na noc morderstwa. Ale to naprawdę wyjątkowe, że o tym pomyślałaś.

Podniósł się i podszedł do dziewczyny.

- Posłuchaj: rozumiem, że chcesz się okazać przydatna podczas całej tej sprawy, ale naprawdę nie

ma takiej potrzeby Wszystko, co wiesz, powiedziałaś nam już w zeszłym roku. Poza tym może nie powinnaś do tego wracać.

Juliette patrzyła na swoje dłonie, a w kącikach ust błąkał się jej uśmiezek.

Była zawiedziona.

- Posłuchaj - podjął Brolin. - Leland był prawdziwym psychopata; szaleńcem, który pasjonował się okultyzmem i czarną magią. Co ty możesz wobec takiego człowieka? Proszę cię, nie mieszaj się w to.

- Tak... Chciałam po prostu pomóc.

- I pomogłaś. Ale w tym momencie bardziej pomogłoby mi, gdybyś nie biegała jak wariatka po całym mieście. Jesteś w niebezpieczeństwie.

- McKenzie i Harper nie odstępują mnie na krok; niewiele ryzykuję.

- Zgoda; zresztą morderca raczej nie działa w miejscach publicznych. Proszę cię jednak nie wywołuj wilka z lasu. Już raz cię porwali, to nie wystarczy?

W oczach Juliette pojawiły się groźne błyski. Spojrzała na Brolina.

- Tak, żyłam w panice przez wiele miesięcy Bałam się wychodzić z domu, spotykać się z ludźmi, a uwolnienie się od tego strachu zajęło mi cały rok.

Cały rok, żeby przestać się bać, żeby zacząć spać, żeby zdecydować się wreszcie żyć! Nie zamierzam zmarnować tego wszystkiego tylko z powodu jakiegoś szaleńca, który uważa się za Lelanda, a jeśli jestem na jego liście, to trudno. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie będę żyła w ukryciu, czekając, aż go złapiecie. Rozumiesz?

Paliczki zaczerwieniły się jej z emocji, tworząc kontrast z czernią włosów i błękitem gniewnego spojrzenia.

Brolin westchnął i położył rękę na jej ramieniu. W ciągu kilku miesięcy z dwojga nieznajomych stali się przyjaciółmi, żeby znów się od siebie oddalić.

Aż do tej ponurej rocznicy.

Dokładnie rok później.

Dokładnie rok później ona zadzwoniła do niego.

Dokładnie rok później morderca znów uderzył.

Brolinowi nagle zrobiło się przykro, że ich ponowne zbliżenie nastąpiło w tak makabrycznych okolicznościach. Zaprzagnął spędzić z nią więcej czasu, wyjść gdzieś we dwoje, porozmawiać w innych, spokojniejszych warunkach.

Juliette nie spuszczała z niego wzroku.

Brolin poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej na widok tej pięknej twarzy. Spojrzał na jej usta, które lekko się rozchyliły.

Juliette dotknęła dłoni Brolina. Zadzwoił telefon.

Brolin cofnął się jak złodziej złapany na gorącym uczynku. Dzięki Bogu, nie zrobili jeszcze nic, z czego trudno by łoby się wycofać. Nie mogli sobie na coś takiego pozwolić. Juliette również się opanowała; schowała do torby książkę, którą czytała, czekając na Brolina.

- Brolin, słucham.

- Czekamy na ciebie, kochany - usłyszał głos Salhindro - Craig ma wyniki.

Zidentyfikował samochód, którym jechał morderca. Co ty jeszcze robisz u siebie w gabinecie?

Brolin odłożył słuchawkę i spojrzał na Juliette.

- Muszę iść. Skinęła głową, wstając

- McKenzie i Harper odwiozą cię do domu, a na noc przyjedzie inny samochód. Nie przejmuj się; nie masz się czego obawiać.

- Wiem.

Popatrzyli na siebie przez chwilę, która wydała im się wiecznością.

- Zadzwoię do ciebie, żebyś była na bieżąco ze sprawą - rzekł Brolin, wychodząc z pokoju.

W korytarzu skręcił do gabinetu kapitana, a Juliette poszła w przeciwną stronę, do wind.

Nacisnęła przycisk windy, gdy podszedł do niej McKenzie, opatrnościowy anioł stróż.

Brolin był w końcu korytarza, mogła go jeszcze zawołać. Może miałby czas wpaść na kolację albo może przyszedłby spędzić z nią noc tak jak ostatnim razem, kiedy każde z nich, po długich nocnych rozmowach, usnęło na oddzielnej kanapie. Czy naprawdę chciała, żeby zachowywali taki dystans?

Chwilę wcześniej czuła, że Brolin prawie ją pocałował. A przede wszystkim czuła, że bardzo tego pragnęła.

Czy to było pragnienie?

Czy pożądanie?

Czy też po prostu to, że w jego towarzystwie czuła się bezpiecznie, bo był jej zbawcą, bohaterem, tym, który uratował jej życie?

Bo jeśli to była ta ostatnia ewentualność, to ich związek był z góry skazany na niepowodzenie, jak wszystko, co rodzi się z fałszu.

Spojrzała jeszcze raz w jego stronę. Znikł,

No i dobrze.

„No i dobrze” - powtórzyła w myśli.

Kapitan Chamberlin stał wyprężony jak struna, nerwowo gładząc wąsy. W

oddali za jego plecami było widać budynki Portland na tle gór.

- Niech pan siada - zwrócił się do Brolina. - Zbadaliśmy odcisk znaleziony na miejscu zbrodni i porównaliśmy z odciskami we wszystkich możliwych rejestrach - nic. FBI milczy, nie mają takiego w swojej bazie danych.

Żadnego pozytywnego rezultatu. Craig Nova w tym momencie porównuje ten odcisk z odciskami ofiary, uważa bowiem, że oba należą do tej samej osoby.

- Mówił mi to - przyznał Brolin.

- Z drugiej strony - podjął Chamberlin - przebadał ślady opon i jest jakiś rezultat; ma za chwilę dzwonić, żeby to potwierdzić.

- Spadła nam za to na głowę prasa - włączył się do roz-mowy Meats. - Chcą wiedzieć, czy chodzi o nową serię zbrodni, czy w Portland jest nowy seryjny morderca. Chcą szczegółów, a jeśli im na czymś zależy, to...

- Zaufaj im - wtrącił Salhindro. - Oni nie... Przerwał mu dzwonek telefonu.

Kapitan Chamberlin podniósł słuchawkę i włączył głośnik.

- Tu Craig - usłyszeli podekscytowany głos. - Boję się, że jeśli chodzi o odcisk palca, to nie mam dobrych nowin. Tak jak przypuszczałem: to jest odcisk palca ofiary.

Chamberlin skrzywił się. Craig mówił dalej i wkrótce zrozumieli powód jego entuzjazmu.

- Ale jeśli chodzi o opony, to mam potwierdzenie z kartoteki FBI. Ślady były wystarczająco wyraźne i było ich wiele.

można więc było określić układ osi, promień skrętu i rozstaw kół.

Wystarczająco dużo danych, żeby dokładnie stwierdzić, o jaki samochód konkretnie chodzi. I tym razem mamy szczęście, nie ma zbyt wielu możliwości - to jest mercury capri z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku.

- Czy jesteś całkowicie pewien? - zapytał Chamberlin.

- Nie mam żadnych wątpliwości. Sprawdzaliśmy w wyjątkowo szczegółowej kartotece, utworzonej przez FBI i konstruktorów samochodowych na ich wspólny użytek. Z takim cudem informatycznym, kapitanie, wystarczy mi jeden centymetr kwadratowy zbitego szkła, żeby ustalić, z jakiego samochodu pochodzi, razem z numerem serii.

- Mercury capri, rocznik siedemdziesiąty siódmy - zanotował Salhindro. - A może jeszcze wiesz, jaki kolor?

Zapadła grobowa cisza. Nikt nie był w nastroju do żartów.

- Co do odcisku podeszwy buta, to niewiele nam powiedział. Oczywiście poza tym, że to był but numer czterdzieści trzy. Ale w miejscu zbrodni znajdowały się okruchy ziemi, które najprawdopodobniej pochodzą z tego buta. Aby zbadać gęstość tej gleby, Scott użył wyskalowanego cylindra. To rodzaj tuby z warstwami ziemi o różnej gęstości. Scott wsypał do środka okruchy ziemi znalezione w odcisku buta. Każda cząsteczka opadła do poziomu warstwy, która ma jej gęstość, co utworzyło ciemne paski na różnych poziomach, wyglądające w rezultacie jak poziomy kod kreskowy. Do innych wyskalowanych cylindrów Scott wsypał okruchy ziemi znalezione w okolicach miejsca zbrodni. Pozostało porównać „kody kreskowe” różnych cylindrów. Są one niemal identyczne. Wszystkie, z wyjątkiem cylindra z ziemią naniesioną przez sprawcę. To oznacza, że ziemia, która znajdowała się w odciskach podeszwy buta, nie pochodzi z okolic budynku zakładu kanalizacyjnego.

- Czy można stwierdzić, skąd została przyniesiona? - zapytał Meats.

- Gęstość ziemi zmienia się co kilkaset metrów. Musiałbym mieć próbki z każdego kilometra kwadratowego całego stanu, żeby móc porównać. A nawet wtedy... Nie, to niemożliwe. Ziemia, która znajdowała się w budynku, pochodzi z podeszwy mordercy - może z jego ogrodu albo z miejsca jego pracy.

- Co w takim razie dają nam te wyniki? - zirytował się Salhindro.

- Jak już będziesz miał podejrzanego, wystarczy, że dostarczysz mi jego buty, a ja, porównując wzór na podeszwach, będę mógł ci zaświadczyć, że to właśnie ten but znajdował się na miejscu zbrodni. Podobnie, jeśli dostarczysz mi ziemię z jego ogrodu...

- No tak, zawsze to coś, ale... Craig przerwał kapitanowi:

- Proszę zaczekać. Właśnie dostałem wyniki analizy Zbadaliśmy trochę tej ziemi chromatografem gazowym z komputerowym pomiarem spektrometrii masy...

- Craig, daruj nam te szczegóły - rozkazał Chamberlin.

- Dobrze. Ta ziemia jest bogata w substancje koloidalne organiczne, to znaczy ma dużą zawartość próchnicy.

- Craig, czy możesz się trochę zniżyć do naszego poziomu? - zapytał Brolin.

- Co to są te substancje koloidalne?

- To jest materia organiczna znajdująca się w ziemi pochodząca z rozkładu roślin przez grzyby i bakterie. Ponieważ w badanej próbce stwierdzono dużą zawartość próchnicy, uważam, że jest to ziemia naturalna, leśna. Ten facet musiał łązić po lesie, zanim przyszedł do tego budynku.

- Może chodzić o park miejski? - dociekał Brolin

- Nie, tam jest zbyt dużo nawozu. Z pewnością chodzi o miejsce bardziej dzikie

- Jak park Waszyngtona? Tam, gdzie znaleziono pierwszą, ofiarę?

- Tak, to mogłoby się zgadzać.

- A więc morderca mógłby tam wrócić na krótko przed drugim morderstwem.

- Może ona gdzieś tam mieszka? Albo pracuje? - zastanawiał się Meats.

- Nie ma co się rozpędzać! Portland jest z pewnością najbardziej zalesionym wielkim miastem Zachodniego Wybrzeża; lasów nam nie brakuje - zauważył

Salhindro.

Kapitan Chamberlin kiwnął głową, zatroskany

- Na razie dysponujemy tylko tym. Co pan o tym myśli? - zapytał Brolina. -

Park Waszyngtona?

- Możliwe. To miejsce wybrał na dokonanie pierwszej zbrodni. Zna je, czuje się tam bezpiecznie; w razie problemu wie, że tam się nie zgubi. Tak, to niewykluczone.

- Dobrze. Meats, przygotuj mi, proszę, listę właścicieli samochodów marki Mercury Capri rocznik siedemdziesiąty siódmy z całego stanu. Trzeba ją dokładnie sprawdzić, zaczynając od tych, którzy są u nas w aktach.

Tymczasem musimy obejrzeć cały park Waszyngtona i zrobić listę wszystkich osób mieszkających w okolicy. Może jest między nimi ktoś, kto pasuje do profilu psychologicznego mordercy. Główne punkty profilu, Brolin?

- Mężczyzna, biały, dwadzieścia do trzydziestu lat. Kawaler, pracuje zapewne na pół etatu albo w ogóle jest bez zajęcia; ma samochód. Może ten mercury capri z siedemdziesiątego siódmego roku. To co prawda dość ogólne dane, ale pomogą zawęzić listę podejrzanych.

- Dlaczego powiedziałaś, że pracuje na pół etatu albo wcale? - zapytał Meats.

- Oba morderstwa zostały popełnione w nocy, w różnych dniach tygodnia.

Jeśli weźmie się pod uwagę, ile czasu mu to zabrało i do jakiego stanu doprowadziło go dokonanie zbrodni, to jest mało prawdopodobne, żeby zabójca mógł pójść do

pracy następnego dnia.

- Dobrze. Salhindro, proszę rozdać ten opis wszystkim policjantom, których wyślesz do parku Waszyngtona. Dobra robota, Craig.

- Zawsze do usług - rozległ się głos z głośnika.

Salhindro i Brolin podnosili się z krzeseł, gdy odezwał się Meats:

- A co z prasą, panie kapitanie? Co im powiedzieć? Trzeba im rzucić jakiś ochłap, inaczej nie wytrzymamy.

- Prasą zajmę się ja. Wy złapcie tego szaleńca. Nie będziemy tracić czasu: wygłoszę krótki oficjalny komunikat.

Salhindro po przyjacielsku poklepał zwierzchnika po ramieniu.

- Prasa? Już wolę to, co robię - mruknął, wychodząc.

Z rękami w kieszeniach Joshua Brolin szedł Broadwayem. Zimny wiatr z północy, znad Willamette, wpadał do miasta przez tę właśnie ulicę, z wyciem hulał po centrum, po czym przenosił się ku autostradzie numer 5, gdzie wycie wtapiało się w hałas przejeżdżających samochodów.

Brolin szedł bez konkretnego celu. Podmuchy wiatru targały mu włosy; szyję wtulił w podniesiony kołnierz skórzanej marynarki. Wyszedł z domu nie po to, by coś zjeść, ale żeby pozbyć się uczucia duszności, które męczyło go od samego rana. Wciąż jeszcze czuł na skórze wilgotną obecność pary wodnej i śmierci. Z każdym mrugnięciem oka widział to ciemne pomieszczenie i wbite w niego spojrzenie młodej kobiety. Błagała go, prosiła, by coś zrobił, i jeszcze teraz trudno mu było uwierzyć, że już nie żyła, kiedy ją znalazł. Śmierć spadła na nią z taką brutalnością, że utrwałała na zawsze iskrę życia w jej oczach. Wyglądało to tak, jak wtedy, gdy zatrzymuje się na chwilę film wideo, naciskając pauzę.

Przez moment chciał wrócić do domu i wziąć szybki prysznic, żeby zmyć z siebie tę aurę śmierci, która kleiła mu się do ciała, ale wiedział, że to nic nie da. Ten potworny odór znajdował się wewnątrz.

Wiatr uderzył go w policzki.

„Bardzo się oziębiło” - pomyślał. - Jak nic, nadchodzi zima.

Przechodząc przed kawiarnią Starbucksa, Brolin zawahał się, czy nie wejść.

Wielu jego kolegów z pracy wpadało tu na godzinkę, żeby się odprężyć nad kubkiem ciepłego napoju. Ale zmienił zamiar, miał bowiem jeszcze zadzwonić do matki, żeby się dowiedzieć, co u niej słychać. Jeśli szybko coś zje, za godzinę będzie mógł wrócić do wertowania akt sprawy.

Na rogu Broadwayu i Taylor zatrzymał się obok sprzedawcy hot dogów i schronił przed zimnym wiatrem za metalowym wózkiem, pośród ulatniającej się woni tłuszczu i cukru.

Natychmiast podszedł do niego sprzedawca - wielki, nie-dogolony facet o ciemnej cerze i meksykańskim akcencie.

- Ale wieje, co?

Brolin ograniczył się do kiwnięcia głową.

- Zupełnie jak w filmie katastroficznym! - ciągnął wielki Meksykanin. - Co panu podać?

- Proszę hot doga z dwiema kiełbaskami. Sprzedawca błyskawicznie wyciągnął dwie dymiące kiełbaski i wepchnął je do rozciętej bułki.

- Proszę, szefie. Dwa dolary

Brolin zapłacił i obficie polał hot doga keczupem.

- Nie wygląda pan najlepiej, szefie. Jakież kłopoty z damą?

Brolin przecząco pokręcił głową.

- Wszystko dobrze; to tylko ten wiatr...

- No, mnie pan nie oszuka! Widzę dobrze, że coś nie gra. Meksykanin zatarł ręce, jakby miał właśnie ubić owocny targ.

- No! - powtórzył. - Jestem pewien, że to z powodu damy...

Brolin mimowolnie się uśmiechnął.

- Nie, nie ma żadnej damy.

- Nie ma damy? - wykrzyknął sprzedawca, otwierając szeroko oczy. - Ale to bardzo niedobrze! Musimy panu znaleźć damę!

Brolin niemal się nie zakrztusił kęsem hot doga.

- To nie ma nic do rzeczy...

- A więc praca? Ma pan kłopoty w pracy?

Jak na sprzedawcę hot dogów, facet był cholernie gadatliwy. Brolin pamiętał

z czasów wypraw do Nowego Jorku, jak mówiono, że nowojorskim taksówkarzom usta się nie zamykają. Tymczasem tutaj trafił na kogoś jeszcze gorszego!

- Można tak powiedzieć - powiedział. Sprzedawca hot dogów wyciągnął palec wskazujący i zaczął nim kiwać.

- A wiesz, szefie, dlaczego w pracy ci ciężko? Bo jesteś sam w życiu. We dwoje dużo łatwiej, mniej się ryzykuje! We dwoje łatwiej znosić to, co życie nam niesie. To jest cała tajemnica: nie ryzykować bez potrzeby!

Brolin przełknął ostami kęs, pragnąc wrócić do przerwane go spaceru. „Jeśli teraz nie odejdę, ten człowiek nie odczepi się ode mnie do wieczora!” -

pomyślał.

Sprzedawca wciąż monologował:

- Zapewniam cię, szefie: potrzebna ci dama. Jeśli chcesz, żeby ci w tym dopomóc, mój brat prowadzi mały...

Nagle w umyśle Brolina zapaliło się światło.

- Co pan przed chwilą powiedział? Meksykanin spojrzał na niego.

- A co? Mój brat prowadzi mały bar, to nic takiego, co...

- Nie, nie to - przerwał mu Brolin. - Wcześniej.

- Wcześniej? - zdziwił się wysoki Meksykanin. - Ach tak. Że nie trzeba ryzykować bez potrzeby. To jest moja dewiza, ale jeśli chcesz, szefie, możesz ją sobie wziąć...

Ale Brolin już go nie słuchał.

Męczyła go pewna myśl. Przebłysk intuicji eksperta pro-filującego, powoli zamieniający się w pewność.

Zostawił sprzedawcę hot dogów w pół słowa, odbiegając od wózka w kierunku przeciwnym niż wiał wiatr. Biegiem wracał do komisariatu, odtwarzając w myślach drogę, jaką musiał przebyć morderca, i przypominając sobie wszystko, co wiedział.

Coś tu nie grało. Głos Meksykanina odbijał się echem w jego wyobraźni. Nie ryzykować bez potrzeby.. Nie ryzykować bez potrzeby... Pomylili się z tym samochodem.

Od razu po wejściu do swojego biura zaparzył sobie herbatę. U Brolina była to oznaka wyjątkowego podniecenia.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer wewnętrzny Salhin-dra.

- Lany? Jesteś zajęty? - zapytał.

- Wyobraź sobie, że pracuję! Właśnie skończyłem odprawę patroli. Jeśli w okolicach parku Waszyngtona jest gdzieś jakiś biały, który ma od dwudziestu do trzydziestu lat pracuje na pół etatu albo jest na bezrobociu i jeździ samochodem marki Mercury Capri z siedemdziesiątego siódmego roku, to nie ma mowy, żebyśmy go nie znaleźli!

- Larry, zapomnij o tym samochodzie; myślę, że to fałszywy trop. Mam pomysł. Możesz przyjść do mnie do biura? Cisza w słuchawce nie trwała długo: tyle tylko, ile potrzebował Salhindro, żeby zorientować się w sytuacji.

- Jeszcze nie odłóżysz słuchawki, a już u ciebie będę!

Sto dziesięć kilogramów Larry'ego Salhindra wtoczyło się do pokoju, podczas gdy Brolin nalewał sobie bardzo gorącej herbaty.

- Dobra, mam wołać pomoc? - zapytał Larry, zamykając za sobą drzwi.

- Niekoniecznie. Niewykluczone, że morderca mieszka w pobliżu miejsca pierwszego morderstwa. Ale mnie chodzi o samochód. On nie jest jego.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Chcesz herbaty? Salhindro się skrzywił.

- Ja tego nie wiem; ja to zgaduję - rzekł Brolin. - Znów jakieś teorie behawioralne? Czasem się zastanawiam, jak oni mogli cię tu w ogóle zatrudnić.

- Mówię poważnie, Larry.

Brolin podniósł się i stanął przed wielką tablicą zakrywającą część ściany.

Trzymając w jednej dłoni kubek z gorącą herbatą, wskazującym palcem drugiej pokazał napis, który wieńczył piramidę notatek.

- Morderca i „Życzliwy” - przeczytał. - Za pierwszym razem zabili w lesie, w miejscu niemal zupełnie odludnym, a mimo to opryskali ruiny merkaptanem. W ogóle nie ryzykowali; wszystko było dokładnie przygotowane. Tym razem zabójstwa dokonali w wolno stojącym budynku na pustkowiu, ale w niewielkiej odległości od zasiedlonych domów i uczęszczanej drogi dojazdowej. Ślady opon

znaleziono przed budynkiem. Czy myślisz, że zostawiliby własny samochód na widoku, wiedząc, że ktoś może go zobaczyć?

- Działali w nocy, to znacznie zmniejsza ryzyko - zaprotestował Salhindro.

- Tak, ale dotyczy to sytuacji, kiedy byli już w środku budynku. Pomyśl jednak. Gdy tylko sprawa dostanie się do gazet, zawsze może się znaleźć świadek, który przypomni sobie, że widział, jak jakiś samochód skręcał w alejkę prowadzącą do budynku wodociągów. Jeśli wpadłeś na pomysł

opryskania merkaptanem zrujnowanego domu w odludnej części parku, żeby zniechęcić włóczęgów, to czy przewoziłbyś ofiarę ulicami osiedla domów jednorodzinnych swoim samochodem?

- Rzeczywiście, mało prawdopodobne.

- Rozwiązanie jest bardzo proste: myślę, że ten samochód jest własnością ofiary

Brolin wypisał flamastrem na tablicy:

„Samochód przy drugiej ofierze: mercury capri 1977?” - To pomoże w identyfikacji. Meats poprosił wydział zajmujący się rejestracją samochodów o listę właścicieli takiego modelu w całym stanie. Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, to znajdziemy nazwisko, które figuruje na liście osób zaginionych, Brolin spojrzał na przyjaciela.

- Larry, wyobraźmy sobie, że to ty jesteś tym mordercą.

Larry wydał nieprzyjemny pomruk.

- Zabijasz tę dziewczynę. Jesteś dość sprytny; wiesz, że lepiej nie zostawiać samochodu w okolicach miejsca zbrodni. Musisz się go pozbyć, a jednocześnie musisz dotrzeć do własnego auta, które gdzieś tam stoi. Jakie miejsce byś wybrał dla swojego samochodu?

- Hm... Myślę, że parking. W takim miejscu samochód może stać nawet bardzo długo, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Zabijam tę dziewczynę, wracam i zostawiam na parkingu samochód ofiary. Przy odrobinie szczęścia minie dużo czasu, zanim ktoś zauważy, że jednym z aut w ogóle nikt nie jeździ. Powiedziałbym nawet, że bardzo dużo czasu.

- Pod warunkiem, że jest to parking publiczny, za który się nie płaci. Albo parking długoterminowy; na lotnisku.

- Na lotnisku? Nie, to jest zupełnie z przeciwnej strony: za daleko! Parking bezpłatny, mówiłeś? Nie ma takich wiele...

Brolin podszedł do mapy miasta. Przyłożył palec w punkcie odległym zaledwie o kilka centymetrów od miejsca zbrodni

- Zapominasz o szpitalu Shrisers i Wydziale Medycznym Uniwersytetu Oregon. Oni mają gigantyczne parkingi publiczne. Odległe niecały kilometr od budynku wodociągów.

Salhindro zerwał się z krzesła, pełen werwy i emocji, jak podczas swoich nocnych patroli piętnaście lat wcześniej.

- Czyj samochód bierzemy: twój czy mój?

Bez wątpienia szpital Shriners mógłby być doskonałym źródłem inspiracji dla Shirley Jackson *, gdyby pisząc jedną ze swoich powieści, przypadkowo trafiła kiedyś na tę ponurą budowlę. I nie chodzi tu o to, że architektura budynku była szczególnie odpychająca albo że szpital zapewniał opiekę medyczną na wyjątkowo niskim poziomie - wprost przeciwnie, po prostu cały kompleks szpitalnej zabudowy z niewyjaśnionych powodów sprawiał bardzo dziwne wrażenie, które pozostawało jeszcze długo po opuszczeniu tego miejsca. Ze swoimi oknami, które wyglądały jak ślepe, i surowymi murami, szpital prezentował się posępnie i wywoływał złe samopoczucie. Kiedy Brolin ujrzał budynek szpitala z zakrętu Jack-son Park Road, nie zobaczył

miejsca dającego ukojenie chorym, ale poczuł zapach sal porodowych, usłyszał bulgotanie płynów ustrojowych na blokach operacyjnych i wzdrygnął się na samo wspomnienie tępego ukłucia igły, zagłębiającej się w ciało w poszukiwaniu żyły. Nie wiedział dlaczego, ale obrazy te podświadomie osaczyły go zaraz za zakrętem. Taki fatalny nastrój wywoływał szpital Shriners.

Jeszcze kilkaset metrów i Brolin dojechał do ogromnego parkingu, który znajdował się z boku budynku.

- Skręć w prawo - wskazał mu kierunek Salhindra - Myślę, że morderca wybrał parking publiczny, a nie ten dla personelu. Parking publiczny zapewnia większą dyskrecję.

* Shirley Jackson (1919-1965) - amerykańska autorka powieści niesamowitych, między innymi Loterii, będącej historią pozornie zwykłego pro-wincjonalnego miasteczka, które skrywa straszliwą tajemnicę (przyp. tłum.).

Mustang skręcił w prawo. Brolin jechał powoli między rzędami samochodów. Parking był ogromny; korzystali z niego zarówno pacjenci, jak i goście oraz studenci szkoły medycznej znajdującej się po drugiej stronie ulicy.

Kolorowa kompozycja setek zaparkowanych aut robiła wielkie wrażenie.

- Z lotu ptaka musi to wyglądać niesamowicie! - zachwycił się Salhindro.

Gdzieś w oddali ich uwagę przyciągnęło migające światło karetki. Przed wejściem do izby przyjęć panowało duże zamieszanie. Pielęgniarki popychały nosze na kółkach. Z karetki wysiadło dwóch mężczyzn w charakterystycznych niebieskich bluzach i wysunęło z niej łóżko ze zwijającym się z bólu, krzyżącym pacjentem. Biały koc nie wystarczał, żeby zakryć czerwone aureole na jego piersiach.

- Och, mój Boże! Cokolwiek się stanie, nie chciałbym nigdy tak umierać -

zawołał Salhindro.

- Jak? Chodzi ci o nosze?

- Nie, chodzi mi o szpital. Krzyczeć z bólu, sikać krwią czuć panikę wokół i nadchodzącą śmierć. Otoczony ludźmi oddanymi, z pewnością, ale profesjonalistami, dla których twoja śmierć jest tylko jeszcze jedną śmiercią.

Pragnę śmierci samolubnej, egocentrycznej. Żeby ten moment był tylko moim momentem, a towarzyszący mi ludzie wraz ze mną uświadamiali sobie, że śmierć się zbliża, że odchodzę. Nie chcę śmierci profesjonalnej, w szpitalu, gdzie ludzie na nią zobojętnieli.

Brolin oderwał na chwilę wzrok od mijanych samochodów i popatrzył na przyjaciela.

- Często myślisz o śmierci?

- Zdarza mi się - odrzekł Salhindro, wciąż wpatrzony w zamieszanie przy wejściu do izby przyjęć.

- Z wiekiem myśli się o tym częściej - dorzucił. - Pięćdziesiątka na karku to lata, które zaczynają się liczyć, zwłaszcza przy moim trybie życia... Moim fatalnym trybie życia.

Ekipa pielęgniarek znikła, zabierając rannego. Po chwili karetka odjechała, już z wyłączoną syreną i wygaszonymi reflektorami. Cała dramatyczna scena trwała zaledwie kilka sekund, błyskawicznie minęła, była już wspomnieniem.

- Dwa tygodnie temu byłem u brata na przyjęciu, właściwie rodzinnym party w ogrodzie. Pamiętasz, to ten brat, który pracuje w agencji zajmującej się ochroną środowiska. Na ścianie zauważyłem ramkę z wyhaftowanym napisem: „Bez rodziny nie ma życia”.

Salhindro zaśmiał się krótko, ironicznie; jego duży brzuch zatrzęsł się nad paskiem.

- Wyobraź sobie: srałem i gapiłem się na ten cholerny napis z dziesięć minut, aż wreszcie Doiły po mnie przyszła. Zapytała, czy dobrze się czuję, no i wróciliśmy do braciszka i jego rodzinke. Ten napis wisi tam dziesięć lat ale zauważyłem go dopiero teraz. Jakby jakiś znak, przesłanie...

Salhindro spojrział na swoje odbicie w bocznym lusterku.

- Cholerny napis... Ale czego się spodziewać po ekologu, do diabła!

Brolin, patrząc na mijane samochody, rzucił szybko okiem na przyjaciela.

Wiedział, że Salhindro nie miał dzieci. Nie miał również żony, a swój wolny czas dzielił między przyjaciół i... godziny nadliczbowe, dużo godzin nadliczbowych. Od dawna nie uprawiał sportu; jadł wszystko, na co mu przyszła ochota, nie myśląc o zdrowiu. Właściwie nie trzymało go na tym świecie nic dobrego w skutkach. Salhindro był zadowolony z tego, że żyje, i nie wyglądało na to, żeby specjalnie bał się śmierci. W każdym razie takie wrażenie odniósł Brolin.

- Wiesz, to całe gadanie o przeczuwaniu nadchodzącej śmierci i tak dalej, to wszystko są kompletne głupstwa - powiedział do Salhindra. - Powiedziałeś, że nie chciałbyś wpaść w panikę, czując nadchodzącą śmierć. Mnie się wydaje, że to się odbywa zupełnie inaczej.

- Ach tak?! Rzeczywiście wyglądasz tak, jakbyś dużo o tym wiedział, specjalisto. Ile razy już umierałeś? Ja myślę, że to jest jak jakiś zapach...

- Ależ nie, zapewniam cię. W ciągu tych dwóch lat, które spędziłem w FBI, raz zdarzyło mi się brać udział w porządnej strzelaninie. Byłem jeszcze w trakcie szkolenia, nie powinienem tam się znaleźć, ale towarzyszyłem jednemu z agentów... To zresztą nieistotne. Tak czy inaczej, chodziło o dwóch facetów, którzy napadli na bank i wzięli zakładników. Jeden z naszych ludzi dostał kulę w okolice klatki piersiowej. Tracił dużo krwi i bez przerwy powtarzał: „Umieram, czuję że umieram...”. Byłem przy nim w karetce i w pewnej chwili zauważyłem, że jeszcze bardziej zbladł. Wbił we mnie wzrok i wziął mnie za rękę, mówiąc: „Wiem, że to już koniec; powiedz mojej żonie, że ją kocham”. Czuł, jak ty to mówisz, nadchodzącą śmierć. Z tą różnicą, że kula uwięzła mu w dziewiątym żebrze, nie robiąc zbyt wielu szkód. Miesiąc później był zdrowy jak koń. Historia faceta, który wie, że umiera i ma jeszcze czas na pożegnalne wystąpienie z moralnym przesłaniem - to się zdarza tylko na filmach.

- Tak... Nie przekonałeś mnie.

- Nie przejmuj się: kiedy śmierć nadejdzie, będziesz z pewnością bardzo stary. Zaśniesz sobie po prostu i zapomnisz się obudzić!

- To byłoby do mnie podobne. Ale i tak się z tobą nie zgadzam. Są ludzie, którzy czują, że ich godzina...

- Larry! - wykrzyknął Brolin, gwałtownie hamując Salhindro wbił wzrok w to, co pokazywał mu inspektor. Dziesięć metrów od nich stał brązowy mercury capri.

- Centrala, tu cztery-zero jeden. Jesteśmy w rejonie patrolowym osiemset siedemdziesiąt jeden, potrzebujemy dzie-sięć-dwadzieścia osiem. Brązowy mercury capri, tablica rejestracyjna z Oregonu. Dane: "Wendy osiemdziesiąt jeden". Whisky, echo, november, delta, yankee, osiem, jeden,

- Zrozumiałem, cztery-zero jeden. Już się robi.

Kod 10-28 oznacza w policji portlandzkiej prośbę o identyfikację numerów rejestracyjnych samochodu.

Brolin zaparkował tuż obok i obaj mężczyźni wysiedli z samochodu.

- Jakie mamy szanse na to, że to ten? - zapytał Brolin, obchodząc odnaleziony wóz.

- Nie mam pojęcia, ile może być w Portland samochodów marki Mercury Capri. Dziesięć? Czterdzieści? A jakie mamy szanse na to, że znajdziemy go tam, gdzie szukamy? Wylizywanie prawdopodobieństw nigdy nie było moją specjalnością.

- W porządku, Larry. Nie dotykajmy niczego. Może to jest własność jakiegoś biednego studenta, który wytoczy nam proces, że obmacaliśmy jego samochód? Zaczekajmy, co nam powie centrala.

- A co ma ci powiedzieć? - zapytał Salhindro, nie rozumiejąc. - Że to jest samochód burmistrza?

Brolin wyjął telefon komórkowy.

- Gdy tylko się dowiem, do kogo on należy, zadzwonię do właściciela. Jeśli ktoś odbierze i okaże się, że w tej rodzinie nikt nie zniknął, będziemy wiedzieli, że to nie jest samochód, którego szukamy.

- A Craig? Może sprowadzić Craiga z całym materiałem? On nam powie, czy to są te opony, których odciski znalazł w okolicy miejsca zbrodni.

- Larry, nie będziemy sprowadzali Craiga z całą ekipą do każdego samochodu marki Mercury Capri, jaki znajdziemy!

- Do cholery, to przecież jego praca!

Brolin już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, kiedy zatrzeszczało radio.

- cztery-zero jeden, tu centrala. Słyszycie mnie? Salhindro schwycił

mikrofon.

- Doskonale. Co macie?

- Zidentyfikowaliśmy właściciela samochodu. Kobieta nazywa się Elizabeth Stinger, lat trzydzieści trzy, zamieszkała przy Fremont Drive w dystrykcie wschodnim

- Trzydzieści trzy... - powtórzył Brolin. - Wiek zgadza się z wiekiem ofiary.

- Ale jest jeszcze coś - kontynuował apatyczny głos z centrali - Elizabeth Stinger znajduje się od dziś rana na liście osób zaginionych.

Brolin zadrżał. Kiedy małżonek lub członek rodziny zgłasza czyjeś zaginięcie, procedura nakazuje odczekać czterdzieści osiem godzin przed wpisaniem go na listę osób zaginionych, głównie po to, żeby się upewnić, czy nie chodzi o zwykłe nieporozumienie i żeby nie przeciążać niepotrzebnie systemu. Śmierć ofiary nastąpiła około pięćdziesięciu godzin wcześniej, licząc od dzisiejszego ranka; to znaczy dwa dni wcześniej. Wszystko doskonale się zgadzało.

Potrzebowali zaledwie kilku minut, żeby dowiedzieć się na posterunku w strefie 920, że Elizabeth Stinger została zgłoszona jako zaginiona we wtorek późnym wieczorem. O dwudziestej trzeciej tego dnia Amy Frost, opiekunka córeczki pani Stinger, po nieudanych próbach skontaktowania się z pracodawczynią zdecydowała się zawiadomić policję. Szef Elizabeth potwierdził, że późnym popołudniem wychodziła z pracy, i od tego momentu nikt jej więcej nie widział. Pracowała przy Columbia Boulevard, na północy miasta.

- Columbia Boulevard? - zdziwił się Brolin. - To cholernie daleko! Jeśli została porwana na parkingu przy Columbia Boulevard, to morderca musiałby przewieźć ją przez całe miasto, żeby dotrzeć na miejsce zbrodni, a później tutaj.

Salhindro wzruszył ramionami.

- To ty jesteś ekspertem profilującym.

- No właśnie, i coś mi tu nie pasuje. Ona wychodzi z pracy i jedzie do opiekunki, na wschód, a więc jeszcze dalej stąd. Może schwytał ją w drodze.

I co, przywiózł ją aż tutaj?

- Może podoba mu się ta okolica.

- Wybrał już miejsce i przygotował się do akcji, dlatego wziął samochód ofiary. Jeśli ma przejechać przez całe miasto, to lepiej, żeby nikt nie widział

jego własnego auta. Ale intryguje mnie co innego - dlaczego wybrał ofiarę tak daleko stąd? Chyba że...

Brolin zamilkł i się zamyślił.

- Jeśli rzeczywiście chodzi tu o szaleńca, chcę powiedzieć: o seryjnego mordercę, to z pewnością zachowuje się on tak jak większość seryjnych morderców, to znaczy krąży po okolicy i zabija pierwszą osobę, która będzie odpowiadała jego gustom, nie sądzisz? - zapytał Salhindro.

- Nie. Już nam dowiódł, że nie jest zbyt pewny siebie, ale nie jest również głupi; a poza tym prawdopodobnie czuwa nad nim „Życzliwy”. Jeśli podejmuje ryzyko przejechania całego miasta,

podczas gdy zawsze jest bardzo ostrożny, to znaczy, że nie ma innego wyboru. Dlaczego?

Za ich plecami przeszła kobieta z dwojgiem dzieci. Dwaj chłopcy popatrzyli uważnie na policjantów, chcąc zrozumieć, nad czym się tak zastanawiają.

Matka przyjrzała się mundurowi Salhindro, następnie samochodowi, który tak zainteresował obu policjantów. Pomyślała, że być może coś strasznego znajduje się na tylnym siedzeniu. Zakryła chłopcom oczy wielką kopertą ze zdjęciami rentgenowskimi i przyspieszyła kroku.

- Dlaczego morderca ryzykuje jazdę przez całe miasto z ofiarą? - powtórzył

Brolin. - jeśli tak bardzo podoba mu się to miejsce, dlaczego nie wybrał

kobiety gdzieś bliżej, którejś ze studentek w kampusie czy pielęgniarki?

Dlaczego na-pada na kobietę tak daleko stąd?

Nagle strzelił palcami

Spojrzenie Salhindra rozświetliło się, jakby natchnione przez samego Pana Boga.

- Ponieważ to właśnie tej kobiety pragnął, a nie żadnej innej! - wykrzyknął

- Właśnie! - przytaknął Brolin. - On przygotowuje nie tylko miejsce mordu, ale również wybiera sobie ofiarę. Nie zabija przypadkowo. Musimy zidentyfikować pierwszą ofiarę i znaleźć coś, co łączy obie kobiety

pewnością jest coś takiego.

- Z pewnością nie bez znaczenia jest również to, że miejsce mordu jest tak daleko - odważył się dodać Salhindra

Może wybiera je w zależności od tego, co chce nam przekazać. Brolin przytaknął.

- Przypomnij sobie pierwszy list, wersety z Boskiej Komедii: Wgłębi ciemnego znalazłem się lasum. I pierwszą ofiarę po-rzuca w lesie. W drugim liście umieszcza wersety pierwsze gD kręgu Piekła i zostawia ofiarę przed zejściem do kanałów. Co symbolizuje lepiej podziemne piekło niż ciemne i brud-ne kanały?

- Jeśli on ma popełnić inne morderstwa, to znaczy, że będzie już stale zostawiał ciała w kanałach?

Przed oczyma Brolina pojawiła się ciemna mgła.

- W pracy powiedziano, że Elizabeth wyszła około osiemnastej piętnaście, tak?

Salhindro kiwnął twierdząco głową.

- A my przypuszczamy, że umarła około północy? Larry słuchaj! Morderca z pewnością złapał ją niedługo po jej wyj

ściu z pracy, bo inaczej ona zdążyłaby się spotkać z opiekunką dziecka. To znaczy, że spędzili razem długie godziny...

Wyraz twarzy Brolina odzwierciedlał doskonale jego myśli. Uwięzienie, tortury.. Przypomnił sobie innego seryjnego mordercę, Johna Wayne'a Gacyego, który przebierał się za kłowna, żeby móc swobodnie wybrać swoje ofiary spośród dzieci - dzieci, które porwał, torturował, gwałcił, dusił, reanimował i tak w kółko, aż do śmierci. Trzydzieści trzy razy. A co spotkało Elizabeth Stinger? Jaka była jej droga cierpienia?

- Larry, musimy go złapać, i to szybko.

- Ale jak się za to zabrać? Zanim zdążymy pokazać zdjęcie ofiary wszystkim właścicielom sklepów przy Columbia i koło mieszkania opiekunki, zanim w ogóle zdobędziemy jakąkolwiek informację, jeśli w ogóle czegoś się dowiemy, będzie miał czas wybić połowę miasta. Trzeba by cudu, żeby ktoś przypomniał sobie brązowy mercury capri z mężczyzną za kierownicą.

A ponieważ on jest bardzo sprytny, założę się, że nie zostawił w aucie żadnych śladów! Brolin patrzył na samochód.

- A jednak wyprzedziliśmy go - powiedział tak cicho, że Salhindro myślał, że Brolin mówi do siebie.
- Z pewnością nie spodziewał się, że tak prędko znajdziemy samochód.

- I co z tego?

- Wystarczyło nam na to kilka godzin. Jestem pewien, że lekceważy sprawę samochodu, ponieważ myśli, że albo go nie znajdziemy, albo że zanim go znajdziemy, minie bardzo dużo czasu.

Brolin rozejrzał się po parkingu.

- Może dzięki temu uda mi się go do siebie przyciągnąć!

- W FBI nazywa się to techniką proaktywną - wyjaśnił Brolin kolegom.

Lloyd Meats pogładził brodę z wyrazem powątpiewania.

- Dobrze, a na czym ta technika polega? - zapytał kapitan Chamberlin.

- Polega na tym, żeby posługując się tym, co wiemy o przeciwniku i o jego błędach, zastawić na niego pułapkę i zdemaskować go - wyjaśnił były agent FBI.

- Ale nic o nim nie wiemy! - zaprotestował Bentley Cotland. - Jaki jego błąd chce pan wykorzystać?

Brolin podniósł się z fotela i przyjrzał mężczyznom zebranym w jego biurze.

Kapitan Chamberlin, zastępca kapitana, inspektor Lloyd Meats, przyszły zastępca prokuratora Gotland i Larry Salhindro. Wszyscy patrzyli na niego jak na raroga.

- Nie słuchaliście tego, co mówiłem od początku śledztwa - rzekł, wpatrując się w Cotlana. - Jego zbrodnie mówią do nas; on - nie zdając sobie z tego sprawy - porozumiewa się z nami za pomocą swoich zbrodni Jego czyny odzwierciedlają jego podświadomość, jego wyobrażenia I powiedziałem wam, że on jest narcystyczny jego zbrodnie są zbrodniami na tle narcystyczno-seksualnym. On nie widzi w ofierze istoty żyjącej, ponieważ widzi w niej jedynie własną potrzebę, własną przyjemność. On nie jest w stanie zrozumieć, że ktoś może odczuwać ból, gdyż ból odczuwany przez jego ofiarę jest narzędziem, które przynosi mu przyjemność. Ponadto dzięki ostatniemu listowi wiemy, że towarzyszy mu „Życzliwy”, Może nie bezpośrednio, nie na scenie zbrodni,

ale on zna każdy czyn mordercy, ponieważ obaj dzielą się tą przyjemnością.

Brolin zamilkł na chwilę, żeby się upewnić, że wszyscy uważnie słuchają, Gdy znów przemówił, w jego głosie słyhać było wyjątkową powagę.

- Uważam, że „Życzliwy” kieruje mordercą. „Życzliwy” jest mózgiem, morderca - wykonawcą. Przy pierwszej ofierze morderca dowiódł, że jest niedojrzały seksualnie i nie panuje do końca nad sobą lub też że nie ma do siebie wystarczającego zaufania. Jest frustratem, który zakumulował w sobie ogromną nienawiść do kobiet. Tacy ludzie przechodzą do czynów dopiero wówczas, gdy zbiorą w sobie bardzo dużo złości i gdy jednocześnie wydarzy się coś stresującego, co jest swoistym zapalnikiem. Taki osobnik nie potrafi już wówczas dłużej się powstrzymać i zaczyna działać, ale w sposób niekontrolowany, bez żadnych przygotowań. Tymczasem nasz morderca działał z premedytacją - dowodem na to jest na przykład merkaptan, którym musiał opryskać rudę kilka dni wcześniej. No i nie zostawił po sobie zadnego śladu, miejsce zostało więc wybrane specjalnie w tym celu. Z drugą zbrodnią jest tak samo, ale tym razem morderca wydaje się bardziej opanowany Czuje się trochę pewniej, co nie przeszkadza mu jednak obciąć ofierze koniuszków piersi. Mimo że on stara się ją stłumić, jego perwersyjna natura powraca bardzo szybko. Jeśli „Życzliwy” jest naprawdę tym, czym myślę, że jest, to znaczy mózgiem tej pary, to mamy szansę złapać go w pułapkę.

- Ale nadal nie wiem, jak! - jęknął Meats z goryczą. -Niewiele nam zostawił: ślad jednego buta i ślady opon to mało!

- Zadał sobie następujące pytanie: dlaczego „Życzliwy” przysłał nam listy?

- Żeby zaszpanować albo zwrócić na siebie uwagę; żeby dowieść całemu światu, że istnieje - rzekł Meats, opierając się na swoich dotychczasowych doświadczeniach.

- Niezupełnie. Jeśli chciałby dowieść światu, że istnieje, to listy wysłałby do mediów, nie do policji, bo dobrze wie, że my utrzymamy je w tajemnicy -

poprawił Brolin. - Myślę raczej, że on chce się z nami zabawić. Sprawdza nas. On również jest zbrojcem na tle narcystyczno-seksualnym. Ponadto jest elementem dominującym, jest manipulatorem, dlatego obawiają się kobiety i każą im cierpieć. Dlaczego Piekło Dantego i co chcą osiągnąć, przechodząc przez dziewięć kręgów piekła? Tego nie wiem. Może chcą poznać kwintesencję Zła; może dążą do jakiegoś innego szaleństwa.

Ale „Życzliwy” chce zabawić się z policją; doprowadzić do konfrontacji, gdyż uważa, że jest bardzo silny i inteligentniejszy od nas, i chce nam to pokazać.

Policja to prawa ręka społeczeństwa - reprezentujemy władzę wykonawczą wymiaru sprawiedliwości naszego świata. Ten, kto wyzwie policję, stawia się poza społeczeństwem i może to spłacić tylko więzieniem: tylko więzienie może uczynić tę osobę z powrotem normalnym obywatelem. Ale ten, kto okaże się silniejszy

od policji, wzniesie się ponad społeczeństwo, będzie najsilniejszy. On tak siebie widzi; jest siebie pewien. To jest jego błąd, który możemy wykorzystać.

- To nazywa pan tropem?! - wykrzyknął Bentley Cotland. - Dziękuję za lekcję psychologii kryminalnej, ale czego się możemy z niej dowiedzieć? Czy tego, gdzie ten szaleniec mieszka? Nie. A więc co chce pan zrobić?

- Bardzo pana przepraszam, panie Cotland. Proszę pozwolić mi kontynuować, jeśli nie potrafi pan wyciągnąć właściwych wniosków.

Bentley Cotland przeszył Brolina wzrokiem. Tego już było za dużo! Już on mu pokaże, temu młodemu policjantowi, ile kosztuje zaczepianie prokuratora. Jak tylko zostanie mianowany; postara się, żeby Joshua Brolin dostawał same beznadziejne sprawy i żeby spędził resztę służby w Portland na zbieraniu z ulicy pijaków i kurew. Za kogo się ten śmierdziel uważa?

- Na samym początku szczęście pozwoliło nam zidentyfikować ślady opon, wszystko dzięki wspaniałej robocie Craiga Novy i jego ekipy - podjął Brolin.

- Następnie użyliśmy naszych szarych komórek - tu mrugnął do Larryego - i kolejny łut szczęścia pozwolił nam znaleźć dziś po południu samochód ofiary. Samochód, którym morderca przewiózł ofiarę na miejsce zbrodni.

Jestem pewien, że on się nie spodziewa, że już ten samochód znaleźliśmy.

- Cały problem w tym, że to nie jest jego samochód, ale samochód ofiary, a on oczywiście wszystko dokładnie wyczyścił! - rzucił Chamberlin.

- Panie kapitanie, dysponujemy wszystkimi elementami, żeby zastosować technikę proaktywną. Wyjaśniam: musimy zastawić pułapkę, używając do tego samochodu ofiary; musimy podrażnić jego ego i zmusić go do zdemaskowania się. Chcesz się z nami zabawić, kolego? Prosimy bardzo.

- A więc co konkretnie robimy? - zapytał Salhindro, który był równie wrażliwy na logistykę co na pragmatyzm.

Brolin popatrzył na kapitana Chamberlina.

- Panie kapitanie! Proszę wezwać prasę i ogłosić, że trafiliśmy na bardzo ważny trop, co oznacza, że złapanie mordercy jest już tylko kwestią dni.

Będą chcieli znać szczegóły; wyjaśni im pan wówczas sprawę śladów opon i powie, że dzięki tym śladom wiemy, że morderca albo ofiara posiadali samochód marki Mercury Capri z siedemdziesiątego siódmego roku, dlatego w najbliższych dniach będziemy szukali takich pojazdów. Wykorzystamy w tym celu każdą możliwość, przesłuchamy wszystkich właścicieli samochodów tej marki, a jeśli wpadnie w nasze ręce jakiś porzucony mercury capri, to przebadamy go i znajdziemy najmniejszy nawet włos.

Przeanalizujemy wszystkie podobne ślady opon, wypytamy wszystkich ewentualnych świadków, i tak dalej, i tak dalej. Cały pomysł polega na tym, żeby wystraszyć mordercę naszym technicznym arsenalem i głębokim przekonaniem, że przewyższa się go pod każdym względem. Należy pokazać naszą pewność siebie; podkreślić, że on wkrótce wyląduje za kratkami; zdenerwować go. Już i tak powinien być zaskoczony, że tak szybko zidentyfikowaliśmy samochód; może się przestraszyć. Jeśli na dodatek czuje się niedowartościowany, zacznie niepotrzebnie ryzykować.

- I może znowu zabić, i to wkrótce. Czy do tego pan dąży? - zaprotestował

Bentley.

- Nie, nie; najpierw będzie chciał się zabezpieczyć. Z komunikatu wywnioskuję, że niedługo znajdziemy samochód ofiary, a nie wie - chyba że sam jest policjantem albo jest pewien, że dokładnie wyczyścił samochód -

jak precyzyjna jest nasza technika kryminalistyczna. Powinien się przestraszyć, że tak szybko zidentyfikowaliśmy auto. A przy odrobinie szczęścia może się zdarzyć, że on, żeby nie musieć często wychodzić i narażać się na zauważenie przez przechodniów na parking, zaparkował własny samochód gdzieś obok. Złęknie się więc, że znajdziemy ślady opon jego wozu. Trzeba bardzo mocno podkreślić kwestię śladów opon, zaakcentować, jakie to ważne, panie kapitanie; powiedzieć, że jesteśmy specjalistami w czytaniu prawdy z najmniejszego szczegółu, jeden mały włos może nam bardzo dużo powiedzieć. Chcę, żeby się naprawdę przeląkł i zdecydował się wrócić na parking po

samochód, aby się go pozbyć.

Bentley potrząsnął głową, osłupiały, że w ogóle można konstruować podobne teorie.

- Jeśli dobrze cię rozumiem - wtrącił Salhindro - kapitan Chamberlin ma zwołać małą konferencję prasową, dziennikarze mają przekazać wszystkie wiadomości do telewizji i gazet, a my w tym czasie ukryjemy się na tym parkingu i będziemy czekać, żeby nasz człowiek połknął haczyk, tak?

Brolin przytaknął.

- To miałem na myśli. Czekamy z ludźmi z jednostki specjalnej SWAT i obserwujemy samochód, a gdy tylko jakiś facet dotknie go palcem, zamykamy cały sektor i zgarniamy go.

Kapitan Chamberlin cmoknął ustami, najwyraźniej nieco rozdrażniony.

- Nie bardzo mi się podoba to, że ten sektor jest tak wielki i że wciąż przechodzi tamtędy wielu ludzi - rzucił.

- Tak, to jest pewien problem. Nie możemy częściowo go zamknąć, bo to wzbudziłoby podejrzenia. Ale morderca będzie się starał być jak najmniej widoczny, będzie unikał przechodniów; jest zresztą bardzo prawdopodobne, że przyjdzie tam w nocy

W biurze zapadła cisza, słychać było tylko dobiegający z kąta szum wentylatora i dalekie brzęczenie telefonów w innych pomieszczeniach.

Meats nie zauważył, że jego papieros wypala się w popielniczce.

Pierwszy przerwał ciszę Bentley.

- Panie kapitanie, przecież nie poprzez pan tak idiotycznego pomysłu!

- Ma pan lepszą propozycję, panie Cotland? A może woli pan czekać na następną ofiarę? W takim razie proszę zwołać konferencję prasową i niech pan rozmawia z dziennikarzami. Co pan na to?

Bentley zadowolili się burknięciem czegoś pod nosem.

Kapitan Chamberlin pogładził wąsy z nieobecny spojrzeniem: widać było, że się nerwowo zastanawiał. Kiedy znów przemówił, głos miał ochryply, jakby niepewny

- Brolin?

- Słucham, panie kapitanie.

- Czy ta technika proaktywna sprawdza się w FBI? Brolin wzruszył

ramionami.

- To zależy. Czasami tak, czasami nie. Trzeba mieć trochę szczęścia.

Kapitan Chamberlin zacisnął pięść.

- Myślę, że nie wolno nam tracić więcej czasu - rzekł. -Brolin, proszę skontaktować się z ludźmi z jednostki SWAT, a ja zwołam konferencję dla dziennikarzy. Za trzy godziny informacje znajdą się w mediach i każdy obywatel Oregonu dowie się, że jesteśmy pewni wygranej i że morderca obu kobiet zostanie zatrzymany w najbliższych dniach. Zamknął oczy i dodał:

- Mam nadzieję, że nam się uda. Gramy o bardzo wy-soką stawkę.

Wieża stereo za tysiąc osiemset dolarów rozbrzmiewali na cały parter dźwiękami ostatniej płyty Amona Tobina. Szyby aż drżały od dudnienia basów.

- Proszę cię, ścisź tę muzykę! - rozkazała Camelia. Decybele zjechały w dół jak pikujący samolot. Juliette

oparła się o framugę kuchennych drzwi, pogryzając surową marchewkę.

- A gdybyśmy tak wyszły dziś wieczorem, na przykład do restauracji? - zapytała.

Camelia popatrzyła na nią figlarnie

- Chęć na towarzystwo? Czyżby nasza kochana Juliette w końcu zdecydowała się zaakceptować obecność osobnika płci męskiej?

Juliette wzruszyła ramionami poirytowana.

- Nie bądź głupia; wiesz, że nie o to mi chodzi.

- Och, ależ ja mówiłam tylko o towarzystwie na jedną noc! O mężczyźnie jednorazowego użytku.

- A ja mówię poważnie. Możemy pójść do kina albo do knajpy; spotkać się z innymi dziewczynami, spędzić wieczór w towarzystwie; po prostu wyjść!

Camelia odłożyła czasopismo, które przeglądała. - A ci twoi dwaj goryle? -

wskazała brodą na zewnątrz. Juliette westchnęła.

- Myślę, że pewnie za nami pojedą, ale przecież nie mogą przeszkadzać mi żyć.

Camelia popatrzyła na zegarek.

- Piąta; mamy jeszcze czas coś wybrać. Masz ochotę na kuchnię chińską?

Ale, ale... Znam fantastyczną rosyjską restaurację w Downtown.

- A nie znasz jakiejś francuskiej?

- Co to, odzywają się w tobie geny?

- Czy według ciebie istnieje coś takiego jak atawizm kulinarny? -

odpowiedziała pytaniem Juliette.

Obie się roześmiały. Camelia starała się skoncentrować: skrzywiła się przesadnie na znak, że stara się sobie coś przypomnieć.

- Ależ tak! - wykrzyknęła. - Mam takiego przyjaciela, Anthony'ego Desaux; może ci go kiedyś przedstawiałam?

- Ten milioner?

- Milioner i do tego doskonały kucharz! Z odrobiną romantyzmu i francuskiej galanterii - to jest mężczyzna, jakiego ci trzeba.

Zanim Juliette zdążyła się odezwać, Camelia już siedziała przy telefonie.

Juliette została w kuchni. Wróciła myślami do dzisiejszego popołudnia, do rozmowy z Brolinem. Nie chodziło jej o to, o czym mówili; raczej o wyraz jego twarzy, kiedy tak stali obok siebie. Coś ich w tym momencie połączyło, rodzaj delikatnego pociągu do siebie, bo nie mogła przed sobą ukrywać, że to właśnie odczuła po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna. Przez kilka sekund pragnęła, żeby ją pocałował, żeby znaleźli się jeszcze bliżej, żeby się dotknęli.

Rodzaj delikatnego pociągu do siebie...

...który zapalił się i zgasł jak zdmuchnięta zapałka. Z tym, że zdmuchnęły go niesprzyjające okoliczności, w tym wypadku - dzwonek telefonu. Co to naprawdę było? Coś chwilowego, wynik dziwnej fizycznej alchemii wywołanej strachem, chwilową paniką? Co odczułaby, gdyby dłużej przebywali razem? Czy pragnęłaby złączyć się, stopić się z nim, czy wystarczyłaby jej przyjacielska pogawędka, uczucie zaufania?

W drzwiach kuchni stanęła Camelia.

- Przewietrz swoje wieczorowe stroje: jesteśmy oczekiwane u pana Desaux na kolacji, punkt ósma.

- Nie wprosiłaś się, mam nadzieję?

- Ależ skąd! Kiedy zapowiedziałam, że przedstawię mu najpiękniejszą kobietę Oregonu, był zachwycony perspektywą goszczenia nas przy swoim stole!

- Proszę cię, powiedz, że nie zrobiłaś czegoś takiego! Zamiast odpowiedzi Camelia uśmiechnęła się swoim

najbardziej reprezentacyjnym uśmiechem, tym ulubionym, tym specjalnym, który celowo nie rozwiewał niepewności - uśmiechem drapieżnym, odsłaniającym wszystkie zęby.

Miedziana tarcza z herbem rodziny Desaux wieńczyła imponującą kratę zamykającą posiadłość. Z prawej strony smok plujący ogniem, z lewej miecz i wieża wygrawerowana w środku - oto, co było na niej wycięte.

Camelia zaanonsowała się w interfonie przy bramie i herb nagle pękł na dwoje, kiedy zaczęła otwierać się brama z kutego żelaza.

Cywilny samochód policji zaparkował przy tro-tuarze. Obaj policjanci wyjęli sandwicze i gazety, uzbrajając się w cierpliwość - wszystko to uzgodniono, kiedy Juliette uprzedziła, że jedzie na kolację do zamku Desaux.

Camelia jechała powoli przez prywatny las. Wokół panowała nocna cisza.

Juliette siedziała z jej prawej strony i oglądała pejzaż oświetlony reflektorami auta.

- To wszystko należy do niego? - zapytała. - To znaczy: tylko do niego?

- I do nikogo innego. Mur wysoki na cztery metry otacza dwanaście hektarów posiadłości; jeśli chcesz tu pospacerować, musisz należeć do grona jego przyjaciół. Osoby niemile widziane nie są wpuszczane. Zobaczysz, Anthony Desaux żyje właściwie w innej epoce.

Juliette kiwnęła głową, nie czując się specjalnie gotowa na spotkanie z podobnym osobnikiem.

Zza wielkiego masywu rododendronów ukazała się nagle posiadłość Desaux.

Juliette spodziewała się francuskiego zamku podobnego do tych, które wyrastają jeden obok drugiego nad Loarą, z wąskimi, długimi oknami, wysokimi sufitami z ozdobnym gzymsem, rzeźbionymi w marmurze kominkami i troskliwie wypastowanymi parkietami. Ale rezydencja rodziny Desaux nie była w ogóle podobna do architektury Le Vau, a jej ogrody nie miały nic wspólnego z ogrodami projektowanymi przez André Le Nötre'a.

Właściwie budowla ta była jakby przeniesiona prosto z Kornwalii albo irlandzkiej Connemary. Cała neogotycka, z nieskończenie wysokimi kamiennymi kominami, wąskimi oknami i wieżyczkami strzelającymi w niebo jak dzwonnice, zdawałoby się: wypolerowanymi przez błyskawice.

„Pałac wygląda tak, jakby ktoś horyzontalnie zbudował kościół” - myślała Juliette w miarę jak się do niego zbliżały.

- Och, mój Boże! - wykrzyknęła. - To tu będziemy jadły kolację?

- A co? Nie uważasz, że to ekscytujące?

- Raczej mam wrażenie, że znalazłyśmy się w jakimś kiczowatym filmie o wampirach.

- Twórcy kiczowatego filmu o wampirach nie dysponowaliby środkami, żeby opłacić sobie podobną dekorację. Przestań wydziwiać i korzystaj z życia. Nie każdy może na co dzień spotkać przedstawiciela francuskiej arystokracji.

Camelia przejechała pod kamiennym łukiem i zaparkowała samochód przed ciemnymi schodami wiodącymi na ganek. Drzwi natychmiast się otworzyły i wyszedł im na spotkanie mężczyzna w trzyczęściowym garniturze, zacierając ręce. Miał około pięćdziesięciu lat, zaczesane do tyłu siwe włosy oraz barczystą figurę sportowca i epikurejczyka w jednej osobie.

- Witajcie, moje panie! Zostawcie samochód tutaj.

Camelia szybko wbiegła po schodach i stanęła obok niego

- Tak się cieszę! - powiedziała, podczas gdy on całował ją w policzek.

- A to z pewnością jest ta piękna Juliette, o której tyle słyszałem! -

wykrzyknął, odsłaniając w uśmiechu nienaturalnie białe zęby.

Juliette powoli zbliżyła się do niego. Anthony Desaux, wyprężony w swoim niezwykle eleganckim garniturze, obdarzył ją swoim najpiękniejszym uśmiechem. Teraz z kolei Juliette miała okazję podziwiać nieskazitelne uzębienie, doskonałą fryzurę i gładko ogoloną twarz milionera. W jego podbródku pojawił się głęboki dołek.

„O ile łatwiej jest być pięknym, kiedy się jest bogatym” -pomyślała, patrząc na niego. Natychmiast zresztą zrobiło jej się głupio, że jest cyniczna wobec niego czy też wobec jego fortuny, tym bardziej że jej rodzinie również można było wiele pozazdrościć.

- Bardzo mi miło poznać pana, panie Desaux - powiedziała, wyciągając do niego rękę.\

- Proszę mówić do mnie Anthony

I zamiast uścisnąć jej dłoń, pochylił się ceremonialnie i złożył na niej pocałunek.

- Proszę, wejdźcie.

I odsunął się, żeby wpuścić je do ogromnego hallu.

Posiłek przygotowano w „małej” jadalni, żeby był bardziej „kameralny”, tak przynajmniej tłumaczył się pan domu. Jedli kolację pod osiemnastowiecznym kryształowym żyrandolem, na serwisie, którego każda część musiała kosztować co najmniej dwa i pół tysiąca dolarów. Juliette bała się, że będzie im usługiwać armada kelnerów, a tymczasem to Anthony osobiście podawał do stołu i często znikał w kuchni. Poza tym, jak obiecała jej Camelia, okazał się doskonałym kucharzem, przygotował bowiem koguta w winie z fasolką - palce lizać. Wino, oczy wiście francuskie, uderzało do głowy, a kiedy ich gospodarz zrobił aluzję do jego ceny, Juliette o mało się nie zakrztusiła.

Anthony najwyraźniej lubił rozmawiać o sobie samym, o swoim powodzeniu i o tym, jak jego rodzinie udało się wejść na szczyt i utrzymać na nim już wiele pokoleń temu, co pozwalało przypuszczać, że talent finansowy był

przekazywany w tej rodzinie wraz z genami. Dużo opowiadał o swojej ojczyźnie, chwalał pejzaże i bogactwo kulturalne, lecz krytykując niekompetencję polityków i silnie konserwatywną mentalność narodu francuskiego, co bardzo rozbawiło Juliette. Ta uwaga w ustach arystokraty, który w dążeniu do zwiększenia dochodu swoich fabryk okazał się kapitalistą do szpiku kości, zabrzmiała jak obraza dla tych wszystkich, którzy nie mieli tyle szczęścia, żeby móc panować nad swoim losem.

W miarę jak mijał wieczór, Juliette ujrzała w Anthonym człowieka, który urodził się w czepku w tak zwanej dobrej rodzinie, ale który nie dał się również wyprzedzić rzeczywistości - nie był obrzydliwie próżny ani z pretensjami; wyra-

żał co prawda dumę z tego, że był milionerem pochodzącym z arystokracji, ale nie był przy tym wcale arogancki.

Kiedy na stół wjechał deser, gruszka Belle-Helene, i gdy bariera nieśmiałości została zburzona przez zmęczenie, alkohol i doskonałe jedzenie, Juliette ośmieliła się zadać bardziej osobiste pytanie.

- Proszę mi wybaczyć moją ciekawość, ale czy pan mieszka sam w tym ogromnym domu?

Anthony jedną ręką sięgnął po kryształowy kieliszek, a drugą wziął serwetkę i otarł delikatnie usta.

- Jeśli jest to pytanie o to, czy jestem żonaty, to odpowiedź brzmi „nie”: jestem wdowcem. Ale nie mieszkam tu sam; w zachodnim skrzydle mieszka personel. Dałem po prostu wszystkim wolny wieczór. A pani? Jest pani zaręczona czy coś w tym sensie?

Juliette poczuła, jak czerwienieją jej policzki i zdenerwowała się, że nie umie nad sobą zapanować.

- Nie - odrzekła. - Całkowicie poświęcam się studiom.

- Ach tak, to prawda; przecież Camelia mi mówiła. Studiuje pani psychologię? Czy pani wie, że mam bardzo wpływowych przyjaciół na uniwersytetach Johna Hopkinsa i w Georgetown? Mógłbym poprzeć pani kandydaturę, jeśli to panią interesuje.

Juliette przełknęła kawałek gruszki, skrępowana. „Co on chce przez to powiedzieć? - zapytała w myślach. - Czy mnie podrywa, czy tylko tak mi się wydaje?”

Nie wiedząc, co właściwie odpowiedzieć, ograniczyła się do kiwnięcia głową, mając nadzieję, że nic będzie zmuszona do niczego innego.

- Proszę się nie wahać; to byłaby dla mnie prawdziwa przyjemność - ciągnął

Anthony, nie rezygnując.

Zauważywszy skrępowanie przyjaciółki, Camelia przykryła swoją dłońią dłoń Anthony ego.

- Musisz pokazać nam bibliotekę: Juliette uwielbia książki!

- Ach tak? - zdziwił się. - Jestem w takim razie człowiekiem, którego pani potrzeba. Mam ponad pięćdziesiąt dwa tysiące dzieł na każdy temat!

Juliette zauważyła, jak dłoń milionera zamknęła się na dłoni Camelii.

Zawsze się zastanawiała, czy łączyło ich coś bliskiego, ale nigdy nie ośmieliła się zapytać o to przyjaciółki, Camelia była od niego dwadzieścia lat młodsza, ale on miał wciąż pewien urok. Jeśli coś między nimi było, to czy ten urok był tego przyczyną? „To możliwe, że niektóre kobiety mogą pociągać jego wytworne maniery, ale pieniądze są równie kuszące - pomyślała Juliette. - Ale nie; nie w wypadku Camelii. To nie w jej stylu; nie można jej kupić, poza tym przecież sama ma spory majątek od czasu rozvodu”.

Anthony Desaux spojrział głęboko w oczy Camelii, unosząc kieliszek wina do swoich delikatnych warg.

Juliette nie mogła powstrzymać uśmiechu. Tak, z pewnością coś ich łączyło, w ich oczach błyszczy ten chochlik miłosnych wspomnień... Zresztą byłoby to bardzo w stylu

Camelii- - „Nie widzieć wieku, widzieć tylko esencję człowieka... Wtedy ma się z mężczyzny to, co najlepsze”- Powiedzenie to było prawie jej dewizą.

Być może zresztą jego propozycja, żeby poprzeć podanie Juliette o przyjęcie na Uniwersytet Georgetown czy na Uniwersytet Johna Hopkinsa, była zupełnie bezinteresowna: robił to po prostu z sympatii dla Camelii.

- Dobrze, chodźmy zatem do biblioteki! - rzekł Anthony i podniósł się z krzesła.

Pokonali kilka biegów schodów, przeszli kilkoma korytarzami i gospodarz pchnął skrzydło ciężkich drzwi zdobionych złotem. Juliette stanęła jak wryta.

Znaleźli się w okrągłej sali, w której cienie, prześlizgując się między wielkimi regałami, padały z bardzo wysoka. Kilka okien wpuszczało światło wypukłego księżyca do tego królestwa ciemności. Juliette zauważyła jakiś fresk na suficie - osiem metrów powyżej - ale księżyc nie pozwolił jej zobaczyć więcej niż anioła na drzewie i mędrca, który go obserwował. Wszystko to było bardzo w stylu Rafaela. Kroki Anthony'ego Desaux odbiły się od ciężkich czarno-białych kafli posadzki, gdy zmierzał w kierunku stolika, na którym stała mosiężna lampa z zielonym kloszem z początku wieku. Zapalił ją. Odblask rozjaśnił kilkumetrową przestrzeń wokół, nie sięgając zasłony cienia, jaka okrywała gigantyczne drewniane półki uginające się od książek. Juliette popatrzyła na właściciela. Stał pośrodku maleńkiej wysepki świetlnej owiany nimbem tajemnicy.

- Na co czekacie? Wchodźcie! - zawołał do swoich gości, stojących nabożnie w progu.

Jego głos odbił się echem od podłogi i od sufitu, zanim znikł z ponurym pogłosem między półkami biblioteki.

- Jak mówiłem, znajduje się tutaj ponad pięćdziesiąt dwa tysiące woluminów. Półki są wysokie na pięć metrów, a jeśli chciałobyście przejść wszystkimi alejkami tej biblioteki, pokonałybyście dystans ponad pół

kilometra!

Być może na skutek panującej atmosfery albo dlatego, że było już bardzo późno, Juliette zadrżała, słysząc głos gospodarza. Bardziej niż w kościele czy w gabinecie uczonego, cisza wydawała się tutaj należeć do rytuału, którego nie należało profanować. Mimo to udało jej się otworzyć usta.

- To niesamowite - przyznała.

Jej słowa pofrunęły echem w górę.

- Ale niech mi pan powie: jak się panu udaje znaleźć książki w tych ciemnościach? Nie przychodzi pan tu chyba z latarką?

Uwaga ta spodobała się Anthonyemu, którego twarz zajaśniała radością.

Chwycił leżącego gdzieś pilota i nacisnął guzik. Natychmiast zapaliły się dziesiątki lampek przymocowanych nad półkami. Nie było ich zbyt wiele, pozwalały głównie odczytać tytuły; okrągły pokój nadal był pogrążony w cieniu.

Juliette weszła w jedną z alejek, spoglądając na skórzane okładki. Przemieszczała się od jednej do drugiej wysepki świetlnej. Nie wierzyła własnym oczom. „To jest tak wielkie i tak... piękne, i przerażające zarazem” -

pomyślała. Część książek stojących na półkach bezwstydnie wystawiało swoje sekrety na spojrzenia ciekawskich, inne chowały się w głębokim cieniu.

Nagle Juliette stanęła w miejscu, zatrzymana przez kobietę o pustych oczodołach.

Uff! To tylko popiersie na cokole. Odzyskała oddech. Odwracając się, zauważyła inne rzeźby, głównie kobiet, wszystkie jakby trochę cofnięte i ukryte. Ktoś specjalnie je usunął, żeby zlały się z innymi meblami, a nie stały tam jako osobne dzieła sztuki.

Donośny głos milionera wyrwał ją z zamyślenia.

- Co chciałaby pani przeczytać, Juliette? Historię renesansu widzianą oczami pisarza współczesnego Leonardowi da Vinci? Egzemplarz Jankesa na dworze króla Artura Twaina sygnowany przez autora? Wiem! Oryginalne wydanie teorii Freuda! Albo może chce pani obejrzeć jakiś antyczny traktat o czarnoksięstwie?

- O czarnoksięstwie? Ma pan książki dotyczące czarnej magii? - zapytała Juliette.

Anthony zatarł ręce i jego głęboki śmiech wystrzelił aż pod kopułę.

- Jak najbardziej! - powiedział bardzo dumny z tego, że udało mu się zaskoczyć audytorium. - Moja biblioteka ezoteryczna jest zapewne najbogatsza w kraju!

- Ale chodzi mi głównie o książki o czarnej magii. Camelia popatrzyła na Juliette. Dlaczego nagle stała się

taka tajemnicza? Zwykle był to temat, który setnie ją nudził. Sama mówiła, że żadna koleżanka nie namówiła jej nigdy na udział w seansie spirytystycznym ani że jako nastolatka nigdy nie wierzyła w andrzejkowe wróżby: zawsze uważała to za „romantyczne bzdury”.

- Doskonale! - wykrzyknął Anthony. - Ale to jest terytorium, na które nie można wkraczać naiwnie, moja droga. Mogę zapytać, dlaczego to panią interesuje?

Jego oczy błyszczały jakby chorobliwą, niszczycielską radością.

- Prosta ciekawość - skłamała Juliette. - Zawsze pociągały mnie te stare czarodziejskie księgi i muszę przyznać, że sprawy okultyzmu trochę mnie pasjonują - dodała z wymuszonym uśmiechem.

Anthony podniósł jedną brew: Juliette obudziła jego ciekawość. Camelia asystowała przy tej scenie, zaskoczona niecodziennym zachowaniem Juliette.

- W takim razie pozwól pani, że zaprowadzę ją do serca mojej biblioteki; do otchłani wiedzy przeklętej. Jestem pewien, że to się pani spodoba...

Zagłębił się w alejkę z wielkimi półkami z boku i zatrzymał się w jakimś ciemnym kącie. Tam popatrzył na Camelię i Juliette, które obserwowały go z oddalenia. Zrobił mały znak dłonią, jakby się z nimi żegnał.

Po czym znikł.

Jak zaczarowany

Znikł na ich oczach.

Anthony Desaux zrealizował najstarsze marzenie człowieka od czasów średniowiecza: być niewidzialnym. Stał w kącie biblioteki i wyparował.

Zupełnie jak bohater powieści H. G. Wellsa czy Marcela Aymé, milioner ulotnił się niczym "przechodzimur".

- Panie Desaux? - wyszeptała Juliette.

- Anthony? - zawtórowała jej Camelia.

Popatrzyły na siebie i wolno poszły w kierunku słabo oświetlonej alejki.

Mijały półki pełne podniszczonych, rzadkich egzemplarzy wielkich ksiąg, czując się jak w jakiejś smętnej dolinie wiedzy.

- Anthony! - zawołała Camelia.

Juliette szła krok za nią. Miała właśnie znów zawołać milionera, kiedy poczuła na ramieniu czyjąś dłoń i z jej ust zamiast imienia „Anthony”

wydobył się okrzyk strachu.

- Przykro mi, że panią przestraszyłem, Juliette - powiedział Anthony, nie ukrywając zadowolenia. - To silniejsze ode mnie: twarz przestraszonej kobiety jest czasem równie piękna jak twarz rozradowanej.

- Anthony! Jak się tu, do diabła, znalazłeś?! - wykrzyknęła Camelia, ubawiona sytuacją.

- Ten dom ma mnóstwo sekretnych przejść i niewidocznych drzwi. Nie zauważyłyście mojego zniknięcia, ponieważ te drzwi tutaj są ukryte w cieniu wnęki.

Serce Juliette powoli zwalniało rytm. Przez chwilę myślała, że spoliczkuje tego bałwana! Serdecznie nienawidziła

podobnych niespodzianek. Z pewnością nie należało jej straszyć, jeśli chciało się zdobyć jej sympatię.

- Oj, wydaje mi się, że czym prędzej muszę starać się o przebaczenie -

powiedział Anthony, widząc płomień wściekłości w oczach Juliette. - Proszę, chodźcie za mną.

Doszli do miejsca, w którym Anthony zniknął kilka chwil wcześniej.

Gospodarz wsunął palce pod jedną z półek i natychmiast drewniana, ukryta w cieniu płaszczyzna przesunęła się bezszelestnie w bok. Weszli do drugiego pomieszczenia, dużo mniejszego, ale wyglądającego równie tajemniczo.

Anthony zapalił niewielką lampkę.

Ogromne półki wypełnione magicznymi księgami stały pod ścianami bez okien. Musiało znajdować się tutaj co najmniej dwieście lub trzysta woluminów o różnych rozmiarach - od najbardziej zniszczonych, przytrzymywanych metalowym zamkiem, do nieskalanych, z jeszcze nierozciętymi stronami. Pajęczce sieci, chmury kurzu i zapach starych opraw skórzanych dopełniały atmosfery tego ośmiokątnego pokoju.

Później Juliette odkryła, co stało w centrum pokoju. Pośrodku stał fotel z zardzewiałego metalu. Poręcze wybite stępiałymi gwoździami oraz zardzewiałe łańcuchy nie pozostawiały wątpliwości, do czego służył.

- Nie bójcie się - uprzedził gospodarz. - To narzędzie tortur nie było używane od ponad dwóch wieków.

- Mimo wszystko jest to trochę... denerwujące - powiedziała Juliette, obchodząc fotel dokoła.

- Stara pamiątka rodzinna...

Juliette zrozumiała teraz, dlaczego Camelia opisała swojego przyjaciela milionera jako szczególnego ekscentryka.

- Ale chciała pani zobaczyć księgi o czarnej magii; oto one - zwrócił się Anthony do Juliette, wskazując teatralnym gestem księgi nazywane heretyckimi.

Juliette zaczęła wolno spacerować wzdłuż półek. Tytuły, które czytała, były jej, ogólnie rzecz biorąc, zupełnie obce; nie przypominały niczego, co ewentualnie mogłaby znać. Dae-moniomicum, Unausprechlichen Kulten, Malleus Maleficarum, Liber Ivonis, Magia prawdziwa... Nic z tego nie mogło się jej przydać. Większość z nich nie była nawet po angielsku, ale po łacinie, w języku starofrancuskim, staroniemieckim czy sta-rogreckim. Nie знаła żadnego z tych języków.

Prawda była jednak inna - kiedy Anthony Desaux wymówił słowo

„czarnoksięstwo”, w umyśle Juliette pojawiła się twarz Lelanda Beaumonta.

Brolin powiedział jej, że Le-land straszył kolegów opowieściami o czarnoksięstwie, czarna magia była jego pasją. Miała nadzieję znaleźć jakąś wskazówkę w tej wielkiej okultystycznej kolekcji, ale teraz, kiedy ją oglądała, zobaczyła, że to było niemożliwe. Było tu zbyt dużo książek w wielu nieznanym jej językach, z obcym jej słownictwem, a przede wszystkim nie było czasu, aby je studiować.

- Wyjaśnij mi, proszę, dlaczego masz u siebie w domu takie pomieszczenie?

- zapytała Camelia, w której głosie słyhać było podniecenie.

- Wiesz przecież, jakim jestem miłośnikiem książek, nie myślisz więc chyba, że odmówiłbym sobie kolekcji inkuna-bułów... - przerwał, jakby szukał

właściwego słowa - powiedzmy zakazanych?

- Ale nie przypuszczałam, że pójdziesz tak daleko, żeby ukrywać ją za sekretnymi drzwiami!

Anthony Desaux spojrział z zachwytem na otaczające go książki, zanim wyjaśnił:

- Wszystkie wielkie biblioteki na świecie mają w zbiorach wyklęte książki.

Książki zakazane. British Museum, Biblioteka Narodowa w Paryżu, Biblioteka Watykańska... Zwłaszcza Biblioteka Watykańska - podkreślił z uśmiechem. - I wszystkie ukrywają te kolekcje przed oczami publiczności.

Czy wiecie, jak Francuzi nazywają tajemny pokój, w którym gromadzą wyklęte księgi? Nazywają go „Piekłem”. Uważam, że to mówi samo za siebie.

Niewiele osób z personelu ma zresztą pozwolenie na wejście do „Piekła”; czasem nawet większość nie wie w ogóle, że coś takiego istnieje. Znane biblioteki zwykle zaprzeczają, jakoby miały podobne pomieszczenia, zazdrośnie strzegąc swoich tytułów i pilnując, żeby nikt nie mógł do nich zajrzeć.

- Dlaczego? - zapytała Juliette, nagle naprawdę szczerze zainteresowana okultyzmem.

- Ponieważ wiele z tych ksiąg zawiera sekrety, o których wielu ludzi nie chciałoby słyszeć!

Anthony podniósł bezwiednie głos, podekscytowany

- Istnieją na przykład księgi - ciągnął już spokojniej - które nie przekazują Ewangelii w takiej wersji, jaką znamy. Ukryta na zalatujących pleśnią stronach leży być może prawda na temat naszego świata czy naszego pochodzenia. A jeśli Bóg nie jest tym, za kogo go mamy? Przecież Kościół

kształtował jego obraz całe wieki; całe wieki, kiedy był wszechmocny, kiedy od niego zależało to, co się napisze i przekaże. Być może istnieją jakieś stare teksty, które mówią całą prawdę, a których autorzy nie dali się przekupić papieskiej

czurze, albo inne, jeszcze starsze, których autorami byliby pierwsi skrybowie relacjonujący to, co się działo bardzo dawno temu. Od dwóch tysięcy lat religia miała czas uspokoić świat, podporządkować go swojej woli i narzucić mu takie życie duchowe, jakie chciała. Ale ja wiem, że istnieją teksty relacjonujące prawdziwe tajemnice historii; teksty, które nie zostały zniszczone. Oto dlaczego część książek bywa ukrywana przed ogólnym dostępem.

- Czy pan czytał już jedno z takich dzieł? - zapytała Juliette.

Anthony Desaux przyłożył palec do ust.

- Milczenie jest ceną poznania prawdy.

Juliette przyjęła to za odpowiedź twierdzącą. Wpływowy i bogaty miłośnik takich ksiąg miał z pewnością okazję zwiedzić niejedno „Piekło” świata.

Camelia się nie myliła -to był ekscentryk, ale bardzo interesujący.

- A co zawierają zebrane tu księgi? - zapytała znowu.

- Wiele rzeczy, moja droga. Wszystko zależy od tego, czego pani szuka.

Księgi zgromadzone tutaj dotyczą głównie okultyzmu, ale mam też i takie, które traktują o satanizmie, o wudu... Och, o wielu, wielu sprawach... I o śmierci.

Mówiąc to, położył dłoń na masywnym pulpicie, pochodzącym zapewne z jakiejś świątyni, który stał za fotelem do tortur. Pulpit ten był w całości zdobiony ornamentami, a jego podstawę pokrywały setki rzeźbionych w drewnie pazurów. Na szczycie leżało ogromne tomisko z pergaminową okładką bez tytułu, której jedyną ozdobą była ponura czaszka wytłoczona w skórze.

- Zdaje się, że temat ten nie jest panu zupełnie obcy -zaryzykowała Juliette.

Anthony schował wielkie dłonie do kieszeni spodni.

- Trochę jest mi znany - odpowiedział.

- Mógłby mi pan coś opowiedzieć albo może zna pan jakieś anegdoty, które krążą między miłośnikami tego tematu?

Anthony Desaux roześmiał się głośnym śmiechem, który uniósł się w górę jak machający skrzydłami smok.

- Chce się pani zabawić w ucznia czarnoksiężnika?

- Jak panu mówiłam, trochę mnie interesuje to, co jest związane z...

ezoteryzmem - wyznała Juliette.

Camelia nie wierzyła własnym uszom. Juliette, zwykle tak sceptycznie nastawiona do tych wszystkich historii o wiedźmach i czarnoksiężnikach, nagle użyła całego swojego uroku, żeby ktoś wyjaśnił jej podstawy tych

„nauk”. Camelia wiedziała, że Juliette nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowana romanssem z ich gospodarzem, i nie była tym specjalnie zdziwiona. Ale dziwne było obserwować, jak Juliette wypróbowała na Anthonyem swój zniewalający urok, jak niezauważalnym ruchem wysuwa do przodu swoją okrągłą pierś, a zwłaszcza jak wykorzystuje swój piękny uśmiech, straszliwą broń na każdego mężczyznę, który przypadkiem znalazł

się na jej drodze. Juliette oczarowywała Anthony'ego, aby wyciągnąć z niego to, co chciała usłyszeć.

Camelia nie spodziewała się, że jej przyjaciółka była w ogóle zdolna do takiego zachowania. Ale Anthony'ego, osobnika sprytnego i doświadczonego, trudno było wywieść w pole. Świadomie zabawiał się z nią, spijał oczami to, co mu pokazywano, i udostępniał z wachlarza swojej wiedzy tyle, ile było trzeba, żeby spektakl mógł toczyć się dalej.

- Wielu ludzi traktuje zjawiska paranormalne i nauki okultystyczne z pogardą, a nawet z niesmakiem. Ale żeby panią zaciekawić, proszę pozwolić mi opowiedzieć pewną anegdotę.

Mówiąc to, Anthony zaczął powoli spacerować po pokoju, zwracając się to do Juliette, to do Camelii. Podłoga skrzypiała pod ciężarem jego miarowych kroków, akcentując wypowiedane przez niego zdania ponurymi trzaskami.

- Czy wiedzą panie, co to jest alchemia? To ta dziwna „sztuka”, która pozwala zamienić ołów w złoto. Od dziewiętnastego wieku, czyli od czasu, kiedy Mendelejew opracował układ okresowy pierwiastków, wiemy, że pierwiastek najbli-

szy złotu to właśnie ołów. Oto dlaczego to ołowiu używa się w doświadczeniach w akceleratorze cząsteczek i innych laboratoryjnych przedsięwzięciach, żeby otrzymać złoto. I, może was zadziwię, doświadczenia te się udają! Ale całe techniczne wyposażenie kosztuje tak dużo, że otrzymane złoto nic jest tego warte. Jednak dowodzi to, że można zamienić ołów w złoto: wykazała to „nowoczesna” alchemia. Ale czy mogą mi panie wyjaśnić, w jaki sposób ludzie w dziesiątym wieku wiedzieli, że to z ołowiu, a nie z czegoś innego można otrzymać złoto? W jaki sposób tysiąc lat przed naszym pierwszym doświadczeniem istoty ludzkie mogły odgadnąć, że ołów jest chemicznie pierwiastkiem najbliższym złotu i najbar-dziej odpowiednim, żeby je z niego otrzymać? W czasach, kiedy nie mieli pojęcia o czymś takim jak atomy, mikroskop czy masa atomowa? Bo ci alchemicy nie robili doświadczeń ani z gipsem, ani z krzemieniem, ani z granitem, tylko z ołowiem! Oni to wiedzieli!

- A jak mogli to odgadnąć? - zapytała Juliette, mocno zaintrygowana.

- To właśnie jest podstawowe pytanie! Nie potrafię na nie odpowiedzieć. Bo to właśnie jest okultyzm: mnóstwo tajemnic, niewiele odpowiedzi.

Anegdota Anthony'ego osiągnęła swój cel. Juliette i Ca-melia były zupełnie zniewolone.

Nagle Juliette przypomniała sobie godziny spędzone ostatnio na poszukiwaniach w bibliotece.

- Anthony, zna pan z pewnością Boska Komedie Dantego? - zapytała.

- Oczywiście, któż nie zna?

- Interesuje mnie głównie pierwsza część, Piekło. Z punktu widzenia sztuki poetyckiej jest to rzeczywiście coś wyjątkowego, ale czy z punktu widzenia...

ezoterycznego Boska Komedia ma jakiś sens?

Milioner przesunął dłonią po włosach, wygładzając siwe pasmo, które się niesfornie wysunęło.

- Tak, można powiedzieć, że ma. Dla niektórych specjalistów od okultyzmu Boska Komedie jest po prostu przewodnikiem po tamtym świecie. To może was rozśmieszyć, ale wiedźcie, że są ludzie, którzy myślą, że to jest prawdziwa historia, opowiedziana specjalnie w formie poetyckiej, żeby ją złagodzić i podważyć jej wiarygodność; żeby w czasach, kiedy powstała, nie przysporzyła Dantemu problemów. Jeszcze dziś można znaleźć ludzi, którzy zaświadczą, że pierwsza część tego dzieła to dokładny plan piekła! I dla tych ludzi Boska Komedie jest z pewnością najbardziej kompletną rozprawą i szkicem najbardziej skończonym; słowem - jest Biblią!

Juliette powoli, bezwiednie kiwnęła głową. Znała co najmniej jednego osobnika, który tak myślał. Człowieka, którego nie hamowały przy zabijaniu moralne prawa obowiązujące w społeczeństwie. Który tak był daleki od człowieka, jak bliski był diabłu.

Anthony rozłożył ramiona, niby jakiś mesjasz, stojąc pośrodku prywatnej biblioteki samego szatana.

- A teraz pozwólcie, że opowiem wam o największych mitach okultyzmu i magii.

Gdzieś bardzo daleko, w ogromnym hallu, samotny kurant wielkiego zegara wydzwonił godzinę, uprzedzając, że minęła właśnie dwudziesta trzecia trzydziści.

Pięć opancerzonych furgonetek, trzydziestu czterech ludzi z brygady SWAT

w kombinezonach wykorzystywanych w akcjach interwencyjnych (w kevlarowych kamizelkach kuloodpornych, w kaskach i z pistoletami marki Heckler & Koch MP5) oraz dziewiętnastu policjantów oddelegowanych przez Komendę Główną Policji w Portland otaczało kordonem parking szpitala Shriners i wydziału medycznego. Kilkaset metrów dalej, na terenie starej stacji benzynowej za uniwersytetem, czekał w pogotowiu helikopter z drogówki. Trzy główne wejścia na parking znajdowały się pod stałą obserwacją, aby na polecenie wydane przez radiotelefon można było natychmiast zatarasować furgonetką przejście. Umieszczono również kilkunastu ludzi przy wyjściach ze szpitala, gdyż jeśli sprawy ułożyłyby się źle, podejrzany mógłby się zdecydować na ucieczkę i próbę zniknięcia w zakamarkach szpitalnych korytarzy. Przy tak licznych personelu medycznym nie można było sobie pozwolić na to ryzyko. Gdyby nie zdołano zatrzymać podejrzanego, wyjścia te zostałyby zablokowane przez brygadę SWAT i z parkingu nie można by wówczas w ogóle uciec. Podejrzany wpadłby w pułapkę.

Jedyny problem stanowili ludzie korzystający z parkingu. Miejsce to było bardzo uczęszczane, a nikt nie chciał ryzykować możliwości wzięcia przez podejrzanego zakładników. Nikt, zwłaszcza zaś Brolin, który - tak jak każdy agent FBI - został wyszkolony w technikach negocjacji i był świadom, jak niewiele może zadecydować o ich wyniku.

Akcję przygotowywano w wielkiej dyskrecji. Ludzie z sił porządkowych musieli być niewidzialni, inaczej cały plan

byłby z góry skazany na niepowodzenie. Opancerzone furgonetki należały do agentów ATF * z Seattle i potrzebowały czterech godzin, żeby zjawić się na miejscu. Biuro zaproponowało także pomoc logistyczną i kilku agentów, ale kapitan Chamberlin odmówił pod pretekstem, że z prawnego punktu widzenia nic nie uzasadniało interwencji tych służb. Tak naprawdę Chamberlin chciał uniknąć wysyłania ludzi z ATF w teren; bał się, że nie uda im się zachować całkowitej dyskrecji i że wszystko może się skończyć kompromitującą wpadką.

Furgonetki zostały jednak dostarczone bardzo szybko. Miały tę zaletę, że zupełnie nie rzucały się w oczy, nikt niewtajemniczony nie zdawał więc sobie sprawy, że kilku doświadczonych oficerów służb specjalnych obserwowało parking przez peryskop ukryty w przewodzie wentylacyjnym na dachu samochodu dostawczego firmy wypiekającej pizzę na wynos czy ciężarówkę zakładu energetycznego, przy czym oba samochody nie miały żadnych konkretnych oznaczeń.

Czternastu policjantów patrolowało w cywilu dróżki dojazdowe między rzędami samochodów, co, jeśli brać pod uwagę powierzchnię parkingu, musiało ująć uwagę osób postronnych.

Operacja została zorganizowana w ciągu zaledwie kilku godzin, a miała trwać najwyżej trzydzieści sześć. Dłużej nie było sensu jej ciągnąć: morderca nie ryzykowałby przyjscia po samochód po tak długim czasie. Licząc pilotów helikoptera, zmobilizowano dwie ekipy po pięćdziesięciu dwóch ludzi, które miały zmieniać się cyklicznie. Oprócz nich zaangażowano do „wdrożenia techniki

proaktywnej", jak nazwał tę akcję Brolin, nawiązując do strategii FBI, ponad stu policjantów. Gdyby to wszystko się nie powiod- _____

*ATF (Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms) - organ kontrolujący produkcję i sprzedaż alkoholu, tytoniu, broni palnej i wybuchowej. Agenci ATF mają opinię bardzo brutalnych.

to - biorąc jeszcze pod uwagę publiczną obietnicę schwytania mordercy -

byłaby to dla młodego inspektora klęska

zawodowa.

Brolin już od dwóch godzin siedział w furgonetce stojącej najbliżej samochodu ofiary i bez przerwy myślał o całej akcji. Żołądek ścisnął mu strach, że zapomnieli o jakimś istotnym szczególe. Stojący obok sierżant, szef brygady SWAT, wyciągnął w jego kierunku parujący kubek.

- Kawy, inspektorze?

Brolin potrząsnął głową i komandos wycofał się na tył furgonetki, gdzie siedziało pięciu jego kolegów. Inspektor znów wlepił oczy w peryskop, przeszukując okolice. Zapadła noc; dochodziła dwudziesta czwarta i coraz mniej właścicieli przychodziło po samochody Brolin podczas odprawy z komandosami podkreślił, że podejrzana jest każda osoba, ale należy się skoncentrować na samotnych mężczyznach lub mężczyznach idących w towarzystwie drugiego mężczyzny. Tak długo, jak długo nikt nie podchodził

do obserwowanego samochodu, nie mogli mieć oka na wszystkich. A już na pewno nie w czasie największego ruchu. Ale o północy każdy przechodzień zwracał uwagę.

Brolin dostrzegł osobę, która pojawiła się przy drzwiach prowadzących do szpitala. Przybliżył ją obiektywem, a kiedy przeszła pod latarnią, zobaczył, że jest to pięćdziesięcioletnia kobieta. Kolejny raz zaklął w duchu.

Samochód stał dość daleko od wysokich latarni, właściwie w cieniu. Nie mogli jednak ryzykować i przestawiać wozu, bo morderca mógłby się zorientować.

W słuchawce Brolina coś zatrzeszczało i inspektor usłyszał głos Lloyda Meatsa:

- Josh, wyjście południowe. Samotny facet idzie dość szybko w waszym kierunku.

Brolin skrzył peryskop na lewo i po kilku sekundach zobaczył osobnika, o którego chodziło. Mężczyzna palił papierosa i wielkimi krokami zbliżał się do furgonetki. Potem wyrzucił niedopałek, wsiadł do toyoty i odjechał. Dla czuwającej grupy był to kolejny fałszywy alarm.

- Znów nic z tego - skomentował Salhindro siedzący w jednym z cywilnych aut. - Josh, czy ty naprawdę myślisz, że on przyjdzie?

- Możliwe - odpowiedział Brolin cicho, obserwując parking przez peryskop.

Minuty dłużyły się niemiłosiernie, a wskazówki zegarków sprawiały wrażenie, jakby stały w miejscu. Kwarcowy zegar w furgonetce wskazywał

drugą w nocy. Bardzo długo trwało, zanim druga zmieniła się w trzecią.

Trzecia w nocy - godzina, w której zmęczenie powoduje, że świat dokoła nieruchomieje, a zamarłe życie daje nocy wszelkie prawa, zwłaszcza prawo nękania człowieka.

Już tylko pojedyncze osoby od czasu do czasu pojawiały się na parkingu.

Oficerowie w cywilu, żeby niepotrzebnie nie zwracać uwagi, wrócili do samochodów i czekali w ciemnościach.

Brolin myślał o latach studiów, o okresie przed wstąpieniem do FBI. Był

bardzo pracowity, raczej niechętnie wycho-

dził wieczorem, podczas gdy jego koledzy całe noce spędza-li na imprezach.

Jego jedynym ekscesem - jeśli można tak to

nazwać - był dwuletni związek z dziewczyną, która studiowała nauki polityczne. Ale dla obojga nauka była najważniejsza i gdy ona zdecydowała się wyjechać na dalsze studia do Waszyngtonu, powoli o sobie zapomnieli.

Brolin zastanawiał się teraz, jakie mogły być jej losy, co mogła robić w tej chwili, w środku nocy, kiedy on siedział skulony w furgonetce i kuloodporna kamizelka uwierała go w biodra. Najprawdopodobniej spała, nawet jeśli uwzględnić różnicę czasu między Portland a Wschodnim Wybrzeżem.

Nazywała się Gayle. Była niebrzydka, mimo że niewielu chłopców ją...

- Uwaga wszystkie grupy, mamy mężczyznę, który wszedł pieszo na parking

- rozległ się głos.

Josh natychmiast oprzytomniał.

- Skąd nadchodzi? - spytał.

- Nie wiem; wyszedł spomiędzy drzew. Być może był na terenie uniwersytetu.

- Dobra. Skupiamy się na nim, ale wciąż należy uważać na wszystkich innych - rozkazał Brolin. - Widzę go. Facet średniego wzrostu, ma na głowie kaszkiet, a na sobie coś w rodzaju kurtki puchowej.

- Tak jest.

- Nie spuszcza z niego wzroku. Lloyd, również uważajcie na niego, a reszta niech kontynuuje obserwację terenu. Jest tu jeszcze ponad sto samochodów, nie wolno ich spuszczać z oka.

Mężczyzna szedł szybkim krokiem, trzymając ręce w kieszeniach kurtki. Coś było nie tak. Brolinowi nie podobał się sposób, w jaki człowiek ten cały czas rozglądał się wokół.

- Facet wygląda mi podejrzanie! - oznajmił do mikrofonu przypiętego do kołnierza swetra. - Albo nie czuje się bezpiecznie, albo nie chce, żeby go ktoś zobaczył. Niech helikopter przygotuje się do lotu nad całym terenem.

Mężczyzna znajdował się dwieście metrów od furgonetki Brolina, a więc i od samochodu ofiary Ale szedł prosto i nie wyglądało, żeby miał skręcać w ich kierunku.

- Wygląda na to, że nie idzie w naszym kierunku - skomentował Meats.

- Zgadza się, idzie do szpitala.

Sierżant SWAT-u podszedł z tyłu do Brolina.

- Czy chce pan, żeby moi ludzie go złapali? - zapytał.

- Nie; nie ma żadnego powodu. Może to po prostu ktoś bardzo nerwowy..

Mężczyzna w kaszkiecie nie zwolnił kroku, ale tym razem Brolin zobaczył, że z jego ust dobywa się dym.

- On pali papierosa - powiedział. - Najwyraźniej nie idzie w naszym kierunku; to nie jest chyba nasz podejrzany.

Ledwo Brolin wypowiedział te słowa, mężczyzna wyrzucił niedopałek i nagle skręcił. Skręcił w prawo, w stronę Brolina. W stronę samochodu marki Mercury Capri!

- Cholera! Skręcił. Idzie tutaj. Meats, przygotuj ludzi. Bądźcie gotowi na mój sygnał.

- Tak jest.

Tym razem podejrzany wyjął ręce z kieszeni i trzymał je tak, jakby gotował się do ataku. Przeszedł pod latarnią, czego do tej pory starał się nie robić.

Brolin wpatrywał się w peryskop, ale kaszkiet mężczyzny był nasunięty zbyt głęboko na oczy i było widać tylko podbródek.

- Widziałeś jego twarz? - zapytał natychmiast Salhin-dro, który przyglądał

się wszystkiemu ze stojącego nieco dalej samochodu.

- Nie, wsunął szyję w kołnierz kurtki i zasłania go kaszkiet. Mężczyzna zszedł

z dróżki i wszedł między samochody. Nie było już żadnych wątpliwości -

szedł do samochodu ofiary.

- Chcę go złapać na gorącym uczynku; niech dotknie zamka samochodu, wtedy interweniujemy

Czekający z tyłu furgonetki ludzie z jednostki SWAT zaczęli się przygotowywać: opuścili przyłbice kasków i przy-mierzali się do strzału, chcąc zapewnić sobie najlepszy uchwyt kolby, wyszlifowanej w specjalny diamentowy wzór, żeby dłoń się nie ślizgała. Napięcie rosło, a wraz z nim wzrastał poziom adrenaliny uczestników akcji. Wszyscy wiedzieli, że można być w dużej, świetnie wyszkolonej grupie, nawet jeszcze lepiej uzbrojonej niż ta, a wystarczy drobiazg i ktoś może zginąć, zabity z przyczyny, której nie dało się przewidzieć. Ale lubili swoją pracę. Przyspieszone oddechy, wilgotne dłonie; gotowi byli wyskoczyć przez tylne drzwi prosto w ogień akcji.

Adrenalina rozpuszczała się we krwi, umysł mobilizował się „na teraz” i „na za chwilę”, nie analizował dramatycznych perspektyw przyszłości.

Sierżant spojrzał na Brolina, czekając na sygnał.

Mężczyzna nadchodził z przodu; dzieliło ich od niego nie więcej niż dziesięć metrów.

- Meats, kiedy dam znak, zabezpieczcie tyły, zanim podejdziecie bliżej; nie chcę, żeby mógł schować się za tym szarym kombi albo za lincolnem z przodu. Nie wolno dopuścić do strzelaniny, on może mieć broń. W

najlepszym wypadku po prostu się podda, ale jeśli zacznie uciekać, musimy go osaczyć i, powoli otaczając, zamknąć w potrzasku. Nie strzelamy, dopóki on nie strzeli, zrozumieliście?

- Mam nadzieję, że on nie zamierza strzelać. Jesteśmy gotowi.

Podejrzany przemknął za samochodem kombi, którym tak martwił się Brolin. Był już blisko samochodu ofiary. Na parkingu nie było żywej duszy.

Szczyście im sprzyjało.

Mężczyzna w kaszkiecie zamarł przed drzwiczkami od strony kierowcy.

Przesunął wzrokiem po pustej przestrzeni wokół siebie i wsunął kluczyk do zamka.

- On ma kluczyk! - ryknął Salhindro do mikrofonu, obserwując scenę przez lornetkę. - On ma kluczyk!

Brolin nie przejął się tym ostrzeżeniem. Samochód był zarejestrowany na nazwisko ofiary, a z pewnością żaden jej przyjaciel nie popełniłby nieostrożności przestawienia go w inne miejsce, tak

sobie. To był

morderca i zatrzymał kluczyk na pamiątkę. Jedną z wielu.

- Wezwijcie helikopter - rozkazał Brolin. - Na mój rozkaz: wszystkie oddziały, których to dotyczy, ustawić się na stanowiskach!

Między latarniami rozległ się szczeł metalu; ludzie ze SWAT-u wyskakiwali z ukrycia. Pięciu wybiegło z najbliższej furgonetki, z Brolinem deptającym im po piętach, pięciu z następnej dwadzieścia metrów dalej, za tymi biegł Lloyd Meats. Z innych wozów wysiadło jeszcze ośmiu mężczyzn; wszyscy pobiegli w kierunku samochodu ofiary, żeby dołączyć do dwóch pierwszych grup. Od strony ciemnego nieba dobiegał hałas nadlatującego helikoptera, reflektor błyszczał w powietrzu jak nocne słońce.

Gdy tylko otworzyły się drzwi pierwszych dwóch furgonetek, spięty do granic możliwości człowiek w kaszkiecie rzucił się do tyłu i wskoczył na maskę lincolna.

Brolin starał się przekrzyczeć polecenia, które dawali sobie ludzie ze SWAT-u:

- Nie ruszać się! Jesteś otoczony!

Ale podejrzany stoczył się po masce i znikł. Wszyscy interweniujący uklękli, a ci, którzy mogli to zrobić, schowali się. Kiedy cel znikł im z oczu, nie mogli pobiec za nim na ślepo: złoczyńca mógł w każdej chwili wyskoczyć i wystrzelać w ich kierunku cały magazynek.

Grupa Meatsa podchodziła od tyłu, a jej członkowie, starając się być jak najmniej widoczni, schyleni wyglądali niemal tak, jakby szli na czworaka.

Idący przed Brolinem sierżant SWAT-u dawał polecenia swoim ludziom niemymi sygnałami. Grupa rozbiegła się pewnie, jakby przećwiczyła już ten manewr setki razy; każdy wiedział dokładnie, w jakie miejsce ma pójść i co robić. Chcieli otoczyć cel i wpaść na niego jednocześnie ze wszystkich stron.

Ci z przodu mieli wyskoczyć z tarczami, żeby kryć tych z tyłu, podczas gdy dziesiątki luf prawie dotykałyby twarzy mordercy. Mężczyźni ukryci za słynnymi tarczami zapewniającymi minimum bezpieczeństwa nadbiegali z odległości dziesięciu metrów. Helikopter był prawie nad nimi; gotował się, żeby oślepić podejrzanego w momencie ataku.

Stosunkowo cichą noc rozdarł pierwszy strzał.

Jeden z mężczyzn idących przed Brolinem jęknął i upadł.

Brolin rzucił się na ziemię. Zaczęła się strzelanina. Ponad piętnaście wycelowanych luf wypluło z siebie serie pocisków.

Deszcz łusek spadł na Brolina, kiedy najbliższe komando strzelało do lincolna. Wybuchy dźwięczały jak odgłos młota pneumatycznego i z karoserii samochodu uniosły się w górę serie błysków. Silny

reflektor omiół

plac boju oślepiającą

bielą, gdy pilot podrywał helikopter w górę, żeby uniknąć rykoszetu kul.

Brak wiatru umożliwił wyrzucenie dwóch granatów z gazami łzawiącymi.

Kiedy strzelający opróżnili magazynki, świst kul umilkł i przez chwilę -

potrzebną do ponownego załadowania MP5 - zrobiło się cicho, po czym ludzie ze SWAT-u rzucili się do przodu i dopadli wraku auta tak, jak to robi pająk, zamykający na raz swoje osiem łap.

Tarcze uderzyły o siebie, wymierzono broń, a helikopter zawisł trochę z boku, oświetlając pole działania. Na parkingu zrobiło się jasno jak w letnie popołudnie.

Opadły ostatnie opary gazów łzawiących i przed oczyma wszystkich pojawiło się to, co zostało z wciągniętego w zasadzkę mordercy.

Była to łuska od kuli.

Nic więcej.

Helikopter zawarczał, aż zadrżał krąg białego światła padający na asfalt parkingu.

Była piąta rana Juliette spała dopiero od godziny kiedy obudził ją gong przy drzwiach.

Z trudem otworzyła oczy nie uświadamiając sobie od razu, że gong rozbrzmiał naprawdę. Pomógł jej kolejny „ding--dong”. Serce zaczęło jej bić cztery razy szybciej. Chciała się podnieść, ale krew uderzyła jej do głowy i z powrotem opadła na poduszki.

- Dobrze, dobrze; dajcie mi czas się obudzić - wymamrotała pod nosem, podnosząc się tym razem wolniej.

Nasunęła na siebie szlafrok i cicho zeszła po schodach, nie zapalając światła.

Na progu było wyraźnie widać cień mężczyzny Rozespanie znikło jak z bicza strzelił. Przed oczyma Juliette przesunęły się wydarzenia ostatnich dni: nowe ofiary, „Duch Lelanda”, szalona noc w „Piekle” u Anthony'ego Desaux. A jeśli to był morderca?

Jeśli przychodził, żeby skończyć to, co Leland zaczął rok temu... No nie, przecież przed domem czuwało dwóch policjantów; nie mógłby się tu bezkarnie zbliżyć. Chyba że ich zabił!

Juliette obeszła cicho drzwi wejściowe i spróbowała wyjrzeć na ulicę przez szpary w storach. Samochód musi stać gdzieś przed domem; może ujrzy jakiś ruch, żar papierosa, cokolwiek, co pozwoli jej się upewnić, że policjanci żyją.

Ale story były szczelne, nie można było niczego zobaczyć.

Dzwonek znów zadzwonił. Juliette podskoczyła i niemal krzyknęła, tak głośno zadźwięczał gong w pustym domu. - Juliette? To ja, Joshua -

usłyszała zza drzwi.

„Joshua? O tej porze?” - Nagle zrozumiała, że musiało się stać coś poważnego. „Boże, rodzice!”

Pobiegła do drzwi, odsunęła zamek i otworzyła. Na progu Joshua gotował się do odejścia.

- Co się dzieje?! - wykrzyknęła.

Brolin spojrział na nią; zobaczył jej szlafrok, czarne pasma włosów spadające na szafirowe oczy i jeszcze zaspaną twarz.

- Obudziłem cię?

- Ee... tak; jest piąta rano.

Brolin otarł twarz dłonią, jakby chciał, żeby to, co właśnie powiedział, znikło, a także żeby znikło

wspomnienie całej tej nocy. I ostatnich dziesięciu dni.

- Co się stało? Jakiś wypadek?

Tym razem Juliette przestała się już bać o rodziców, ale zmęczona twarz Broлина zdradzała taką udrękę, że domyśliła się, że chodzi o niego.

Prawdopodobnie w ogóle nie spał. Od dawna zresztą musiał niewiele spać -

kłopoty odbiły się na jego twarzy, a tam, gdzie w zeszłym tygodniu ledwie było widać drobne zmarszczki, teraz widniały głębokie bruzdy. Ru-szał się jakoś niepewnie; nawet przez moment wydało się Juliette, że jest pijany.

Ale nie, nie wypił kropli alkoholu przez cały dzień: był tylko zagubiony.

Zagubiony w gąszczu kłębiących się pod czaszką myśli, zmęczony do granic wyczerpania...

Popatrzył na nią zmęczonymi oczami.

- Tak mi przykro; nie powinienem tu przychodzić. Odwrócił się. Juliette chwyciła go za ramię.

- Obudziłeś mnie, więc zostań. Proszę, wejdź do środka. Pozwolił się prowadzić jak dziecko. Juliette posadziła go

w salonie, a sama poszła włączyć czajnik. Kiedy wróciła, siedział i trzymał się za głowę. Usiadła i objęła go.

- Josh... Co się dzieje?

Popatrzył w stronę kuchni, jakby szukał oparcia w świetle.

- Spieprzyłem wszystko... - przyznał wreszcie. - Zrobił się burdel!

Juliette zmarszczyła brwi, wciąż nie bardzo rozumiejąc, o czym on mówi.

- Mieliśmy szansę go schwytać i prześlizgnął się nam między palcami.

Zrobiliśmy wszystko zbyt szybko; przygotowaliśmy się w kilka godzin i zapomnieliśmy... zapomnieliśmy o jednym szczególe.

Juliette patrzyła na niego skupiona. Chciała pomóc mu mówić, żeby mógł

zrzucić z siebie to, co go męczy.

- Powinienem był to przewidzieć. To było ewidentne; „Życzliwy” nas uprzedzał. A ja zupełnie o tym zapomniałem.

Obrócił głowę ku Juliette.

- Tej nocy zastawiliśmy pułapkę na mordercę i mimo wszystkich przedsięwziętych przez nas środków udało mu się uciec. To się nie miało prawa zdarzyć; byliśmy gotowi złapać mrówkę. Cały teren był bez przerwy patrolowany, mieliśmy pod kontrolą każdy kąt, każde wejście i wyjście, nawet niebo. Wszystko. Wszystko z wyjątkiem jednego.

Z kuchni dobiegł odgłos gotującej się wody

- Strzelił, trafił jednego z naszych i kiedy rzuciliśmy się na niego, znikł! Jak jakiś cholerny czarownik!

Juliette zadrżała.

- Natychmiast poświeciliśmy pod samochodami, które stały dokoła. Nie było nikogo. Teren był otoczony, on nie mógł uciec. Wracając do miejsca, w którym znikł, zrozumiałem. Pomyśleliśmy o wszystkim z wyjątkiem kanałów. Tam, gdzie stał chwilę wcześniej, była kłapa studzienki. Nie wiem, czy wiedział o niej, czy też miał po prostu szczęście; tak czy inaczej miał czas nam uciec. Wysłaliśmy pod ziemię ze trzydziestu ludzi, ale on już znikł.

Uciekł kanałami; tymi samymi kanałami, które wyobrażają piekło w uroje-niach „Życziwego”.

- Jeśli dziennikarze się dowiedzą, rozpęta się prawdziwe tornado -

wyszeptała Juliette znacznie mniej pewnym głosem niż zamierzała.

Od razu zresztą zagryzła wargi. Dlaczego nie udało jej się powiedzieć czegoś, co dodałoby Bralinowi otuchy, zamiast rozdrapywać ranę? Brolin uśmiechnął się niepewnie.

- Nie oglądałaś wczoraj dziennika, co? - zapytał. - Biorąc Spod uwagę to, co zapowiadaliśmy nie odczepią się, dopóki nie złapię tego szaleńca. On jest sprytniejszy od nas.

- Nie mów tak; jestem pewna, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Tak już jest: nie zawsze się wygrywa. Ja ci ufam,

wiem, że go złapiesz. Już trochę cię poznałam Jeśli zostawił jakiś ślad, nawet mało istotny, na pewno go dzięki temu dosięgniesz. Jestem o tym przekonana.

Zmęczonymi oczami Brolin popatrzył na Juliette, Oddałby wszystko, żeby wzięła go w ramiona, żeby mógł się do niej przytulić i zasnąć w kojącym cieple emanującym z jej ciała.

- Jeszcze nie wszystko stracone - powiedział w końcu. -Miał rękawiczki ale znaleźliśmy ten niedopałek, który wyrzucił. To wystarczy, żeby na podstawie śliny zbadać jego

DNA. Ale jeśli on nigdy nie był skazany za morderstwo na tle seksualnym, jego kodu genetycznego nie będzie w kartotekach. Lepszy byłby odcisk palca.

- Kiedy będziesz miał rezultaty?

- Wysłaliśmy niedopałek do pilnego zbadania w laboratorium. Muszą odczytać DNA, porównać z kartoteką... Nie dostanę wyników badań wcześniej niż jutro wieczorem, przepraszam: dziś wieczorem. Najpóźniej jutro.

- Czyli nie wszystko stracone. Akcja nie odbyła się na darmo. A ten ranny policjant, jak się ma?

- Na szczęście w porządku; miał kamizelkę, to go uratowało, a kula była małego kalibru. Ogólnie więcej strachu niż prawdziwego niebezpieczeństwa.

Zakrył twarz rękoma. Juliette nieśmiało wyciągnęła rękę i pogładziła go po włosach.

- Musisz odpocząć. Od jak dawna nie zmrużyłeś oka? Brolin wzruszył

ramionami. Nie miał pojęcia.

- Możesz tu zostać, jeśli chcesz. Zrobisz mi wielką przyjemność. To znaczy, wcale mi nie przeszkadzasz - poprawiła się.

Nie chciała, żeby zauważył, jak bardzo pragnie, żeby został tu z nią na resztę nocy.

- Lepiej wróć do domu; niedługo muszę być na komendzie.

- Jeśli nie prześpisz się trochę, nie będziesz w stanie utrzymać pionu. Nawet Starski i Hutch czasem odpoczywali!

Udało jej się zmusić go do uśmiechu.

- Zaczekaj, przygotuję ci trochę tego naparu, który pijemy jedyni w całym mieście. Wiesz, tego wywaru z suszonych liści, który nazywają herbatą z leśnych owoców.

Brolin kiwnął głową, a jego wargi wypowiedziały bezdźwięcznie „Dzięki”.

Juliette znikła za drzwiami kuchni i zaczęła ustawiać na tacy filiżanki ze spodeczkami. Kiedy wróciła do salonu, zobaczyła, że Brolin złożył głowę na oparciu kanapy. Rysy mu się trochę odprężyły, jakby dusza, zmuszając się do odpoczynku poluzowała napięcie, w którym trzymała ciało Brolin miał

zamknięte oczy i regularny oddech. Po prostu zasnął.

Juliette odstawiła tacę i przykryła go kocem.

Później zgasiła światło w kuchni.

Znad filiżanek z herbatą unosiła się aromatyczna woń naparu.

Światło prawie nie przenika przez grube zasłony w salonie, ale ta odrobina, która się do niego przedostaje, wystarcza, żeby Brolin się obudził. Powieki unoszą się powoli, stopniowo. Mózg zaczyna rejestrować napływające doń informacje. Juliette patrzy na niego wielkimi niebieskimi oczami. Leży na kanapie naprzeciwko i czuwa nad nim jak młoda matka nad noworodkiem.

W jej nieruchomych źrenicach przez chwilę odbija się promień słońca, który prześlizgnął się przez zasłony. Oczy błyszczą jak drogocenne kamienie.

Gdzieś nad nim irytująco bzyczy owad: to w tym momencie jego jedyny towarzysz. W kąciu oka Juliette przysiadła nagle wielka czarna mucha.

Słońce świeci prosto w jej szeroko otwarte oczy, a ona nawet nie mrugnie.

Mucha zaczyna przebierać cienkimi nóżkami niby w jakimś tańcu na różowym ciele Juliette. Obraca się w kółko, szuka czegoś. Brolin czuje, że jego oko, niczym przybliżający obiektyw, kieruje się na muchę, którą teraz widzi dokładnie, w powiększeniu. Owad kurczy swój wilgotny brzuch, gwał-

townie machając skrzydełkami, tył jego korpusu robi się coraz większy i kropla jakiegoś białego płynu wytryskuje z jej odwłoka. Mucha kiwa się przyczepiona do kącika oka; czeka, aż biała substancja zagłębi się w różowe ciało. Triumfująco trze tylnymi łapkami i swoją obrzydliwą trąbką wysysa trochę krwi Juliette, po czym odfruwa.

Juliette się nie rusza, zachowuje olimpijski spokój, pozwala, żeby to wszystko się działo, a przecież wielka mucha zniosła jajka do jej oka, z jajek wkrótce wylęgną się

dziesiątki robaków, które wyjedzą oko aż do nerwu wzrokowego.

Źrenice Juliette patrzą na Brolina nieruchomo.

Brolin nagle zrozumiał. Serce mu pęka.

Wyskakuje z łóżka i odkrywa resztę ciała. Kołdra, która zjechała aż do bioder Juliette, odkrywa jej białą pierś. Długie szkarłatne ślady jak pasiasty wzór rozplývają się po kanapie.

Juliette leży martwa. Rozcięte gardło szczyrzy się demonicznym uśmiechem.

Brolin wyje.

Gorąca dłoń dotyka jego policzka.

- Jestem tu, Josh! To ja, Juliette Śnił ci się jakiś koszmar; to ja, uspokój się!

Otwiera oczy. Oddech ma krótki, ręce mu drżą. Juliette nachyla się nad nim, głowę ma tuż nad jego głową, stara się go uspokoić.

Ona żyje! Jej oczy błyszczą radością, pasją życia; to był

tylko koszmar senny.

Brolin powoli wracał do siebie po doznanym szoku.

- Naprawdę potrzebujesz wypoczynku - rzekła Juliette. - Bez przerwy jęczałeś.

- Przepraszam.

- Nieważne; to obudziło we mnie instynkt macierzyński - mrugnęła do niego okiem.

Widząc kołdrę na kanapie naprzeciw, Brolin zrozumiał, że Juliette nad nim czuwała. Jak w jego koszmarze.

- Nie powinienem cię w to wciągać - powiedział, cały przesiąknięty nastrojem straszliwego snu.

- Teraz już trochę za późno! Jestem już wciągnięta. Morderca naśladuje Lelanda, którego ja jestem ostatnią niedoszłą ofiarą. Nic na to nie poradzisz.

Brolin chciał wstać i zobaczył, że nie ma butów. Juliette musiała mu je zdjąć.

- Jesteś dla mnie jak matka - powiedział.

Juliette znikła w kuchni i wróciła po kilku minutach z tacą pełną jedzenia.

- Ponieważ jest już po jedenastej, przyniosłam ci i śniadanie, i lunch.

Kiedy jedli z apetytem, o który siebie nie podejrzewali, biorąc pod uwagę okoliczności, Juliette zdecydowała, że nadszedł czas podzielić się z Brolinem owocem swoich poszukiwań.

- Wiesz, ja również tej nocy nie traciłam czasu. Tak naprawdę to nawet dowiedziałam się wielu interesujących rzeczy.

- Związanych z twoimi studiami?

- Nie, z Lelandem.

Brolin, który chciał ugryźć kawałek owocu, zamarł z otwartymi ustami.

- Tak, wczoraj byłam na kolacji z Camelią u jej przyjaciela. Ten facet jest specjalistą od okultyzmu. To tym się pasjonował Leland, prawda?

- Tak, tym... - wymamrotał Brolin.

- Pogadałam z nim i on wyłożył mi podstawy czarnej magii. No, w każdym razie teoretycznie. I wiesz co: okazuje się, że Leland nie był wcale taki głupi.

- Rzeczywiście, ktoś nawet kiedyś stwierdził, że mógłby zrobić sporą karierę, gdyby nie był seryjnym mordercą.

- To mnie w ogóle nie dziwi. Podstawy magii i cała ta wiedza jest przechowywana w starych księgach, które niełatwo zrozumieć. Jeśli księgi te są pisane po angielsku - co się rzadko zdarza - to ich język jest zawily, pełen poetyckich metafor, aby więc to wszystko pojąć, tak przynajmniej sądzę, należy poświęcić temu mnóstwo czasu i wnikliwych studiów. Zapytałam Anthony'ego Desaux, czy jest jakaś książka, jakieś kompendium wiedzy; coś, co trzeba koniecznie przeczytać, jeśli chce się uchodzić za specjalistę w tej dziedzinie.

- I?

- Jeśli Leland uważał się za takiego specjalistę, musiał przeczytać Al-Azif.

Wiesz, co to jest? To jest „czarna Biblia”. Bardzo stara księga, napisana ludzką krwią na stronach wykonanych z ludzkiej skóry. Objąśnione są tam wszystkie czary, wszystkie diabelskie inwokacje. A według legendy, ta księga jest palimpsestem.

- Co to jest palimpsest?

- Palimpsest to rękopis, z którego wytarto pierwotnie napisany tekst, żeby zapisać na nim tekst nowy. Mówi się, że w dawnych czasach Al-Azif zawierał

sekrety, które, przy bliższym ich poznaniu, mogły doprowadzić człowieka do szaleństwa. Dlatego wytarto pierwotny tekst i przerobiono go na diabelską biblię. To w roku siedemsetnym naszej ery Abd Al--Hazred miał ukryć pod nowym pismem oryginalny tekst.

- Chciałem cię zapytać, czy ta książka jest łatwa do zdobycia, ale teraz widzę, że jej po prostu nie ma.

- Najprawdopodobniej jej nie ma.

- Najprawdopodobniej? - zainteresował się Brolin.

- Najprawdopodobniej, ponieważ Anthony Desaux myśli, że oryginalny rękopis istnieje, tylko jest gdzieś ukryty.

- Tak czy inaczej, nie jest to książka, którą mógłby przeczytać Leland.

- Tak też pomyślałam, ale później się zastanowiłam. A jeśli Leland znalazł

tekst oryginalny?

- I co jeszcze? Stałby się diabłem, mógłby podróżować w czasie i powróciłby, żeby nas nawiedzać?

- zapytał Bralin ubawiony.

Juliette westchnęła i podniosła oczy do góry, jakby usłyszała najgłupszą rzecz na świecie.

- Oczywiście że nie, ale może usłyszał gdzieś tę historię. A ponieważ jego

„Duch” robi to samo co on, możliwe, że ta osoba dzieli z nim jego pasję.

Mogli się spotkać w jakiejś bibliotece albo w księgarni ezoterycznej, czy ja wiem...

Brolin kiwnął głową twierdząco. Mimo że pomysł był dziwaczny, zasługiwał na uwagę.

- Brawo, Juliette, Składasz się z samych niespodzianek. Juliette schyliła głowę, żeby Brolin nie zauważył jej zakłopotania.

Josh przykrył dłonią jej dłoń. „Jaka ona piękna! - pomyślał. - I taka... taka pełna życia”.

Juliette spojrzała mu w oczy i serce inspektora zaczęło uderzać dwa razy szybciej.

„Taka piękna i taka pełna życia...”

Juliette nachyliła się ku niemu i zadrzała. Ścisnęła dłoń Brolina.

„Palimpsest”.

Ścisnęła mocno, jakby chciała powstrzymać miotające nią gwałtowne, niepohamowane pożądanie.

„To jest rękopis, z którego wytarto tekst pierwotny, żeby napisać inny tekst”.

Juliette pochyliła głowę ku Brolinowi.

Serce skoczyło jej w piersi.

Ale jego już tu nie było. Był w starej ruderze w głębi lasu. Czuł, że miota nim niszczycielska pasja, niekontrolowana potrzeba wyrzucenia z siebie całej nienawiści. Zrealizowania wszystkich rojeń. Ale są przecież rzeczy, których nie można zrobić tak po prostu. Musi przemienić swoją ofiarę: ona nie może być jedynie narzędziem zaspokojenia, musi odegrać swoją rolę. Musi przewieźć jego wiadomość. Wiadomość, którą on później ukryje, żeby nikt nie poznał jego sekretu.

„Ofiara jest jego palimpsestem”.

Brolin zerwał się z krzesła.

- Juliette, przepraszam cię... Ja... muszę iść. Dziewczyna zamarła. „Co się stało? Czy to dlatego, że dotknęłam jego ręki? Niemożliwe, to byłoby zbyt głupie”.

- Co? Co ja zrobiłam? - wydusiła wreszcie.

- To nie ty. Zrozumiałem właśnie, dlaczego Leland i jego duch przypalają czoła ofiar.

- Co? Dlaczego? Dlaczego to robią?

- To jest ich pieczęć. Morderca pisze na czole ofiary tekst, a następnie zalewa go kwasem, żeby znikł.

Brolin był już w salonie i kończył się ubierać.

- Dokąd idziesz? - zapytała Juliette, zaniepokojona tą nagłą zmianą nastroju Josha.

- Idę do kostnicy; postaram się odkryć, co to jest za znak. Znak mordercy.

Znak jego słabości.

Ford mustang wjechał, warcząc w alejkę zarezerwowaną dla karettek pogotowia i karawanów zakładów pogrzebowych. Brolin zaparkował

samochód i wysiadł. Musiał przejść przez cały budynek, zanim znalazł się przed gabinetem Sydney Folstom. Była sobota, musiał się więc liczyć, że pani doktor mogło nie być w pracy, intuicja podpowiadała mu jednak, że nie przyszedł na darmo. Wszystko w doktor Folstom wskazywało, że swój zawód wykonywała z pasją; nie zdziwiłby się specjalnie, gdyby zobaczył, że spędza tutaj część week-endu.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytała siedząca przy komputerze kobieta w beżowym kostiumie. Brolin pokazał odznakę.

- Inspektor Brolin. Szukam doktor Folstom, to bardzo ważne. Czy wie pani może, gdzie ją znaleźć?

- Tak; je lunch w Schiffó, tej restauracji naprzeciwko.

Brolin podziękował i znikł. Kilka minut później wchodził do Schiffó. Lokal był elegancki, choć skromny; na obrusach w biało-czerwona kratkę stały puste butelki po winie pokryte stearyną, która wyglądała jak zastygła żywica.

Brolin niemal od razu zauważył Sydney Folstom. Siedziała przy stoliku w towarzystwie dwóch mężczyzn. Byli w lnianych garniturach, z pewnością szytych na miarę, ponieważ leżały doskonale. Pewnie jacyś lekarze. Lunch pod wezwaniem Hipokratesa, brawo!

Delikatny zapach niezwykle wonnej potrawy podrażnił nozdrza Brolina.

- Doktor Folstom?

Sydney Folstom uniosła głowę znad talerza, a gdy rozpoznała inspektora, twarz jej stężała.

- Co za niespodzianka, panie inspektorze! Czy szedł pan za mną aż tutaj, żeby mnie zaaresztować, czy też znalazł pan kolejne zwłoki?

Brolin skłonił głowę w kierunku dwóch siedzących koło niej mężczyzn.

- Mam do pani pilną sprawę, inaczej, proszę mi wierzyć, nie przerywałbym pani posiłku. Gdzie jest to ciało, które przywieziono pani wczoraj po południu?

- Które? - zapytała ironicznie.

Jej dwaj towarzysze roześmieli się, uznawszy, że to bardzo zabawna uwaga.

- Pani doktor, wie pani dobrze, o czyje zwłoki mi chodzi. Muszę je obejrzeć i bardzo potrzebuję pani pomocy. Jak najszybciej. Teraz.

Nacisk, jaki położył na ostatnie słowa, spowodował, że przy stole ucichły śmiechy.

- Czy nie ma pan litości dla naszych delikatnych zola ków?

Wskazała głową na współbiedników

- Wbrew pozorom nasz lunch jest spotkaniem zawodowym. Przeszkodził

nam pan w ważnych rozmowach. Sekcja zwłok, które pana interesują, została przeprowadzona przeze mnie dziś rano w obecności inspektora Peina. Moje wnioski zostały przesłane faksem i mailem do pańskiego biura.

Nie mam nic więcej do dodania, panie inspektorze. Jeśli mógłby pan nam teraz pozwolić...

- A co pani doktor może mi powiedzieć o śladach poparzenia na czole?

- Tak jak poprzednio - tkanki są zbyt uszkodzone, żeby powiedzieć cokolwiek; mogę tylko stwierdzić, że czoło zostało spalone bardzo silnym kwasem. Proszę zajrzeć do moich wniosków, żeby zapoznać się ze szczegółami.

- Nie widziała tam pani żadnego wzoru, żadnego szczególnego znaku, jakiegoś słowa czy rysunku?

- Panie inspektorze, czy pozwoli mi pan spokojnie skończyć lunch?

Brolina ogarnęła wściekłość. Przecież tu chodzi o sprawy życia i śmierci!

- Pani doktor, albo pójdzie pani ze mną do pani gabinetu i odpowie na moje pytania, albo wezwę prokuratora Gleitha, który z pewnością się ucieszy, że zawraca mu się głowę, żeby zrobił trochę porządku w pani karierze. Co pani woli?

Sydney Folstom rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Inspektorze Brolin, jest pan nudny. I sięgnęła po swoją torbę.

Październik odznaczał się zmienną pogodą: raz dni były wietrzne i deszczowe, to znów przyjemne i spokojne. Sobota zapowiadała się nie najlepiej: na horyzoncie niebo było już jednolitego szarego koloru, co chwila siąpiło, a w miarę jak zbliżało się popołudnie, drzewa szarpał coraz większy wiatr. Z okna w gabinecie doktor Folstom Brolin widział skraj parku Mount Tabor z wygasłym wulkanem. Olbrzymie, sięgające nieba drzewa ugięły się pod wiatrem, jakby matka natura chciała zmusić je do większej pokory.

- Dobrze; jaki ma pan problem, panie inspektorze? - zapytała Sydney Folstom, opadając na wielki skórzany fotel.

- Chciałbym się dowiedzieć...

- Chce pan się dowiedzieć. Przerwał pan mój lunch i zaciągnął mnie pan tutaj właściwie siłą, myślę

więc, że może pan spokojnie pominąć formuły grzecznościowe.

Brolin kiwnął głową, mimo że uwaga wydała mu się zbędna. Była to mało elegancka odzywka.

- Chciałbym wiedzieć, czy można odczytać znak, który morderca zrobił na czole ofiary, zanim spalił je kwasem.

- Nie rozumiem.

- Już wyjaśniam. Myślę, że morderca napisał coś na czole ofiary, jakieś słowo czy symbol. Później, po zabicia jej, zalał wszystko kwasem, żeby nikt nie mógł tego przeczytać.

- Na skórze nic nie znajdziemy. Tkanka jest zupełnie wytrawiona, kauteryzowana. Jeśli jednak morderca potrzebuje aż kwasu, żeby ten znak zniszczyć, to znaczy, że go nie napisał. Gdyby użył flamastra, farby lub czegoś podobnego, mógłby zniszczyć napis bardzo łatwo, nie uciekając się do zastosowania kwasu. Ponieważ zabija białą bronią, można założyć, że wyciął to coś w skórze ofiary. To by wyjaśniło, dlaczego poparzenia sięgają tak głęboko.

- I pewnie powie mi pani, że nie da się już nic odczytać?

- Nie wiadoma. Jeśli ciało się porusza, krawędź narzędzia mogła sięgnąć kości czaszki. Możemy sprawdzić.

Spojrzenie Sydney Folstom zmiękło. Wzięła do ust pastylkę miętową, częstując Brolina.

- Nie wygląda pan najlepiej, inspektorze. Czy źle pan sypia?

Brolin patrzył na nią w milczeniu.

- A zatem, ponieważ jest to takie pilne, może od razu zejdziemy do prosektorium i zajmiemy się tą głową? - powiedziała, podnosząc się z fotela.

- Miałem nadzieję, że pani to powie.

- Z reguły policjanci zmykają, gdzie pieprz rośnie, kiedy to mówię...

Zeszli szybko do podziemi.

Z pomocą jednego z młodych pomocników („tanatolo-gów", jak nazywał ich Brolin) pracujących w kostnicy wyciągnęli ciało Elizabeth Stinger z chłodni.

Gruby, zrobiony czarną nicią szew biegł przez cały tors niczym długi robak, jaśniejsza zaś nitka, częściowo przykryta włosami, przytrzymywała odciętą górę czaszki.

„Musiała być dość ładna" - pomyślał Brolin, patrząc na siną twarz. Podczas sekcji straciła całą krew i jej ciało miało teraz kolor mleka.

Sydney Folstom popchnęła metalowy wózek w kierunku prosektorium, chwytając po drodze długi

skalpel.

- Co pani zamierza zrobić? - zapytał Brolin, wpatrzony w ostrze, od którego odbijały się światła lamp operacyjnych.

- Zamierzam odciąć głowę.

- Co? Tak po prostu odciąć?

Doktor Folstom odpowiedziała stanowczym tonem:

- Prosi mnie pan o szczegółowe badanie. Czego się więc pan spodziewa? Ani rentgen, ani skaner nie wykażą zadrapania kości nożem, jeśli jest ono bardzo delikatne. Rodzina została zresztą uprzedzona, że zwłoki nie nadają się do oglądania. Są w zbyt złym stanie. Już samo czoło...

Mimo że przyzwyczajony do sekcji i innych okropności swojego zawodu, Brolin poczuł, że nogi ma jak z waty

- A jak pani się do tego zabierze?

- Sam pan powiedział, że to jest bardzo pilne. Najszybsza będzie metoda barbarzyńska.

Brolin przełknął ślinę. Przed oczami zaczęły mu przepływać makabryczne obrazy. Zobaczył doktor Folstom ściągającą bez wielkiego trudu skórę z twarzy, jak z dojrzałej pomarańczy za pomocą długiego noża.

- Ugotuję głowę, wystarczy półtorej godziny, i tkanka oddzieli się od kości.

Później wylewa się wywar i... proszę, mamy czaszkę czyściutką i w doskonałym stanie.

Jakkolwiek potworna wydawała się ta metoda, to właśnie uczyniła Sydney Folstom, absolwentka UCLA, członek prestiżowej American Academy of Forensic Science i uznany anatomopatolog.

Kończyło się popołudnie. Wahadłowe drzwi do podziemi smagały powietrze za każdym razem, gdy przejechał

przez nie wózek ze zwłokami. Żadne okno nie schodziło tak nisko; prosektorium było otchłanią ciemności, miejscem zamkniętym, gdzie rozkrawano ciała mężczyzn, kobiet i dzieci tak, jak rozcina się dojrzały owoc. Nie oznaczało to jednak, że pracujący tutaj ludzie byli niewrażliwi, ale każdy mówił to samo: z czasem człowiek się uodparnia. Wszędzie porozcinane, wybebeszone ciała wystawione na widok publiczny. Rozpłatanie istoty ludzkiej, obdarte ze skóry lub pozbawione wnętrza. Fragmenty trzewi leżące tu i tam na stołach do sekcji. Nawet odgłosy wody płynącej z kranów czy silnej wentylacji nie mogły zagłuszyć ponurych dźwięków wibrującej piły rozcinającej kości. Brolin się dusił.

Był przyzwyczajony do widoku rozpłatanego ciała, ale nie lubił patrzeć, jak przy nim manipulowana. Kiedy z kotła, w którym gotowała się głowa Elizabeth Stinger, zaczął wydobywać się zapach mięsa,

Brolin wyszedł niby na papierosa. Doktor Folstom nie wiedziała, że przestał palić. Szukając najbliższych schodów, przez nieuwagę popchnął drzwi do „Puzzli”.

„Puzzle” to wielka ciemna sala, trochę z boku w podziemiu Instytutu Medycyny Sądowej, której cały personel unika jak może. Jest używana - na szczęście - bardzo rzadko i większość czasu stoi pusta. Jest tam zawsze chłodniej niż w innych pomieszczeniach podziemia. Sala ta jest wyposażona w ogromne metalowe stoły i służy do przyjęcia większej liczby zwłok w razie wielkiej katastrofy, gdyby zabrakło chłodni. Nazwa jej pochodzi z czasu, kiedy kilka kilometrów od Portland zdarzyła się katastrofa lotnicza, w wyniku której ciała ofiar były rozerwane na dziesiątki części i trudne do identyfikacji. Wówczas całe godziny spędzano w tej chłodnej sali, starając się ułożyć w jakimś porządku te wielkie ludzkie puzzle.

Brolin słyszał o tej sali i przypadkowe do niej wejście zupełnie wytrąciło go z równowagi. Wbrew sobie wrócił do doktor Folstom.

Ona tymczasem zakończyła pierwszy etap prac. Tkanka była odklejona, a czaszka czysta. Idealnie gładka kość błyszczała od wilgoci.

Sydney Folstom nakierowała na gładziznę między brwiami strumień silnego ukośnego światła, przypatrując się temu miejscu przez silną lupę umocowaną na przegubie, której używała jak monokla. Po kilku minutach dała znak Brolinowi, żeby się zbliżył.

- Proszę, niech pan popatrzy. Tu z przodu widać ślad lekkiego uszkodzenia, prawdopodobnie od krawędzi jakiegoś ostrego przedmiotu. Doskonale pasuje do tego noża, którego użyto przy zabijaniu pierwszej ofiary. Widzę, że mamy do czynienia z miłośnikiem broni obosiecznej.

Brolin nachylił się, żeby spojrzeć przez lupę. Niewiele zobaczył; najwidoczniej trzeba było być ekspertem.

- Niech pan zaczeka, zaraz zrobimy z tego relief. Delikatnie przetarła miejsce szczoteczką ze szklanego

włosa i w maleńkich rowkach osadziła się warstewka proszku węglowego.

Ostre, żywe światło natychmiast odbiło się w delikatnym nacięciu, teraz czarnym, które tworzyło na kości dziwaczny symbol.

- Co to jest? - zapytał Brolin.

- To pan jest policjantem, a nie ja.

- To wygląda jak... jak jakiś pentagram. Czy można by to przerysować?

- Będzie jeszcze lepiej, jeśli zrobię panu bardzo wyraźne zdjęcie aparatem cyfrowym i powiększymy je.

- Pani doktor, jeśli byłem wobec pani zbyt opryskliwy, obiecuję, że to się już nigdy nie powtórzy -

oznajmił zadowolony Brolin.

Doktor Folstom wstała i wzięła do ręki aparat cyfrowy

- To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Ciężkie powietrze prosektorium rozdarł trzask flesza.

- Tak, mam, to nie jest zbyt trudne; drugi semestr zaczął się dopiero niedawno.

Juliette zmieniła pozycję: ostatni kwadrans rozmowy telefonicznej z matką sprawił, że zdrętwiały jej nogi.

- A ta straszna historia mordercy z Portland? Znaleźli jakiś nowy ślad? -

zapytała pani Lafayette.

- Policja ogłosiła wczoraj, że zatrzymają go w najbliższych dniach. Wydają się pewni swoich możliwości

- Rozmawiałam z twoim ojcem i stwierdziliśmy, że będzie lepiej, jeśli weźmiemy kilka dni wolnego i przyjedziemy do Portland. Teraz nie powinnaś być sama.

- Mamusiu, przez ostatnie trzy miesiące byłam zupełnie sama i nic mi się nie stało. Poza tym niedaleko mieszka Ca-melia.

- To nie to samo. Gdybyśmy tam byli, moglibyśmy się tobą zająć, dom nie byłby taki pusty.

- Dobrze już, nie wracajmy do tego! - odezwała się Juliette stanowczo, chcąc jednocześnie, żeby wypadło to ciepło. - Wiem, że tato pracuje nad ważną umową, potrzebuje ciebie w tym momencie i...

- Ale ty również, a twój ojciec doskonale może...

- Przestań, mam. Mam się dobrze. Znasz mnie, umiem sobie dać radę sama; nic się zresztą nie dzieje. Jestem dorosła, mamusiu.

- Tak, wiem. Ale to jest silniejsze ode mnie. Jeśli ciebie nie widzę, zawsze się martwię. Czy przynajmniej masz jakieś towarzystwo w twoim wieku?

Juliette uważała ten rodzaj uwag za niezwykle irytujący, zwłaszcza ze strony matki, która przecież znała ją lepiej niż ktokolwiek. Matka słyszała o Camellii i była zdania, że jako rozwódka Camelia będzie miała negatywny wpływ na jej córkę w sprawach sercowych- Czasem Juliette powstrzymywała się, żeby nie powiedzieć matce, że w tej kwestii to raczej ona hamuje zapał Camellii, ale to nie był temat do dyskusji między matką i córką. W każdym razie nie w ich rodzinie.

- Tak, mam! - skłamała.

- Nie mogę myśleć o tym, że siedzisz sama w domu, podczas gdy po mieście grasuje ten szaleniec. Naprawdę myślę, że powinniśmy przyjechać na kilka dni.

To była ostatnia rzecz, której chciała Juliette. Kochała bardzo rodziców, ale denerwowała ją nadopiekuńczość, drażniła matczyna troskliwość, która raczej ją osłabiała niż pozwalała osiągnąć

dystans konieczny do zmagania się z przeciwnościami losu.

- Mamo, nie trzeba. Macie mnóstwo spraw w Kalifornii, a ja przyjadę przecież na Święto Dziękczynienia. Później będziemy razem dziesięć dni na święta u wuja Flenagana. Zapewniam cię, że wszystko jest dobrze.

Zawahała się, czy powiedzieć matce, że znajduje się pod opieką policji, ale uznała, że to by mogło matkę jeszcze bardziej zdenerwować.

- Dobrze. Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała, proszę, zadzwoń natychmiast; mogę być u ciebie za kilka godzin. Tak sobie myślałam, że może zadzwoniłabyś do inspektora Brolina... Może byłby nawet zadowolony, gdyby się dowiedział, co się z tobą dzieje. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego zerwaliście ze sobą kontakt.

- Och, mammo, życie... Tak bywa. Ale jeśli to cię uspokoi, wiedz, że ostatnio nawet się z nim widuję.

- Naprawdę? Bardzo mnie to cieszy; to niezwykle przyzwoity młody człowiek.

Juliette wiedziała, że matka miała słabość do Josha Bro-lina. Z pewnością nie małą rolę odgrywał tu fakt że uratował życie jej córce, ale to było coś więcej, jakaś duchowa sympatia czy coś w tym stylu. Matce w ogóle nie przeszkadzało, że Brolin jest od córki osiem lat starszy; więcej, Juliette miała przez moment wrażenie, że matka chciałaby, aby się pobrali! Co za historia. Już widziała te tytuły w gazetach: Niedoszła ofiara seryjnego mordercy poślubia swojego wybawiciela!

- Ale powiedz, moja droga: to nie ma nic wspólnego z tą nową serią morderstw, prawda? - zapytała Alice Lafayette.

- Nie... Spotykamy się tak sobie.

- Och, nie mów mi "tak sobie". Tak sobie" nigdy się czło-wiek nie spotyka.

Co się dzieje? Czy on ci się podoba?

- Mamusiu, po pierwsze, to nie jest twoja sprawa... - Przecież nic nie mówię; pytam tylko, co u ciebie słychać.

- No, tak... Muszę kończyć, mam trochę pracy.

- Juliette, dziś jest sobota wieczór; czy nie możesz wyjść spotkać się z przyjaciółmi?

- Zastanowię się.

Rozmowa zakończyła się odwiecznymi żartami na temat głowy rodziny; Teda Lafayette'a.

Juliette poszła na górę, żeby nalać sobie wody do wanny. To była jej wieczorna przyjemność. Kiedy nadchodziły chłody, uwielbiała wejść do wanny i powoli napełniać ją gorącą wodą, ogrzewając się stopniowo. Wlała do wanny buteleczkę pieniącego się płynu do kąpieli i zrzuciła na posadzkę dzinsy

i bluzę od dresu. Wkładając ubrania do kosza z brudną bielizną, pomyślała, że zaraz po kąpieli musi włączyć pralkę.

Wślizgnęła się do wanny i zamknęła oczy, poddając się płynnej fali ciepła, która powoli rozgrzewała jej skostniałe stopy.

Gdzieś w oddali zadzwonił telefon.

- Cholera!

Może to było ważne? A może matka po prostu zapomniała jej o czymś powiedzieć. Telefon dzwonił i dzwonił. Juliette owinięła się ręcznikiem i poszła odebrać.

- Juliette? Tu Joshua.

- Ach! Przepraszam cię, że tak długo nie odbierałam! „Co za idiotka ze mnie.

Może mu jeszcze powiedzieć,

jaka jest pogoda!" - pomyślała. Ale nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Posłuchaj. Potrzebuję twojej pomocy, a raczej pomocy twojego przyjaciela.

- Słucham cię.

- Czy myślisz, że ten kolekcjoner okultystycznych książek, o którym mi opowiadałaś, zgodziłby się ze mną spotkać?

- To znaczy... Chyba tak, czemu nie? A czego od niego chcesz?

- Chciałbym mu pokazać pewien symbol, rysunek ezoteryczny, żeby mi wyjaśnił, co on oznacza.

- Czy to dla śledztwa? Brolin przytaknął.

Zbyt zadowolona z tego, że może okazać się pomocna, Juliette nie rozwinęła tematu romantycznej przyjaźni, która ostatnio nawiązała się między nią a Anthonyem Desaux.

- Pozwól mi się ubrać i zaraz do niego zadzwonię.

- Pewnie ci przeszkadzam? - zapytał Brolin, nagle zażenowany.

- Nie, dlaczego? Ach, tak. Właśnie się kąpałam. Już do niego dzwonię.

Przyjedź do mnie za godzinę.

Z drugiej strony słuchawki dało się wyczuć wahanie.

- Nie chciałbym zabierać ci czasu, Juliette, a poza tym to dotyczy śledztwa; lepiej by było, gdybym

tam poszedł sam.

- Anthony Desaux jest człowiekiem szczególnym; będzie wolał, żebym z tobą przyszła. A poza tym jego biblioteka jest ogromna, ja już ją trochę poznałam, dzięki mnie będziesz mógł więc zaoszczędzić czas, gdybyś...

Brolin szybko ustąpił. W końcu - co to szkodziło, a z Ju-liette będzie mu dużo przyjemniej, zwłaszcza że czekał go prawdopodobnie nudny wieczór w towarzystwie starszego przemądrzałego egocentryka.

Umówili się na ósmą.

Zaparkowawszy przed domem Juliette, Brolin szybko podszedł do kolegów w samochodzie, żeby ich uprzedzić, że na kilka godzin on przejmuje opiekę nad panną Lafayette. Zajęło mu to nie więcej niż dwie minuty, ale tak lało, że kiedy wrócił do swojego mustanga, był zupełnie przemoczony; woda spływała mu nawet po plecach.

Juliette biegiem pokonała dystans między gankiem domu a samochodem Brolina.

- Co za pogoda! - wykrzyknęła. - To gorsze niż pora deszczowa w Tajlandii!

- Słyszałem, że to piękny kraj. Byłaś w Tajlandii?

- Nie - przyznała, trochę zakłopotana. - Anthonyemu Desaux było bardzo przykro, ale nie ma go dziś wieczór. Ważna kolacja z członkami zarządu jednej z jego spółek.

Brolin, który właśnie miał uruchomić silnik, zdjął dłoń z kluczyka.

- Ale oczekuje nas jego majordomus Paul - podjęła Ju-liette. - Biblioteka jest do naszej dyspozycji. Anthony powiedział mi, że nie jest specjalistą od rysunków kabalistycznych, i obiecał, że wyciągnie kilka dzieł na ten temat.

- Ogólnie rzecz biorąc, to i tak nieźle. - I przygotował nam kanapki.

Wycieraczki przesuwwały się po przedniej szybie, a rozmazane krople zmieniały ją w szkła krótkowidza.

- Co ja bym bez ciebie zrobił?

Juliette wzruszyła ramionami. Wiedziała, ale nie śmiała podzielić się z nim swoimi sugestiami...

Neogotycka architektura zamku Desaux wyglądała w deszczu jak ilustracja do ponurej wróżby. Między drzewami parku w świetle błyskawic było widać szarą ścianę ulewy, spadającej z nieba na wielką budowlę i wszystko, co poza nią. Świat, zatopiony w wilgotnej czerni, co chwila straszyl wyłaniającym się nagle, ponurym i gęstym jak chmura popiołu murem wody.

Mimo że Paul - krzepki czterdziestolatek w nienagannie skrojonym garniturze - czekał na „gości pana” z parasolem, Brolin i Juliette, znalazłszy się wreszcie w hallu, byli zupełnie przemoczeni.

Paul poprowadził ich w kierunku wielkiej rotundy, w której mieściła się biblioteka. Kiedy pchnął drzwi wejściowe, Juliette ponownie odczuła tajemniczą, mistyczną atmosferę tego miejsca. Długie półki oświetlono na ich przyjście, ale burza, gwałtowne powiewy wiatru i deszcz uderzający o szyby wraz z powtarzającymi się błyskawicami nadawały tej scenerii niesamowity nastrój, którego Juliette nie wyczuła podczas pierwszej wizyty.

Podniosła głowę, licząc, że tym razem zobaczy wyraźniej fresk na suficie, ale nadzieja okazała się płonna.

- Pan Desaux zostawił państwu kilka książek na dużym stole - oznajmił

majordomus.

Kilka książek okazało się trzydziestoma starymi księgami spoczywającymi obok lampy z zielonym kloszem.

- Jeśli państwo będą czegoś potrzebować, jestem w kuchni, na końcu korytarza.

Skinął głową i cicho odszedł.

Juliette spojrzała na stertę książek. Z pewnością stanowiły część kolekcji gospodarza, pochodziły z jego osobistego „Piekła”. Paul nic nie powiedział o ukrytej komnacie. Juliette zastanowiła się, czy nie dawał jej w ten sposób do zrozumienia, że oczekiwano od niej dyskrecji. W końcu Anthony Desaux może nie życzyć sobie, aby wszyscy znali jego sekrety, a już z pewnością nie inspektor z wydziału dochodzeniowo-śledczego.

- Od czego tu zacząć? - zapytał niepewnie Brolin. - To ty masz doświadczenie w zbieraniu materiałów źródłowych!

- Zaczynamy od przeglądania stron tytułowych i spisów zawartości, sprawdzając wszystko, co może mieć związek z rysunkami czy symbolami okultystycznymi. A właściwie, jak wygląda ten rysunek?

Brolin pokazał jej powiększenie Na laserowym wydruku, który trzymał w dłoni, było widać tylko czoło i górną część oczodołów, foramen supraorbitae, jak określiła to doktor Fol-stom. Pośrodku biegła cieniutka czarna kreska rysunku kabalistycznego. Rodzaj pentagramu.

- To dziwne... Wygląda jak jakaś satanistyczna gwiazda czy coś w tym rodzaju. Gdzie to było?

- Ech... Na czole ofiary

Nie miał ochoty jej okłamywać.

- Na czole? Ale to wygląda raczej jak... O Boże! Juliette przyłożyła dłoń do ust, wstrzymując oddech.

Szybko wyrzuciła z myśli obrzydliwe obrazy, które się tam zbierały.

- Dobrze, zabierajmy się do roboty. Czeka nas kilka godzin przeglądania tych ksiąg; lepiej nie tracić czasu.

Brolin kiwnął głową. Lubił zapał Juliette i tę energię, która nie opuszczała jej nawet w najtrudniejszych chwilach.

Craig Nova krzątał się energicznie wśród elektronicznych urządzeń laboratorium kryminalistycznego.

Dowiedział się o okrutnej porażce przy wdrożeniu słynnej techniki proaktywnej Broлина. Bardzo go to zasmuciło. Nie tylko dlatego, że morderca wciąż był na wolności, ale także ze względu na Broлина, który miał

odpokutować za tę przegraną. Mimo sceptycyzmu wielu osób zasadzka się udała i morderca połknął haczyk. Tak zresztą wyraził się w rozmowie z Brolinem kapitan Chamberlin - to nie była osobista klęska inspektora, ale porażka grupy interwencyjnej. Nikt się jednak nie dał oszukać. Wkrótce trzeba będzie się tłumaczyć i prasie, i burmistrzowi, i prokuratorowi okręgowemu, a jeśli trzeba będzie znaleźć winnego, to pod pręgierz opinii publicznej dostanie się Brolin, bo dla społeczeństwa, czyli przysłych wyborców, bez problemu można było poświęcić kilka karier. Przynajmniej tak uważali ci, którzy rządzą światem - w tym wypadku przede wszystkim władze Portland.

Na miejscu akcji była setka uzbrojonych i świetnie wyszkolonych mężczyzn, a jednak „Duch Lelanda” rozpląnął się na oczach wszystkich. Całą tę akcję można by uznać za katastrofę, gdyby nie przyniosła choć drobnej informacji o mordercy. Tę informację miał w tej chwili Craig Nova.

W jego rękach znajdowała się teraz przyszłość Josha Bro-lina.

Craig dopiął białą bluzę i podniósł plastikową saszetkę, w której kilka minut wcześniej znajdowała się ostatnia szansa na znalezienie śladu mordercy.

Dziwnie się czuł, widząc, że od zawartości głupiej saszetki mogła zależeć czyjaś kariera zawodowa.

Niedopałek, który „Duch” wyrzucił na parkingu, mógł, być może, zdradzić jego tożsamość. Brolin mówił, że niedojrzałość seksualna i barbarzyńskie okrucieństwo mordercy przy jednoczesnym braku penetracji świadczą o jego prawdopodobnej przeszłości kryminalnej. Z pewnością osobnik ten musiał być nie raz skazany za obrazę moralności ekshibicjonizm, a może nawet za próbę gwałtu. Możliwe, że jego DNA znajdowało się w banku danych przestępców seksualnych.

Molekuły kwasu dezoksyrybonukleinowego - niebywały łańcuch zakodowanych informacji genetycznych - znaj-dują się w jądrach wszystkich ludzkich komórek Wystarczy kawałek włosa, kropla krwi, śliny czy spermy, i już można wydobyć z komórki kod DNA. Jest on unikalny dla każdego człowieka i określa to wszystko, czym dana osoba ma być. To rodzaj biologicznej listy obciążeń, bo można z niej odczytać kolor włosów danego osobnika, kolor jego oczu, ale również jego wzrost i budowę... Ten długi ciąg nukleotydów jest więc w pewnym sensie naszym biologicznym dowodem osobistym.

Craigowi pozostawało wydobyć DNA zawarte w komórkach nabłonkowych i leukocytach obecnych w ślinie, którą nasiąknięty był niedopałek, i sprawa była załatwiona.

Ilość śliny, którą miał do dyspozycji, była niewielka. Aby powiększyć wyizolowane sekwencje, Craig zastosował metodę PCR, która ma jednak tę wadę, że uwzględnia i przemna-ża wszystko, w

tym ewentualne substancje obce. Jeśli więc badane DNA jest skażone przez zewnętrzne źródło, rezultaty mogą być wypaczone, dlatego trzeba pracować w środowisku sterylnym, w masce, rękawiczkach i fartuchu. Metoda PCR pozwala za to badać śladowe ilości substancji, mniejsze nawet niż jedna miliardowa grama DNA.

Craig Nova miał w zwyczaju, kiedy wykładał oficerom policji podstawy metod, jakie mieli do dyspozycji, wyjaśniać,

co właściwie oznacza miliard, ta teoretyczna liczba, której wartości sobie nie uświadamiamy, poza tym, że kojarzy się ona z czymś bardzo, bardzo wielkim. Pytał swoich studentów, ile czasu, według nich, potrzebuje człowiek, żeby policzyć do miliarda.

Odpowiedzi wyraźnie dowodziły, że ludzie nie mają większego pojęcia o tej liczbie z dziewięcioma zerami, gdyż wymieniane wartości wynosiły od dwóch dni do sześciu miesięcy, czasem nawet do jednego roku.

Rzadko kto podawał dobrą odpowiedź, tę, która wywołuje zawrót głowy.

Jeśli ktoś zacząłby liczyć do miliarda, spędziłby na tym prawie połowę swojego życia, czyli trzydzieści trzy lata. Przeważnie Craig powtarzał

wówczas swoje wyjaśnienia dotyczące metody PCR i możliwości jej zastosowania nawet na jednej miliardowej grama danej substancji, a wtedy wszyscy studenci wpadali w prawdziwą ekstazę, podczas gdy pięć minut wcześniej te same dane nie wzruszały ich bardziej niż zeszłoroczny śnieg.

Teraz byli już całkowicie pew-ni, że złoczyńca nie ma żadnej szansy ucieczki.

Craig Nova, policyjny ekspert od drobin, umieścił próbkę badanej substancji w specjalnych obracających się cylindrach które miały działać trzy godziny, do momentu, w którym ilość DNA powiększy się o milion. Następnie poddał

otrzymane DNA elektoroforezie w żelu z poliakrylamidów aby wyszczególnić repetycje podstawowych sekwencji w każdej frakcji. Tych krótkich sekwencji są setki, każda jest inna, wystarczy więc przebadać kilka różnych (zwykle tuzin pozwala zdobyć pewność), aby stwierdzić, że dana sekwencja jest jedyna i według niej określić cechy poszukiwanego osobnika.

W pomieszczeniu, które wypełniało czerwone światło i elektryczny błękit urządzeń, wciąż słychać było bipery i kliknięcia aparatury pomiarowej.

Jeszcze kilka godzin i dane przekształcą się w ciąg sześćdziesięciu cyfr. Ten cyfrowy kod zostanie wprowadzony do komputera i rozpocznie się długi cykl wyszukiwania w danych informatycznych. Jeśli gdziekolwiek na terytorium Stanów Zjednoczonych do ogromnej komputerowej listy kryminalistów wprowadzono dane genetyczne poszukiwanego przez Broлина osobnika, wynik będzie jeden.

Craig nacisnął czerwony przycisk i rozległ się cichy szum włączonego wentylatora.

Identyfikacja mordercy była już może tylko kwestią godzin.

50

Grzmoty dudniły, przywołując na myśl ryk gigantycznego drapieżnika. Było już dość późno i przy stosunkowo słabym świetle w bibliotece trudno było zachować świeżość umysłu. Wiele razy Brolin łapał się na tym, że mylił

czytane linijki i z opóźnieniem zauważał, że powieki opadają mu jak żaluzje zamykanego sklepu. Juliette miała w sobie prawdziwie studencką energię: rodzaj ekscytacji, która ogarnia badacza, gdy widzi, że stopniowo zbierane informacje zaczynają układać się w sensowny wzór. Do tej pory nic jeszcze nie znalazła, ale jej ciało i duszę opanowała gorączka mola książkowego.

Przeoglądane strony uciekały, przerzucane jej zręcznymi palcami. Czytała łapczywie, spijając litery tak jak spragniony człowiek pochłania krople wody.

Zegar w hallu wydzwonił pierwszą w nocy. Brolin przeciągnął się w fotelu, aż strzyknęło mu w stawach, a dźwięk ten rozniósł się echem w ogromnej rotundzie.

- Czy coś znalazłaś? - spytał, zduszając ziewnięcie.

- Na razie nic - odrzekła Juliette. - Ale jestem pewna, że nasza odpowiedź

znajduje się w którejś z tych starych ksiąg! Leżą przed nami najbardziej kompletne źródła, są w nich opisane podstawy czarnej magii. Ten ezoteryczny motyw musi tu gdzieś być!

- Tego właśnie się boję - że się pomyliłem i że on rysuje po prostu własne wymysły.

- Nie jestem specjalistką, ale ten jego symbol w niczym nie przypomina wytworu chorego umysłu. Przeciwnie - wygląda na wynik poważnych poszukiwań; na coś wybranego specjalnie w konkretnym celu.

- W celu napędzenia strachu! - wykrzyknął Brolin. - Biorąc pod uwagę okoliczności, nie widziałem czegoś bardziej złowieszczego.

Zamknął wielką księgę leżącą przed nim. Okładka, opadając, wzniosła chmurę kurzu.

- Nie mogę dłużej tak siedzieć; muszę się ruszyć. Nie wiem, jak ty to robisz, ale myślę, że ja po prostu musiałem stracić już tę cierpliwość do czytania, która pozwalała mi siedzieć z nosem w książce przez cztery godziny bez przerwy.

- To jest choroba studencka. Ale masz rację: trzeba robić przerwy, żeby zachować zmysł krytyczny w nietkniętym stanie.

Brolin zaczął spacerować po bibliotece, z rękami w kieszeniach podziwiając rzeźby, które stały na półkach, Juliette patrzyła na niego, czerpiąc z tego niespodziewaną przyjemność. Po chwili podeszła do niego.

- Czy wierzysz w bajki? - zapytała.

- Nie czytałem już bajek od... od lat!

- Stój tu i nie ruszaj się.

Odeszła ku ukrytej w cieniu podwójnej framudze. Zaczęła macać dłonią ścianę, szukając mechanizmu, którego użył Anthony Desaux, kiedy odwiedziły go z Camelią, i znalazłszy go, nacisnęła przycisk. Tak jak poprzednio gospodarz, ona także znikła.

Brolin uważał to za bardzo zabawne, ale uśmiech zamarł mu na twarzy, kiedy wszedł za nią do ukrytego pokoju. Mimo włączonej maleńkiej lampki panowały tu właściwie ciemności. Z pajęczynami i fotelem do tortur pośrodku, pomieszczenie nie rozpraszało ewentualnych obaw. Stare książki na półkach wzbudzały rodzaj szacunku zmieszanego ze strachem. Nagle, jakby wbrew sobie, odczuwało się tutaj dziwny respekt.

- Co to za miejsce! Trzeba być szalonym, żeby mieć coś takiego u siebie w domu! - zdumiał się Brolin.

- Uważam, że to pomieszczenie ma swój urok: panuje tu atmosfera erudycji i tajemnicy.

Juliette szła wolnym krokiem wzdłuż wysokich półek, które zamykały ośmioboczną przestrzeń „Piekła”. Głowę miała podniesioną do góry; nie zauważyła nogi od fotela w kształcie łapy lwa i potknęła się o nią. Straciła równowagę, a Brolin, który stał niedaleko, rzucił się, żeby ją przytrzymać.

Juliette wpadła prosto w jego ramiona.

Chciał ją zapytać, czy wszystko w porządku, i nagle spojrzał w jej szmaragdowe oczy. Serce zaczęło bić mu szybciej.

Kiedy Juliette upadała, Brolin chwycił ją za rękę, żeby ją podtrzymać. Teraz zobaczył, że wciąż ściska jej dłoń w swojej. Juliette opierała się o niego, a jej pełne różowe usta przyciągały go do siebie jak magnes metalową kulę.

Nie wiedział, co ma robić. Coś kazało mu nie zastanawiać się, pójść za głosem serca i ciała, a przecież odczuwał strach. Tak, strach. Bał się, że Juliette tak naprawdę nie czuje do niego nic głębokiego, że to tylko pozostałości szoku z okresu, kiedy została porwana. Mogła go wciąż positrzegać jako wy-bawiciela, wobec którego ma dług wdzięczności, bez którego nie umie normalnie żyć. Brolin bał się, że ona nie pragnie go jako kochanka, jako przyjaciela, tylko że podświadomie nie chce oderwać się od swojego opiekuna. A jeśli tak, to fałszywe przywiązanie nigdy nie zmieni się w miłość.

- Wiem, o czym myślisz - szepnęła Juliette. Poczul mocniejszy uścisk jej dłoni.

- Nie wiem, czy to jest... - zaczął, ale Juliette przyłożyła mu palec do ust.

Zbliżyła twarz do jego twarzy i kiedy dzieliło już ich tylko kilka centymetrów, Brolin przysunął się

do niej. Dotknął wargami jej ciepłych ust, najpierw lekko, później mocniej, i kiedy poczuł aksamit jej języka, oboje opanowało pragnienie stopienia się w jedno; przytulili się więc do siebie w tej zakurzonej sali najmocniej jak mogli, delikatnie dotykając się dłońmi.

Nie, dla Juliette nie miało to nic wspólnego ze sprawą porwania. Nic w jej gestach ani namiętności nie było wynikiem podświadomej chęci wyjścia z szoku. Juliette brała życie pełną garścią; swoim zachowaniem dała dowód, jak bardzo chce zapomnieć o traumatycznej przeszłości. Miała silną osobowość, poradziła sobie z problemami psychicznymi. Brolin był teraz całkowicie pewien, że oboje pragnęli siebie całkowicie i szczerze.

W miarę jak wzajemne pragnienie rosło, ich ruchy stawały się coraz pewniejsze i po chwili zapomnieli o wszystkim w erotycznym zapale.

Zapomnieli, dlaczego tu się znaleźli; zapomnieli o strasznym mordercy grasującym w okolicach; zapomnieli o nieporozumieniach, a nawet o tym, w jak niestosownym do uprawiania miłości miejscu się znajdują - wszystko to znikło we wzajemnym pragnieniu stopienia się w jedno.

Bluzka Juliette rozchyliła się, ukazując granatowy stanik, i Brolin schylił

głowę, żeby dotknąć ustami napiętej skóry Juliette przywarła do niego, przesuwając dłońmi po jego ciele;

Ogień rozkoszy pochłonał ich do tego stopnia, że mimowolnie opadli na fotel królujący pośrodku komnaty.

Na to prawdziwe narzędzie średniowiecznych tortur.

W zapamiętaniu Juliette skaleczyła się w bok o ostry stalowy szpikulec, ale z jej ust nie wydobył się żaden protest, żaden jęk. Spleceni ciałami kochali się w tej mistycznej, uderzającej do głowy atmosferze, w której nawet cierpienie potrafi być przyjemnością.

Później leżeli przytuleni do siebie, wsłuchując się w rytm swoich serc, przepełnieni szczęściem, spoceni po miłosnej walce. Musiały minąć długie minuty, żeby zeszli na ziemię, otrząsnęli się z podróży w bajkowy świat z dala od rzeczywistości. Długo jeszcze czuli cudowny zawrót głowy.

Połączenie wyczerpania fizycznego i galopującej wyobraźni okazało się prawdziwie euforyczne. Oboje czuli się tak, jak może czuć się sportowiec tuż po pobiciu rekordu, g

7wykonany długim i ciężkim biegiem, gdy pełen satysfakcji obserwuje, jak do gardła i na język wraca spragniona wilgoć. Był to rzadki stan, kiedy człowiek czuje, że wszystko się spełniło, że fizycznie i mentalnie przeszedł samego siebie - stan, w którym ból zmienia się w przyjemność, w którym uczucia gubią się w rozkosznym zawrocie głowy

Kiedy wstali i ubrali się, Brolin objął Juliette i ukrył twarz w jej włosach.

- Juliette... Juliette... - szepnął, przyciskając ją do siebie.

Milczeli, bo o czym tu mówić; przecież rzeczywistość była wspanialsza od słów.

Stali w ciemnościach mocno przytuleni do siebie.

Być może właśnie po to, aby świat był do wytrzymania, są w życiu bardzo rzadkie chwile, w których człowiek czuje się przeniesiony gdzie indziej i całkowicie spełniony, pusty i pełny zarazem; jest to stan bliski transu, na granicy wszechogarniającego spokoju. Starzy myśliciele rozumieli ten stan ducha jako „Rozkosz” i zamienili go w „Eden”. Później przyszli inni i przemienili go w „Wieczność”, nazywając „Rajem”.

W tym stanie znajdowali się teraz Juliette i Joshua, i trwał on bardzo długo.

Ponieważ jednak nie byli u siebie, trzeba było wziąć się w garść i wrócić do pracy. Stare księgi cierpliwie czekały, rozchylając bezwstydnie stronicę, odkrywając nieprzyzwoite treści przed profanami.

Brolin potarł skronie. Nie miał najmniejszej ochoty na tę lekturę; myślał

tylko o tym, żeby zasnąć, trzymając Juliette w ramionach.

Lecz ten uroczy obrazek szybko znikł i w jego miejsce pojawił się obraz męki: obraz Elizabeth Stinger w kanałach, z otwartymi oczami i wypalonym czołem.

Czas, który spędzili kochając się, wprowadził ich w podniosły, radosny nastrój i kazał im odsunąć od siebie smutną codzienność na rzecz innego, cudownego świata, którego nie chciało im się tak od razu opuszczać.

Ale twarz Elizabeth Stinger, wyrażająca nieskończone cierpienie, poruszyła Brolina do tego stopnia, że nagle wróciła mu cała zawodowa zaciekleść. Po prostu uświadomił sobie, że nie znajdzie spokoju, dopóki nie wyrwie ze starych ksiąg jakiegokolwiek odpowiedzi.

Zacisnął pięści i podszedł do stołu.

- Musimy się sprężyć - powiedział. - Trzeba odkryć, co oznacza ten pentagram.

Juliette w milczeniu skinęła głową.

O czym myślała? Niewiele mówiła przez cały wieczór. Ale najwyraźniej nie męczyły ją żadne wyrzuty sumienia ani żal, a potwierdziły to kolejne dwie godziny. Przewracali stronicę, przechodzili od jednej księgi do następnej, czasem coś notowali, wymieniali uwagi, a chwilami dłoń Juliette dotykała karku Brolina i delikatnie go gładziła.

Był już prawie świt, gdy dziewczyna skoczyła nagle na równe nogi. Chwyciła zdjęcie czaszki Elizabeth Stinger i twarz jej stężała.

- Mam! - westchnęła w ostatnim porywie energii, spoglądając na otwartą stronicę przeglądanej właśnie księgi. Brolin nachylił się nad jej ramieniem.

Ujrzał złowrogi pentagram, nakreślony atramentem i szeroką stalówką jakiegoś pradawnego skryby... Szybko przebiegł oczami opis. Poczul na plecach dreszcz obrzydzenia. A może strachu? Pod rysunkiem znajdowało się wykaligrafowane gotyckim pismem zdanie:

Rytuał ochronny przed duszą zmarłego

Promienie słońca zarzucały powoli woal mlecznego światła na gęstwinę parku. Był świt.

Brolin odwiózł Juliette do domu. Gdy tylko weszli do środka, Juliette wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni. Oboje potrzebowali tylko odrobiny snu, żeby móc logicznie myśleć i wytrwać przez cały - zapowiadający się na długi i pełen wytężonej pracy - dzień.

Wcześniej przepisali treść rytuału i bezszelestnie opuścili posiadłość bogatego Francuza, mając w głowie dźwięk strasznych diabelskich zaklęć.

Brolin nastawił budzik tak, aby mogli przespać pięć godzin, założył bowiem, że tyle snu wystarczy na powrót do pełnej sprawności i żeby ewentualnie wytrzymać kolejną nieprzespaną noc. Zmęczeni zasnęli przytuleni do siebie, przysuwając się jak najbliżej: chcieli zlać się w jedno, czuć siebie nawet przez sen.

Kiedy Brolin myślał o tym później, widział wszystko jak na zamazanym zdjęciu, niewyraźnie. Nie wiedział, czy spali, czy kochali się powoli, jakby w półśnie. Czy budzili się, czy zasypiali. Pamiętał czułe gesty, jęki; pamiętał, jak rozkosz powoli rozlewa się po całym jego wnętrzu.

Budzik nie zadzwonił.

Z łóżka wyciągnął go uporczywy dźwięk komórki. Crescendo elektronicznych tonów, w których kierunku szedł na wycucie przez ciemny pokój.

Kiedy w końcu odebrał, nie miał nawet czasu powiedzieć „Halo!”, bo z drugiej strony zaatakował go od razu niezwykle podniecony głos, mówiący bardzo szybko coś zupełnie niezrozumiałego.

- Zaraz, spokojnie! - odezwał się Brolin zaspany.

- Josh! Tu Larry! Musisz natychmiast przyjść!

W głosie Larry'ego nie było paniki, raczej zdumienie.

- Która jest godzina? - zapytał Brolin. - Skąd dzwonisz?

- Właśnie przyszedłem na komisariat.

- Macie coś nowego?

- Raczej tak. Jestem z Craigiem Nova.

- Ach! A więc udało się wam z niedopałkiem? Będzie mógł wydobyć DNA, żeby spróbować dokonać identyfikacji?

- To właśnie z tego powodu cię szukamy Craig wydobył schemat tego DNA i puścił w ruch program

identyfikacyjny.

Nagły dopływ adrenaliny do mózgu zupełnie rozbudził Brolina.

- I macie jakiś wynik? - zapytał, nie bardzo wierząc w pozytywną odpowiedź.

- Josh, gdzie ty jesteś?

Brolina uderzył dziwny ton Salhindra. Czy on się przy padkiem czegoś nie bał? Zawahał się z odpowiedzią.

- U Juliette, dlaczego pytasz? W innych okolicznościach Salhindro na pewno by mu

dociął; powiedziałby coś w stylu: „U Juliette, w niedzielę, pół do jedenastej rano!”, ale Brolin nic takiego nie usłyszał. To go upewniło, że coś nie gra.

- Czy ona jest przy tobie?

- Nie, jeszcze śpi.

- Dobrze. Josh, proszę cię, żebyś usiadł. I przysięgnij, że uwierzysz w to wszystko, co ci powiem.

- Co ty opowiadasz? Zidentyfikowaliście to DNA, do cholery, czy nie?

Za plecami Brolin usłyszał jakiś ruch: cichy odgłos kroków Juliette na dywanie.

Salhindro chuchnął w słuchawkę, jakby chciał sobie dodać odwagi.

- Tak, mamy osobę z takim DNA.

- Do diabła!

- Josh, to ci się nie spodoba.

Brolin poczuł, że krew krzepnie mu w żyłach; miał wrażenie, że w ciało wbijają mu się tysiące igieł. Juliette objęła go i pocałowała w policzek.

Usiadła mu na kolanach.

- Josh, to DNA z niedopałka... To jest DNA Lelanda Beaumonta - powiedział

Salhindro teraz już naprawdę drżącym głosem.

DNA „Kata z Portland”, którego głowa rok temu rozprysła się jak trafiony kulą arbuz.

Niemożliwe.

Po prostu niepojęte.

Leland Beaumont zginął od kuli z pistoletu Glock - nabój parabellum kaliber dziewięć milimetrów - która trafiła go prosto w głowę. Mózg Lelanda na oczach Broлина zmienił się w krwawą miazgę, rozprysnięty cień. Pochówek odbył się kilka dni później i jego ciało musiało być już tylko zjedzoną przez robaki masą. W żadnym wypadku nie mógł zostawić śliny na niedopałku.

Cała grupa, która pracowała nad sprawą „Ducha Lelanda”, miała się zebrać w biurze kapitana Chamberlina.

Brolin ubrał się natychmiast i jadąc na komendę, zabrał ze sobą Juliette. Nie ma mowy, żeby została sama. Wiadomość, choć absurdalna, zaświeciła w jego mózgu neonów napis „Uwaga, niebezpieczeństwo!” i nie potrafił już rozstać się z Juliette. Teraz, nic jeszcze nie wiedząc, czekała u niego w gabinecie.

Brolin zdjął skórzaną marynarkę i popatrzył na Craiga Nove, którego twarz zdradzała wielkie zmęczenie.

- Jak bardzo wiarygodny jest ten test DNA? - zapytał.

- Jest bardziej niż wystarczająco wiarygodny, żeby skazać na dożywocie.

- Czy nie ma takiej możliwości, żeby ktoś inny miał takie samo DNA?

- To jest jedyne wyjaśnienie! - wykrzyknął Bentley Cot-land.

Craig energicznie potrząsnął głową.

- To jest niemożliwe. Każdy ma unikalne DNA.

- Tak samo niemożliwe, jak to, żeby Leland był żywy.

- Przepraszam; jest jedno wyjaśnienie - podjął Craig. -DNA to rzeczywiście unikalny kod, bo nie ma dwóch ludzi

o tym samym DNA... z wyjątkiem bliźniaków jedno jajowych, czyli bliźniaków, którzy wyszli z tego samego jaja.

- Niestety! - wykrzyknął Salhindro. - Leland był jedynakiem.

- Czy jesteśmy tego pewni? - spytał kapitan.

- Ee... tak. Bo czy może być inaczej? Po jeszcze jednym dziecku byłby jakiś ślad, no nie? Dokumenty,

prawo jazdy, praca... Świadkowie... Czy ja wiem.

W końcu ludzka egzysten-cja nie może przejść niezauważona. Przecież są urzędy stanu cywilnego... W naszych czasach nie można mieć dziecka i ukryć go przed resztą świata. W każdym razie na pewno nie przez ponad dwadzieścia lat! Dlaczego zresztą rodzina Beau-montów miałaby to robić?

Życie to nie telewizja; w życiu nie chodzi o wywołanie napięcia za wszelką cenę, bez względu na rzeczywistość!

- Protestuję. Zdarza się nam czasem trafić na coś tak niewiarygodnego, że nie nadawałoby się nawet do filmu! - wtrącił Meats.

Twarze wszystkich spowaźniały. Leland był jedynym dzieckiem małżeństwa Beaumontów i z jego śmiercią ginęło całe logiczne wyjaśnienie znalezionego DNA.

- Czy jest możliwe, żeby to był jakiś stary niedopałek, który przechował się jakoś do dziś i naprowadził nas na fałszywy ślad? - zapytał Bentley Cotland.

Craig wzruszył ramionami.

- Teoretycznie tak, ale ten niedopałek, który znaleźliśmy, nie wyglądał na stary i wyschnięty; chyba że przechowywano go w zamrażalniku...

- To się nie trzyma kupy - odezwał się Lloyd Meats. - On tam przyszedł, nie spodziewając się pułapki. Nie miał właściwie żadnej szansy na ucieczkę.

Gdyby to przeczuwał, w ogóle by się nie zjawił.

- Lloyd ma rację - stwierdził Brolin. - Gdyby morderca chciał nas wprowadzić w błąd, zostawiłby niedopałek obok ofiary, wtedy nic by nie ryzykował.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał niecierpliwie kapitan Chamberlin, którego nerwy były napięte jak struna fortepianowa na sekundę przed pęknięciem. - To DNA nie zjawiło się tam znikąd!

Zapadła cisza. Mężczyźni spojrzeli po sobie. Wszyscy myśleli to samo, ale nikt nie odważył się przemówić. Jedynie Bentley po raz kolejny nie podzielał

poglądów grupy i co dzień był bardziej zadowolony, że nie pracuje w policji.

Salhindro rzucił się na głęboką wodę.

- A może to jest Leland.

Wszyscy wiedzieli, że martwy Leland leży zakopany na cmentarzu, ale tym razem nikt nie wypowiedział fatalnego „Niemożliwe!”. Za często to mówili.

Brolin zdecydował, że nadszedł czas na odkrycie swojego znaleziska.

- Słuchajcie, z pomocą Juliette udało mi się...

- Juliette? To ta niedoszła ofiara Lelanda, czy tak? - przerwał mu Bentley Cotland.

- Już pana prosiłem, żeby nie mówić o niej „ofiara”: ona żyje i dobrze się miewa.

- Chce pan powiedzieć, że dopuścił pan osobę cywilną do śledztwa? - zapytał

Bentley z lekkim sarkazmem w głosie, a ton ów czynił go wyjątkowo niesympatycznym.

- Ona wie więcej niż ktokolwiek inny na temat Lelanda; ona widziała go z bliska!

- Wydawało mi się, że to pan jest specjalistą od morderców.

- Panie Cotland, zaczyna mnie pan wyjątkowo...

- Co wyjątkowo?!

Brolin wstał z fotela z groźnym wyrazem twarzy.

- Spokój, panowie! - zarządził kapitan Chamberlin. -Joshua, jest pan zmęczony, my zresztą również, dlatego zachowajmy

umiarkowanie. A pana, Cotland, proszę, żeby pan się uspokoił. Jeśli Brolin przekazał jakieś informacje o śledztwie osobie cywilnej, to jest to moja sprawa, a nie pana!

- Nie podoba mi się sposób, w jaki dowodzi pan wydziałem.

- Zgoda, ale na razie prokurator Gleith przysłał pana do mnie na staż; pan nie jest jeszcze prokuratorem, więc to, co się panu podoba, a co nie...

Z oczu Cotlanda sypnęły się iskry. Któregoś dnia Chamberlin mu za to zapłaci. Kiedy on, Cotland, obejmie wreszcie należne mu stanowisko, już się postara, żeby im wszystkim utrudnić życie.

- Dobrze; jakie jest pana odkrycie? - zapytał Chamberlin Brolina.

Brolin usiadł i podjął przerwany wątek:

- Wiem, dlaczego morderca pali kwasem czoła ofiar. Otóż nie chce, żebyśmy zobaczyli, co na nich wypisał. A raczej -co wyciął nożem.

Chamberlin zmarszczył brwi.

- Ponieważ morderca wycina w ciele swoich ofiar symbol okultystyczny To jest pentagram należący do bardzo starego rytuału ochronnego; jego zadaniem jest zabezpieczyć czarownika przed zemstą duszy jego ofiary Ofiary Lelanda Beaumonta miały również czoło wypalone w ten sam sposób Drugi morderca przejął to od pierwszego.

- Chyba że to wciąż ten sam - ponuro odezwał się Sal-hindro.

- A dokładnie, co to za rytuał? - chciał się dowiedzieć Meats.

- Nie jest specjalnie interesujący - odrzekł Bralin. - Za to bardzo rzadki, co potwierdza hipotezę, że morderca wie-rzy głęboko w ezoteryczny sens swoich czynów. Możliwe, że prenumeruje specjalistyczną prasę, że jest klientem okul-ycznych sklepów i że korzysta ze zbiorów różnych bibliotek, z których wypożycza dużo książek na temat kabały. To nam daje nowe możliwości poszukiwań.

Kapitan chciał coś powiedzieć, ale Bralin ciągnął dalej:

- To nie wszystko. Uważa się, że to rytuał dla tych, którzy szukają życia po śmierci. Chroni on tego, kto go praktykuje, ale pozwala mu również „pożreć dusze swojej ofiary”. Tak jest napisane w starej księdze, którą przeglądałem.

Znajdował się tam jeszcze dopisek: I tak, pożerając duszę ofiary, zapewnia sobie życie po śmierci. Życie wieczne, powrót zmarłego pomiędzy żywych.

- Ktoś sobie robi z nas żarty...

Lloyd Meats odezwał się spontanicznie, w sposób, który miał mu pomóc odegnąć strach czający się na skraju świadomości

- Leland Beaumont palił czoła swoich ofiar. To był wyznawca czarnej magii, a przy tym szaleniec - zakończył Bralin.

Kapitan Chamberlin rozkruszył palcami gumkę, którą się od dłuższego czasu bawił.

- Cóż... Nie wierzę w te wszystkie idiotyzmy na temat satanizmu, ale DNA mówi samo za siebie. Aby więc po-zbyć się wątpliwości i uspokoić nas, myślę, że nie mam wy-boru - powiedział głuchym głosem. -

Nienawidzę tego robić, ale poproszę prokuratora o pozwolenie na ekshumację. Przynajmniej dowiemy się prawdy. Dowiemy się, czy Lelandowi udało się w ten czy inny sposób uratować, co wyda-je mi się niemożliwe, czy też ktoś stroi sobie z nas nieprzy-jemne żarty.

Bentley Cotland popatrzył na Chamberlina.

- Ale pan nie może tego zrobić! Leland nie żyje, a nawet gdyby był najgorszą szmatą, to ma prawo do odpoczynku po śmierci; nie można tak po prostu zbezczęścić jego grobu,

- Czy potrafi mi pan wyjaśnić obecność jego DNA na niedopałku?

- Nie, ale...

- Nie mogę ryzykować, żeby taki człowiek żył na wolność.

- On nie żyje! Kula roztrzaskała mu głowę! Chamberlin spojrział na Meatsa, nie zwracając uwagi na protesty przyszłego zastępcy prokuratora.

- Lloyd, proszę, załatw wszystko, co trzeba, z zarządem cmentarza, na którym leży Leland. Po naszym... - rzucił okiem na Brolina - niepowodzeniu na parkingu szpitala nie chciałbym, żeby prasa dowiedziała się, co robimy; w przeciwnym wypadku wszyscy ryzykujemy stanowiskami. Ekshumacja nastąpi w nocy, kiedy cmentarz jest zamknięty Nigdy nie wiadomo. Zawsze może się znaleźć jakiś zwariowany dziennikarz, który pilnuje grobu mordercy na wypadek, gdyby..

- Dziś wieczór wszystko będzie gotowe. Chamberlin mówił dalej:

- Brolin, pójdzie pan tam z Lloydem, który panu pomoże. Powinien wam towarzyszyć pan Cotland, będzie mógł się upewnić, że gorliwie wypełniamy nasze obowiązki. Jeśli ma ochotę, rzecz jasna.

Cotland skinął głową.

Oczywiście, że pójdzie z nimi. Gdyby kapitan Chamberlin w przyszłości awansował, to będzie punkt dla Cotlanda. Może się bowiem zdarzyć, że przyda mu się możliwość manipulacji kapitanem, a ta ekshumacja jest ewidentnym dowodem jego niekompetencji; to nadużycie władzy, które nie wyszłoby mu na dobre, gdyby dowiedziała się o tym opinia publiczna... Takie rzeczy dobrze mieć w zanadrzu, jeśli człowiek zajmuje się polityką.

Brolin z Lloydem wymienili niepewne spojrzenia.

Po raz pierwszy nie tylko Bentley Cotland źle się czuł przed wyjściem w teren.

Nie bardzo chciało się im sprawdzać, czy Leland leży w trumnie.

A jeszcze mniej pragnęli w środku nocy otwierać jego grób.

Pośmiertnym domem Lelanda był cmentarz w Latourell, małej miejscinie nad brzegiem rzeki Columbia, w regionie, którego pejzaż jest rozdarty stromymi przepaściami i pokryty gęstwiną ciemnych lasów. Miejsce to wybrał ojciec, ostatni z rodziny, Milton Beaumont, ponieważ cmentarz znajdował się niedaleko jego domu w lesie. A Latourell było jedynym miasteczkiem w promieniu kilku mil liczącym więcej niż pięć tysięcy mieszkańców.

Po odprawie Brolin spędził trochę czasu z Juliette. Długo się wahał, czy powiedzieć jej o DNA Lelanda. Co było lepsze? Wyznać prawdę i nastraszyć ją, bo przecież nie znali rozwiązania, czy też skłamać, izolując ją od rzeczywistości, co z kolei mogłoby okazać się niebezpieczne. W końcu wybrał

szczerłość; nie wolno im było się okłamywać, zwłaszcza teraz, gdy byli ze sobą tak bliska Juliette przyjęła nowinę z odwagą i determinacją, które to cechy wyrobiła w sobie podczas ostatnich dwunastu miesięcy, i nie okazała strachu. A kiedy Brolin zawiadomił ją o zamiarze ekshumacji, poparła to i ograniczyła się do prośby: „Sprawdź to dla mnie, czy on jest wciąż w swoim grobie. Dziś już się go nie boję, ale gdyby nachodził nas jego duch, naprawdę nie wiem, co bym zrobiła...”.

Pocieszał ją, jak mógł, ale jak tu uspokajać kogoś, kiedy samemu nie jest się niczego pewnym?

Oficjalnie odpowiedzialności za nieudaną akcję z zastosowaniem techniki proaktywnej nie ponosił nikt. Prasa się rozszalała, szukając nazwiska, które mogliby rzucić czytelnikom na pożarcie, ale policja nie ustąpiła i nie poświęciła nikogo. Ten akt wewnętrznej solidarności mógł kosztować kierownictwo stanowiska. Najwięcej ryzykował Chamberlin, było więc dla niego bardzo ważne, żeby w najbliższym czasie móc poprzeć swoją decyzję jakimś pozytywnym rezultatem, zwłaszcza że to on publicznie wypowiedział

słowa, które zwabiły mordercę w zastawioną pułapkę.

Bardziej niż dotąd liczyła się każda godzina.

Każdy dzień mógł oznaczać, że znajdą następną ofiarę.

Z każdym dniem rosła również ogólna niecierpliwość, a pierwszymi jej ofiarami byli Brolin i Chamberlin. Jeśli w najbliższym czasie nie wydarzy się coś, co posunie dochodzenie naprzód, to śledztwo przejdzie w ręce innych służb, a może nawet miejscowej agencji FBI. Pretekstów do wezwania agentów federalnych by nie brakowało, zwłaszcza jeśli z takim wnioskiem wystąpiliby wspólnie burmistrz z prokuratorem Gleithem.

W samochodzie, który wiozł Meatsa, Cotlanda i Brolina do Latourell, młody inspektor rozłożył kupioną właśnie niedzielą gazetę. Na pierwszej stronie jednoznacznie brzmiący tytuł zawiadamiał: Monumentalne fiasko! Poniżej mniejszymi literami wbijano dodatkowy gwóźdź do trumny: Nieudana próba schwytania „Ducha Lelanda”-policja bezkarnie żongluje naszym życiem i naszymi pieniędzmi. Zamieszczono nawet oświadczenie burmistrza, pełne demagogii typowej dla urzędników wysokiego szczebla: Nie możemy tolerować, żeby jakiś osobnik zagrażał bezpieczeństwu naszych obywateli.

Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby go jak najszybciej zatrzymać, i w tym celu spotykam się jeszcze dzisiaj z szefem policji. Co do operacji na parkingu, nie zostałem o niej poinformowany, ale wyjaśnimy sprawę wspólnie i wobec winnych zostaną wyciągnięte konsekwencje... I dalej niemal cała kolumna w tym stylu.

Jak długo jeszcze Chamberlin będzie mógł kryć Brolina, zanim zmuszą go do zaspokojenia wzburzonej opinii publicznej, czyli wydania go wilkom na pożarcie?

Samochód stanął przed biurem szeryfa Latourell u schyłku dnia. Powietrze było rześkie, nasycone wilgocią, jakby burza, która przeszła tędy minionej nocy, czekała za pobliską górą na okazję do powrotu.

Szeryfa Hogsona nie było, ale jego zastępca uprzedził, że szeryf znajduje się

„w swoim drugim biurze”. W tak małym miasteczku jak Latourell szeryf wykonuje swoje obowiązki, nałożone nań po zwycięstwie w lokalnych wyborach, ale często nie rezygnuje ze swojej wcześniejszej profesji. Hogson miał niewielki tartak poza granicami miasta.

Czarny ford zawiózł więc trzech przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości do drogi wyjazdowej z Latourell. Wkrótce znaleźli się przy dróżce z przybitym do drzewa drogowskazem „Tartak Hogsona”. Przez las dojechali do niewielkiej polany.

W powietrzu unosił się zapach ciętego drewna: żywiczna woń roślinnej śmierci. Tartak szeryfa produkował niewiele drewna, głównie dla fabryk papieru stojących przy drodze do Vancouver w stanie Waszyngton. Składał

się tylko

z trzech niewielkich budynków i w tygodniu zatrudniał najwyżej piętnastu robotników

Ale dziś, w niedzielę, na miejscu był obecny tylko Dan Hogson. Odgłos pracujących pił nie zakłócał szumu wiatru tańczącego w wysokich sosnach.

Powietrze było aż gęste od zapachu żywicy, tworzącego nad ziemią bursztynowa chmurę.

Wychodząc z samochodu, Brolin rzucił w kierunku Cotlanda:

- Bardzo będę wdzięczny; jeśli pozwoli pan Meatsowi i mnie poprowadzić tę rozmowę, zgoda?

Cotland kiwnął głową, nie patrząc na Brolina.

Z głównego budynku wyszedł czterdziestoletni mężczyzna. Był średniego wzrostu, miał krótko ostrzyżone szpało wate włosy i okrągłą twarz. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądał sympatycznie. Pozdrowił ich z daleka.

- Koledzy z Portland? Usłyszałem nadjeżdżający samochód - powiedział, kiedy znalazł się przy nich, energicznie

ściskając im dłonie. Meats i Brolin wyjęli legitymacje, Bentley nieśmiało również się przedstawił.

- Dostałem faks z biura prokuratora. To dość przykra sprawa. Szczerze mówiąc, nigdy tutaj nie mieliśmy żadnej ekshumacji.

- Dlatego też bardzo prosimy pana o dyskrecję - odezwał się Meats, przesuając dłonią po krótkiej czarnej bródce. - Chodzi o prostą weryfikację; nie ma potrzeby siać paniki w okolicy.

- Jest pan zabawny! Myśli pan, że ta operacja może przejść niezauważona?

- Właściwie chcieliśmy to zrobić w nocy - rzekł Brolin. Najwyraźniej pomysł

ten zaskoczył szeryfa Hogsona, wybranego na swoje stanowisko po raz drugi z rzędu.

- A w ogóle, co to za historia? Otrzymałem pozwolenie na ekshumację zwłok Lelanda Beaumonta, myślę więc, że to ma coś wspólnego z ostatnimi morderstwami, prawda?

Brolin i Meats popatrzyli po sobie dyskretnie.

- W pewnym sensie tak - zgodził się Meats. - Chcemy się upewnić, czy ciało Lelanda nie zostało przypadkiem... skradzione.

Hogson podskoczył jak użądłony przez osę.

- Kto byłby na tyle głupi, żeby kraść zwłoki?

- Proszę nas dobrze zrozumieć: naprawdę liczymy na pańską dyskrecję -

powiedział Brolin z naciskiem. - Nie chcielibyśmy, żeby ludzie źle to zrozumieli.

- Jak panowie sobie życzą. Dodam, że ten facet, ten Le-land, był tu w okolicy trochę znany.

Brolin zmarszczył brwi.

- Jak to?

- No, kiedy był młodym chłopakiem, pracował tutaj przez dwa letnie miesiące. W lipcu i sierpniu w dziewięćdziesiątym Szóstym. Przypominam sobie, bo to właśnie w tamtym roku mieliśmy w tartaku pożar. Ale to nie ma z nim nic wspólnego: pożar był w październiku.

- Nie wiedziałem, że on dla pana pracował! - zdziwił się Brolin.

- Szczerze mówiąc, to był rodzaj przysługi... On pomagał nam przy załadunku i rozładunku drewna, a ja dawałem mu za to banknot. Nic oficjalnego, rozumie pan.

Brolin kiwnął głową.

- A jak on się zachowywał?

- Och, zupełnie nieźle. Samotnik, niewiele mówił. Nie to, żeby był

ograniczony, rozumie pan, ale też nie był zbyt bystry. To znaczy, nie bardzo umiał się skupić. Bardziej rodzaj marzyciela, takiego, co to cały czas łązi zamyślony. Zrobił parę głupstw, ale nigdy nic poważnego; w każdym razie, nigdy bym nie przypuścił, że któregoś dnia potrafiłby, rozumie pan.

- Często tak to bywa. Ludzie tego pokroju żyją w swoim świecie i rzadko można się domyśleć, jak pełni są nienawiści i frustracji.

Szeryf Hogson podniósł brwi i potarł brodę na znak niesmaku i niezrozumienia.

- Dobrze, chodźmy. Trzeba się pospieszyć, jeśli mamy załatwić przed wieczorem miejską koparkę - zakończył. - Wezmę tylko kilka dokumentów i już wracam.

Obaj inspektorzy kiwnęli głowami i Hogson wrócił do biura. Ogólnie nie było trudno go przekonać.

Wiatr uderzył gałęziami sosen Douglasa i spadły pierwsze, ciężkie i zimne krople deszczu.

Jak w każdą niedzielę, bramy cmentarza w Latourell zamykano o dziewiętnastej. Dozorca cmentarny doprowadził koparkę do grobu.

Na Brolinie wielkie wrażenie zrobiło to, że małe Latourell ma tak ogromny cmentarz. Spodziewał się kilku grobów, a tu się okazało, że na nekropolii w Latourell chowano ludzi od ponad dwóch wieków - byli to okoliczni mieszkań-

cy, ale również traperzy, wędrowni poszukiwacze złota czy myśliwi.

Kamienne tablice wystawały z ziemi jak rachityczne palce wyciągnięte smutno do nieba. Na zniszczonych kamieniach widniały wytarte napisy, skazując na zapomnienie losy leżących w ziemi zmarłych, dziś już anonimowych. Ten pagórek śmierci wyglądał jak wyjęty prosto z bajki Washingtona Irvinga; brakowało tylko mgły i szubienicy pod starym, powyginanym drzewem na szczycie.

Szeryf Hogson szedł z tyłu, patrząc z podziwem na koparkę manewrującą między porośniętymi mchem kamiennymi słupami i kłującymi krzewami.

Bardzo dużo grobów było porzuconych, nawet dozorca nie strzegł ich już przed zaborczą roślinnością. Były zapomniane jak złe uczynki z przeszłości, wypychane z pamięci przez codzienną rutynę.

Słońce rzuciło krwawy blask na pagórkowaty pejzaż, ustępując miejsca nadchodzącej nocy i księżycowi ukrytemu za

zasłoną deszczu i chmur. Dozorca, Troy Suberland, pomagał w ekshumacji: tylko on umiał manipulować niewielką mechaniczną koparką.

Pięciu milczących mężczyzn kuliło się z zimna. Chroniąc się przed deszczem, ograniczali ruchy do minimum, żeby woda nie dostała się pod peleryny. Krople z miękkim dźwiękiem rozpryskiwały błoto. Ziemia jak gąbka chłonęła ten płynny pokarm, wsysając go w swoje zbutwiałe czeluście.

Pośród zebranych panowała niemal nabożna cisza, jednak dla Meatsa i Brolina nie miała ona nic wspólnego z ciszą, jaką zachowuje się w kościele czy w starodawnej świątyni. W miarę jak ziemia otwierała się pod naciskiem maszyny, inspektorzy zaczęli fizycznie odczuwać obecność Lelanda; jego duch zawisnął nad cmentarzem, nasycając swoim szaleństwem całą okolicę.

Brolin był przekonany, że w ciemnościach zapadającej nocy, oświetlonych wyłącznie reflektorem koparki, widzi nad ziemią, w której było zakopane ciało siejącego za życia przerażenie „Kata z Portland”, unoszące się, fosforyzujące opary.

Właściwie pejzaż także wydawał się skażony śmiercią i obłąkaniem. Rośliny pięły się konwulsyjnie ku gwiazdom jak splątane sukuby i ciemności były tu przepastniejsze niż gdziekolwiek indziej.

Milcząc, przez następne pół godziny wszyscy bezsilnie asystowali przy przebudzeniu Zła.

Później zęby koparki natrafiły na zapadniętą warstwę gruntu.

Dreszcz przebiegł wszystkim po plecach, jakby liznął ich jakiś zatęchły powiew.

Brolin chwycił jeden ze szpadli, które dozorca przyniósł specjalnie dla nich; Meats zrobił to samo. Podeszli do wykopanego otworu.

Bentley i szeryf Hobson nie ruszyli się z miejsca.

W głębi błotnistej ziemi rysował się jasny narożnik tego, co kiedyś było trumną. Obaj mężczyźni, uzbrojeni w szpadle, bardziej spadli niż zsunęli się do grobu i zaczęli odkopywać to śmiertelne łoże.

Deszcz spływał wzdłuż ścian rozkopanej ziemi, przecinając ją setkami drgających żyłek. Podłużna kałuża, mieszanka brązowej piany i resztek roślin, powiększała się z minuty na minutę. Woda wlała się obu kopiącym mężczyznom do butów, zimno przejechało im gadzim językiem wzdłuż pleców.

Kopali zaciekle, pograżając się coraz bardziej w czarnej jamie. Nie minęło dziesięć minut, a byli już cali przemoczeni i ubłoceni; wilgotne zimno przenikało niczym morowe powietrze każdy centymetr ich skóry, każdą część ubrania.

I tak powoli wydobyli na powierzchnię gnieżdżącą się w norze śmierć.

Kiedy trumna była już wyciągnięta, Meats wyrzucił szpadel na kopczyk wykopanej ziemi. Brolin chciał przez moment zatrzymać swój, jak broń, na chwilę otwarcia trumny, ale stwierdził, że to głupota i takim samym gestem pozbył się szpadla.

Nad nimi stali Bentley Cotland, szeryf i Troy Suberland, którzy podeszli do otwartego grobu i patrzyli nieufnie w dół, stojąc na brzegu przepaści.

Brolin, z mokrymi włosami przyklejonymi do czoła, krzyknął do Cotlanda:

- Niech mi pan poda latarkę albo proszę oświetlić nas z góry!

Musiał powtórzyć prośbę, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć deszcz.

Cotland natychmiast posłuchał i wycelował biały promień mocnej latarki w brudne dębowe drewno.

- Oto chwila prawdy - rzucił Brolin słabym głosem do Meatsa.

Odbezpieczyli pokrywę i trumna otworzyła się ze zgrzytem.

Lało jak z cebra. W ogłuszającym szumie deszczu krople uderzały w kałuże, rozpryskując błoto; ziemia spijała je i wypłukała, płuczac się od środka.

Cmentarz, jak pulsujący gejzer, wyrzucał na zewnątrz brud zwłok.

Noc była czarna i zimna, wokół wiał wiatr, przypominając złowróżbne wycie kojota.

Widok, który ujrzeli, miał ich nawiedzać aż do śmierci.

- To już koniec - wyrwało się Meatsowi wpatrzonemu w rzecz niemożliwą, kiedy zęgnął się, zlany deszczem. On, którego stopa od lat nie powstała w kościele.

Stali i mrugali oczami na ten okropny widok.

Widok nagiej trumny z surowego drewna.

Widok nagiej trumny z surowego drewna, pustej w środku.

CZEŚĆ TRZECIA

Nie rozumiecie mnie.

Nie jesteście do tego zdolni.

Jestem poza możliwościami waszego pojmowania.

Jestem poza dobrem i złem.

Richard Ramirez w czasie swojego procesu,

po którym został skazany na śmierć

za zamordowanie czternastu osób

Nad urwiskami i lasami okalającymi Portland zapadła noc, ukradkiem wnosząc przykre uczucie, że wokół krąży śmierć. Po niebie, niczym milczące widma, płynęły ogromne, ciemne chmury, pogrążając tę część świata w stanie przygnębienia i apatii.

Tej nocy Brolin nie poszedł do Juliette. Po otwarciu grobu Lelanda Beaumonta uciekł przed ogarniającym go lękiem do siebie. On, który właściwie nie pił, opróżnił w domu jedną trzecią zalegającej w barku butelki Jacka Danielsa. Wziął gorący prysznic, tak gorący, że woda go parzyła, i włożył stary; spłowiały T-shirt z akademii w Quantico. T-shirt miał z przodu wypisaną wielkimi literami dewizę FBI: „Wierność - Męstwo - Lojalność” i Brolin bardzo go lubił: czuł się w nim bezpiecznie, jak w minionej epoce prawości i uczciwości. Była to epoka, kiedy wiedział, w jakim kierunku idzie, co robi i w co wierzy. Było to dawno; zanim zaczął pracować i stracił złudzenia.

Słyszał, jak w przylegającym do salonu przedpokoiku z jego kurtki spływają krople wody. Odwrócił głowę i zauważył zabłocone buty, a obraz pustego grobu Lelanda, wraz ze wszystkimi niesamowitymi tego konsekwencjami, szybko wyparł z jego mózgu inne obrazy.

Trzeba szybko otworzyć śledztwo w sprawie zaginięcia ciała Lelanda, ponieważ z pewnością chodzi tylko o profanację grobu. Leland został

pochowany. Leland nie żył.

„Jesteś tego pewien? Rzeczywiście nie żył? Byłeś na pogrzebie?”

Tak czy inaczej, Leland dostał kulą w środek głowy; nie mógł tego przeżyć.

Jego zwłoki zostały zbadane przez lekarzy. Wszyscy wydali jednomyślną opinię.

„A sprawdziłeś, czy ciało było w trumnie, kiedy wkładano ją do ziemi?”

Część mózgu Lelanda oderwała się razem z połową czaszki.

„Leland praktykował czarną magię. Chciał stać się nieśmiertelny”.

Ta mentalna tortura trwała kilka minut, zanim Brolin włączył konsolę gier wideo. Nie grał już od... od dwóch tygodni! To dopiero wynik! Migające światło i zawrotne, spazmatyczne tempo gry oderwały go od rzeczywistości.

Kiedy na ekranie pojawiły się pierwsze zombie, Brolin nacisnął przycisk

„off”. Spał krótko; nie dręczyły go żadne koszmary, ale też sen ten nie przyniósł mu odpoczynku.

Wstał o siódmej, szybko wziął prysznic i pojechał do komendy. W brzuchu mu burczało i z nostalgią pomyślał o nocy

spędzonej u Juliette, o jej kojących ramionach i poranny soku z wyciśniętej pomarańczy.

Gdy Brolin stanął w progu, Salhindro właśnie odkładał słuchawkę telefonu.

Jak na kogoś, kto właściwie nie powinien się tym zajmować, Salhindro angażował się w śledztwo z oddaniem bliskim patologicznej filantropii wręcz z masochizmem. Jednak nikt nie protestował: ani Chamberlin, ani żaden inspektor z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Złapanie mordercy i

„Życzliwego” było sprawą priorytetową, usuwającą wszystkie inne zadania -

w tym trzymanie się zakresu swoich oficjalnych obowiązków - na drugi plan.

Odkrywszy pusty grób, Meats i Brolin zawiadomili o tym telefonicznie Chamberlina i Salhindra, tak że teraz ten ostatni jedynie skinął głową w kierunku przechodzącego korytarzem inspektora. Żaden z nich nie miał

ochoty o tym rozmawiać, przynajmniej nie w tej chwili.

W ciągu pierwszych godzin pracy Brolin nie odczuwał większego zmęczenia.

Zadzwoił do Meatsa, który tego ranka pojechał ponownie na cmentarz w Latourell, żeby przesłuchać obecnego dozorcę i jego poprzednika w sprawie możliwego aktu zbezczeszczenia grobu. Bez rezultatu. Żaden z nich nie zauważył, żeby przez dwanaście miesięcy, które minęły od pogrzebu Lelanda Beaumonta, z jego grobem działo się coś szczególnego. Zwiastunem dobrej nowiny okazał się Carl DiMestro, który zadzwonił około pół do jedenastej.

- Wczoraj skończyła pracę ekipa odtwarzająca rysy pierwszej ofiary. Pracowali bez przerwy cały tydzień i są zadowoleni z efektu. Według nich można bez problemu wykorzystać ten wizerunek do identyfikacji.

- Dobrze, Carl. Zrób zdjęcia tej twarzy i roześlij je po wszystkich komisariatach w Oregonie, a także w stanie Waszyngton: może ona jest stamtąd? Wyślij również bardzo wyraźne zdjęcie do wszystkich, wielkich i małych gazet w Portland i Salem. Możesz się tym zająć?

- Nasza panna X wkrótce będzie towarzyszyła przy śniadaniu wszystkim mieszkańcom Oregonu.

- Dzięki, Carl.

- Zaczekaj, to nie wszystko. Co do kwasu na czole, to spektrometr masy wykrył obecność anhydrytu i innych popularnych składników, na przykład wodoru. Właściwie trzeba rozdzielić to, co wchodziło w skład ciała ofiary, od tego, co zostało dodane. Ale wodór połączony z tlenem mógłby oznaczać wodę konieczną dla H₂SO₄, czyli kwasu siarkowego. Cóż, to powszechnie spotykana substancja; można ją znaleźć wszędzie, nawet w licealnych pracowniach chemicznych. Ale otrzymałem również wyniki badań Craiga z miejsca zabójstwa Elizabeth Stinger. Pobrane próbki wykazały pewną ilość kredy.

- Kredy?

- Tak, kredy. Wygląda na to, że była rozsypana na ziemi wokół ofiary - w zbyt małej ilości, żeby można ją było

zobaczyć gołym okiem po ciemku, ale był tam pył z białej kredy

- Czy mógł zostać naniesiony przez sprawcę, na przykład na butach? Z

jakichś kamieniołomów, w których wydobywa się kredę?

Brolin usłyszał, jak Carl przewraca strony raportu.

- Zaczekaj... Nie, ilość jest większa niż gdyby została naniesiona na podszewkach i występuje w zbyt dużym skupieniu. Ten kredowy pył

znajdował się wyłącznie wokół ciała, głównie tam, gdzie powinny się znajdować... znajdować nogi ofiary. Według Craiga, morderca posługiwał się kredą i na ziemię opadł pył.

Brolin przyjął to do wiadomości, dziękując serdecznie Carlowi DiMestro za pracę całej ekipy laboratoryjnej.

Następnie usiadł w fotelu i się zamyślił, zagryzając wargi. Kwas to ślepy zaułek - jest zbyt powszechnie spotykany, żeby mógł doprowadzić ich do ewentualnego nabywcy. Ale drugi element jest interesujący. Po co mordercy była kreda? Do tego w takiej ilości? Wyglądało, jakby coś napisał i starł, J

Co tego w takiej ilości? Wyglądało, jakby coś napisał i starł, bo policja nie znalazła żadnych śladów.

„Tak samo najpierw wycina pentagram na czołach ofiar i następnie ściera wzór kwasem”.

Jak upadające kostki domina pociągają za sobą następne, ta k z tej ostatniej myśli narodził się nowy pomysł: może morderca nakreślił pentagram na ziemi tam, gdzie obcinał nogi Elizabeth Stinger. Jeszcze jedna z tych denranych formuł o tajemniczym znaczeniu.

Brolin zasłonił twarz rękami. Kolejna teoria wzbogaciła pozostałe, ale niesprawdzona jest niewiele warta. Trzeba by znać dokładne znaczenie symbolu. Inspektor postanowił chwilowo zająć się czymś innym.

Otworzył tekturową teczkę zatytułowaną „Leland Beau-mont” i przewrócił

kilka stron, aż znalazł to, czego szukał. Rubrykę „Adres rodziny”.

Krucza Farma, Buli Run Road, hrabstwo Multnomah.

Jaka dziwna nazwa dla domu! Ponura, złowróżbna. Witaj u kuzynów rodziny Adamsów. Postukał palcami po biurku.

Odwiedzi Milona Beaumonta. Powinien był to uczynić już dawno temu. To nic, że staruszek nie jest

zbyt rozgarnięty; z pewnością zna jakieś sekrety.

Otworzył narożną szafę i wyjął z niej plastikową walizeczkę. Nawet nie zajrzał do środka: na pamięć znał jej zawartość. Trzasnął drzwiami gabinetu i ruszył w kierunku wind, gdy zagrzmiął głos Chamberlina:

- Josh! Niech pan chwilę zaczeka.

Brolin usłyszał w tym wołaniu nutę niepokoju.

- Dostaliśmy nowy list.

- Co? Czy został sprawdzony przez obu ekspertów?

- Treść świadczy sama za siebie. Niech pan wejdzie.

Powietrze w biurze Chamberlina było przesyczone obrzydliwym zapachem papierosów. Siedział już tam Bentley Cot-land, a za chwilę zjawił się Salhindro.

- List przyszedł przed godziną, razem z innymi lista-mi - poinformował

Chamberlin. - Fred Chwimsky sprawdził go lampą ksenonową i luminolem, ale to nic nie dało. Najwyraźniej nie zawiera on żadnych ukrytych wiadomo-

ści, tak jak poprzedni. Ale i bez tego dreszcz przechodzi, jak się go czyta.

Podał list Brolinowi. Był wydrukowany tak jak poprzednie.

Drodzy inspektorzy,

Tym razem żadnych rymów, żadnej poezji, żadnych wskazówek.

Jesteście nieuczciwi. Ta groteskowa pułapka świadczy o waszej niekompetencji. Jeśli myślicie, że uda wam się przeszkodzić mi w wykonaniu tego, co uważam za swój obowiązek, wasza sprawa. Jednak zabolalo mnie, gdy zorientowałem się, że traktujecie mnie jak zwykłą zwierzynę łowną, na którą zastawia się pułapki. Nie doceniliście mnie.

Zostaniecie więc ukarani.

Arogancja waszego szefa, Chamberlina, zaszokowała mnie głęboko; całe to zarozumialstwo, które doprowadziło do tak żalonych konsekwencji, wywołało moją głęboką pogardę i muszę tu dodać: było również powodem mojej radości, kiedy ten naiwny plan spalił na panewce. Gdybym to przewidział, sfilmowałbym całą scenę; spodobałaby się w telewizji.

Co powiedziawszy, wracam do mojego dzieła. Gdy zostaniecie już ukarani, może się z wami skontaktuję, żebyście mogli na bieżąco śledzić moje działania.

Załączam wyrazy poważania, ale i niechęci.

Ja

Brolin wsunął list z powrotem do specjalnej plastikowej koperty.

Chamberlin gładził nerwowo swój wąs.

- Nikt oprócz was nie wie o listach, które on do nas przysłał. Biorąc pod uwagę to, jak jest dziwaczny i pełen charakterystycznych szczegółów; zakładam, że jest na pewno od niego. Joshua, co pan o tym sądzi?

- Też tak sędzę. Nawiązanie do wskazówek, do rymów. do poezji, czyli do wszystkiego, co zawierały poprzednie listy, wskazuje, że to nie jest żaden wygłup. Pewne wskazówki są zresztą oczywiste. Autor uważa, że ma do spełnienia misję, którą traktuje niezwykle poważnie: mówi o „dziele”, o swoim „obowiązku” i tak dalej. Nie czyni żadnej aluzji do tego drugiego człowieka; do tego, którego uważamy za jego pomocnika. Wyraża się wyłącznie w liczbie pojedynczej, nigdy nie mówi „my”, tak jakby ten drugi nie istniał; ten drugi jest tylko narzędziem. Tak samo jak jego ofiary, których w ogóle nie szanuje. To nie są żywe istoty, ale przedmioty, które mają sprawić mu przyjemność, nad którymi sprawuje całkowitą władzę.

Dowodem na to jest jego oburzenie, że zastawiono na niego pułapkę „jak na zwykłą zwierzyne łowną”, żeby użyć jego słów, podczas gdy właśnie w ten sam sposób traktuje swoje ofiary. Tamte osoby się nie liczą, ale jeśli to dotyka jego samego, wpada w szal.

Brolin rzucił krótkie spojrzenie na Bentleya, zaskoczony, ten się jeszcze nie odezwał. Ciągnął dalej: - Ale mimo całej złości na nas wciąż do nas pisze i daje nam do zrozumienia, że może pisać dalej. Pragnie uznania. Jego słownictwo świadczy o pewnej kulturze, której nie oczekuje się po seryjnym mordercy: z reguły są to prości wykole-jeńcy Ale ten osobnik jest inteligentny, przebiegły i wykształcony. Używa terminów skomplikowanych i precyzyjnych, a list kończy zwrotem niewspółczesnym, obecnie tak się nie pisze: „Załączam wyrazy poważania”. Być może jest samoukiem, który wykształcił się na książkach. Zbudował swoją wiedzę na lekturach, co wyjaśniałoby i jego literackie zwroty, i jego potrzebę uzyskania aplauzu.

Musi mieszkać sam albo z tym swoim pomocnikiem, którego maltretuje, ponieważ ten nie jest w stanie docenić jego geniuszu. Prawdopodobnie czuje się niezrozumiany: tyle się wyuczył, a w ogóle nie ma gdzie tego zaprezentować. Jest nieśmiały lub aspołeczny, nie spotyka się prawie z nikim i przez to jest sfrustrowany, gdyż nikt nie może docenić, jak bardzo jest inteligentny To go denerwuje i przez to zniechęcił wszystkich, bo ludzie trzymają się od niego z daleka. To dlatego tak się z nami zabawia. Ma pracę, ale z pewnością uważa, że nie odpowiada ona jego rzeczywistym zdolnościom; koledzy na pewno mają go za zarozumialca albo łagodnego świra, nikt nie traktuje go jako osobę niebezpieczną. Myślę, że jest mistrzem manipulacji. No i w końcu, a to zgadza się z tym, co już wcześniej powiedziałem, jest wyjątkowo narcystyczny. Podpisuje list „Ja” i myśli, że nie powinniśmy zastawiać na niego tak śmiesznej pułapki, a także, że nie zasługujemy na to, żeby go zatrzymać.

- Niesamowite! - odezwał się Bentley Cotland. - Wszystko to dzięki jednemu listowi!

Znikła gdzieś jego arogancja i prowokacyjne zachowanie. Widocznie spektakl z pustą trumną w strugach nocnej ulewy porządnie dał mu po nosie. Ale Brolin nie miał już co do niego złudzeń: tak samo było zaraz po sekcji - Bentley Cotland w stanie lekkiego szoku tracił swoją agresywność, ale bardzo szybko wracał do dawnej formy i stawał się na powrót właściwym sobie Bentleyem Cotlandem. Zarozumiałcem. Cóż, nie da się zmienić charakteru dorosłego człowieka.

- Nie chodzi tutaj o interpretację, ale o to, że im większą liczbą szczegółów dysponujemy, tym dokładniejszy profil danej osoby możemy sporządzić i bardziej precyzyjnie określić, kim ona jest, w jaki sposób rozumuje.

Przeczuwając, że Cotland zaraz odezwie się ironicznie lub agresywnie, kapitan Chamberlin szybko zabrał głos.

- Panowie, morderca jasno zapowiada, że znów zamierza kogoś zabić. Ale kogo, gdzie i jak - tego nam nie mówi.

- Ale jeśli znów kogoś zabije, ta nowa zbrodnia będzie zupełnie inna od poprzednich. Tym razem będzie zabijał dla nas, żebyśmy my cierpieli żeby nas dotknąć bezpośrednio, a nie żeby realizować jakieś swoje szalone rojenia. Ta zbrodnia nie będzie kolejną z cyklu, który zaczął - ponuro stwierdził Brolin

- Ten typ drażni się z nami! - oburzył się Bentley - Zrób-my coś! Zobaczycie, on kogoś zabije pod naszym nosem, a my co?! To taka jest portlandzka policja?!

Salhindro wstał i nachylił się nad Bentleyem, opierając się na oparciach jego fotela.

- Robimy wszystko, co możemy, ty głupku! Ten człowiek zabija przypadkowo, według swojego widzimisię, bez żadnego związku, bez widocznego powodu. Taki ktoś jest koszmarem dla każdego policjanta.

Myśli pan może, że tak nam się spieszy, żeby znaleźć kolejną ofiarę? Ze tak bardzo tęsknimy do momentu, kiedy będzie można o jej śmierci zawiadomić rodzinę? Znosić mściwe zachowanie mediów, bo ten facet jest zbyt sprytny, żeby zostawić po sobie jakiegokolwiek ślady? John Wayne Gacy zabił

trzydzieści trzy osoby, zanim go złapano przez przypadek! „Zodiak”

zmasakrował czterdzieści trzy osoby, zanim znikł, nigdy niezdemaskowany.

My mamy do tej pory dwie ofiary i wszystkim nam jest przykro z tego powodu, ale, niestety, śledztwo to sprawa, która toczy się wolna Pan, pan ma tylko jedno w głowie...

- Larry, Larry! - zawołał uspokajająco Chamberlin. Salhindro wyprostował

się i odsłonił twarz Cotlanda, do

której powoli zaczęła powracać krew

- Panowie, uspokójmy się, pozostajmy solidarni; to nie jest moment, żeby się ze sobą kłócić - rzekł kapitan. - Larry, przez najbliższe czterdzieści osiem godzin należy podwoić patrole; wezwij ludzi, którzy mają wolne. Nawet ci na chorobowym muszą nam w miarę możliwości pomóc. Chcę, żeby całe miasto zostało podzielone na małe rewiry i żeby każdy rewir był pod stałą kontrolą.

Zwłaszcza na odludziu, tam, gdzie działa nasz morderca.

- Myślę, że następną ofiarę zabije w kanałach - oznajmił Brolin. - Wzorem dla niego jest Piekło Dantego, dziewięć podziemnych kręgów, a Elizabeth Stinger została znaleziona przed wejściem do kanałów. To bardzo jasna aluzja.

- Josh, nie damy rady upilnować całej sieci kanalizacyjnej: musielibyśmy mieć do dyspozycji armię!
- zaprotesto-

- Ale zanim on wróci do swojego "dzieła", będzie musiał nas ukarać, będzie starał się zabić kogoś z naszego kręgli, żdby zabolało nas to osobiście. Z

pewnością postara się, żeby o tym morderstwie było głośno w mediach, zawiadomi prasę i tak dalej, jeśli staniemy się ogólnym pośmiewiskiem, to z jednej strony przeciwko nam będzie opinia publiczna, a z drugiej on.

Znajdziemy się w izolacji, niemal na margi-nesie. Znajdziemy się w jego sytuacji. Nie byłbym zdziwio-ny gdyby o to mu chodziło.

- W takim razie musimy podwoić patrole; trzeba też uruchomić dodatkowe numery na centrali telefonicznej i trakto-wać poważnie każdą najmniejszą skargę!

- To nie będzie takie proste! - rzucił Salhindro.

- Fanie kapitanie, bardzo bym chciał, żeby na kilka godzin wzmocnić ochronę Juliette - poprosił Brolin Chamberlina cichym głosem. - Ona jest bardzo ważnym elementem symbolicznym. Morderca stara się skierować nas na trop Le-landa, stosując te same metody, a Juliette jest jedyną, która uszła z życiem po spotkaniu Lelanda. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Joshua, zmobilizowałem ludzi, którzy pilnują jej dwadzieścia cztery godziny na dobę. Z cyklami odpoczynku to oznacza sześć osób! W

większości wypadków skończyłoby się na postawieniu przed jej domem policjanta w mundurze i kropka; zdaje pan sobie z tego sprawę. Nie mamy aż tylu ludzi...

Kapitan i podległy mu inspektor popatrzyli sobie w oczy, z troską i wzajemnym szacunkiem. Brolin powoli skinął głową.

- Dobrze... Rozumiem.

Salhindro skierował się ku drzwiom.

- Zabiorę się do organizowania patroli.

Wyszedł szybkim krokiem. Brolin również się podniósł, kiedy Chamberlin zapytał:

- Czy ma pan coś dla mnie? Jakiś ślad; cokolwiek, żeby mnie uspokoić?

Brolin zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

- Zacznę wszystko od początku. Wracam do źródła Zła, do genezy tego morderstwa.

Wziął swoją plastikową walizeczkę i wyszedł.

Masywny kształt góry Hood wznosił się nad wszystkimi lasami regionu. Na wysokości ponad trzech tysięcy czterystu metrów nieskalanie biała warstwa śniegu odbijała blade październikowe słońce niczym gigantyczne lustro.

Mustang pokonywał szaroliliową wstęgę szos. Brolin mijał nieliczne osady, w których życie koncentrowało się w przydrożnej knajpie. I starał się patrzeć na drogę, a nie na pejzaż.

Ten, kto nigdy nie był w Oregonie, nie może w pełni wyobrazić sobie atmosfery, jaka panuje w tych okolicach porośniętych stuletnimi lasami. Za zakrętem drogi rozdziera nagle ziemię na dwie części wąska przepaść, której dnem, trzydzieści metrów niżej, płynie rozszalały strumień, albo nie wiadomo skąd pojawia się stroma ściana gigantycznej skały, wyglądająca, jakby za moment miała mc zwalić i zgnieść nieszczęsnego obserwatora.

Drzewa tutaj są czarne, w sercu lasu nigdy nie powstała ludzka stopa, a góry czuwają nad tą pełną tajemnic przystanią lepiej od indian skich szamanów.

W tej dziwnej atmosferze nachodzą człowieka ambiwa lentne uczucia - z jednej strony dziwny, atawistyczny strach, z drugiej całkowite oczarowanie.

Brolin starał się nie patrzeć na te dziwacznie splątane konary, podobne do ludzi splecionych w tańcu bólu i agonii, ale usilnie próbował odtworzyć w pamięci mapę hrabstwa, mając nadzieję, że nie przeoczy drogi do zbiornika.

Niecałe dwie godziny po wyjeździe z Portland zauważył wreszcie znikający w gęstej roślinności bity trakt

Trzy kilometry dalej droga się rozwidlała i po jednej stronie stał drogowskaz z napisem „Zbiornik Wodny Buli Run”. Brolin wybrał drogę bez drogowskazu.

Jechał bardzo wolno i otworzył okno, mając nadzieję, że świeże powietrze doda mu w jakiś cudowny sposób odwagi. Od czasu do czasu do jego uszu dochodził krzyk drapieżnego ptaka albo świszczący gwizd innego przedstawiciela zamieszkującej tutaj wielkiej masy ptactwa. Ale nigdzie nie było śladu obecności człowieka.

Noce w tych okolicach musiały być straszne.

Wreszcie, w cieniu wielkiej sosny, pojawił się dom Beau-monta. Dwie ogromne przyczepy mieszkalne, do których dostawiono sklecone z okrągłaków budy, wyglądające jak zawałone górskie schroniska. Podłużne pasy falistej blachy tworzyły dach tej dziwnej układanki, służąc jednocześnie jako wiata nad dywanem z sosnowych igieł. Wokół rozciągał się długi, brązowy pas rdzy - pół tuzina wraków samochodowych dogorywało nieopodal.

Brolin zaparkował mustanga dziesięć metrów dalej i nacisnął klakson, żeby uprzedzić o swoim przybyciu.

„Żeby tylko był w domu - pomyślał. - Niezbyt by mi się chciało tutaj wracać”.

Podszedł do skupiska bud, które miało udawać dom. Stado kur gdakało spokojnie za ogrodzeniem zmontowanym na chybcika z byle jakiej siatki.

- Hej! Jest tam kto?

Jakiś ptak zatrzepotał skrzydłami i odleciał trochę dalej.

Okna pomieszczenia, do którego podszedł Brolin, były wąskie i ciemne jak oczy umarłego. Brolin rozejrzał się dokoła, ale z powodu deszczu piasek był

miękki i błotnisty, trudno było chodzić. Nagle po prawej stronie, kilka metrów dalej między drzewami, zauważył jakiś ruch.

Cicho poszedł w tamtym kierunku, kładąc dłoń na pistolecie, żeby dodać sobie odwagi.

Coś poruszało się powoli za zasłoną gałęzi. Brolin powoli rozsunął mokre liście.

Krwawiąca masa bezwładnie poddawała się podmuchom wiatru. Coś wybebeszonego, poćwiartowanego... Brolin odskoczył i wyciągnął pistolet.

Nie, nie, nie! To nie był człowiek.

Potrząsnął głową. Jakieś zwierzę, związane kablem za łapy.

Milton żył na łonie przyrody; prawdopodobnie polował

bez zezwolenia i jadł to, co udało mu się złapać.

Serce waliło Brolinowi w piersiach, kiedy wrócił pod skupisko budynków.

- Milton Beaumont?! - zawołał kilkakrotnie. Odpowiedziała mu cisza.

Podszedł do drzwi. Stos zardzewiałych puszek wypełnionych deszczówką leżał na piachu. Wszedłszy pod blaszany dach, Brolin musiał się schylić, żeby przejść pod kilkoma sznurami suszących się ubrań.

- Hej! Jest tam kto?

Wszedł na wielki kamień, który pełnił funkcję stopnia, i zastukał w ciężkie, wzmocnione drzwi. Znowu odpowiedzią było mu milczenie.

Wiatr zagwizdał pod niebieską plandeką okrywającą blaszane zbiorniki między dwoma wrakami samochodowymi

„Co to za straszne miejsce! Jaki człowiek może mieszkać w podobnym brudzie?” - pomyślał Brolin.

Młody inspektor zszedł ze ścieżki i obszedł budynek z prawej strony, stając pod oknem. Szyba, nigdy

nie myta, była aż szara i niczego nie można było przez nią dojrzeć. Brolin niemal przytknął czoło do okna.

- W czym mogę pomóc? - usłyszał nagle z tyłu. Odwrócił się szybko. Na brzegu lasu stał Milton Beaumont. Był to niski mężczyzna, cały jakby pokręcony i pomarszczony. Kości policzkowe miał tak wystające, że odnosiło się wrażenie, że jeśli tylko się uśmiechnie, to skóra na twarzy mu pęknie.

Oczy miał częściowo zasłonięte ciemnymi włosami. Wyglądał jak czający się tygrys, gdy powtórzył agresywnie:

- Pytałem, czy w czymś pomóc? Brolin opanował zaskoczenie

- Przepraszam; nie chciałem być wścibski, ale nikt nie odpowiadał. Jestem...

Zawahał się. Milton był być może niezbyt rozgarnięty, ale z pewnością pamiętał nazwisko człowieka, który zabił jego syna.

- Jestem inspektor Joshua Brolin - powiedział wreszcie, wybierając szczerłość.

- Czego pan chce? Policji nie mam nic do powiedzenia.

Mężczyzna mówił bez wahania, dobitnie; przy wymawianiu niektórych spółgłosek z jego ust dobywał się lekki świst.

- Chciałbym tylko zadać panu kilka pytań. Czy możemy wejść do środka? -

zapytał Brolin, wskazując palcem przyczepę.

Milton wyprostował się i nagle wydał się dużo wyższy. Obaj mężczyźni spotykali się już trzeci raz, ale jeśli ojciec Lelanda pamiętał Brolina, to nie dał tego po sobie poznać.

- Już rozmawiałem z policją. Zabrali mi syna; to powinno im wystarczyć.

Brolin poczuł ukłucie w piersi.

- Rozumiem. Chciałbym tyl...

- Gównu pan rozumie! Nikt nas nie lubi, bo tu mieszkamy, ale mój syn nigdy nic złego nie zrobił!

Brolin powoli skinął głową.

- Może moglibyśmy porozmawiać spokojnie...

Świdrujące spojrzenie Milтона zaświeciło się na sekundę. Miał głęboko osadzone oczy, a źrenice były prawie niewidoczne. Milton Beaumont zazdrośnie strzegł przed światem odbicia swojej duszy...

Teraz odwrócił się i znikł gdzieś przed domem. Brolin poszedł za nim.

Milton wyjął dwa składane krzesła wsunięte pod przyczepę turystyczną.

Rozłożył je i ustawił pod blaszonym dachem, jedno naprzeciw drugiego.

Trudno było zauważyć, czy Milton przyglądał mu się, czy też patrzył gdzie indziej, Brolin zdecydował się więc usiąść. Stary człowiek odszedł, otworzył

siatkę ogradzającą kurnik i pewnym, szybkim ruchem chwycił czarną kurę.

Usiadł z kurą pod pachą.

- Panie Beaumont, nie będę panu zabierał czasu. Czy słucha pan wiadomości?

Milton skrzył głowę osadzoną na bardzo chudej szyi i splunął w bok. Kiedy znów spojrzał na Brolina, brodę miał zadartą w górę; wyglądało to na wyzwanie. Ze skórą spaloną przez lata życia na świeżym powietrzu, z długą twarzą o nienormalnie nisko osadzonym podbródku, człowiek ten wyglądał

jak ponury faraon, mumia, która dopiero co wychynęła spod bandaży.

„Ileż on może mieć lat?”

Mimo zimna Milton miał na sobie ogrodniczki i koszulę z podwiniętymi wysoko rękawami, które odkrywały pomarszczone bicepsy, zdradzające jednak swoją minioną wielkość. Kura pod jego pachą zamarła, bez ruchu znosząc energiczne głaskanie po grzebieniu. Trudno było powiedzieć, czy skamieniała ze strachu, czy też z zadowolenia.

„A jeśli się mylę? Jeśli morderca wcale nie jest młody? Milton Beaumont jest wystarczająco silny, wystarczająco ograniczony, żeby dać sobą manipulować; mógłby spokojnie zachowywać się jak nienormalny. Jest prawie psychotykiem, tyle że wskutek zaawansowanego wieku jest w stanie kontrolować minimum swoich czynów...”

Coś tu jednak nie pasowało. Jak ten stary człowiek mógł aż tak długo powstrzymać destrukcyjne popędy, gdyby je miał? Poza tym był żonaty, miał syna, a morderca ewidentnie nie był dojrzały seksualnie.

- Gazety są po to, żeby mówić nam, co trzeba myśleć. A telewizji też nie oglądam.

„Uwaga, niestety, niepozbawiona sensu” - pomyślał Brolin. Jak na ograniczonego umysłowo, Milton dawał dowody niezwyklej bystrości.

Bardzo długo wszyscy się zastanawiali, jak ten mężczyzna mógł spłodzić wszechstronnie uzdolnionego Lelanda. Może w rzeczywistości Milton wcale nie był niepełnosprawny umysłowo, za jakiego wszyscy go uważali. Niby naiwny odludek, ale proszę, zdolny do wnikliwego oglądu świata.

- Słyszał pan ostatnio o dwóch zamordowanych kobietach? - zapytał Brolin.

- A co pan myśli? Teraz gadają tylko o moim synku. Był tu nawet jeden dziennikarz. Odjechał z pustymi rękami.

Wiatr zaszumiał w gałęziach pobliskich drzew.

- Z pewnością więc pan wie, że morderca działa tak samo jak... „Kat z Portland”?

Mimo że użycie tego przezwiska było dość okrutne, pozwalało jednak nie wymieniać nazwiska Lelanda Beaumonta, czego Brolin starał się uniknąć tak długo, jak długo nie był pewien reakcji ojca.

- Mówią, że jakiś facet naśladuje to, co robił Leland. Ale Leland nie żyje, więc niech się od niego odczepią!

Brolin nie mógł od razu wszystkiego powiedzieć. Jeśli zacząłby wyjaśniać historię DNA, tamten prawdopodobnie nic by nie rozumiał, co pogłębiłoby przepaść między nimi;

- Panie Beaumont, pański syn jest pochowany na cmentarzu w Latourell, prawda?

Milton wbijał w Brolina dwie czarne szparki oczu. Przestał gładzić kurę i kiwnął głową twierdząco.

- Proszę mi wybaczyć szczerłość, ale ma pan prawo do tej informacji. Ciało Lelanda zostało wykradzione.

Dwie szparki nagle się otworzyły, odsłaniając dwie gałki oczne: białe, czerwone i niebieskie. Gałki tak szybko, jak się ukazały, wróciły do swoich czarnych jam.

- Co?! - wykrzyknął odludek. - Co za świ...

Słowa zamarły mu na ustach. Nachylił się nad poręczą krzesła; kura, którą ścisnął pod pachą, rozgdała się histerycznie. Z niewielkiej sterty drew na opał wyciągnął coś długiego i łyskającego srebrem.

Brolin nie od razu zrozumiał, co się zapowiada. Zorientował się, co starzec ma w dłoniach, dopiero kiedy od chromowanej końcówki przedmiotu odbił

się zagubiony promień słońca.

Siekiera ze świstem przecięła powietrze. Było już za późno.

Milton puścił to, co trzymał w jednym ręku.

Kura zatrzęsała się, jakby napadem szaleńczego spazmu reagując niedowierzająco na to, co się stało. Brolin zauważył, jak podskoczyła, kiedy krew wytrysnęła w powietrze ciepłym gejzerem, wydając dźwięk podobny do plastikowej butelki, kiedy wyciska się z niej resztki płynu do zmywania.

Kura, bez głowy, bo ta leżała obok na piachu, puściła się pędem, jakby chciała uciec przed koszmarem. Kiedy już z obciętej szyi wyciekło wystarczająco dużo krwi, ptak zwałił się miękko na

ziemię.

- Panie władzo, jeśli pan tu przyszedł, żeby mi oznajmić tę nowinę, to spadaj pan teraz, albo jeśli chcesz mnie pan zamknąć, proszę bardzo, bo osobiście nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Panie Beaumont, być może...

- Zamknij się pan. Albo mnie pan zabierasz, albo spadaj pan stąd!

Brolin spojrział na krew spływającą z krzesła. Wokół w promieniu wielu kilometrów nikogo nie było i jeśli Milton wpadłby w szal, nikt by Brolinowi nie pomógł. Na siekierze w rękach starca nie było ani kropli krwi.

- Dobrze. A zatem... do widzenia.

Podniósł się, obserwując dyskretnie Milтона Beaumonta. Starzec patrzył na niego obojętnie.

- Ale mam jeszcze prośbę. Czy mógłbym wziąć próbkę pana śliny?

Milton schylił głowę. Górną część policzka przeciął mu nerwowy tik.

- A po co to panu?

- Chciałbym zrobić porównawcze badanie genetyczne. To jest tak, jak z odciskami palców, tyle że używa się krwi albo śliny. Jeśli pan się zgadza, porównamy pana ślinę ze śliną mordercy i to oddali od pana wszelkie podejrzenia. Z tym, że oczywiście nie jest pan o nic podejrzany. Proszę o to prywatnie; nie musi się pan na to zgodzić.

Brolin nie był pewien, czy tamten w ogóle coś zrozumiał, i już chciał po prostu odejść, kiedy Milton kiwnął głową.

- Co pan chce, żebym zrobił? Mam splunąć do strzykawki?

W tej ciężkiej atmosferze uśmiech, który rozchylił wargi Brolina, był jak wyzwolenie.

- To nie będzie konieczne. Mamy teraz metodę bardziej nowoczesną. Niech pan zaczeka, pokażę panu.

Chwycił swoją plastikową walizeczkę, która czekała na niego w mustangu, i wyjął lateksowe rękawiczki. Poprosił Milтона, żeby ten splunął na czystą chusteczkę i za pomocą szpatułki wziął próbkę jego śliny.

Kiedy wsiadał do samochodu, zobaczył, że Milton podnosi martwą kurę z ziemi. Przeszedł go nagły dreszcz, kiedy uświadomił sobie, że ojciec Lelanda mógł zdzielić siekierą jego, a nie kurę. Przyjechał tu sam, nieoficjalnie; nikt by go nie znalazł.

„Ale to nie było w stylu Milтона, nie przyszłoby mu to do głowy”.

„A niby dlaczego? To, że nie jest zbyt rozgarnięty, nie oznacza, że nie umiałby wyrazić swoich emocji czynem”.

Samotnik wyprostował się z jeszcze ciepłą kurą w rękę. Wpatrywał się w mustanga.

Hałas zapalnego silnika odbił się echem od wierzchołków drzew, Brolin zobaczył w lusterku wstecznym, jak stojąca nieruchomo na środku drogi postać ojca Lelanda robi się coraz mniejsza, po czym znika. Przez całą drogę powrotną męczyła go jedna myśl,

Kiedy się prostował. Milton wbił wzrok w oczy Brolina.

Wiedział.

Wiedział, że miał przed sobą tego, który zabił jego syna.

Trzydzieści sześć godzin.

To wszystko, co mogła znieść Juliette. Nie widziała Josha od poprzedniego ranka i już męczyła ją tęsknota. „Przecież w dwa dni chyba nie można się zakochać? Nie - powtarzała sobie - to nie jest miłość; to jest przywiązanie.

Pragnienie, żeby jak najszybciej znów się spotkać, móc się wciąż na nowo wzajemnie odkrywać, zachwycać się sobą i przytulać się mocno do siebie”.

I jak to nazwać?

Przywiązaniem?

Ponownie odgoniła te myśli, wymierzając sobie w wyobraźni policzek w postaci powrotu do innego męczącego tematu, który ciążył jej na piersi jak kamień.

Leland Beaumont.

Właściwie w jakim punkcie znajdowała się ta sprawa? Jo-shua wyjawiał jej wyniki kontroli DNA. Na samą myśl o nim na cmentarzu, rozkopującym grób Lelanda, Juliette przebiegały dreszcze i w ogóle nie mogła zasnąć, pragnąc znaleźć się znów w ramionach Brolina i szukając go w półśnie wśród poduszek rozrzuconych na jej wielkim łóżu.

Cały ranek spędziła, czekając na telefon. Joshua zadzwonił późnym popołudniem: głos miał znużony, z trudem ukrywał zmęczenie i ogarniającą go niepewność. Nie chciał nic powiedzieć, ale ona wyczuła, że sprawa śledztwa przybrała niepomyślny obrót. Zapytała, czy to ma coś wspólnego z Lelandem i jego grobem, ale Joshua zamilkł; uprzedził tylko, że przyjdzie wieczorem na kolację, i się pożegnał.

Teraz Juliette szukała wsparcia u Camelii. Wiedziała, że może liczyć na pełne zrozumienie, jeśli tylko zdradzi, co czuje wobec młodego inspektora.

Było wpół do siódmej i na miasto opadł ciemny woal nocy.

Na zewnątrz, za wielkimi oknami domu Camelii, na szczytach West Hills powoli zapalały się światła Portland. Miasto, wyglądając jak bożonarodzeniowa choinka, roztaczało atmosferę jak z powieści Dickensa.

- Dziwię się, że twoi rodzice nie przyjechali, żeby choć trochę cię wspomóc -

zauważyła Camelia, odgryzając wielki kęs soczystego jabłka.

Juliette, skulona na kanapie, z kolanami pod brodą, wzruszyła ramionami

- Szczerze mówiąc, nie powiedziałam im wszystkiego. Wiesz, jacy oni są.

Zresztą sami też nacierpieli się w zeszłym roku. Nie chcę, żeby znów to przeżywali.

- Kochanie, wiem, że lubisz samotność, ale gdyby przyjechali, twój dom by odżył, zrobiłoby się w nim wesoło, a wierz mi, że tego ci teraz najbardziej brak! Nie powinnaś żyć w takim... odosobnieniu.

- Och, przestań. Przecież mnie znasz.

Camelia pokręciła głową, co miało wyrażać przyjacielską wątpliwość.

- A inspektor Brolin? Co słysząc na jego froncie? Położyła nacisk na funkcję sprawowaną przez Brolina,

przekornie akcentując wyraźnie każdą sylabę.

- Wszystko dobrze. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- To wszystko? Rozmawiałam przez telefon z Anthonym Desaux. Powiedział, że wy szliście z zamku znacznie później niż majordomus. Co tam robiliście tyle czasu?

Camelia, z uniesionymi brwiami i uśmiechem w kącikach ust, nie zadawała żadnego dodatkowego pytania; czekała tylko na szczegóły, na potwierdzenie swoich podejrzeń.

Juliette zobaczyła w wyobraźni dwa spocone ciała złączone w jęku rozkoszy.

Ale wizja ta została natychmiast wyparta przez obraz starych ksiąg w bibliotece, i trawiona dziwną nostalgią, Juliette wróciła na ziemię z orbity marzeń, czując się trochę niepewnie. Zrozumiała, że jej przyjaciółka tylko czeka na zwierzenia.

- Ale z was plotkarze! - rzekła. - Wyobraź sobie, że znaleźliśmy to, czego szukaliśmy, a wynik naszych poszukiwań jest przerażający..

- Nie opowiadaj mi bzdur; mnie nie oszukasz. Jaki on jest? Juliette, bardziej zawstydzona niż zakłopotana, spuściła wzrok.

- Delikatny...

To było jedyne słowo, które wydobyło się z jej zaciśniętych ust.

- I proszę! Gdybyś mnie posłuchała, nie straciłabyś tyle czasu! Od kiedy już ci mówię, żebyś przeszła do ataku, tylko ty mnie w ogóle nie słuchasz! No, dobrze. A czy się widujecie?

- Umówiliśmy się na dzisiejszy wieczór,

- Dziś wieczór? I siedzisz tutaj ze starą Camelią? O tej godzinie powinnaś już stać pod prysznicem, zastanawiać się, w co się ubierzesz, skropić pościel perfumami! - dorzuciła, zaciskając usta w

udanym oburzeniu.

- Nie wiem. Mogę też wystąpić tak, jak jestem. Nie muszę się malować; nie chcę go oszukiwać.

Camelia aż podskoczyła na fotelu.

- Ależ z ciebie głuptas! Wystroić się i wyperfumować to nie znaczy oszukiwać; to znaczy dopracować akcję uwodzenia. Ubranie jest po to, żeby podkreślić to, co masz ładnego, a nie po to, żeby ukrywać to, co niedoskonałe, choć czasami... Ale ty nie masz tego problemu. Stań się jeszcze wspanialsza: jesteś nieodparcie ponętna, możesz być zachwycająca!

Zapał, który przejawiała jej najlepsza przyjaciółka, niemal dziesięć lat od niej starsza, ubawił Juliette. To ona, dwu-dziesięcioletka. powinna tak przemawiać do Camelii, a nie pozwalać rozwiedzionej trzydziestolatce dawać sobie lekcje uwodzenia.

- Nie mówimy o tym, żeby wytrzymać razem dziesięć lat, Juliette - ciągnęła tymczasem Camelia. - Chodzi o to, byś wydała się tak pociągająca, żeby on nie wytrzymał. Czy nigdy ci się nie zdarzyło spędzić wieczoru ze świeżo poznanym chłopakiem i starać się pokazać mu od najbardziej uroczej strony; bez specjalnych skrupułów robić wszystko, żeby umierał z pożądania przez całą kolację? Wierz mi, nic nie jest warte tej przyjemności, kiedy widzisz, że on już nie może wytrzymać, że napięcie rośnie do niemożliwości, że on prawie umiera, tak cię pragnie! Uwierz swojej przyjaciółce, starej czarownicy: czeka cię wówczas niezapomniana noc!

Na twarzy Juliette pojawiło się rozbawienie.

- Nie wiem, czy ja właśnie tego pragnę...

- Gdybyś wreszcie zachowała się tak, jak dziewczyna w twoim wieku powinna się zachować. Czyli jak kobieta!

Oczywiście, że tego pragniesz, tylko że nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy Czy chcesz usłyszeć moje zdanie? Myślę, że uciekasz przed szczęściem, ponieważ masz wrażenie, że to nieprzyzwoite odczuwać szczęście w obecnej sytuacji.

- Camelio, ktoś w tej chwili morduje kobiety! A morderca mógłby... mógłby okazać się przyjacielem Lelanda Beau-monta. Mam jednak prawo się niepokoić!

- I marnować życie? W każdej minucie ktoś gwałci jakieś kobiety, ktoś masakruje dzieci. I co ty na to? Czy to znaczy, że masz zrujnować sobie dobry nastrój? Pomyśl czasem tylko o sobie; egoizm to klucz do szczęścia.

- Nie wiem...

Camelia podeszła do przyjaciółki.

- Juliette... - powiedziała ciszej, dotykając dłonią jej policzka. - Nie chcę, żeby ten bydlak cię wykończył. Sama powiedziałaś kilka miesięcy temu: „Nie zgadzam się, żeby ten facet mnie

zniszczył!" Ale kiedy słucham cię dzisiaj, nie mam

wrażenia, że sprawa się dla ciebie zakończyła. Weź głęboki oddech, odpędź

nawiedzające cię duchy, zacznij żyć. Bądź

szczęśliwa.

Juliette położyła głowę na ramieniu Cameli.

- Jesteś jak reklama scientologów - wyszeptała.

- Idiotka!

Kilka minut później Juliette pchnęła drzwi do swojego domu, żeby wreszcie zająć się sobą i przygotować się na wizytę Brolina.

Camelia zgasila światło w kuchni i owinęła się w koc, siadając przed telewizorem. Naciskała przyciski pilota, aż wreszcie znudziły ją idiotyzmy pokazywane w telewizji. Pokręciła się po salonie. „Może rozpalę ogień w kominku?” -pomyślała.

„Ach, ta Juliette... Taka wyjątkowa dziewczyna, a jeszcze spędzi resztę życia samotnie, nie znalazłszy nikogo odpowiedniego. Ależ życie bywa niesprawiedliwe. Dlaczego jedni rodzą się piękni i inteligentni, a inni nie?”

Camelia zawsze miała poczucie, że musi istnieć jakiś nadrzędny wymiar sprawiedliwości. Jeśli ktoś urodził się z nadmiarem zalet, z pewnością prędzej czy później natura, w trosce o zachwianą równowagę, postawi na jego drodze istotne przeszkody. Na przykład taka osoba nie będzie mogła mieć dziecka albo będzie sama przez większą część życia, albo jeszcze w młodości zapadnie na ciężką chorobę... Nie można mieć samych korzyści za darmo; to byłoby nie do przyjęcia dla innych. Natura jest zbyt dokładna, zbyt perfekcyjna w swoich wyliczeniach, żeby się tym nie zająć. Nie powoły-wałyaby do życia tak doskonałych istot, po czym kazała im ginąć z rąk innych, mniej przez nią rozpieszczonych, gdyby nie istniała ta cicha pewność, że w końcu wszystko się wyrówna.

Juliette nie była wyjątkiem w tej grze. Wzrok Camelii padł na okładkę książki zostawionej na kredensie.

Sprzysiężenie głupców Johna Kennedyego Toolea.

Juliette dała jej kiedyś tę książkę, mówiąc, że gdy ją przeczyta, na pewno stanie się inna. Autor włożył w nią serce i duszę, a kiedy się okazało, że żaden wydawca nie chce przyjąć rękopisu, popełnił samobójstwo. Wreszcie jego matka zmusiła jednego z wydawców do przeczytania dzieła syna, które stało się bestsellerem i dostało nawet Pulitzera.

Oto ironia losu.

Oto naturalna równowaga.

Camelia obiecała sobie, że spędzi wieczór na lekturze tej książki i ruszyła po schodach do łazienki, żeby przed pójściem do łóżka zrobić sobie ciepłą kąpiel w odprężającej mieszance relaksujących soli.

Juliette przykryła stół w salonie ciemnoniebieskim obrusem. Po długim zastanowieniu zdecydowała, że nie zamówi ani pizzy, ani chińskiego jedzenia, tylko spróbuje coś przygotować sama. Przez dziesięć minut szukała dwóch świeczników, które jej matka postawiła kiedyś na kominku, żeby w końcu znaleźć je na dnie jednej z szaf. Upewniła się, że ma wszystkie składniki na przyzwoitą kolację dla dwóch osób i zabrała się do jej przygotowania.

Joshua powinien być za około godzinę, wbiegła więc na górę, aby wybrać coś do ubrania, w czym wyglądałaby seksownie, a nie wulgarnie. Miała już pójść do łazienki, kiedy otworzyła szufladę z bielizną. Tego również nie należało lekceważyć, jeśli miało się wyglądać dobrze. Wybrała czarny komplet, skromny, ale uwodzicielsko wycięty.

Pchnęła drzwi łazienki, szybko zrzuciła z siebie ubranie i odkręciła wodę pod prysznicem.

Dzielnica nie była wyludniona, o nie. Ale wszystkie domy były bardzo duże, oddzielone od siebie ogromnymi ogrodami. Całe życie skupiało się na oświetlonych parterach. Ulice były puste.

Doskonale.

Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu, poprawiając marynarską czapkę na głowie. Bardzo ją lubił: szczęśliwe znalezisko.

Szedł chwilę chodnikiem z rękami w kieszeniach, podziwiając świetlisty krajobraz, który roztaczał się w oddali, u stóp wzgórza. Było to jednocześnie piękne i odpychające. Całe miriady ziemskich gwiazd błyszczały naraz wszystkimi kolorami, ale oznaczały jedno - skupisko ludzkie. Wszyscy ci ludzie żyjący w okowach pracy i kontaktów z innymi ludźmi, w okowach dobra i zła. Ale co oni wiedzieli o dobru i złu? Kim byli, żeby tak autorytatywnie określać, co jest dobre, a co jest złe? Czyżby byli bogami?

Nie, oczywiście, że nie; ale chcieliby nimi być. Albo się nimi stać.

Tak mu właśnie często mówiono: „Człowiek, pragnąc za wszelką cenę zastąpić wciąż umykający, chwiejny obraz Boga, stworzył postęp techniczny.

Technika jest narzędziem człowieka pragnącego stać się Bogiem”.

Oczywiście człowiek, który idzie tego wieczoru asfaltowym trotuarem, nie ma takich myśli, a przynajmniej nie są one w ten sposób sformułowane.

Stara się je w pełni zrozumieć, wytrzymać ich moc i skonfrontować je z własnymi słowami, ale nie potrafi tego zrobić. I jego wściekłość jeszcze się zwiększa.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies, natychmiast uciszony przez właściciela.

Mężczyzna w marynarskiej czapeczce przystanął i stał bez ruchu, dopóki się nie upewnił, że nikt go

me widział. Uprzedzono go, że nie może być żadnych świadków - był to najważniejszy punkt rytuału.

Przeszedł w dół chodnikiem jeszcze około stu metrów. Spojrzał na dom, którego szukał. Był wielki. Okna miał wysokie i szerokie. Musiały w dzień wpuszczać dużo słońca.

Wszędzie było ciemno, z wyjątkiem małego okna na pierwszym piętrze, na pewno od łazienki, z którego było słabo widoczne w nocy światło.

Wszedł w aleję obrośniętą ligustrem i obszedł dokoła sąsiedni dom. Wejdzie od tyłu i nikt go nie zobaczy.

Nałożył rękawiczki. To było bardzo ważne. Tak go nauczono. Dzięki rękawiczkom nie mogła go dosięgnąć negatywna energia obecna przy uwalnianiu duszy. A przecież z trudem się hamował, żeby nie ściągnąć ich choć na chwilę i nie dotknąć skóry - za każdym z obu razów, kiedy wykonywał tę pracę. Miał taką ochotę pogłodzić tę skórę; przynajmniej poczuć ją pod palcami, zobaczyć, jaka była w dotyku. Ale to mogło zniszczyć wszystko, całą ich pracę.

Zakradł się wzdłuż lewej ściany wielkiego domu i, tak jak mu powiedziano, znalazł metalowe pudełko ukrywające gruby kabel biegnący w górę. W

uciekającym blasku księżyca błysnęło jak lodowy odłamek ostrze noża.

Kabel został przecięty. Telefon nie działał.

Tylne drzwi były zamknięte. Nikt go tu nie chciał. Zacisnął zęby, ale jego wściekłość nie zelżała.

Okno kuchenne zostało błyskawicznie zalepione brązową taśmą klejącą i kiedy trzonek noża rozbił szkło, wokół nie rozległ się żaden dźwięk.

Wszedł do kuchni. Dłońmi w rękawiczkach pogłodził zdjęcia przyklejone do lodówki. Wziął głęboki oddech.

Rury z ciepłą wodą przepływającą pod ciśnieniem do łazienki szumiały cicho.

W łazience na piętrze woda wlewała się do wanny, zapa-rowując wszystko wokół. Kobieta kąpała się, nucać pod nosem jakąś melodię.

Nie usłyszała ani skrzypienia podłogi, ani kroków mężczyzny, który powoli wchodził po schodach.

Później, w nocy, położył dłoń na miękkiej piersi, której koniuszek sterczał w jego kierunku. Skóra była zwiotczała, ale z powodu rękawiczek właściwie nic nie czuł. Przeklęte rękawiczki; gdyby mógł dotknąć piersi nagą dłonią, trochę ją pougniatać, przez chwilę nią zawładnąć!

Podniósł oczy i zobaczył twarz skurczoną z trwogi, w agonii, i czoło spalone kwasem, który zakrył na zawsze pentagram. Jego sekret. Ich sekret.

To nie była kobieta. To była rzecz. Rzecz, która nie miała własnego życia. To on ożywił ją mocą

swojej żądy; była narzędziem jego fantazji, jak zabawka, którą człowiek pragnie spokojnie pobawić się w samotności.

Nie zauważył słabego bicia serca ani nerwowego drgania mięśni, Nie zauważył żadnej z tych rzeczy. Liczył się tylko znak, którym naznaczył czoło.

Od tej chwili dusza nie istniała, została sama powłoka - skóra i ciało. Mógł z nimi zrobić, co chciał. To była jego własność. Pozbawiona duszy.

Zimna stal ostrza prześlizgnęła się po nagim udzie. Ostrze przesunęło się powoli, bardzo powoli, ku górze i poczuł, jak jego członek twardnieje.

Naostrzony nóż zgolił po drodze warstewkę meszku porastającego tu i tam błyszczącą skórę nóg.

Jęk, właściwie krótkie piśnienie wydobyło się z ust kobiety leżącej bezwładnie na podłodze łazienki. Nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Nie widział łez płynących z jej oczu, kiedy spod noża trysnęła krew.

Czuł tylko własną rozkosz.

Wtorkowy ranek zastał Brolina przy stole w kuchni, pijącego wielkimi łykami sok z wyciśniętych pomarańczy. Było wcześniej, Juliette jeszcze spała; nie śmiał jej budzić. Spędzili razem wspaniały wieczór, zjedli naprędce przyszykowaną kolację, uraczyli się wspaniałym kalifornijskim winem i długo siedzieli przed kominkiem, zanim prześlizgnęli się do sypialni.

Brolin włożył skórzaną marynarkę i wyszedł do samochodu. Dwóch mężczyzn w cywilu trzymało wartość, przysypiając w aucie. Brolin machnął im ręką i pojechał do komendy.

Szybko wszedł do swojego gabinetu i sprawdził, czy nikt nie nagrał się na automatyczną sekretarkę, nie przysłał mu maila czy faksu. Niestety, nic na niego nie czekało.

Usiadł w fotelu i spojrzał na wielką tablicę, na którą na-nosił wszystkie swoje wnioski dotyczące profilu mordercy i elementów śledztwa. Stamtąd przeniósł spojrzenie na ścianę, następnie na podłogę, a w końcu na długo nieużywaną konsolę gier wideo. Do niedawna praca była dla niego źródłem zarobku, ale i całym jego życiem. Jeśli nie pracował nad żadnym śledztwem, siedział tu godzinami z ręką na dżojstiku konsoli, z oczami wbitymi w ekran, w oczekiwaniu na kolejną sprawę. W domu również nic na niego nie czekało.

Zapowiadało się, że tak będzie już zawsze i że skończy jako stary policjant, z telewizorem i przykrymi wspomnieniami jako jedynymi towarzyszami.

Teraz pojawiła się Juliette. Słodka, piękna Juliette. Nie wiedział, czy ta historia będzie trwała długo, ale warta była tego, żeby spróbować. Bardzo tego pragnął.

Jego spojrzenie padło na plastikową walizeczkę i przypomniał sobie próbkę śliny, którą schował do lodówki. Musi ją oddać Craigowi Novie albo Carlowi DiMestro, żeby sprawdzili kod genetyczny. Ale teraz, kiedy po tak długim czasie znów zobaczył Milтона Beaumonta, stwierdził, że on nie może być winny. Był odstręczającym dziwakiem, to prawda, ale żeby zabijać kobiety?

Był stary, a przede wszystkim lekko ograniczony umysłowo. No i bez protestu pozwolił wziąć próbkę swojej śliny, a przecież mógł odmówić.

Przy okazji musi dać tę próbkę Craigowi.

Odgłos drukującego się faksu wyrwał Brolina z zamyślenia.

Podsłoczył do urzędu i zaczął czytać, zanim jeszcze kartka w całości się z niego wysunęła. Nie wierzył własnym oczom. Faks był wysłany z biura szeryfa w Beaverton, na zachód od Portland.

ZIDENTYFIKOWALIŚMY OFIARĘ Z LASU, ZAŁĄCZAMY LIST GOŃCZY Z
8 PAŹDZIERNIKA.

Ósmy października, to znaczy cztery dni temu. A przecież ofiara została zamordowana w nocy z 29

na 30 września, dziesięć dni wcześniej. Brolin chwycił pierwszą stronę faksu i zaczął niecierpliwie czytać.

Poprzedniego dnia Carl DiMestro dostarczył do biur wszystkich szeryfów stanu Oregon faksy i maile z prośbą o informacje na temat „ofiary z lasu”, której twarz została częściowo odtworzona za pomocą elastomeru silikonu.

To samo zdjęcie przesłano do gazet, z prośbą o umieszczenie ogłoszenia o poszukiwaniu świadków, mającego ukazać się jak najszybciej z następującą informacją: „Jeśli znacie państwo tę młodą kobietę albo jeśli ktoś ją widział, proszę skontaktować się z...” itd.

Jeden z ludzi szeryfa z Beaverton przypadkowo przeczytał to ogłoszenie, świeżo przypięte pinezką do ściany, i skojarzył je ze zdjęciem, które przed chwilą pokazały mu dwie młode dziewczyny.

Kobieta nazywała się Anita Pasieka i miała dwadzieścia sześć lat.

Przez kilkadziesiąt następnych minut Brolin dwoił się i troił, biegając dzwoniąc i zbierając informacje Koło dziewiątej Bentley Cotland zapukał do niego i zaoferował pomoc, bo przecież był tu po to, żeby się uczyć, i Brolin powierzył mu posortowanie dokumentów, co jednak nie zachwyciło przyszłego prokuratora.

Pod koniec ranka Brolin wezwał do siebie Lloyda Meatsa i Salhindra.

Bentley Cotland popatrzył na nich z pewną dumą, trzymając dłoń na stercie już ułożonych dokumentów. Brolin przyjrzał się Meatsowi, dostrzegając, że zastępca kapitana nie ma już swojej krótkiej czarnej bródki.

- Czyżbyś zrobił porządek z nękającymi cię problemami? - zdziwił się młody inspektor. - Nie musisz już chować się za ochronną zasłoną?

Była to zwykła przyjacielska zaczepka niewymagająca odpowiedzi, ale Meats poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

- Żona męczy mnie od lata, żebym ją ściał, i już nie mogłem dłużej wytrzymać tego gadania!

- Dlatego ja nie jestem żonaty! - wykrzyknął Salhindro, poklepując się po wystającym brzuchu.

Brolin zamknął drzwi.

- Panowie, mamy coś nowego. Ale najpierw - na jakim etapie jest sprawa profanacji grobu Lelanda?

Meats westchnął, naciągając palce tak, że zaczęły strzelać w stawach.

- Niestety, rzekłbym, że... w martwym punkcie. Przez cały wczorajszy dzień wypytywałem personel cmentarza, wszystkich, którzy pracowali tam od zeszłego roku, i nikt nic nie wie. Twierdzą, że jest możliwe, jeśli będzie się działało dyskretnie i miało wystarczająco ważny powód, otworzyć grób i wyjąć ciało, a później wszystko zasypać tak, że nic nie będzie widać, pod warunkiem jednak, że

nastąpi to tuż po pogrzebie, inaczej przekopana ziemia zdradzi profanację.

- Chyba że ci, którzy ukradli ciało, zrobili to w nocy, kiedy lało - zauważył

Bentley

- Racja! - potwierdził Meats. - Tak powiedział mi jeden z grabarzy, ale kopanie w deszczu wymaga dwa razy więcej czasu i wysiłku.

„Wiem coś o tym” - chciał dorzucić, wspominając ekshumację, ale się powstrzymał.

- I nie słysząc, jak ktoś nadchodzi, na przykład dozorca, który wybrał się na obchód. To nie najwspanialsze warunki dla kogoś, kto chce działać w tajemnicy

- W takim razie możemy przyjąć, że grób został sprofanowany w pierwszych tygodniach po pogrzebie
- podsumował Brolin - Musieli przygotować swój plan z dużym wyprzedzeniem...

Szybko zanotował coś w swoim notesie

- Dobrze; a ty co znalazłeś? - zapytał Meats.

- Nie ma w tym, co powiem, żadnej mojej zasługi: wszystko to zawdzięczamy młodemu szeryfowi obdarzonemu zmysłem obserwacji. Zidentyfikowano pierwszą ofiarę.

Obaj oficerowie policji zamilkli. - Dziś rano - ciągnął Brolin - mężczyzna w hrabstwie Waszyngton oficjalnie rozpoznał twarz pierwszej ofiary na zdjęciu rozesłanym do biur wszystkich szeryfów w regionie. Zidentyfikował ją zastępca szeryfa Hazelwood. Cztery dni wcześniej, w piątek ósmego października, na posterunek przyszły dwie dziewczyny i zgłosiły zniknięcie swojej współlokatorki, Anity Pasiaki. Obie wróciły z krótkiego pobytu w Meksyku i zdziwiło je, że jest już wieczór, a Anity wciąż nie ma. Poczekwały dwadzieścia cztery godziny i zgłosiły jej zaginięcie. Hazelwood spisał ich oświadczenia i wziął od nich zdjęcie Anity. Później nic szczególnego nie nastąpiło. Skontaktowano się z rodziną Anity w Illinois, ale jej tam nie było.

Dziś rano Hazelwood przeszedł koło tablicy informacyjnej i skojarzył zdjęcie rozesłane przez nas ze zdjęciem zaginionej. To ta sama dziewczyna.

- Gdzie to dokładnie było? - spytał Salhindro.

- W Beaverton.

- To bardzo blisko - rzekł. - Czy zawiadomiono rodzinę?

Głos Brolina spoważniał.

- Jej rodzice są w tej chwili u szeryfa w Beaverton. Wszyscy w milczeniu pomyśleli o bólu rodziców.

- Tak szybko, jak mogłem, zebrałem wszystkie dostępne informacje na temat Anity Pasieki - podjął Brolin niskim głosem. - Pewnie to potrwa, zanim ustali się miejsce i godzinę jej spotkania z mordercą. Boję się, że upłynęło już zbyt dużo czasu.

- Czy mamy gotową syntezę? - zapytał Meats, niespecjalnie licząc na odpowiedź pozytywną.

Lloyd Meats pracował w policji kryminalnej wystarczająco długo, żeby dysponować już pewną wiedzą na temat seryjnych morderców Brał udział w śledztwie w sprawie. "Mordercy z Green River" jako jeden z wielu odpowiedzialnych

za przebieg postępowania inspektorów. Trudność w zatrzymaniu seryjnych morderców wynika ze sposobu, w jaki wybierają swoje ofiary. Nie zabijają bowiem kogoś ze swojego bliskiego otoczenia, jak czyni większość zwykłych morderców, ale zabijają jakby przypadkowo. Wystarczy, że zauważą jakąś kobietę, która przypomina im kobietę z ich wyobrażeń - i już mamy nową ofiarę, niezwiązaną w żaden sposób z osobą mordercy. Jednak może się zdarzyć, że seryjny morderca działa według jakiegoś schematu, że zależy mu na konkretnym elemencie, którego się trzyma, bo on stanowi istotną część jego rojeń. Może więc zabijać w podobnym miejscu albo podobny typ kobiety, albo o tej samej porze dnia - i to będzie już pierwszy ślad, który pomoże go zdemaskować. To właśnie miała wykazać „synteza” - miała ustalić szczegóły, który łączył ofiary

Brolin wziął tekturową teczkę ze sterty dokumentów leżących przed Cotlandem.

- To właśnie zamierzałem wam pokazać. Jest syntza, nawet nie najgorsza.

Elizabeth Stinger, druga ofiara, pracowała dla szczególnej agencji modelek, a mianowicie dla firmy, która prowadzi sprzedaż wysyłkową i kieruje swoją ofertę do kobiet w różnym wieku, głównie niepracujących. Firma przygotowuje katalog, w którym są zdjęcia starszych i młodszych kobiet o rozmaitej urodzie i figurze, żeby zain-teresować jak najszersze grono klientek - od pięćdziesięcioletniej gospodyni domowej po jej córkę, zahaczając po drodze o trzydziestoletnią sąsiadkę. Elizabeth miała się różnych drobnych zajęć, żeby związać koniec z końcem, ale głównym źródłem jej dochodów był odnawiany co roku kontrakt z tą firmą. To samo robiła Anita Pasieka.

Salhindro wyjął z kieszonki na piersiach paczkę papierosów.

- Cholerny świat! - mruknął, wsuwając między wargi newporta. - To raczej nie wygląda na zbieg okoliczności.

Lloyd Meats wyciągnął rękę do Salhindra. który podał mu papierosa. Mimo że myślami przebywał gdzie indziej,

Brolin był zmuszony do wdychania nikotynowych wyziewów i opanowało go gwałtowne pragnienie zaciągnięcia się głęboko tą „fajką śmierci”. Jeśli tu z nimi posiedzi zbyt długo, złamie się; na pewno się złamie. Choć, z drugiej strony, do czego to podobne, żeby starał się skrócić bardzo ważną odprawę, ponieważ nie mógł znieść zapachu tytoniu? Zdenerwował się. Co z niego za człowiek? Jak można być tak słabym? Zebrał się w sobie i odrzucił tę idiotyczną pokusę.

- Nie wygląda na zbieg okoliczności, choć oczywiście może nim być, ale musiałby to być naprawdę wyjątkowy wy-padek - odpowiedział. - To spora firma; zatrudniają około stu osób. Dzwoniłem już do nich i po południu mam wyznaczone spotkanie.

- Czy myślisz, że mordercą może być jeden z pracowników? - spytał Meats.

Prawdopodobne; w każdym razie logiczne. On wybie-ra między tym, co widzi przez cały dzień. On albo „Życzliwy”. Ale inteligencja „Życzliwego”

wskazywałaby na coś innego - to jest dla niego zbyt łatwe; on wie, że prędzej czy później wpadniemy na to, weryfikując fakty. Jeśli to mu nie przeszkadza, to znaczy, że uważa za niemożliwe, żebyśmy do niego dotarli tym tropem.

Jest więc mało prawdopodobne, aby był bezpośrednio związany z tą firmą.

Tak czy inaczej, nie należy odrzucać tego tropu. Pójdę na spotkanie z dyrektorem Fairy's Wear, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o naszych ofiarach, a później wpadnę do biura szeryfa w Beaver-ton spotkać się z rodziną Anity Pasieki.

Mimo ciągłych zawodowych napięć Salhindro wypracował w sobie umiejętność dopatrywania się we wszystkim, nawet w najcięższych momentach, choćby odrobiny komizmu. To był jego sposób - i wielu jego kolegów po fachu na całym świecie - na odprężenie się.

- Fairy's Wear*? Na twoim miejscu uważałbym, spotykając się z dyrektorem takiej firmy. Brolin nie zareagował i nachylił się do Cotlanda. - Pojedzie pan ze mną? Zbadamy sprawę; może znajdziemy coś, co łączy Elizabeth Stinger z Anitą Pasieką.

Bentley Cotland kiwnął głową bez większego przekonania.

* Fairy's Wear - czarodziejskiej ubrania; "fairy" w angielskim slangu oznacza także „ciota" albo „pedał".

Philip Bennet prowadził firmę Fairy's Wear od siedem-nastu lat, ale nie zdarzyło mu się jeszcze, żeby musiał gościć w swoim biurze policję. Zawsze płacił mandaty i wykonywał wszystkie obowiązki, jakie nakładało na niego życie w społeczeństwie, kiedy więc zjawił się u niego inspektor Brolin z wydziału dochodzeniowo-śledczego w towarzystwie zastępcy prokuratora, Philip od razu wiedział, że to go nie dotyczyło, w każdym razie nie bezpośrednio. „To w sprawie Elizabeth Stinger - pomyślał i znów dostał

palpitacji.

Philip Bennet cierpiał na dużą nadwagę i źle znosił nadmiar emocji, a jeszcze gorzej od chwili, kiedy wrócił do palenia, co nie było wskazane w jego chorobie. Miał problemy z sercem i był zbyt szczodry, co prędzej czy później miało go doprowadzić do zguby - oto wielki dylemat filantropów epoki społeczeństwa konsumpcyjnego. Moment ten wydawał się bardzo bliski, kiedy inspektor zawiadomił go o śmierci Anity Pasieki.

Zatrudniał wiele osób, ale pamiętał ją, ponieważ pracowała dla niego od trzech lat. Fairy's Wear wzywało ją regularnie na sesje zdjęciowe, a jeśli się nad tym zastanović, nie widział jej już od kilku tygodni. Sprawdzając plan na najbliższy okres, Philip potwierdził w rozmowie z inspektorem, że Pasieka miała pracować w następną sobotę. Dlatego nikt się nie denerwował

jej nieobecnością..

Anita Pasieka i jej jasne loki. Dlaczego ona? Była taka miła, taka uprzedzająco grzeczna. Kiedy trzy dni wcześniej dowiedział się o zabójstwie Elizabeth Stinger, nie zmrużył oka w nocy. Całą niedzielę spędził, usiłując porozumieć się z rodziną Stingerów, wiedział bowiem, że Elizabeth miała córeczkę i chciał się upewnić, że dziecko ma opiekę.

Ta był prawdziwy szok dowiedzieć się o śmierci dwóch swoich pracowników w ciągu niecałego tygodnia.

Siedzący naprzeciw niego Brolin wyciągnął zdjęcie twarzy, która wyglądała jak wyrzeźbiona w nieprzezroczystej żywicy pomalowanej na cielisty kolor.

- Tak, to ona - stwierdził. - To znaczy, ta twarz jest... Na tym zdjęciu wygląda jak z plastiku.

- Panie Bennet, w jaki sposób angażuje pan kobiety? Czy mają kontrakt roczny, czy też pracują na zlecenie?

Philip Bennet znajdował się jeszcze w stanie lekkiego szoku; musiał

przetrzeć czoło chustką, żeby trochę wrócić do siebie.

- Ech... Mam trzydzieści dwie stałe pracownice na rocznych kontraktach. To stanowi tak zwany trzon firmy. Pozują do zdjęć do katalogu miesiąca, występują na pokazach podczas wieczorów

organizowanych dla członkiń naszego klubu i są fotografowane do katalogów przygotowywanych na cały rok. Do tego jeszcze zatrudniamy modelki dorywczo; jest ich około pięćdziesięciu. Korzystamy z ich usług głównie wtedy, gdy pracujemy nad katalogiem letnim i zimowym.

- Czy Anita Pasięka i Elizabeth Stinger były stałymi pracownicami?

Philip przytaknął; podbródek mu zadrżał z nadmiaru emocji.

- Tak... Och, miały jeszcze jakieś inne zajęcia. Nie mogą u mnie zbić fortuny, to nie jest etat ale były naszymi stałymi współpracownicami już od dłuższego czasu.

Bennet wysunął ciężką stalową szufladę i wyjął katalog. Przerzucił kilka stron, zanim znalazł to, czego szukał.

- Proszę, niech pan spojrzy: to jest Anita. To nasz ostatni katalog, ten z lata.

Elizabeth jest trzy strony wcześniej.

Podał katalog Brolinowi, który popatrzył uważnie na sztuczny uśmiech Anity Pasięki. Błyszczący papier jakby od-człowieczał tę młodzieńczą sylwetkę, ale Brolin zaraz ujrzał w wyobraźni wnętrze zrujnowanego domu.

Pleśń, ciemności, które otwierały się tylko pod mocnym światłem silnej latarki i spalona kwasem twarz drobnej blondynki ze zdjęcia.

Podał katalog Bentleyowi, który przejrzał go uważnie.

- Czy nie zwierzały się panu ostatnio z jakichś obaw czy podejrzeń? - zapytał

inspektor.

- Jak to? Z pewnością nie opowiadały mi swojego życia. Łączyły nas stosunki wyłącznie zawodowe, mimo że lubię dziewczęta, które zatrudniam, ale jestem raczej pasterzem czuwającym nad swoim stadem. Zachowuję się może trochę jak ich ojciec, ale w żadnym wypadku nie wtrącam się w ich życie osobiste.

- Nie mówiły panu, że ktoś je śledzi lub że odbierają jakieś anonimowe telefony?

- Nie; nic takiego sobie nie przypominam. Jeszcze raz powtórzę - właściwie ich nie znałem.

Brolin przytaknął, potwierdzając, że przyjął to do wiadomości.

Wskazał ręką na inne biura w głębi budynku.

- Czy to jest cała fabryka Fairy's Wear? Wszystko jest tutaj produkowane?

- Nie, tu mieści się wyłącznie administracja. Tutaj przychodzą rachunki i działa biuro obsługi klienta,

ale mamy również magazyny w Vancouver, gdzie przechowujemy towar, i studio fotograficzne w północnej części Portland.

- Tam, gdzie pracowała Elizabeth Stinger w dniu swojego zniknięcia.

Dyrektor przytaknął ponuro.

- Niech mi pan powie, panie Bennet, czy dobrze zna pan wszystkich swoich pracowników? To znaczy: czy bierze pan udział w ich rekrutacji?

- W większości wypadków tak. To znaczy głównie tutaj, w siedzibie zarządu.

Dlaczego pan o to pyta?

- Czy mógłbym dostać listę z nazwiskami wszystkich pracowników?

- Tak; postaram się, żeby dostał pan ją jak najszybciej. Och! - usta dyrektora ułożyły się na kształt litery "O", a zmarszczone brwi miały pokazać, że dopiero teraz zdał sobie sprawę, że zostało powiedziane coś bardzo ważnego. - Myśli pan że morderca jest pośród nas?

- Nie wiem. Istnieje taka możliwość. Gwałtowny dreszcz wstrząsnął grubym ciałem Philipa Benneta.

Brolin chciał dodać, że nie należy tej uwagi brać zbyt poważnie, że raczej coś takiego jest niemożliwe, kiedy Bentley Cotland gwałtownym ruchem zerwał

się z krzesła.

- Jedną minutę! - wykrzyknął. - Joshua, niech pan spojrzy tutaj.

Położył katalog na biurku i pokazał na zmianę zdjęcie Elizabeth Stinger i zdjęcie Anity Pasieki.

- Czy nic pan nie widzi?

Brolin uważnie przyjrzał się obu stronom. Anita była może o dziesięć lat młodsza. Dość ładna - idealne ucieleśnienie młodej, dynamicznej dziewczyny, która właśnie skończyła studia. Elizabeth również była dynamiczna, ale w inny sposób. Przypominała młodą matkę, była ubrana skromniej, choć miała na sobie dość krótką spódnicę.

Krótką spódnicę.

Brolin wrócił do zdjęcia Anity.

Bluzka bez rękawów.

Jak mógł tego nie zauważyć? Anita pokazywała klientom ręce, a Elizabeth nogi.

A więc te części ciała, które zostały im zabrane. - Dobrze, Bentley, doskonale...

Morderca musiał widzieć te zdjęcia. I obciął to, co aparat fotograficzny wystawił na widok publiczny

Wybrał swoje ofiary z katalogu, tak jak wybiera się mięso na obiad z lady chłodniczej w supermarkecie.

Czy można rozłożyć uczucie miłości na czynniki pierwsze? Czy można przeanalizować je ilościowo i jakościowo, nie odejmując mu ani mocy tajemnych, ani tej wewnętrznej magii, której - ponieważ jest tak niezrozumiała i niepoddająca się naszej władzy - tak się lękamy?

Juliette leżała na jednej z wielkich kanap w salonie i zastanawiała się nad powyższym zagadnieniem. W kominku paliło się, strzelając iskrami, ciężkie polano, ogrzewając i ogromny pokój, i duszę młodej kobiety rozważającej te nierozwiązywalne zagadnienia.

Ona, która jeszcze poprzedniego wieczora starała się wmówić sobie, że do Broлина jest wyłącznie „przywiązana”,

teraz, o dziwo, analizowała wszystko bardziej szczerze. Od kilku dni związek z młodym inspektorem stał się najważniejszą rzeczą w jej życiu i postanowiła tym razem nie unikać tematu. Co tak naprawdę czuła do Josha Broлина? Tak bardzo lubiła być w jego towarzystwie, ale jak długo to będzie trwało? Podobali się sobie i stopniowe poznawanie się było procesem niezwykle atrakcyjnym, ale przecież nadejdzie czas, kiedy nie będą już dla siebie tak intrygujący, tak nowi. Co się wówczas stanie? Czy miłość - bo przecież o miłość tu chodzi, nawet jeśli zupełnie świeżą - czy miłość nie jest dlatego tak mocna, tak wspaniała i pożądana, że jest uczuciem ulotnym?

Juliette chwyciła poduszkę i przełożyła ją machinalnie nad głowę.

- Przestań się torturować, dziewczyno! - usłyszała własny szept. - Niech twoim celem będzie to, co masz. Bierz życie

takim, jakie jest. A jeśli to jest szczęście, to korzystaj z niego bez ograniczeń.

Tyrada ta rozbawiła ją. „Muszę to zapisać; będzie jak znalazł za kilka lat dla moich dzieci!” - pomyślała nie bez ironii. Ona, która widziała się w przyszłości jako osoba samotna, teraz rozprawia o dzieciach!

Kończyło się popołudnie; październikowe zimno doskwierało coraz bardziej.

Juliette skrzyżowała ręce pod głowę. Powinna się zmobilizować i popracować nad wykładami: rano na uczelni utwierdził ją w tym, jak bardzo ostatnio zaniedbywała naukę. A to był dopiero pierwszy semestr!

Zadzwonił telefon. Juliette podskoczyła i westchnęła, zmartwiona, że wciąż tak reaguje na byle niespodziankę.

- Słucham?

- Panna Lafayette?

Głos był dziwny, głuchy i dochodził z daleka, jakby gruba chusteczka zakrywała słuchawkę.

- Kto... kto mówi?

- Proszę mnie uważnie posłuchać, nie będę powtarzał.

Równie nieprzyjemne jak ten głos było wrażenie niemożności rozróżnienia płci rozmówcy. Głos nie miał żadnego charakterystycznego tonu: to mogła być kobieta o szorstkim głosie albo mężczyzna o głosie wyższym.

- Chciano się ze mną zabawić. Proszę powiedzieć policji, że to wszystko ich wina. Rozpętałem siły piekła, ponieważ nie uszanowano mnie. Proszę uważać, że ma pani wielkie szczęście, panno Lafayette. Naprawdę się wahałem, ale w końcu wybrałem kogoś innego.

- Kim pan jest? - zapytała Juliette, oddychając ciężko.

- Nieważne. Jestem tutaj, żeby wypełnić moje przeznaczenie. Proszę zatroszczyć się raczej o pani bliskich...

W słuchawce zabrzmiał suchy, nieprzyjemny śmiech osoby, która nie pozwala sobie na żadne emocje, która panuje nad każdym swoim gestem, która niczego po sobie nie pokazuje, której nieczęsto wybuchający śmiech jest zawsze wyrachowany, zawsze zły. - Co...

- Cicho! Proszę przekazać moją wiadomość policji i niech nigdy więcej nie traktują mnie z góry, nigdy!

Rozmówca trzasnął słuchawką

Juliette stała chwilę ze słuchawką w dłoni i mimo że łzy napływały jej do oczu, nie śmiała zapłakać. Kto to był? I dlaczego zadzwonił akurat do niej?

Tysiąc mniej lub bardziej uspokajających wyjaśnień tłoczyło się w jej mózgu, ale drżała jak jesienny liść, który czeka na gałęzi, aż zerwie go wiatr. Pewnie jakiś wariat zdobył jej numer i zadzwonił dla kawału albo może koledzy ze studiów, którzy zakładają się o głupoty i straszą ludzi przez telefon.

Ale ten głos nie brzmiał fałszywie. Słysząc w nim było napięcie, nienawiść.

Juliette dopiero po wszystkim zaczęła sobie uświadamiać, jak zrozumiwała była ta osoba, jak nadęta! „Nie uszanowano mnie!”, „niech nigdy więcej nie traktują mnie z góry, nigdy!”. To musiał być bardzo niebezpieczny człowiek.

Najwyraźniej się hamował, mówił tylko to, co chciał powiedzieć; całą resztę dusił w sobie, zaciskał zęby i męczył się, męczył, aż do momentu, kiedy nie będzie mógł dłużej tego wytrzymać...

Juliette zamknęła oczy i zobaczyła jednego z tych ludzi, którzy pewnego dnia zostawiają wszystko, co mają, łamią wszystkie społeczne prawa i zabijają każdego, kto tylko może ożywić płomień zemsty... Taki Charles Whitman, Gene Simmons czy Howard Unruh do entej potęgi...

To nie był żart.

„Proszę raczej zatroszczyć się o pani bliskich...”

Juliette zamarła. Przed jej oczami pojawiła się wyraźnie widoczna twarz.

Skoczyła do przedpokoju i nie wkładając butów, wybiegła na dwór.

Gary Seddon i Paul O'Donner trzymali wartę przed numerem 2885

Shenandoah Terrace, przydzieleni do pilnowa-

nia czy też ochrony - każdy z nich widział to inaczej - Juliette Lafayette.

Gary sięgał co chwila do torebki z chipsami, bardziej z nudów niż z głodu.

Kiedy zobaczył Juliette wybiegającą bosą z domu, torebka chipsów spadła mu z kolan na podłogę, tak szybko starał się wysiąść z samochodu.

- Panno Juliette! Co się dzieje?! - zawołał, przebiegając przez ulicę.

Palcami prawej dłoni stukał nerwowo w kaburę, gotów wyciągnąć z niej berettę kaliber dziewięć milimetrów. Ale Juliette już siedziała w swoim starym garbusie. Kiedy odjeżdżała, z rury wydechowej charczącego silnika wyleciała chmura dymu.

Gary odwrócił się do Paula.

- Dzwon na komendę i powiedz Brolinowi, że jego przyjaciółka uciekła i że nie jest w normalnym stanie.

Zgniół chipsy leżące na podłodze i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Zaledwie kilka minut zajęło Juliette dojechanie do północnej części ulicy Trzydziestej Drugiej. Zatrzymała się przed domem położonym w najwyższym punkcie dzielnicy, ale w ogóle nie zwróciła uwagi na piękny widok Portland, który rozciągał się ze wzgórza. Podbiegła do ganku, zadzwoniła i zaczęła z całej siły walić w drzwi. Nie czekając, wyjęła drugi klucz, który Camelia dorobiła specjalnie dla niej, i otworzyła drzwi. Kiedy usłyszała słowo „bliscy”, nie wahała się ani sekundy. Nie było ich w końcu tak wielu.

Rodzice znajdowali się bardzo daleko, w innym świecie, pod spokojnym słońcem Kalifornii. Brolin dopiero niedawno wszedł do jej życia, a poza tym akurat on umiał się obronić. Zostawała tylko jedna osoba.

Kilka metrów dalej zaparkował poobijany ford i wysiadło z niego dwóch ochraniających ją policjantów. Obaj byli poważnie zaintrygowani.

Juliette stała w przedpokoju, bosą na zimnym parkiecie.

- Camelio?! - zawołała. - Camelio?! Gdzie jesteś?!

Pobiegła do salonu, później do jadalni, a kiedy weszła do kuchni, serce prawie stanęło jej w gardle.

Jedna szyba w oknie była wybita, na ziemi leżały jej kawałki posklejane brązową taśmą klejącą. To była szyba od tylnych drzwi.

„Och, nie, tylko nie to. Boże, spraw, żeby to nie było to!”

Juliette rozejrzała się po pomieszczeniu. Żadnego śladu krwi, żadnego śladu walki.

„To dobry znak; może Camelia sama wybiła szybę, żeby wejść? Może zapomniała kluczy?”

Ale to nie było zbyt prawdopodobne.

Starając się nie nadepnąć na rozbite szkło, Juliette chwyciła długi kuchenny nóż i podeszła do schodów.

Bezszelestnie dotarła na piętro. Z nożem wyciągniętym przed sobą była gotowa rzucić się na każdego, kto wyskoczyłby z którejś z szaf czy zza kotary.

Stała przed drzwiami głównej sypialni i pchnęła je delikatnie stopą.

- Nie.

Jednak jakaś woń, nieprzyjemny zapach czegoś zjełczałego, unosiła się w całym pokoju. Była jeszcze dość delikatna, ale wystarczyła, żeby wywołać lekkie mdłości.

- Hej tam! Proszę pani! - zawołał jeden z inspektorów z dołu. Stał zapewne na półpiętrze. Juliette nic nie odpowiedziała i weszła do pokoju.

Zapach stęchlizny dobiegał z pokoju obok, połączone go z główną sypialnią drzwiami. To była łazienka. Drzwi do niej były uchylone i Juliette wsunęła głowę w szparę, ściskając nóż.

Smród wdarł się w jej gardło błoną ohydnych śluzu.

Nóż uderzył z hałasem o kafelki i ostry dźwięk rozciął mdłe powietrze.

Camelia leżała w groteskowej pozycji, na plecach, ręce miała podkurczone, a skórę wypaloną od łydek do piersi. Jej uda wyglądały jak mięso zostawione zbyt długo w piecu

Skóra oddzieliła się w postaci poczerńniętych pasków, łamliwych jak wyschnięty pergamin.

Między popękany, złuszczone ciało, nad którym unosiła się woń spalenizny, było jeszcze widać czerwone rowki żył.

Camelia spaliła się tylko częściowo, ponieważ płomień, przechodząc przez dywanik kąpielowy, wygasł na kafelkach posadzki. To spalone ciało w niepokalanie, czystej łazience wyglądało jak dziwaczna pieczęć otchłani ciemności.

Z góry był to widok jak z obrazu Motherwella - ciemna, niestosowna plama pośrodku nieruchomej scenerii ilustrującej banalną, zwykłą codzienność.

Tyle że w obliczu śmierci nic nie było już banalne.

Klamka zaskrzypiała pod naciskiem palców Juliette.

Bentley Cotland i Joshua Brolin siedzieli w mustangu prześlizgującym się między samochodami jadącymi autostradą numer 8, łączącą Beavertan i Portland. Milczeli obaj myśląc o wspólnie przeżytych, męczących chwilach, kiedy w biurze szeryfa spotkali się z rodzicami Anity Pasieki. Brolin umiał

wyrazić współczucie, co nie przeszkadzało mu w zadawaniu ważnych dla przebiegu śledztwa pytań. Wydawało się zresztą, że o śledztwie pamiętał

cały czas, nawet wtedy gdy musiał wykazać się odwagą czy wyrazić współczucie. Bentley był pod wrażeniem. Jak Brolin to robił, że potrafił

zawsze zachować taką szczerłość, z jednej strony starając się podtrzymać ludzi na duchu, a z drugiej skorzystać z każdej okazji, żeby zadać istotne dla sprawy pytanie? Nawet jeśli Bentley nie przepadał za manierami Brolina, musiał przyznać, że był to prawdopodobnie bardzo dobry inspektor.

Gdyby Bentley miał choć gram zdrowego rozsądku i zdolności oceniania rzeczy z pewnej perspektywy, nie byłby tym dowodem cynizmu zachwycony, ale przestraszony. Ale to, co w oczach jednych uchodzi za słabość, w oczach innych może uchodzić za siłę.

Młody zastępca prokuratora nie mógł się już dłużej powstrzymać i zdając sobie sprawę, że nie zawsze był miłym towarzyszem, pogratulował

Brolinowi.

- Pan... pana podejście do rodziców ofiary, tam, w biurze szeryfa, zrobiło na mnie duże wrażenie. Tak zręcznie umiał pan ich pocieszyć, nie zapominając o głównym celu naszej wizyty. Naprawdę, to było godne podziwu. Wykazał

się pan wielkim profesjonalizmem.

Brolin rzucił okiem na swojego towarzysza. - Bardzo panu dziękuję.

„Czy Bentley mówił to z ironią?” Brolin odrzucił to pytanie; nie miał ochoty obciążać myśli osobą Bentleya ani jego charakterem. Czy w ogóle młody zastępca prokuratora był w stanie wyobrazić sobie, co oznaczało dzień po dniu rozpracowywać morderstwa na tle seksualnym? Czy mógł zgodzić się z tym, że pozorna obojętność, którą zachowywał Brolin, była jedyną psychiczną zaporą pozwalającą znieść okropieństwa, z którymi zawodowo stykał się cały czas, dzień po dniu. miesiąc po miesiącu?

Wyprzedził wielki czterodrzwiowy samochód osobowy z przyciemnionymi szybami. Zawarczało osiem cylindrów silnika mustanga.

Wolałby, żeby stosunki między nimi były bardziej poprawne. Jeśli Bentley wyciąga do niego rękę, nie ma sensu zachowywać się wrogo. Dodał więc:

- W pańskich ustach ta uwaga sprawia mi podwójną przy-jemność. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale jakoś nie najle-piej układa się nam współpraca.

- Myślę, że obaj inaczej postrzegamy nasze obowiązki. - Nie wykonujemy tego samego zawodu - uciał Bralin. Od razu zrobiło mu się przykro, że tak ostro zareagował, i dorzucił tonem bardziej przyjacielskim:

- Wydaje mi się, że różnimy się metodami pracy. Obaj osiągamy cel, tylko droga jest inna, prawda?

- Sprawiedliwość...

Po raz pierwszy nawiązała się między nimi nić zawo-dowego porozumienia.

Uśmiechnęli się w tym samym momencie.

- Jaki jest następny etap? - zapytał Bentley z ciekawością.

- Musimy zrobić podsumowanie, żeby zaplanować dalszy ciąg śledztwa.

- To znaczy, że nie wiemy, co robić?

Trzysta metrów przed nimi pojawiła się miriada czerwonych migających świateł. Korek.

- Uwielbiam autostrady w godzinach szczytu! - wykrzyknął inspektor.

Zaczęli powoli zwalniać. Sznur samochodów posuwał się w ślimaczym tempie.

- Dobrze, o czym to ja mówiłem... Podsumowanie. Może się to panu wydawać niepotrzebne, ale najważniejszą częścią śledztwa są częste podsumowania jego przebiegu. Należy cały czas mieć przed oczami to, co się już wie, żeby odsłaniały się nowe tropy. Co wiemy do tej chwili?

Bentley Cotland nerwowo podrapał się w policzek.

- Wiemy, że ciało Lelanda Beaumonta zostało skradzione, że morderca ma to samo DNA co on i że jest to nieprawdopodobne. Ach, byłbym zapomniał: wiemy też, że Leland interesował się czarną magią i zagadką nieśmiertelności. Co za wspaniały scenariusz do thrillera!

Fakty wymienione w taki sposób nabierały zupełnie nowego znaczenia: wyglądały na nierealne, groźne; były nie do-przyjęcia dla zdrowego umysłu.

- W porządku, łatwo to wszystko połączyć, ale to, nieste-ty, nie jest film. Jak to więc naprawdę wyglądał? Albo Leland Beaumont żyje, albo ktoś sobie robi z nas żarty. Zapewniali pana, że jestem jedyną osobą, która z pełną odpowiedzial-nością może stwierdzić, że Leland nie żyje. Nikt nic mógłby przeżyć trafiony kulą w głowę tak, jak on został trafio-ny. „A kiedy już wykluczył pan to, co jest niemożliwe, to, co zostaje, nawet jeśli jest najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą”, jak powiedział sir Arthur Conan Doyle.

- Niech mi pan zatem powie, co to jest, ta najbardziej nieprawdopodobna prawda.

Korzystając z tego, że stali w korku, Brolin spojrzał na Bentleya.

- Czy pan myśli, że spałbym spokojnie, gdybym wiedział, że żywy trup człowieka, którego własnoręcznie zabiłem, łązi po mieście i masakruje kobiety, a nie miałbym na to żadnego logicznego wyjaśnienia?

- Nie mam pojęcia; pana niełatwo rozgryźć...

Brolin popatrzył na ogromne, szare chmury, przez które późne popołudnie wyglądało jak początek nocy.

- Myślę, że osoba, która ukradła ciało Lelanda Beaumon-ta, to nasz morderca. Dysponuje jego DNA, jego śliną, którą znaleźliśmy na niedopałku, a przynajmniej dysponował tym wszystkim na początku, kiedy ciało było świeże. Wystarczy -ło wówczas zamrozić próbki.

- Myśli pan, że coś takiego jest możliwe?

- Dużo bardziej niż pomysł, że po mieście hasa jakiś zombie.

W samochodzie zapadła cisza

- Jakie mamy inne możliwości? - podjął Brolin. - Co wiemy?

Bentley wzruszył ramionami.

- Wiemy niewiele; zaczynamy dowiadywać się trochę więcej o ofiarach.

- Nie zgadzam się z panem. Posiadamy bardzo ważne in-formacje. Wiemy, że jest dwóch morderców, nie jeden.

- Czy to pewne?

- Dla mnie tak - zbyt wiele arogancji, wiedzy i subtelności w listach, a przeciwnie, ewidentny brak dojrzałości w chwili zabójstwa. Co najmniej jeden morderca i jeden nim kierujący, rodzaj mistrza i ucznia. Co dalej?

Przypominając sobie sekcję, przy której asystował, Bentley zaczął wiercić się na siedzeniu. Czuł się wyraźnie nieswojo.

- Morderca zna podstawy anatomii - przypomniał sobie.

- Właśnie. Zna to minimum, które pozwala mu fachowo obcinać części ciała ofiar. Zresztą w obu wypadkach starał się, żeby bardzo starannie przeciąć skórę i równie starannie wyodrębnić kości, ale mięśnie i tkanki porzwał byle jak, jak rzeźnik. Interesuje go skóra i kości, a czemu nie reszta?

Bentley milczał.

- To stanowi część jego charakterystyki; to musimy zrozumieć, żeby go rozgryźć. Ale o tym później. Wiemy również że obie ofiary wybrał z katalogu i ten sam katalog pomógł mu zdecydować, które części ciała należy obciąć. Przewraca strony i wybiera te części ciała, które nie są zakryte ubraniem. Niektórzy wybierają ubrania, a on spokojnie wybiera modelkę. Ma czas. Pamięta pan, ile dziewcząt zostało sfotografowanych do tego katalogu?

- Ponad osiemdziesiąt, jeśli dobrze sobie przypominam.

- Tak... Nie da się zorganizować ochrony dla wszystkich. Musielibyśmy skierować ponad dwustu policjantów tylko do tego zadania; to odpada. Co jeszcze wiemy?

Bentley zmarszczył w skupieniu brwi. Starał się przypomnieć sobie wszystko to, o czym mówili ostatnio.

- Jak pan określił profil mordercy, bo zapomniałem?

- Mężczyzna, biały, wiek między dwadzieścia a trzydzieści lat, kawaler, mieszkający na odludziu, pracujący dorywczo albo wcale

- Teraz wiemy jeszcze, że czytuje katalog Fairy's Wear -rzekł Bentley.

- Tak; poprosiłem o listę prenumeratorów, ale nie sądzę, żeby to coś dało, nawet jeśli ograniczymy się do samotnych mężczyzn. Taki katalog można zdobyć wszędzie, często jest nawet rozdawany za darmo na ulicy. Ten trop również prowadzi w ślepy zaułek. Za to interesujące jest to, co powiedział

nam Philip Bennet tuż przed naszym odejściem.

- Co? O włamaniu w zeszłym roku?

Starając się podczas rozmowy z Bennetem wydobyć informacje o nietypowych wydarzeniach w biurze w zeszłym roku, Brolin dowiedział się, że było włamanie. Pewnego ranka zauważono, że ktoś sforsował kilka zamków, ale, co dziwne, w biurze niczego nie brakowało. Philip Bennet i policja stwierdzili wspólnie, że włamania musieli dokonać bez konkretnego powodu młodzi włóczędzy

- Właśnie. Czy zna pan wielu ludzi, którzy włamują się do biur, w których nie ma co ukraść poza drobnym sprzętem elektronicznym?

- Dzieciaki, tak dla zabawy...

- Nie, nie sądzę. Jestem gotów się założyć, że to dzieło naszego mordercy

- Ale to byłoby bardzo głupie! Po co miałby ryzykować, że go złapią?

- Seryjni mordercy dość często włamują się do prywatnych mieszkań, wchodzą tam w nocy i wynoszą osobiste rzeczy, na przykład ubrania. To jest z reguły pierwszy krok do zawładnięcia życiem

przyszłej ofiary,

- Ale tam nie ma nic; co by należało do jego ofiar!

- Niech pan się chwilę zastanowi. Bennet powiedział, że niczego nie ukradziono. Ale może coś przekopowano! Bentleya rozbawiła ta uwaga.

- Co? Tam nie ma nic do kopiowania! Nie prowadzimy przecież śledztwa w sprawie szpiegostwa przemysłowego.

- Tak może uznać każdy, ale nie niebezpieczny psychopata planujący morderstwa. W siedzibie firmy znajdują się dokumenty całego personelu, z danymi osobowymi, również modelek. Na takiej liście figuruje imię, nazwisko, adres, zdjęcie... wszystko.

Bentley spojrzał na Brolina. To było logiczne. W ten sposób morderca zdobył konieczne informacje, żeby móc zacząć polowanie. Dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował, przede wszystkim adresu.

- Jeszcze jedno - ciągnął Brolin. - Jeśli morderca ryzykuje włamanie do obcego biura, żeby zdobyć listę personelu, to można przypuścić, że będzie kontynuował polowanie na tym samym terytorium. Ale dlaczego ta firma, a nie jakaś inna?

- Przypadek; wpadł mu w ręce ten katalog i stwierdził, że podobają mu się modelki.

- Seryjni mordercy rzadko zdają się na przypadek przy wyborze ofiar, zwłaszcza jeśli kierują się jakimś rytuałem, jak nasz. On nie działa impulsywnie, ma wszystko dokładnie przemyślane. W tym wybór ofiar. Jeśli zdecydował się na kobiety z Fairy's Wear, prawdopodobnie coś to wywołało.

A przecież nie chodzi mu o ubrania. Myślę, że śledzi tę firmę od dawna.

Może jego matka była ich klientką i prenumerowała katalog, a może dziewczyna, z którą „Życzliwy” nawiązał bliższe stosunki. Byłby to dla niego osobisty łącznik ze społecznością; coś, co dałoby mu poczucie istnienia, przynajmniej w jego własnych oczach. Bardzo możliwe, że te katalogi już od dłuższego czasu są pożywką dla jego urojeń, przygotowując go do przejścia do czynu. Włamania dokonano w zeszłym roku, miał więc kilka miesięcy, żeby się przygotować.

- Ale co z tego? - zapytał Bendey. - Nie możemy przecież wejść z nakazem rewizji do każdego prenumeratora katalogu firmy Fairy's Wear

- Nie, ale może morderca zamawiał już u nich jakieś ubrania? To rodzaj urojenia pasujący do tego typu mordercy - możliwe, że śpi z tymi ubraniami albo nosi je, kiedy jest sam. Rozumie pan... Bennet przyśle mi listę wszystkich klientów z ostatnich dwóch lat.

- To będzie mnóstwo nazwisk! - wykrzyknął Cotland.

- Przejrzemy je i wyodrębnimy nazwiska mężczyzn, którzy są kawalerami.

Nie powinno ich być zbyt wielu, ponieważ firma ta nie sprzedaje artykułów męskich. Zdobędziemy w ten sposób nazwiska kilku zboczeńców i facetów kupujących wysyłkowo ubrania dla mamy czy kochanki. Chciałbym również znaleźć tych, którzy zamówili rzeczy prezentowane na zdjęciach przez Anitę Pasiekę i Elizabeth Stinger - tutaj też nie powinno być wiele nazwisk. Trzeba wszystko posortować. Będzie roboty na kilka dni, ale może się opłacić.

Bentley poczuł na sobie spojrzenie Brolina.

- Na nie! Znowu ja?

- Bentley, niech się pan nie obrazi, ale jestem pewien, że w papierkowej robocie jest pan mistrzem.

Bentley nie zaprotestował. Był nawet trochę dumny, że coś w nim wywołało szacunek Brolina, mimo to się zdenerwował. Jeśli sprawiało mu przyjemność uznanie Brolina, to znacz, że musiał go szanować bardziej niż sam się do tego przed sobą przyznawał. Ale co z tego? Bentley wiedział, że z natury jest cholerykiem i w ogóle nie ma tego mściwego charakteru, o jaki wielu go posądzało. A przynajmniej tak mu się wydawało.

- Wciąż jednak nie wiemy, o co właściwie im chodzi - powiedział, kiedy korek się trochę rozładował i samochód ruszył.

- To znaczy? - zapytał Brolin.

- Nie wiemy, co chcą osiągnąć morderca i „Życzliwy”, poza tymi rojeniami na temat śmierci. Jaki jest ich cel? Mówił pan, że te wyobrażenia, które popychają ich do zabijania, nie powstają przypadkowo, dlaczego więc wybrali na przykład Boską Komedię, a nie Śpiącą królową?

- Szybko się pan uczy! - rzekł zdziwiony Brolin. - Rzeczywiście, wzorują się na Piekło Dantego, ponieważ jest ono podstawą ich fantazji, ale dlaczego, tego nie wiem. Z pewnością mają jednak jakiś cel, do czegoś dążą. Musimy to odkryć, zanim będzie za późno. Musimy zrozumieć, czego chcą, co właściwie robią.

Brolin dostał gęsiej skórki. Słowa Bentleya trafiły w sedno, poruszyły to, czego się najbardziej bał. Czego ci dwaj chcą dokonać?

Dotarłszy do komendy, spotkali Lloyda Meatsa, który kończył właśnie redagować raport na temat Elizabeth Stinger. Brolin nie mógł powstrzymać uśmiechu. Nie mógł się przyzwyczaić do widoku Meatsa bez brody.

- Znalazłeś coś na temat Elizabeth?

Meats się przeciągnął. Kręgi w kręgosłupie wydały suchy trzask. Wykrzywił usta.

- Niewiele. Elizabeth nie miała wrogów, nie otrzymała żadnych listów z pogrózkami, nie miała też oficjalnego narzeczonego, a jej ostatni przyjaciel jest agentem ubezpieczeniowym i mieszka w

Arkansas. Jeśli chodzi o samo porwanie to Salhindro wysłał dwóch ludzi, żeby wypytali właścicieli wszystkich okolicznych sklepów, ale tamtego wieczoru nikt nie zauważył nic podejrzanego. Jej córką zajmie się chyba matka Elizabeth. A wy?

Brolin opowiedział, jak spędzili z Bentleyem popołudnie i czego się dowiedzieli. Przez około godzinę podsumowywali wspólnie wszystkie zebrane do tej pory informacje. Później zadzwonili do chińskiej restauracji i zamówili coś do jedzenia. Tymczasem Brolin zdążył wysłać do laboratorium próbkę śliny Milтона Beaumonta, wraz z kilkoma słowami do Carla DiMestro i Craiga Novy.

Następnie zainstalowali się w biurze Brolina zabierając się do sortowania sterty różnych dokumentów znalezionych u obu ofiar. Rachunki telefoniczne, wyciągi bankowe, ostatnia korespondencja, faktury...

Przeglądali wszystko, żeby się upewnić, że w życiu zamordowanych kobiet nie zdarzyło się nic nienormalnego, co z kolei nakierowałoby ich na kolejny ważny trop. Brolin był sceptyczny: uważał, że jeśli chodzi o seryjnych morderców, ten rodzaj żmudnej pracy prowadzi właściwie donikąd, ponieważ w okresie przed przejściem do czynu mordercę nic nie łączy z ofiarą. Trzeba to było jednak zrobić. W końcu musiał przyznać, że obecność Bentleya Cotlanda nie była wyłącznie ciężarem. Okazało się, że Bentley umiał być miły, jak choćby tego dnia, a nawet użyteczny; zdarzało mu się to coraz częściej, w miarę jak poznawał zawód policjanta od strony praktycznej, czyli takiej, której nigdy nie poznał podczas wykładów uniwersyteckich. Brolin właściwie nie miał mu nic do zarzucenia; w końcu sam też doświadczył, jak bardzo może się różnić dana profesja w praktyce od tego, co sobie człowiek wyobraża. Doskonałą tego ilustracją był jego krótki pobyt w szeregach FBI.

Słabe promienie słońca powoli znikły i za ogromnymi oknami jego gabinetu pojawiły się światła Portland.

Brolin zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Juliette, żeby usłyszeć jej głos i wprosić się być może do niej na noc, ale odsunął od siebie tę myśl. Ich bliskość była jeszcze bardzo świeża, nie powinien być natrętny; jutro wyśle jej kwiaty. Ten pomysł bardzo mu się spodobał. Ponownie zagłębił się w kolumny cyfr.

Kiedy otworzyły się drzwi, wszyscy trzej myśleli, że właśnie niosą jedzenie, które zamówili przez telefon, ale zamiast gońca na progu stał Fletcher Lee z czołem zmarszczonym z niepokoju.

- Josh, mamy problem z Juliette Lafayette. Seddon i O'Donner, którzy jej pilnowali, zgłaszają dziesięć-czter-dzieści dziewięć.

Kod 10-49 oznaczał w policji portlandzkiej „morderstwo”. Widząc, że Brolin skamieniał, Fletcher szybko dodał:

- Jej nic się nie stało, w każdym razie nie bezpośrednio. Chodzi o jej przyjaciółkę, która została...

Spojrzał na stronę przyniesionego meldunku.

- Zamordowano jakąś Camelię McCoy.

Brolin zamknął oczy i nawet nie zauważył, że złamał ołó-wek trzymany w dłoniach.

Wysoki dom należący do Camellii McCoy otoczono poli-cyjną taśmą, która drżała na wietrze. Kiedy Brolin dotarł na miejsce, liczne radiowozy, z których co najmniej połowa nie miała wyłączonych świateł, stały w bezładzie zaparkowane na środku ulicy

Noc już zapadła. Młody inspektor zadrżał, wychodząc z mustanga, ale nie byłby w stanie powiedzieć, czy to było z zimna, czy ze strachu. Szybko zauważył cywilnego forda, w którym Gary Sheddon podawał właśnie kubek kawy Juliette. Dziewczyna siedziała na siedzeniu pasażera, drzwi były otwarte, na ramiona miała zarzucony koc. Kiedy zobaczyła Brolina, wysiadła i w milczeniu podeszła do niego.

Przez długą chwilę stali objęci, zanim Brolin cofnął się, żeby spojrzeć jej w oczy. Migające światła samochodów policyjnych rzucały na twarz Juliette czerwony, surrealistyczny cień.

- Jak się czujesz? - zapytał, ale bardziej po to, żeby dać jej do zrozumienia, że się o nią martwi niż oczekując konkretnej odpowiedzi.

Juliette wzruszyła nieśmiało ramionami i znów przytuliła się do niego Brolin zauważył, jak jej pierś unosi się w gwałtownym oddechu i jedyne, co mógł

zrobić, to pogłaskać ją po włosach. Milczeli; była to jedna z tych chwil, kiedy nie pokrzepi żadne słowo, kiedy ważna jest cisza, a jedyną metodą pociechy jest czyjaś serdeczna obecność.

Podeszło do nich kilka osób, w tym młoda policjantka i ktoś z laboratorium, ale kiedy zauważyli tych dwoje obejmujących się serdecznie, pogrążonych w smutku, cofnęli się. Lloyd Meats przejął stery dowodzenia.

Po dłuższej chwili Brolin kazał Juliette usiąść i posłał po kubek gorącej herbaty, który wsunął w jej skostniałe dłonie.

- Będę musiał tam wejść - powiedział cicho.

Koc zsunął się z ramion Juliette, kiedy kiwnęła twierdząco głową.

- Wiem.

Brolin zobaczył, że dwóch przedstawicieli koronera czeka niecierpliwie przed domem.

- Gary i Paul odwiozą cię do domu i zostaną z tobą, dopóki ja nie przyjadę, zgoda?

Juliette tylko zacisnęła wargi, tak mocno, że zrobiły się białe jak śnieg.

Brolin pocałował ją w czoło na pożegnanie.

Godzinę później Camelia McCoy opuszczała swój dom w czarnym pokrowcu, który przy wynoszeniu

szeleścił tak, jak szeleszczą wypchane plastikowe torby podróżne, kiedy wyjeżdżamy na wakacje.

Z tym, że dla niej był to daleki wyjazd. I ostateczny.

Czasem, gdy człowiek uświadomi sobie siłę uczuć, na przykład kiedy emocje biorą górę nad rozumem i są w stanie rozciągnąć czas tak, że jego nieubłagany bieg staje się nagle elementem bardzo odległym w ogóle nas niedotyczącym i okalającym na nas żadnego wpływu, gdy więc człowiek uświadomi sobie tę siłę uczuć, może być zdumiony. Juliette podczas godzin, które nastąpiły po śmierci Camelli, znalazła się w innym świecie, czas przestał dla niej istnieć i w ten

sposób mogła lepiej reagować na ból. Zostawiła obu policjantów w salonie i poszła na górę, do sypialni, żeby schronić się w swoim sanktuarium. Nie rzuci-

ła się na łóżko, szlochając, jak by uczyniło wiele innych osób, tylko długo chodziła w kółko po pokoju, zanim wreszcie otworzyła okno. Zimne powietrze błyskawicznie wpłynęło do środka jak stado ciekawych duchów.

Juliette wychyliła się przez okno. Gwiazdy migotały spokojnie w lodowatym powietrzu. Tysiące diamentowych oczu, zniekształconych przez ogromne odległości, z królewskim majestatem wisiało nad uśpioną ziemią.

„Gwiazdy szepczą - pomyślała. - Śpiewają w kosmosie. Oświetlają nieskończone ciemności swoją rozognioną muzyką”.

Obróciła głowę w kierunku dzwonu kościoła wielebnego Willema, szukając księżyca, ale znalazła tylko cienie i chełpliwe światła miasta.

Patrząc na te miriady ziemskich gwiazd, Juliette przypomniała sobie, co mówiła jej Camelia kilka miesięcy wcześniej, gdy ona, Juliette, z trudem wracała do równowagi psychicznej po porwaniu i uniknięciu cudem śmierci.

„Śmierć przeszkadza; śmierci się nie lubi, a kiedy się zdarza, lepiej, żeby to było z dala od naszych oczu”.

To była prawda. Już sama idea śmierci była nieprzyjemna dla człowieka.

Jeśli czasem stawała się obsesją, mogła fascynować, ale nigdy nie traktowano jej radośnie Juliette przypomniała sobie kota Humusa. Kiedy była dzieckiem, wzrastała w jego towarzystwie. Gdy się urodziła, ten duży, czarny kot już był, i był też potem, podczas jej chrztu, i na jej dziesiąte urodziny. Humus był zawsze w domu, był częścią jej życia, elementem nierozzerwalnie złączonym z jej losem. A jednak któregoś ranka znalazła Humusa na podłodze obok kanapy, jak leżał z liliowym języczkiem wysuniętym na zewnątrz. Juliette, która miała wówczas tylko dwanaście lat, na początku nie bardzo rozumiała, co się stało, a później, kiedy chciała wziąć go w ramiona, zorientowała się, że małe ciało jest całkiem zimne Tego dnia bardzo płakała. Nigdy nie brała pod uwagę tego, że Humus może odejść, i to jeszcze w taki sposób. Bez ostatniej pieszczoty, bez miauknięcia na pożegnanie - nic, tylko zimne ciało zwierzęcia znalezione któregoś ranka, kiedy nie szła do szkoły. Potem usłyszała, jak ojciec powiedział do matki:

„Nie mógł pójść zdechnąć gdzieś na zewnątrz? Myślałem, że koty się chowają, żeby umrzeć? Ależ tak, mnie też jest przykro, kochanie, ale, do cholery! Pomyśl o Juliette! Obudzić się rano i zobaczyć nieżywego kota - są przyjemniejsze rzeczy w życiu. Gdyby zdechł na ulicy albo gdzieś w ogrodzie sąsiada, wszystko przeszłoby łagodniej. Nikt by nic nie zobaczył, w każdym razie nie Juliette, i w końcu, ponieważ by nie wrócił, doszlibyśmy do wniosku, że pewnie nie żyje. Nie byłoby to takie drastyczne”.

Juliette powstała chwilę na progu kuchni, po czym cichutko wróciła do sypialni na następny seans płaczu. Dorośli nie lubią śmierci. To pewne.

Wola, żeby wykonywała swoją pracę daleko od ich wrażliwych oczu. Za zamkniętymi okiennicami

Juliette siedziała w wykuszu okna tak długo, aż z zimna cała skostniała i nie miała siły myśleć.

Kiedy przyszedł Joshua, znalazł ją zwiniętą w kłębek na łóżku. Poprawił

kołdrę, żeby było jej ciepło, rozebrał się i położył obok, przytulając się do niej i obejmując ramieniem. W sypialni paliła się świeczka i Joshua, obserwując Juliette, doszedł do wniosku, że śpimy nie tylko po to, żeby się wyspać. Również po to, aby było nam lepiej, aby przestały nas męczyć zmartwienia. Sen łagodzi troski, kłopotom odbiera ich ciężar; dzięki niemu rzeczywistość staje się wspomnieniem,

„Sen jest być może jedyną świątynią spokoju, którą dysponuje człowiek” -

pomyślał. Położył dłoń na głowie Juliette. Powieki jej zadrżały pod wpływem złych snów.

Doktor Sydney Folstom zamknęła ostatnią fiolkę. Na posadzce pod stołem sekcyjnym stało dziewięć takich pojemników z dziesięcioprocentowym roztworem formaliny czekających na przyjęcie ponurej zawartości.

Zawierały od trzydziestu do osiemdziesięciu mililitrów krwi, moczu, tkanek wątroby, serca i innych organów, czyli próbki konieczne do toksykologicznych i anatomopatologicznych badań wykonywanych post mortem.

Do pomieszczenia weszła asystentka doktor Folstom, aby uprzedzić ją i inspektora Brolina, że przygotowano właśnie kopie zdjęć radiologicznych dla policji. Ciało Camellii było w większej części spalone, co znacznie utrudniało badanie organoleptyczne. Wykonano więc analizę radiologiczną zwłoki, żeby stwierdzić, co ukrywały najpoważniejsze oparzenia, chcąc zaś zyskać na czasie, użyto specjalnego wzmacniacza z możliwością natychmiastowego wydruku. W ten sposób można było szybko przebadać całe ciało i od razu wykonać zdjęcia tych fragmentów, które wzbudzały wątpliwości co do diagnozy. Nawet jeśli nie pozwoliło to wyciągnąć konkretnych wniosków, to przynajmniej można było przez eliminację stwierdzić, że Camelia nie została zabita z broni palnej. Ponieważ szyję miała również zwęgloną, zastosowano specjalny aparat do radiografii o bardzo małej ogniskowej, faxi-tron, którego czuła klisza zapewnia dużo lepszą jakość obrazu takich delikatnych części ciała, jak krtań, kręgi, zęby... Nie zauważono charakterystycznego dla uduszenia zgniecenia rogów chrząstki tarczowatej. Śmierć musiało spowodować coś innego.

Lekarz sądowy napisał we wnioskach, że ofiara zmarła na skutek utraty dużej ilości krwi, spowodowanej ośmioma albo dwunastoma ciosami noża (znaczne zwęglenie ciała uniemożliwiło ustalenie dokładnej liczby ran zadanych białą bronią), i że nie żyła w momencie, kiedy podpalono jej ciało.

Bogatszy o te ponure dane Brolin opuścił kostnicę i udał się do swojego biura w centrum miasta. Stamtąd zadzwonił do Juliette, podobnie jak uczynił to już wcześniej tego ranka, i nawet jeśli za każdym razem niewiele ze sobą rozmawiali, Brolin czuł, że to porozumienie wpływa bardzo dobrze na nich oboje.

Do tej pory udało mu się uniknąć bezpośrednich kontaktów z dziennikarzami, nie tylko telefonicznych czy mailo-wych, ale i osobistych, w hallu budynku policji i na parkingu; przedstawiciele prasy czyhali bowiem cały dzień, żeby wyrwać choć zdanie komentarza z ust młodego inspektora. Oficjalnie nic powiązano sprawy zamordowania Camellii z dwoma poprzednimi mordami, których dopuścił się „Duch Lelanda”, ale szybko rozeszła się wiadomość o obecności inspektora Brolina na miejscu zbrodni i prasa zaczęła się na ten temat szeroko i bez skrupulów rozpisywać. Camelia stała się „trzecią ofiarą Ducha”, co czyniło z niego prawdziwego seryjnego mordercę, gdyż według definicji jest nim osobnik, który zamorduje co najmniej trzy razy. Ale większość agentów FBI pracujących w Wydziale Nauk Behawioralnych w Quantico już po pierwszej ofierze jest w stanie określić, czy mają do czynienia z potencjalnym seryjnym mordercą, i Brolin nie stanowił wyjątku od tej reguły.

Przyjeżdżając na miejsce zabójstwa Anity Pasieki, od razu rozpoznał

scenerię, rytualizację i wypracowaną metodę działania charakteryzujące wyłącznie seryjnych morderców. Nie chciał tego wówczas mówić głośno, ale obawiał się, że Anita nie jest jedyną ofiarą swojego oprawcy Morderca, mimo że w sposób jeszcze prymitywny, dał dowód pewnego wyrafinowania, zwłaszcza w starannym przygotowaniu sceny zbrodni, co zdradzało zaawansowaną dojrzałość kryminalną. Im bardziej śledztwo posuwało się do przodu, tym bardziej Brolin był przekonany, że mordercą kierowano, że używano go jako narzędzia, „Życzliwy” zaś musiał być osobnikiem przerażającym, ma-kiawelicznym socjopatą z dorobkiem wielu zabójstw na swoim koncie.

Poza tym było jeszcze zjawisko eskalacji zbrodni.

Im dłużej działa seryjny morderca, tym bardziej - przysłaniając wszystkie inne potrzeby - rośnie jego potrzeba zabijania. Początkowo nie jest pewien swego, odkrywa dopiero akt zabójstwa i często mijają długie miesiące, zanim robi to następny raz. Ale z czasem zabija coraz częściej, zwłaszcza że chore urojenia zajmują coraz więcej miejsca w jego umyśle, a on staje się coraz pewniejszy siebie, bo zbrodnia uchodzi mu bezkarnie. To przyspieszenie, gdy czas między jednym zabójstwem a drugim skraca się z kilku miesięcy do kilku tygodni, a nawet dni, określa się mianem eskalacji.

Jeśli chodzi o serię ostatnich zabójstw gdy w ciągu zaledwie dwóch tygodni pozbawiono życia trzy kobiety, można się było obawiać, że morderca wyjątkowo zakosztował w krwawej przemocy. Albo że zabijał już wcześniej, w tajemnicy, swoim rytmem.

Zgodnie z obowiązującymi zasadami, Brolin po drugim morderstwie skorzystał z pomocy programu VICAP Liczący piętnaście stron raport ze szczegółami zbrodni, nad którymi pracuje dany inspektor, wysłał się do FBI, gdzie wszystkie te informacje zostają wprowadzone do pamięci komputera. Jeśli gdziekolwiek na terytorium amerykańskim został popeł-

niony podobny mord, z podobnym modus operandi lub charakterystycznym podpisem, natychmiast przeprowadza się porównanie między tymi zbrodniami, żeby sprawdzić, jest możliwe, aby ta sama osoba zabijała w różnych miejscach kraju. Brolin sumiennie odpowiedział na wszystkie osiemdziesiąt dziewięć pytań raportu i wysłał go do centrali FBI. Teraz trzeba było czekać nawet, niestety, kilka tygodni, gdyż najpierw raport musiał zostać przyjęty, a następnie komputer musiał przeanalizować dane wprowadzonych do niego wcześniej pięciu tysięcy ośmiuset czterdziestu dziewięciu przypadków.

Środa trzynastego października okazała się dla Brolina dniem bardzo pomyślnym, gdyż mimo skomplikowanych procedur administracyjnych otrzymał odpowiedź programu VICAP już pod koniec popołudnia.

Odpowiedź ta raczej rozwiewała złudne nadzieje. Nawet jeśli modus operandi mordercy w pewnym stopniu upodabniał tę zbrodnię do innych, to podobny podpis nie wystąpił ani razu nigdzie indziej, z wyjątkiem jednego przypadku. Pracownik FBI, który zajmował się raportem Brolina, podkreślił

na czerwono nieprawdopodobną zbieżność między trzema ostatnimi zbrodniami a okropieństwami

popęlnionymi rok wcześniej przez Lelanda Beaumonta.

Brolin miał przynajmniej dowód, że morderca ten nie zabił nigdzie indziej na terytorium Stanów Zjednoczonych, chyba że zmieniłby podpis swoich morderstw, co teoretycznie nie było możliwe. Człowiek nie jest w stanie z dnia na dzień zmasakrować, okaleczyć i zadać tyle cierpień drugiemu człowiekowi, odwołując dodatkowo moment agonii. Aby móc stać się takim potworem, trzeba przejść wiele etapów. Zabija się dopiero wtedy, gdy pragnienie zadania śmierci staje się zbyt silne, nie do wytrzymania. Zabija się według konkretnego schematu, nad jakim pracowało się bardzo długo; tego samego, który tyle razy powtarzało się w wyobraźni, że w końcu stał się obsesją zmuszającą do popełnienia pierwszego morderstwa. Jest to przerażające błędne koło. Ten schemat nie może się zmienić, gdyż jest on racją działania mordercy - on zabija dla tego schematu; ten schemat jest warunkiem koniecznym, aby morderca mógł osiągnąć satysfakcję przysłaniającą mu okropieństwo tego, co uczynił, pozwalającą odczuć pożądaną przyjemność. Zmiana treści urojenia i podpisu oznaczałaby, że on sam się zmienił i że zmieniło się to wszystko, co popchnęło go do zbrodni, a więc jest to niemożliwe.

Zbrodniarz poszukiwany przez Brolina nie mógł być sprawcą żadnych innych zbrodni, które nie nosiłyby jego podpisu. Chyba że dane o nich nie znajdowały się w archiwach albo że modus operandi oraz podpis nie zostały poprawnie rozpoznane.

To mogłoby wiele wyjaśniać. Nie wszystkie policje kraju stale współpracują z FBI i korzystają z usług VICAB.

Była jeszcze inna możliwość.

Możliwości tej Brolin nie chciał brać pod uwagę, ponieważ była nie do przyjęcia.

Tylko jedna osoba zabiła już wcześniej, używając tego samego podpisu.

Leland Beaumont.

Jeśli „Życzliwy” był mordercą - w ogóle czy w jakimkolwiek momencie swojego życia - Leland Beaumont byłby idealnym podejrzanym.

Nikt inny nie posiadał cech, które tak doskonale pokrywały się z cechami

„Życzliwego”. Sadysta, inteligentny, manipulator, doskonale znający modus operandi „Kata”, gdyż przecież on sam był „Katem”!

„Nie, to oczywiście niemożliwe; przecież umarli nie zabijają”.

Brolin powtórzył to zdanie kilka razy, jak litanię, żeby zwalczyć strach.

Ale kiedy o siódmej wieczorem Salhindro przyszedł po niego do biura, jeszcze nie przestał dygotać.

Larry Salhindro stał wyprostowany przed zapieczętowanymi przez policję drzwiami.

- Uśmiechnij się, fotografują nas! - powiedział, wskazując na fotografa celującego w nich teleobiektywem ze swojego samochodu.

Brolin nie zwrócił na niego żadnej uwagi i kazał Salhindrowi zerwać pieczęcie.

Wrócił do mieszkania Camellii specjalnie po to, żeby znaleźć się na miejscu zbrodni o tej samej porze dnia, w której działał morderca czterdzieści osiem godzin wcześniej.

Morderstwo było jeszcze tak świeże, zdarzyło się tak niedawno, że niemal wyczuwało się paraliżujący strach wiszący w powietrzu.

Brolin wszedł pierwszy i udał się od razu na piętro, mając Salhindra za plecami. Przeszedł przez pokój i stanął w progu łazienki, włączając światło.

Na posadzce widniał narysowany kredą kontur ciała ofiary. Czarne, grubo tkane płótno zakrywające część posadzki przypominało, że swąd unoszący się w powietrzu był zapachem spalonego mięsa.

- Czy naprawdę myślisz, że to zrobił nasz morderca? -nie mógł się powstrzymać Salhindra.- Chcę powiedzieć, że to w ogóle do niego niepodobne; zwykle nie bawi się w podpalacza. Lubi, żeby było widać to, co zrobił. Chce zaszokować, dlatego więc tym razem miałby ukrywać rzeź, jakiej się dopuścił, pod płomieniami? Nie powinniśmy zlekceważyć hipotezy innego sprawcy, nie sądzisz?

- Nie, to on. Juliette to potwierdziła. „Życzliwy” do niej dzwonił.

- Wiem, ale przecież nie powiedział nic konkretnego. To mógł być jakiś inny szaleniec! Zgoda; to ty z nas dwóch jesteś tutaj specjalistą od zachowań kryminalnych, ale nie uważasz chyba, że to jest podobne do tego, co robił

poprzednio? Nie pobrał żadnych, że tak powiem, próbek i do tego spalił

ciała. Zgoda, jest kwas na czole, ale to wszystko. Wiesz, z czym mi się to kojarzy?

Brolin zrobił krok do przodu.

- To mi się kojarzy ze strachem! Mam wrażenie, że to jakaś sekta. A dlaczego nie? Może jest ich wielu, cała grupa szaleńców z jakimś guru, i każdy ma swój sposób działania... Zabijają po kolei.

Brolin obszedł narysowany kredą kontur ciała i stanął twarzą do umywalki.

Wiszące nad nią wielkie lustro było stłuczone, a resztki szkła zostały zamazane różnymi kremami i szminkami tak, że nie można było w ogóle się w nim przejrzeć.

- On nie znosi swojego odbicia. Jeśli rozbił to lustro, zanim ją zabił, założę się, że ma jakąś wadę fizyczną, pewnie coś na twarzy. Jeśli zaś zrobił to po śmierci ofiary, to znaczy, że miał wyrzuty sumienia, przynajmniej minimalne, a to przemawiałoby za teorią manipulacji.

- Dlaczego?

Brolin oparł się o umywalkę i zbliżył twarz do zasmarowanego lustra.

- Ponieważ z tego wynika, że jest to osobnik słaby, łatwo ulegający wpływom. Cierpiało i wciąż cierpi, ale ten drugi ma nad nim władzę, jest panem. Będąc od niego znacznie silniejszy, domyślił się, jakie urojenia męczą jego „zabawkę” i wie, jak nimi kierować, żeby zmusić „marionetkę” do spełnienia swoich życzeń. Ten, który zabija, walczy z przeciwstawnymi uczuciami: niby potrzebuje zabić, coś każe mu zabić, żeby się zaspokoić, ale w głębi duszy wie, że robi źle. Coś pcha go do zbrodni, a

„Życzliwy”, jego „władca”, podsyca ten ogień.

Salhindro mruknął pod nosem.

- To jest tylko hipoteza - dodał Brolin, przyklękając tam, gdzie jeszcze poprzedniego wieczora leżało ciało zabitej Camelii.

Niebo było bezchmurne i księżyc odbijał się od lustrzanej posadzki. Brolin spojrzał przez okno. Przez pewien czas zakładał, że być może fazy księżyca wpływają na wybór dat zabójstw: tak się czasem zdarza, jeśli seryjny morderca jest z natury ezoterykiem. Ale krótkie odstępy między ostatnimi zbrodniami wykluczały tę teorię. Tak czy inaczej, wieczór zabójstwa Camelii był ponury, niebo było zachmurzone i księżyc prawie nie było widać.

Brolin przesunął palcami po śladach ognia na posadzce „Dlaczego zmieniłeś sposób działania? Musiałeś się kierować jakąś logiką. Dlaczego tym razem ją spaliłeś?”

Inspektor, niezwykle dokładnie analizując poprzednie zbrodnie i rozważając każdy szczegół, przygotował sobie w miarę spójny profil emocjonalny mordercy. Trzecia ofiara uzupełniała zebrane dane, które teraz powinny być już na ryle szczegółowe, żeby mógł sobie wyobrazić konkretną postać, wczuć się w konkretnego mordercę.

Spróbował się skoncentrować. Przez ostatnie dwa tygodnie zbierał

informacje, porządkował je i rozmyślał nad nimi. Teraz nadszedł moment syntezy

- Larry, możesz poczekać na mnie w samochodzie? Salhindro, nie czując się urażony tą bezceremonialną prośbą, bez słowa wyszedł. Znał swojego przyjaciela i zrozumiał od razu, o co chodzi. Brolin, biorąc go ze sobą, prosił

go o moralne i intelektualne wsparcie. Za niecałą godzinę, kiedy przyjdzie do niego podekscytowany, będzie potrzebował kogoś bliskiego, z kim będzie mógł podzielić się wnioskami przedyskutować i ukierunkować swoje przypuszczenia.

Gdy Salhindro znikł. Brolin zaczął sobie przypominać wszystkie wnioski, jakie ustalił w związku z zabójstwem Camelii McCoy Ujrzał w wyobraźni scenę zbrodni taką, jaka była pierwszego dnia; przypominał sobie, co mówili ludzie z laboratorium; prześledził w myślach proces sekcji. Teraz

wiedział w ogólnych zarysach, co zdarzyło się tamtego wieczoru.

Przynajmniej to, co zdarzyło się fizycznie.

A na poziomie emocjonalnym? Musi wczuć się w psychikę mordercy żeby móc to sobie wyobrazić.

Szybko zszedł na parter i znalazł się przy tylnym wejściu, w zimnie nocy.

„Nie zostawił żadnych odcisków palców; miał więc na dłoniach, jak zwykle, rękawiczki”.

Brolin wyjął z kieszeni parę rękawiczek pożyczonych od Terry'ego Pennondera, kolegi, który nigdy nie prowadził bez nich samochodu.

„Stoję pod kuchennymi drzwiami właśnie włożyłem skórzane rękawiczki.

Od razu poczułem się pewniej. Moment

ich nakładania zaczyna być bardzo ważny; to już trzeci raz. Kiedy tylko poczuję, jak moje palce dotykają podszewki, do-staje gęstej skorki.

Drzwi otwieram szybko, bez problemu wchodzę do środka. Widziałem wcześniej, że na dole jest ciemno, a światło pali się tylko w jednym małym oknie na piętrze. Wiem więc, że nic mi nie grozi. Wiem, gdzie ona jest; czuję ją, a ona nawet nie wie że obserwuję ją przez ściany. Nie wie, że znajduję się w jej domu. W niej”.

Brolin przeszedł przez salon i zbliżył się do schodów. W całym domu było ciemno, tylko w łazience świeciło się światło, ale stamtąd nie można było dostrzec niczego, co działo się na dole. Noc niewiele pozwalała zobaczyć w salonie ukrytym pod grubą zasłoną cienia; wewnątrz znikało w nim jakby złane atramentem. Coraz trudniej było iść naprzód i nie potknąć się, tak więc Brolin zapalił latarkę i wymierzył snop jej światła w podłogę tuż pod swoimi stopami.

„Światło latarki to przedłużenie moich oczu. Widzę to, co ono oświetla; panuję nad tym”.

Postawił stopę na pierwszym stopniu i zamknął oczy.

„Napięcie rośnie: jestem już bardzo blisko, a ona jest prawie w moim zasięgu. Jak tylko znajdę się u szczytu schodów, wszystko przyspieszy Chciałbym, żeby to trwało dłużej; chciałbym dłużej korzystać z tej atmosfery”.

Brolin omiótł latarką ściany i kolejne stopnie. „Może morderca stał tu chwilę, nasłuchując odgłosów dobiegających z góry, nasłuchując odgłosów życia?” Ale nic nie zauważył. Wiedząc, co będzie robił, Brolin poprosił wieczorem w dniu, kiedy znaleziono ciało, żeby w miarę możliwości niewiele przeszukiwano i niczego nie przestawiano, a na scenę zbrodni wpuszczono naprawdę jak najmniej osób, żeby jej nie zanieczyścić.

Oczywiście najtrudniej było uniknąć zanieczyszczenia schodów, z których musieli korzystać wszyscy, nie było więc co liczyć na to, że coś tu znajdzie.

Zaczął iść do góry.

„Z każdym stopniem serce bije mi mocniej. W trzewiach czuję mrowienie Coś między podnieceniem, nienawiścią i strachem Członek mi twardnieje co nie zdarza mi się z kobietą w normalnej sytuacji i to sprawia mi przyjemność, ale jednocześnie frustruje. Ostami stopień”.

„W wąskim strumieniu światła latarki korytarz wydaje mi się nieskończenie długi ale drzwi do sypialni są uchylone i mogę zauważyć, że świeci się w łazience: światło przenika przez szparę pod drzwiami na dywan. Wyłączam latarkę. Ona jest tuż, tuż. Zaczynam oddychać głęboko i urywanie; tylko mój oddech może zdradzić moją obecność. Słyszę pluskanie wody widzę ją, jak siedzi naga w wannie Serce bije mi już teraz w całym ciele odczuwam jego gwałtowny rytm nawet w pobudzonym członku. Skóra moich rękawiczek lekko skrzypi, kiedy popycham drzwi Uwielbiam ten odgłos skrzypiąca skóry”.

„I nagle ją widzę. Miękkie ciało zanurzone w gorącej wodzie, piersi unoszące się na powierzchni jak bańki mydła-ne, błyszczące uda, krótko obcięte włosy pódbrzusza, któ-re porusza woda.

Ona mnie zauważa natychmiast. Natychmiast! O wiele za szybko. Jestem tak wściekły, że nagle ledwie ją widzę. Dlaczego nie mogę spokojnie stać i na nią patrzeć; dlaczego ona mi w tym przeszkadza! Rzucam się na nią, uderzam z całej siły w twarz: szczeka robi się fioletowa. Ona prawie mdleje Nie może się ruszać i ześlizguje się do wanny, rozbryzgując wodę po białej ścianie. Nie ma czasu krzyknąć, przebijam jej lewe płuco naostrzonym nożem. Ta pierś, którą tak bardzo chciałem sobie pooglądać, podotykać, jest teraz przecięta i tłuszcz wylewa się do wody, kiedy wyciągam nóż. Raz.

Drugi. Trzeci. Mój członek uderza w materiał spodni tak jest napięty. Serce bije mi jak szalone; zaczynam się cały trząść pod wpływem zbyt wielkiej ilości adrenaliny i ledwie mogę oddychać. Prawie się duszę. Jeszcze raz, jeszcze i jeszcze! Teraz na pochlapanej wodą ścianie pojawiają się czerwone krople krwi. Spływają za szybko, za szybko, zostawiając za sobą długi różowy ślad”.

Brolin widzi tę scenę jak żywą,przepuszczenia wypisane na papierze zmieniają się w prawdziwe czyny w prawdziwe krzyki, w prawdziwe jęki; łazienka jest naprawdę obryzga-na krwią. Ledwie zdaje sobie sprawę z tego, że tłumi praw-dziwe łkanie, naśladowując ruchami mordercę; zęby tak ma zacisnięte, że omal mu nie pękną.

Dziesiędkrotnie zagłębia nóż w ciele Camellii; czuje, jak jej ciało bezwładnie spada na niego, słyszy wyraźnie głuchy stuk, kiedy głowa uderza w posadzkę. Teraz nie szczytuje natychmiast - nie, kobieta jeszcze żyje, jest w agonii, gdy on rozchyła jej uda.

Tak. Tym razem nie będzie wycinał jej genitaliów, nie musi się mścić, zadośćuczynić frustracji, bo udaje mu się o nią otrzeć.

Udaje mu się osiągnąć rozkosz na niej. na niej!

To dlatego ją spalił! Splamił ją, szczytując; zostawił bezpośredni ślad, musi wszystko zmazać, decyduje się na płomienie

Brolin jest; tak zdenerwowany, że naprawdę widzi na zie-mi rozciągnięte ciało Camellii, Camellii nagiej i całej zalanej krwią. Przypomina sobie, że kolega z laboratorium znalazł w kuchni w koszu na śmieci dwie butelki whisky. Zabójca nie planował spalenia ciała. Użył tego, co mógł znaleźć na miejscu. Tak, to z pewnością tak się odbyło; poszedł o je-den krok do przodu i spanikował. Ale za to osiągnął ogrom-ną, podniecającą satysfakcję i na pewno na tym nie poprzestanie. Teraz widzi, że może! Ma w sobie to niewiarygodne pragnienie i może je zrealizować, może, może!

I pentagram, bo trzeba się uchronić przed duszą ofiary Wycina jego kontury czubkiem noża i potem wszystko ob-lewa kwasem. Cholera, jaka szkoda, że ma tak mało kwasu, mógłby oblać całe ciało, to bardzo ułatwiłoby mu wszystko Teraz musi znaleźć coś, żeby to podpalić. Ślady muszą zniknąć w ogniu. Wychodzi z łazienki.

Pożądanie, jakie odczuwa, jest jeszcze bardzo żywe, to wszystko trwało zbyt krótko, wymknęło mu się z rąk, zaskoczyło go. Chciałby, żeby to trwało jeszcze teraz, teraz, natychmiast. Zaczyna się na siebie złościć, że nie udało mu się tego wszystkiego rozciągnąć w czasie, że nie umiał nad sobą zapanować.

Brolin cicho wszedł do sypialni. Był już prawie w korytarzu, kiedy nagle stanął jak wryty.

Na prawo od drzwi stała czarna szafa. Ale, co ważniejsze, w jej ogromnym lustrze odbijało się łóżko.

Z miejsca, w którym stał, widział na pierwszym planie łóżko, a to, co musiało być dolną częścią ciała Camellii leżącą na progu łazienki, znajdowałoby się na drugim planie. Morderca nie mógł nie skorzystać z takiego widoku!

Łóżko i nagie ciało Camellii. Jak u normalnej pary.

Na łóżku nie było krwi, zbadano je lampą ksenonową i nie odkryto nawet kropli, morderca nie położył więc tam ciała Camellii.

Brolin podszedł do szafy i powoli uchylił jedno skrzydło. Wyobraził sobie, jak ciało Camellii powoli zaczyna odbijać się w lustrze, kiedy ujrzał kilka półek wypełnionych ubraniami.

Podkoszulki, bluzeczki, swetry i... i półka z bielizną. Ale półka ta różniła się od innych, bo panował na niej wielki nieporządek. Wszystko poza tym było równo złożone, troskliwie poukładane w równiutkie warstwy, tylko majtki i staniki były wrzucone byle jak. Samo w sobie nie było to dziwne, był to częsty widok w kobiecych szafach, ale coś nie dawało Bralinowi spokoju. Nie zdejmując rękawiczek, zaczął rozkładać każdą część bielizny i dokładnie przyglądać się materiałowi.

Hm... Morderca musiał przejść tę samą drogę, co on teraz, z tym, że nie do końca zaspokojony, napięty od pożądania. I musiał znaleźć tę bieliznę.

W świetle latarki Brolin zobaczył małą plamkę. Później jeszcze jedną, obie na tych samych majtkach. I wreszcie... włos przyczepiony do metalowego zapięcia stanika.

Morderca musiał ocierać się o te ubrania. Musiał je roz-łożyć na łóżku albo na ziemi i masturbować

się o nie.

I w przyływie dumy czy pewności siebie zlekceważył ten szczegół.

Camelia wyraziła kiedyś życzenie, aby po śmierci jej ciało poddano kremacji, a prochy rozsypano nad rzeką Columbia. Pogrzeb odbył się w czwartek czternastego października, w obecności około dwudziestu osób, w tym Juliette i Bro-lina. Kilku cynicznych dziennikarzy spragnionych widoku łoż próbowało wziąć udział w ceremonii, ale wyprosili ich przyjaciele Camelii.

W gronie żałobników Juliette spostrzegła Anthony'ego Desaux. Był ubrany w elegancki czarny garnitur prosto z Francji z pewnością od Yvesa Saint Laurenta. a w butonierce miał różę, co wzruszyło młodą kobietę. Kiedy trumna znikła w płomieniach pieca, podszedł do Juliette i delikatnie wziął ją pod ramię.

- Droga Juliette, jeśli mógłbym cokolwiek dla pani zrobić, proszę się nie wahać. Wie pani, gdzie mnie znaleźć.

Zaskoczyło ją to. że nie wyczuła w jego głosie żadnego ukrytego sensu; nie dostrzegła też nic takiego w jego spojrzeniu, które sprawiało wrażenie bardzo szczerego. Camelia zawsze mówiła o nim jako o niespożytych uwodzicielu, ale teraz prawdziwy żal musiał wziąć górę.

Podziękowała mu, a Brolin wymienił z milionerem uścisk dłoni.

Po pewnym czasie Juliette udała się do specjalnego pomieszczenia na zapleczu, żeby dyskretnie przynieść prochy, a Brolin wyszedł na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. Był podenerwowany; męczyła go chęć zapalenia papierosa, choć już od ponad roku nie sięgał po tę truciznę.

Dziennikarze albo zdobyli to, czego chcieli, albo wreszcie zaczęli przejawiać odrobinę szacunku, ponieważ w okolicy

nikogo nie było. A może nagle postanowili, że będą dyskretni? Po chwili nadszedł samochód marki Mercury Marquis i zaparkował naprzeciw domu pogrzebowego. Brolin bez trudu rozpoznał obu mężczyzn, którzy wysiedli, wyglądając garnitury Prokurator okręgowy Gleith i jego przyszły zastępca Bentley Cotland.

- Inspektorze! - zawołał Robert Gleith. Podszedł do Bro-lina i wyciągając do niego jedną dłoń, drugą uściśnął mu ramię. - Zamierzałem właśnie z panem porozmawiać. Jak tam śledztwo? Posuwa się do przodu?

Czy prokurator naprawdę martwił się śledztwem? Czy może raczej Bentley Cotland poskarżył się na złe traktowanie? Mimo że ostatnio zachowywał się sympatycznie, człowiek nigdy nie mógł być go pewien. Jedną ręką głaskał, a drugą szczypał - pod tym względem zachowywał się jak rasowy polityk. Z

kolei Gleith nigdy nie ruszał się z biura bez powodu. Do tej pory wystarczał

mu kontakt z kapitanem Cham-berlinem, ale widać Gleith postanowił

osobiście się dowiedzieć, jak sprawy stoją.

- Mamy kilka roboczych tropów - oświadczył Brolin, jak zwykle niechętnie wdając się w rozmowę na ten temat

- Tropów roboczych czy nakierowanych na jakiegoś prawdziwego podejrzanego? - nie ustępował prokurator, za-praszając Brolina do wspólnej przechadzki wzdłuż szpaleru jaśminów.

- To nie jest zwykłe morderstwo, panie prokuratorze Sprawa jest bardzo skomplikowana; potrzebujemy trochę czasu...

Szli powoli, Gleith z jednej, a Cotland z drugiej strony Brolina, co go rozbawiło. Znalazł się w hierarchicznych widłach garniturów po dwa tysiące dolarów

„Zajmują moją osobistą przestrzeń, pokazując mi, kto tu rządzi! Nie jest to zbyt wyrafinowana metoda, ale potrafi skutecznie zastraszyć”.

Gleith położył dłoń na ramieniu Brolina.

„Zawężają moją przestrzeń życiową - zaciśnięta na ramieniu dłoń ma powiększyć wrażenie kontroli. Otaczam cię, pogwałcam twoją fizyczną nietykalność, mówię ci, co masz robić, a ty słuchasz mnie, bo jeśli nie, zacisnę oczka sieci i zgmiotę cię jak robaka”.

- Rozumiem - rzekł sentencjonalnie prokurator. - Ale sam pan doprowadził

do tej przykrej sytuacji, a publiczne oświadczenie kapitana Chamberlina będzie miało dramatyczne konsekwencje, jeśli szybko nie znajdziemy przestępcy!

Ponownie nawiązał do wypowiedzi Chamberlina. Widać mimo znalezienia tego niedopałka, który pozwolił oznaczyć DNA, ogólna klęska będzie się ciągnąć za Brolinem jeszcze długo.

- Właśnie widziałem się z burmistrzem - dorzucił Gleith. - Nie podoba mu się żółwie tempo śledztwa. Proszę mnie dobrze zrozumieć: burmistrz musi mieć rezultaty natychmiast, musi usatysfakcjonować wyborców, odsunąć konkurentów, a pan... Cóż, pan nie ułatwia mu zadania.

Prokurator przystanął i spojrzał na Brolina, Bentley zrobił to samo za jego plecami. Akcja była zdecydowanie bezpośrednia i miała jasne przesłanie.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć: to nie jest osobisty atak, ale myślę, że pan jest zbyt młody jak na to śledztwo. Gdybym był na miejscu kapitana Chamberlina, powierzyłbym je raczej jakiemuś staremu, doświadczonemu wydze. Ale kapitan bardzo pana lubi, a te kursy, które pan przeszedł w FBI i pana poprzednie osiągnięcia zdają się robić wrażenie na wielu osobach.

Prokurator wbił wzrok w oczy Brolina. Natrafił na spojrzenie nie tyle aroganckie, ile stanowcze.

- Bentley myśli, że powinien pan sam doprowadzić to śledztwo do końca, dlatego przychyliam się do jego opinii. Ale nie wolno się panu pomylić!

Pomyłka w takiej sprawie jak ta może zniszczyć pańską karierę. Do tej pory media były spokojne, ale przez to trzecie morderstwo będziemy głównym tematem programów informacyjnych największych krajowych telewizji.

A więc wszystko się wyjaśniło! Obecność Bentleya w zespole Brolina miała nie tylko pozwolić przysłemu zastępcy prokuratora zapoznać się z pracą policji, ale także umożliwić mu dokonanie cichego rozpoznania na użytek Gleitha. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleli? Przecież to oczywiste...

Młody człowiek tuż po dyplomie, który ląduje prosto w biurze prokuratora, nawet jeśli dostał się tam po znajomości - już to powinno wydać im się podejrzane Gleith chciał wiedzieć, jak pracuje miejscowa policja; mieć w niej swojego człowieka, który dostarczy mu potrzebnych informacji. Taka miniatura Johna Edgara Hoovera. Chciał wiedzieć, gdzie ma przyjaciół, a gdzie wrogów, których będzie musiał wyeliminować, kiedy przyjdzie właściwy moment Pragnął mieć pod ręką wszystkie haki, konieczne do...

Cholerny polityk. Aż dziwne, że Bentley popiera Brolina... Tego młody inspektor nie oczekiwał.

Teraz Brolin położył dłoń na ramieniu swojego rozmówcy, igrając z ogniem, używając jego broni.

- Mimo mojego młodego wieku, jak pan się wyraził, znam swoją pracę.

Mamy do czynienia z przerażającym kryminalnym tandemem, a morderca i jego mentor są inteligentni i sprytni, proszę więc nie oczekiwać z mojej strony cudów. Wszyscy, którzy zajmują się tą sprawą, pracują ofiarnie i bez wytchnienia. Prawda jest jednak taka, że dopóki nasi przeciwnicy nie popełnią błędu, nie zdobędziemy żadnego fizycznego śladu. Taki ślad muszę więc znaleźć ja, starając się zrozumieć psychikę mordercy.

Zaakcentował ostatnie zdanie, mając nadzieję, że osłabi to argumentację Gleitha i zmusi prokuratora do zmiany tematu na taki, w którym Brolin czuł

się pewnie.

- Nie umniejszam zdolności moich kolegów, ale na razie jestem jedyną osobą zdolną doprowadzić to śledztwo do pozytywnego zakończenia. Proszę mi zaufać.

Brolin zobaczył, jak Gleith zaciskał szczęki. Nie cierpiał kiedy ci, którzy powinni go wspierać, rzucali mu kłody pod nogi.

- A więc piłka jest po pańskiej stronie boiska - rzucił sucho. - Czekam na konkretne rezultaty. Ma pan czas do poniedziałku rana.

Później zwrócić się o pomoc do FBI.

Bralin zeszywniał. Zostawały mu tylko cztery dni.

Cztery dni, żeby zapobiec kolejnej zbrodni.

Cztery dni, zanim jego dawni koledzy przejmą śledztwo i ostatecznie przypieczętują jego klęskę.

Gleith dorzucił ironicznie, z drapieżnym uśmiechem

- Niech pan sobie przypomni słowa Andyego Warhola.

Oby pański kwadrans sławy jeszcze nie przeminął...

Usta Brolina rozciągnęły się w ironicznym uśmiechu. - Jestem pewien, że taki erudyta jak pan zna również powiedzenie generała de Gaulle'a - rzucił. -

Pamięta pan, co mówił generał? „Sława przychodzi tylko do tych, którzy zawsze o niej śnili". Każdy ma własne sny, panie prokuratorze. Każdy ma własne sny.

Usłyszał gdzieś z boku odgłos migawki aparatu fotograficznego. Tam, gdzie wydarzyło się morderstwo, zawsze się przyplącze jakiś dziennikarz. Cztery dni.

Laboratorium kryminalistyczne policji w Portland pracuje bez przerwy, choć nie zawsze na najwyższych obrotach, a momenty gorączkowej aktywności są często przerywane w miarę spokojnymi okresami wykonywania rutynowych zadań. Czwartek rano, dzień pogrzebu Camellii, był czasem wyjątkowej, trudnej do wytrzymania aktywności.

Kiedy Joshua Brolin pchnął drzwi prowadzące do głównego korytarza, zobaczył za szybami różnych działów wielu zabieganych ludzi w białych fartuchach. W dziale balistyki, oprócz zwykłych badań związanych z porównywaniem różnych rodzajów broni i kul, starano się ustalić tor lotu pocisków oraz dystans, z jakiego zostały wystrzelone, na podstawie ubrań ofiar strzelaniny, do której doszło kilka dni

wcześniej na parkingu jakiegoś motelu. Z kolei w dziale zajmującym się pożarami i wybuchami troje ekspertów starało się poznać przyczynę pożaru w nocnym klubie, poddając pobrane w lokalu próbki działaniu promieni podczerwonych za pomocą spektrometru i chromatografu cieczowego.

Przechodząc obok następnych laboratoriów, minął dział anatomii i skierował się do biur. Czekał tam na niego po porannym telefonie Carl DiMestro. Kiedy inspektor wszedł, DiMestro - odpowiedzialny za dział

anatomii i wicedyrektor laboratorium - na przywitanie podniósł się z krzesła.

- Jak tam samopoczucie? - zapytał, wiedząc, że Brolia właśnie wraca z pogrzebu.

- Nie gorzej niż zwykle. Znaleźliście coś? - Brolin był tak niecierpliwy, że pominął grzecznościowe wstępy.

Wiedział, jak ważne było jego wczorajsze odkrycie w domu Camellii.

- Siadaj, siadaj. Czego się napijesz? Kawy, herbaty? Brolin potrząsnął głową: chciał od razu przejść do sedna sprawy.

- W porządku, posłuchaj. Po twoim wczorajszym telefonie przyszedł Craig i przebadał tę bieliznę najdokładniej, jak potrafił. Dosłownie milimetr po milimetrze. Josh, wiesz może, czy ofiara miała psa, wilka, lisa pustynnego, a może zwykłego lisa?

- Co? Nie, nie sędzę. Co to wszystko ma...

- Byłoby to zresztą dziwne, gdyby miała... W całym domu nie znaleźliśmy przecież śladu obecności zwierzęcia. Nigdzie, tylko na tej bieliźnie.

Brolin zmarszczył brwi.

- Tak, to jest bardzo dziwne - ciągnął DiMestro. - Craig poza długim włosom, tym właśnie, który ty znalazłeś, odkrył kilka króciutkich, trzy a może cztery, w koronkowych majtkach. Długi włos jest

włosem ludzkim. Jego budowa, a zwłaszcza owalny przekrój, świadczy, że jest to prawdo-podobnie włos białego człowieka, spod pachy albo z łona. Prawdopodobnie, gdyż nie ma ciągłego rdzenia, tak jak włosy Azjatów, i jest mniej nasycony cząsteczkami pigmentu, ale za to regularniej niż włosy Murzynów. Natomiast cienkie i krótkie włoski pochodzą z sierści zwierzęcia, zapewne, co dałoby się wykazać po dłuższej analizie, z rodziny psów. Ułożenie komórek powierzchni włosa i forma łusek są charakterystyczne dla tej rodziny. Nie miałem czasu porównać go z próbkami sierści z naszej bazy danych. To na pewno sierść psa, ale jakiej rasy? Na to potrzebuję trochę czasu.

Brolin poruszył się w fotelu, którego metalowa konstrukcja ciężko zazgrzytała. Jak sierść zwierzęcia mogła wylądować w takim miejscu? Tylko razem z mordercą. Morderca musiał przenieść tę sierść na ubraniu i kiedy ocierał się o bieliznę, spadło na nią kilka włosów.

- Czy to znaczy, że morderca ma psa? - zapytał.

- To wydaje się najbardziej logiczne. Niewielkiego, jeśli sądzić po rozmiarze włosa. Ale to nie wszystko. Te włoski były nasycone dziwną substancją. I to dość mocno, tak jakby zostały nią oblane. Za pomocą elektronowego mikroskopu skaningowego i chromatografu gazowego odkryliśmy, co to może być. To jest mydło arsenowe i węglan potasu. Takich substancji nie spotyka się zbyt często.

Wreszcie Brolin miał coś konkretnego. Może morderca głaskał psa i w ten sposób pobrudził go tymi substancjami albo pies przebywał w miejscu, w którym używano tych środków? Możliwości były dwie: albo włosy trafiły na ubranie mordercy przypadkowo, wówczas trop ten należałoby uznać za nieprzydatny, albo zwierzę należało do zabójcy, wówczas trzeba było spróbować pójść tym tropem. Nie mieli zresztą innego wyjścia.

- Czy z tego ludzkiego włosa możesz wyciągnąć DNA? -zapytał Brolin.

- Nie, nie ma cebulki. Ale mogę wykonać analizę za pomocą neutronów.

Mogę je uaktywnić, wtedy zderzą się z atomami różnych mikroskopijnych elementów, z których składają się włosy, i staną się radioaktywne.

Wystarczy zmierzyć powstałe promieniowanie gamma i będzie można precyzyjnie określić zawartość wszystkich składników. Stopień dokładności takiego badania jest bardzo wysoki, jeśli więc przyniosłbyś mi włos podejrzanego, będę mógł porównać oba profile radioaktywności, żeby ci powiedzieć, czy jest to włos tej samej osoby, czy nie.

- A czy ta metoda jest pewna?

- Mniej pewna niż analiza DNA, ale szansa pomyłki jest mniej więcej jedna na milion, a to już nieźle.

Brolin wstał i wyjął z kieszeni skórzanej marynarki plastikową torebkę z kilkoma włosami.

- A zatem... porównujemy włosy? - zapytał.

- Bez problemu. Skąd je masz?

Brolin położył torebkę na biurku DiMestra.

- Dobry policjant, jeśli chce pozostać dobrym policjantem, nie zdradza swoich źródeł.

Wicedyrektor laboratorium wzruszył ramionami.

- Twoja sprawa. Zrobię to jak najprędzej, tylko w tej chwili mam mnóstwo pilnych spraw. Wciąż brakuje nam ludzi.

- Wiem; tak jest wszędzie. Mimo wszystko dzięki.

- Między nami: może to jest po prostu włos z podbrzusza ofiary?

Brolin gwałtownie zaprzeczył.

- Nie przypuszczam. Nie znalazłby się w czystej bieliź-nie; nie w tych okolicznościach. Wszystko się zgadza. Zapewniam cię, Carl: morderca posłużył się jej bielizną. Nie mógł się powstrzymać. A psia sierść tylko to potwierdza. Camelia nie miała psa. To jest trop, którego nie wolno nam zlekceważyć.

Carl wzruszył ramionami.

- Zapewne liczyłeś na więcej, co, Josh? Przykro mi, ale wiesz, że robię, co mogę.

Brolin podszedł do drzwi.

- To już jest bardzo dużo, Carl. I to zaledwie w kilka godzin. Jeszcze raz dzięki.

Sierść psa pokryta mydłem arsenowym i węglanem potasu. To był dobry początek, ale ile trzeba było się namęczyć... Kiedy Brolin o tym pomyślał, aż mu się zakręciło w głowie.

Wychodząc, jeszcze raz podziękował Carlowi, który miał pod oczami sińce tak ciemne jak fale z ropą oblewające plażę na Florydzie.

Trzeba było działać szybko, bardzo szybko.

Było wczesne popołudnie. Słońce świeciło na bezchmurnym niebie, ale panował przenikliwy chłód i z każdym wydechem z ust Juliette wydobywała się para, tworząc w mroźnym powietrzu spiralny dymek.

Juliette jechała samochodem na wschód, w kierunku dzikich zakątków Oregonu, aż krętymi drogami wjechała między wzgórza, gdzie miastem nazywa się skupisko dziesięciu domów i gdzie istnieją jeszcze tak gęste i dzikie lasy, że żyją w nich zwierzęta, które nie wiedzą o istnieniu człowieka.

Kiedy zjeżdżała z drogi na wyboistą dróżkę, zatrzymała się i poczekała na forda z dwoma ochraniającymi ją policjantami. Tam ustalili, że zostawią ją w spokoju na kilka godzin

samotności - nic nie mogło jej się przydarzyć w tej zabitej dechami dziurze, a oni mieli na nią czekać przy ścieżce prowadzącej na wystającą skałę.

Wbrew sobie, ale rozumiejąc Juliette, obaj policjanci się zgodzili.

Teraz, dla bezpieczeństwa zaczepiając stopą o podstawę wielkiego kamienia, Juliette przechylała się nad przepaścią i podziwiała ciemną wstążeczkę Columbii płynącej dwadzieścia metrów niżej. Rzeka przepływała spokojnie przez cały Oregon, przecinając niezmierzone lasy. zagłębiając się między poszarpane skalne ściany ciemnych wąwozów, żeby w końcu dotrzeć do cywilizacji, tam, gdzie frachtowce brały ładunki i wypływały na wody oceanu.

Juliette trzymała w dłoniach czarne pudełko z prochami przyjaciółki.

Camelia straciła rodziców już dawno, a tych niewielu krewnych, których miała, mieszkało na Wschodnim Wybrzeżu i nie utrzymywało z nią kontaktu

- szczęśli-

wi wyznawcy religii, która nakazywała im raczej zapomnieć o Camelii ze względu na sposób, w jaki żyła, zamiast głosić miłość i tolerancję. Mimo że były męż Camelii, Steven, przyszedł na ceremonię pogrzebową, prochy zostały powierzone Juliette.

Camelia często żartowała na temat swojej śmierci, która kojarzyła jej się z wolnością. Jej prochy poniesie wiatr; wreszcie będzie mogła fruwać. W

tysiącu maleńkich cząsteczek zwiedzi cały świat, oglądając go z góry, zanim wreszcie spocznie w wielu miejscach naraz. Będzie w rzekach, w drzewach, w oceanie, a może jeszcze, jeśli natura okaże się łaskawa, przefrunie świat w morskiej bryzie, porwana przez pasaty.

Widząc w rzece odbicie twarzy Camelii, Juliette zamknęła oczy. Wiatr szumiał w takt melodii o przemijaniu.

Juliette wspięła się na sąsiednią skałę. Wiedziała, że siedzi nad przepaścią, że pod stopami, w

odległości zaledwie kilku centymetrów, znajduje się groźna pustka, ale w ogóle się nie bała.

Otworzyła oczy, wyciągnęła dłonie z pudełkiem nad prze-paścią i podniosła przykrywkę. - Kocham cię...

Pierwsze cząsteczki wyleciały powoli z pudełka, jakby wiatr wahał się: porwać je czy nie, po czym tumanem po-frunęły w górę, z wdziękiem zatańczyły w powietrzu, wzno-sząc się i opadając przed zachwyconym wzrokiem Juliette. Arabeska popiołu złożyła się w tajemniczy napis, a następ-nie niemal natychmiast znikła.

To były słowa pożegnania Camellii.

Jej ostatnie słowa.

Juliette siedziała na skalnej półce jeszcze blisko godzinę. Myślała nic tylko o Camellii, ale także o sobie; o tym, co spot-kało ją w zeszłym roku. O mały włos, a to Camelia rozrzuca-łaaby prochy Juliette. Czy to zmieniłoby cokolwiek? Jeśli ona,

Juliette, umarłaby tamtego dwudziestego dziewiątego września, to czy Camelia byłaby dziś żywa? Juliette wytarła łzy rękawem.

Nienawidziła tego, kto to zrobił. Tego zbrodniarza, tego szaleńca.

Wciąż słyszała jego głos, ten bezpłciowy dźwięk, którym dyktował rozkazy do słuchawki, doprowadzając ją do szału. Brolin z pomocą Pacific Bell starał

się sprawdzić, skąd dzwonił ten zboczeniec, ale on, rzecz jasna, nawiązał

połączenie z kabiny publicznej stojącej poza miastem, z dala od jakichkolwiek świadków.

Joshua powiedział, że jest ich dwóch: mówił o nich „morderca” i „Życzliwy”.

Zabijanie usprawiedliwiali tekstem Boskiej Komедii Dantego, uważali się za wtajemniczonych okul-tystów. Cytowali wersety z Piekła. Dlaczego akurat z Piekła? Jaki mieli w tym cel? Juliette była pewna, że to nie jest przypadek, że coś się za tym kryje. Któregoś wieczoru, kiedy siedzieli razem i rozmawiali, Joshua poradził jej, żeby przestała o tym myśleć, uważając, że właściwie tylko „Życzliwy” mógłby im wyjaśnić sens cytatów i w ogóle ideę działania morderczego tandemu. Te mętne wynurzenia były zapewne zrozumiałe tylko dla tego, który zamknął się w rodzaju paranoicznego delirium, budując sobie własny świat z pomocą „świętych” tekstów. Ale Juliette nie była tego taka pewna. To niemożliwe, żeby nie dało się dojść do sedna tajemnicy, jaką kryją te cytaty. Już samo to, że „Duch Lelanda” wybrał

Piekło, na pewno coś znaczy.

Spojrzała na zegarek. Była czwarta po południu.

Te typy muszą za to zapłacić. Nie mieli prawa zabijać Ca-mellii: ona im nic nie zrobiła.

Juliette zacisnęła pięści, aż strzeliło jej w stawach. Czuła, jak wzbiera w niej złość, wzrasta pragnienie zemsty. Zabić ich? Nie; oczywiście, że nie. Ale skazać na cierpienia! Niech przynajmniej do śmierci siedzą w wilgotnej, zimnej celi.

Ale co ona mogła zrobić?

To, na co ją stać!

„Ponieważ mordercy wydają się uwielbiać Lelanda, naśladowując go z taką zręcznością, to znaczy, że w ten czy inny sposób są z nim związani. Znają się”.

Tymczasem ona nie wiedziała nic szczególnego o Lelandzie, nic osobistego.

I nagle wróciło uczucie zimna w dłoniach, nagle poczuła każdą komórkę swojego ciała. W najdalszych zakątkach pamięci zbudził się głuchy strach i przeniknął ją do głębi.

Ależ tak. Mogła dotrzeć do prywatnego świata Lelanda. Zawsze wiedziała, że może, ale nie chciała konfrontacji z demonami z przeszłości. Jeszcze było zbyt wcześnie.

Ale teraz nadszedł czas.

Wstała i ruszyła z powrotem do samochodu.

„Wypowiadam ci wojnę, Lelandzie”.

Nie wybiła jeszcze pierwsza, gdy Brolin przekroczył próg księgarni Powell's i znalazł się w świecie wiedzy zapisanej w słowach. Powell's jest księgarnią, która bogactwem i różnorodnością księgozbioru mogłaby zawstydzić nawet rozmiłowaną w księgach Kleopatrze, opiekunkę Biblioteki Aleksandryjskiej.

Jest tak wielka, że szybko można się w niej zgubić, dlatego niektórzy miejscowi studenci nazywają ją miastem książki.

Brolin przywitał się z pracownikiem siedzącym w punkcie informacyjnym, zapytał go o coś, a później szybko odnalazł dział fizyki i chemii. Zaczął

poszukiwania, przeglądając streszczenia pozycji, których tytuły wydały mu się wystarczająco ogólne, żeby dotyczyć po trosze wszystkiego; na-stepnie zawęził pole poszukiwań, wyjmując i kładąc jedna na drugą książki, w których spodziewał się znaleźć coś interesującego.

Chodziło mu o mydło arsenowe i węglan potasu. Om DiMestro zadał sobie wiele trudu, żeby wyodrębnić te elementy z psiej sierści znalezionej w bieliźnie Camellii i choć nie był to jakiś ogromny wyczyn, to jednak fakt, że taki ślad w ogóle się pojawił, graniczył z cudem. Czy też raczej to, że udało im się znaleźć taki ślad, graniczyło z cudem. Brolin wspomniał tworzenie profilu i pogratulował sobie tego niewielkiego zwycięstwa, które zasługiwało na to, aby dojść do uszu jego byłych nauczycieli z Quantico. Byłby to doskonały przykład tego, jak określenie profilu może przynieść korzyść-ci śledztwu i natychmiastowe rezultaty. Pod warunkiem, że wszystko skończy się szybkim aresztowaniem przestępcy.

Mydło arsenowe i węglan potasu.

Nie było to wiele, ale przy odrobinie szczęścia mogło pomóc w śledztwie.

Jeśli Brolinowi udałoby się ustalić, gdzie występują podobne substancje, jeśli określiliby fabrykę czy rodzaj profesji, w których wykorzystuje się mydło arsenowe i węglan potasu lub gdyby przynajmniej odkrył, do czego środki te mogą służyć, mógłby dotrzeć do samego mordercy. Wszystko to jednak były tylko przypuszczenia. Brolin założył, że morderca ma psa i że tam, gdzie mieszka, znajduje się fabryka lub przynajmniej mały warsztat, w którym znajduje zastosowanie mydło arsenowe i węglan potasu. Jeśli pies pobiega w okolicy takiego zakładu, to w jego sierści można by znaleźć nieznaczne ilości obu substancji.

Ale Carl DiMestro mówił, że sierść była nimi nasycona. Może więc pies wytarzał się w jakiejś kałuży albo może sam morderca - ze względu na wykonywany zawód - używał mydła arsenowego i węglanu potasu, a później, kiedy głaskał psa, wtarł w jego sierść te substancje?

Wciąż jednak brakowało konkretów.

Ale to było jedyne w miarę logiczne wyjaśnienie, jakim Brolin teraz dysponował.

Po godzinie poszukiwań Brolin odłożył na stół około trzydziestu pozycji.

Powell's jest księgarnią, a nie biblioteką, dlatego nie zdziwiło go, kiedy podszedł do niego sprzedawca z nieprzyjemnym wyrazem twarzy

- Czy mogę w czymś panu pomóc, proszę pana? Brolin potrząsnął głową i zaczął grzebać w wewnętrznej

kieszeni marynarki.

- Może pan, jeśli pan wie, do czego służy mydło arsenowe i węglan potasu -

odrzekł, wyciągając srebrną odznakę inspektora.

Pracownik księgarni, trzydziestoletni mężczyzna w wielkich okularach w czerwonej oprawie, z długimi włosami założonymi za uszy, przybrał

skupiony wyraz twarzy i mruknął coś w rodzaju: „Niech się zastanowię...”.

- Węglan potasu jest używany do produkcji niektórych szkielek i również chyba w przemyśle perfumeryjnym. Widziałem niedawno program dokumentalny na ten temat. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale jeśli chodzi o mydło arsenowe, to nie mam pojęcia. Czy to na potrzeby śledztwa?

- Tak... Mówi pan, do produkcji szkła?

- I w przemyśle perfumeryjnym, mam wrażenie.

- Czy ma pan jakieś książki o produkcji szkła?

- Och, z pewnością.

Brolin był zaskoczony swobodą, z jaką pracownik księgarni poruszał się w tym labiryncie. W bardzo krótkim czasie przyniósł mu egzemplarz zatytułowany Szkło - od wytworzenia jednej szklanki do produkcji przemysłowej.

- Proszę. Pójdę zapytać kolegę o to mydło, on się zna na chemii.

Brolin podziękował i najpierw zajrzał do spisu treści grubego tomu, następnie go przekartkował, ale jakoś nic nie rzuciło mu się w oczy. Było tam mnóstwo danych, kilka zdjęć i kolorowych szkiców.

Pracownik w czerwonych okularach wrócił po kilku minutach z kubkiem gorącej kawy

- Proszę, to panu pomoże przy lekturze tej grubej książki, Brolin, ujęty życzliwością młodego człowieka, wyzbył się

wrodzonej nieufności i małomówności.

- Dziękuję, to bardzo miło z pana strony Ta książka jest prawdziwym koszmarem! Osiemset stron drobnego druku, czy ktokolwiek to kupuje? -

zazartował, popijając łyk kawy

- Proszę się nie martwić, ona służy nam głównie do podpierania stołów.

Zapytałem kolegę o mydło arsenowe. Jego zdaniem to najprawdopodobniej środek antyseptyczny, choć on nie zna wszystkich możliwych zastosowań. Z

kolei węglan potasu jest substancją konserwującą, wykorzystywaną głównie przy mumifikowaniu, tak powiedział. To znawca historii starożytnej, głównie Egiptu epoki faraonów. Węglan potasu jest na przykład jednym z podstawowych produktów, które stosowano, żeby zapobiec wysychaniu mumii. - Mumii?

Kto w Portland mógł mieć do czynienia z mumiami? Bro-lin był przekonany, że w miejscowych muzeach nie było żadnych mumii. I do czego można używać w tym samym czasie takiego środka antyseptycznego jak mydło arsenowe? Jaka fabryka mogła stosować jednocześnie obie te substancje? I co mogłaby produkować?

Brolin przejrzał w myślach różne zawody, ale nie znalazł żadnego w regionie Portland, którego wykonywanie wymagałoby stosowania obu tych substancji naraz. Z drugiej strony, skąd mógł wiedzieć? Tylu rzemieślników ma swoje metody, wytwarza unikalne produkty..

Środek antyseptyczny i ten drugi, przeciw wysychaniu...

I...

Nagle doznał olśnienia. Zestawił w myśli zebrane dowody. A gdyby...

Morderca obcinał określone części ciała swoich ofiar, dając przy tym dowód fachowej wiedzy z dziedziny anatomii. Bardzo uważał zwłaszcza na skórę i kości, a lekceważył żyły i mięśnie.

Wokół nóg Elizabeth Stinger były ślady proszku kredowego!

„On nie rysuje kredą pentagramów czy innych podobnych znaków, ale używa kredy do brania miary! Wymierza skórę i zaznacza określone fragmenty”.

Tak, to chyba o to chodzi. Skóra, kości, wymiary i środek antyseptyczny, oprócz tego środek przeciw wysychaniu... Jest tylko jedno wyjaśnienie.

- Czy dobrze się pan czuje? - Usłyszał głos pracownika księgarni. - Podać panu jeszcze kawy?

Brolin czuł, że pomieszczenie, w którym się znajduje, zaczyna wirować wokół niego tym mocniej, im bardziej horror, o którym myślał, nabierał

konkretnej formy Boże! Wie-dział.

Morderca obcinał kończyny ofiarom nie dlatego, że zbierał trofea.

Znacznie gorzej.

Przez całe ciało Broлина przebiegł dreszcz obrzydzenia, **66**

Przede wszystkim musiała się pozbyć swoich aniołów stróżów. Nie mogła zrobić tego, co zamierzała, mając cały czas przy sobie dwóch policjantów. Mieli ją chronić, prawda, ale ona nie miała się czego bać.

Morderca zawahał się, wyznał jej to przez telefon, ale wybrał Camelię. Jej nie chciał. Leland próbował, ale zapłacił za to życiem. Jeśli teraz miała jej grozić śmierć, Juliette wołała stanąć z nią twarzą w twarz. A właściwie, chciała ją nawet sprowokować.

To był jedyny sposób, żeby wszystko się wreszcie skończyła. Jeśli „Życzliwy” i morderca znikliby, zabraliby ze sobą „Ducha Lelanda” i również wszystkie inne duchy, które ją straszły.

Usiadła za kierownicą swojego volkswagena garbusa, ale nie przekręciła kluczyka w stacyjce. Zamiast tego wysiadła z samochodu i zamknęła drzwi, następnie skierowała się w stronę lasu. Jeśli się pospieszy, za dziesięć minut dojdzie do szosy. Ponieważ zamierzała pójść trochę okrężną drogą, oddali się wystarczająco od forda i swoich dwóch strażników. To powinno wystarczyć, żeby bez policyjnej asysty złapać autostop.

Podrapała sobie dłonie o kłujące krzewy, ale dość szybko udało jej się dotrzeć do drogi, idąc na skróty przez łąki. Starając się poruszać w cieniu drzew, kierowała się na zachód. Nie chciała, by któryś z policjantów zauważył ją z daleka, wysiadłszy z samochodu, żeby rozprostować nogi.

Powinna się pospieszyć; powiedziała im, że chciałaby zostać sama przez dwie godziny, co dawało jej jeszcze trzydzieści minut. Biorąc pod uwagę okoliczności, można przypuścić, że nie będą się spieszyć i od razu po nią jechać; chwilę zaczekają, zanim zaczną się naprawdę denerwować.

Przyspieszyła kroku.

Kwadrans później nadjechała ciężarówka i Juliette zamachała ręką.

Kierowca, czterdziestoletni tłuścioch o imieniu Duane, z przyjemnością ją zabrał. Dojechali do autostrady międzystanowej numer 84, którą skręcili w kierunku Portland. Juliette musiała znosić jego gadulstwo i starać się zmieniać temat rozmowy, gdy tylko Duane zaczynał być niezbyt przyzwoity w swoich opowieściach. Ale dowiózł ją bez problemów do stóp West Hills.

Stamtąd Juliette szybko pobiegła do domu Camelii i jeszcze raz podziękowała w myślach przyjaciółce, że kazała jej dorobić drugi komplet kluczy. Wsiadła do bmw Camelii i zjechała aż do ulicy Trzydziestej Drugiej, z trudem powstrzymując się od szybkiej jazdy. Nie wolno jej było zwrócić na siebie uwagi policji. Uśmiechnęła się. Zachowywała się jak uciekinier, któremu deptają po piętach wszyscy szeryfowie Oregonu, a przecież nie zrobiła nic złego. Nie mogli żądać, żeby wszędzie brała ze sobą ochronę. A tam, dokąd teraz jechała, mogła wybrać się tylko sama, bez

towarzystwa.

Spotkanie było zbyt osobiste. To, co sobie założyła, mogła wykonać jedynie samotnie - musiała sięgnąć do zakamarków pamięci, żeby wydobyć na światło dzienne wszystkie swoje obawy i wszystkie najgłębsze sekrety.

Jechała w ciszy, bez muzyki z odtwarzacza CD i bez włączonego radia. W

samochodzie unosił się jeszcze lekko piżmowy zapach perfum Camelii, tak jakby przyjaciółka siedziała z tyłu.

Bmw minęło Beaverton i skierowało się na południe.

W oddali powoli zachodziło słońce, zabierając ze sobą dzień. Na zimnym, przezroczystym niebie z wolna pojawiały się gwiazdy. Juliette wiedziała, że jest u kresu sił psychicznych. Że osiągnęła stan, który specjaliści określają jako punkt krytyczny. Jest to wybuchowa mieszanka zmęczenia, psychicznego znużenia, wyczerpania nerwowego i złości. Nie oceniała sytuacji obiektywnie; działała pod wpływem głuchej nienawiści, która utrudniała jej oddychanie. Jednak zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała, że musi to uczynić. Normalnie nie byłaby zdolna do czegoś takiego, ale teraz, skoro powzięła decyzję, należało podsycać ten niszczący ogień. Na popiołach odrodzi się nowe życie. To będzie nowy start. Jechała na południe, w kierunku tego, czego się najbardziej bała. Ale jeśli stanie z tym twarzą w twarz, będzie wiedziała, że na zawsze pozbyła się koszmarów, które nie dają jej spać.

Minęła jezioro Oswego i jechała jeszcze dwadzieścia minut, zanim zamieniła autostradę międzystanową na drogi podmiejskie. W Stafford wjechała na wiejską, nieuczęszczaną drogę w kierunku lasu. Bmw jechało powoli, trzymając się kolein dzielących wysokie trawy. Teraz musiała włączyć światła, bo niebo było fioletowe, a drzewa rosły tak gęsto, że nawet w październiku, kiedy miały przecież mniej liści, blask dnia ledwie się przez nie przebijał.

Jechała około dziesięciu minut tą zapomnianą drogą, oddalając się od cywilizacji i zagłębiając w rejony, którymi rządził jedynie instynkt. W miarę jak wjeżdżała coraz głębiej w las, gałęzie uderzały w szyby niczym wielkie, powyginane artretyzmem palce.

Nagle, jak straszna twarz w ciemnym oknie, przed jej oczami pojawił się budynek. Białe ściany krzykliwie błyszczały w zapadającym zmierzchu, w czarnych oknach wisiały zasłony z kurzu. Z boku ogromna woliera zmieniła się w ziemię niczyją, pełną chwastów i ptasich szkieletów. Nikt tu nie mieszkał od ponad roku.

Ostatnim lokatorem był Leland Beaumont. A Juliette była jego ostatnim gościem.

Bmw stanęło przed wjazdem do garażu. Za tymi drzwiami jeszcze teraz stało prawdopodobnie urządzenie z bloczkiem, na którym wyciągnął ją z ziemianki.

Juliette wyłączyła silnik, ale zostawiła zapalone reflektory. Otworzyła schowek na rękawiczki, mając nadzieję, że znajdzie tam porządną latarkę.

Znalazła tylko małą latarkę samochodową.

Dziwne, ale powietrze na zewnątrz było znacznie mniej chłodne niż wcześniej tego popołudnia nad rzeką Columbią. Aktywne w dzień zwierzęta pochowały się już do nor, jakby w obawie przed znanymi tylko sobie, nocnymi potworami.

Korzystając ze światła reflektorów, Juliette podeszła do garażu. Drzwiczki z boku ułatwiały dostanie się do wnętrza. Juliette poruszyła klamką i nie zdziwiło ją, że były zamknięte.

Słyszała, że dom był w tym samym stanie co w zeszłym roku. Po śmierci Lelanda jakoś nikt nie chciał kupić tych okropnych zabudowań stojących w głębi lasu. Mówiono, że nawet ojciec Lelanda tutaj nie przychodził i że wszystko stało zaniedbane. Policja dokładnie przeszukała pomieszczenia, a odkrywając ziemiankę pod garażem, w której Leland prze-trzymywał swoje ofiary, ograniczyła rewizję do jego osobistych rzeczy. Szukano jego dzienników, zapisków dotyczących zbrodni i motywów postępowania Lelanda, ale dom niczego już więcej nie zdradził.

Juliette znalazła w bagażniku łom (w ogóle ją to nie zdziwiło - Camelia była zawsze przygotowana na wszystko) i wróciła do garażu.

Zamek ustąpił z głuchym trzaskiem, który przepadł gdzieś między drzewami.

Juliette wzięła głęboki oddech. Spojrzała w kierunku lasu i powyginanych drzew, które ją otaczały, ale nic nie zobaczyła. A przecież wyraźnie czuła na karku czyjeś ciężkie spojrzenie.

„Przestań, Juliette! Nikt nie wie, że tu jesteś, a w całej okolicy nie ma żywej duszy!” - próbowała dodać sobie odwagi. Efekt był przygnębiający.

W tym garażu ukrywały się najgorsze chwile jej życia. Pchnęła drzwi i zaświeciła latarkę.

Ujrzała prawdziwie egipskie ciemności - wejście do domu wyglądało na przejście donikąd, do wchłaniającej wszystko czarnej dziury. Juliette została wchłonięta jednym kłapinięciem czarnych szczęk.

Powietrze w środku było duszące, pełne kłębow kurzu.

„I wycia torturowanych kobiet”.

Podniosła wyżej promień światła latarki. Atmosfera była tak przygnębiająca, że ciemności stawały się niemal namacalne; podobne do ciężkiej, gęstej substancji, która wypełniała wszystko, wylewała się zewsząd, docierając do najmniejszych dziur.

W niewielkiej aureoli światła latarki pojawił się stół z zardzewiałymi narzędziami. Język światła prześlizgnął się po nich. Kanister. Kilka przedłużaczy elektrycznych. Stare radio. Imadło.

„Postać klęczącej kobiety błagającej o litość, jęczącej z bólu, z ręką uwięzioną w imadle. Krzyczy rozzwierając, kiedy imadło zaciska się i piła powoli przecina nadgarstek”.

Dość. Nie myśleć o tym!

Gdzieś w garażu, bardzo blisko niej, zadzwonił łańcuch. Łańcuch od bloczka.

Juliette zrobiła jeszcze kilka kroków naprzód. Minęła zimny grzejnik. Kurz drapał ją w gardle, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi. Szła dalej.

Kiedy obeszła już stary silnik samochodowy stojący na podstawce z cegieł, promień światła latarki zatrzymał się na splecionych kółkach łańcucha.

Rzeźnicki hak, który z nich zwisał, wyglądał tak, jakby czekał na Juliette.

Młoda kobieta skamieniała.

Hak błyszczał jak świeżo wypolerowany. Widocznie kurz nie śmiał się osadzić na chromowanym metalu, powietrze omijało ostry czubek. Hak z pewnością był lodowaty. Bardziej bolało, kiedy przebijał ciepłe ciało istoty ludzkiej.

W końcu spojrzała w dół. Od dawna nikt nie zasłaniał klapy w podłodze. Pod spodem była niewielka ziemianka, w której zamknięta Juliette oczekiwała na śmierć.

Juliette zaczęła się dusić i upuściła latarkę trzymaną w dłoni. Lampka potoczyła się pod szafkę i zgasła. Dłonie Juliette były skostniałe z zimna. Od kiedy tu weszła, całe jej ciało pokryło się gęsią skórką, a ona nawet tego nie zauważyła. Przeszedł ją dreszcz.

Uklękała na lodowatym cemencie i zaczęła macać dłonią pod szafką.

Dotknęła mnóstwa różnych drobiazgów, ale wolała się nie zastanawiać, co to mogło być: śruba czy karaluch. Kiedy poczuła pod palcami aluminiowy trzonek, zacisnęła dłoń na latarce.

„Boże, żeby tylko działała” - powtarzała w myśli, szukając przycisku, który wreszcie znalazła. Nacisnęła go i latarka zaświeciła.

Westchnęła z ulgą.

Podeszła do klapy w podłodze i serce zaczęło jej bić bardzo mocno; tak mocno, że widać to było przez sweter. Bloczek z hakiem wisiał tuż nad otworem, musiała go przesunąć.

Hak błyszczał nienaturalnie w strumieniu sztucznego światła.

„On jest idealnie czysty”.

Tak, jakby wyczyszczono go przed chwilą.

To niemożliwe, komu by się chciało przyjeżdżać tutaj tylko po to, żeby wyczyścić stary rzeźnicki hak. Ale Juliette było bardzo trudno oderwać wzrok od błyszczącego metalu. Odepchnęła od siebie te paranoiczne myśli i chwyciła za bloczek.

Przekręciła urządzenie. Po pierwszym straszliwym pisku odskoczyła w tył i znów omal nie upuściła latarki. Zebrała w sobie całą odwagę i pchnęła poprzeczną sztabę. Odgłos był taki, jakby dwa statki handlowe z hukiem wpływały na siebie dziobami. Metal krzyczał, przywoływał śmierć, a dźwięk rozszedł się po całym domu i na zewnątrz, budząc duchy przeszłości.

Juliette stanęła nad klapą i chwyciła metalowy uchwyt.

„Dlaczego ja to robię? Muszę być szalona!”

Serce waliło jej w piersi, pracowało jak rozszalały motor, ale wiedziała, że musi to zrobić. Musi podnieść klapę. Musi stawić czoło swojemu strachowi.

Ścisnęła mocno uchwyt.

Dowiedzie sobie, że to wszystko należy do przeszłości. Zamknie ten ponury rozdział swojego życia raz na zawsze.

Uniosła klapę. Pojawił się kwadrat wypełniony ciemnością. Przez moment wyraźnie słyszała jęki zmarłych dusz ulatujące w górę, ku niej, i długą żalobną skargę. Ale przecież to było niemożliwe.

W dół prowadziła drewniana drabinka. Juliette uchwyciła się jej i zaczęła schodzić. Ledwie mogła oddychać.

„Muszę to zrobić. Muszę. Później wszystko się skończy”.

Później będzie mogła dokładnie obejrzeć dom, przeszukać go, żeby znaleźć ślady łączące Lelanda z "Życzliwym" i z obecnym mordercą. Wiedziała, że na pewno coś znajdzie, jakiś materialny dowód; coś, czego policja nie odkryła. W ten sposób ona uwolni się od przeszłości, a Leland stanie się prawdziwym duchem, zjawiskiem, które wystarczy zdmuchnąć, żeby znikła

Dokopie się do najintymniejszych sekretów Lelanda i wypróżni ten worek nieszczęść. Wypróżni ze wszystkiego.

Zeszła po drabinie na sam dół, nie potykając się ani razu. Latarką oświetliła podłogę. Z trudem oddychała. Czuła pulsowanie krwi w skroniach.

Powietrze tutaj było ciepłe, niemal wilgotne. Zbyt wiele spłynęło tu łez, zbyt wiele strachu wisiało w ciężkim, niezdrowym powietrzu.

Światło latarki omiotło drewniane ściany.

Zobaczyła ślady paznokci na deskach. Otwór w podłodze, który poprzednia ofiara wygrzebała na próżno, chcąc wyjść na zewnątrz; ten sam, w którym Juliette zwinęła się w kłę-

bek, sparaliżowana strachem. Pomieszczenie było mniejsze, niż je zapamiętała. Obróciła się dokoła, raz i drugi. Wpatrywała się w każdy centymetr.

Zacząła oddychać spokojniej. Serce zwolniło bicie.

To miejsce było w jej umyśle kwintesencją strachu, a przynajmniej było nią do tej chwili. Tu, w tym półmroku, zobaczyła loch, który wykopał

psychopata. Zobaczyła Lelanda spoconego, zmęczonego, wykopującego ostatkiem sił tę jaskinię zła. Zobaczyła go pijanego radością, gdy obserwował

sterroryzowane ofiary. Zobaczyła człowieka z krwi i kości, który był

kompletnym szaleńcem - i przestała się go bać. On nie był nadprzyrodzony; nie wróci.

Zrozumiała, że tamtego dnia on naprawdę umarł. Jego mózg rozpadł się od kuli z rewolweru. Żadna księga o czarnej magii nie sprowadzi go z powrotem.

Gdzieś tam ktoś zabawiał się kukiełką Lelanda, ale to była tylko kukiełka.

Usłyszała, jak nad nią, w garażu, coś spadło i potoczyło się po podłodze.

Podskoczyła z wrażenia i nakierowała latarkę na otwór w suficie. Przedmiot się zatrzymał. Wyglądało, jakby to była puszką po piwie.

Juliette postawiła stopę na pierwszym stopniu drabiny i zaczęła wchodzić na górę.

Puszkę mógł strącić wiatr albo jakieś zwierze, które we-szło do garażu: w końcu zostawiła otwarte drzwi.

To nie może być nic strasznego. Już nie teraz.

Wystawiła głowę na zewnątrz i omiotła podłogę garażu światłem latarki.

Mnóstwo skrzyń zasłaniało widok, było tam za dużo przedmiotów. Ale nie zauważyła żadnego zwierzę-cia. Może się gdzieś schowało? Czekają? Może sparaliżował je strach? Nie, nie ma tu żadnego zwierzęcia.

„A może - żadnego człowieka?”

Juliette wydostała się wreszcie z ziemianki i kiedy, prostując się, kładła latarkę na ziemi, zadzwonił łańcuch od bloczka.

Nie wyglądało to na wiatr. Nie; to ktoś świadomie pociągnął za łańcuch.

Świadomie, mocno.

Jakby nim potrzęsnał.

I z ponurego cienia wynurzyła się postać.

Juliette zrobiła krok do tyłu i potknęła się, ale szybko się wyprostowała, przytrzymując się jakiejś skrzyni, żeby nie wpaść z powrotem do piwnicy.

Rozległ się spokojny, nijaki głos.

- Od dawna czekałem na tę chwilę.

Postać zrobiła krok do przodu.

Serce Juliette mało co nie wyskoczyło jej z piersi.

W wąskiej smudze światła płynącego z małej latarki, wciąż leżącej na podłodze, pojawił się Leland Beaumont. To był Leland Beaumont. Z krwi i kości.

Uśmiechnął się drapieżnie.

I rzucił się na nią.

Osiem cylindrów silnika mustanga zawarczało całą mocą ostatni raz i samochód się zatrzymał. Brolin zamknął drzwiczki i wyjął z kieszeni marynarki karteczkę, na której nabaz-grał adres znaleziony w książce telefonicznej. Ruszył ulicą Montgomery Nad Portland zapadała noc, zapalały się światła.

Nie przeszedł jeszcze stu metrów, kiedy poczuł wibrowanie komórki.

- Brolin, słucham.

- Josh, tu Carl DiMestro. Gdzie jesteś?

- W centrum. Czy to coś pilnego?

- Posłuchaj mnie. Dzwonię w sprawie tych włosów, które zostawiłeś mi do porównania z sierścią odkrytą u Came-lyi McCoy. Gdzie je znalazłeś?

- Dlaczego pytasz? Masz z tym problem?

- Te włosy należą najprawdopodobniej do tej samej osoby, której włos z podbrzusza znalazłeś u ostatniej ofiary

Brolin stanął na środku chodnika, przed sklepem z rzeczami z demobilu.

- To niemożliwe.

- Możliwe. Nie jestem całkowicie pewien, jest kilka drobnych różnic, ale ogólnie się zgadza.

Carl DiMestro usłyszał bardzo wyraźnie, jak Brolin wzdycha.

- Miałem nadzieję, że usłyszę inną odpowiedź, Carl. Włosy, które ci dałem, należały do Lelanda Beaumonta.

Kiedy odkryli pusty grób i minęło pierwsze zdumienie, Brolin zauważył na dnie trumny kilka włosów i powodowany zawodowym odruchem, wziął je i umieścił w jednej z plastikowych torebek, które zawsze miał przy sobie.

Zrobił to, aby się upewnić, że człowiek, który leżał w tej trumnie, był

naprawdę Lelandem Beaumontem.

- „Kat z Portland” ... Ależ on nie żyje! - wymamrotał DiMestro.

- A tak, nie żyje! Jego głowa rozpękła się na moich oczach. Ale to jego DNA znaleziono na niedopałku z parkingu i to on zostawił włosy u Camelii trzy dni temu! Carl, nie wiem, co się dzieje, ale ktoś stroi sobie z nas przerażające żarty.

Nie do uwierzenia! Wyglądało, że Leland naprawdę powrócił z piekieł, żeby znów zabijać.

Carl DiMestro podjął tym razem normalnym tonem.

- To jeszcze nie wszystko. Skończyliśmy porównywanie genetyczne DNA z niedopałka, czyli DNA mordercy, ze śliną Milтона Beaumonta.

- I?

- I mamy poważny problem, Josh. DNA z niedopałka należy do Lelanda Beaumonta, syna Milтона.

- Jak na razie, to nic dziwnego. To znaczy: wiemy już o tym, nawet jeśli to niemożliwe, bo Leland nie żyje. A więc

o co chodzi?

- Porównanie genetyczne wykazuje niemożliwe do zaistnienia różnice.

Brolin bezwiednie podniósł głos.

- Jakie różnice?

- Josh, ten facet, który dał ci próbkę śliny, nie może być ojcem Lelanda. Jest zbyt wiele ewidentnych różnic. Niezgodność genetyczna. Miałem szczęście, że w ogóle to zauważyłem, ale porównując oba kody genetyczne, dokładnie się im przyjrzałem. Od razu zauważyłem, że nie są podobne i że Milton nie może być facetem od niedopałka. Występuje ewidentna niezgodność - to nie mogło być DNA ojca i syna. Te dwie osoby nie są tej samej krwi.

- Cholera! I nikt wcześniej nie zdał sobie z tego sprawy?

- To nie ja jestem tutaj detektywem.

- Przepraszam cię. Zadzwoń do Lloyd Meatsa, opowiedz mu to wszystko i poproś, żeby to zbadał. Niech sprawdzi akta. Może Leland był adoptowany albo ten facet, którego spotkałem u Beaumontów, nie jest Miltonem.

- Załatwione.

Brolin podziękował Carlowi i się rozłączył. Musiał zrobić wysiłek, żeby zachować zimną krew: nie wolno mu było teraz się pomylić. Wreszcie śledztwo ruszyło, wreszcie coś miał. Szybko wysnuł w myślach kilka teorii mogących wyjaśnić sytuację, ale żadna nie wydała się specjalnie wiarygodna. Odrzucił je wszystkie. Dopóki nie będzie dysponował kon-kretami, na nic zda się wyobraźnia. Meats ruszył do pracy i jeśli jest coś do znalezienia, na pewno to znajdzie, i to szybko. On, Brolin, musi chwilowo zająć się czymś innym.

Zrobił jeszcze kilka kroków i znalazł się przed małym sklepikiem. Miał

szczęście: lokal był jeszcze otwarty, właściciel należał bowiem do tej rzadkiej grupy handlowców, którzy dostosowują godziny otwarcia sklepów do potrzeb klientów. Brolin pchnął drzwi i wszedł do środka. Na stojakach jak gotowa do strzału broń, stały wędki, a wszędzie wokół -na półkach, zawieszane na nylonowych nitkach albo przyczepione do ściany - świeciły szklanym wzrokiem wypchane zwierzęta.

Brolin podszedł do lady, za którą siedział pięćdziesięcioletni mężczyzna z okularami w formie półksiężyca na nosie, zajęty lekturą specjalistycznego pisma. Miał zniszczoną twarz kogoś, kto ze względu na wykonywany zawód całe dni spędzał na zewnątrz, narażony od lat na wiatr, słońce i deszcz. Na głowie miał czapkę z logo Krajowego Stowarzyszenia Strzeleckiego, ozdobioną różnej wielkości haczykami wędkarskimi.

Czapka i polityczna wymowa zdobiącego ją logo zachęciły Brolina do szczerości, wyjął więc odznakę inspektora. Przedstawiciele organizacji paramilitarnych są często żarliwymi sprzymierzeńcami służb porządkowych.

- Dzień dobry panu. Inspektor Brolin. Czy to pan jest właścicielem, Fergusiem Quimby?

Mężczyzna przytaknął, zamykając pismo, najwyraźniej zaintrygowany.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko oświeceniu policjanta, chciałbym skorzystać z pana wiedzy w zakresie...

Obracając się, Brolin wskazał ręką cały sklep.

- Czego chciałby się pan dowiedzieć? - zapytał mężczyzna spokojnie.

- Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób wypycha pan... wypycha pan...

- Wszystko zależy od wielkości.

- Wyobraźmy sobie, że chodzi o dużego ssaka.

- Dużego? Duży ssak ma więcej skóry, ale jego skóra jest różna: w jednym miejscu rozciągliwa, w drugim nie. Dużego ssaka przed krojeniem trzeba przede wszystkim dobrze wymierzyć.

- Następnie to zależy, czy pracuje pan w swojej pracow-ni, czy też jest pan, jak to się mówi, na wyjeździe. Jeśli spędza pan kilka dni w lesie, lepiej skórę szybko wygarbować. To samo dotyczy kości.

- Do czego służą kości?

Twarz Fergusia Quimby'ego zmarszczyła się jak kawałek plastiku pod wpływem płomienia.

- Kości, proszę pana, to jest pański szkielet. Bez kości zwierzę nie ma kształtu; jest bezkształtne. Kości nadadzą członkom właściwą formę, taką, jaką zwierzę miało za życia: zwrócą mu jego wygląd.

- I używa pan do tego mydła arsenowego i węgla potasu, czy tak?

- Tak. To odstrasza owady i opóźnia psucie się mięsa. Wtedy ma pan spokój.

Ze skórą sprawa jest delikatniejsza, ponieważ trzeba ją wymoczyć w roztworze sproszkowanego ałunu i morskiej soli, a następnie trzeba ją wysuszyć w cieniu. Tego nie można zrobić byle gdzie.

Wyjaśnienia wypychacza zwierząt na temat metod ich ćwiartowania miały dla Brolina wymowę dużo bardziej ponurą. Każde kolejne zdanie specjalisty kierowało myśli inspektora do mordercy. Widział wyraźnie, jak mężczyzna starannie wycina skórę ofiary - za pierwszym razem na ramionach, a za drugim na nogach. Najpierw spokojnie zaznacza punkty cięcia, później przenosi wszystko do swojej kryjówki, gdzie zabiera się do pracy i traktując odpowiednimi substancjami, starannie tnie skórę i czyści kości z mięsa.

Kiedy podbiega do niego pies, głaszcze zwierzę, przynosząc na sierść trochę mydła arsenowego, które zostało mu za paznokciami. Kiedy zaś wieczorem ociera się o bieliznę Camelii, nieświadomie zostawia kilka psich włosów, które przyczepiły mu się do ubrania. Wszystko się zgadza.

Morderca obcinał i wypychał części ciała swoich ofiar.

W jakim celu? Brolin nie miał zielonego pojęcia, ale z pewnością był to człowiek udęczony zmorami.

Wypychacz zwierząt ciągnął swoje wyjaśnienia, a przed oczami Brolina pojawiał się stopniowo widok sypialni mordercy, pełnej wypchanych rąk i nóg.

Ludzkich.

W jednej chwili znalazł się na niej.

Jego silne dłonie zacisnęły się na Juliette, kiedy dziewczyna bezskutecznie starała się cofnąć. Szok spowodował, że zamarła, nie mogła się ruszać, straciła wolę. Leland uderzył ją mocno w twarz. Upadła na kolana.

Poczuła w ustach okropny smak krwi. W mózgu rozdzwonił jej się alarm; słyszała już tylko ten dźwięk, dźwięk instynktu przeżycia.

On był nad nią: drapieżnik, gotów w każdej chwili skoczyć na łup: prawie widziała szykujące się na nią szpony.

Obróciła głowę, szukając pomocy i od ust po skronie przeszył ją gwałtowny ból. Leland jednym ciosem złamał jej szczękę.

Alarm w mózgu zmienił się we wściekłe wycie. Jeśli nie zareaguje natychmiast, umrze. Tym razem nie ma co czekać na pomoc; nie pojawi się zbawczy deus ex machina. Jest sama, sama; albo coś zrobi, albo zginie.

Zobaczyła swoją latarkę, która wciąż leżała na ziemi. Rzuciła się na nią, chwyciła i ściskając ze wszystkich sił, podniosła rękę. Spinając mięśnie ud, dźwignęła się w górę. Latarka uderzyła Lelanda w ramię. Leland, bardziej z zaskoczenia niż z bólu, przez chwilę nie wiedział, co robić. Zamarł, zawieszony nad Juliette. Dziewczyna uderzyła jeszcze raz, z całych sił. Cios trafił Lelanda w głowę, a jego policzek wybuchł jak purpurowa gwiazda.

Leland zaczął wyc. Zamachał długimi rękami, starając się chwycić Juliette i zgnieść ją, zmiażdżyć.

Juliette zawahała się, nie wiedząc, co robić; w jakim kierunku uciekać.

Leland zasłaniał wejście. Chyba że rzuciłaby się w kierunku drugich drzwi, tych do domu. Ale nie wiedziała, dokąd dokładnie prowadzą. To było zbyt ryzykowne.

Puściła latarkę i ruszyła ku wyjściu, obchodząc Lelanda, podczas gdy on, przeklinając, ocierał krew rękawem.

Zrobiła dwa kroki, gdy nagle ramię Lelanda się wyprostowało. Jego dłoń otworzyła się jak żółty pajak i w chwili, gdy Juliette go mijała, złapał ją za włosy. Szarpnął tak mocno do tyłu, że niewiele brakowało, a skręciłby jej kark.

Zawyła i padła na plecy.

On już na niej siedział; długie ręce przebierały po niej, były wszędzie; chciwe oczy obserwowały łup; usta wykrzywił wygłodniały grymas. Wyjął z kieszeni ciemny przedmiot wielkości pilota do telewizora i przysunął to do Juliette, która zobaczyła, jak z czarnej obudowy urządzenia wystrzela

niebieska błyskawica. Mimo że ogłuszona przez ból i upadek, zaczęła gwałtownie machać rękami, żeby tego do siebie nie dopuścić.

Leland znow uderzył ją w twarz.

Ostatnią rzeczą, którą poczuła, było gwałtowne drganie całego ciała, kiedy to coś poraziło ją mocnym wyładowaniem elektrycznym.

* * *

Coś wrzynało się w jej nadgarstki. Z trudem odzyskiwała przytomność; czuła na twarzy coś ciepłego. Otworzyła oczy. Natychmiast przeszył ją rwący ból.

Szczęka ważyła tonę, cierpienie było nieznośne. Nie mogła otworzyć prawego oka i zrozumiała, że jest cała napuchnięta.

- No, obudź się. Dość już tego spania.

Głos wciąż brzmiał bezbarwnie, ale w rozkazującym tonie słychać było jakby nienawiść.

Wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności i Juliette pomyślała najpierw, że nadal przebywa w garażu Lelanda. Ale tutaj było cieplej i wszystko wyglądało inaczej. Zorientowała się, że za ręce ściągnięte z tyłu i za nogi związane w kostkach jest przymocowana do krzesła. Siedziała w pomieszczeniu dużym i ciemnym, bez okien. Długi liliowy neon oświetlał

stojący naprzeciw niej stół, a po prawej stronie znajdowało się jeszcze jedno źródło światła. Mimo zranionego oka dostrzegła co najmniej trzymetrowej długości akwarium, świecące na zielono. Wewnątrz nie było ryb.

Ponieważ nie była zakneblowana, zrozumiała, że pomieszczenie jest wyciszone albo znajduje się daleko od siedzib ludzkich, i do oczu podeszły jej łzy, które natychmiast pohamowała.

- Podoba ci się tutaj?

Juliette przeniosła uwagę na postać mężczyzny. Leland. To był Leland.

Mimo słabego oświetlenia widziała jego rysy

i nie mogła się mylić. Prawda, nie był dokładnie taki sam - wydawał się trochę chudszy, a szaleństwo wyraźniej odbiło się na jego twarzy - ale, ogólnie rzecz biorąc, to był Le-land Beaumont.

Ten, który zmarł rok wcześniej.

- Wiesz, nie mam o to do ciebie pretensji - powiedział, dotykając wielkiego opatrunku, który zasłaniał niemal cały jego policzek. - To normalne.

Następnie podszedł do Juliette i włożył rękę między jej uda.

- I to również jest normalne - powiedział takim samym, bezbarwnym głosem.

Zaczął głaskać skórę Juliette przez spodnie, trzeć dłonią energicznie, coraz mocniej; tak mocno, że poczuła palący ból. Później nagle przestał, odsunął

się i zaczął wachać swoją dłoń. Oddychał hałaśliwie, przez dziurki od nosa wydobywał się dziwny,

wysoki świst.

Juliette rozluźniła mięśnie nóg. Dziwne, ale odrętwienie spowodowane strachem gdzieś znikło. Jej serce biło szybko, to prawda, miała wilgotne dłonie, ale nie odczuwała tej paralizującej grozy, która poraża ciało i rozum.

Strach rozproszył się w całym jej ciele, był w niej, ciążył, zawisł nad jej duszą mdlącym uczuciem zwątpienia. Teraz żyła ze strachem. Była jego towarzyszką.

Leland przestał wachać palce i wrócił do niej. - Chcesz, żebym ci pokazał moją kolekcję? Podniosła z trudem głowę, starając się spojrzeć mu w oczy.

Od razu odwrócił wzrok. Odszedł gdzieś i nacisnął przycisk. Uciekał przed jej spojrzeniem; nie był zdolny znieść go tak długo, jak długo była żywa.

Cała jedna ściana zajaśniała bożonarodzeniową, kolorową girlandą, taką, jaką zawiesza się na domach i którą musiał zapewne ukraść jednej z zimowych nocy. Żarówki były przyczepione w różnych miejscach, pięły się niczym węże między wszystkimi wypchanymi zwierzętami ozdabiającymi ścianę. Stado nieżywych zwierząt przyglądało się Juliette oczami błyszczącymi od kolorowych - żółtych, niebieskich, czerwonych, zielonych -

świateł dekoracji.

- Tobie to się pewnie nie za bardzo podoba, co? To jest moja kolekcja -

wyjaśnił i po raz pierwszy w jego głosie pojawił się ślad emocji.

Pogłaskał pysk jakiegoś zwierzęcia. Wyteżając wzrok, żeby lepiej widzieć w panującym półmroku, Juliette domyśliła się, że to jest pysk psa.

- Bardzo lubię moją kolekcję. Ale dla ciebie mam coś lepszego - dodał po chwili, wyglądając nagle na bardzo zadowolonego. - Mam twojego narzeczonego. Tak, tak; spójrz tylko.

Tym razem Juliette poczuła, że trzęsą jej się ręce. Podeszedł do niej i z nie ukrywanym wysiłkiem podniósł krzesło i przekręcił je o sto osiemdziesiąt stopni.

W tej części warsztatu było zupełnie ciemno. Nie dochodziły tutaj Maski ani fioletowego neonu, ani rozproszonej zieleni akwarium, ani ciepłe kolory girlandy

-Myślę, że to naprawdę będzie ci się podobać - oznajmił krótko.

Nacisnął inny przycisk i zaświecił niewielki reflektor punktowy zamocowany w podłodze.

Na ścianie wisiał ukrzyżowany mężczyzna.

Mężczyzna miał na sobie elegancki, choć zakurzony garnitur; widać było jego białe dłonie. Jego

twarz była również biała, usta trochę ciemniejsze. Na głowie miał czarny melo-nik zsunięty na czoło.

Juliette była zdumiona. Zupełnie zdezorientowała ją ta twarz, która nie mogła być tą twarzą.

- Skóra jest biała, bo normalnie to tkanki dają nam ten różowy kolor. Trzeba mi wybaczyć; to był pierwszy, którego robiłem - wyjaśnił porywacz.

I nagle Juliette zobaczyła, że rondo kapelusza osłania pustkę.

Mumia nie miała górnej części głowy. Jej twarz była niekompletna, oderwana nad brwiami. Miała przed oczami wypchane zwłoki Lelanda Beau-monta.

Brolin wszedł do biura Lloyd Meatsa, który właśnie odłożył słuchawkę telefonu i, klikając myszą komputera, ściągnął na ekran drugą część danych.

O dziwo, w biurze Meatsa znajdował się Bentley Cotland.

- Dobrze, że jesteś - rzucił Meats do Brolina. - Już od godziny staram się połączyć z kimś z opieki społecznej, ale bez przerwy trafiam na automatyczne sekretarki albo na jakichś kretynów.

- O dziewiątej wieczorem to rzeczywiście zadziwiające - odezwał się Bentley drwiąco, ale bez złośliwości.

- Carl ci wyjaśnił? - zapytał Brolin. Meats pokazał na ekran.

- A myślisz, że co robię w internecie? I że po co wezwanie do opieki społecznej? Tak, wyjaśnił mi. To jednak zupełnie wariacka historia!

Znaleźliśmy ślad po Lelandzie Beaumon-cie, a raczej po Gregorym Phillipsie. Synu Kate i Stephena Phillipsów. Tak się nazywał do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, kiedy został zaadoptowany przez rodzinę Beaumontów.

- Leland był dzieckiem adoptowanym? Jak można było tego nie znaleźć?!

- Jeśli to nie jest wpisane do jego papierów, to czy szukasz podobnej informacji o kimś zmarłym? Kiedy się nim naprawdę zaczęto zajmować, był

już zimny; nikt nie grzebał w jego przeszłości. Wtedy wszyscy skupiali się na torturach, jakie zadawał ofiarom, a zwłaszcza starali się je zidentyfikować.

Nikt się tak naprawdę nie interesował życiem Lelanda.

Nie żył, a więc było jasne, że to nieważne. Nawet dziennikarze zadowolili się opisami tego, co robił.

- Byli zajęci napadaniem na Juliette - rzucił Brolin. Meats wzruszył ramionami.

- Tak; no i Milton Beaumont jest za dużym odludkiem, żeby media go polubiły. Sprawa ucichła sama z siebie; myślę, że odpowiadało to nam wszystkim. A poza tym ten sierociniec, z którego pochodzi Leland, nie jest miejscem zbyt... zbyt czystym.

- Jak to?

- No, chodzi o to, że nie przestrzegano tam za bardzo ustalonych reguł...

Prowadzący go woleli oddać dzieciaka nowym rodzicom, nawet jeśli ci nie spełniali koniecznych

warunków, niż trzymać go w swoich murach bez rodziców. I później raczej już nieinteresowali się wychowankami. Nie ma dokładnych danych, co się z nimi potem działo. Właściwie to mieliśmy szczęście, że zdobyliśmy tę informację tak szybko. Ten zakład działał na Florydzie i jest zamknięty od ponad piętnastu lat.

- Skąd to wiecie?

- Bentley znalazł to w archiwach jakichś gazet w Internecie.

Zainteresowany kiwnął głową, dość z siebie zadowolony.

- Tak; kiedy inspektor Meats znalazł nazwę tego sierocińca, wszedłem na Newsweb, żeby się dowiedzieć, co to był za zakład, i tyle. Newsweb to serwer, który przeszukuje według konkretnych haseł niewyobrażalną liczbę gazet lokalnych i ogólnokrajowych. To wspaniałe narzędzie, trzeba tylko umieć się nim posługiwać.

- Między nami mówiąc, nie wierzę, żeby tacy ludzie jak Beaumontowie mogli zostać zakwalifikowani jako potencjalni rodzice adopcyjni w porządnym ośrodku opieki dla nieletnich. Przecież to był kompletny margines! -

dorzucił Meats.

Brolin podszedł do okna i spojrzał na roztaczający się z niego widok.

- Milton Beaumont jest jakiś dziwny - rzekł. - Szczerze mówiąc, kiedy widziałem go ostatnim razem, nie wydał mi się taki głupi, za jakiego chciałby uchodzić. Być może się mylę, ale zaczynam się zastanawiać, czy on przypadkiem nie jest genialnym manipulatorem? To on mógłby być „Życzliwym”.

- Tak pan myśli? - zapytał zdziwiony Bentley, prostując się na krześle.

- Jeśli się założy, że to doskonały kłamca, dlaczego nie? Wie o Lelandzie dużo więcej niż ktokolwiek inny, bo przecież to on go wychował; a jeśli udało mu się nas okłamać, spokojnie może dyrygować jakąś inną osobą.

- Ale to by znaczyło, że okłamuje nas i gra komedię od początku, to znaczy od ponad roku? W jakim celu?

- Nie mam pojęcia; to tylko przypuszczenie. Nie podobał mi się sposób, w jaki za mną patrzył, kiedy ostatnim razem stamtąd odjeżdżałem. Tak, jakby doskonale wiedział kim jestem i jakby się ze mną bawił. Przez moment wydawało mi się nawet, że wcale nie jest taki tępy, na jakiego zw^ kle wygląda, ale przeciwnie - umysł ma bardzo wyostrzony i złośliwy

- Chcesz, żeby za nim pojeździć? Żeby go trochę pospiegować?

Brolin wahał się przez chwilę, ale w końcu zrezygnował z tej propozycji.

- Nie teraz. Nic przeciwko niemu nie mamy, a on od razu by zauważył, że go obserwujemy. Jeśli to

on, mógłby wszystko przerwać albo tak pogmatwać...

Bentley energicznie przytaknął.

- Święta racja! - poparł Bro-lina. - Nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów, a jeden niedopałek z DNA Lelanda Beaumonta to niewiele. Żaden sędzia nie uzna tego za wystarczający materiał do obciążenia go winą. Z

kolei sierść nie jest przyjmowana jako dowód; w każdym razie na pewno nie wtedy, gdy nie ma na niej śladów ludzkiego DNA. Trzeba czegoś bardziej konkretnego. Pod względem prawnym nie mamy nic, co łączyłoby Milтона z tymi ostatnimi morderstwami.

Nikt nie skomentował tego, że przyszedł zastępca prokuratora powiedział

„my”, w ten sposób włączając siebie w skład grupy prowadzącej śledztwo. W

końcu był to znak, że czuł się osobiście zaangażowany.

- Dobrze, a ty? Masz coś nowego? - zapytał Meats Bro-lina.

Bro-lin pokazał teczkę z dokumentami, którą trzymał pod pachą.

- Co to jest?

- To jest lista prenumeratorów pisma „Taksydermia w Ore-gonie”.

- Co to znów za historia? - zniecierpliwiał się Meats. Bro-lin przesunął fotel tak, że siedział teraz naprzeciw

kolegi.

- Myślę, że nasz morderca może to prenumerować.

- Ach tak? A jak na to wpadłeś?

Żeby wszystko dokładnie wyjaśnić, potrzeba było czasu. Bro-lin zdecydował

się na najkrótszą wersję. Opowiedział, co odkrył tego dnia, i skończył na ostatniej sensacji- Meats i Bentley słuchali z otwartymi ustami.

Kiedy skończył, Meats nie mógł się powstrzymać, żeby nie powtórzyć jego ostatnich zdań.

- Naprawdę myślisz, że obcina te ręce i nogi, żeby je wypchać? Ale po co?

Nie wypycha się ludzkich kończyn! Może całego człowieka, jeśli w ogóle, ale z pewnością nie fragment!

- Nie wiem, Lloyd. Może on ma swoją logikę, która nam umyka, ale na razie to jest jedyny konkretny

Ślad, jaki mamy

Bentley wziął dokumentację i zaczął przeglądać listę prenumeratorów

„Taksydermii”, kiedy drzwi biura otworzyły się gwałtownie i stanął w nich spocony Larry Salhindro.

Brolin natychmiast wstał.

- Co się dzieje?! - spytał zdenerwowany, jakby przeczuwał coś złego.

- To... To Juliette. Juliette gdzieś znikła. Brolin poczuł ucisk w gardle.

- Pojechała nad brzeg Columbii; Gary i Paul zostali trochę z tyłu, żeby nie przeszkadzać, a kiedy zaczęli się denerwować, że nie wraca, poszli do jej samochodu, ale jej w nim nie było.

- Może ktoś po nią podjechał? A może widzieli, że ktoś do niej podszedł?

- Nie, nic nie widzieli. Gary myśli, że naumyślnie uciekła, żeby być sama.

- Nie, to zupełnie nie w jej stylu - zaprotestował Brolin. - Ona wie, że potencjalnie jest w niebezpieczeństwie. Trzeba koniecznie ją odnaleźć. Czy wysłaliście kogoś z laboratorium, żeby zdjął ślady?

Salhindro położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Josh, zrobimy wszystko, co trzeba. Ale najlepiej by było, żebyś ty się w to nie wtrącał, zgoda? Wiem, że ci na niej bardzo zależy; już zawiadomiłem wszystkie patrole. Pewnie spaceruje nad brzegiem Willamette, taki mały atak zwątpienia, i niedługo się znajdzie. Jak tylko na nią wpadniemy, natychmiast cię zawiadomię i to ty z nią pogadasz. Zgoda?

Brolin zdał sobie sprawę, że tak zacisnął pięści, że aż wbił sobie paznokcie w dłoń. A jeśli Juliette wcale się nie załamała, tylko wpadła w ręce mordercy?

Nie mógł przecież beczynnie czekać, aż coś się wyjaśni.

Nagle ciszę przerwał Bentley Cotland.

- Uwaga, znalazłem coś niesamowitego! - wykrzyknął. - Na tej liście prenumeratorów pisma „Taksydermia w Dragonie” figuruje Milton Beaumont. Krucza Farma, Buli Run Road, hrabstwo Multnomah.

Cała krew odpłynęła z twarzy Brolina. To już nie mógł być przypadek.

Po chwili biegł korytarzem w stronę parkingu.

Gdzieś na świecie znajduje się niewielkie pomieszczenie. Nie ma w nim ani jednego okna, wewnątrz zaś prawie nic nie widać, gdyż pojedyncze źródła światła dają jedynie bardzo słaby kolorowy poblask. Bez przerwy słychać bzycający dźwięk liliowego neonu, a wielkie akwarium bez ryb rzuca na ściany zielony, nienaturalny odbłask. Niektórzy powiedzieliby, że pomieszczenie to jest warsztatem służącym do preparowania zmarłych, ozdobionym dziesiątkami wiszących na ścianie wypchanych zwierząt, oświetlanych teraz długą girlandą lampek choinkowych. Ale w głębi, jeśli się dobrze przyjrzeć, znajduje się jeszcze coś - na półkach spoczywają fragmenty ludzkiego ciała: ramiona, nogi, korpus i dwie głowy, wypatroszone i zakonserwowane.

Należą do kilku bezdomnych, a zostały obcięte w ostatnich miesiącach. Nikt się o tym nie dowiedział, zwłoki nieszczęśników są zaś teraz pokarmem dla leśnych robaków

Ten, którego „poddani” nazywają preparatorem, stoi obok Juliette, szczęśliwy, że może jej zaprezentować swojego „sobowtóra”, przybitego do cokołu, wypchanego pakułami, metalowymi prętami, kośćmi i gipsem.

Juliette osłupiała. Miała przed oczami Lelanda Beaumon-ta, zmarłego i wypchanego. Jak więc to możliwe, że obok niej stoi również Leland? Kim jest ten mężczyzna, który z nią rozmawia, rusza się i oddycha?

- To twój ukochany, co?! - wykrzyknął preparator z nutą szyderstwa w głosie. - Zwierzył mi się. W zeszłym roku. Powiedział, że wy oboje będziecie...

Głupi uśmiech wykrzywił mu twarz.

- No... Wiesz, co. Ale teraz on jest tam. Preparator przechylił głowę w bok, nienormalnie nisko,

tak, jakby chciał podziwiać teraz pod innym, nowym kątem tego, który zwisał bezwładnie przyczepiony do cokołu. Czuło się, że ma wielki dylemat, że nie może uwierzyć w to, że Leland wisi tam całkiem martwy.

Juliette udało się zacząć oddychać spokojnie, osłabło też drzenie rąk.

Przełknęła z trudem ślinę i wymówiła kilka słów.

- Kim... Kim pan jest? - zapytała, czując nieznośny ból w gardle.

Preparator szybkim ruchem zwrócił głowę w jej kierunku, niemal w panice, że ona potrafi mówić. Przez chwilę Juliette, widząc straszliwą, nienaturalną nienawiść malującą się na jego twarzy, myślała, że ją uderzy, ale nie, natychmiast się uspokoił. Udał, że nic nie słyszał, i nadal przyglądał się wy-patroszonemu mężczyźnie na ścianie naprzeciw.

- Nazywam się Wayne. Wayne Beaumont - powiedział nieśmiało jak dziecko w szkole. - A to mój brat, Leland Beau-mont.

Wyciągnął palec w kierunku ukrzyżowanego ciała.

Juliette poczuła, że znów zaczyna jej się kręcić w głowie, skupiła więc uwagę na reflektorze punktowym, który podświetlał wypchane zwłoki od dołu. Po chwili świat przestał wirować.

- No tak; to prawda, że nie bardzo mi się udał, ale to dlatego, że był już nieco zniszczony, kiedy wyciągnęliśmy go z grobu. To nie moja wina. „Dzieło” jest znacznie bardziej udane. Chcesz ją zobaczyć?

Nie czekając na odpowiedź, Wayne skierował się w głąb warsztatu i przesunął część ściany. Rozległ się metaliczny zgrzyt i gdzieś z tyłu powoli zapaliło się mocniejsze światło. Był to minispektakl, dokładnie obliczony na efekt, jaki miał wywołać. Sekretną alkowę oświetlało kilkadziesiąt małych liliowych neonów. Wayne cofnął się z nabożeństwem.

Na szkielecie z metalowych prętów osadzono postać kobiecą. Była normalnego wzrostu; siedziała w dużym fotelu z wikliny. Ale przede wszystkim miała normalną głowę - prawdziwa, doskonale zakonserwowana ludzka głowa wieńczyła szczyt tej metalowej konstrukcji. Podobnie jej ramiona i nogi nie były z metalu, ale z prawdziwej ludzkiej skóry. Juliette zrozumiała wówczas, co się stało. Obie ostatnie ofiary, którym obcięto ręce i nogi... Ręce jednej, nogi drugiej widziała teraz przed sobą zamontowane na metalowym szkielecie.

- To jest „dzieło” - oznajmił Wayne podniosłym i pełnym powagi głosem. -

To jest Abigail, moja matka. Głowa jest dobrze zachowana, bo gdy tylko matka umarła, zrobiłem od razu, co należało. Ale jej biedne ciało było za bardzo zniszczone, musiałem więc poszukać materiału, żeby ją odnowić.

Widzisz, jaka jest piękna?

W Juliette odruch wymiotny walczył z silnym instynktem samozachowawczym, który podpowiadał, aby nie okazywać żadnej słabości.

Stało przed nią coś obrzydliwego. Liliowa poświata neonów nie wystarczała, żeby ukryć ciemne plamy znajdujące się u podstawy szyi.

A więc Leland miał brata. I razem nauczyli się zabijać, Nie było co do tego żadnych wątpliwości - w ten czy inny sposób musieli być współnikami.

Abigail Beaumont zmarła już wiele lat temu; czy Leland widział ten makabryczny spektakl? Niewątpliwie tak. Ale który z nich wciągnął drugiego w to szaleństwo?

- A niedługo moja mama będzie tu z nami - podjął Wayne. - Przepłynie rzekę zmarłych i przyjdzie tu. Jej dusza tu przyjdzie.

Juliette zamknęła oczy. Panika, rozpacz i zmęczenie zaczęły powoli zwyciężać.

- Jesteś kompletnym szaleńcem... - wyszeptała, a jej twarz wykrzywiła się pod wpływem strachu i

łez.

W jednej chwili Wayne doskoczył do niej, podniósł rękę i już wymierzał jej silny cios, gdy nagle rozległ się czyjś głos. Głos nijaki, ani męski, ani damski; bezpłciowy, zimny jak rzeźnicki hak i idealnie spokojny

- Wayne, nie. Nie teraz.

Głos dochodził gdzieś z tyłu. Ktoś zbliżał się powoli za plecami Juliette.

- Och, nie, proszę pani. On w ogóle nie jest szalony. Juliette poczuła na szyi ciepły oddech i do jej uszu doszedł syczący szept:

- On po prostu robi to, co ja mu każę.

Drzwi windy nie otworzyły się jeszcze do końca, a Bro~ lin już rzucił się do wyjścia. Lloyd Meats ledwie mógł za nim nadążyć.

- Josh, zaczekaj, nie możemy przecież tak bez powodu zjawić się u Miliona...

- Nie zamierzam ryzykować, jeśli to on i jeśli złapał Ju-liette! - wykrzyknął

Brolin, wsiadając do samochodu.

Meats uderzył pięścią w dach mustanga. Cholera! Wskoczył na siedzenie pasażera.

- Lepiej byś zrobił, gdybyś wysiadł! - nakazał Brolin.

- Jeśli masz rzucić się na Miliona Beaumonta, chciałbym być przy tym obecny. Jedź.

Silnik zawarczał z wściekłością, kiedy samochód ruszał z podziemnego parkingu, a opony zapiszczały na asfalcie, gdy rozpędzał się w chmurze zapachu spalonej gumy.

- Mam nadzieję, że jesteś świadomy tego, że nie mamy oficjalnego nakazu rewizji. To, co zamierzasz zrobić, jest nielegalne - zauważył Meats. - Nie został złapany na gorącym uczynku.

- Chyba że ma Juliette.

- Wówczas to SWAT powinien tam pojechać. To robota dla nich, nie dla nas.

- Lloyd, dobrze wiesz, że minie co najmniej godzina, zanim oni tam dotrą.

Mam złe przeczucia.

Zastępca kapitana wydziału dochodzeniowo-śledczego popukał nerwowo palcami po tablicy rozdzielczej i zaklął. Nie poprawiło mu humoru to, że zauważył jadący z tyłu na pełnym gazie samochód patrolowy z Salhindrem za kierownicą.

Osiem cylindrów silnika mustanga zawyło jak rakietka, kiedy na autostradzie międzystanowej numer 84 przekroczyli sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. W niecałe dwadzieścia minut byli przy wspaniałych wodospadach Multno-mah i zjeżdżali z autostrady na mniejsze, niebezpieczniejsze drogi, z rowami po bokach.

Jechali już pół godziny, kiedy zadzwonił telefon komórkowy Lloyd Meatsa.

Dzwonił Bentley Cotland, który został w biurze, nadal przeszukując internet.

Meats włączył głośnik, żeby również Brolin mógł słyszeć głos Cotlanda.

- Panie inspektorze, znalazłem coś niesamowitego! - wykrzyknął

podekscytowany Bentley. - Wpisałem na Newsweb nazwisko rodziców Lelanda. To znaczy jego prawdziwych rodziców, Kate i Stephena Phillipsów.

I pokazał się artykuł z lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Tam jest napisane, że Phillipsowie mieli małego synka o imieniu Josh, który został porwany w supermarkecie. Wyobraża pan sobie? Oddają pierwsze dziecko do domu dziecka, jak tylko się urodziło, czyli w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku; zatrzymują drugie, które ktoś im porywa cztery lata później!

Następna część układanki wskoczyła na swoje miejsce.

- Bentley, czy jest napisane, że znaleziono ciało chłopca? - zapytał Brolin,

- Uch... Nie, piszą tylko, że go porwali ale że nigdy nie znaleziono ciała.

Brolin zaklął i wykrzyknął:

- Oczywiście! To wyjaśnia sprawę DNA.

- Co? W jaki sposób? - zapytał Meats.

- Wyobraź sobie: Kate Phillips zachodzi w ciążę. Pech, rodzą się bliźniaki. Z

jakiegoś powodu w siedemdziesiątym szóstym Kate i Stephen Phillips oddają jednego syna do domu dziecka. Tego samego chłopca, którego Beaumontowie zaadoptują dwa lata później. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugi chłopiec, ten, którego Phillipsowie zatrzymali, zostaje porwany. Nie zabity. Porwany. Jest więc bardzo możliwe, że on wciąż żyje.

- A jaki to ma za związek z DNA?

- Carl DiMestro powiedział, że DNA jest unikalne dla każdego człowieka, z wyjątkiem bliźniaków jednojajowych.

- Chcesz powiedzieć, że Leland rzeczywiście nie żyje, ale że to jego brat bliźniak popełnia te wszystkie morderstwa?

- Czemu nie? To brzmi lepiej niż historia żywych trupów, nie sądzisz?

Meats wzruszył ramionami.

- Niewiarygodna historia. Jak wyjaśnisz to porwanie oraz to, że go nigdy nie odnaleziono? I dlaczego by to robił? Żeby pomścić brata? To się nie trzyma kupy.

Brolin nacisnął na pedał gazu. Reflektory mustanga rozcinały ciemność z prędkością daleką od bezpiecznej.

Brolin wolał milczeć niż odpierać przypuszczenia Meat-sa. Skupił się na prowadzeniu auta. Trzeba

było działać szybko.

Samochód patrolowy z Salhindrem za kierownicą dawno już został w tyle.

Za dziesięć minut będą u Milтона Beau-monta. Tylko oni dwaj.

Kilka minut później mustang przejeżdżał przez paprocie i zbliżał się do domostwa Milтона. Zanim światło reflektorów mogło uprzedzić gospodarza o wizycie, Brolin wyłączył silnik i zatrzymał samochód w zaroślach.

Ruszył ścieżką z pistoletem i latarką w pogotowiu. Meats również wysiadł, a kiedy zobaczył, że Brolin odchodzi z odbezpieczonym glockiem, wyjął swoją broń i z westchnieniem ruszył za nim.

Nie było łatwo posuwać się naprzód w ciemnościach: ścieżka była kamienista i zewsząd podstępnie sterczały gałęzie, o które łatwo było się potknąć. Obaj szli koleinami, stawiając wielkie kroki. Kiedy w pewnej chwili rozległo się pohukiwanie sowy, Brolin przypomniał sobie, jaką pasją Lelanda była hodowla ptaków drapieżnych. Miał nadzieję, że w okolicy nie było żadnego wytresowanego ptaka, który uprzedziłby o ich nadejściu, choć było to mało prawdopodobne: ptak to nie pies.

Gdy minęli wielką sosnę Douglasa, zauważyli blade światła. Podchodząc bliżej, stwierdzili, że światło to padało od strony zabudowy. I rzeczywiście, szybko zauważyli zabudowania złożone z przyczep mieszkalnych i chat z okrągłaków, blachy falistej i betonowych bloczków.

Zamek Beaumonta. W oknie obok drzwi z przodu - czy jedynych? - majaczy-

ła delikatna poświata. Brolin dał znak Meatsowi, że wejdzie od przodu, wskazując mu jednocześnie na tył zabudowań. Żałował, że nie może go ostrzec przed psem, ale nie chciał hałasować. Poza tym nie było wiadomo, czy w ogóle jest tam pies - znaleziona sierść pochodziła ze zwierzęcia z rodziny psów; mógł to być równie dobrze spreparowany przez mordercę, wypchany lis. No i kiedy był tu ostatnim razem, nie widział żadnego psa.

Podbiegł do zabudowań najszybciej jak mógł, chowając się najpierw w cieniu wraka samochodu, później przy beczce pełnej deszczówki. Znalazłszy się przy drzwiach, odważył się na szybki rzut oka do wnętrza przez okno.

Pomieszczenie było wąskie, długie, oświetlone lampą sztormową stojącą na stole i... puste.

Brolin nacisnął klamkę i wszedł do środka. Drugie drzwi z moskitierą jęknęły, zamykając się za nim, natychmiast więc ukrył się za zniszczonym fotelem. W sekundę przebiegł do następnego pomieszczenia; pistolet miał

wycelowany w podłogę, ale był gotów do oddania strzału. Kuchnia również była pusta. Poszedł dalej. Skronie mu pulsowały.

Wszedł do sypialni.

Stało tu wielkie łóżko przykryte wełnianym pledem, który najwyraźniej leżał

tam od lat. Obok znajdowała się szafa i lustro; ściany były nagie, nie stało przy nich nic poza długim krucyfiksem zawieszonym u szczytu łóżka.

Pomieszcze-

nie było smutne i martwe, ale Brolin był z jakiegoś powodu pewien, że to jest sypialnia Milтона. Podeszedł cicho do łóżka i obszedł je, żeby wyrzucić przez okno.

Coś tu nie grało. Świeciło się, a Milтона nie było.

„Chyba że usłyszał, jak nadchodzimy i schował się gdzieś w kącie, żeby rąbnąć nas pogrzebaczem, kiedy będziemy przechodzić obok”.

Na zewnątrz - również pusto. Było zresztą zbyt ciemno, żeby móc cokolwiek rozróżnić. Brolin zawrócił i znieruchomiał. Spojrzał w prawo i zobaczył, co zwróciło jego uwagę. Spod materaca wystawała kartka papieru. Wyciągnął

ją. Była to reprodukcja formatu A4 rysunków Botticellego.

Piekło Dantego.

Kilka małych brązowych litografii przedstawiało dziewięć kręgów Piekła.

Brolin ukląkł i przesunął dłonią głębiej pod materacem. Palcami dotknął

czegoś sztywnego. Chwycił i wyciągnął podniszczoną książkę. Była to stara księga czarów, z delikatnymi pergaminowymi stronicami. Brolin przewrócił

okładkę i przed jego oczami pojawił się wykaligrafowany pismem gotyckim tytuł Necronomicon *. Biblia czarnej magii. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości.

Milton Beaumont był szaleńcem. Ale szaleńcem niewiarygodnie sprytnym.

*W literackim uniwersum H. P. Lovecrafta Necronomicon jest łacińską wersją (pióra Olaus Wormiusa) księgi Al-Azif, o której była mowa wcześniej.

Juliette czuła na szyi ciepły powiew oddechu budzącego w niej grozę.

- Wayne, moje dziecko, zostaw nas na chwilę. Bardzo cię proszę.

Głos brzmiał cicho, ale wypowiadał słowa tonem niezno-szącym sprzeciwu, i Juliette nie miała złudzeń, że jeśli Wayne nie posłucha, gorzko tego pożałuje.

Wayne przestąpił z nogi na nogę, niepewny, co ma robić. Po chwili zagryzł

dolną wargę i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie.

- Nareszcie sami!

Dłoń dotknęła ramienia Juliette. Kościste palce zaczęły ją głaskać.

- Często się zastanawiałem, jakie to uczucie... - usłyszała. - Tyle razy chciałem panią odwiedzić. Ale nigdy się ostatecznie nie zdecydowałem. Co za szczęście, że Wayne był dziś u Lelanda. Właściwie on tam chodzi bardzo często, choć go ostrzegam, że to niebezpieczne. Mogliby go złapać.

Juliette poczuła, jak palce przesuwają się pod swetrem i zaczynają głaskać i ugniatać jej ramię. Chciała zacisnąć zęby, ale ból szczęki był nie do zniesienia. Udało się jej jednak zebrać na tyle odwagi, żeby wydusić z siebie bardzo powoli:

- Czego... pan... chce?

Nawet tego nie widząc, Juliette usłyszała, jak nozdrza stojącego obok niej osobnika wciągają ze świstem powietrze, a usta rozchylają się w okrutnym uśmiechu. Dłoń przesunęła się niżej, pomacała ramiączko stanika.

- Och, niewiele. Trochę szczęścia i żeby odczepiono się ode mnie.

On, ponieważ teraz Juliette była już pewna, że ma do czynienia z mężczyzną, powiedział to tak zwykłym i bezpośrednim tonem, jakby prosił o papierosa.

Mówił dalej, w najmniejszym stopniu niezmiészany.

- Moja żona i ja zaadoptowaliśmy Lelanda w siedemdziesiątym ósmym, w Arkadii na Florydzie. Myślę, że zrozumie pani, że staraliśmy się dowiedzieć czegoś więcej o jego prawdziwej rodzinie. Zależało nam na maluchu.

Chcieliśmy go zrozumieć. I wtedy dowiedzieliśmy się, że ta niegodna kobieta, ta Kate, miała dwoje dzieci. Bliźnięta. A ponieważ nie chciała mieć dwójki dzieci, bo nie mogła sobie na to pozwolić, wybrała tego, którego zdecydowała się porzucić. Czy zdaje sobie pani z tego sprawę? Co za ludzie zdarzają się w Stanach Zjednoczonych, wyobraża sobie pani?!

Dłoń zsunęła się jeszcze niżej. Szorstkie i zimne palce ześlizgnęły się pod stanik i zaczęły ugniatać nagą pierś Juliette, która unosiła się i opadała w rytm jej drżącego oddechu. Dziewczyna zamknęła oczy i po jej twarzy spłynęła łza.

- Przecież nie mogliśmy zostawić tego chłopczyka z takimi rodzicami! -

ciągnął głos. - Leland zasługiwał na to, żeby mieszkać ze swoim bratem.

Dlatego go zabraliśmy. Och, nie było to proste; musiał się ukrywać, A poza tym często się przeprowadzaliśmy. O, proszę, był nawet czas, kiedy musiał

spać w piwnicy obok kotła, ale, ogólnie rzecz biorąc, umieliśmy obdarzyć go miłością, na jaką zasługiwał.

Palce znalazły sutek i zaczęły go drażnić, lekko podszczypując. Głos stał się senny.

- Biedny Wayne trochę cierpiał z powodu tego wszystkiego, muszę to przyznać. Moja żona była surowa dla dzieci, ale zapanowała nad sytuacją.

Wayne żył w cieniu; nikt się nigdy nie dowiedział, że istnieje. A ponieważ byli podobni jak dwie krople wody, łatwo ich było pomylić. To my z żoną nauczyliśmy go wszystkiego. Wszystko, co umie, zawdzięcza nam. Tak, tak, tak.

Dłoń trochę mocniej ścisnęła pierś Juliette. Drugą ręką mężczyzna wskazał

na rekonstrukcję postaci kobiecej, która królowała w jego alkowie.

- Ach, widzę, że Wayne pokazał pani nasze „dzieło”. Dobra robota, prawda?

Wyjaśnił pani, co się ma stać?

Dłoń nagle zgmiotła pierś, wyrywając z ust Juliette jęk bólu.

- Nie, nie powiedział? A Więc musi pani wiedzieć, że jest pani w towarzystwie kogoś, kto posiadał tajemnicę nieśmiertelności. Tak, tak; zapewniam panią. Wychowałem się na tekście Dantego, na Boskiej Komedii.

Jest to tekst święty; on skrywa drogę do wiary, drogę cudów. Wie pani...

Ponieważ stale go czytałem, w końcu odkryłem wszystkie jego sekrety, nawet najmniejsze. To jest tam napisane czarno na białym, ale większość ludzi nie umie czytać świętych tekstów. Dante opisuje, w jaki sposób przeszedł

przez wszystkie dziewięć kręgów Piekła, jak dotarł do Czyśćca, żeby móc wreszcie spotkać się ze swoją Beatrycze. To Beatrycze wskazała mu drogę do Raju. Czy to nie jest wspaniałe? Hę?

Znów nacisnął pierś, zmuszając Juliette do jęku.

- Ach, no widzi pani! Zrozumiała pani wreszcie! Jesteśmy w trakcie odtwarzania ciała mojej żony, kawałek po kawałku; musimy wybierać takie części, które najbardziej ją przypominają. To nie jest proste, ale jakoś nam się udaje. Trzeba mieć dużo cierpliwości, wystarczy kartkować katalogi.

Katalogi do tego służą, prawda? W takim społeczeństwie jak nasze wszystko jest na sprzedaż, a katalogi pomagają robić zakupy, prawda?

Juliette postarała się teraz uprzedzić jego zadający jej ból ruch dłonią i wyszeptała słabym głosem, że tak, prawda.

- Tak więc pomalutku zbieramy części, z których złożymy na nowo ciało mojej Abigail. Ponieważ ciało umiera. Ciało, a nie dusza - dusza schodzi do Piekła, do Czyśćca lub do

Raju, ale jest nieśmiertelna. I ja z Waynem poświęcamy jedną duszę na każdy krąg Piekła; w ten sposób możemy przepłynąć przez Acheront, rzekę zmarłych, i pokonać wszystkie kręgi, żeby dotrzeć do duszy Abigail.

Niedługo jej nowe ciało będzie gotowe i wtedy dotrzemy do jej duszy I ona znów będzie z nami. Ponieważ stopniowo Acheront doprowadza nas do Lete, rzeki zapomnienia; tam, gdzie dusze przekraczają szczyt Czyśćca i zostają oczyszczone, wymyte z grzechów. Tam Abigail będzie na nas czekać, niewinna i czysta, gotowa zejść wraz z nami do tego stroju dla duszy, który dla niej szykujemy.

To było gorsze niż najgorszy koszmar. Juliette zobaczyła, jak uchodzi z niej ostatnia nadzieja. Ci dwaj byli zupełnymi szaleńcami. Nigdy nie przypuszczała, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Mówiono o różnych dziwacznych rodzinach zamieszkujących gdzieś w głębi kraju, ale było to dalekie od prawdy. Prawdą zaś było to, że jest pełno szaleńców i, niestety, nie tylko w szpitalach psychiatrycznych. Przez całe nasze życie, kiedy chodzimy po chodnikach wielkich miast, często musi nam się zdarzać, że mijamy kompletnych wariatów, mężczyzn i kobiety, ale nie zdajemy sobie z tego spra-wy. Nie widzimy ich, a oni są, istnieją; czasem nawet bardzo blisko nas.

- Och, to nie jest wcale łatwe - ciągnął mężczyzna. -Przejście przez Piekło jest żmudne i długo trwa. Kiedy cza-sem sił mi braknie, myślę o Daniem, o jego zniechęceniu i o słowach, którymi Wergiliusz, jego przewodnik, dodaje mu odwagi.

Juliette usłyszała trzask rozciąganych stawów. I spokój-ny głos:

Więc wstań i niemoc niechaj w tobie zmyli Duch, co zwycięzca jest w każdej rozprawie.

Chyba go brzemień ciała ubezsili.

Z akwarium dobiegł głośny bulgot kiedy bańka powietrza oderwała się od głębin i wypłynęła na powierzchnię, jakby pojemnik z wodą przestraszył się tego, co miało nastąpić.

- Piekło, pieśń dwudziesta czwarta.

W ślepych pomieszczeniu zapadła cisza. Później mężczyzna z sękatymi dłońmi zapytał świszczącym

głosem, prawie szepcząc.

- Czy nadał pani myśli, że Wayne i ja jesteśmy szaleni? Juliette potrząsnęła głową; chciała coś powiedzieć, ale jej

wnętrze rozrywały przeciwstawiające się sobie w gorączce emocje.

Dłoń puściła jej pierś i osobnik stanął naprzeciw niej.

- Niech pani otworzy oczy

Juliette usłyszała nutę groźby przebijającą z tego nakazu, dlatego posłuchała. Podniosła powieki.

Osobnik znajdował się naprzeciw niej. Klęczał.

Jego twarz była zniszczona przez mijający czas: policzki miał poznaczone długimi zmarszczkami przypominającymi blizny. Twarz była podłużna, z podbródkiem wysuniętym do przodu. Mężczyzna był podobny do karykatury faraona. I miał maleńkie oczka, osadzone bardzo, bardzo głęboko, które błyszczały teraz złowrogim blaskiem.

- Wie pani, Leland przeprowadzał różne próby konserwowania. Jeśli pani woli: on w pewien sposób testował nasze metody. Był pionierem naszej pracy. Próbował głównie z przedramieniem, ponieważ najlepiej się je wykrawa, w oczekiwaniu, aż nasz sposób konserwowania stanie się optymalny i bę-

dziemy mogli zabrać się poważnie do pracy. Nie umiałbym pani powiedzieć, jak wybierał swoje modele; szczerze mówiąc, nie wiem, i to nie ma żadnego znaczenia. To były tylko lalki, króliki doświadczalne, nic więcej. Natomiast, i za to mogę pani ręczyć, był bardzo zadowolony z tej przyjaciółki, którą poznał przez internet, jak to on mówił. Aż do dnia, kiedy ona powiedziała mu „nie”.

Potrząsnął głową, oczy miał zamknięte; wyglądał na niezgorzej rozczarowanego.

- Ona odrzuciła jego przyjaźń. Wyobraża sobie pani? Doradziłem mu, żeby nie ustępował, ale... Ale nie. I tak było za późno: radość została skalana.

Przyszedł po panią, ofiarował pani całego siebie, a pani... pani kazała go zabić. Chyba jest więc jasne, że dla pani nie ma miejsca w naszym „dziele”.

Oczy mężczyzny nie zdradzały żadnej emocji: były tak samo obojętne jak cała twarz.

- Myślę, że moja małżonka nie przebaczyłaby mi tego. Uniósł rękę i Juliette poczuła, jak ostrze noża wbija się

w jej czoło i kreśli w ciele dziwny wzór.

Brolin znalazł Lloyd'a Meatsa w kuchni.

- Tu nic nie ma - powiedział Brolin, wskazując na zachodnią część domu.

- Z drugiej strony też jest pusto. Myślisz, że on jest na zewnątrz?

Brolin wzruszył ramionami. Miał absolutną pewność, że Milton jest gdzieś niedaleko.

- Może chowa się gdzieś w domu? Zauważyłeś gdzieś jakąś klapę w podłodze albo schody? - zapytał Meatsa.

- Nie, nic takiego nie widziałem.

- Dobra, wychodzimy

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Brolin spryskał sobie twarz deszczówką, której było pełno w jednej z metalowych beczek.

Na pewno jest tu jakiś schowek, którego nie zauważyli „Wszystkie morderstwa zostały popełnione w wyizolowanych miejscach w pobliżu lasu.

Morderca starał się prawdopodobnie odtworzyć atmosferę mu znajomą, w której czuje się pewnie, żeby móc przejść do czynu. To miejsce bardzo pasuje. Co jeszcze? Okaleczenia. Nie były konieczne; w każdym razie nie były konieczne jako tortura. Kobiety były okaleczane jakby bez sensu, z powodu nienawiści, jaką wzbudzały w mordercy. Dlaczego ich tak nienawidzi? Czy się ich boi? Nie może się do nich zbliżyć, bo w normalnej sytuacji od niego uciekają? Czy jakaś kobieta bardzo go skrzywdziła?"

Głowa Brolina była pełna myśli; jedno zdanie goniło drugie. Czekał, aż wreszcie otworzy się jakaś szufladka ze zrozumiałym elementem. Minęła minuta. Brolin zamarł.

- Hej, Lloyd! Jak umarła matka Lelanda?

- Zatlukły się na śmierć z sąsiadką; zdaje się, siekierą. „Morderca żywi okrutną nienawiść do kobiet, ponieważ

one od niego uciekają, to po pierwsze; a po drugie, ponieważ symbolizują dla niego śmierć matki... Jediną kobietą, którą znał, była matka, zabita przez inną kobietę".

To rozumowanie miało sens, mimo że było dość dziwaczne. Brolin podczas pracy zetknął się z tego typu schematem wiele razy.

- Gdzie to się stało? - zapytał. - Gdzie one się pozabijały? Meats zmarszczył

brwi.

- Nie jestem pewien. Myślę, że niedaleko stąd; gdzieś wyżej w tym lesie. Ta druga też była jakąś starą pustelnicą, trochę stukniętą.

Brolin zaczął rozglądać się dokoła. Zaświecił latarkę i przeszukał krzewy wokół polany, szukając ścieżki. Jeśli się nie mylił, Milton musiał często tam chodzić, trochę tak jak do świętego miejsca, miejsca medytacji. Musiał

wydeptać ścieżkę.

Minęła dłuższa chwila. W pewnym momencie Meats od-sunął się gwałtownie.

- Josh! - szepnął. - Uwaga, ktoś nadchodzi!

Kucnęli w paprociach i zaczęli nasłuchiwać. Wysoka postać pojawiła się na drodze prowadzącej do domu. Brolin natychmiast rozpoznał Salhindra.

- To Larry - powiedział. - Idź po niego, niech nam pomoże znaleźć ścieżkę.

Meats wstał i poszedł w kierunku policjanta w mundurze.

Brolin wrócił do przeszukiwania krzewów strumieniem światła latarki.

Posuwał się do przodu metr po metrze, powoli tracąc nadzieję na znalezienie czegokolwiek. Nagle...

Czarna linia w ciemnościach.

Nie tracąc czasu, zagłębił się między drzewa i zaczął biec. Wiedział, że mogła liczyć się każda sekunda: była to chwila, kiedy za każdą decyzję trzeba będzie płacić natychmiast. I to złe przecucie, którego nie mógł się pozbyć...

Przyspieszył kroku i przestał uważać, gdzie stawia stopy, widział tylko czarny wąski pasek ścieżki, nic więcej.

Jeszcze jakieś pięćset metrów biegu i zza gąszczu wychynęła ruina. Cała drewniana, pokryta mchem, bez okien i tylko z jedną parą drzwi.

Był to rodzaj wielkiej chaty, domu wzniesionego w środku nieistniejącego świata. Pewnie nora tej zwariowanej sąsiadki, z którą pobiła się na śmierć żona Milтона Beaumonta. Ujrzawszy tę dziwną konstrukcję, Brolin zrozumiał, że to tutaj mieszkał ukrywany brat bliźniak. Pośrodku lasów.

Podszedł cicho, starając się nie dyszeć po niedawnym biegu przez las.

Nagle w głowę uderzyła go gałąź, która pękła pod wpływem ciosu.

Brolin padł w błoto i puścił rewolwer. Usłyszał, jak napastnik skacze w jego stronę. Znajdował się

metr lub dwa dalej. Nie starał się już podnieść pistoletu: był za daleko. Przeturlał się na plecy, się nad nim z obosiecznym nożem w dłoni.

„Taki sam nóż, jakiego używa morderca” - zdążył pomyśleć.

Twarz napastnika zbliżyła się do jego twarzy i zaskoczenie Brolina spowodowało, że na sekundę przestał uważać.

„Przecież to Leland Beaumont! Rysy twarzy Lelanda Beaumonta!”

Ostrze weszło między żebra.

Nagły ból, który przeszył Brolina, w ogóle go nie sparaliżował; przeciwnie, w ataku prawdziwej furii młody inspektor wymierzył potężnego sierpowego prosto w szczękę przeciwnika, który upadł na bok. Brolin jedną ręką przycisnął ranę, a drugą podparł się, żeby jak najszybciej stanąć na nogi.

Ledwie wstał, Leland - lub osobnik tak do niego podobny - rzucił z całej siły kamieniem, który trafił Brolina w ramię zranione podczas napadu na cementarzysku samochodów. Zanim Brolin się zorientował, przeciwnik już się na niego rzucił. Brolinowi udało się uniknąć dźgnięcia nożem i uderzając z całych sił, trafił napastnika pięścią w ucho. Następnie bez zastanowienia kopnął go kolanem w brzuch i wymierzył

kolejny cios. Teraz z kolei bliźniaczy brat Lelanda legł w błocie.

Ale był to silny mężczyzna, który całe życie musiał ciężko walczyć o swoje.

Zachował na tyle przytomności umysłu, że zauważył pistolet, zanim Brolin zdążył po niego sięgnąć. Zaciśnął dłoń na kolbie, a palec wskazujący położył

na spuście. Glock był odbezpieczony, bo Brolin nie chciał tracić czasu na dodatkowe manipulacje, gdyby musiał od razu strzelać.

Lufa mierzyła prosto w głowę Josha Brolina.

Strzał strząsnął wilgoć z liści i poniósł się echem hen, między drzewa, roznosząc wiadomość o rozlanej krwi.

Dosłownie kilka metrów dalej, na szczycie skarpy, stał Lloyd Meats z dymiącym pistoletem w dłoni.

Kiedy ujrzał, jak ręka bliźniaka Leland drętwieje i bezwładnie opada, Brolin zrozumiał, że to on jest tym, który przeżył. Zobaczył, że napastnik leży z rozkrwawioną połową głowy, i pojął, że Lloyd Meats uratował mu życie.

Z domu obok wydobył się krzyk nadziei. To była Juliette. Krzyk ucichł

praktycznie w tej samej sekundzie

Brolin rzucił się do przodu, wyrwał swój rewolwer z martwej dłoni i rozbił

drzwi wejściowe do budynku, ignorując środki ostrożności.

Zobaczył Juliette na środku pokoju, przywiązaną do krzesła.

Na jej swetrze pojawiła się czarna plama, która w sposób alarmujący rosła dosłownie z sekundy na sekundę. Brolin zrozumiał natychmiast, co się stało.

Ta krew wyciekała na sweter z wielkiej rany - przeciętego gardła.

Krzyknął histerycznie: - Nie!

Milton stał obok, z ociekającą krwią, jeszcze ciepłą brzytwą w dłoni. Twarz miał wykrzywioną okropnym grymasem nienawiści. Chciał skoczyć na zbliżającego się policjanta, ale prawie zawisł w powietrzu, nadziany na kulę, która przeszła przez obojczyk i której uderzenie posłało go na stertę beczek pełnych solonej wody.

Brolin już był przy Juliette. Zapominając o własnej ranie, rzucił rewolwer na ziemię i przyłożył obie dłonie do gardła młodej kobiety, w nadziei, że zatrzyma krwotok.

Juliette straciła już bardzo dużo krwi. Ciało zaczynało drżeć.

Po policzkach Brolina popłynęły łzy; nie dawał rady zahamować strumienia wypływającego z ziejącej rany.

- Nie, nie, Juliette... zostań ze mną... nie... musisz zostać...

Spróbowała coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wyszedł z jej krtani.

Popatrzyła na Brolina.

Wiedziała, że to już koniec.

Jej spojrzenie stało się niewiarygodnie intensywne; na ustach pojawił się uśmiech.

Wokół Brolina wszystko wybuchło: cierpienie prawie pozbawiło go rozumu, twarz załały łzy.

Po chwili spojrzenie Juliette jakby pojaśniało, emocje skupione w źrenicach rozpląły się w nicości.

W ciągu sekundy życie Juliette rozpuściło się w wieczności.

Brolin schował twarz w jej wilgotnej szyi.

Coś poruszyło się koło niego. To Milton jęknął.

W jednej chwili purpurowa zasłona wściekłości opadła na oczy Brolina.

Podniósł pistolet i, chwytając Milтона za kołnierz, wsunął mu lufę rewolweru między zęby.

- Josh! Nie!

To był Salhindro.

- Jeśli to zrobisz, nie wygrasz. Oszczędzisz mu tylko wstydu podczas procesu i uchronisz go od więzienia.

Brolinowi trzęsły się ręce i oślepiały go łzy.

Milton otworzył oczy Nie były to już oczy kogoś z lekka opóźnionego w rozwoju, ale spojrzenie silnego drapieżnika. Upiornej kreatury, której uśmiech odsłaniał małe białe kły, zaprawione w szarpaniu ciała swoich ofiar.

Twarz Brolina była lepka od krwi Juliette, jakby młoda kobieta po raz ostatni dzieliła się z nim swoim ciepłem, obdarzała tego, który ją kochał, swoim dotykiem.

Brolin mrugnął powiekami.

Wściekłość spowodowała, że w oczach potwora widział ścianę trzaskających płomieni.

- Odłóż rewolwer, Josh - rzekł cichym, ale stanowczym głosem Salhindro.

Z palcem wskazującym na spuście, Brolin zatopił spojrzenie w oczach Milтона Beaumonta.

Płomienie buchnęły jeszcze silniej, jak samo serce Piekła.

Minęły trzy tygodnie.

Lloyd Meats wrzucił do kosza resztkę sandwicza i włożył marynarkę.

Najwyższy czas wracać do domu, do żony Miał już dość wszystkich ponurych porachunków między bandami niedorostków, którymi musiał się zajmować tego dnia.

Wyszedł na korytarz i zapalił papierosa.

- Co słyszeć, Lloyd?

Salhindro podszedł do niego z puszką pepsi w dłoni.

- Nic szczególnego Zaczynam mieć po uszy tych wszystkich idiotycznych morderstw.

Salhindro pociągnął łyk pepsi.

- Nie mów tak. Co byś robił, gdybyś nie był w policji?

- Zostałbym prywatnym detektywem! Zawsze chciałem to robić. Cały czas fotografujesz zdradzających mężów i żony Napatrzysz się i jeszcze zarobisz.

Mężczyźni się roześmiali.

- A co z Miltonem? Przyznał się? - zapytał Salhindro.

- Nie. Siedzi i nic nie mówi. Ale znaleźliśmy dużo dowodów. Ziemia wokół

jego domu ma ten sam skład co ta z odcisku buta na miejscu morderstwa Elizabeth Stinger, a ten odcisk z kolei odpowiada wzorowi podeszwy jednego z butów Waynea Beaumonta. To jest argument dla obrony: oskarżą Waynea o te morderstwa, naciskając na brak dowodów, które świadczyłyby o współpracy Milтона. Milтона przedstawiają jako niegroźnego wariata, który nie rozumiał tego, co się wokół niego działo. Ale z tym wszystkim, co znaleźliśmy u niego w domu, prokurator jest gotów oskarżyć go o współudział przy zabójstwach Elizabeth Stinger i Anity Pasieki, jak również... również... Juliette.

W dalszym ciągu trudno im było wymówić to imię; trzeba było się powściągać: osoba Juliette wciąż wywoływała wzruszenie.

- Ach, więc to tak? - oburzył się Salhindro. - Facet masakruje i zabija, i nigdy nie dowiemy się dlaczego?

- Larry, ten facet to monstrum, potwór. Najgorszy seryjny morderca, jakiego można sobie wyobrazić. Nawet gdyby zwierzył nam się ze wszystkiego, i tak musielibyśmy bardzo uważać. On nie jest taki jak

my. Cały czas kłamie, manipuluje; chodzi mu jedynie o to, żeby nas przechytryć, poczuć się lepszym, sprytniejszym od nas.

- Dobrze, monstrum, potwór. Facet adoptuje dzieciaka, porywa jego bliźniaczego brata, ukrywa go i wychowuje obu na prawdziwych morderców.

Ale dlaczego? Dlaczego ten Milton to robi? Wyobraźmy sobie, że jego ojciec bił go, gwałcił i tak dalej. Dlaczego? Czy dlatego, że ten z kolei też był bity i gwałcony? Czy ta spirala nienawiści i gwałtu nigdy nie ma końca? A co jest na początku? Z czego bierze się takie straszne zachowanie? Jakie nieszczęście to rozpoczęło? Myślisz, że to jest w każdym z nas? Że każdy z nas ma taką ciemną stronę, którą udaje mu się ukryć? Meats wzruszył

ramionami.

- Czy to znaczy, że człowiek jest z gruntu zły, że zabija ot tak, bez powodu? -

powtórzył Salhindro, jakby nie mógł w to uwierzyć.

- Powody są w człowieku. Tej części ludzkiej duszy nigdy się nie przeniknie.

Jeśli byśmy ją przeniknęli, przestalibyśmy być ludźmi: stalibyśmy się cyborgami. Każdy ma swoje sekrety i to pewnie ich natura sprawia, że będziesz albo złym człowiekiem, albo dobrym; albo po trosze jednym i drugim. Nie mam pojęcia.

Drzwi windy się otworzyły i dwaj wychodzący z niej policjanci pozdrowili Salhindra i Meatsa.

- Nie opowiadaj takich rzeczy; robi mi się zimno na samą myśl - Salhindro nacisnął guzik na drugi poziom podziemi

Stali milcząc, dopóki winda nie zjechała na dół,

- A Brolin - wiesz, co u niego? Salhindro pokręcił przecząco głową.

- Nie. Myślę, że wyłączył się w oczekiwaniu na proces. Jak go znam, musi być gdzieś daleko; dochodzi do siebie gdzieś z dala od cywilizacji.

Wyszli z windy na parking.

- Myślisz, że wróci do nas?

- Możliwe. Z nim nigdy nic nie wiadomo. Jest młody.

- Właśnie dlatego. Fatalne, że coś takiego go spotkało. Jeśli się pozbiera, ma w policji perspektywę.

- W każdym razie większe niż ty i ja! - zadrwił Salhindro. Meats zgniótł

papierosa o betonowy słup.

- Dobra; to do jutra, Larry.

- Tak... Do jutra, do pojutra i tak dalej. Popatrzyli na siebie i serdecznie klepnęli się po ramionach, po czym każdy poszedł do swojego samochodu.

Brolin siedział na ściętym pniu i podziwiał krajobraz.

Pasma gór podobne do zastygłych w ruchu dinozaurów ze stoickim spokojem przyjmowało zmiany pogody. Lekki wiatr ześlizgnął się po namiocie Brolina i brezent zaszeleścił.

Oczy Josha były wpatrzone w horyzont.

Ale jego umysł był zupełnie gdzie indziej.

Dlaczego Juliette umarła? Czyjemu kaprysowi chciał los dogodzić; czyją zachciankę spełnić? Przecież ona nie przeszkadzała nikomu, a o jej końcu zdecydował wieczór przed komputerem i rozmowa z nieznanym.

Jaki morał można było wyciągnąć z jej śmierci?

Jaki sens miała ta śmierć?

Szukać woli boskiej w przeciwnościach losu, których nie rozumiemy i które nas łamią, to odruch każdego wierzącego człowieka. Znaleźć ludzkie wytłumaczenie niewytłumaczalnego - oto powód, żeby wbrew wszystkiemu zachować wiarę.

A może to po prostu nic nie znaczy? Juliette jako ulotna wizja miłości odegrała swoją rolę; była jego dawką szczęścia. Była wszystkim, czego nieświadomie poszukiwał; wypełniła wewnętrzną pustkę, którą każdy mężczyzna stara się wypełnić, nie zdając sobie z tego sprawy. Była balsamem dla duszy, innym niż zwykle, małe życiowe zwycięstwa; była spełnieniem, którego nie sposób wyrazić słowami. Częścią osobistego szczęścia przypadającego każdemu; tym życiowym triumfem, który przychodzi niespodziewanie, przynosząc w prezencie najgwałtowniejszą radość. Brolinowi było dane to przeżyć.

Dana mu była Juliette.

Co teraz mógł mu ofiarować świat? Jaki prezent wyciągnie z worka Los-Swięty Mikołaj? Czym go jeszcze można zaskoczyć, co mu narzucić?

Rytm przemijania wymaże bliźnę, jak fale rysunek na piasku. Tylko piękno rysunku na zawsze wryje się w jego umysł... Juliette będzie odtąd jedynie wspomnieniem.

Być może nie było w tym żadnego sensu, tak jak być może nie ma go życie.

Nie zawsze dobry wygrywa, a złemu często wybryki uchodzą na sucho.

Pewnie nawet pojęcie kary boskiej jest po prostu pociechą dla świadomości; być może duszy wcale nie ma.

Trzeba pogodzić się z istnieniem ogromnego świata zaludnionego miliardami istot. Miliardy istot oddychające w tym samym momencie.

Wielki świat i mała ludzka istota w obliczu nieskończoności. Sama w galaktyce: anomalia natury, mrugnięcie powiek w kosmosie; istota próżna, a mimo to wypełniona racją bytu, nawet za cenę podlegania niesprawiedliwej sile. Ziarnko piasku, sekunda istnienia... i już, po wszystkim. Niewiele zostaje, gdy ludzkość znika.

Z gąszczy wybiegła drobnym truchtem para saren. Zwierzęta stanęły nieruchomo i popatrzyły na Brolina czarnymi oczami. Wiatr pogłaskał ich sierść, one podeszły kilka kroków, po czym zgrabnym ruchem otarły się o pień i znikły w lesie.

Świat jest wielki, cyniczny, okrutny, Ale ma w sobie takie bogactwo! A życie jest jedno. Trzeba czerpać z tego bogactwa jak najwięcej. Brolin wstał.

Powietrze było świeże i czyste. Świat czekał na niego.

Młody człowiek rozłożył ramiona, zamknął oczy i zrobił głęboki wdech. W

kąciku oka miał łzę, którą starł palcem. Powoli spływała po policzku, wreszcie oderwała się i spadła w trawę.

Wiedział, że od tej chwili w każdej jego łzie, jak miniaturowa kryształowa kamea, będzie się odbijać twarz Juliette.

Zebrał swoje rzeczy, założył plecak i zaczął schodzić w dolinę.

Świat jest wielki.

I tyle jest jeszcze rzeczy do poznania...

EPILOG

WIĘZIENIE STANOWE W SALEM, OREGON

Carter Melington zamknął zasuwę wizjera do celi numer sześćdziesiąt pięć i zrobił w odpowiedniej kratce krzyżyk oznaczający, że więzień jest w celi.

Następnie przeszedł do celi obok.

Cela numer sześćdziesiąt sześć.

Nie podobał mu się typ, który ją zajmował. Podobno jakiś seryjny morderca.

Jeden z tych szaleńców, co to obierają kobiety ze skóry, jakby to był banan.

Carter pracował w tym więzieniu od siedmiu lat i zawsze bardzo lubił

poranny obchód. Nie było to męczące, nie trzeba było pilnować skazanych, bo nie wychodzili z cel, i jeśli człowiek się pospieszył, to przed porannym prysznicem więźniów miał godzinę wolnego, którą mógł spędzić w kuchni.

Ale od kiedy ten facet zjawił się w celi numer sześćdziesiąt sześć, Carter zaczął traktować poranny obchód jako uciążliwość.

Do jego obowiązków należało zagłądanie przez wizjer, żeby sprawdzić, czy wszystko z więźniem w porządku. Ot, rutyna. Ale czasami, gdy to robił, ten facet się na niego gapił.

To było naprawdę niesympatyczne, czuć na sobie ten wzrok. On się tak dziwnie uśmiechał. Carter miał wtedy wrażenie, że nie jest strażnikiem więziennym, tylko jakimś łownym zwierzęciem, łanią czy sarną, którą drapieżnik ogląda sobie z przyjemnością tuż przed śmiercionośnym skokiem.

Ten facet nie zachowywał się tak, jakby był uwięziony; raczej sprawiał

wrażenie kogoś, kto nie wie, że jest w więzieniu albo uważa to za rzecz zupełnie nieistotną.

Carter zatrzymał się przed stalowymi drzwiami.

Przesunął zasuwę wizjera i zajrzał do wnętrza.

Znów uderzyło go, że w tej celi nie jest tak jasno jak w pozostałych. Cienie były jakby cięższe, ciemniejsze

Facet siedział na prycy; dłonie miał oparte na kolanach, głowę schyloną.

Z ust wydobył mu się jakiś dźwięk, który Carter wyraźnie usłyszał i po którym zrobiło mu się nieprzyjemnie.

I nagle Melington usłyszał swoje nazwisko.

- Strażniku Melington, proszę powiedzieć tym prostakom, że przysposobiłem jeszcze wielu.

Carter poczuł, jak ręce mu lodowacieją. Było ogólnie wiadomo, że typ z celi numer sześćdziesiąt sześć nigdy się nie odzywa.

- Proszę zwłaszcza podkreślić, że Leland i Wayne to były tylko próbki.

Preludium. Przysposobiłem wielu, wielu innych, w całym kraju. Powolutku; czasu miałem do woli. Przyłożyłem się do pracy. Już wkrótce o nich usłyszycie. Wkrótce.

Więzień podniósł głowę i wbił spojrzenie w strażnika, Carter omal nie wypuścił pióra z dłoni. Ledwie zdołał zasunąć wizjer.

Nie, to niemożliwe. Wydawało mu się.

Przetarł dłonią twarz. Cały się trząsał.

Kilka razy głęboko odetchnął, żeby odpędzić od siebie ten nachalny obraz; żeby odpędzić wątpliwość.

„Ech, wydawało ci się! Wyobraźnia, stary! Musisz dłużej spać i nie opychać się wieczorem ostrym jedzeniem!”

Spojrzał na listę obecności więźniów i ruszył do przodu trochę mniej pewnym krokiem. Ręce miał nieprzyjemnie wilgotne.

Przez chwilę miał wrażenie, że oczy Milтона Beaumonta żarzą się czerwonym blaskiem.

I przez tę krótką chwilę wydawało mu się, że widzi otchłań jego duszy.

Otchłań zła.

Podszedł do celi numer sześćdziesiąt siedem, przysięga-jąc sobie, że nie piśnie o tym słowa. Nikomu.

Jego kroki stukały po posadzce, kiedy oddalał się, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Otchłań zła...

[...] człowiek opętany przez ducha nieczystego. Mieszkał on stale w grobowcach i nikt już nawet łańcuchem nie mógł go związać.

Często bowiem nakładano mu pęta i łańcuchy; ale łańcuchy kruszył, a pęta rozrywał, i nikt nie zdołał go poskromić. [...]

I zapytał go: „Jak ci na imię? Odpowiedział Mu: „Na imię mi

«Legion», bo jest nas wielu".

Ewangelia wg św. Marka (Mk 5.2-9)